

Autorka numer 1 list bestsellerów „New York Timesa”

LISA JACKSON

Kręte ścieżki



Jackson Lisa

New Orleans 07

Kręte ścieżki

Detektyw Montoya widział niejedno, ale zbrodnia w nowoorleańskiej katedrze jest przerażająca. Ofiara to młoda zakonnica, lecz jeszcze bardziej szokujące jest to, że Montoya rozpoznaje w niej swoją miłość sprzed lat. Dlaczego wstąpiła do klasztoru? I dlaczego w chwili śmierci miała na sobie starą ślubną suknię?

Valerie Hudson, siostra zamordowanej, to jedyna osoba, która może pomóc rozwiązać zagadkę. Ale morderca wie równie dobrze, że Valerie jest kluczem do tajemnicy tej zbrodni. I sięgającego w przeszłość ponurego sekretu klasztoru...

Rozdział 1

Już pora.

Głos brzmiał wyraźnie.

Z uśmiechem na twarzy, czując wielką ulgę, Camilla przecisnęła przez dziurkę ostatni guziczek.

Spojrzała w lusterko i poprawiła welon.

- W bieli wyglądasz zjawiskowo - pochwalił ojciec.

Ale jego tu nie ma, prawda? Nie poprowadzi jej kościelną nawą. Nie, jasne, że nie. Przecież zmarł wiele lat temu. Przynajmniej tak sądziła. Choć z drugiej strony nie był jej prawdziwym ojcem... Tylko ojczymem. Tak? Camilla energicznie zamrugła. Oszołomiona, próbowała zebrać myśli, pozbyć się uczucia wyobcowania, które tak nagle nią owładnęło.

To dzień twojego ślubu; dlatego nerwy odmawiają ci posłuszeństwa i myśli płaczą się w głowie.

- *Narzeczony czeka.* - Głos znowu ją popędzał, a ona się zastanawiała, czy naprawdę ktoś do niej mówi, czy to tylko wyobraźnia.

Głuptasie, oczywiście, że to się dzieje naprawdę!

Opuściła pokój, w którym się przebierała, i chwiejnym krokiem ruszyła korytarzem oświetlonym kilkoma migoczącymi kinkietami. Było ciemnowo, a jednak korytarz jakby lśnił.

Schodami o stopniach wytartych tysiącami spieszących w górę i dół stóp zeszła do sieni, kierując się do mniejszej kaplicy, gdzie już na nią czekał.

Serce biło jej mocno z podniecenia.

Krew tętniła w żyłach.

Cóż za wspaniała, wspaniała noc!

Schodząc, położyła dłoń na poręczy, czubkami palców przesuwając po gładko wypolerowanej powierzchni.

- *Szybciej!* - krzyknął jej do ucha ostry głos, a ona o mało nie potknęłaby się o rąbek sukni. - *Nie każ mu na siebie czekać!*

- Nie każę - zapewniła. Jej własny głos zdawał się przyplływać gdzieś z oddali i brzmiał jak echo w tunelu. A może to tylko echo w jej własnym sercu?

Uniosła suknię, żeby iść szybciej, ale jej bose stopy ślizgały się po posadzce. Czuła się lekka, jakby unosila się w powietrzu. Oczekiwanie gnało ją do przodu.

Światło księżycyca przesączało się przez wysokie witrażowe okna, rozsiewając cienie i kolorowe plamy na posadzce. Dotarła do kaplicy trochę chwiejnie, jakby miała pantofle na wysokich obcasach.

Ale jej stopy były bose, zimno kamiennej posadzki przenikało podeszwy.

Ubóstwo, czystość, posłuszeństwo.

Te słowa krążyły jej w myślach, gdy drzwi kaplicy się otworzyły i weszła do środka. W głowie słyszała muzykę, anielskie głosy wlatujące w niebo po iglicach katedry St. Marguerite's w ten wyjątkowy dzień jej zaślubin.

Noc... jest noc.

Na ołtarzu migotały świece, rzucając blask na wielki krucyfiks, którego widok przypomniał cierpienie Chrystusa. Przyklęknęła, przeżegnała się, potem poszła dalej.

Ubóstwo. Czystość. Posłuszeństwo.

Ścisnęła palcami paciorki różańca; muzyka w jej głowie rozbrzmiewała coraz głośniejsze.

Gdy dotarła do ołtarza, rozdzwoniły się kościelne dzwony. Uklękła przed majestatem Boga. Była gotowa złożyć śluby, oddać życie temu, którego kochała.

- Dobrze... dobrze... doskonale.

Modląc się, spuściła głowę, lecz potem, nadal na klęczkach, spojrzała na krucyfiks i ujrzała rany na wychudłym ciele Chrystusa, który poświęcił się dla niej, grzesznicy.

O tak, była grzesznicą.

Wielką grzesznicą.

Ale teraz otrzyma rozgrzeszenie.

Będzie kochana.

Już zawsze.

Zamknęła oczy i spuściła głowę, która nagle zrobiła się dziwnie ciężka. Ręce też poruszały się niezdarnie. Kaplica zachwiała się w posadach, wewnątrz pociemniało, a rzeźby Madonny i aniołów przy chrzcielnicy nagle zaczęły wpatrywać się w nią oskarżycielskim wzrokiem.

Gdy usłyszała szuranie stóp po kamiennej posadzce, uniesienie i radość zastąpił niepokój.

Nie ulegaj. Nie tej nocy...

Ślubna suknia nie wydawała się już taka gładka i zwiewna; materiał stał się szorstki i sztywny, cuchnący stęchlizną. Ze strachu zaczęła ją mrowić skóra na karku, pod lepkiem welonem.

Nie, nie, nie... to nie tak.

- *A więc teraz już wiesz* - skarcił ją głos, dobiegający z bliska. Ten syk sprawił, że aż cała się skurczyła.

- Bo zapłatą za grzechy jest...

- Śmierć - wyszeptała.

Strach zmroził jej krew w żyłach. O Boże! Przerazona, chciała się poderwać na nogi.

W tej samej chwili Przeznaczenie wymierzyło jej cios.

Różaniec został wydarty z jej dłoni, paciorki, przelatując przez palce, rozsypały się po posadzce.

Camilla znów chciała się podnieść, ale czuła słabość w kolanach, nogi miała jak z wały. Próbowwała się dźwignąć, lecz było za późno. Jej szyję otoczyła gruba lina, którą ktoś mocno zaciągnął.

Nie! Co to jest?

Ostry drut wrzynał się jej głęboko w skórę.

Ogarnęła ją panika. Nie, nie, nie! To nie tak. Pomocy!

Jej ciało przeszył straszliwy ból. Rzuciła się do przodu, by przewrócić napastnika, ale w tym momencie zabrakło jej tchu. Chciała zaczerpnąć powietrza, ale nie była w stanie. Jezu Chryste, jej płuca pękały.

O Boże, co się dzieje?

Dlaczego?

Nawa jakby się zachwiała, wysokie sklepienie zawirowało, potwór za jej plecami coraz mocniej zaciskał linę.

Przerażenie wczepiło się pazurami w jej umysł. Próbowwała desperacko się uwolnić, chciała kopać i wierzgać, ale jej ciało zachowywało się nie tak, jak powinno. Ciężar na plecach był miażdżący, lina na szyi wrzynąca się coraz głębiej.

Krew napłynęła jej do oczu i tętniła w uszach.

Łamiąc sobie paznokcie, zaczęła szarpać palcami linę owiniętą wokół szyi.

Z wysiłku wygięła się w łuk.

Walczyła dziko, lecz nadaremnie.

Błagam, błagam, błagam! Miłosiwy Ojczy, oszczędź mnie! Grzeszyłam, ale błagam... Pośliznęła się. Nadal się szarpała, ale coraz słabiej, bo już opuszczały ją siły. Camillo, walcz! Nie poddawaj się! Nie poddawaj! Ktoś cię uratuje.

Znów wbiła wzrok w krucyfiks, oblicze umęczonego Chrystusa było zamazane. Przepraszam...

Nagle ogarnęła ją wielka słabość. Przestała walczyć. Jej ciało zwiotczało.

- Proszę... - próbowała błagać, lecz z jej gardła wydobył się tylko zniekształcony, niezrozumiały charkot.

Demon, który śmiał nawiedzić tę kaplicę, potwór, który zbezczescił poświęconą ziemię, trzymał ją mocno. I coraz bardziej zaciskał linę. Bez cienia litości. Mroczny, złowrogi cel dodawał mu sił.

Płuca Camilli płuły, jej serce waliło tak mocno, że była pewna, iż zaraz pęknie. Jej oczy, rozszerzone przerażeniem, przesłoniła szkarłatna mgła.

Och, Miłościwy Ojcie, ten ból!

Ponownie próbowała nabrać choć łyk powietrza, ale był to próżny trud.

Jej płuca krzyczały.

Brutalna siła, napędzana zimną, mroczną nienawiścią, coraz mocniej zaciskała garotę.

Camillą wstrząsnęły pierwsze drgawki agonii. - *Dziwka* - oskarżył ją głos. - *Córka Szatana*. Nie!

Z szeroko otwartymi oczami znów spojrzała na Chrystusa na krzyżu, szkarłatna mgła zniekształcała twarz Jezusa, z oczu spływały łzy jak krople krwi.

Kocham cię.

Zalała ją lawina grzechów, które popełniła i z których składało się jej całe życie. Przed oczami migają jej twarze tych, których skrzywdziła. Ojciec i matka, siostra, najlepsza przyjaciółka... tak wielu ludzi. Niektórzy ją kochali... niewinni.

Zrozumiała, że to jest jej kara, i oderwawszy dłonie od gardła, zsunęła je na brzuch.

Ssss... Trzask! Przed oczami Camilli zabłysło jaskrawe światło; potem nastąpiła ciemność.

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, oczyść mą duszę... Wybacz mi, Panie, bo zgrzeszyłam...

Rozdział 2

Och, na świętą Genowefę! - Valerie raz za razem wciskała klawisz ESCAPE, jakby to miało tchnąć nowe życie w zużyty laptop z przestarzałym twardym dyskiem i za małą pamięcią. - No

dalej, dalej! - pomrukiwała przez zaciśnięte zęby, ale w końcu się poddała. Nie potrafiła wyłączyć przekłętego sprzętu, nie wyjmując z niego baterii.

Dosyć tego! Jutro, pomimo krytycznego stanu finansów, kupi nowy komputer. Coś tam jeszcze było na karcie kredytowej, ale po zakupie komputera zostanie pewnie tylko okrągłe zero.

Taka jest cena rozvodu, stwierdziła twardo w duchu i rzuciła laptop na rozgrzebane łóżko. W piżamie, której góra nie pasowała do dołu, przeszła do kuchni urządzonej w domku przerobionym ze stajni i wsunęła głowę pod kran, żeby napić się wody. Potem wyjrzała przez zalane deszczem szyby w niespokojną nowoorleańską noc.

Powietrze było duszne i gęste, skórę miała mokrą od potu. Zbliżało się lato. Otworzyła okno, wpuszczając do środka wilgotny zapach dochodzący od płynącej leniwie rzeki. Z oddali słychać było odgłosy ruchu ulicznego na autostradzie, miarowy szum rywalizujący z cykaniem świerszczy i rechotem ropuch.

Dzwony katedry St. Marguerite's wybijające północ rozdzwoniły się żałośnie.

Z jakiegoś niejasnego powodu Val poczuła, że ciarki przebiegły jej po skórze. Instynkt policjantki wskoczył na wyższy bieg. Kolejny raz odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje, że wpatrują się w nią czyjeś niewidzialne oczy.

- Za często oglądam kanał science fiction - mruknęła. - I zbyt często miewam koszmary.

Przez jedną ulotną chwilę w jej umyśle zawirowały okruchy wspomnień. Strzępy obrazów.

Niewyraźne. Zamglone. Lecz wyczuwalnie złowrogie.

To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Złowieszcza kreatura odziana w czerń, z okrutnym spojrzeniem i cuchnącym oddechem stawała się coraz większa. Coraz groźniejsza. Z uzbrojonych w pazury rąk zwisały łańcuchy.

Nikt nie mógł jej pomóc.

Nikt nie mógł uratować.

- Ssss... - syknął potwór, opuszczając w dół srebrzystą pętlę. - Ssss...

Camilla, pomyślała z przerażeniem Val. Ten demon chce Camilli...

Przerażający obraz znikł, ukrywając się w zakamarkach myśli. Val z doświadczenia wiedziała, że będzie się tam czał, ale znów się ujawni nieproszony.

- Zostaw mnie w spokoju - mruknęła, starając się nie zwracać uwagi na zjeżone włoski na rękach. Ten potwór jest tylko wytworem wyobraźni, niczym więcej, niczym, w co uwierzyłaby normalna, zdrowa na umyśle kobieta.

Dla uspokojenia wzięła głęboki oddech. Żałosne zawroźenie dzwonów katedry nadal przeszywało noc. Czując ucisk w żołądku, Val oparła się rękoma o brzeg blatu stołu, żeby odzyskać równowagę i zepchnąć obraz ohydnej zjawy tam, gdzie jej miejsce - do najciemniejszych rejonów umyśłu, do rozpadlin, do których zdrowy rozsądek nie odważa się zaglądać.

Nie idź tam, ostrzegła się w myślach. Nie idź tam. Pograżanie się w zdradliwych wizjach produkowanych przez chorą wyobraźnię może tylko doprowadzić do czegoś wstrętnego.

- Nic złego się nie dzieje - zapewniła się na głos, mimo że w środku cała się trzęsła. Drżała ze strachu, który próbowała tłumić. Nikt nie mógł się dowiedzieć. Val była silna. Koszmary i wizje wyczarowane przez jej bujną wyobraźnię nie mają prawa jej zastraszać. - Na rany boskie, kobieto, weź się w garść! Puściła blat, odepchnęła od siebie niedorzeczne lęki, uznając w duchu, że jest po prostu zestresowana. Ale kto by nie był? Zbliżający się rozwód, zrujnowana kariera, biznes balansujący na skraju bankructwa i siostra, jej jedyna krewna, zamierzająca złożyć śluby zakonne w klasztorze o surowej regule przypominającej zasady panujące w średniowiecznych zgromadzeniach! No i ten mejl od Camilli. Bardzo niepokojący.

Val myślała o St. Marguerite's, historycznej katedrze, w której jej siostra złoży wkrótce śluby zakonne.

O ile jej pozwolą.

Zycie zakonne nie pasowało do Camilli, dziewczyny lubiącej chłopców i zabawę. Zawsze uciekającej przed kłopotami. Z tego,

co było jej wiadomo o St. Marguerite's, Valerie wątpiła, by grzechy siostry zostały jej łatwo odpuszczone. Klasztor St. Marguerite's z jego zamkniętymi bramami, przestarzałym systemem komunikacji i surowymi zasadami bardziej przypominał średniowieczną fortecę niż dom boży. Dwudziesty pierwszy wiek nie miał dostępu do tego odizolowanego miejsca. Mieszkańcy klasztoru żyli zgodnie z zasadami sięgającymi zamierzchłych czasów, wedle archaicznych konwencji, poddani okrutnej dyscyplinie i kierując się przedpotopowymi ideami. Prawdopodobnie ten stan rzeczy utrzymywała ksieni lub matka przełożona, lub jakkolwiek inaczej nazywała siebie ta stara sekutnica, siostra Charity. Upierająca się przy staromodnej zasadzie noszenia czarnych habitów, stosująca kary cielesne oraz groźby i zastraszanie zamiast pochwał. Siostra Charity była nie tyle przywódcą duchowym w klasztorze, co naj-zwyczajniejszym nadzorcą.

Dlaczego Camilla postanowiła złożyć śluby w instytucji o tak surowej regule jak ta obowiązująca w St. Marguerite's, pozostawało tajemnicą.

Nieprawda. Przecież znasz powody - po prostu boisz się o nich myśleć.

Pssst!

Szept zła prześliznął się przez umysł siostry Luci niczym podstępna żmija.

Otworzywszy oczy, ujrzała ciemność wypełniającą pokój, jaki zajmowała w klasztorze. Siostra Lucia poczuła ciarki na całym ciele, w ustach metaliczny smak. Ojciec Niebieski, spraw, proszę, aby to były tylko echa złego snu, koszmaru, który...

Pssst!

Znowu to samo. Zwiastun tego, co miało nadejść. Siostra Lucia zrzuciła z siebie kołdrę i osunęła się na kolana. Koszula nocna opadła wokół niej na podłogę fałdami, gdy instynktownie sięgała po różaniec zawieszony na ramie łóżka. Szybko zrobiła znak krzyża

i zaczęła w myślach odmawiać *Wierzę w Boga*. Jej usta poruszały się w ciemności, na karku zaczęły się zbierać krople potu.

- Wierzę w Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi... - I naprawdę wierzyła. Żarliwie. Zazwyczaj pocieszenie znajdowała w rytuale zakorzenionym jeszcze w młodości. W chwilach smutku, niepokoju lub wątpliwości szukała ukojenia w różańcu, przesuwając palcami szklane paciorki, szeptała modlitwy, które zbliżały ją do Boga.

Pssst!

Ten ohydny, jakby elektryczny syk sprawił, że po jej skórze przeszedł prąd, a na czole pojawiły się krople potu.

Nie tutaj, och, proszę... Nie w klasztorze! Jej modlitwa została zakłócona, więc zaczęła od początku, zaciskając mocno powieki, oparta łokciami o cienki materac. W głowie jej huczało.

Jeszcze raz przytknęła krzyżyk różańca do czoła i zaczęła powtarzać kolejne modlitwy, które z wielką łatwością przychodziły jej do głowy.

To musi być jakaś pomyłka, myślała z przejęciem, podczas gdy znajome słowa same wypływały jej z ust. Od czasu, gdy wstąpiła do klasztoru z zamiarem złożenia ślubów, ani razu nie miała żadnego „incydentu”, jak nazywała te zdarzenia matka. Sądziła, że jest tu bezpieczna.

- Wierzę w...

Pssst! - Tym razem głośniej. Bolesny prąd przeszył ciemność.

Lucia wstrzymała oddech i upuściła różaniec. Znowu przerwała modlitwę. Porzucając próby zapobieżenia temu, co nieuniknione, wstała z klęczek i ruszyła bosą po drewnianej podłodze, wyczuwając nadciągające kłopoty, tak pewne, jak huragany nawiedzające wybrzeże Luizjany. Oczyma wyobraźni ujrzała kaplicę parafialną. Zamrugnęła gwałtownie, broniąc się przed szturmem napływających obrazów. Niewyraźna twarz.

Pożółkła suknia.

Powiewający ciemny habit.

Wykrzywione złowroźnie usta.

Trzask zamykających się ciężkich podwoi.

Zakrwawiony krucyfiks, szkarłat skapujący ze świętych ran Chrystusa.

Śmierć, zaintonował głos, przebijając się przez szum w jej głowie.

Wybiegła na korytarz słabo oświetlony nielicznymi kinkietami i weszła na kręte schody. Przesuwając palcami po wytartej poręczy, podążała ścieżką wyznaczoną jej przez los. Białe światło ledwo przenikało przez ciemne szyby witrażowych okien, upał czerwcowego dnia nadal unosił się w nocnym powietrzu.

Dlaczego? - zastanawiała się z przejęciem. Dlaczego teraz? Dlaczego tutaj? Nie chodzi o nic poważnego... To tylko zły sen. To tylko twoje skryzalizowane lęki, nic więcej.

Z sercem bijącym histerycznie skręciła w stronę małej kaplicy znajdującej się za wielką katedrą.

Naglona do pośpiechu panującymi wokół ciemnościami, przecisnęła się przez dwuskrzydłowe drzwi, które z łatwością ustąpiły pod jej naciskiem, i wkroczyła do domu Boga. Kaplica była miejscem światła i dobroci, wybaczenia i odkupienia, ale tej nocy czuła, że czai się tu zło takie mroczne jak dusza samego Szatana.

- Ojcze, błagam, nie opuszczaj mnie. - Zanurzyła palce w święconej wodzie i przeżegnała się, po czym ruszyła nawą. Wizje w jej głowie zbiły się w kulę. Czerwone wotywnie świece rzucały migotliwe cienie na kamienne ściany. Z łukowatego sklepienia nad ołtarzem zwisał wielki krucyfiks. Jezus w agonii strzegł kaplicy.

Lucia instynktownie jeszcze raz zrobiła znak krzyża. Szum w jej głowie zamienił się w pulsowanie.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch - ciemna postać w powiewającym habicie znikła za drzwiami

- Ojcze! - zawołała, sądząc, że osoba uciekająca z kaplicy to ksiądz. Rozległo się trzaśnięcie zamykanych drzwi. - Proszę zaczekać! Ojcze... - Rzuciła się w stronę wyjścia. - Ojcze... Och, nie... -

Odebrało jej głos, bo na posadzce przy pierwszym rzędzie ławek dostrzegła zwiewną gazową tkaninę obrzeżoną koronką.

Co to?

Serce w niej zamarło.

Przerażające, szybko się przesuujące obrazy, które ją obudziły, znów przepływały przez jej umysł. Pożółkła suknia. Okrutne usta.

Zamykające się drzwi i odgłos dzwonów. Tak jak wcześniej.

Powiew zła znowu otarł się o jej kark. Zachwiała się, rzucając się przed siebie, jej bose stopy klapały o zimną kamienną posadzkę, a echo tego dźwięku niesło się w górę, do wysokiego, kopulastego sklepienia.

To nie dzieje się naprawdę!

To niemożliwe!

Potykając się, przerażona tym, co może znaleźć, biegła w stronę ołtarza i wspaniałych, teraz ciemnych witrażowych okien. Krucyfiks wznosił się ku wysokiemu sklepieniu, Syn Boży pogrążony w bólu spoglądał w dół.

- O Boże! - krzyknęła Lucia. - *Dios! Mi Dios!* Dreszcz przerażenia przeszedł jej po plecach. Przed pierwszym rzędem ławek leżała jakaś postać.

- *No, por favor, Jesus. No, no, no!*

Siostrze Lucii zmroziło krew na widok ciała rozciągniętego na wznak w pobliżu chrzcielnicy. Tłumiąc krzyk przerażenia, padła na kolana obok oblubienicy odzianej w delikatną, zniszczoną suknię ślubną. Twarz zakrywał przejrzysty welon.

Lucia poczuła skurcz w żołądku, rozpoznawszy siostrę Camil-łę. Jej twarz była blada, usta zsiniałe, a przez cieniutką koronkę welonu widać było nieruchome, patrzące przed siebie, szeroko otwarte oczy.

- O słodki Jezu... - westchnęła Lucia. Dotknęła jeszcze ciepłego ciała Camilli, szukając pulsu na posiniaczonej szyi. Poczowała gwałtowne mdłości. Ktoś próbował zabić Camillę. O Boże, czy ona jeszcze żyje? Czy słabe drżenie, ledwo wyczuwalne pod stygnącą skórą, to drgnienie pulsu? A może tylko jej się wydaje? - Camillo! - zawołała łamiącym się głosem. - Błagam, nie odchodź. Och, proszę...
Mi Dios!

Dzwony biły, jakby chciały całemu światu obwieścić smutną wiadomość.

Lucia wzniosła oczy do góry.

- Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! - Jej głos dotarł do sklepienia i wrócił wzmocniony pogłosem. - Pomocy!

Do Camilli, która była bliska śmierci, szepnęła:

- Camillo, jestem tu. To ja, Lucia. Trzymaj się, kochanie... Proszę, proszę... To nie twój czas... - Ktoś jednak zdecydował, że Camilla musi umrzeć, a Lucia, mimo że wcale nie chciała się nad tym zastanawiać, pomyślała, że zna tylko jedną osobę, która mogłaby pragnąć śmierci Camilli.

Pospiesznie zmówiła pacierz, modląc się żarliwie, z całej duszy; potem z oczami pełnymi łez pochyliła się do ucha leżącej.

- Nie odchodź. - Skrajem własnej sukni próbowała zatamować krew ciekącą z ran na szyi.

Camilla jednak nawet nie drgnęła. Jej źrenice znieruchomiały. Skóra szarzała. Ciało stygło. Krew przestawała w niej krążyć.

Lucia szalała z rozpacz. Wiedziała, że powinna coś zrobić! Cokolwiek! Błagam, Boże, nie zabieraj jej. Nie teraz... jeszcze nie teraz... Och, Ojczy!

- Pomocy! - krzyknęła ponownie, nie chcąc opuszczać przyjaciółki, która była jej bliska od wielu lat, którą znała przez prawie całe życie. Camilla nie mogła umrzeć... nie mogła...

Umysł Lucii wypełniły obrazy siostry Camilli, pięknej i zgrabnej, o tajemniczym uśmiechu i brwiach, które wyginały się w łuk na znak rozbawienia lub niedowierzania. Kobieta z problemami, tak, zakonnica mająca zbyt wiele tajemnic, którą Lucia znała znacznie wcześniej, nim obie - zresztą niezależnie od siebie - postanowiły wstąpić do klasztoru.

Przez zaciśnięte gardło Lucia wyszeptała:

- To nie twoja pora, Camillo. Słyszysz? Nie odchodź... Nie wolno ci...

Ale ta nieszczęsna, udręczona kobieta już odeszła, dusza opuściła pozbawioną życia skorupę, usunięta z niej przemocą.

- Nie... proszę... Ojciec...

Trzask! Trzasnęły jakieś zamykające się drzwi i znów rozległo się żałosne zawodzenie dzwonów.

Lucia podskoczyła. Ktoś nadchodził! Dobrze.

- Tylko się trzymaj - powiedziała do zsiniałego ciała, choć intuicyjnie wyczuwała, że jest już za późno.

- Nadchodzi pomoc. - Jej słowa zawisły w chłodnym nocnym powietrzu.

Lucia poczuła dreszcz na plecach. Wątpliwości zasnuły jej umysł. Splotła palce z palcami przyjaciółki i zaczęła odmawiać kolejną żarliwą modlitwę. Dzwony na wieży nie przestawały wybijać pełnej godziny.

Czy faktycznie nadchodzi pomoc, czy może wraca ktoś, kto zabił Camillę?

Rozdział 3

Val trochę się już uspokoiła, drzenie w żołądku ustało. Do swojego ulubionego wyszczerbionego kubka naląła gorącej wody, wstawiła go do mikrofalówki i patrzyła, jak pojawiają się ukryte litery. Na dużym kubku, kupionym przez Internet na ABC.com, wyświetlały się postacie z obsady *Zagubionych*, jej niegdyś ulubionego telewizyjnego serialu.

To był gwiazdkowy prezent od Camilli, cenna zdobycz, którą Camilla zdążyła kupić przed ostatnim odcinkiem.

Jeszcze w czasach, gdy siostry nie dopuszczały do tego, by cokolwiek mogło je poróżnić. Nawet Slade Huston.

- Och, Cammie - szepnęła Val i pokręciła głową, wspominając ich nedorzeczne kłótnie. W tej samej chwili odezwał się

brzęczyk mikrofalówki. Trzymając ostrożnie kubek za ucho, Val wyciągnęła z puszkii ostatnią torebkę herbaty i zatopiła liście w prawie wrzącej wodzie.

Choć była już północ, Val wiedziała, że jeszcze długo nie zaśnie. Może nawet w ogóle nie zmruży oka. Jak to zwykle mawiał Slade? Że departament policji trzyma ją nadal w pracy dzięki bezsenności; była pracoholiczką, która z powodu kłopotów ze snem mogła pracować szesnaście godzin bez przerwy, mimo że płacili jej za osiem.

Z drugiej strony Slade znany był z tego, że lubił przesadzać.

Przesada stanowiła element jego kowbojskiego poczucia humoru.

Kręcąc głową, żeby pozbyć się napięcia w karku, Val przymknęła oczy i przez moment znów ujrzała w wyobraźni twarz męża: silną szczękę z cieniem zarostu; przewrotny półuśmieszek, w którym błyskał zębami, których biel odznaczała się na tle ciemnej skóry ogorzałej od wielogodzinnej pracy na ostrym teksańskim słońcu; i oczy błyszczące głębokim, lekko przydymionym błękitem. Slade Huston. Twardy jak stara skóra kowboj skłonny do bitki, cholernie seksowny. Po prostu nic dobrego.

Dlaczego w takim razie w ogóle o nim myśli?

Tej nocy, poprzedniej i jeszcze poprzedniej...

- Idiotka - burknęła Val pod nosem, usuwając z myśli obraz męża. Zauważyła przy okazji, że dzwony nie biją już od kilku minut. Dobrze. Cisza. Spokój.

Ale dziwne przecucie, że coś jest nie tak, pozostało i Val nadal była lekko podenerwowana.

Jutro.

Odwiedzi Camillę jutro i nie będzie się oglądała na tę starą sekutnicę, siostrę Charity, która robiła, co mogła, żeby nie dopuścić do spotkania sióstr. „Przykro mi, ale nie może pani zobaczyć się teraz z siostrą. My tu mamy surowe zasady”, oświadczyła, gdy Val próbowała odwiedzić siostrę bez zapowiedzi. „Zasady, których przestrzegamy, zasady uświęcona przez naszego Ojca”.

Tak, jasne. Val szczerze wątpiła, żeby siostra Charity kiedykolwiek kierowała się dobrymi intencjami.

Jej zdaniem, matka

przełożona miała obsesję na punkcie władzy podsycaną manią wielkości oraz spaczonym podejściem do religii.

To bardzo kiepska kombinacja.

Która jednak nie powstrzyma Val.

Bicie dzwonów ucichło, teraz z zewnątrz dobiegał do kaplicy odgłos czyichś kroków. Lucię, patrzącą na martwą dziewczynę, przechodziły ciarki. Próbowwała się modlić, ale nie mogła przypomnieć sobie słów. Kto to zrobił? Dlaczego? I ta dziwna suknia ślubna, ten naszyjnik z kropli krwi na dekolcie - o co w tym wszystkim chodzi?

Z mocno bijącym sercem Lucia zerknęła w stronę bocznych drzwi, które zamknęły się w chwili, gdy pojawiła się w kaplicy. Nie tylko ona widziała siostrę Camillę rozciągniętą na kamiennej posadzce. Lucia natknęła się w kaplicy albo na oprawcę Camilli, albo na kogoś, kto był świadkiem zbrodni. Strach jeżył jej włoski na karku, gdy się zastanawiała, czy odgłos kroków znamionuje nadchodzącą pomoc, czy raczej powrót mordercy.

Robiąc znak krzyża, odwróciła się ku drzwiom i z całych sił krzyknęła:

- Pomocy!

Boczne drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę. W stronę nawy spieszyła matka przełożona, postawna kobieta w długim czarnym habicie. Jej siwiejące włosy, które zazwyczaj chowała pod welonem, teraz były rozpuszczone i rozczochrane.

- Siostro Lucio! Na Boga, co tu się dzieje? - dopytywała się. Jej suknia szurała po gładkiej posadzce, a twarz z mocno zaciśniętymi ustami wyrażała skrajne niezadowolenie. Przypomniawszy sobie nagle, gdzie się znajduje, stara zakonnica zatrzymała się, żeby przyklęknąć przed krucyfiksem i zrobić znak krzyża na wydatnym biuście.

- To siostra Camilla... - Lucia wstała, nie odrywając jednak wzroku od ciała leżącego na posadzce.

- Co...? Och! - Matka przełożona gwałtownie wciągnęła powietrze. - A niech to wszyscy święci. -

Szeleszcząc szeroką spódnicą, podbiegła do ofiary i padła przy niej na kolana.

- Już za późno. Ona nie żyje.

- Ale jak? Dlaczego? - szeptała siostra Charity, jakby się spodziewała, że ktoś, może nawet sam Pan Bóg udzieli jej odpowiedzi. Zmówiła krótką modlitwę nad ciałem martwej kobiety. -Kto mógł to zrobić? - Nie wiem. Ktoś tu był przede mną - wyjaśniła Lucia, próbując oddzielić fakty od fikcji, obrazy, które były prawdziwe, od tych, które stworzyła jej wyobraźnia. - Widziałam, jak zamykają się drzwi na korytarz. - Tak, tak właśnie było. Wskazała na drzwi prowadzące na tylny korytarz. -1... myślę, że wtedy jeszcze siostra Camilla żyła.

Stara zakonnica dotknęła nadgarstka Camilli, a potem przytknęła ucho do jej nosa, nasłuchując odgłosów życia. Lucia wiedziała, że niczego nie usłyszy.

- A siostra co tu robiła, siostró Lućy? - zapytała matka przełożona, zwracając się do Lucii jej formalnym imieniem, imieniem świętej, które przybrała, składając śluby.

- Ja... coś usłyszałam - skłamała Lucia, podobnie jak wiele razy w przeszłości. Nikt w klasztorze nie znał jej sekretu, nawet jej spowiednik. - Co usłyszałaś? Ze swojego pokoju?

- Tak. Szłam do łazienki.

Matka przełożona, która chyba uzmysłowiła sobie, że ten temat może zaczekać, klęcząc przy martwej Camilli, rozkazała:

- Poszukaj ojca Paula i powiedz, by tu przyszedł.

- A czy nie należałoby wezwać policji?

Stara zakonnica zamknęła oczy, jakby modląc się o cierpliwość.

- Rób, co powiedziałam. Gdy odnajdziesz ojca Paula, idź do mojego biura i zadzwoń na policję.

- Ale policja powinna być zawiadomiona pierwsza...

- Nie sprzeczasz się ze mną! Najlepsze, co możemy zrobić dla siostry Camilli, to modlić się za jej duszę.

A teraz idź! I jeśli któraś z sióstr jeszcze się obudzi, każ jej natychmiast wracać do łóżka! - Wyraz twarzy matki przełożonej mówił, że nie zamierza wysłuchiwać żadnych sprzeciwów, więc Lucia ruszyła do drzwi.

Tych samych, przez które ktoś wychodził, gdy ona wchodziła do kaplicy. Odesłać inne zakonnice do ich pokojów? Raczej do cel. Albo bud. Takich dla psów. O Boże, Lucia wiedziała, że nie jest dobrym materiałem na zakonnice. Nie z nieczystymi myślami, jakie teraz krążyły w jej głowie.

Z bijącym sercem zamknęła za sobą drzwi i rzuciła się szaleńczym biegiem prosto do biura matki przełożonej. Z pewnością zostanie ukarana, trudno, ale Lucia wiedziała, że teraz najważniejsza jest Camilla. Pchnęła drzwi z matowymi szybkami i wpadła do osobistego sanktuarium siostry Charity. Na półkach ustawionych wzdłuż ścian panował wzorowy porządek. Stały tam książki, lichtarze, krucyfiksy, dorodny ama-rylis z ciężkim, białym kielichem oraz fotografia papieża. Lucia obeszła duże biurko, przy którym stanowczo zbyt często siedziała na jednym z krzeseł dla gości, z zaciśniętymi ze strachu dłońmi, podczas gdy matka przełożona ponad powierzchnią lakierowanego orzechowego blatu dawała jej wykład. Wyciągnęła rękę i podniosła ciężką słuchawkę telefonu, czarnego dinozaura, pozostałości po latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych, i zaczęła szybko wykręcać numer, ze zniecierpliwieniem czekając, aż okrągła tarcza wróci na miejsce, by mogła wybrać kolejną cyfrę.

- Dziewięć-jeden-jeden. Jaki jest powód wezwania? - odezwał się kobiecy głos.

- Siostra Camilla nie żyje! Doszło do wypadku w klasztorze St. Marguerite's... nie, w kaplicy, i ona nie żyje! Ja... ja... ja myślę, że została zamordowana. Błagam, przyślijcie tu kogoś szybko! - Drżący głos Lucii z każdym słowem stawał się coraz bardziej piskliwy.

- Proszę podać adres.

Lucia wyrecytowała nazwę ulicy, a potem w odpowiedzi na pytanie podała swoje imię i numer telefonu.

- Proszę opisać, o jaki wypadek chodzi.

- Nie wiem. Może... może ktoś ją udusił. Tak naprawdę wiem tylko, że ona nie żyje i że jest z nią teraz matka przełożona.

- Morderstwo?

- Och, nie wiem! Potrzebujemy pomocy. Biagam, przyslijcie nam jakąś pomoc!
- Już ją wysyłamy. Policjanci już do państwa wyjechali. Proszę się nie rozłączać.
- Nie mogę... Muszę zawiadomić ojca Paula.
- Panno Costa, proszę nie odkładać słuchawki. Proszę nie przerywać połączenia...

Ignorując prośbę dyspozytorki, Lucia rzuciła słuchawką, która zawisała na sznurze, i pędem ruszyła ku tylnym drzwiom biura, tym, których używała wyłącznie siostra Charity.

Serce jej waliło jak młotem, gdy biegła po lśniącej posadzce ciemnymi korytarzami, a potem schodami w dół i przez podwójne drzwi na dziedziniec. Pędem, jakby gonił ją sam Lucyfer, przecięła mokry od deszczu krużganek i minęła fontannę. Szalejący wiatr podrywał z ziemi zeschnięte liście i szarpał jej nocną koszulę.

Lucia nie mogła nikomu powiedzieć, co tak niespodziewanie obudziło ją w środku nocy. Zresztą po co miałyby mówić? Gdyby ktoś usłyszał o głosie, który wydawał polecenia, o bestii, którą w jakiś sposób uwolniła, uznalby ją za wariatkę. Za którą zresztą sama się uważała. Doszła więc do wniosku, że głos odzywający się w jej głowie to sprawa między nią a Bogiem. I nikogo więcej. Nawet nie ojca Paula ani ojca Franka. Pewnie uznaliby, że opętał ją diabeł. I może nawet tak było, ale ona nie chciała ściągać na siebie czyjejkolwiek uwagi.

Tu nie chodzi o ciebie! Camilla nie żyje! Ktoś ją zabił i zostawił jej martwe ciało w kaplicy.

A głos w jakiś sposób o tym wiedział. I ją obudził.

Przez kolejne drzwi i pod ociekającym deszczem portykiem dobiegła do mieszkania ojca Paula i zaczęła desperacko walić w drzwi.

- Ojcze! - krzyczała, drżąc w bladej poświacie rzucanej przez żarówkę na ganku. - Błagam! Ojcze! Wydarzył się... wypadek!

Przez szum deszczu usłyszała odgłos kroków za plecami, szuranie skórzanych podeszew o mokre kamienie. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch, ciemną postać przechodzącą przez ogrodową

furtkę. Potem zobaczyła wysokiego mężczyznę o bladej i spiętej twarzy, z zapadniętymi oczami ledwie widocznymi w ciemności. Wstrzymała oddech, cofnęła się o krok i omal się nie przewróciła, zaplątana w skraj własnej koszuli.

- Ojciec Frank - szepnęła, rozpoznając młodszego z księży. Przycisnęła ręce do piersi, bo nagle zdała sobie sprawę, że zimny deszcz zmoczył kompletnie jej bawełnianą koszulę, która teraz przywierała do jej ciała, niczego nie ukrywając. - Wydarzył się wypadek albo... albo... - Z trudem przełknęła ślinę, pamiętając o sekretach, które powierzyła jej siostra Camilla. Sekretach o tym wysokim mężczyźnie, który stał teraz przed nią. - Chodzi o siostrę Camille, w kaplicy... Ona... ona... - I wtedy spostrzegła na sutannie ojca Franka krew ściekającą czerwonymi strużkami na gładkie, lśniące kamienie na dróżce. - Ona nie żyje - dokończył za nią ojciec Frank ochryłym głosem, ledwie słyszalnym przez tłukący w rynny deszcz. Jego spojrzenie wyrażało cierpienie. - I to przeze mnie. Boże, wybacz, ale to wszystko przeze mnie.

Rozdział 4

Jeszcze na nogach? - Głos Frei wyrwał Val z rozmyślań.

- Jak zawsze. - Val postanowiła zapomnieć o niepokojach dotyczących Camilli i wrzuciwszy torebkę herbaty do zlewu, obejrzała się przez ramię na sklepione przejście prowadzące do głównego budynku. Po kupnie starego zajazdu spodobało się jej nieduże mieszkanie urządzone w dawnej stajni; Freya zajęła usytuowane tuż za kuchnią pokoje motelu. Teraz, z głową w poskręcanych, rudych lokach i twarzą pokrytą piegami, zjawiała się u Val w krótkich spodenkach i obszernym T-shircie. W dłoniach trzymała filiżankę pełną bitej śmietany, której było tyle, że niemal wylewała się

z brzegów. Jakimś cudem zdążyła jednak ją zlizać, zanim czapa białej piany spadła na popękane linoleum. Wysoka Freya zachowała gibką sylwetkę gimnastyczki, jaką miała w czasach licealnych. A jej metabolizm był nie gorszy od przemiany materii dziewczyn dwadzieścia lat od niej młodszych.

- Wyglądasz strasznie - zauważyła.

- Dzięki.

- Naprawdę powinnaś spróbować się przespać.

Gdyby tylko mogła. Val odwróciła się i oparła biodrem o blat.

- Bezsensowność to my. - Kłopoty ze snem stanowiły wspólny problem obu przyjaciółek.

Freya uniosła swoją filiżankę.

- Moja jest bezkofeinowa. Co wcale nie znaczy, że uda mi się szybko zasnąć.

- Ja też piję bezkofeinowy napar. Coś, co się nazywa Spokój. - Val wypła łyk na próbę. Gorąca woda o smaku imbirowo-rumiankowym parzyła czubek języka. - Rzekomo pomaga się zrelaksować... Ale zaczekaj, sprawdzę, jak to naprawdę powinno działać. - Sięgnęła po puste opakowanie i zaczęła czytać tekst na etykiecie. - O tak, mam: „Unikalny skład Spokoju spowoduje, że wraz z każdym smakowitym łykiem opuszczając cię będą zmartwienia i troski tego świata. Ta mieszanka rumianku z dodatkiem imbiru i jaśminu pomoże ci się zrelaksować i wyciszyć”.

- Jasne - zakpiła Freya, marszcząc nos. - Wyciszyć? Nie ma szans. Zresztą ta herbatka to chyba wyjątkowe paskudztwo.

- Nie jest zła, choć smak może wydać się nieciekawym fanom potrójnego karmelowo-czekoladowego macchiato popijanego red bullem.

- Bardzo zabawne. - Freya, wspinając się na jeden z dwóch stołków ustawionych przy barowym stoliku Val, nie umiała powstrzymać uśmiechu.

Przyjaciółka Val od ósmej klasy, zdołała ją przekonać, by razem zainwestowały fundusze w ośmiopokojowy motel położony w okręgu Garden, kilka przecznic od St. Charles Avenue. Noszący nazwę Briarstone House, stary dom w stylu georgiańskim nie został

zbyt uszkodzony podczas huraganu Katrina, niemniej właściciele, wujostwo Frei, uznali, że nie chcą więcej być świadkami takich straszliwych kataklizmów. Prawdę mówiąc, starsi państwo nie chcieli oglądać żadnych wiatrów, nawet tych najsłabszych.

Dlatego pragnęli wynieść się z Gulf Coast. I to jak najszybciej.

Freya zaś chciała się tam przeprowadzić.

Odkupiła więc dom od wuja Blaira i ciotki Susie, którzy pozostawiając większość mebli, zapakowali się w przyczepę kempingową i odjechali w stronę zachodzącego słońca w poszukiwaniu suchego klimatu, nowych przyjaciół, z którymi zamierzali spędzać długie wieczory na grze w karty i popijaniu koktajli z martini.

Dla Val, której nerwy ostatnimi czasy były mocno nadszarpnięte, była to wymarzona propozycja. Jej życie osobiste znajdowało się na rozdrożu, gdy Freya zaproponowała, aby zostały współniczkami. Nie musiała przekonywać jej zbyt długo, że zainwestowanie w stary, trzeszczący dom - o którym chodziły słuchy, że w nim starszy - to doskonały pomysł. Tym bardziej że zajazd znajdował się dwa kilometry w linii prostej od Camilli i klasztoru St. Marguerite's.

Ponieważ Freya po zerwaniu ze swoim chłopakiem uznała, że potrzebny jej współnik, napisała do Val, podając wszystkie szczegóły. I Val skorzystała z okazji. W ten sposób zostały współniczkami.

A reszta, jak mówią, to już historia.

Często bardzo zła historia.

I teraz, słuchając chlupotu wody płynącej rynnami i wspominając dźwięk umilkłych już dzwonów, Val zastanawiała się, czy nie popełniła błędu. Kolejnego. Uczucie dziwnego niepokoju, jakie pojawiło się wcześniej, nadal jej towarzyszyło. Otrząsnąwszy się z niemiłego nastroju, spojrzała w okno, ale w panujących ciemnościach nie mogła dojrzeć kościelnej wieży.

- Okej, gadaj. Coś jest nie tak, prawda? - zapytała Freya, marszcząc brwi. - Albo nie, zapomnij, że pytałam. Zawsze coś jest nie tak. Pozwól, że zgadnę... chodzi o Slade'a.

- Nie, nie chodzi o Slade'a - zaprzeczyła stanowczo Val.

Freya jednak nie dała się zwieść, tylko wzruszyła ramionami, mówiąc:

- Skoro tak mówisz.

- Uwierz mi, to nie Slade.

- Zawsze chodzi o niego. Powinniśmy o tym pogadać.

- Nie ma mowy. - Val skrzywiła się i spojrzała na przyjaciółkę groźnie, jakby chciała powiedzieć: Nie zagłębiajmy się w to.

- Powinnaś wiedzieć, że...

- Już poruszałyśmy ten temat i wiesz, że jeśli nie muszę, to nie chcę o nim myśleć ani rozmawiać. A w sądzie będzie to jednak konieczne.

- Ale...

- Mówię poważnie. Rozmowa o Siadzie jest zakazana. - Naprawdę nie miała ochoty dyskutować o swoim eks. A zwłaszcza nie teraz, gdy była wytrącona z równowagi.

Freya zrobiła minę, jakby chciała coś dodać, jednak po namyśle zrezygnowała.

- W porządku, tylko pamiętaj, że próbowałam ci pomóc...

- Okej.

- Czy on zrobił coś, o czym nie wiem?

- Prawdopodobnie. - Val wzruszyła ramionami. - Kto to może wiedzieć i kogo to obchodzi?

Freya otworzyła usta, lecz nim zdążyła znów wymówić imię Slade'a, Val powiedziała:

- Chodzi o Cammie. Nie miałam od niej wiadomości od ponad tygodnia. - Stare belki domu zaskrzypiały nad ich głowami i przez sekundę Val miała wrażenie, że słyszy czyjeś kroki. Znowu jakiś duch. Freya uważała, że w zajeździe straszy; Val wcale tak nie myślała.

- Słyszałaś? - spytała Freya. W przeciwieństwie do przyjaciółki, wierzyła we wszystkie nadnaturalne zjawiska. - Dom osiada.

- Zdążył to zrobić dwieście lat temu. Val przewróciła oczami.

Freya zrozumiała przesłanie.

- Okej, okej. Martwisz się, bo nie masz wieści od Cammie. I co z tego? Ja nie rozmawiam z Sarą tygodniami, a przecież to moja bliźniaczka. Jeśli wierzyć literaturze na temat bliźniąt, powinniśmy nadawać na tych samych falach i mieć ze sobą specjalną - Freya zrobiła palcami w powietrzu znak cudzysłowu - duchową łączność. - Znów wywróciła oczami i wypięła łyk herbaty. - Podobno bliźnięta są ze sobą tak mocno związane poprzez wspólny pobyt w łonie matki. Ale Sara chyba nawet nie słyszała o tej teorii.

Val przesunęła kciukiem po wyszczerbionym brzegu kubka.

- Cammie jest inna.

- Cammie prawdopodobnie jest bardzo zajęta. No wiesz, przecież musi robić wszystko, co należy do zakonnicy. Modli się, odprawia pokutę, spełnia dobre uczynki i wiele, wiele innych rzeczy. - Freya pomachała palcami wolnej dłoni, pokazując, że Cammie ma tysiące zajęć, z powodu których brak jej czasu na kontaktowanie się z siostrą. - A może złożyła śluby milczenia.

- Cammie? - zdumiała się Val. Towarzyska, wygadana, zalotna, popularna Camilla Renard? - Ty chyba pamiętasz, jaka ona była, co? - O tak. - Freya przygryzła usta. - Zawsze miała jakieś kłopoty.

- I to się nie zmieniło - oświadczyła Val, czując, że powraca uczucie niepokoju.

- Wiem i w tym cały problem, prawda? Cammie po prostu nie nadaje się na zakonnice. - Freya znów łyknęła herbaty. - Tak jak ty nie nadawałaś się na policjantkę.

Val poczuła w sercu lekkie ukłucie, jak zawsze, gdy rozmyślała o swojej złamanej karierze. Miała ochotę zaprotestować i zacząć się bronić, powiedzieć, że była dobrą policjantką, ale jej wysiłki nie miałyby sensu. Silny powiew wiatru wpadł przez otwarte okno, poruszając zasłonami, jakby przypominał, że sama wszystko popsuła.

- Cóż... Przecież akurat teraz nie muszę się o to martwić, prawda?

- Hej, nie miałam na myśli tego, że...

- Wiem, wiem. - Val machnęła ręką w powietrzu, jakby łowiąc leniwą muchę. - Nie przejmuj się. - Jednak temat był bolesny

i zawsze tkwił gdzieś w zakamarkach jej umysłu, nie dając w nocy zasnąć. Val, zamykając okno, ujrzała w szybie swoje rozmyte odbicie; blada cera, wysokie kości policzkowe i szerokie usta z opuszczonymi kącikami oraz smutne piwne oczy. Kędzierzawe kasztanowate włosy miała związane w kucyk. Wyglądała strasznie. I to zarówno jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, jak i o stan ducha. Gdy mocniej domknęła okno, jej odbicie zdeformowały strugi deszczu. - Poza tym miałaś rację. Faktycznie wyglądam okropnie.

- Ale to się zmieni, jeśli tylko trochę się prześpisz. Val miała co do tego wątpliwości.

- Czy ktoś ci już mówił, że za bardzo się o wszystko martwisz?

- Tylko ty.

- Więc powinnaś to potraktować jak ewangelię. Przestań rozmyślać o Cammie, okej? Ona jest teraz zajęta, stara się za wszelką cenę zostać zakonnica. Potem będzie inaczej. - Freya uśmiechnęła się, unosząc kącik ust. - I tak jestem zdumiona, że jeszcze jej nie wyrzucili.

Gdybyś tylko wiedziała, pomyślała Valerie, popijając swoją herbatkę i wyglądając przez okno w noc; iglice St. Marguerite's okrywał mrok.

O Boże, Freya, gdybyś wiedziała.

Slade Huston, mrużąc oczy, wpatrywał się w ciemność. Opony jego starego pick-upa piszczały na śliskiej nawierzchni, a wycieraczki pracowała na najwyższym biegu, żeby nadażyć ze ścieraniem z szyby kropel ulewnego deszczu. Mijał granicę stanu, wjeżdżając właśnie do Luizjany. Jego stary pies Bo, ogar o niejasnym rodowodzie, siedział obok na siedzeniu pasażera z nosem przyciśniętym do szyby. Co jakiś czas spoglądał w stronę kierowcy, mając tak jak i Slade nadzieję, że wreszcie uda się rozbić tego starego gruchota, którym podróżowali.

- Nie dzisiaj, chłopcze - mruknął Slade, manipulując przy radiu, które trzeszczało od zakłóceń. Znalazł stację nadającą piosenkę starego dobrego Johnny'ego Casha, jednak słowa piosenki nie zdołały oderwać go od rozmyślania o powodach, dla

których mknął samochodem nocą w ulewnym deszczu. To była misja idioty, przynajmniej zdaniem jego braci, Traska i Zane'a, którzy mu to powtarzali, kiedy tuż przed zapadnięciem zmierzchu pakował forda.

- Kompletnie nie pojmuję, dlaczego chcesz mieć coś wspólnego z tą kobietą - mruzczał pod nosem Trask, średni brat. - Będą z tego tylko kolejne kłopoty.

- Całe mnóstwo kłopotów - dodał Zane, najmłodszy z braci. Slade, który nikogo nie prosił o rady, nie przestawał pakować

do pick-upa śpiwora i worka z ciuchami. Na koniec gwizdnął na Bo.

- Zamierzam tylko wyjaśnić kilka spraw i zaraz wracam -zapowiedział, podczas gdy pies, kulejący i z jednym obgryzionym uchem, wskoczył do szoferki. Slade zatrzasnął za sobą drzwi, czując przy tym na plecach wściekłe spojrzenia braci.

- Niedługo, to znaczy kiedy? - spytał Zane.

- Jeszcze nie wiem. To zależy.

- Tylko nie bądź głupi - poradził Trask.

- Na to chyba już za późno? - Slade posłał braciom lekki uśmiezek, żeby nieco rozluźnić atmosferę, ale jego żart nie znalazł odzewu. Trask i Zane nawet nie drgnęli, obaj tylko stali z mocno zaciśniętymi ustami. Świetnie. Slade nie był tym zbytnio zaskoczony. Żaden z braci nie przepadał za Valerie przed ślubem, co później też się nie zmieniło. Siadając za kierownicą, postanowił dłużej się nad tym nie zastanawiać. Przez otwarte okno słyszał, że świerszcze rozpoczęły już swój wieczorny koncert.

Wzgórza na zachodzie skąpane były w błyszczącej pomarańczowożółtej poświacie. Trask nie zamierzał jednak dać za wygraną. - Zamierzasz ją tu ze sobą sprowadzić?

- Valerie? - spytał tylko po to, żeby rozzłościć brata. No bo o kogo innego mogło chodzić? - Jeszcze nie wiem.

- Jeśli znów się z nią spikniesz - mruknął Trask - to okażesz się jeszcze większym głupcem, niż myślałem.

- Ona się na to nie zgodzi, nawet gdybym ją poprosił. - To była prawda.
- Ta kobieta to nic dobrego - przypomniał mu Zane.
- Jakbym nie wiedział. - Mimo to uruchomił silnik zardzewiałego forda i wykręcił z ręcznic na żwirowej ścieżce, nie oglądając się na zniszczony dwupiętrowy farmerski dom, w którym się wychował. Potem, nie tracąc czasu na przyglądanie się, jak zachodzące słońce maluje ognistą łunę na niebie za stodołami ze skrzypiącymi kurkami w kształcie dzikich mustangów na dachach, wcisnął gaz i ruszył w dół pokrytą koleinami gruntową drogą. Po jakimś czasie, słysząc, że wyschnięte osty i wysokie trawy drapią podbrzusze pick-upa, wyjechał na pola pełne pasącego się bydła i koni, które on i bracia odziedziczyli po ojcu.

Gdy mijał stojący samotnie stary nieczynny młyn ze znieruchomiałymi skrzydłami, ciemniejące niebo przeciął jastrząb z czerwonym ogonem. Dobry znak. Tak czy nie?

Pstryknął włącznik radia i minawszy poobijaną skrzynkę pocztową, skręcił na drogę okrężną. Przez małe miasteczko Bed Luck dotarł do San Antonio i tam wjechał na 1-10, asfaltową wstęgę prowadzącą na wschód. Zostawił braci, Teksas i słońce daleko za sobą.

W pogoni za kobietą, która go nie chciała.

Żeby nie zapomnieć o tym fakcie, w schowku na rękawiczki wiozł dokumenty rozwodowe.

Rozdział 5

Telefon rozdzwonił się krótko po północy.

Montoya z jękiem przewrócił się na drugi bok i sięgnął po komórkę. Mówił ścisłym głosem, żeby nie obudzić żony, Ab-by, zakopanej pod kołdrą. W końcu wyśliznął się z łóżka, tak jak to robił sto razy wcześniej. Był detektywem zatrudnionym w de-

partamencie nowoorleańskiej policji. Dziwne godziny i nocne telefony stanowiły część jego pracy.

- Co znowu? - spytała Abby, kiedy się rozłączył. Jej głos był stłumiony, dopóki nie wygrzebała się spod kołdry, odgarniając z oczu rozczochrane włosy.

- Martwa kobieta. Zakonnica. Prawdopodobnie morderstwo. Abby usiadła, oparła się o poduszkę i pstryknęła światło.

- Zakonnica?

- Tak twierdzi dyspozytorka, która odebrała wezwanie. -Montoya włożył na siebie wytarte dżinsy, które wieczorem rzucił na brzeg łóżka, a potem poszukał w szafie czystego T-shirta i wciągnął go przez głowę.

- Dlaczego ktoś miałby zabijać zakonnice? - Abby znów chciała strząsnąć z twarzy pasma włosów, ale niesforne loki z powrotem opadały.

- Nie wiem, ale się dowiem. - Uśmiechnął się do żony ponuro, myśląc o innym zabójstwie, w którym też zginęła zakonnica, jego ciotka. - Za to właśnie płacą mi tę wielką górę kasy.

- Jasne. - Abby, wsuwając włosy za uszy, wcale się nie uśmiechała. - Tylko bądź ostrożny.

- Zawsze jestem. - Ruszył ku drzwiom.

- Hej! Nie zapomniałeś o czymś? - zawołała za nim Abby, nadstawiając policzek i domagając się całusa.

- Och, no tak! - Wrócił do szafy, odszukał zamkniętą na klucz skrzynkę na broń i wyjął z niej pistolet. Zapiął kaburę, włożył skórzaną kurtkę i znów ruszył ku wyjściu.

- Kiedy chcesz, potrafisz być okropnym sukinsynem - obruszyła się Abby.

- Zawsze chcę.

- Wiem. - W oczach Abby pojawił się wesoły błysk, a kasz-tanowatoblond loki okalające twarz wyglądały cholernie seksownie. - Jesteś teraz ojcem, więc... nie ryzykuj niepotrzebnie, dobrze? Chcę, żeby Benjamin znał swojego tatusia.

Wetknął glocka na swoje miejsce, potem przeszedł przez pokój i pchnął żonę na łóżko.

- Ja też tego chcę. - Położył się na Abby, pocałował ją ostro, językiem smakując wewnątrz jej ust, dłońmi sięgając do pośladków. - Czekał na mnie - szepnął jej do ucha.

- Nie ma mowy, detektywie - odparła, ale swoim szczególnym żartobliwym tonem.

Montoya musiał szybko pomyśleć o czekającym go śledztwie, inaczej nie zapanowałby nad uciskiem w podbrzuszu i twardą jak skała erekcją. Żona zawsze tak na niego działała. Wystarczyło, że w ten specjalny sposób uniosła brwi, a on już płonął. Chyba wpadł na całego.

„Usidlony przez cipkę”, powtarzał na okrągło jego brat Cruz.

W tym wypadku miał rację.

- Wrócę, jak tylko będę mógł. Przygotuj się.

- O rany, Montoya, oszczędź sobie - odcięła się Abby, znów zakopując się w pościeli i przykrywając kasztanowate loki poduszką. - I cokolwiek zamierzasz robić, pamiętaj, żebyś nie obudził Benjamina, okej? Inaczej będę musiała cię zabić. - Jej głos znów był stłumiony, ale Montoya zrozumiał przesłanie. Zresztą wcale nie zamierzał budzić ich trzymiesięcznego synka.

Uśmiechnięty wyszedł z pokoju, omal przy tym nie przewracając o Hersheya, ich wielkiego labradora o sierści koloru czekolady, który zawsze czatował przy drzwiach ich sypialni i który teraz, skrobiąc podłogę pazurami, poderwał się na potężne łapska. Blokując sobą cały korytarz, walił mocno ogonem w starą szafkę stojącą pod ścianą. Jak zawsze, gotów był na wszystko, a zwłaszcza na zajęcie miejsca Montoi w łóżku.

- Możesz o tym zapomnieć, wiesz? Ona musi się wyspać, bo inaczej nie będzie piękna.

- Słyszałam! - zawołała Abby przez otwarte drzwi. Hershey potraktował to zawołanie jako zachętę i pogalopował

do sypialni. Niewielki, ciemny cień, kot Ansel, zeskoczył z szafki i udał się za psem.

- Wspaniale. - Montoya szamotał się z butami. Nie miał czasu przywołać Hersheya, ale pomyślał, że Abby poradzi sobie jakoś ze zwierzakami.

W napływającej z zewnątrz niebieskawej poświacie nocnego miasta przeszedł przez kuchnię i salon do drzwi frontowych. Noc była wilgotna, parna. W powietrzu wisiał ciężki zapach leniwie płynącej Missisipi. Gęsty deszcz zalewał ulice. Montoya przebiegł przez grząski ogródek przed domem do podjazdu i wśliznął się na znajome skórzane siedzenie swojego mustanga. Zamknął drzwi, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Silnik ożył.

Zastanawiając się, co takiego mogło się wydarzyć w konserwatywnym klasztorze, włączył wycieraczki i ruszył. Bez syreny. Bez świateł. Tylko wycieraczki klaskały o szybę, ścierając z niej deszcz. Z radia wydobywał się znajomy głos doktor Sam, psycholożki udzielającej nocą porad na antenie. Marszcząc czoło, Montoya pokonywał dobrze znane ulice, przypominając sobie inne dochodzenie, w którym prowadząca program, Samantha Walker, była celem przestępcy. Na szczęście doktor Sam żyła i mogła nadal pomagać dzwoniącym do niej słuchaczom.

W tę wilgotną, parną noc ruch uliczny był nieduży. Gdy Montoya wreszcie dotarł do katedry St. Marguerite's, zastał tam zaparkowane na poboczu migoczące światłami wozy patrolowe. Kolidy podjazd zajmował wóz strażacki, a pod jednym z otaczających katedrę potężnych dębów stała karetka na jałowym biegu.

Montoya zaparkował za jednym z wozów policyjnych i ruszył w stronę katedry, wysokiej budowli ze strzelistymi wieżami, dzwonnica i witrażowymi oknami, w których odbijały się stroboskopowe czerwono-niebieskie światła zaparkowanych pojazdów. Umieszczone na rynnach gargulce, mroczne stwory podobne do smoków, spoglądały złymi ślepiami na poświęconą ziemię. Maszkarony stanowiły ogromny kontrast z wielkim krzyżem na najwyższej z kościelnych wież.

Montoya zatrzymał się przed dużymi dwuskrzydłowymi drzwiami i tam zarejestrował się na miejscu przestępstwa, a następnie zapytał dowodzącego funkcjonariusza o drogę. Potem szybko obszedł katedrę i dotarłszy do bocznych drzwi, ruszył krótkim korytarzem prowadzącym do mniejszej z kaplic, wciśniętej pomiędzy katedrę a coś w rodzaju ogrodu.

Gdy wszedł do środka, ogarnęła go fala nostalgii; wrócił pamięcią do czasów dzieciństwa, gdy matka w każdą niedzielę prowadziła go wraz z rodzeństwem na mszę. Wtedy, tak jak teraz, przestronne wnętrza z witrażowymi oknami wypełniał zapach kadzideł, płonących świec i szmer modlitw. Montoya zauważył policjantów rozmawiających z grupką osób stojących na tyłach kaplicy, ale nie podszedł do nich, ponieważ nagle przed ołtarzem dostrzegł Ricka Bentza, swojego wieloletniego partnera.

Bentz był od niego starszy prawie piętnaście lat, a więc niemal o całe pokolenie. Ze swą drugą żoną miał roczne dziecko, z którego powodu był wyraźnie niedospany, o czym świadczyły głębokie zmarszczki na jego szerokiej twarzy i siwizna we włosach. Nadal jeszcze kulał po ostatnim wypadku, ale poza tym miał sylwetkę boksera wagi ciężkiej. Ubrany w dżinsy, T-shirt i kurtkę stał i ponurym wzrokiem wpatrywał się w jakiś kształt leżący przed ołtarzem.

Montoya ruszył ku niemu nawą, a gdy się zbliżył, ujrzał ofiarę leżącą na ziemi przed pierwszym rzędem ławek. Twarz kobiety zasłaniał obrus ściągnięty z ołtarza, na kamiennej posadzce widać było tylko ciemne, splątane pasma włosów. Ciało wyglądało tak, jakby je ktoś upozował. Dłonie złożone na piersiach, palce zaciśnięte na drewnianym różańcu. Zakonnica ubrana była w pożółkłą, podartą suknię ślubną, miała bosc stopy i srebrną obrączkę na serdecznym palcu lewej ręki.

- Kto to? - spytał.

- Jedna z tutejszych zakonnice - wyjaśnił Bentz. - Siostra Camilla.

- Zabita tutaj? Przed ołtarzem? Niczym ofiarna owieczka.

- Tak mi się zdaje. Na jej ciele są ślady walki. Zadrapania na stopach, złamany paznokieć. - Bentz wskazał na prawą rękę zmarłej. - Mam nadzieję, że podrapała napastnika i pod jej paznokciami znajdziemy skórę tego sukinsyna.

Czyżby aż tak im się poszczęściło, że będą mieli próbki DNA zabójcy? Montoya w to wątpił.

- Jeszcze nie szukaliśmy innego miejsca, w którym mogło dojść do zabójstwa. - Bentz rozejrzał się po kaplicy. - Do cholery, to przecież ogromny teren.

I zupełnie niepasujący do morderstwa, pomyślał Montoya, spoglądając na wielki krucyfiks wznoszący się nad ołtarzem.

- Katedra, klasztor i teren wokół zajmują większy obszar niż miejski kwartał - zauważył Bentz, jeszcze bardziej marszcząc czoło.

- Otaczają go mury. Jest niedostępny z zewnątrz, prawda?

- Wszystko zamykane jest na noc, nawet główne wejście do katedry. Zabójca albo wśliznął się tu przed zamknięciem, albo należy do tutejszej społeczności.

Montoya spojrział ponuro na zwłoki. Martwa kobieta była szczupła, ręce miała skrzyżowane, palce zaciśnięte na różańcu. - Mamy już zdjęcia?

- Tak.

Montoya włożył lateksowe rękawiczki, schylił się i uniósł cienką tkaninę. Ujrzał piękne, nieruchome oczy martwej kobiety. Kobiety, którą znał. Blisko. Sukinsyn.

Zaskoczony, wciągnął gwałtownie powietrze w płuca. Krew w nim zastygła. Przez chwilę myślał, że wymiotuje. - Powiedziałeś, że to siostra Camilla?

- Tak. Tak ją nazwała matka przełożona. Naprawdę ta kobieta nazywa się...

- Camilla Renard. - Montoya na sekundę zacisnął powieki. Musiał się uspokoić. Jak do tego doszło? Dlaczego? Nawet nie wiedział, że ona jest w mieście. Z trudem zmusił się, by ponownie otworzyć oczy. Znow ujrzał bladą twarz Cammie i jej szklane spojrzenie.

- A niech to jasna cholera - szepnął przez zaciśnięte zęby.

- Znasz ją?

- Znałem. Dawno temu. - Błysk wspomnienia, o którym wolałby nie pamiętać, przeszył nagle jego umysł. Camilla Renard. Pełna życia. Wesoła. I taka... kapryśna. Ostatnia kobieta, którą by podejrzewał o to, że zostanie zakonnica. - Chodziłem z nią do liceum.

- O cho... rany boskie. - Oczy Bentza pociemniały od współczucia. - Tyłko nie mów, że była twoją dziewczyną.

Montoya mocno zacisnął szczęki.

- Okej, nie powiem.

- Ale była.

- W liceum.

Była jego dziewczyną dość długo - w każdym razie zdążył się z nią przespać, z nim właśnie straciła dziewictwo.

Rozdział 6

Siostra Maura wśliznęła się pod cienką kołdrę i odłożyła okulary na nocny stolik, o mały włos nie strącając przy tym na ziemię stosu książek, które ustawiła pod wiszącym na ścianie kinkietem.

Twardy, stary i pofałdowany jak górskie wzniesienia materac zatrzeszczał pod jej ciężarem.

Przysunęła do siebie modlitewnik, który trzymała pod kołdrą, ale nie zamknęła oczu.

Przez małe okno do pokoju wpływało błyskające niebiesko-czerwone światło dochodzące od zaparkowanych na zewnątrz policyjnych wozów. Białe ściany i mały krucyfiks zawieszony nad drzwiami były teraz zabarwione zmieniającymi się kolorami. Serce siostry Maury zdawało się bić w rytm błyskających równomiernie świateł. I dobrze.

Maura uśmiechnęła się w mroku i przesunęła palcami po kartach zniszczonego modlitewnika, ale się nie modliła, nie zwracała się do Boga jednym z psalmów lub hymnów. Nie teraz, gdy tak wiele się działo, gdy panowało takie zamieszanie.

Stłumione głosy szeptały na korytarzach i pod jej drzwiami.

Była podekscytowana i nie mogła nad tym zapanować.

Powtarzała sobie, że musi zostać w łóżku, udawać śpiącą, a jeśli ktoś ją widział, powiedzieć, że była w toalecie, a jednocześnie

walczyła z chęcią opuszczenia łóżka. Mogła nawet powiedzieć, że musiała wstać z powodu okresu; i tak nikt tego nie sprawdzi. A może jednak?

Czasami się zastanawiała, czy ta stara jędra rodem ze średniowiecza nie zapisuje przypadkiem terminów miesiączek dziewcząt. Maury by to nie zaskoczyło. W końcu w tym miejscu panował surowy reżim, którego siostra Charity przestrzegała, jakby został nadany przez samego Boga.

Ale to przecież absurd.

Czy Boga obchodzi, o której ktoś się budzi? O której je śniadanie? Kiedy pości? Maura się z tym nie zgadzała. Ani z tym, że Boga obchodziło, jakie książki czyta, jak się ubiera albo czy dokładnie sprzątnęła swój pokój. Po prostu nie widziała Boga w roli kontrolera lub nadzorcy.

Natomiast tak postrzegała Go matka przełożona.

Co było ogromnie dokuczliwe.

Ale nie dla Maury; a przynajmniej już niedługo.

Klasztor St. Marguerite's był tylko kamieniem milowym na drodze do wyznaczonego celu. Etapem, który Maura wkrótce przekroczy. Musi tylko zachować cierpliwość i jeszcze przez jakiś czas udawać posłuszeństwo.

Rozzłoszczona, zrzuciła z siebie sztywną, białą kołdrę, przełożyła niesforny warkocz na plecy i wyśliznęła się z łóżka. Podłoga pod jej bosymi stopami była chłodna i gładka. Zerknąwszy w stronę niezamkniętych drzwi, przeszła na palcach do okna, żeby wyrzeć na zewnątrz. Jej pokój był narożny, więc wspiąwszy się na palce, mogła przez okno z jednej strony ponad dachem krużganka zobaczyć ogród, a z drugiej, jeśli wykręciła mocno szyję w kierunku klasztoru, za grubymi murami ulicę, po której teraz przejeżdżał wóz transmisyjny omiatający światłami mokry asfalt.

Maura uśmiechnęła się w ciemności i w tej samej chwili znów odezwały się kościelne dzwony.

Może teraz nareszcie wyjdą na jaw grzechy klasztoru.

Montoya, spoglądając na bladą twarz Camilli Renard, czuł ucisk w gardle. Nadal piękna, nawet po śmierci, miała skórę gładką, bez jednej zmarszczki, jej nieruchome oczy wpatrywały się w przestrzeń, niczego nie widząc. I już nigdy niczego nie zobaczą.

Mocno zacisnął zęby. Poczł skurcz żołądka, gdy przypomniał sobie Camillę z czasów szkolnych.

Pełną życia.

Rozrywkową.

Sprytną.

I gorącą.

- Cholera - szepnął pod nosem. Co tu się wydarzyło? Starał się skupić na obecnej sytuacji, próbując odsunąć wdzierający się do świadomości obraz Camilli jako nastolatki.

- Hej! - Bentz uważnie mu się przyglądał. - Wszystko w porządku?

- Tak - skłamał. - Co tu się, do diabła, stało? - Oderwał wzrok od twarzy zmarłej i spojrzał na zakrwawiony dekolt postrzępionej sukni. Widniejące na nim ciemnoszkarłatne krople układały się w kształt naszyjnika.

- Jeszcze nie wiem - odparł Bentz, którego wzrok był twardy i badawczy. - Posłuchaj, Montoya, jeśli ją znałeś, nie powinieneś brać udziału w śledztwie.

Zignorował sugestię kolegi. Na razie zajmował się sprawą. I nie wycofa się z niej, dopóki nie nakaże mu tego kapitan, prokurator lub ktoś wyższy rangą od jego partnera.

- Trudno mi o niej myśleć jak o zakonniczy. - Przesunął drżącą dłonią po włosach.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Tak, tak, ale nic się nie martw, nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić śledztwu. - Montoya nadal wpatrywał się w zastygłe ciało Camilli, zastanawiając się, czy znała swojego zabójcę. Czy spodziewała się ataku? A może napastnik był kimś obcym?

Nie po raz pierwszy znajdował się na miejscu zbrodni popełnionej na członkini klasztoru; jego ciotka była maltretowana przez maniaka, który ją w końcu zamordował. Montoya prowa-

dził śledztwo w tej sprawie, przy tej okazji zresztą poznał swoją żonę.

Po karku prześlizgnął mu się lodowaty palec déjà vu. Zerknął na Bentza, który krzywił się ponuro, jak zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał.

Odezwały się kościelne dzwony.

Pierwsza w nocy.

Montoya przykucnął przy ofierze, spojrzął na jej wciąż jeszcze piękną twarz, a później na zakrwawione koronki przy dekolcie sukni.

- O co chodzi z tą ślubną suknią?

- Jeszcze nie wiem.

Wskazał na szkarłatne plamki wokół obrzeżonego koronką dekoltu.

- Krew ofiary? Morderca poświęcił czas, żeby skropić krwią suknię?

- Na to wygląda - potwierdził Bentz.

- Z jakim szaleńcem mamy tu do czynienia?

- Chorym. Zboczonym. - Bentz był wyraźnie zmęczony; zmarszczki w kącikach jego oczu się pogłębiły. - Jak oni wszyscy.

- No tak.

- Wygląda na to, że nasz szaleniec ułożył coś w rodzaju naszyjnika z krwi ofiary.

- Albo z własnej - myślał na głos Montoya, przesuwając wzrokiem po fałdach postrzępionej sukni.

- Nie. To by było za duże szczęście, gdyby nam coś po sobie zostawił.

- Zgwałcił ją?

- Jeszcze nie wiem. - Benz zmarszczył czoło. - Zdaje się, że wszystkie zakonnice, które przed wstąpieniem do klasztoru nie były zameżne, są dziewicami.

Montoya poczuł ucisk w żołądku. Nie chciał sobie przypominać siebie i Camilli na wąskiej kanapie w domu jej rodziców, kiedy ci wyjechali. Nie chciał myśleć o jej jędrnych piersiach, o ciemnych, nabrzmiąłych sutkach. Popatrzył na pożółkły tiul, z którego uszyta była suknia, i pokręcił głową.

- To gdzie są inne rzeczy, te, które miała na sobie, zanim włożyła tę suknię? - Zmarszczył czoło. -
Może zabójca przebrał ją już po wszystkim?

- Nie wygląda, by stało się to po jej śmierci. A co do ubrań, posłałem już chłopaków, żeby ich poszukali. Pewnie była w koszuli nocnej. Harmonogram klasztorny jest przestrzegany dość surowo. Światła gasną o dziesiątej i wszyscy mają iść do łóżek. Nie jesteśmy pewni godziny zgonu, ale zwłoki znaleziono około północy. Kobieta, która znalazła ofiarę, słyszała dzwony kościelne wybijające pełną godzinę.

Montoya spojrzął za siebie nad rzędami ławek na nieliczną grupę świadków zebranych w głębi kaplicy. Ksiądz i jedna z zakonnice byli w habitach. Jakaś młoda kobieta drżała owinięta w za dużą na nią pelerynę. Miała mokre włosy, a w oczach to puste, błyszczące spojrzenie, charakterystyczne dla ludzi w szoku. Wydawała się dziwnie znajoma i żołądek Montoi znów ścisnął skurcz przerażenia. A co to, do jasnej cholery?

- Ta młodsza zakonnica, siostra Lucia, znalazła ofiarę. Twierdzi, że „coś” usłyszała, ale nie potrafi do końca wyjaśnić, co to było. Jednak na skutek tego hałasu wstała z łóżka i znalazła siostrę Camillę. Siostra Lucia. Siostra Camilla.

A niech to wszyscy diabli, sprawa wygląda coraz gorzej. Montoya nie wypowiedział jednak tej myśli na głos; natomiast zauważył oczywistość.

- Starsza zakonnica jest w habitach. Bentz kiwnął głową.

- To nie jest nowoczesna parafia.

Montoya, nadal przykucnięty, rzucił ostatnie spojrzenie na ofiarę. Wokół długiej i bladej szyi Camilli widać było szereg otarć i głębokich zadrapań, jakby ktoś udusił ją garotą. Całkiem nieproszone przypląnęło wspomnienie, jak łąsił się do tej szyi, jak całował zagłębienie za uchem. Żołądek znów skręcił mu się w supeł.

Co za potwór to zrobił?

I z jakiego powodu? Kogo Camilla doprowadziła do takiej furii? A może była przypadkowym celem? Prostując się, przeniósł uwagę na grupę osób stojących blisko siebie za ostatnim rzędem ławek.

Policjant w mundurze rozmawiał ze starszą z kobiet, tą w zakonnym habicie; młodsza, siostra Lucia, przysłuchiwała się temu, kuląc się pod swoją peleryną. Ksiądz, mężczyzna ponadsześćdziesięcioletni, o rzedniejących siwych włosach i w okularach bez oprawek, sprawiał wrażenie pomiętego.

Zmarszczki na jego wysokim czole były dobrze widoczne nawet w przyćmionym świetle.

- A więc siostra Lucia znalazła ciało. To musiał być dla niej szok. - Montoya przyglądał się drżące dziewczynie, jej bladej twarzy i mokrym kędzierzawym włosom. Tak, ją też znał. Lucia Costa. To chyba jakiś cholerny surrealistyczny koszmar. Węzeł w żołądku zacisnął się jeszcze mocniej.

- Na wołanie o pomoc siostry Lucii - wyjaśniał Bentz - odpowiedziała siostra Charity, ta starsza zakonnica. - Bentz brodą wskazał na dość postawną kobietę, ubraną w obszerny czarny habit z białym kwefem i welonem. - Charity Varisco. - Bentz dla pewności zajrzał do swojego notatnika. - Usłyszała krzyk siostry Luci i przybiegła do kaplicy. Próbowwała ratować ofiarę i wysłała młodszą zakonnice, żeby zadzwoniła po policję i wezwała księdza.

- Kto nakrył ofiarę obrusem z ołtarza?

- Matka przełożona - rzekł Bentz, a kiedy Montoya otworzył usta, żeby zaprotestować, że ktoś ruszał coś na miejscu zbrodni, uniósł rękę. - Wiem, wiem. Już im zwróciłem na to uwagę. Siostra Charity twierdzi, że nie miała zamiaru naruszać lub zmieniać czegokolwiek, chciała tylko okazać ofierze szacunek.

Montoya kolejny raz spojrział na kobietę, o której była mowa. Była tęga, wysoka, miała zaciśnięte usta i gniewny wzrok, którym gromiła policjantów.

- Jaki jest związek pomiędzy matką przełożoną a ofiarą?

- Taki, jak widać. Matka przełożona poznała siostrę Camille przed dwoma laty, gdy Camilla wstąpiła do klasztoru.

- A ksiądz?

- Księża, liczba mnoga. Starszy to ojciec Paul Neland, ksiądz senior, mieszkający na terenie klasztoru w apartamencie obok młodszego kolegi, ojca Francisa OToole'a.

Na dźwięk nazwiska drugiego z księży Montoya gwałtownie uniósł głowę.

- Ojciec OToole? Frank? Gdzie on jest?

- Funkcjonariusz już go zabrał na przesłuchanie. Zresztą cała reszta też zostanie przesłuchana.

Faktycznie, dwóch policjantów próbowało właśnie rozproszyć małą grupę stojącą w głębi kaplicy.

Siostra Lucia popatrzyła na Montoyę błagalnym wzrokiem, po czym w pośpiechu opuściła boży przybytek. Matka przełożona również wyszła, z tym że skierowano ją w przeciwną stronę.

Montoya poczuł pulsowanie u podstawy czaszki znamionujące zbliżający się atak migreny. Zbyt wiele znajomych twarzy. Najpierw Camilla, potem Lucia, a teraz Frank OToole? Czy możliwe, aby to był zbieg okoliczności?

- Co wiesz o tych księżach?

- Starszy, ojciec Paul Neland, jest tu od dziesięciu lat i ponad nim jest tylko matka przełożona, która zarządza klasztorem przeszło dwadzieścia lat. Wcześniej ona i Neland pracowali w tej samej parafii, gdzieś na północy, chyba w Bostonie. OToole jest krócej. Niecałe pięć lat.

- Muszę z nim porozmawiać - oświadczył Montoya. Bentz gwizdnął przeciągle i uważniej popatrzył na swojego partnera, jakby chciał odczytać jego myśli.

- O Chryste, Montoya. Tylko nie mów, że jego też znasz.

- O tak - przyznał Montoya z niezadowoleniem, bowiem ogarnęły go bardzo niepokojące myśli. - Jego też znam.

Siedząc po turecku na rozgrzebanym łóżku, Valerie próbowała po raz ostatni uruchomić swój uparty laptop.

- No dawaj, dawaj - popędzała opierające się urządzenie. Krzywiła się, słuchając zgrzytliwych dźwięków i czekając, aż ekran obudzi się do życia.

Była już prawie pierwsza trzydzieści w nocy. Deszcz ustał i księżyc przedzierający się przez ciemne chmury rzucał trupią poświatę na lśniące od wilgoci zarośla za oknem.

Valerie czuła zmęczenie w całym ciele, ale jej umysł nadal działał na najwyższych obrotach. Chciała ostatni raz sprawdzić swoją pocztę przed zgaszeniem światła, w nadziei że sen w końcu nadejdzie. Chociaż pewnie tak się nie stanie. Przeklęta bezsenność. Od młodości miała kłopoty z zasypianiem, gdy się czymś martwiła. Próbowała wszystkiego, od pigułek nasennych, do wyczerpujących ćwiczeń fizycznych, ale żaden z tych środków nie pomagał.

To przez rozwód.

I niepokój o Camille.

Czekając, aż ekran się rozjaśni, kątem oka zerknęła na fotografię ze Slade'em, jedyną, jaką miała, na jego ulubionym koniu, wierzchowcu imieniem Stormy i z biegnącym z tyłu ich ogarem Bo. Na tle słońca, które purpurowopomarańczową poświatą spowijało grzbiety wzgórz, Slade Huston wyglądał jak samotny teksański kowboj. Valerie sama zrobiła to zdjęcie i postanowiła je zatrzymać na pamiątkę swojego małżeństwa. Mimo że spaliła całą resztę - wszystkie fotki i profesjonalne zdjęcia zrobione podczas ich skromnego ślubu - tej fotografii nie była w stanie zniszczyć. Tłumaczyła sobie, że jest to jedyne zdjęcie, na którym widać Bo.

Ale w głębi duszy wiedziała, jaka jest prawda.

- Masochistka - mruknęła, kładąc zdjęcie twarzą w dół na stercie rachunków, które jej przypominały o trudnej finansowej kondycji motelu. Nie chciała jednak myśleć teraz o nędznym stanie swego konta bankowego, tak samo jak nie chciała się zastanawiać nad rozpadem własnego małżeństwa. Jeszcze raz spojrzała na położoną płasko ramkę ze zdjęciem. Jutro wyrzuci je do śmieci.

Może.

Ekran komputera wreszcie się rozjaśnił, więc szybko otworzyła pocztę i zaczęła przedzierać się przez spam, aż zobaczyła -jedną wiadomość od SisCaml.

- Dzięki Bogu za Internet - mruknęła pod nosem, klikając myszką w wiadomość, żeby ją otworzyć. - Okej, Cammie, co się dzieje? - dodała, gdy na ekranie pojawił się krótki tekst mejla. „Po zastanowieniu stwierdziłam, że dłużej już tego nie zniosę. Opuszczam St. Marguerite's. Powód znasz”.
- Och, Cammie - szepnęła Val i serce jej się ścisnęło. Oczywiście, że wiedziała, dlaczego siostra chce opuścić klasztor: Camilla była w ciąży.

Rozdział 7

Znasz Franka O'Toole'a i Camillę Renard? - spytał z niedowierzaniem Bentz, spoglądając na Montoyę przymrużonymi oczami.

- Tali, znam. Z liceum. - Montoya nadal nie mógł w to uwierzyć. Jak to możliwe, że tyle osób, które poznał w niewielkim liceum, wylądowało tutaj, w St. Marguerite's, łącznie z dziewczyną, z którą chodził ponad pół roku, a która teraz leżała martwa u jego stóp? Z trudem przełknął ślinę, spoglądając na zwłoki, nad którymi pochylał się ktoś z ekipy koronera. Potem znów napotkał spojrzenie Ben-tza. - Ale to jeszcze nie wszystko - wyznał, niezadowolony z obrotu, jaki przybierały jego myśli. - Tamta zakonnica. - Wskazał palcem na roztrzęsioną Lucię Costę. - Wprawdzie nie znam jej osobiście, ale przez jakiś czas umawiała się z moim bratem Cruzem. Cruz jest kilka lat ode mnie młodszy, a ona chyba kilka lat młodsza od niego. Skończyłem liceum, kiedy zaczynała pierwszą klasę.
- A więc jakiś koleżeński spąd, co? - Bentz podejrzliwie zmrużył oczy.
- Sam tego nie rozumiem. - Montoya skrzywił się i odchodząc od zwłok, zapytał: - Który policjant był tu pierwszy?
- Wezwanie odebrał Amos - poinformował Bentz. Montoya dostrzegł funkcjonariusza rozmawiającego z roztrzęsioną zakonnica. Nowy w policji, Joe Amos, Afroamerykanin,

miał metr osiemdziesiąt, wydatny brzuch i kawową cerę, nakrapianą ciemnymi piegami rozsypanymi po całej twarzy. Montoya przeszedł wzdłuż pierwszego rzędu ławek do kolumny, przy której Amos przesłuchiwał siostrę Lucię.

- ...i potem ojciec Paul, ojciec Frank i ja przybiegliśmy z powrotem, do kaplicy i... - mówiła zakonnica, która jednak na widok Montoi straciła wątek. - I... Och, dobry Boże. - Cofnęła się o krok, jej oczy zrobiły się okrągłe.

- I co? - zapytał Amos.

Lucia zamrugła, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

- Jesteś bratem Cruza - wyszeptała z takim wyrazem twarzy, jakby zaraz miała zemdleć.

- Zgadza się.

Na czole Lucii pojawiły się kolejne zmarszczki.

- Raymond albo...

- Reuben. Teraz pracuję w miejscowej policji. Jestem detektywem.

Amos przyszpilił Montoyę gniewnym spojrzeniem.

- Wy się znacie? Montoya pokręcił głową.

- Chodziliśmy do tego samego liceum. Wiele lat temu. Ona była dziewczyną mojego brata.

- Jesteś bardzo do niego podobny - zauważyła Lucia, szczerzej otulając się peleryną. - Do Cruza.

- Tak mówią. - Montoya nie mógł zaprzeczać temu, co powtarzano mu przez lata, rodzinne podobieństwo było bardzo wyraźne. Amos podniósł rękę.

- No dobrze, ale wracajmy do zeznań. Powiedziała siostra „coś usłyszałam”. Co to było, co siostra usłyszała?

- Ja... ja nie wiem. - Lucia z trudem przełknęła ślinę. - Jakiś ostry dźwięk. Obudził mnie i poczułam niepokój. Nawet zaczęłam się modlić.

- To był czyjś krzyk? - zapytał Montoya. - Czy może wołanie o pomoc?

- Nie... nic, co tak naprawdę potrafiłabym określić.

Czyżby?

- Ale wyszła siostra ze swojego pokoju? - naciskał Amos.

- Tak, mówiłam, że się zdenerwowałam. Jakbym miała jakiś straszny sen, którego nie pamiętałam po obudzeniu. Wiedziałam, że nie zasnę, więc postanowiłam pójść pomodlić się do kaplicy. To mnie czasami uspokaja. - Lucia sprawiała wrażenie wystraszonej, kurczyła się w sobie, jakby pragnęła zniknąć, rozwiać się w powietrzu.

Amos zerknął w swoje naskrobane niezbyt czytelnym pismem notatki.

- A więc potem znajduje siostra ciało, widzi, że ktoś wychodzi z kaplicy, woła pomoc, spotyka się z siostrą Charity, idzie do jej biura, dzwoni na policję, potem po obudzeniu księży biegiem wraca do kaplicy. Och, obudziła siostra tylko ojca Paula. Ojciec Frank był już na nogach, tak?

- Tak - potwierdziła Lucia, wolno kiwając głową.

Czy tym gestem chciała uwiarygodnić swoje zeznanie, czy może starała się sobie coś przypomnieć? Amos podrapał się po brodzie.

- I co działo się później?

- Och! - Lucia z trudem oderwała wzrok od Montoi. - Potem... my, hm... czekaliśmy. Ojciec Paul jeszcze raz zbadał siostrze Camilli puls. Potem wszyscy się za nią modliliśmy. - Głos Lucii zrobił się ochryply, nos jej poczerwieniał, a oczy napełniły się łzami. - A potem... potem... kilka minut później usłyszałam wycie syren i pojawiliście się wy. - Zakonnica nabrała głęboko powietrza i znów poprawiła pelerynę, ciasno się nią otulając.

- To siostra znalazła ciało, tak? - upewnił się Montoya.

- Wszystko już powiedziałam temu policjantowi - odparła Lucia, spoglądając na Amosa.

Montoya nie miał zamiaru dać się spławić.

- Więc, żeby oszczędzić nam wszystkim czasu, proszę jeszcze raz powtórzyć to, co siostra mówiła. Zakonnica skuliła ramiona, przez co wydała się jeszcze drobniejsza niż w rzeczywistości. Potem jednak wzięła się w garść

i jeszcze raz przedstawiła swoją wersję nocnych wydarzeń. Gdy w odpowiedzi na wołanie matka przełożona przybiegła do kaplicy, Lucia wezwała policję, wpadła na ojca Franka na krużganku, obudziła śpiącego ojca Paula i wróciła do kaplicy razem z obydwoma księżmi.

- Ale siostra wspominała coś o tym, że gdy pierwszy raz weszła do kaplicy, widziała, jak ktoś z niej wychodził - wtrącił się Amos.

- Ja... chyba... chyba tak.

- Nie jest siostra pewna? - dopytywał się Montoya.

- No... czasami zachowuję się jak lunatyczka, więc... moje wspomnienia mogą być... - Lucia wzruszyła szczupłymi ramionami - ...dość nieprecyzyjne.

- Chwileczkę. Jak lunatyczka? - powtórzył Montoya. - Nie mówiła siostra o tym wcześniej.

- Nie mówiłam, wiem... To wydało mi się inne, ale... - Lucia była bliska płaczu. Zaczęła gwałtownie mrugać. - Trudno to wyjaśnić.

- Ale gdy była siostra w kaplicy, to mimo bicia dzwonów słyszała siostra trzask zamykanych drzwi? - upewniał się Amos, który był wyjątkowo dociekliwy i nie należał do osób, na które działa widok kobiecych łez. Lucia była wyraźnie zdenerwowana. I bardzo przestraszona.

- Tak mi się wydaje.

Niezbyt stanowcza odpowiedź, pomyślał Montoya. Nie znał dobrze Lucii, mimo że jeden z jej starszych braci, Pedro, chodził z nim do tej samej klasy. Co tak zainteresowało w niej Cruza? Nie chodziło tylko o urodę, ale też o paranormalne zdolności czy coś w tym rodzaju. Ale może Cruz tylko to sobie wymyślił. Młodszy i bardziej rozhukany brat Montoi znany był z tego, że często mijał się z prawdą.

Montoya i Bentz zadali jeszcze kilka pytań, żeby połączyć ze sobą cykl wydarzeń i uporządkować je w czasie, po czym zostawili Amosa, który już sam miał wszystko opisać.

- Cudownie - mruknął Bentz. - Co się wydarzyło pomiędzy nią a twoim bratem?

- Wypadek samochodowy. Cruz prowadził. O mało nie zabił i jej, i siebie. - Ale to nie wszystko, pomyślał Montoya, który nie mógł znać szczegółów, bo gdy doszło do wypadku, nie mieszkał już w domu rodzinnym. Był wtedy w college'u.

Z matką przełożoną spotkali się w korytarzyku prowadzącym do kaplicy, gdzie zakonnice przesłuchiwał jeden z umundurowanych policjantów.

Siostra Charity pomimo całej tragedii mówiła ściszym i opanowanym głosem. W słabym blasku świec wydawała się mieć mniej lat niż sześćdziesiąt, jak poinformowała Montoyę w odpowiedzi na jego pytanie.

- Już powiedziałam waszej funkcjonariuszce, pani Erwin, wszystko, co wiem. - W jej słowach, wygłoszonych łagodnym tonem, kryły się stalowe nuty.

- Zamierzamy przesłuchać wszystkich mieszkańców klasztoru - poinformowała ją detektyw Erwin. Starsza kobieta wolno pokręciła głową.

- Wszyscy śpią. Nie widzę, co dobrego mogłoby wyniknąć z tego, że ich obudzimy.

- Może coś słyszeli. A może ktoś nie spał, chodził po korytarzu, szedł na przykład do toalety. Istnieje szansa, że ktoś coś zauważył - upierała się Randi Erwin. - Poza tym może ktoś z mieszkańców rzuci jakieś światło na motyw mordercy.

- Och. - Matka przełożona szybko się przeżegnała, jakby dopiero w tej chwili uświadomiła sobie rozmiar tragedii. - Sama porozmawiam z zakonnice - zaoferowała się. - A ojciec Paul udzieli im porady i wsparcia...

- Tu nie chodzi o żadne porady - stwierdził krótko Montoya, zastanawiając się, czy zakonnica z rozmysłem udaje nierozgar-niętą. - I zanim siostra porozmawia z podopiecznymi, najpierw my musimy je przesłuchać.

- Wszystkie? - Matka przełożona wydawała się szczerze zaskoczona. Montoya skinął głową.

- Chcemy porozmawiać ze wszystkimi osobami, które tu mieszkają, i z każdym, kto mógł znajdować się dzisiejszej nocy na terenie klasztoru. Wszyscy będą musieli złożyć zeznania policjantom.
- A ja potrzebuję więcej informacji na temat ofiary - wtrąciła Erwin.
- W naszym zakonie kładziemy wielki nacisk na poszanowanie prywatności. - Siostra Charity zmarszczyła czoło. Była jak wielki głaz tarasujący drogę.
- Nawet w sytuacji, gdy jedna z waszych zakonnice straciła życie? Została zamordowana? Rzekłabym, że to unieważnia wszelką prywatność. - Randi Erwin, drobna, twarda i obcesowa, prawie się nie malowała i nigdy nie układała obciętych krótko kasztanowatych włosów. W college'u była gimnastyczką, a obecnie specjalistką od wschodnich sztuk walki. Erwin nie dawała się nikomu onieśmielić, czy chodziło o starszych kolegów z wydziału, którzy mieli zwyczaj jej dokuczać, czy jak teraz, o wyniosłe zakonnice. - Muszę mieć wykaz znajomych ofiary. Poza tym, czy przychodzi siostrze na myśl ktoś, kto mógłby żywić do niej jakąś urazę?
- Tu nikt nie ma wrogów. - Stara zakonnica zrezygnowanym ruchem splotła palce obu dłoni, pojmując w końcu, że policja nie zostawi klasztoru w spokoju.
Bentz prychnął.
- Chyba siostra w to nie wierzy. Ludzie to ludzie. Irytują innych, mają do nich pretensję, mszczą się i co tam jeszcze. Przecież wiele wojen stoczono w imię religii.
Zakonnica się wzdrygnęła.
- Ale nie tutaj.
- Dlaczego ofiara miała na sobie tę dziwną suknię?
- Nie mam pojęcia.
- Skąd ją wzięła?
- Brwi matki przełożonej zeszły się razem.
- Nie wiem - odparła w chwili, gdy zbliżał się funkcjonariusz Chris Conway.

- Przyjechała prasa - poinformował. - Reporter z WKAM.

- Powiedz mu, żeby poczekał na oświadczenie Jarvisa - polecił Bentz. Hal Jarvis był policyjnym rzecznikiem do spraw kontaktów z mediami. - A on je wyda dopiero wtedy, gdy powiadomimy rodzinę. Dziennikarze, jeśli słuchali kanału policyjnego, wiedzą, że to morderstwo, więc nie próbuj przeganiać tego reportera. Poproś go po prostu, żeby poczekał.

- Kapuję. - Policjant ruszył kaplicą do wyjścia. Montoya zwrócił się do matki przełożonej.

- Co z rodziną Camilli Renard? - zapytał, ledwie sobie przypominając rodziców zamordowanej. Ojciec był chyba starszy i pracował na kolei, a matka miała pół etatu w szkole jako nauczycielka.

- Jej rodzice nie żyją. Została tylko starsza siostra, która mieszka gdzieś we wschodnim Teksasie. Chyba w jakiejś małej miejscinie, ale teraz nie przypominam sobie nazwy. Wyleciała mi z głowy. To się zgadzało. Camilla faktycznie miała siostrę, rok czy dwa lata młodszą od Montoi.

- Wie siostra, jak ona się nazywa?

- Powinam, ale... Veronica? Chyba coś takiego. Sprawdzę. Imię Veronica nie pasowało, ale Montoya pamiętał osobę. Jeśli się nie mylił, była wyższa od Camilli, miała duże oczy i przenikliwe spojrzenie. Spokojniejsza od zawsze otwartej i zalotnej młodszej siostry, za to wygadana. Nie lubiła głupich błazeństw kolegów. Montoya jej unikał, ale ją zapamiętał.

- A może Valerie? - spytał.

Zakonnica, spojrzawszy na niego, ściągnęła kąciki ust.

- Tak - potwierdziła. - Valerie. To jej imię.

- Musimy mieć jej adres.

- Oczywiście. - Siostra Charity zerknęła w stronę drzwi prowadzących do kaplicy i nagle jakby posmutniała. Pojawiło się jeszcze więcej ludzi. Mimo sprzeciwów matki przełożonej, która nie chciała, żeby obcy wchodzili na poświęcony teren, technicy z dochodzeniówki zajmowali się zbieraniem dowodów. Robili zdjęcia i pomiary; zasypywali kaplicę specjalnym proszkiem do zdejmowania odcisków, spryskiwali luminolem, oglądali ławki

i ściany w poszukiwaniu odcisków palców lub zarysowań. Specjaliści od badania miejsca zbrodni wykonywali swe zadania z niezwykłą precyzją.

- To świętokradztwo - wyszeptała siostra Charity, patrząc na Monoyę błagalnie. - Doprawdy, trzeba to koniecznie powstrzymać. Kaplica to święte miejsce, w którym nie... - Wyciągnęła rękę w prośalnym geście, wskazując kaplicę, gdzie ekspert medycyny sądowej badał zwłoki Camilli Renard. - Mamy tu surowe zasady i rygorystyczny harmonogram modlitw, więc nie możemy... - Jej głos się załamał, a Montoya nie umiał ocenić, czy wywołał to smutek spowodowany śmiercią siostry Camilli, skaza, jaką morderstwo pozostawi na reputacji klasztoru, czy to tylko zwykła gra. - Nie ma mowy o żadnych zmianach, zakłóceniach - oświadczyła ksieni, ale z coraz mniejszym przekonaniem. - Wasza obecność wszystkich stresuje. To czysta kpina z naszej kaplicy, ta żółta taśma i ludzie kręcący się tak blisko tabernakulum.

- Jedna z was nie żyje - przypomniał Montoya, częściowo ujawniając kipiącą w nim irytację. - Wygląda to na morderstwo. Mamy tu robotę do wykonania i wykonamy ją tak szybko i tak dokładnie, jak to tylko możliwe, ale ją wykonamy. I byłoby najlepiej, gdyby nikt nam w tym nie przeszkadzał. Siostra Charity zacisnęła zęby, jakby chciała skarcić Montoyę za niestosowną postawę i brak szacunku. Zamiast tego wyszeptała:

- A więc trudno. Muszę teraz zająć się nowicjuszkami, ale proszę, żebyście pamiętali, że jesteście w przybytku bożym.

- W którym wydarzyło się coś bardzo złego.

- Nie wiemy jeszcze, co się wydarzyło - odparła zakonnica cierpko, tonem nieznoszącym sprzeciwu. - A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę udać się do sióstr. - Po tych słowach matka przełożona odeszła szybkim krokiem, czemu towarzyszył szelest jej sukni i grzechot paciorków różańca. Jej habit wydawał się nieskazitelnie czysty, nie licząc brudnego rąbka u dołu.

Dziwne.

Pomimo że był środek nocy, strój matki przełożonej wyglądał bardzo świeżo.

Czy ona śpi w tym habicie? Montoya zanotował sobie w pamięci, że gdy nieco ochłonie, musi porozmawiać o tym szczególnie z siostrą Charity.

- Siostro, proszę zaczekać! - zawołał Bentz i rzucił się za matką przełożoną, chcąc ją dogonić. - Muszę obejrzeć pokój siostry Camilli.

- Tam nic nie ma.

- Tego nie wiemy.

Zakonnica zatrzymała się, a potem sztywno skinęła głową.

- W takim razie proszę za mną - powiedziała i ruszyła schodami w górę do części mieszkalnej klasztoru.

Jasne, pomyślał Montoya, na pewno będę musiał jeszcze raz porozmawiać z siostrą Charity i to na osobności. Jednak na razie miał większą rybę do złowienia. Zwrócił się do funkcjonariuszki Erwin:

- Chyba będę musiał porozmawiać z ojcem OToole'em, żeby się przekonać, co takiego ma nam do powiedzenia.

Rozdział 8

Brat Cruza? Tutaj?

Detektyw z policji?

Siostra Lucia czuła, że lodowaty kamień w jej żołądku staje się coraz cięższy. Kiedy natknęła się na ciało siostry Camilli, sądziła, że nie może być gorzej, ale się myliła.

A wszystko przez detektywa Montoyę.

Był bardzo podobny do Cruza - takie same wydatne kości policzkowe; prawie czarne, podejrzliwe oczy; gęste, proste włosy; i białe zęby połyskujące na tle śniadej cery. Zbyt przystojny. Tak właśnie jej ojciec określił Cruza. To samo można byłoby powiedzieć o jego starszym bracie.

Spełniając polecenie matki przełożonej, Lucia pobiegła do swojego pokoju, przebrała się szybko w suchy habit i upięła włosy. Potem, starając się nie myśleć o Cruzie Montoi, poszła budzić inne zakonnice, pukając do ich drzwi i mówiąc, żeby zeszły do jadalni na spotkanie z matką przełożoną. Kilka z sióstr zapytało o powód, a ona odpowiadała: „Nie znam żadnych szczegółów. Wiem tylko, że matka przełożona chce się z nami wszystkimi zobaczyć”.

Kłamstwo, ale to pierwsze z wielu, myślała ponuro. Diabelski głos, który ją obudził, spowijał ciemnością jej duszę.

Siostra Angela obudziła się bez trudu i szybko wystawiła głowę za drzwi, zupełnie jakby na coś czekała. Z policzkami jak rumiane jabłuszka, wcisnęła na nos okulary w cienkich oprawkach i zamrugła, żeby coś dojrzeć w mrocznym korytarzu.

- O co chodzi?

- Nie wiem, ale się pospiesz - rzuciła Lucia, kłamiąc na całego. Znowu.

- Ale...

- Proszę. Matka przełożona czeka.

Angela skinęła głową i cofnęła się do swojego pokoju, a Lucia pospieszyła korytarzem, żeby pukać do kolejnych drzwi. Siostra Dorothy nie odezwała się, więc Lucia zapukała głośniejsze, ale nadal nie było odpowiedzi. Złowieszcze przeczucie, które zawładnęło Lucią wcześniej, znów przeniknęło jej serce. A jeśli zginęła nie tylko Camilla? A jeśli ten, kto zamordował Camillę, wszedł na górę i odebrał życie innej zakonnicy? Próbując stłumić strach, modląc się w duchu o wiarę, Lucia, przesuwając palcami po różańcu, zawołała cicho:

- Sostro Dorothy?

Kątem oka zauważyła, że na końcu korytarza wolno i ze skrzypieniem otwierają się inne drzwi.

Wysunęła się zza nich siostra Maura ze zwykłym u niej grymasem niezadowolenia na twarzy.

- A co ty wyprawiasz? - spytała, wsadzając na nos okulary.

- Matka przełożona chce, żebyśmy zebrały się na dole.

- Po co? - Na czole Maury pojawiła się głęboka zmarszczka. Maura była zawsze bardzo poważna, Lucia nie znała jej dobrze.

- Nie powiedziała. Ale błagam, pospiesz się. Otworzyły się kolejne drzwi. Edwina obrzuciła wściekłym spojrzeniem grupę na korytarzu.

- Co tu się dzieje? - burknęła z pretensją, przerzucając przez ramię swój gruby, jasnozłoty warkocz. Wysportowana, wyższa od Lucii o kilkanaście centymetrów Edwina miała szeroką, nordycką twarz i wysokie kości policzkowe. Jej głęboko osadzone błękitne oczy zawsze patrzyły chmurnie, ponieważ Edwiny nie opuszczał zły nastrój. - Dlaczego walicie do drzwi Dorothy?

Lucia wyjaśniła: - Matka przełożona wzywa nas do jadalni.

- Po co? To przecież środek nocy! - Wiem.

- Czego ona chce? Tyle pytań...

- Jestem pewna, że matka przełożona sama wam to wyjaśni.

- A dlaczego ty jesteś na nogach? - dociekała siostra Edwina, zerkając przez mroczny korytarz w stronę pokoiku Lucii. - Czemu matka przełożona przyszła do ciebie? - zapytała z oburzeniem, jakby poczuła się osobiście dotknięta tym faktem.

Lucia nie miała czasu na zajmowanie się cudzymi urazami. Miała własne problemy. Przede wszystkim była przejęta śmiercią nieszczęsnej siostry Camilli, poza tym niepokoiło ją to, że pechowym zbiegiem okoliczności w śledztwo wplątany jest brat Cruza Montoi. Nerwy Lucii były napięte jak postronki. - Bardzo was proszę, po prostu szybko się ubierzcie.

- Ty wiesz, o co chodzi, prawda? - zaatakowała ją Edwina, która mówiła zawsze bez ogródek i zawsze z jakiegoś powodu czuła się tak, jakby ktoś ją o coś oskarżał.

- Matka przełożona wszystko wam wyjaśni.

- Jasne - odparła zakonnica z ironią.

Drzwi do pokoju Dorothy wreszcie się uchylły. Ale tylko troszeczkę.

- O co chodzi? - spytała przez wąską szparę pulchna i zawsze jakby wystraszona siostra. Jej głos zupełnie brzmiał zupełnie trzeźwo. Słysząc w nim było nutki podejrziwości.

Lucia przekazała jej krótką informację. Otwierały się kolejne drzwi, bo hałas w korytarzu obudził inne zakonnice. Angola wymknęła się ze swojego pokoju i ignorując kwaśne spojrzenie Maury, podeszła do Lucii.

- Pomogę ci - zaoferowała się, gdy drzwi pokoju Edwiny zamknęły się z trzaskiem. - A nią się nie przejmuj. - Siostra Angela odwróciła się od zamkniętych drzwi siostry Edwiny. - Jest wściekła, bo matka przełożona wybrała ciebie na posłańca.

Lucia nie była w stanie nic na to odpowiedzieć. Przynajmniej nie w tej chwili. Zbyt przytłaczała ją ciemność zalegająca w jej sercu, która miała związek z czymś głębszym niż tylko to, że zatrzymała dla siebie wieść o śmierci siostry Camilli.

Z czymś o wiele głębszym.

Przesuwając w palcach paciorki różańca, dobrze wiedziała, dlaczego wybudziła się z głębokiego snu, dlaczego oddech zła szeptał jej do ucha i dlaczego siostra Camilla, ta udęczona dusza, została zamordowana.

Wiedziała, ale nie zamierzała tego powiedzieć.

Montoya szedł ciemnym korytarzem, do którego wejście znajdowało się w pobliżu apsydy wielkiej katedry. Zapukał do drzwi, a potem otworzył je, nie czekając na zaproszenie.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi, funkcjonariusz w mundurze spoglądał z góry na barczystego mężczyznę w czarnej sutannie, siedzącego w plamie bursztynowego światła lampy.

Ojciec Frank OToole, który wydawał się za duży w małej poczekalni, gdzie kazano mu siedzieć, trzymał złączone dłonie na podolku i chyba się modlił.

Gdy drzwi się otworzyły, gwałtownie podniósł głowę.

- Reuben? - W jego chropowatym głosie brzmiało niedowierzanie, w oczach pojawiło się zdumienie.

- Jak się masz, Frank? - Montoya pochylił się nad porysowanym stolikiem, żeby potrząsnąć dłonią przyjaciela z czasów szkolnych.

Uścisk Franka był nadal silny.

- Bywało lepiej - przyznał ksiądz, wstając z uśmiechem rezygnacji, tak różnym od tych uwodzicielskich, jakie rzucał w liceum. Czoło miał zmarszczone. - A ty, co tutaj robisz? - spytał, lecz zaraz w jego wzroku załśnił błysk zrozumienia, gdy połączył fakty. - Jesteś policjantem.

- Detektywem.

- Naprawdę? - Uśmiech znikł z jego twarzy. - Nigdy nie pomyślałbym, że...

- Ja też nie. Nigdy nie widziałem siebie w roli policjanta, a z pewnością nie sądziłem, że ty zostaniesz księdzem.

W szkole średniej, kiedy Montoya flirtował ze złą stroną prawa, tylko miłość do sportu uratowała go przed poważniejszymi występami. Dzięki zainteresowaniu sportem miał szczęście zetknąć się z Frankiem OToole'em, gwiazdą piłkarskiego boiska i koszykówki. Frank OToole, piątkowy uczeń, był tak zwanym dzieckiem szczęścia. Zadawał się z najpopularniejszymi osobami w szkole i miał uprzywilejowane pochodzenie, ponieważ jego ojciec był znanym prawnikiem.

Frank przyłapał Montoyę, jak próbował ukraść jego samochód -klasycznego mustanga. Montoya miał wtedy tylko piętnaście lat, a OToole zagroził, że zgłosi próbę kradzieży policji. Omal się wtedy nie pobili, ale w końcu się dogadali: Montoya przez sześć tygodni szorował i woskował przeklęty wóz OToole'a, a OToole pozwalał mu za to jeździć ze sobą po ulicach Nowego Orleanu. Ich przyjaźń nie była najszczerza, zazdrość Montoi o styl życia i popularność starszego kolegi zawsze czaiła się gdzieś pod powierzchnią. OToole natomiast zazdrościł Montoi, że jest taki zbuntowany. Montoya podejrzewał nawet, że OToole'a podniecało to, że zadaje się z chłopakiem, który jest zawsze o krok od popełnienia poważnego przestępstwa. OToole westchnął przeciągle.

- Widziałeś siostrę Camillę? - Zacisnął pięści, kciukami nerwowo pocierając knykcie.
- Tak. - Montoya skinął głową. Widok martwej Camilli zrobił na nim ogromnie wrażenie, wiedział, że zapamięta go na zawsze.
- To wielka szkoda - rzucił ksiądz i wbił wzrok w sufit, jakby oczekiwał, że znajdzie tam jakieś wskazówki i wsparcie od Boga.
- OToole był nadal przystojny, tak jak go Montoya zapamiętał, choć w ciemnych włosach miał już parę siwych pasm, w kącikach oczu kilka zmarszczek więcej, a jego nos nie był już tak prosty jak niegdyś. Niemniej w ocenie Montoi z wiekiem Frank wyglądał bardziej interesująco.
- Może mi powiesz, co się tu wydarzyło?
- Coś zabłysło w oczach księdza. Żal? Gniew? Początek kłamstwa?
- Sam chciałbym wiedzieć. Byłem z wizytą u chorego parafianina Arthura Wembleya. Rak płuc czwartego stopnia. Spędziłem ten wieczór z nim i jego żoną, Marion. Wróciwszy od nich, zobaczyłem siostrę Lucię stojącą pod drzwiami ojca Paula. Była przerażona. Kazała nam przyjść do kaplicy. - OToole zacisnął szczęki, a jego oczy jakby się zapadły w oczodołach. - Poszliśmy za nią... - Zniżył głos do szeptu. - W kaplicy zastaliśmy siostrę Charity modlącą się nad ciałem Camilli. - OToole odchrząknął. - Pierwszy policjant i pogotowie zjawili się po dziesięciu minutach.
- Ale dlaczego sutanna?
- Wembelyowie należą do starej szkoły. Są przywiązani do tradycji. Wkładam sutannę ze względu na nich. Poza tym rzadko ją noszę.
- A dlaczego, twoim zdaniem, Cam... eee, siostra Camilla była w sukni ślubnej?
- Nie wiem. - Ksiądz pokręcił głową, przygryzając dolną wargę i wyraźnie mocno się nad czymś zastanawiając. - Suknia wyglądała na starą. I niezbyt kosztowną. Taką wkładają zakonnice, gdy składają śluby, zostając oblubienicami Chrystusa.
- Mówisz poważnie? OToole wzruszył ramionami.

- To stary zwyczaj, a St. Marguerite's jest przesiąknięty tradycją. O wiele bardziej niż inne parafie w okolicy. Zakonnice noszą habity, parafianie nadal powstrzymują się od spożywania mięsa w piątki... Choć to akurat chyba powraca do mody, nie sądzisz? - O'Toole odwrócił wzrok, nim Montoya zdążył coś wyczytać w jego spojrzeniu.

- Znałeś Camillę w liceum? - spytał.

- Nie - odparł O'Toole z przekonaniem, znów spoglądając Montoi prosto w oczy. - Ona była... była młodsza. Nie poznałem jej wtedy, ale znałem jej starszą siostrę.

- Valerie?

- Tak.

- Chodziłeś z nią?

- Nie. - Mężczyźni wymienili się spojrzeniami. W szkole Frank O'Toole, sportowiec i kawał przystojniaka, a także podrywacz, siał spustoszenie w sercach dziewcząt z liceum St. Timothy's. Jak to możliwe, że został księdzem i zdecydował się na celibat? Montoi zupełnie nie mieściło się to w głowie.

Jakby czytając mu w myślach, O'Toole rzekł:

- Kiedy moja starsza siostra, Mary Louise, zachorowała na chłoniaka, dobiłem targu z Panem Bogiem. Przynależem, że zostanę księdzem, przyjmę święcenia i poświęcę się Mu, jeśli tylko oszczędzi Mary.

- I jaki był wynik? - spytał Montoya, próbując przypomnieć sobie Mary Louise O'Toole.

- Mary zmarła w zeszłym roku. Ale nie na raka. Z pomocą bożą zdołała jakoś pokonać tę chorobę. Zginęła w wypadku: potrącił ją na przejściu jakiś staruszek, który zamiast na hamulec, nacisnął na pedał gazu. - O'Toole westchnął i potarł twarz, szczecina na brodzie zachrząściła pod jego palcami. - Na szczęście, zmarła na miejscu.

- Uważasz, że Stwórca dotrzymał swojej części umowy.

- Trudno powiedzieć - szepnął ksiądz. - Nie jestem aż tak arogancki, by sądzić, iż Ojciec Niebieski chciał poświęcić moją siostrę jak pionek w opartej na wierze rozgrywce pod tytułem

Prawda i wyzwania. Ale dla mnie śmierć Mary Louise była próbą wiary i powołania.

- I przeszedłeś ją pomyślnie? - zaciekawiał się Montoya. Kąciki ust O'Toole'a lekko drgnęły, ale wyraz jego twarzy pozostał bez zmian.

- To już oceni nasz Stwórca.

- A co z ofiarą? Co, twoim zdaniem, jej się przytrafiło?

- Chciałbym to wiedzieć - odparł żarliwym szeptem O'Toole, przy tych słowach odwrócił wzrok, unikając spojrzenia Montoi.

- A więc znałeś Valerie, ale nie Camillę?

- W liceum tak.

- I Valerie mieszka w Teksasie?

- Nie. Mieszka tutaj.

- Tutaj? W Nowym Orleanie? - spytał Montoya, notując sobie informację w pamięci. Czy siostra Charity nie twierdziła, że siostra Camilli mieszka w małym mieście we wschodnim Teksasie?

Ksiądz pokiwał głową.

- Prowadzi motel, chyba w okręgu Garden. Nie pamiętam nazwy, ale siostra Camilla wspominała, że Valerie jakiś czas temu wróciła do Nowego Orleanu. - Głos O'Toole'a brzmiał łagodnie, nostalgicznie. Jakby sobie przypomniał jakąś rozmowę.

- Camilla często z tobą rozmawiała? - Czasami - odparł Frank. - Jak często?

- Kilka razy w tygodniu, raz rzadziej, a raz częściej.

- Czy wspominała kiedykolwiek swoich byłych chłopaków?

- Masz na myśli kogoś poza tobą? - Frank uniósł jedną brew. Montoya pohamował zniecierpliwienie.

- Mam na myśli każdego, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić. - Nie. - Jacyś wrogowie?

Ojciec Frank pokręcił głową.

- Nie znałem aż tak dobrze jej osobistego życia - wyjaśnił. - Jeśli pytasz o spowiedź, jest to sprawa prywatna między nią a Bogiem.

- I tobą.

- Albo ojcem Paulem. - W uśmiechu księdza kryło się jakieś ciepło. - Może powinieneś porozmawiać z siostrą Lucią albo siostrą Louisą. Chyba były blisko z siostrą Camillą. - OToole zrobił się nagle jakby znużony, niemal poirytowany. - Masz jeszcze jakieś pytania?

- Chyba na razie to wszystko. Ale jeśli coś jeszcze przyjdzie mi do głowy...

- Oczywiście, Reuben. Po prostu zadzwoń. - OToole posłał Montoi ponury uśmiech, wstał i skierował się do drzwi. Gdy szedł, jego sutanna falowała, a na samym dole połyskiwała wyraźna ciemna plama.

- Ojcie Franku?

Ksiądz się odwrócił. Na twarzy miał wyraz nieskończonej cierpliwości.

- Masz coś na dole sutanny. - Montoya wskazał na plamę.

- Co? Naprawdę? - OToole spojrzał w dół i spostrzegł mało widoczne zabrudzenie. - Chodziłem po deszczu...

Czując się trochę jak wierny poddany, Montoya przyklęknął na jedno kolano i dotknął dołu sutanny. Pod palcami poczuł zeskorupiałą maź czerwonawoburej barwy.

- To krew - orzekł, podnosząc wzrok na OToole'a. Ksiądz zmarszczył brwi.

- To musi być krew siostry Camilli. Pewnie pobrudziłem się nią, klękając przy niej. Oczywiście miałem nadzieję, modliłem się, że zdołam ją odratować... - Jego głos ucichł, a twarz pod wpływem wspomnień wykrzywił grymas bólu.

- Będziemy potrzebowali tej sutanny. - Montoya podniósł się i stanął twarzą w twarz z udreńczonym duchownym.

Jego oblicze było ściągnięte, jakby zamierzał się sprzeciwić, ale potem zmienił zdanie.

- Oczywiście. Zaraz ją przyniosę. Montoya już był przy drzwiach.

- Jeśli pozwolisz, pójdę z tobą.

- Nie ufasz mi, Reuben?

- To dochodzenie w sprawie morderstwa, Frank. Nie ufam nikomu - wyznał Montoya.

Rozdział 9

A to sukin... - nie dokończyła Valerie, wychodząc z domu tylnym wyjściem następnego dnia rano. Zwężonymi złością oczyma spojrzała na zdezelowanego pick-upa na teksańskich numerach. Ford - cały zabłocony, z ciemnymi łukami na szybach tam, gdzie wycieraczki zbierały brud i wodę - stał zaparkowany pod zwisającymi gałęziami wierzby na płycie podjazdu, tuż za starym subaru Valerie. Drzwi trzasnęły za nią, płosząc parkę sójek, które poderwały się z płotu i przefrunęły do bezpieczniejszego miejsca na gałęziach drzew.

Valerie ledwo to zauważyła; spojrzenie miała wbite w przeklętą furgonetkę.

W szoferce z nosem wciśniętym w szparę w lekko uchylonym bocznym oknie siedział jej pies. Z drugiej strony, za kierownicą, mąż.

Ucieszył ją widok tylko jednego z nich. Drugiego już nie tak bardzo.

Bo, gdy ją dostrzegł, zaczął szczekać i drapać w okno. Machał przy tym nie tylko ogonem, ale całym zadem. Slade, niech go szlag trafi, otworzył jedno oko, przeciągnął się i uśmiechnął tym szerokim uśmiechem typu „ja tam niczym się nie przejmuję” i błysnął białymi zębami wyraźnymi na tle co najmniej jednodniowego zarostu na kwadratowej szczęce. Nikt nie powinien mieć prawa wyglądać tak cholernie seksownie po kilku godzinach snu i to w samochodzie.

Ale po co on się tu, do diabła, zjawiał?

Valerie szła w stronę furgonetki, jednak w pewnej chwili zboczyła ze ścieżki na wilgotny trawnik graniczący ze stanowiącym

dumę i radość Frei ziołowym ogródkiem, który teraz był tak samo wilgotny i stargany wiatrem jak reszta roślinności.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się z przenikliwym zgrzytem i na żwirowy podjazd wyskoczył Slade, a za nim, niemogący wytrzymać ani sekundy dłużej, Bo. Wielkie psisko, skomlać i popiskując, runęło w stronę Valerie.

- Hej, piesku! - zawołała Val, której serce stopniało, gdy kucnęła, aby poklepać zwierzę po lśniącym łbie i dać się wylizać po twarzy i rękach. - Tak, tak, ja też za tobą tęskniłam. - Pies nie przestawał się do niej tulić, a ona nagle przypomniała sobie, jak go przywiozła do domu ze schroniska, małego, czarno-brązowego szczeniaka o bystrych ślepiach i uszach, które zwisały niemal do samej ziemi.

- A za mną? Za mną też tęskniłaś? - zapytał Slade, z hukiem zatrzaskując drzwi furgonetki i opierając się o maskę. Jego głos ze swobodnym wschodnioteksańskim zaśpiewem przywoływał wspomnienia, o których lepiej byłoby nie pamiętać.

Valerie podniosła wzrok, nie przestając drapać za uchem Bo.

- Żartujesz, prawda? Miałabym tęsknić za tobą? - O mało się nie roześmiała, pomimo że w ich spotkaniu nie było nic zabawnego. - To tak jakbym tęskniła za zarazą.

Slade zmrużył oczy i zrobił niedowierzającą minę.

- Zawsze byłaś okropną kłamczuchą.

- W przeciwieństwie do ciebie, mistrzu nieszczerości - odgryzła się.

Tym razem Slade już się nie uśmiechnął.

- No więc, co tu robisz, Slade? - Valerie wyprostowała się, czując na plecach ciepło porannego słońca. Po gwałtownej nocnej burzy zapowiadał się upalny dzień. Sójki świergotały, jakaś sowa ukryta w listowiu pohukiwała miękko.

- Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać - oświadczył. - Tylko ty i ja. Twarzą w twarz. A nie nasi prawnicy, którzy biorą dwieście dolarów za godzinę.

- Już kiedyś próbowaliśmy i nam nie wyszło.

- Może powinniśmy się bardziej postarać.
- Mówisz poważnie? - Powróciła wspomnieniami do ich małżeństwa i chwil, gdy próbowała porozumieć się z mężem, do tych momentów, gdy Slade zamykał się w sobie i robił całkiem obcy. Niedostępny. Całe to zamieszanie z Cammie. Niewyobrażalnie przerośnięte ego Slade'a. Jej własne duma i upór. - I z tego powodu jechałeś tu nocą i spałeś w samochodzie?
- Przyjechałem kilka godzin temu, ale nie miałem rezerwacji... A domyślałem się, że nie będziesz zachwycona, jeśli cię obudzę.
- Tu akurat masz rację, ale co do rozmowy, to uważam, że już na to za późno. To koniec.
- Nie, jeśli oboje popracujemy nad tym, żeby to nie był koniec.
- Słucham? - spytała Val, robiąc krok do przodu. - Co się z tobą stało? Gdzie jest ten wyniosły, dumny kowboj, który ma w nosie własne małżeństwo? Ten facet, który podrywał siostrę żony, a gdy mu nie wyszło, całą winę zrzucił na nią?
- To nie było tak i dobrze o tym wiesz. - Slade, mrużąc oczy, spojrział na Valerie, ale ona odwróciła wzrok. Gdzieś w oddali wstawał dzień. Val czuła tę zmianę. Słońce wzeszło wyżej i wzmógł się szum pojazdów mknących po St. Charles Avenue kilka przecznic dalej. Ludzie udawali się do pracy. Było po ósmej; Val cała noc przewracała się i rzucała na łóżku, nie mogąc zasnąć, i ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła, był widok Slade'a Hustona na podjeździe. W motelu czekały na nią zajęcia. Freya już przyrządzała śniadanie dla gości, którzy zatrzymali się na noc; zapach smażonego bekonu, gorącego syropu klonowego i zapiekanych w cieście jabłek wydobywał się na zewnątrz przez otwarte okno. Zadaniem porannym Val było przygotowanie kawy i pilnowanie, żeby naczynia były czyste.
- Wiem tylko tyle, Slade - oświadczyła stanowczo - że jeśli przyjechałeś tu całą drogę z Bad Luck tylko po to, by mnie przekonać, abyśmy jeszcze raz spróbowali, to zmarnowałeś czas. Nie zamierzam zmieniać decyzji. - Pies, niech go szlag, popiskiwał u jej stóp i wpatrywał się w nią wielkimi, smutnymi ślepiami. Serce jej się ścisnęło. - Ale jeśli chcesz, możesz zostawić mi Bo. - Poczowała, że jej usta lekko zadrżały, jakby zamierzała się uśmiechnąć. Od

zawsze miała hopla na punkcie zwierząt. Nieważne, kundle czy rodowodowe, Val kochała wszystkie psy.

- Spraw sobie własnego psa.

- Okej - mruknęła, nie przypominając, że to ona pojechała do schroniska. Zresztą uważała, że Bo jest lepiej, gdy może uganiać się za wiewiórkami, pancernikami i królikami na ranczu niż gdyby miał tkwić na małym podwórku, po którym bez przerwy kręcili się obcy ludzie. - Ale będę za tobą tęskniła, wielkoludzie - zwróciła się do psa. Gdy się nad nim pochylała, spostrzegła, że pod drzwi motelu podjeżdża wóz policyjny i parkuje na wolnym miejscu przy chodniku.

Wysiadło z niego dwóch mężczyzn i Valerie poczuła chłód w sercu.

- O Boże - szepnęła, domyślając się, że cokolwiek sprowadziło tu tych dwóch mężczyzn, nie było to nic dobrego. Zbyt często stała po drugiej stronie tego dramatu, żeby się oszukiwać. Myśląc o wiadomościach, jakie przynosili ze sobą policjanci, poczuła w żołądku bolesny skurcz.

- Zdarzył się wypadek... proszę przyjąć nasze najszczerze kondolencje... Tak nam przykro z powodu państwa straty

Skrzyżowała ramiona na piersi, brzęk naczyń docierał do niej z bardzo daleka.

Jeden z policjantów, młodszy, w skórzanej kurtce, o wyglądzie Latynosa, podszedł do niej pierwszy. Za nim podążał kolega o bardziej krępej budowie.

- Detektyw Montoya, a to detektyw Rick Bentz. Jesteśmy z nowoorleańskiej policji i szukamy Valerie Renard.

- To ja - odparła Val i rozdrażniona własnym głosem, który dla niej samej brzmiał obco, odebrała od starszego mężczyzny wizytówkę.^J

Czas stanął w miejscu, gdy przyglądała się twarzy młodszego z policjantów. Mocna szczęka, ostry nos, ciemne oczy.. Sowa która dotąd pohukiwała, zamilkła, ciężki pęk bugenwilli rosnącej blisko frontowych drzwi opadł bezszelestnie, różowe płatki rozsypały się na ziemi.

- Montoya? - powtórzyła, nie zwracając uwagi na otaczające ją dźwięki.

Mężczyzna skinął głową z taką miną, jakby się spodziewał, że go z kimś skojarzy.

- O co chodzi?

Przez szum w uszach usłyszała głos Slade'a:

- Valerie?

Mówił do niej, ale ona była wpatrzona w Latynosa z ciemną bródką i wąskimi ustami.

- Kim pan jest? - spytał Latynos.

- Jej mężem. Slade Huston. Ale chyba ważniejsze, kim wy, do cholery, jesteście?

Bo, który przysiadł przy nogach Valerie, wydał z siebie ciche, złowieszcze warknięcie.

Slade posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Siedź cicho!

- Pani Renard - zwrócił się do Valerie starszy z policjantów, Bentz. - Czy jest pani siostrą Camilli Renard, znanej jako siostra Camilla z tutejszego klasztoru St. Marguerite's? - Policjant jednym okiem spoglądał niepewnie na psa.

O Boże. Serce Valerie ogarnął niepokój. Chodzi o Cammie - tych dwóch policjantów przybyło z jakimiś wiadomościami o siostrze.

- Nie! - odrzekła, kręcąc głową, nie chcąc uwierzyć w to, co w głębi duszy już wiedziała, a co było powodem wizyty tych dwóch policjantów o twarzach wyrażających ponurą determinację. Nie chciała widzieć tego, co było w ich oczach. Byli nieproszonymi posłańcami śmierci. - Tylko nie Cammie - szepnęła przerażona. - Nie Cammie. Nie, nie, nie! - Kolana zaczęły się pod nią uginać, cały świat eksplodował, rozpadając się we wstrętne poszarpane strzępy. Poczwała, że czyjeś silne ramię obejmuje ją w pasie.

Slade.

- Pani Renard? - odezwał się cicho starszy, smutniejszy z policjantów.

- One są siostrami - wtrącił się Slade, przytrzymując Valerie, żeby nie upadła.

- Cammie to moja młodsza... - Twarz Val pobladła, poczuła skurcz w gardle, a jej głos zmienił się w charczący, pełen niedowierzania pisk.

Coś było nie tak. Coś było bardzo, bardzo nie tak. Cammie"? Nie... Nie, to niemożliwe. Taka młoda. Taka pełna życia. Sama świeżość o uśmiechu rozjaśniającym świat.

Potem jednali przypomniała sobie bijące dzwony i straszliwego odzianego w czarną pelerynę potwora ze zwisającymi łańcuchami, złymi, błyszczącymi głodem i wściekłością ślepiami, groźnego demona, który nawiedził jej umysł zeszłej nocy, pełzając przez mrok i sprowadzając ze sobą powiew śmierci. Jej serce przepelnił ból, głośny szum w uszach brzmiał jak podzwonne.

- Czy moglibyśmy wejść do środka? - spytał Bentz, którego głos docierał do niej jakby z oddali.

Gdyby nie Slade, który ją podtrzymał, Val osunęłaby się na ziemię. - Musimy z panią porozmawiać.

Obraz potwora znów pojawił się w jej głowie, straszliwy i wyrazisty. Demon cuchnął złem, jego odór parzył jej nozdrza Val słyszała jego tryumfalny rechot. Widziała szeroki uśmiech odsłaniający rząd ostrych, drobnych zębów...

Nie rób tego. Nie poddawaj się. Bądź silna dla Cammie Wyrzuć tego potwornego herolda śmierci z powrotem do jego legowiska. Potrafisz to zrobić, Valerie. Odpierasz jego ataki od kiedy sięgniesz pamięcią. Nie pozwól zwyciężyć temu ohydnemu stworowi. To tylko wytwór twojej wyobraźni, nic więcej. Trzymaj się, Val. Na litość boską, trzymaj się...

Nabrała powietrza, postanawiając nie dać się pochłonać ciemności i strachowi, choć jej serce biło jak oszalałe, a krew skrzepła w żyłach.

Bentz nadal coś mówił, ale Val ledwie słyszała jego nieporadne próby wyrażenia żalu. Głos policjanta dochodził do niej jakby z głębi tunelu, choć stal się nieco wyraźniejszy, gdy się otrząsnę-

ła z mrocznych myśli, wróciła do rzeczywistości i postanowiła opanować słabość.

- Musiała zająć jakąś pomyłką - oświadczyła. Jednakże wypowiadając te słowa w pośpiechu, coś pojęła. Pojawiła się okrutna, ostra świadomość wnikająca głęboko w umysł. Teraz stało się jasne, dlaczego nie miała wieści od Cammie. Przypomniała sobie ostatni, niedawno przeczytany mejl od siostry. „Po zastanowieniu stwierdziłam, że dłużej już tego nie zniosę. Opuszczam St. Marguerite's. Powód znasz”.

Ponura wizja w końcu ją opuściła, lecz serce nadal tłukło się w jej piersi, Atramentowa zjawą spłynęła z powrotem do najdalszych zakamarków umysłu, żeby tam czekać cierpliwie...

- Co się stało? - Głos Slade'a był wyraźny. Bentz zerknął na Montoyę i powiedział:

- Jeszcze nie jesteśmy pewni. Może lepiej wejdźmy do domu. Tam będzie spokojniej. Będziemy tam mieli więcej prywatności.

Poprzez pulsowanie krwi w uszach Valerie słyszała szum ruchu ulicznego. Kątem oka dostrzegła kolibra unoszącego się nad gałęzią kapryfolium i widziała, że otwierają się drzwi motelu, w których pojawiło się dwoje pięćdziesięciolatków - gości zajazdu. Wyszli na ganek i zatrzymali się tam, spoglądając w ich stronę. Mężczyzna poprawiał bejsbolową czapeczkę, kobieta szperała w plecionej z rafii torebce, lecz oboje nie spuszczaali wzroku z grupki stojącej przy płocie.

W tym momencie rozdzwoniły się kościelne dzwony, przypominając Val o siostrze zamkniętej za klasztorными murami, gdzie miała być taka bezpieczna.

Och, Cammie... nie...

Przypląnęły wspomnienia Camilli z dzieciństwa - z krzywymi zębami, wielkimi oczami i piegami na małym zadartym nosku. W dzieciństwie Camilla uwielbiała straszą siostrę. Potem się zmieniła. Jej nogi zrobiły się długie i zgrabne. Urosły jej piersi, które zauważali chłopcy. Kości policzkowe stały się wydatne, oczy były zawsze szeroko otwarte, a podbródek mocno zarysowany. Jej usta równie łatwo i szybko układały się w radosny uśmiech, jak i w ściśnięty, mały dziobek, przez co Camilla była jeszcze

bardziej fascynująca. Nawet dla Reubena Montoi - ciemnookiego twardziela, którego Valerie ledwo знаła, który został policjantem i który stał teraz przed nią.

Val, gdy go wreszcie rozpoznała, otworzyła usta ze zdumienia. Zniknęła brawura młodego rozrabiaki, ale mimo policyjnej odznaki nadal można było dostrzec cechy buntownika: kozia bródka, na którą z pewnością krzywo patrzyli przełożeni, w uchu kolczyk z brylancikiem, stanowiły dowód na to, że policjant często działał w przebraniu, że jak kameleon potrafił przemienić się w handlarza narkotyków, alfonsa lub jakąkolwiek inną osobę, w której światku zamierzał dokonać zatrzymania. Dzisiaj zjawiał się u Val, żeby przekazać jej niemożliwą do przyjęcia wiadomość na temat Camilli, z którą przed wielu laty był bardzo blisko.

Ciarki przeszły Val po skórze, gdy spojrzała w twardą twarz Montoi, próbując odczytać jego myśli.

- Pan ją znał. Znał pan moją siostrę.

Montoya skinął głową, tak mocno zaciskając usta, że wargi mu zbieleły.

- Ale zaraz, zaraz - rzuciła Valerie, której wróciła trzeźwość umysłu, gdy powiodła wzrokiem po skórzanej kurtce Montoi, jego T-shircie i džinsach. Prywatne ciuchy. - Detektywi? - Poczula gwałtowny skurcz żołądka. Ci policjanci nie byli zwykłymi funkcjonariuszami, których wysłano do bliskich ofiary z informacją o śmierci ukochanej osoby. - Prowadzicie śledztwo w sprawie zejścia mojej siostry? - Jej serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe. - Co się z nią, do diabła, stało?

- Proszę, pani Renard - odezwał się Bentz, patrząc na parę stojącą na ganku - wejdźmy lepiej do środka.

- O czym pan mówi? - spytała Val. - Zdarzył się jakiś wypadek? Gdzie? W klasztorze?

Ale w oczach Montoi ujrzała znacznie bardziej ponurą odpowiedź i zasypała ją lawina domysłów.

- Nie, to nie był żaden wypadek. - Jej głos był ochryply, zduszony. - Ktoś ją zabił?

Lub sama odebrała sobie życie.

Ale nie wymówiła tych słów, nie chciała wierzyć w żadną z tych ewentualności, łącznie z lodowatym przeświadczeniem, że ostatni mejl od Camilli mógł być wołaniem o pomoc lub listem samobójcy, który do Val dotarł zbyt późno.

„Nie zniosę tego dłużej.

Opuszczam St. Marg's.

Powody znasz”.

- Słodki Jezu - szepnęła Val, cała roztrzęsiona.

- Val - szepnął jej Slade do ucha i poprowadził w stronę otwartych drzwi domku. Przed wejściem, gwizdnął na psa, rzucając ostrzegawcze spojrzenie Montoi i Bentzowi. - Chodźmy do środka i posłuchajmy, co detektywi mają do powiedzenia.

W tonie jego głosu usłyszała coś, co spowodowało, że wyzwoliła się z mrocznej, dławiącej pętli oporu. Wyrwała rękę z uścisku męża i otrząsnąwszy się, w duchu nakazała sobie wziąć się w garść.

Bez względu na to, co się wydarzyło, nie da się złapać w pułapkę - nie będzie ofiarą, nie skorzysta ze wsparcia męża, któremu nie ufa, nie będzie dłużej ignorować faktu, że za niektóre lęki Cammie, za jej paranoje, odpowiedzialny był właśnie Slade Huston.

- Dam sobie radę - oświadczyła, odsuwając się od męża, kątem oka zauważając, że Bo idzie za nią. - Sama. - Ale ja tu jestem.

- Tak, a z jakiego powodu? - warknęła. - Dlaczego przyjechałeś akurat dzisiaj? Skąd ten dziwny zbieg okoliczności?

Nie czekając na odpowiedź, wyprostowała się i pomaszerowała do kuchni, nie zwracając uwagi na drzwi, które już miały się za nią zamknąć, ale Montoya, który szedł tuż za nią, przytrzymał je, zanim zdążyły się zatrzasnąć, po czym krótkim korytarzem wyłożonym starą boazerią ruszył do salonu. Val stanęła przy wygasłym kominku, plecami do czarnego od sadzy paleniska, zaś detektywi i Slade, niech go szlag, zatrzymali się przy wejściu tak, by nie wchodzić na spłowieły dywan.

Spojrzała na trzymaną w zaciśniętej dioni wizytówkę i odczytała nadruk, który potwierdził jej najgorsze obawy. Rick Bentz pracował w wydziale zabójstw. Serce w niej zamarło.

- Moją siostrę zamordowano? - szepnęła, wlepiając wzrok w Montoyę. - O Boże, nie. Proszę... nie.

- Przykro mi - rzekł Montoya, a Val poczuła, że kolana znów się pod nią uginają.

Nie, nie, nie! Patrzyła na Montoyę oczyma pełnymi piekących łez. Gwałtowną falą napłynęły dręczące, szarpiące duszę wspomnienia z przeszłości. Przypomniała sobie, że w liceum na Montoyę mówili „Diego”, i zrobiło się jej niedobrze.

- No więc jak? Zdążyłeś już aresztować swojego kolegę Franka OToole'a?

Montoya zacisnął zęby.

- Tego księdza? Dlaczego miałby go aresztować? - spytał Bentz. Slade przeszedł przez dzielący ich dywan, żeby stanąć obok Val. Ona zaś nie wahała się nawet przez sekundę.

- Bo jeśli ktokolwiek miał powód, żeby zabić Camillę, to ten obłudny sukinsyn. - Z trudem powstrzymywała płacz. Ileż to razy namawiała siostrę, żeby opuściła klasztor, żeby uciekła od Franka O'Toole'a, żeby zerwała z tym wszystkim raz na zawsze? Jej serce ścisnął bolesny skurcz, gdy sobie uzmysłowiła, że widać nie postarała się wystarczająco. Nie przekonała siostry swoimi argumentami. Cammie była cholernie uparta. Val owładnął gniew, a rozpacz wczepiła się pazurami w jej serce. - Może jeszcze tego nie wiecie ale Cammie jest... była... w ciąży. I zgadnijcie, kto jest ojcem?

Rozdział 10

Ten odosobniony, święty i bezpieczny klasztor zmienił się, już nigdy nie będzie taki sam. Lucia, idąc pospiesznie korytarzem, czuła tę stratę głęboko w sercu.

Nawet jeśli policja w końcu odjedzie, kaplica zostanie uprzątnięta, a nieszczęśliwa siostra Camilla spocznie w grobie i ucichną modlitwy odmawiane nad jej zwłokami, jeśli kamerzyści ze stacji informacyjnych i reporterzy przestaną się kręcić w pobliżu głównej bramy, klasztor St. Marguerite's i tak na zawsze został zhańbiony. I Lucia też ucierpi z tego powodu; do końca życia będzie musiała znosić ciężar przygniatający jej serce.

Ściskając palcami fałdy habitu, starała się odsunąć niepokój, który narastał w niej od chwili, gdy przebudziła się zeszłej nocy. Mimo snopów światła wpływających do sieni przez witrażowe okna usytuowane w pobliżu klatki schodowej nie opuszczało jej uczucie, że wokół czai się zło.

Promienie wschodzącego słońca słały wokół przyjemne ciepło.

Ale Lucia czuła w duszy śmiertelny chłód.

Noc miała niespokojną. O piątej rano wstała, by razem z pozostałymi zakonniceami uczestniczyć w porannych modlitwach w kaplicy. Następną godzinę poświęciła na rozmyślanie i odmawianie w ciszy różańca. Potem nastąpiło zakłócenie codziennej rutyny, ponieważ wszystkie siostry zostały wezwane do jadalni i ojciec Paul, ojciec Frank i matka przełożona z przejęciem mówili o siostrze Camilli i o tragedii, która się wydarzyła w obrębie świętych murów klasztoru. Świat zewnętrzny dokonał ataku na ich pobożność i świętość, toteż zakonnicom zalecono, by modliły się za duszę siostry Camilli oraz by szukały ukojenia i spokoju w opiece Ojca Świętego.

- Pamiętajcie - upominał łagodnie ojciec Paul z twarzą wyrażającą smutek - że jesteście oblubienicami Chrystusa. On wam pomoże przejść przez ten czas chaosu i żałoby.

Ojciec Frank w tym momencie zacisnął powieki, jakby chciał odsunąć od siebie jakieś osobiste wspomnienia. Matka przełożona spuściła głowę i zrobiła znak krzyża. Natomiast Lucia, przypomniawszy sobie leżącą na kamiennej posadzce siostrę Camillę, jej bladą twarz i sine usta, wcale nie czuła, że Bóg może zesłać na nią jakiegokolwiek pocieszenie. Z trudem przełknęła ślinę i w tej samej chwili napotkała udreżone spojrzenia ojca Franka, który

miał już na sobie inną sutannę, nie tę poplamioną krwią. Czy była to krew siostry Camilli? Czy ojciec Frank wiedział, że Camilla nosi w łonie jego dziecko?

Czy zdawał sobie sprawę, że Lucia tyle wie? Czując, że rumieniec oblewa jej policzki i szyję, Lucia w zakłopotaniu szybko odwróciła wzrok, lecz długo nie mogła zapomnieć przejmującego spojrzenia księdza.

Reszta spotkania prawie całkiem jej umknęła, choć pamiętała, że mówiono, iż policjanci wkrótce odjadą, a kaplica, w której znaleziono siostrę Camille, zostanie uprzątnięta i pobłogosławiona.

Zupełnie jakby modlitwy i woda święcona mogły wymazać zło. Lucia zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie mogła stanąć na kamiennej posadzce kaplicy lub patrzeć na zwisający ze sklepienia krucyfiks, nie mając w oczach martwego ciała siostry Camilli.

Później pozwolono zakonnicom spędzić godzinę na indywidualnych modlitwach i rozmyślaniach, po czym miały wrócić do swoich codziennych obowiązków.

W klasztorze panował ponury nastrój i wszyscy pogrążeni byli w smutnej zadumie.

Lucia zbiegła szybko po schodach, stukając obcasami w wypolerowane stopnie. Jej palce ślizgały się lekko po poręczy. Wiedziała, że nadeszła pora, by stąd odejść. Śmierć Camilli zapoczątkowała tylko serię wydarzeń, które doprowadzą do ruiny klasztoru. Lucia zastanawiała się, czy nie o to właśnie chodziło mordercy. Może zabicie Camilli było przesłaniem lub zemstą? Lucia myślała o słodkiej, udęconej Camilli. Miały ze sobą tyle wspólnego, zarówno w klasztorze, jak i w świecie zewnętrznym, począwszy od tego, że w dzieciństwie wychowywały się w tej samej dzielnicy Nowego Orleanu, a kończąc na tym, że umawiały się z chłopcami, którzy byli braćmi... To wspomnienie doprowadziło jej myśli do Cruza.

O słodki Jezu, za nic nie chciałyby znów go zobaczyć. Wystarczyła rozmowa z jego starszym bratem detektywem. Rodzinne podobieństwo sprawiło, że miała ochotę uciekać na

koniec świata. Cruz Montoya był jedyną osobą, która знаła jej tajemnice, jedynym człowiekiem, który dotknął jej duszy, i mężczyzną, który omal jej nie zabił. Serce załomotało jej w piersi. Czy to strach... czy może raczej ekscytacja? Czasami, gdy wspominała przeszłość, gdy myślała o Cruzie i o tym, co jej zrobił, miała w głowie straszliwy zamęt, pojawiały się niebezpieczne zmysłowe obrazy. Oczyma wyobraźni widziała śniadą skórę, ciemne włosy gęsto porastające muskularną pierś i brzuch. Ogarniało ją gorąco na wspomnienie dżinsów, opuszczonych nisko na biodra, na wspomnienie spranego drelichu opinającego pośladki.

- Przestań! - mruknęła do siebie. Te skandaliczne myśli były gorsze od grzechu. Teraz była zaręczona z Kościołem, była oblubienicą Chrystusa i nie powinna myśleć w zmysłowy sposób o żadnym śmiertelniku. A zwłaszcza nie powinna myśleć o Cruzie Montoi, który złamał jej serce. Brat detektyw był tak podobny do Cruza... Ten widok wywołał efekt domina, przywołując obrazy i wspomnienia, które już dawno temu zakopała w najgłębszych zakamarkach umysłu. - Daj mi siłę - szepnęła, mimo że pamięć podsuwała wspomnienie kpiącego uśmieszku Cruza, szatańskiego błysku w jego ciemnych oczach. Krew w niej wrzała, więc surowo zganiała się w duchu. - Dość tego!

- Pani siostra była w ciąży? - Montoya wpatrywał się w Valerie Renard oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

Jej oryginalny, przerobiony ze stajni domek łączył z motelem wąski korytarz.

- Tak - potwierdziła napiętym głosem Val. Zmarszczki w kącikach jej ust zbieleły. - Wdała się w romans z Frankiem O'Toole'em. - Jakby domyślając się następnego pytania, dodała: - Wiem, wiem. Ona była zakonnicą, on księdzem i oboje złożyli śluby czystości, ale Camilla była w ciąży. - Valerie poczuła, że coś w niej pęka, więc kilka razy z trudem przełknęła ślinę i oparła się o gzyms wystygłego kominka. - To znaczy... to znaczy... ona... O Boże, to niemożliwe, żeby naprawdę nie żyła...

Slade już chciał ją pocieszyć, ale Val się przed tym wzbraniała; podniosła rękę, żeby się od niego odgradzić. Wzrokiem znów odnalazła oczy Montoi.

- Pamięta pan Franka z liceum, prawda? Podrywacza? Wygląda na to, że sutanna niewiele w nim zmieniła. Zresztą to nie pierwszy raz - rzuciła oskarżycielskim tonem. - Camilla mówiła, że miał wcześniej romans z inną zakonnice. Miała na imię... O Boże, jak ona miała na imię? - Val spojrział w sufit, jakby tam szukała odpowiedzi.

- Romans z inną zakonnice? - spytał Bentz z niedowierzaniem w głosie. Uważał, że Valerie jest w szoku. Że histeryzuje. Valerie skinęła głową.

- Jestem pewna, że Camilla o tym mi wspominała.

- Przypomina sobie pani imię tej zakonnicy?

- Nie... och, zaraz, zaraz. Coś jak Lily albo Leanne... Nie, nie mogę sobie przypomnieć. - Val pociągnęła nosem, odchrząknęła, zdławiła łzy i zduszonym głosem zapytała: - Co on jej zrobił? Policjanci milczeli, więc oświadczyła szorstko:

- Chcę to wiedzieć.

- Chyba została uduszona - odezwał się Bentz. - Nie znamy jeszcze rzeczywistego powodu zgonu, ale... na razie tak to wygląda.

Val mocno zacisnęła powieki z wyrazem ogromnego bólu, jakby wyobraziła sobie piękną twarz siostry z wytrzeszczonymi oczyma i ustami z trudem łapiącymi powietrze.

- Udusił ją?

- Więcej szczegółów poznamy później - wyjaśnił Bentz.

- Gdzie? - Val zwróciła się do Montoi. - Gdzie to się stało?

- W kaplicy klasztoru St. Marguerite's, zdaje się, że około północy - odparł Montoya. - I to na razie wszystko, co możemy powiedzieć.

- Chodzi o moją siostrę. - Głos Val przeszedł w niski szept. Montoya skinął głową.

- Rozumiemy, ale dopóki nie zdobędziemy pewności, nie możemy powiedzieć nic więcej.

Valerie zdawała się to akceptować, choć jednocześnie mrugała, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Prostowała ramiona, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- A pan tu nie mieszka, prawda? - zwrócił się Bentz do Slade'a. W końcu dodał dwa do dwóch.

- Przyjechałem z Teksasu zeszłej nocy.

- Czyli mieszka pan w Teksasie?

Slade skinął głową, a Valerie wyglądała tak, jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Pani mieszka tutaj, w Nowym Orleanie? - kontynuował przesłuchanie Bentz.

- Tak... Slade i ja jesteśmy w separacji.

- Jak rozumiem, pan znał Camille Renard. Jak dobrze? - zapytał Montoya, zwracając się do Slade'a.

- Była moją szwagierką - odrzekł Huston, śmiało spoglądając detektywowi w oczy.

Valerie pomyślała o romansie męża z Camillą i pobladała.

- Byliście ze sobą życzliwi? - pytał Bentz. Slade wzruszył ramionami.

- Jak to w rodzinie. Camilla przez jakiś czas z nami mieszkała.

- Kiedy to było? - Bentz wyciągnął swój notatnik.

- Klika lat temu - odpowiedział Slade.

- Zanim wstąpiła do klasztoru? - Bentz znalazł długopis i zaczął notować.

- Tak.

- Czy mogę ją zobaczyć? - przerwała im Valerie.

- Oczywiście - potwierdził Montoya, choć w duchu uważał, że to nie jest najlepszy pomysł. Tym bardziej że ciało zostało już zidentyfikowane. - Ale najpierw musimy zadać państwu kilka pytań. Val, co pani wie o znajomych siostry? Miała jakichś wrogów? Może przychodzi pani na myśl ktoś, kto mógłby chcieć ją zabić?

- Ma pan na myśli kogoś poza Frankiem O'Toole'em, tak? - burknęła Val, znów ogarnięta wściekłością.

- Jeszcze raz powtarzam, że nikt nie miał większego powodu, żeby zabić moją siostrę, niż ten tchórzliwy sukinsyn kryjący się za tą przeklętą sutanną.

On ją uwiódł, zapłodnił, a kiedy Camilla chciała z nim zerwać, zabił, żeby ją uciszyć. Koniec historii.

- Zaraz, zaraz - wtrącił się Bentz. - Siostra próbowała z nim zerwać?

- Tak. - Val kiwała głową, łykając łzy. Bentz rozpoznał to po sposobie, w jaki zaciskała zęby. -

Ostatnim razem, kiedy rozmawiałyśmy przez telefon, powiedziała: „Muszę się z tego jakoś wypłatać”.

A potem wiecie, co dodała? - spytała Val z oczyma lśniącymi od łez.

Bentz i Montoya czekali.

- Ze to się jemu nie spodoba. Że ją zabije. - Val pociągnęła nosem i gniewnym ruchem otarła oczy. - I nie żartowała. Mówiła poważnie. - Val ciężko przełknęła ślinę, oczy miała zaczerwienione.

- Czy wie pani coś o tym, by Frank jej kiedykolwiek groził? -zapytał Montoya.

- Nie... Camilla nie przekazała mi szczegółów. - Val mocno zamrugnęła, cały czas walcząc z napływem łez, po czym wbiła w Montoyę przenikliwe spojrzenie. - Nie wiem, na czym polegał ich związek poza tym, że był niemoralny, nieetyczny i Bóg wie jaki jeszcze. Molestowanie seksualne to zbyt mało, żeby określić, co tam się działo! - Val zrobiła krok przed siebie. Slade chwycił ją za rękę, ale go odtrąciła. -

Posłuchajcie, macie do czynienia z chorym, narcystycznym psychopatą, którego Camilla przeraźliwie się bała. Powtarzała, że boi się, iż Frank zabije ją i ich nienarodzone dziecko tylko po to, żeby ocalić swoją reputację! - W jej oczach znów pojawiły się łzy. - Jeśli mi nie wierzycie, skontaktujcie się z

lekarzem sądowym. On przecież stwierdzi, że Camilla była w drugim lub trzecim miesiącu ciąży.

Rozdział 11

Chcę wiedzieć wszystko, co się da o Francisie O'Toole'u - mówił Bentz do komórki, podczas gdy Montoya, wdeptując pedał ga-

zu, przedzierał się pędem przez zakorkowane miasto. Szyby były spuszczone i zapach spalin z wielkiej ciężarówki wpychającej się na siłę na inny pas mieszał się z unoszącą się w powietrzu wonią potraw z grilla. - Nie, nie znam jego drugiego imienia, ale to nie powinno być trudne do ustalenia. Ma około trzydziestu pięciu lat, jest księdzem w St. Marguerite's i chyba jakieś dwadzieścia lat temu uczęszczał do prywatnej szkoły St. Timothy's w naszym mieście.

Montoya skinął głową, po czym, gdy dostrzegł wystarczającą ilość miejsca, wyminął smrodzącą ciężarówkę tylko po to, by na następnych światłach zatrzymać się obok niej i nadal chłonąć wydobywający się z jej rury wydechowej czarny dym.

Bentz, który przez kilka następnych minut w milczeniu wysłuchiwał tego, co miał mu do przekazania jeden z młodszych detektywów, rzekł wreszcie:

- I dowiedz się wszystkiego, co zdołasz, na temat siostry Leanny albo Lily, która opuściła klasztor St. Marguerite's w ciągu kilku ostatnich lat... Nie, jeszcze nie, ale to sprawdzę. Może ktoś poda nam jej nazwisko. Ale i tak odnalezienie jej nie powinno nastęrczać problemów. W końcu w naszych czasach do klasztorów nie przybywa aż tyle nowicjuszek... Tak.

Światła się zmieniły i Montoya wyprysnął do przodu, pozostawiając w tyle wielką ciężarówkę, której kierowca zdążył dopiero wrzucić bieg.

- Jest jeszcze jeden facet, na temat którego też potrzebuję informacji - mówił Bentz, w chwili gdy Montoya nacisnął ostro na hamulec, zwalniając przed jakimś dupkiem, który przecinał zapchaną czteropasmową ulicę na czerwonym świetle. - Nazywa się Huston... Właśnie, dokładnie tak jak miasto. Na imię ma Slade. Mieszka w Bad Luck w Teksasie... Co? Tak, wiem, ale on przysięga, że to miasto tak się nazywa. Jest mężem siostry ofiary i bardzo możliwe, że coś go łączyło z samą ofiarą... Tak, wiem, ale to było, zanim wstąpiła do klasztoru - tłumaczył Bentz, krzywiąc się oślepiiony słońcem wpadającym przez przednią szybę. -Aha, no faktycznie nie jest to musical *Dźwięki muzyki*. Kapuję.

Okej... Jedziemy teraz do kostnicy. Możesz mnie tam łapać na komórkę. - Bentz się rozłączył i zaklął cicho pod nosem. - Myślisz, że szwagier ma coś wspólnego ze sprawą? - zapytał Montoya.

Bentz wzruszył ramionami.

- Jechał całą noc. Sam. Nie ma alibi. Zjawia się akurat w noc, kiedy ginie ofiara. Pomiedzy nim a żoną wyczuwa się jakieś napięcie, a poza tym zgodnie z tym, co sam powiedział, Camilla Renard zamieszkała z nimi, a potem nagle zrobiła się okropnie religijna i wstąpiła do klasztoru. Zbieg okoliczności? Nie sądzę.

- Może masz rację.

- Uważam tylko, że musimy go sprawdzić.

- Nie pasuje do sukni ślubnej.

- A co do niej pasuje? - Bentz z gniewnym wzrokiem wyjrzał przez okno na ulicę.

Montoya jakoś nie widział w kowboju mordercy, choć z drugiej strony nie sądził, aby zabójcą był Frank OToole.

- Wiesz co - odezwał się Bentz, drapiąc się po brodzie, na której zaczynał się już pokazywać cień zarostu. - Klasztory, kaplice i katedry to są wszystko dobre miejsca. No wiesz, takie, do których ludzie chodzą, żeby się pomodlić i... - Policjant pokręcił głową. - Kilka zgniłych jabłek, okej, zgadzam się. Ale generalnie duchowni są porządni i bogobojni - dodał i zerknął na partnera.

- Generalnie - zgodził się Montoya, choć on i Bentz niejedną raz spotykali się z przykładami wypaczania religii i wiary, które zamieniały się w narzędzia zła. - Cały kłopot tkwi w tym, że kościoły to tak naprawdę ludzie. - Przesłuchiwałem wczoraj ojca Paula Nelanda.

- Tak? I co?

- Oczywiście był wstrząśnięty, ale nie odniosłem wrażenie, żeby przepadał za tym młodszym księdzem. I nie chodzi o to, co mówił, a raczej o to, czego nie powiedział. Ciekawe, czy wiedział o romansie? - Może OToole u niego się spowiada.

- To by dopiero była popieprzona sytuacja. Moim zdaniem, kiedy media ujawnią, że OToole sypiał z jedną z zakonnicek, Kościół będzie się chciał go pozbyć. Za dużo złej prasy. Archidiecezja nie będzie broniła kolejnego księdza, który się zabawiał z nowicjuszkami. - Bentz znów wyjrzał przez okno. Potem odezwała się jego komórka, więc podniósł ją do ucha i słuchał.

- Okej, rozumiem. - Rozłączył się i spojrzał na Montoyę. - To była Zaroster z informacją, że wieści się już rozeszły. WKAM puściły je w południe. O morderstwie mówią już wszystkie stacje, a w komisariacie urywają się telefony.

- Cholera. Strasznie szybko. Dopiero co poinformowaliśmy rodzinę.

- Wiem - mruknął Bentz, marszcząc czoło. - Ale zamordowana zakonnica to hit. Wielki hit.

Siostra Lucia pchnęła wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni i dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że przychodzi za późno. Ze się spóźniła. Myśli o Cruzie zbladły, gdy weszła do przestronnego pomieszczenia.

Kilka zakonnicek przygotowywało już popołudniowy posiłek i w kuchni roznosił się zapach pieczonego chleba. Lucia dostrzegła gniewne spojrzenie kucharki Reginy, która chyba nigdy się nie uśmiechała. Stojąc przy olbrzymim żeliwnym piecu, gdzie dosypywała przypraw do garnka, Regina swą postawą przekazywała Lucii milczącą dezaprobatę.

Była to dość tęga kobieta z cienkimi, siwymi włosami, splecionymi w warkocz owinięty wokół głowy, i nosząca za duże okulary z fotochromowymi szklami, które w pomieszczeniach powinny być jasne, ale zawsze pozostawały nieco zaciemnione. W efekcie oczy kucharki ukryte za wypukłymi soczewkami wydawały się mroczne i jakby martwe.

Niedaleko niej stała siostra Irena, która małym nożykiem kroїła nad zlewem truskawki. Nożyk w jej rękach poruszał się szybko, światło odbijało się w jego ostrzu.

Lucia szybko włożyła fartuch i zajęła swoje miejsce przy gładkim marmurowym blacie, na którym siostra Angela i siostra Devota

miesiły ciasto. Angela zerknęła na Lucię i uśmiechnęła się do niej, ale Devota, zanurzając palce w cieście, nie przerwała swej pracy.

Te dwie zakonnice różniły się od siebie jak dzień i noc. Angela z rumianymi policzkami, jasnymi włosami, oproszonymi mąką okularami i ustami skorymi do uśmiechu zawsze sprawiała wrażenie szczęśliwej, mimo że bywała trochę ospała. Miała tendencję do zapominania o zasadach i często wpadła w kłopoty z tego powodu, między innymi wtedy, gdy podśpiewywała pod nosem, kiedy powinna zachować milczenie, lub zamiast kroczyć statecznie, biegła przez ogród. Dyscyplina stanowiła dla niej problem, a już opanowanie wrodzonej impulsywności wydawało się niemożliwością, co zresztą ogromnie frustrowało matkę przełożoną.

Devota natomiast była wysoką, spokojną kobietą, która, przynajmniej zdaniem Lucii, ciągle zmagала się z kwestią poczucia własnej wartości. I choć miała ładną twarz, gęste, kręcone włosy i wyjątkowy uśmiech, Devota nigdy nie zapomniała o tym, że kuleje, co było wynikiem jakiegoś wypadku w dzieciństwie, o którym zakonnica nigdy nie mówiła. Nic dziwnego więc, że z własnej woli wiele czasu spędzała, pomagając w klinice w St. Elsinore's. Devota nie miała problemu z przestrzeganiem zasad i chętnie przypominała innym, w tym również siostrze Angeli, że powinni być posłuszni i pobożni.

- Spóźniłaś się - warknęła Regina i spojrzała na stary zegar zawieszony na ścianie nad drzwiami. - Znowu.

- Przepraszam - odparła Lucia.

Kąciki ust kucharki opadły jeszcze niżej na znak, że przeprosiny nic nie pomogą. Regina wręcz gromiła wzrokiem Lucię, która nie zamierzała się tym teraz przejmować.

- Brakuje nam mąki - dodała Regina szorstkim tonem, po czym zajrzała do garnka, w którym bulgotał rosół.

Angela i Devota zerknęły w stronę Lucii. Angela wymownie wywróciła oczami, a Devota wzruszyła ramionami; pod drzwiami spiżarni stał jeszcze nienapoczęty ośmiokilogramowy worek mąki.

- Słyszałaś, co powiedziałam? - spytała Regina tak groźnie, że w kuchni zapadła pełna napięcia cisza.

Nawet siostra Irena przestała kroić truskawki, żeby spojrzeć przez ramię. Wysoka i szczupła, przed wstąpieniem do klasztoru chciała zostać tancerką i nadal związywała włosy w upięty wysoko koczek, co jeszcze bardziej uwydatniało ostrość jej rysów.

- Tak - odparła Lucia, kiwając głową. - Zaraz ją przyniosę.

- Przecież mamy dodatkowy worek - zauważyła Irena, która nieco sepleniała, ale za to nikogo się nie bała, włącznie z samą matką przełożoną. Dlatego teraz też nie wystraszyła się kłótni z kucharką. - Widzisz... stoi tam. - Końcem noża wskazała worek oparty o drzwi spiżarni.

Regina lekko się zaczerwieniła, lecz zarazem jeszcze bardziej napięła mięśnie twarzy.

- Potrzebujemy więcej - oświadczyła przez zaciśnięte zęby. - Spodziewamy się gości, więc będę piekła pewnie przez cały dzień!

- To nie powód, żeby tak warczeć na siostrę Lucię - upierała się przy swoim siostra Irena. - Wszystkie jesteśmy dzisiaj zdenerwowane. Przygnębione. Wystraszone. Załamane śmiercią biednej siostry Camilli. Nasz dzień nie będzie dzisiaj układał się tak gładko jak zazwyczaj - dodała, wydymając lekko usta i kiwając głową, jakby zgadzała się sama ze sobą.

Zdumiona, że ktoś śmie jej się sprzeciwić, Regina odrzekła:

- Mamy mnóstwo pracy bez względu na to, co się wydarzyło w nocy. Bożej pracy.

- Więc wykonujmy ją razem. W przyjaźni. Duchowo - zasugerowała Irena, opuszczając nożyk.

Angela z trudem kryła uśmiech i nawet Devota lekko uniosła brwi, zaskoczona konfrontacją.

- Ale przecież nie ma problemu. Zaraz przyniosę tę mąkę. - Lucia już szła w stronę drzwi prowadzących na zewnątrz.

Irena odwróciła się z powrotem do miski z truskawkami. Regina, która nie przestawała mieszać rosółu, wyglądała tak, jakby miała ochotę gryźć własne paznokcie. Angela i Devota powróciły do wyrabiania ciasta na chleb na następny dzień.

Ty nie należysz do tego miejsca i dobrze o tym wiesz. Dokuczliwy głos w głowie przypominał Lucii, że jej oddanie życiu klasztornemu jest słabsze niż większości zakonnice, że w porównaniu z nimi jej pobożność mocno kuleje. Angela, Devota, Irena i Dorothy sprawiały wrażenie o wiele bardziej oddanych Kościołowi, ich wiara była tak silna, że chyba nic nie mogłoby jej zachwiać. Nawet Regina, zrzędliva kucharka, osoba świecka, zdawała się mieć więcej wiary i ufności w Boga niż Lucia.

- Wybacz mi, Panie - szepnęła Lucia i, zrobiwszy szybko znak krzyża, ruszyła żwirową ścieżką prowadzącą przez ogródek ziołowy do magazynu z żywnością. W ciepłym powietrzu unosił się zapach lawendy i rozmarynu, a promienie słońca odbijały się w schnących kałużach, które powstały na ścieżce nocą w czasie deszczu.

To był dobry dzień. Ciepły. Dzień wypełniony bożą łaską.

A jednak nic nie mogło rozproszyć mroku w sercu Lucii.

Drzwi do spiżarni uchyliły się ze skrzypieniem. W środku było chłodniej niż na zewnątrz. Słoiki i puszki stały w rzędach na półkach, a worki z cukrem i mąką w szczelnie zamkniętych skrzyniach. Lucia otworzyła jedną z nich i wyciągnęła ze środka ośmiokilogramowy worek z mąką. Zarzuciła go sobie na ramię i ruszyła do wyjścia.

Szykując się na kolejne starcie ze zrzędliwą kucharką, usłyszała krakanie wrony, zanim ją jeszcze spostrzegła - lśniące czarne ptaszysko przyglądało się jej bacznie z dachu kaplicy.

- Siostra Lucia? - zapytał męski głos.

Lucia, wchodząc nieopatrznie w kałużę, szybko się odwróciła i w furtce ogrodowej ujrzała ojca Franka.

- Och... ojcze... - szepnęła. - Nie... nie zauważyłam ojca. - Oczyma wyobraźni zobaczyła go takim, jakim go widziała zeszłej nocy: z mokrymi od deszczu włosami, z twarzą wykrzywioną groźnym grymasem, z krwią ściekającą z sutanny

- Pomogę siostrze - zaproponował ojciec Frank i szybko pokonał dzielącą ich odległość. Furtka za nim zamknęła się z trzaskiem, co spłoszyło wronę, która odleciała z głośnym krakaniem. Ksiądz z

łatwością dźwignął ciężki worek. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać. - Mączny pył pobielł mu ramię i ojciec Frank uśmiechnął się niechętnie. - Zeszłej nocy byłem zdenerwowany i powiedziałem siostrze, że śmierć siostry Camilli to moja wina. - Wyraz twarzy kapłana nasuwał na myśl zranione, wystraszone zwierzę. - Chyba powinienem to wytłumaczyć.

- Nie musi się ksiądz z niczego tłumaczyć - szybko odparła Lucia i w tej samej chwili chmura przysłoniła słońce i na ogród padł upiorny cień.

- Ależ muszę, Lucio. - Wolną ręką ojciec Frank dotknął ramienia zakonnicy, a ciepło jego palców przesączyło się przez ciemną tkaninę jej habitu. Oczy mężczyzny wpatrywały się w nią w sposób, który wprawiał ją w ogromne zakłopotanie.

Lucia skurczyła się w sobie. Nie chciała, żeby ojciec Frank jej dotykał, i nie chciała być powierniczką jego zwierzeń. To on był spowiednikiem, nie ona. Wrona, teraz bardziej ośmielona, przysiadła na rynn timer nad kuchnią.

Omen?

Lucia poczuła na plecach zimny dreszcz, jakby patrzył na nią sam Szatan.

- Musisz mi uwierzyć - odezwał się ojciec Frank zduszonym szeptem. - To nie ja zabiłem siostrę Camille. Ja... ja bym nigdy tego nie zrobił. - Duchowny przymknął na chwilę oczy, a Lucia poczuła na włosach silniejszy powiew wiatru. - Niech Bóg mi wybaczy, Lucio - ciągnął ojciec Frank, mocno mrugając, jakby walczył ze łzami - ale ja ją kochałem.

Rozdział 12

Valerie popełniła błąd, pozwalając Slade'owi, by zawiózł ją do kostnicy.

Jego furgonetka stała zaparkowana za jej subaru, a on upierał się, że chce uczestniczyć w tym szaleństwie. Tak więc, zostawiwszy Bo z zaszokowaną Freyą, udali się starym fordem do szpitala.

Slade jechał za wozem policyjnym, a Valerie, zatopiona w myślach o Cammie, ledwie zwróciła uwagę na znajomy zapach kurzu i skóry wewnątrz pick-upa. Odsunawszy stopą leżący na podłodze pas na narzędzia, zagapiła się w poznaczone śladami po psim nosie i łapach okno pasażera, w którym odbijała się niewyraźnie jej blada twarz.

Prawie nie pamiętała, jak i kiedy przejechali przez miasto, lecz gdy wysiadała z furgonetki, usłyszała bicie dzwonów kościelnych, których ponury dźwięk niósł się od katedry St. Marguerite's odległej o pół kilometra.

Słońce bawiło się ze światem w chowanego. Po niebie wolno płynęły chmury, rozciągając nad Nowym Orleanem cień podobny do smogu. Valerie zadrżała, gdy dotarli do tylnych drzwi szpitala i weszli do środka, gdzie wszyscy mówili półszepem, a odgłos kroków tłumiała szara wykładzina. Ona i Slade w milczeniu podążali schodami w dół za parą detektywów na najniższy poziom szpitala. Żołądek Val skurczył się, gdy po pokonaniu krótkiego korytarza przeszli przez dwuskrzydłowe drzwi. W kostnicy było chłodno.

Pomimo że stała za grubą, szklaną szybą, Valerie czuła panujące za nią zimno. Objęła się ramionami, a jej w głowie jakiś głos wciąż powtarzał z niedowierzaniem: „To jakaś pomyłka, musieli się pomylić przy identyfikacji zwłok. Cammie nie umarła. To niemożliwe. Nie piękna, promienna, wesoła Cammie. Nie ona!”

Gdy ktoś z personelu zsunął prześcieradło z twarzy Camilli, pod Val ugięły się kolana. Piękna twarz Cammie, sina po śmierci, skierowana była w górę.

Val wydała głośny okrzyk sprzeciwu.

Slade natychmiast objął ją ramionami, podtrzymując, by nie upadła, a ona wpatrywała się w leżącą na stole prosektoryjnym kobietę, jej jedyną siostrę, tak młodą...

- Och Boże - szepnęła. Prawda przeszła jej serce jak brzytwa; nie mogła dłużej zaprzeczać oczywistości. Łzy piekły ją w oczy, wnętrzności drżały. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje.

- To sukinsyn - mruknął Slade. Jego zamazane odbicie majaczyło na szybie; zaciśnięte, nieogolone szczęki, poblądłe, wąskie usta, zmrużone oczy zachodzące na wyraźniejszy obraz nieżyjącej kobiety. Cóż za ironia, że Slade tu był, a jego wizerunek nakładał się na okryte prześcieradłem martwe ciało Cammie.

Po tym wszystkim, co przeszli. Po tych wszystkich kłamstwach. Oskarżeniach. Po tylu cierpieniach. Val nie umiała odpędzić myśli, czy w związku ze śmiercią Camilli Slade ma jakieś wyrzuty sumienia. Bo powinien.

Ona je miała. Oboje ze Slade'em przyczynili się do upadku Cammie.

- Powinam była coś zrobić - szepnęła.

- Na przykład co?

- Powinam ją była chronić.

- To przecież niemożliwe. - Slade skinął głową na pracownika kostnicy, który szybko naciągnął prześcieradło na twarz zmarłej. Potem odciągnął Val od szyby i wyprowadził na korytarz, gdzie czekali detektywi.

Ile razy, gdy pracowała w policji, Val znajdowała się w ich sytuacji, czekając na moment, aż będzie mogła przesłuchać najbliższych ofiary, i licząc, że choć są pogrążeni w rozpacz, zdoła wyciągnąć od nich jak najwięcej informacji?

- Możemy porozmawiać z panią tutaj albo, jeśli pani woli, na komendzie - zaproponował Bentz.

- Możemy rozmawiać tutaj - odparła Val i potarła oczy tak, by wyglądało, że usuwa z nich jakiś pyłek.

- W porządku. Na końcu korytarza jest pokój. - Bentz poprowadził ich wyłożonym wykładziną korytarzem do małego pomieszczenia z trzema krzesłami i doniczka z przywiedłą palmą ustawioną przy oknie. Było to miejsce, w którym lekarze rozmawiali z pacjentami lub z ich najbliższymi. Na zewnątrz niebo było zaciągnięte szarymi chmurami, co zapowiadało deszcz.

Bentz wskazał krzesła i sam usiadł, czekając, aż Montoya zamknie drzwi i stanie obok ginącej rośliny.

- A więc zaczynajmy. Proszę nam powiedzieć, co pani wiadomo o romansie między ojcem O'Toole'em a pani siostrą.

- Oczywiście powiem wszystko, co wiem - odrzekła Valerie - ale niestety jest tego niewiele. - Streściła detektywom przebieg swojego spotkania, jakie miała z Cammie mniej więcej przed miesiącem, dodając, że wówczas siostra powiadomiła ją, że jest w ciąży, że ojcem jest ksiądz i że myśli o opuszczeniu klasztoru.

- Ale nie zrobiła tego - dopytywał się Montoya.

- Nie, wtedy nie... - Val chrząknięciem oczyściła gardło, każąc sobie zarazem „wziąć się w garść”, jak radził obu siostronom ich ojciec zawsze, gdy przychodziły do niego z jakimś problemem. - Nie zdążyła tego zrobić przed śmiercią. Ale napisała do mnie mejl. To była krótka wiadomość, w której wyjaśniała, że dłużej nie zniesie tej sytuacji, cokolwiek by to miało oznaczać, że opuszcza klasztor i że ja znam przyczynę. Domyślałam się, że chodziło o ciążę.

- Kiedy otrzymała pani tę wiadomość?

- Wczoraj w nocy. Późną nocą. Martwiłam się o Cammie i... -I powinnaś była do niej pojechać. Może byś ją uratowała. Oskarżenia przelatywały przez jej głowę, choć rozumiała, że to nie jest odpowiednia pora na takie myśli. Przecież kiedyś była policjantką, znajdowała się na miejscu Bentza i Montoi, pokazywała najbliższym członkom rodziny zmarłych, przesłuchiwała ich, wypytywała o wszystko, co wiedzieli. I dlatego, chcąc pomóc policjantom, starała się odsunąć na bok wyrzuty sumienia.

Opowiedziała o wszystkim, co pamiętała od chwili, gdy ona i Cammie zostały adoptowane, mówiła o trudnych i traumatycznych latach szkolnych. Val znała reputację Franka O'Toole'a i pamiętała, że siostra umawiała się na randki z Reubenem Montoyą. Przyznała, że ona i Camilla w ostatnich latach oddaliły się od siebie, że powodem tego było częściowo jej małżeństwo ze Slade'em, mężczyzną, którym Camilla w pewnym momencie wyraźnie się zainteresowała.

Przypomniała również detektywom o drugiej zakonnicy, która rzekomo też miała romans z O'Toole'em, choć nadal nie potrafiła podać jej imienia ani powiedzieć, co się z nią stało. Nie

umiała też stwierdzić, czy ta osoba nie była tylko wymysłem zazdrosnej Camilli.

- A więc... - Bentz przeniósł uwagę na Slade'a akurat w chwili, gdy krople deszczu zaczęły cicho stukać w okno. - Pan był ostatnim mężczyzną, z którym ofiarę łączył bliższy związek przed jej wstąpieniem do zakonu?

- Nie łączył nas bliższy związek. - Spojrzenie Slade'a było twarde, słowa stanowcze. - Camilla była wyłącznie moją szwa-gierką.

- Ale ona... co właściwie ona robiła? Zalecała się do pana? -Bentz, oczekując wyjaśnień, spojrzał na Valerie.

- Można tak powiedzieć - zgodził się Slade i zerknął na żonę. - Flirtowała ze mną.

- Proszę uściślić, co znaczy słowo „flirtowała” - poprosił Montoya.

Slade miał na tyle przyzwoitości, że zrobił zakłopotaną minę.

- No przecież wiecie. Robiła pewne gesty, rzucała spojrzenia, wydymała usta.

- W pani obecności? - spytał Bentz, który popatrzył na Valerie, marszcząc czoło. Pokręciła głową.

- Nie. Ja nigdy tego nie widziałam.

- A co pani widziała?

Val westchnęła i spojrzała w okno, po którym deszcz spływał teraz zygzakowatymi strużkami.

- Widziałam zagubioną kobietę i mężczyznę, który jej nie zniechęcał.

- Jezu, Val, przecież to wcale nie było tak! - Slade, nachmurzony, gwałtownie pokręcił głową. -

Camilla kłamała. Zarzekała się przed Val, że to ja ją podrywałem. - Slade westchnął głęboko i z niesmakiem wydmuchnął powietrze przez nos. - Ale tak nie było.

- Proszę w takim razie opowiedzieć, jak było naprawdę -odezwał się Bentz.

- Po naszym ślubie, nie wiem, gdzieś tak po roku, Camilla przyjechała do nas w odwiedzin i została jakiś miesiąc. Już wtedy wydawała się mną zainteresowana, ale okazywała to jeszcze

bardzo subtelnie. Przy następnej wizycie nie była już jednak tak subtelna. Szukała mojego towarzystwa. Podrywała mnie, gdy byłem sam, podczas pracy na farmie. Rzuciła wtedy pewne sugestie, które potem zbywała śmiechem. - Slade nie unikał wzroku Bentza. - Mężczyzna wie, kiedy kobieta jest nim zainteresowana. Zwłaszcza taka kobieta jak Camilla.

- Camilla była piękną kobietą. Slade nic na to nie odpowiedział.

- Mówił pan o tym wszystkim żonie?

- Nie. - Slade zmarszczył brwi, a Valerie zapragnęła nagle odsunąć się od niego jak najdalej. - Przynajmniej nie na początku.

- To Camilla przyszła z tym do mnie - wyznała Val. - Przysięgała, że Slade próbował zaciągnąć ją do łóżka. - Kłamała. - Slade był niezłomny. Nawet nie drgnął.

- Uwierzyła jej pani? - Bentz przepytывał Valerie, podczas gdy Montoya uważnie przyglądał się jej mężowi.

- Uwierzyłam i zapytałam o to Slade'a. Twierdził, że było odwrotnie.

- Bo było. I nie, nie pobiegłem do żony, by naskarzyć jej na siostrę. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co mam zrobić. Bomba wybuchła około Bożego Narodzenia i Camilla wyjechała.

- Do klasztoru? Poważnie? To brzmi jak historia z czasów średniowiecza...

- Camilla lubiła dramatyzować - wyjaśnił Slade.

- Kiedy widział ją pan po raz ostatni? - Pytanie Montoi było skierowane do Slade'a, ale odpowiedzieli i on, i Val.

- W dniu, w którym opuściła ranczo w Bed Luck w Teksasie - odparł Slade.

Val to potwierdziła.

- Nie widziałam jej od zeszłego miesiąca, od dnia, kiedy przyjechałam do sierocińca, w którym pracowała. Ale wtedy rozmawiałyśmy krótko. Potem były tylko ta rozmowa przez telefon i mejl.

- Chciałbym dostać jego kopię i wszystkich innych, jeśli pani jakiegó zachowała. - Bentz coś zanotował, po czym zadał jeszcze kilka dodatkowych pytań.

Przez większość czasu Montoya pozwalał mu prowadzić przesłuchanie, a na koniec on i Bentz powiedzieli Valerie, że jej siostra walczyła z napastnikiem na miejscu zbrodni i że ślady walki znaleziono tylko przed ołtarzem, nigdzie więcej. Camilla prawdopodobnie udała się do kaplicy dobrowolnie. Słuchając informacji dotyczących ostatnich chwil życia siostry, Val poczuła przejmujący chłód, bała się, że jej serce zamieni się w sopel lodu. Z drugiej strony, cała historia wydawała jej się bardzo dziwna i zastanawiająca.

Gdy opuścili szpital, było już po dziesiątej; deszcz przestał padać, a chmury się rozstały, odsłaniając błękitne niebo. Val szła do forda Slade'a między kałużami w gęstych oparach unoszącej się z ziemi wilgotnej mgły. Slade uparł się, że zawiezie ją do szpitala, a ona tak bardzo chciała tam pojechać, że nie obchodziło jej, jakim sposobem tam dotrze. Teraz jednak, wsiadając do zdezelowanej furgonetki, uświadomiła sobie, jak bolesne wspomnienia przywoływało auto męża. Zapach starej skóry, kurzu i potu były symbolem jej rozbitego małżeństwa.

Końca życia.

Val zadrżała pod wpływem silnego, nieodwracalnego przekonania, że już nigdy nie zobaczy Cammie. Ta myśl była nie do wytrzymania. Bolesna.

Teraz, po identyfikacji zwłok stanowiła niezbity, przerażający fakt.

Rozdział 13

Minęło tak wiele czasu.

A obietnica złożona samemu sobie przed wielu laty, przysięga, została złamana.

Ze spacerowej ścieżki biegnącej wzdłuż brzegu rzeki przyglądam się płynącym przede mną wodom Missisipi. Słabo widocznym,

bo jest pochmurno. Frachtowiec terkocze w górze rzeki. Powietrze jest nagrzane, ciężkie od wilgoci, niebo ponure, ale mimo to wyciągam z kieszeni okulary i wkładam je na nos.

- Szczęść Boże, ojciec - pozdrawia mnie jakiś przechodzący szybkim krokiem mężczyzna, który dostrzegł, że noszę koloratkę.

Uśmiecham się.

I nie odpowiadam.

Mężczyzna oddala się, a ja odwracam się od rzeki, której wilgotna woń pieści moje nozdrza. Z pewnym wysiłkiem wspinam się na stromy wał, pociągając lekko lewą nogą, która nigdy nie przestała boleć. Tego bólu nie zapomnę nigdy.

Ale potrafię go znieść.

Zresztą boli tylko noga.

Nie jestem zdyszany. Nawet się nie spociłem. Utrzymuję się w dobrej formie. Jestem sprawny. Nie licząc prawej nogi. Przykre. Rana bitewna.

Wchodzę do parku i przechodzę obok mima, który bez słów próbuje przyciągnąć moją uwagę. Nie chcę patrzeć na tę smutną, pomalowaną na biało twarz, która zupełnie mnie nie interesuje. Spoglądam przed siebie tam, gdzie za konnym posągami Andrew Jacksona widać strzelające w niebo iglice katedry St. Louis. Krzyż na szczycie najwyższej z wież zdaje się przecinać kłęby ciemnych chmur sunących po firmamencie. Biała, strzelista katedra wabi swym urokiem.

A ja, oczywiście, opieram się temu kuszeniu.

Na razie.

Już w furgonetce Val, czekając, aż Slade zajmie miejsce za kierownicą, odsunęła stopą w bok leżący na podłodze pas.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Slade, zamykając drzwiczki.

- A jak myślisz?

- Okej, idiotyczne pytanie.

- No właśnie. - Val wlepiła wzrok w przednią szybę, a Slade uruchomił silnik i włączył wycieraczki, które zaskrzypiały, ścierając z szyby krople pozostałe po krótkiej burzy. - A ty jak się czujesz? - spytała.

Slade się skrzywił.

- Poczuję się lepiej dopiero wtedy, kiedy znajdą sukinsyna, który to zrobił. - Slade wrzucił wsteczny bieg, wykręcił i ruszył przed siebie.

- Mordercą jest OToole - oświadczyła Val.

Stary ford zatrząsał się i wyminął szeroką terenówkę.

- Przecież to ksiądz, na litość boską. Wzór cnót i...

- Jest mężczyzną, Slade. - Val spojrzała wymownie na męża, zastanawiając się przy okazji, czy wyczytał w jej oczach nieme oskarżenie. - Nieważne, jakie przyjął śluby, ilu spowiedzi wysłuchał, ile razy padał na kolana, żeby się modlić, ostateczny rezultat jest taki, że Frank OToole jest po prostu mężczyzną. - To jeszcze nie czyni z niego grzesznika. - Slade zerknął na Val, a ona zastanowiła się, czy mówi o księdzu, czy o sobie.

Zaciskając mocno usta, włączył się do ruchu, oddalając się od wysokiego budynku szpitala.

Val tymczasem zalało wspomnienie pól porośniętych dzwonkami i jasnotowcami, ciepłej ziemi pod plecami i unoszącego się w powietrzu słodkiego aromatu kwiatów. Brzęczenia pszczoł i błękitnego nieba rozciągającego się szeroko nad teksańskimi wzgórzami. I jej samej wpatrzonych w szaroniebieskie i rozleniwione oczy Slade'a. Jego źrenice trochę się rozszerzyły, gdy położył się, przykrywając ją swym szczupłym, zwinnym i muskularnym ciałem. Czowała gorąco oczekiwania i miazdzący pocałunek, a potem zapomniała o całym świecie.

- Cholera - szepnęła, odganiając wspomnienia.

- O co chodzi?

- O wszystko. - Skarciła się w duchu za te bezsensowne myśli i oparła o popękane siedzenie. Wbiła wzrok w przestrzeń, choć tak naprawdę zamiast widoku za przednią szybą przed oczami

miała wciąż martwą twarz Camilli. Cammie odeszła i Val została sama na świecie. Bez żadnej rodziny.

Chyba że jako rodzinę potraktowałyby męża, który wkrótce stanie się byłym mężem, oraz kłapouchego kundla.

Slade miał na tyle rozumu, że w drodze do motelu, pokonując fordem wąskie uliczki, nie starał się zachęcać Val do rozmowy. Ona zaś bezskutecznie próbowała otrząsnąć się z otępienia; wiedziała, że żadnej korzyści nie będzie z tego, jeśli zamknie się w sobie i pograży w rozpacz. To nie wróci Cammie życia.

- A więc znasz tego policjanta? - odezwał się w końcu Slade, skręcając w uliczkę biegnącą za motelem.

- Chodziłam z nim do szkoły.

- I z O'Toole'em też?

- Tak - potwierdziła i zastanawiając się nad tym faktem, przymrużyła oczy. - To wszystko przypomina szkolny zjazd. - Zmarszczyła czoło.

- Aż trudno uwierzyć, że to tylko zbieg okoliczności - mruknął Slade, wypowiadając na głos coś, co dręczyło również Val. - Wszyscy dorastaliśmy w tej okolicy - rzuciła obojętnym tonem, ale nadal uważała, że sytuacja jest dziwaczna; oboje tak uważali. Ona i Cammie wyprowadziły się z Nowego Orleanu po skończeniu liceum. Val sądziła, że tak samo było z O'Toole'em. Zdumiało ją, że wstąpił do miejscowego seminarium i skończył w St. Marguerite's. Księża zazwyczaj często są przenoszeni z parafii do parafii. Ale może ojciec wykupił mu miejsce blisko domu. Wiadomo, że dla hojnych ofiarodawców Kościół chętnie nagina zasady. Reubena Montoi nie widziała od czasu ukończenia szkoły i była naprawdę zaskoczona, że został policjantem. Nigdy by się nie spodziewała, że wybierze taki właśnie zawód. Myślała, że skończy jako przestępca. A tu, patrzcie państwo, detektyw. I chyba nigdy nie opuszczał Nowego Orleanu.

Slade zaparkował na niewielkim parkingu wydzielonym specjalnie dla Briarstone House i tym razem był na tyle uprzejmy, że nie zatarasował ffordem auta Val.

- To wszystko jest dość dziwne - powiedział, wypowiadając na głos swoje myśli.

- Bardzo dziwne. - Val w żaden sposób nie mogła uznać, że mają do czynienia ze zbiegiem okoliczności. Zbyt długo pracowała w policji, żeby być aż tak naiwna. Nauczyła się patrzeć głębiej, zaglądać za warstwę tego, co niby jawiło się jako prawda.

A teraz w dodatku nurtował ją fakt, że Slade pojawił się na jej progu właśnie wtedy, kiedy za chwilę miała się dowiedzieć o zamordowaniu siostry.

Kolejny zbieg okoliczności?

Zerknęła w jego stronę. Gasił silnik.

- A więc, wyjaśnij, co cię tu sprowadza, kowboju? - poprosiła, sięgając do klamki. - Czemu tak nagle się pojawiłeś?

Uniósł kącik ust w szelmowskim uśmiešku, który niegdyś tak bardzo podobał się Val.

- Myślałem, że już ci to wytłumaczyłem - odparł z irytującą pewnością siebie. - Przyjechałem, aby cię namówić do rezygnacji z rozwodu. - A czy nie mówiłam, żebyś o tym zapomniał? Że to koniec? -

Slade już otwierał usta, lecz Val powstrzymała go, unosząc dłoń. -1... Okej, wydarzyła się rzecz wstrząsająca, ale mimo to nie pozwolę ci wykorzystać śmierci Cammie jako pretekstu do zostania.

Poradzę sobie z tą sytuacją, Slade. - Gdy uczynił gest, jakby zamierzał zaprotestować, przypomniała mu: - Byłam policjantką. - To coś innego i dobrze o tym wiesz.

- Po prostu wyjeżdż. - Otworzyła drzwiczki szoferki. - Ale pies zostaje. Dzięki, że go przywiozłeś. -

Wysiadła z auta, słysząc, że Slade robi to samo. Gdy pchnęła furtkę, już przy niej stał, a potem ruszył za nią w stronę wejścia do zajazdu. - Bo zostaje ze mną.

Jego buty stuknęły głośno o stopnie schodów, gdy wchodził za Val na werandę.

- Ty chyba niczego nie rozumiesz. - Val, stanąwszy przy drzwiach, odwróciła się do męża i po raz pierwszy wpadł jej

w oczy plecak na jego ramieniu. - A co ty, do diabła, zamierzasz zrobić?

- Zameldować się w motelu. - Slade otworzył drzwi i odsunął się na bok, przepuszczając Val przed sobą. - Mam tu zarezerwowany pokój.

- To niemożliwe - obruszyła się.

- Możliwe. Rozmawiałem z kobietą imieniem Freya. Zarezerwowała dla mnie pokój na tydzień.

- Przecież powiedziałeś, że spałeś w aucie, bo nie miałeś rezerwacji.

- Tak się sprawy miały zeszłej nocy. Ale od dzisiaj mam zabukowany pokój, który nazywa się chyba Garden View Room.

- Możesz o tym zapomnieć! Po drugiej stronie miasta znajdziesz Motel Six.

- Przykro mi, kochanie - rzucił Slade kpiąco - ale nie chcę stracić zaliczki.

- Zwrócę ci ją. W całości! - Boże, on nie może tu zostać.

- Za późno. - Slade już ścigał plecak.

- Nie ma mowy - zaperzyła się Val, coś sobie zarazem przypominając. Czy Freya nie chciała jej wczoraj powiadomić o czymś „ważnym”? Czyżby chodziło o Slade'a? - Posłuchaj, to się nie uda. Nie obchodzi mnie, co się stało, ale ty nie możesz się tu zatrzymać - mówiła, kątem oka zauważając skręcającą w ulicę przy motelu furgonetkę lokalnej stacji TV - O nie. - Prasa jakimś cudem wywahała, że jest siostrą ofiary. Tak szybko? - Wspaniale - mruknęła pod nosem i weszła do zajazdu, gdzie w holu kręciło się kilkoro gości.

Jakiś mniej więcej osiemdziesięcioletni mężczyzna z szerokim, odsłaniającym zęby uśmiechem pomachał do niej.

- Dzień dobry - powitała go, choć trudno byłoby uznać ten dzień za dobry.

- Dzień dobry! - odpowiedziała żona mężczyzny, drobna kobieta z daszkiem od słońca na starannie ufryzowanych włosach, która z uśmiechem na twarzy wsuwała na nos przeciwsłoneczne okulary w różowych oprawkach. - Wybieramy się do francuskiej dzielnicy!

- Dobrej zabawy. - Val mimo niechęci zmusiła się do uśmiechu, gdy para staruszków mijala ją w drodze do drzwi wyjściowych.

W foyer pojawiła się Freya, która tylko spojrzawszy na przyjaciółkę, natychmiast przybrała smutną minę.

- Val, tak mi przykro. - Twarz Frei wyrażała przygnębienie. Objęła Val i mocno ją do siebie przytuliła.

- Dzięki. - Val walczyła z napływającymi łzami, miała ochotę zniknąć stąd jak najszybciej, ale w tej samej chwili rozległ się dźwięk dzwonka. - Och - jęknęła, sądząc, że za progiem stoi jakiś wścibski reporter. - O nic się nie martw. Ja się tym zajmę. - Slade położył plecak na ziemi obok stojaka na parasole, podszedł do drzwi i otworzył je, tarasując wejście swoim ciałem.

- Brenda Convoy z WKAM. Szukam Valerie Renard - przez szparę w uchylonych drzwiach wśliznął się poważny, spokojny głos. Val dostrzegła szczupłą, około dwudziestoletnią kobietę z krótką ciemną czupryną i dużymi sarnimi oczyma.

- Valerie jest zajęta - odparł Slade, nie ruszając się z miejsca.

- A pan jest? - Jej mężem.

Dziennikarka się rozpromieniła.

- Jeśli pan pozwoli, chciałabym zadać kilka pytań w sprawie, o której robimy materiał. Zeszłej nocy w klasztorze St. Marguerite's została zamordowana jedna z zakonnice ...

Val szybkim krokiem przeszła przez hol i stanęła obok Slade'a.

- Jestem Valerie Renard - oświadczyła - i przechodzę ciężkie chwile. Dlatego dziękuję za zainteresowanie, ale nie chcę teraz z nikim rozmawiać. - Potem zamknęła drzwi na klamkę, przekręciła klucz w zamku, zastanawiając się, co z tej sceny zdażył zarejestrować stojący na ganku kamerzysta. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Dzwonek znów się odezwał, ale go zignorowała. Wszyscy goście otrzymali razem z kluczami do swoich pokoi klucze do tylnego wejścia. Tym razem Val była zadowolona, że mają teraz niewielu klientów; dzięki temu mogła liczyć na trochę prywatności.

A właśnie.

Odwróciła się od drzwi i spojrzała na Freyę.

- Domyślałam się, że wczoraj wieczorem chciałaś ze mną porozmawiać o tym, że Slade zarezerwował Garden View Room?

Freya, stojąca przy oknie, kiwnęła głową.

- Tak - westchnęła, wyglądając na zewnątrz. - Robią zdjęcia domu. Wspaniale. Możemy to chyba potraktować jako darmową reklamę. - Odwróciła się do Val. - Czy mam coś z tym zrobić?

- Nie - odrzekła Val i zerkając na Slade'a, dodała: - Ale następnym razem, gdy któryś z moich eks będzie chciał zarezerwować pokój, odłóż słuchawkę.

- Jeszcze nie jestem twoim eks - przypomniał Slade.

- Już wkrótce, kowboju.

- To się jeszcze okaże. - Slade chwycił za pasek swojego starego plecaka. - A teraz możesz mi pokazać pokój? - Z wielką chęcią - zakpiła Val, stwierdzając, że Freya zdążyła już odszukać odpowiednie klucze. - Fantastycznie. - Wzięła klucze i ruszyła schodami w górę. Slade w swoich zakurzonych butach szedł tuż za nią. Otworzyły się któreś drzwi na parterze i Val usłyszała głośne szczekanie, a potem odgłos drapania pazurów w marmurową posadzkę foyer. Chwilę później na schody wbiegł Bo.

- To niskie, Slade, nawet jak na ciebie - burknęła, idąc na drugie piętro schodami wyłożonymi wytartym chodnikiem. - To, że skontaktowałeś się z Freyą za moimi plecami.

- A inaczej zgodziłabyś się na spotkanie? - Znasz odpowiedź na to pytanie.

- W takim razie sama widzisz, że nie miałem wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór - odrzekła, wchodząc na ostatnie piętro.

Gdy dotarli na miejsce, Bo już tam czekał z wywieszonym językiem, machając ogonem. Jego szeroko otwarty pysk wyglądał, jakby się uśmiechał. Val podeszła do psa i poklepała go po łbie.

- Tęskniłam za tobą, ty paskudny kundlu - powiedziała z lekkim uśmiechem, a pies zaskomlał, jakby ją zrozumiał. - Mam nadzieję, że dobrze cię tam traktują.

- Jest rozpuszczony jak dziadowski bicz.
 - I słusznie. - Val, sztywno wyprostowana, podeszła do drzwi z mosięzną tabliczką z napisem: „Garden View Rom”. Przekręciwszy kryształową gałkę, pozwoliła mężowi pierwszemu wejść do przytulnego pokoiku z dębową podłogą, skośnym sufitem i kominkiem obłożonym ręcznie malowanymi kaflami. Podwójne okno balkonowe faktycznie wychodziło na kwiatowy i ziołowy ogródek oraz na dach połączonej z motelem chaty, którą Val nazywała swoim domem. Położonej zbyt blisko pokoju męża, żeby czuła się z tym komfortowo.
 - Miło tu - pochwalił Slade, rzucając plecak koło szafy. Bo już obwąchiwał nowe pomieszczenie.
 - Zazwyczaj nie pozwalamy gościom trzymać w pokojach zwierząt.
 - Chcesz, żeby spał w furgonetce?
 - Powinien, ale tym razem zrobię wyjątek. Może spać u mnie. Usta Slade'a lekko zadrgały.
 - Gdyby pies się skarżył, daj mi znać.
 - Gdyby pies się skarżył, sama się tym zajmę - odpowiedziała. - A gdybyś ty czegoś potrzebował...
 - Tak?
 - Zgłoś się do Frei. - Val opuściła pokój razem z Bo i zamknęła za sobą drzwi. Gardłowy śmiech Slade'a gonił ją aż na sam parter.
- Val pchnęła wahadłowe drzwi oddzielające kuchnię od jadalni i zobaczyła Freyę stojącą przy zlewie. W zmywaku piętrzyła się góra naczyń moczących się w spienionej wodzie, na piecu skwierczały jabłka, a woń cynamonu mieszała się zapachem lizolu, którym Freya rano zmyła podłogi. Otworzyła zmywarę i zaczęła ją opróżniać.
- Wszystko okej? - zapytała, oglądając się przez ramię. - Hej, psy, wynocha z kuchni! - Woda skapywała ze świeżo umytych talerzy, które Freya ustawiała na suszarce.
 - Masz rację - zgodziła się Val i pstrykając stanowczo palcami, wyprosiła Bo za drzwi. Wyszedł z podkulonym ogonem.

- Och, Boże, czuję się jak potwór - jęknęła Freya.
- Przyzwyczaj się.
- Mam nadzieję. A ty jak? Może chcesz drinka?
- Nie ma jeszcze południa.
- Właśnie dlatego wynaleziono bladą mary.

Val pokręciła głową. Przez otwarte okno usłyszała żalosny głos lelka kozodoja. Jego warczący śpiew, rzadki o tej porze, sprawił, że przeszedł ją dreszcz.

- Chyba na razie zrezygnuję. - Miała dużo rzeczy do zrobienia. Chciała najpierw jak najszybciej przesłać Montoi wszystkie mejle od Cammie, a potem zająć się sprawą zabójstwa. Serce znów ją mocno zakłuło, a oczy wypełniły się łzami, gdy uzmysłowiła sobie, że prócz prowadzenia śledztwa będzie też musiała zorganizować pogrzeb i pochować siostrę. Pozwolić jej udać się na wieczny odpoczynek.

Ale czy to możliwe?

Czy Camilla znajdzie spokój po śmierci? Czy trafi do nieba? A może jej dusza na zawsze pozostanie przeklęta?

Rozdział 14

Montoya ruszał przed szpitala z łokciem wystawionym przez otwartą szybę nagrzanego auta, w którym chłodzenie toczyło nierówną walkę z upałem.

- A co to, u diabła, było? - Bentz był wkurzony i nie ukrywał tego. - Miałem wrażenie, że jestem na jakimś twoim pieprzonym zjeździe szkolnym.
- Gadasz bzdury.
- Więc sam się zastanów. Po pierwsze, okazuje się, że znasz ofiarę - zaczął wyliczać Bentz, wystawiając jeden palec. - Potem wychodzi na jaw, że znasz zakonnicę, która znalazła zamordowaną.
- Uniósł drugi palec. - Nie wspominając już o księdzu,

który podobno z nią sypiał. - Dodał trzeci palec. - Czy o kimś zapomniałem? - pieklił się Bentz.

- Chyba nie.

- Hm! - Bentz był wyraźnie poirytowany i z pewnością cholernie zmęczony. Z powodu śledztwa do późna byli na nogach, a Bentz na dodatek miał w domu niemowlę, które nie przesypiało jeszcze całych nocy. Jego córka, Ginny, urodzona w wigilię Wszystkich Świętych, od pierwszego dnia często miała kolkę.

- Jezu Chryste - zrzędził. - Kto wie, ile jeszcze tego tałataj-stwa wypełźnie z nory.

- Miejmy nadzieję, że już nikt.

- Koniecznie sprawdź listę osób związanych z St. Marguerite's. Może znajdziesz na niej kolejne dziewczyny, które znałeś w przeszłości.

- Sprawdzę.

Bentz z pewną odrazą wyszukał w kieszeni kurtki paczkę gumy, zerwał opakowanie i rozwinął jeden listek. Potem zwrócił uwagę na coś oczywistego.

- Jeśli Camilla Renard faktycznie była w ciąży, mamy podwójne morderstwo.

- Wspaniale.

- A twój przyjaciel, OToole, jest głównym podejrzanym. -Bentz zwinął listek gumy w kulkę i wsadził ją do ust. - Wierzysz w to, że on jest ojcem?

Montoya sarknął.

- Nie wierzę, że jest księdzem.

- To wszystko mi się nie podoba.

- Mnie też nie.

- Zakonnice nie zachodzą w ciążę.

- Jasne... Celibat dość skutecznie temu zapobiega - zgodził się Montoya, skręcając za róg, na którym jakiś saksofonista grał dla grupki ludzi, otwarty futerał leżał przed nim na ziemi, a nieliczne monety rozsypane na dnie błyszcząły w promieniach słońca.

- Wierzysz w to, że miał romans z inną zakonnica? Jeszcze zanim związał się z Camillą Renard? -
pytał dalej Bentz, mrużąc oczy przed słońcem.

- Nie wiem, co mam myśleć, ale sprawdzimy. Zaroster już się tym zajęła.

- Co jest nie tak z tym facetem? Czemu został księdzem, skoro tak lubił kobiety?

- Kto wie?

- Cóż, ja po prostu nie pojmuję kwestii celibatu. To tylko kolejne źródło problemów. I coś nienaturalnego. Niezależnie od tego, czy wierzy się w Boga, czy nie.

Montoya nie odpowiedział, jechał dalej przed siebie, a w jego głowie kłębiły się różne myśli.

Zastanawiał się, jak doszło do tego, że Camilla Renard wylądowała w nowoorleańskim klasztorze. I na dodatek tam zaszła w ciążę. Wierzył, że tak rzeczywiście było; nie widział powodu, dla którego jej siostra miałyby okłamywać ich w tej kwestii, zwłaszcza że sekcja ujawni prawdę.

- Moim zdaniem to, co zastaliśmy na miejscu zbrodni, to jakaś szopka - oświadczył Bentz, wyglądając przez okno.

- Uważasz, że to było zainscenizowane?

- Zakonnice nie noszą sukni ślubnych i biżuterii.

- OToole mówił, że wkładają takie suknie przy składaniu ślubów. A także obrączkę. Ale rozumiem, o co ci chodzi. Mówisz o samej sukni. O tym, że ofiara leżała blisko ołtarza i że wokół szyi miała krople krwi...

- To takie rytualne.

- Raczej chore.

Odezwała się komórka Bentza. Podnosząc ją do ucha, detektyw przymknął okno, żeby odciąć się od panującego na zewnątrz hałasu.

Montoya nie słuchał, co mówi kolega do słuchawki. Wyminąwszy wózek ciągniony przez szarego muła, jechał ulicą prowadzącą brzegiem rzeki, próbując złożyć w całość zebrane dotąd informacje.

Camilla jako ofiara, ubrana w starą suknię ślubną, prawdopodobnie uduszona. Kto pragnął jej

śmierci? Kto zadał sobie trud, aby ją zabić, a potem w sposób teatralny ułożyć zwłoki? Ojciec jej nienarodzonego dziecka? Raczej mało prawdopodobne.

A więc ktoś inny. Ktoś z klasztoru czy z zewnątrz? A co z Hustonem, jej szwagrem? Montoya zacisnął ręce na kierownicy. Slade Huston nie wyglądał na zabójcę, ale z drugiej strony, Frank OToole też nie. Co do ojcostwa nienarodzonego dziecka -zakładając, że siostra Camilla rzeczywiście była w ciąży - czy to sprawa OToole'a, czy kogoś innego? Montoya poczuł wyrzuty sumienia; jego znajomość z Camillą to też był śliski temat.

Gdy zwalniali przed czerwonym światłem, Bentz zatrzasnął klapkę komórki, zakończywszy rozmowę.

- Dzwonili z medycyny sądowej - poinformował niskim, poirytowanym głosem. - Z wstępnym raportem na temat Camilli Renard. Przyczyną zgonu było uduszenie, tak jak zakładaliśmy. I ofiara była w ciąży. Czyli mamy podwójne morderstwo.

Dłonie Montoi znów zacisnęły się na kierownicy. Myślał o Camilli leżącej w kaplicy, o tym jak była ułożona, o różańcu przeplecionym przez jej palce.

- To kto jeszcze poza Valerie Renard wiedział, że jest w ciąży?

- Najprawdopodobniej ojciec dziecka. I może jeszcze jedna lub dwie zaprzyjaźnione osoby. Może nawet matka przełożona albo któryś z księży poza OToole'em. Ktoś, komu Camilla mogła się spowiadać. Montoya już się nad tym zastanawiał.

- Ale nawet jeśli o ciąży wiedziała któraś z zakonnicy lub ktoś inny z klasztoru, to i tak cała sprawa z pewnością była trzymana w tajemnicy.

- Chyba że ktoś się wygadał. Ludzie lubią plotkować. - Bentz wyjrzał przez boczne okno. -

Laboratorium sprawdza teraz grupę krwi Camilli i płodu. Będziemy musieli pobrać próbkę od OToole'a. - I wszystkich innych, którzy ją znali.

- W sensie biblijnym? - Bentz posiał Montoi krótkie spojrzenie; niezadane pytania zawisło w nagrzanym powietrzu wypełniającym wnętrze samochodu.

- Była przecież zakonnicą, na rany boskie.

- Którą ktoś przeleciał.

Światło się zmieniło i Montoya wcisnął pedał gazu.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby kapitan odsunął cię od sprawy - Bentz myślał na głos. - To rzadki przypadek, że śledczy zna ofiarę i jednego z podejrzanych oraz osobę, która znalazła ciało i zawiadomiła policję. - Detektyw pokiwał głową. - Kapitanowi z pewnością to się nie spodoba.

- Mnie samemu się to nie podoba - burknął Montoya.

- A co z siostrą Lucy?

- Lucią - poprawił Montoya, pokonując zakręt tak szybko, że aż zapiszczały opony. Poczul na sobie ciężkie spojrzenie kolegi, zrozumiał pytanie, jakie wyrażał jego wzrok.

Boże, co za bałagan. Nie umiał sobie wyobrazić Franka O'Toole'a w roli mordercy; z drugiej strony, nigdy by nie zgadł, że gwiazda futbolu zostanie księdzem, nawet jeśli wziąć pod uwagę siostrę, która cudem uniknęła śmierci. Dziwniejsze rzeczy zdarzają się na świecie.

- A w sprawie mojego udziału w śledztwie będziesz musiał pogadać z kapitanem - warknął, puszczając przodem wolno toczącego się minivana z kilkorgiem dzieci w środku. Z okien sterczały powiewające na wietrze balony, co niesłychanie bawiło dzieciaki w samochodzie, z którego dochodziły głośne piski i wybuchy śmiechu. Kiedy pojazd go wyminął, Montoya skręcił na parking i zatrzymał samochód w bezpiecznym miejscu.

- Dziwne w tej całej sprawie jest to, że wszystko wydaje się skupiać wokół ciebie - ciągnął temat Bentz i krzywiąc się, usiłował rozprostować nogę, która ostatnio trochę go pobolevała. Kiedyś został zraniony, przez co musiał zrezygnować z prowadzenia śledztwa w Baton Rouge. Z powody tej rany jego córka Kristi o mało nie straciła życia.

- W tej sprawie jest wiele dziwnych rzeczy. - Montoya po raz pierwszy od miesiący poczul silną potrzebę zapalenia. Rzucił nałóg wiele lat temu, ale zawsze, gdy sytuacja stawała się napięta, łapał się na tym, że sięga do kieszeni po nieistniejącą paczkę papierosów.

Najgorsze było to, że Bentz miał rację, zwracając uwagę na powiązania z jego szkołą średnią. Montoya odnosił dziwne wrażenie, że doznaje déjà vu, zupełnie jakby ktoś cofnął go w czasie, aby przyjrzał się z dystansu swojemu życiu. Wcale mu się to nie podobało i miał nadzieję, że już żaden dawny znajomy nie wychynie z przeszłości.

- Mówię ci, że miała z nim romans - oświadczyła z gniewem siostra Charity. Była tak zirytowana, że chodziła od ściany do ściany w małym biurze ojca Paula.

Stojące tam regały wypełnione były książkami, witrażowe okna filtrowały napływające z zewnątrz światło. Ojciec Paul siedział za biurkiem z ciemnego mahoni, którego blat był tak wypolerowany, że można było się w nim przejrzeć.

- Nie mamy co do tego żadnej pewności.

- Ja ich widziałam. - Siostra Charity trzęsała się ze zdenerwowania. - Dyskrecja nie należała do mocnych stron siostry Ca-milli. - Zakonnica poczuła w skroniach pulsowanie zwiastujące nadchodzący ból głowy. - A ojciec Frank... cóż, on po prostu nie rozumie, co to jest celibat! -

Wystarczyło przypomnieć sobie poprzedni incydent... Och, dobry Boże. Zgorszenie paliło duszę siostry Charity jak ogień. - Już rozmawiałem z arcybiskupem - rzekł łagodnie ojciec Paul - i powiadomiłem go o naszej sytuacji. Charity przymknęła oczy.

- Co za wstyd dla Kościoła - szepnęła.

- Jakoś to przetrwamy - zapewnił ksiądz, ale siostra Charity dostrzegła znużenie w jego wzroku. - Nie trać wiary. - Tu nie chodzi o moją wiarę. - Zakonnica z westchnieniem pokręciła głową. - Ojczy, bardzo możliwe, że Camilla była w ciąży.

Duchowny spojrział ostro na mówiącą. W jego oczach pojawił się błysk niedowierzania i coś jeszcze. Podejrzliwość?

- Nie, to nieprawda. - Ojciec Paul gwałtownie zaprzeczył. Stary głupiec. Jakby to on decydował o tym, co jest prawdą, a co nie.

- Nie jestem tego pewna, ale podsłuchałam rozmowę siostry Camilli z siostrą Lucią.

Zmarszczki na twarzy duchownego się pogłębiły.

- Mam nadzieję, że się mylisz - rzekł, po czym na jego twarzy ukazał się słaby uśmiech. - Nie wierzę plotkom.

Spojrzał na zegarek, a siostra Charity zrozumiała ten gest. Był człowiekiem zajęтым. I odprawiał ją, chowając głowę w piasek w nadziei, że ona, po raz kolejny, sama upora się z tym całym bałaganem.

- Porozmawiam z ojcem Frankiem - przyrzekł pojednawczo, jakby ta rozmowa mogła cokolwiek zmienić.

Wychodząc, Charity kipiała w środku, wściekła na ojca Paula i na jego wypaczony ogląd „sytuacji”, jak bezdusznie określał ostatnie wydarzenia. Czyż on nie rozumie, jakie znaczenie ma śmierć siostry Camilli? Jak to morderstwo wpłynie na klasztor? Oczywiście, że nie. Zawsze w przeszłości, gdy wydarzała się jakaś „sytuacja”, ona się nią zajmowała.

Siostra Charity szła szybkim krokiem korytarzem łączącym kwaterę ojca Paula z jej ukochanym klasztorem. Przesuwała dłonią po starych ścianach, które były czymś więcej niż tylko murem z cegły i zaprawy. Całe lata, stulecia składały się na historię tej instytucji; Charity wyczuwała miłość, determinację i cierpienia tych, którzy przed nią chodzili tymi korytarzami. Korytarzami, które przetrwały huragany, powodzie i różne polityczne szaleństwa.

Po dotarciu do końca pozbawionego okien korytarza skierowała się w stronę własnego biura i wtedy nagle usłyszała, że ktoś ją woła.

- Matko przełożona! - To była siostra Zita o melodyjnym głosie i szczupłym, zgrabnym ciele, czego nie dało się ukryć nawet pod habitem. Jej skóra miała kolor mokki, a oczy lśniły inteligencją. Ta zakonnica nigdy nie sprawiała siostrze Charity żadnych, nawet najmniejszych problemów.

- Tak, moje dziecko? - Charity uśmiechnęła się ciepło.

- Myślałam o St. Elsinore's - zaczęła z powagą młodsza zakonnica. - Ja i siostra Camilla pracowałyśmy razem w sierocińcu

od czasu odejścia siostry Lei i teraz... - Dziewczyna bezradnie rozłożyła dłonie.

- Rozumiem. - Charity kiwała głową. - Teraz, gdy siostra Camilla nas opuściła, będziemy musiały znaleźć inną osobę na jej miejsce. Może sprawdzisz, kto mógłby z tobą pójść: siostra Maura albo Lucia... a może siostra Edwina? - Stara zakonnica uśmiechnęła się do swej podopiecznej, jakby chcąc jej dodać otuchy. - I o nic się nie martw. Choć sierociniec zmienia lokalizację, my z St. Marguerite's nadal będziemy się w nim udzielały. Już ja tego dopilnuję. A teraz chodź ze mną.

Matka przełożona poprowadziła młodą zakonnice do swojego biura i gdy już się tam znalazły, usiadła za biurkiem, otworzyła kluczem zamek w dużej szufladzie i wyciągnęła z niej grafik. Jak mówiła siostra Zita, siostra Camilla miała wyznaczony dyżur w sierocińcu St. Elsinore's na następny dzień. Sierociniec leżał po drugiej stronie jeziora Pontchartrain i w rzeczywistości znajdował się bliżej Slidell niż Nowego Orleanu. Było to miejsce bliskie sercu Charity, która z bólem przyjmowała fakt, że jego podwoje zostaną wkrótce zamknięte, niemniej decyzja już zapadła i przenosiny były w toku.

- A więc popatrzmy... Tak, wolna powinna być albo Maura, albo Devota. Obydwie pracują w sierocińcu dość regularnie. Lucia... lepiej ją z tego wyłączmy. Wystarczająco wiele przeszła przez ostatnią dobę.

- Porozmawiam z nimi - rzekła Zita.

- Zrób to. - I automatycznie dodała: - I niech cię Bóg błogosławi, dziecko.

Zita wyszła i siostra Charity została sama w swoim biurze, mając na pocieszenie tylko zdjęcie obecnego papieża i krucyfiks. Pod wieloma względami czasy były trudne. Wcześniej, przed soborem watykańskim II, kiedy była nowicjuszka, wszystko wydawało się znacznie łatwiejsze, bardziej zrozumiałe. Prawda, że obowiązywała surowa dyscyplina, ale nie zacierano granic, nie było wątpliwości co do oczekiwań.

A teraz... teraz już nic nie było jasne.

Rozdział 15

Val nie była w stanie zająć się codziennymi obowiązkami.

Już nic nie będzie jak dawniej, powtarzał jakiś głos w jej głowie, gdy tylnymi drzwiami opuszczała swój mały domek i wślizgiwała się za kierownicę subaru. Wewnątrz auta było gorąco i duszno; miała wrażenie, że jest w saunie, klimatyzacja w wozie prawie nie działała. Włączyła silnik, zapięła pasy i otworzyła okno, żeby wpuścić do środka choć trochę chłodnego powietrza.

Slade nadal był w domu - a przynajmniej jego furgonetka nadal stała tam, gdzie ją zostawił - ale Val postanowiła zająć się nim później.

Teraz miała ważniejsze sprawy na głowie.

Zamierzała najpierw podrzucić na posterunek kopie mejli od Camilli, potem chciała pogadać sobie tak od serca z ojcem Frankiem O'Toole'em, tym nieszczęsnym, zakłamanym sukinsynem.

- Val!

Głos Slade'a dotarł do niej, gdy cofała autem z krótkiego podjazdu i wyjeżdżała na ulicę. Kątem oka zauważyła, że mąż dużymi krokami zmierza w stronę swojej furgonetki.

Zawahała się, ale po chwili postanowiła go zignorować. Nie miała nastroju do kłótni, a nawet do zwykłej rozmowy. Nie zwalniając, dojechała do St. Charles Avenue. Tam włączyła się do ruchu, wymijając autokar wypełniony turystami podziwiającymi eleganckie budynki stojące przy trzypasmowej ulicy i pstrykającymi fotki tarasom na dachach wiktoriańskich domów z ich piernikowymi ozdobami.

Val nie mogła teraz dyskutować z mężem; nie chciała. Postanowiła odłożyć tę rozmowę na później. W ogóle jego przyjazd do Nowego Orleanu uważała za bardzo głupi pomysł. I o co mu chodziło z tą całą gadką na temat pogodzenia się? To przecież śmieszne! Starła się zignorować głos tkwiącej w niej wrażliwej kobiety, która była zafascynowana Slade'em i uważała jego upór, determinację oraz długą jazdę z Bad Luck za bardzo romantyczny gest.

- Wrzód na tyłku - mruzczała, przypominając sobie, że gdyby nie Slade i wydarzenia sprzed dwóch lat, Camilla nadal by żyła. Zaciśnęła szczęki i zwalniając przed czerwonym światłem, zerknęła we wsteczne lusterko, w którym za ciągnącymi się za nią samochodami widać było ulicę prowadzącą do Briarstone House. I oczywiście ford Slade'a stał na rogu St. Charles, czekając, aż będzie mógł włączyć się do ruchu. Auta z tyłu zmieniały miejsca, lśniący czarny kabriolet niemal na siłę wcisnął się w szczelinę tuż za subaru Val.

Ona go jednak prawie nie widziała, skupiona na mężu i jego zdezelowanej furgonetce. Czyżby Slade ją śledził? Bez wątpienia.

Och, na litość boską, czemu to robił?

W sercu poczuła lekkie ukłucie i przez głowę przemknęła jej myśl, że Slade'owi naprawdę na niej zależy, że nie ciągnąłby się tyle kilometrów ze wschodniego Teksasu, gdyby nadal czegoś do niej nie czuł, że przeszłość to przeszłość i...

Zatrąbił ostro klakson.

- Hej, paniusiu, bardziej zielone nie będzie! - Palant z kabrioletu, beemwicy, wskazywał na sygnalizację. Val wcisnęła pedał gazu, wściekła na siebie, że tak zajęły ją myśli o mężu.

Bmw wyminęło ją, na znak niezadowolenia wyjąc silnikiem, Val, nie zwracając uwagi na ograniczenia, całym pędem pomknęła przez miasto.

Myślami wróciła do Camilli i jej serce znów przeszył ból. Początkowo uważała, że siostrę zabił Frank O'Toole, ale teraz, po zastanowieniu, nie była już tego taka pewna. Wprawdzie ksiądz O'Toole złamał celibat, ale żeby miał zabić nie tylko kobietę, z którą sypiał, ale też własne dziecko? Czy to w ogóle możliwe? Biorąc nawet pod uwagę siłę ludzkich namiętności, Frank O'Toole był katolickim duchownym, a morderstwo to przecież grzech śmiertelny.

Ale jeśli nie on, to kto?

Pokonanie krótkiego dystansu do katedry St. Marguerite's zajęło jej wieczność i gdy wreszcie zatrzymała swoje małe auto na ulicznym parkingu, dzwony kościelne znowu głośno się rozdzwoniły.

Do Val dotarło, że to już południe, czyli że minęło zaledwie dwanaście godzin od chwili, gdy stała przy oknie kuchennym, zamartwiając się o Camillę i czując, że wydarzyło się coś złego, ale nie wiedząc, że w tym właśnie momencie jej siostra znajduje się na granicy życia i śmierci, że wydaje ostatni dech. Oczyma wyobraźni ujrzała nieruchomą twarz Camilli, jej zakryte ciało leżące na zimnym stole w szpitalnej kostnicy. Miała nadzieję, że ten obraz z upływem czasu zblaknie nieco w jej pamięci.

Podnosząc boczną szybę, wyprostowała plecy, przeczuwając, że czeka ją ciężka przeprawa.

Cholernie ciężka przeprawa.

Zamknęła subaru i przeszła przez ulicę w niedozwolonym miejscu, kierując się w stronę wysokiej, kamienno-ceglanej budowli, której iglice wznosiły się ku niebu niczym pieśń pochwalna. Główna część świątyni, która przetrwała wojny, huragany i skandale, liczyła sobie ponad dwieście lat. Katedra St. Marguerite's - otoczona rozległym terenem, strzeżona żelazną bramą i rozrosłymi dębami - była przypomnieniem dawnych czasów, stanowiła symbol odizolowanej społeczności, odrębnego świata. Na ulicy nie widać było ani wozów transmisyjnych, ani policyjnych, choć pewnie policjanci kręcili się jeszcze po samym klasztorze. Na masywnych drzwiach katedry widniała żółta policyjna taśma przeciągnięta przez klamki, a ziemia zdeptana zeszłej nocy przez setki stóp była świadectwem obecności mnóstwa osób podczas początków śledztwa. Śledztwa prowadzonego w sprawie zabójstwa Cammie. O Boże.

Val szła wzdłuż żelaznego ogrodzenia otaczającego kościelny teren, kierując się ku bocznej alejce i ku bramie, o której wspominała kiedyś Cammie, z której korzystały ciężarówki dostawców, a czasami zakonnice wychodzące z klasztoru.

Znalazła ją w pobliżu samotnego dębu.

Była zamknięta.

Val miała dziwne uczucie, jakby zimny powiew podniósł jej włoski na karku i kazał spojrzeć w górę ku ciemnym oknom bu-

dynku. Zdawały się gapić się na nią jak bezduszne oczy, prawie jakby rzucały jej wyzwanie, jakby czekały, czy zdobędzie się na śmiałość, żeby wejść.

Stojąc pod tą bramą, miała wrażenie, że wdziera się na niedozwolony teren, że jeśli przejdzie na drugą stronę, znajdzie się w miejscu, w którym nie powinna być.

I co z tego? Co może być coś gorszego od śmierci Cammie? Weź się w garść, dziewczyno!

Jakiś samotny kruk, łopocząc czarnymi skrzydłami, nagle głośno zakrzeczał nad jej głową, po czym usiadł na jednym ze zdobiących mury maskaronów przypominających kształtem szczyrzące kły demony. Val powiedziała sobie, że to nie jest omen.

Zwykły zbieg okoliczności, skojarzenia z horrorów, których naoglądała się w dzieciństwie.

Zupełnie jak ten potwór z gorejącymi ślepiami i małymi zębami, który cię straszy w twoich koszmarach?

Otrząsnąwszy się w duchu z tych bezsensownych myśli, odszukała dzwonek i mocno go nacisnęła.

Czekając, starała się nie zwracać uwagi na uczucie, że jest obserwowana przez jakieś niewidoczne oczy. Nikt nie odpowiadał na jej wezwanie.

- Och, ruszcie się wreszcie - mruknęła pod nosem i znów mocno nacisnęła guzik dzwonka. - Hej! Jest tam kto? - zawołała.

I znów czekała, odbierając lekki wiaterek wiejący alejką za jej plecami jak czyjś zimny oddech na karku. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć za siebie, pewna, że zobaczy kogoś wpatrującego się w nią z przeciwnej strony wąskiej bocznej uliczki.

Nikogo jednak nie dostrzegła.

Nawet kota buszującego w pojemnikach na śmieci ustawionych rzędem pod ścianą budynku. Była zupełnie sama, dochodził do niej stłumiony odgłos miejskiego gwaru. Spojrzawszy w górę, na spadziste dachy i wieżyczki starej katedry, nie zauważyła nikogo, kto czaiłby się w mroku, żadnych ukrytych oczu śledzących jej każdy krok. Wąska żwirowa ścieżka między budynkami po drugiej stronie bramy była pusta.

A mimo to...

Val poczuła niemile mrowienie. Ruchome cienie rzucane na jezdnię przez poruszone wiatrem gałęzie drzew sprawiały wrażenie, jakby za jej plecami przemykały duchy.

Choć dzień był ciepły, na rękach Val pojawiła się gęsia skórka.

- Niech ktoś tu wreszcie przyjdzie - mruknęła i po raz trzeci nacisnęła na dzwonek.

Po jakiejś minucie do bramy szybkim krokiem podeszła Afroamerykanka w habicie. Val przyglądała się jej uważnie zza czarnych prętów.

- W czym mogę pomóc? - zapytała zakonnica, wysoka i wyniosła, z cierpliwym uśmiechem przyklejonym do ust. - Mam nadzieję, że nie czekała pani długo. Jestem siostra Zita.

Zita. To imię z czymś się Val kojarzyło. Czy Cammie nie mówiła, że ona i Zita, i jeszcze jedna zakonnica, chyba Louisa, pracują razem w parafii St. Elsinore's?

- Chciałabym porozmawiać z ojcem Frankiem O'Toole'em, ale główne wejście do katedry jest zamknięte - wyjaśniła, po czym dodała: - Nazywam się Valerie Renard, jestem siostrą Camilli.

- Przykro mi z powodu pani straty - odparta zakonnica, nie ruszając się jednak z miejsca, żeby otworzyć bramę. W jej oczach pojawił się błysk podejrzliwości, gdy zerknęła za plecy Val, jakby sądziła, że stoi tam ktoś jeszcze. - Nie wolno mi wpuszczać nikogo do środka. Klasztor jest w żałobie i...

- Ja też jestem w żałobie - przerwała jej Val z irytacją. Wcale nie wątpiła, że w klasztorze zapanowały ostrzejsze zasady, że zakonnice, księża i personel są wyczuleni na policjantów i reporterów. Zapewne wszyscy obawiali się o swoje bezpieczeństwo. Każdy prawdopodobnie otrzymał polecenie, by trzymać język za zębami - nowa odmiana ślubów milczenia - nie tylko dlatego, że nadmierne gadulstwo mogłoby zakłócić przebieg śledztwa, ale również w obronie świętości i prywatności parafii. Jeśli Camilla nie myliła się w ocenie matki przełożonej, to siostra Charity najprawdopodobniej starała się teraz uczynić z klasztoru twierdzę, żeby nikt nie podłożył ognia i żeby nie wybuchł pożar skandalu.

- Bardzo proszę... Ja wiem, że ojciec OToole był... bliski mojej siostrze.
- Przykro mi. - Znów ten niezwykle cierpliwy uśmiech, lekko zabarwiony strachem. - Ale naprawdę nie wiem, gdzie jest teraz ojciec OToole. Jeśli zechciałaby pani zostawić numer swojego telefonu, może ojciec do pani zadzwoni.
- Może? - powtórzyła Val.
- Nie mogę niczego obiecywać w jego imieniu.
- A siostra? - zapytała Val, zmieniając taktykę. - Siostra pracowała z Camillą w St. Elsinore's, prawda?
- Czasami. - Twarz zakonnicy przypominała maskę smutku. - Ale nie byliśmy sobie bliskie z pani siostrą - dodała i w tej samej chwili chmury nagle zakryły słońce.
Z tą kobietą niczego nie zdołałam, pomyślała Val.
- W takim razie proszę mi pozwolić porozmawiać z ojcem O'Toole'em. - Val nie zamierzała dać za wygraną. Usłyszała zbliżające się kroki, ciężkie stąpanie po trzeszczącym żwirze.
- Co tu się dzieje? - zapytał ostry głos i zza rogu wyłoniła się postawna kobieta w sztywnym habicie. Wysoka i mocno zbudowana, wydawała się władcza i surowa. Zza szkieł okularów błyskał przenikliwy i palący wzrok. - Siostrzo Zito?
- Właśnie wyjaśniałam, że...
- Nazywam się Valerie Renard - wtrąciła szybko Val. Od razu się domyśliła, że ta władcza kobieta o szorstkim głosie to siostra Charity, matka przełożona, którą Camilla nazywała „nadzorczy-nią”. Val napotkała gniewne i taksujące spojrzenie starszej kobiety, spostrzegając przy tym w jej oczach błysk silnej emocji, którą jednak szybko zastąpił wyraz surowości. - Jestem siostrą Camilli.
Siostra Zita odsunęła się na bok, a starsza zakonnica, mrużąc oczy, jakby doszukiwała się rodzinnego podobieństwa, zbliżyła się do bramy. Ale w jej krytycznym spojrzeniu kryło się coś jeszcze. Strach?
- Chciałabym porozmawiać z ojcem O'Toole'em - naciskała Val.
- Rozumiem. - Zakonnica skinęła głową. - Jestem siostra Charity, matka przełożona. - Jej twarz na sekundę złagodniała,

a siostra Zita, jakby w odpowiedzi na milczące polecenie, po cichu oddaliła się od bramy, zostawiając Valerie sam na sam z matką przełożoną. - Wszyscy bardzo źle się czujemy w związku z tym, co się stało z siostrą Camillą - ciągnęła. - Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. I pozwól sobie przypomnieć, moje dziecko, że w takich chwilach dobrze jest wesprzeć się na wierze.

- I właśnie dlatego chcę porozmawiać z księdzem - skłamała bez cienia oporu Val. Matka przełożona czy nie, ta kobieta pogrywała sobie z nią. Znów ten świętoszkowaty, pełen spokoju obojętny uśmiech.

- W tej chwili ojciec OToole jest nieosiągalny. - Zaczekam.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Czemu?

- Trwa policyjne dochodzenie.

- Więc zdaniem siostry ja o tym nie wiem? - Val starała się ukryć rozdrażnienie. Była zmęczona, pogrążona w smutku, nerwy miała napięte. Stara zakonnica okropnie ją irytowała, choć nie zamierzała tego po sobie pokazywać. Wyczuwała zresztą, że niecierpliwością nie zdobędzie punktów u siostry Charity. Sprzeczka z nią tylko sprawi, że ta twarda kobieta jeszcze bardziej zamknie się w sobie. - Może siostra chciałaby zobaczyć mój dowód tożsamości?

- Nie w tym rzecz, dziecko - odparła matka przełożona.

- Więc w czym?

„Więcej much złapiesz na miód niż na ocet”, przypomniała sobie Val powiedzonko, które jej babka powtarzała przy wielu różnych okazjach.

- Proszę posłuchać, siostro. Wiem, że to trudny czas dla wszystkich w klasztorze. - Val sięgnęła do torebki, licząc trochę na to, że zakonnica ją powstrzyma. Ale ponieważ tego nie zrobiła, wsunęła między żelaznymi prętami swoje prawo jazdy.

Spoglądając na Val jak na intruza, zakonnica wyrwała jej prawo jazdy z ręki. Mocno zmarszczywszy brwi, z zaciśniętymi ustami uważnie odczytywała dane zawarte w dokumencie, jakby szukała śladów fałszerstwa. Czyżby rzeczywiście sądziła, że Val

wyrobiła sobie fałszywe prawo jazdy tylko po to, by dostać się do klasztoru? Niech oprzytomnieje. Mijały długie chwile, ale Val nie zamierzała dać się onieśmielić ciszy. Odważnie, nie unikając jej wzroku, spojrzała matce przełożonej prosto w oczy.

- Dobrze - rzekła w końcu z westchnieniem siostra Charity. - Proszę wejść. - Z wyraźną niechęcią otworzyła bramkę i wpuściła Val do środka. - Ciągłe nachodzą nas policja i reporterzy - wyjaśniła, zwracając Val prawo jazdy. Furtka trzasnęła za jej plecami; potem siostra Charity poprowadziła ją ścieżką przez ukwiecony ogród. - Proszę za mną do mojego biura. Tam pani zaczeka na ojca o'Toole'a. Nie mam pojęcia, gdzie on teraz jest ani kiedy... Och! - Zakonnica zatrzymała się w pobliżu fontanny tak nagle, że Val omal na nią nie wpadła.

Charity patrzyła w stronę sklepionego przejścia połączonego z klasztornym krużgankiem. W jego cieniu stał wysoki mężczyzna, który pochylał się do stojącej przed nim niższej od niego kobiety.

Val poczuła skurcz w żołądku, gdy rozpoznała twarz ojca Franka O'Toole'a.

Drań! Wnętrznosci jej się przewracały, gdy z nienawiścią patrzyła na oszusta w czarnej sutannie i sztywnej koloratce.

Pograżony w rozmowie, jeszcze bardziej pochylił się ku młodej zakonnicy, jakby nie widział ani Val, ani mężczyzny w odległym krańcu ogrodu, który kluczem francuskim naprawiał kran. Zwinięty wąż ogrodowy leżał na ziemi u jego stóp.

Młoda zakonnica również nie widziała nikogo poza swoim rozmówcą. Zauroczone dziewczyna o słodkiej twarzy wpatrywała się w O'Toole'a orzechowymi oczyma pełnymi adoracji. Mały nosek nakrapiany miała piegami, rude włosy związane w krótki warkocz. Uśmiechając się wstydliwie, trzymała w dłoni białą różę.

Val zrobiło się niedobrze.

- Siostró Asterio? - zawołała głośnym szeptem siostra Charity.

- Och! - Dziewczyna się wzdrygnęła, a spostrzegłszy matkę przełożoną, odskoczyła od duchownego jak oparzona. Upuszczając

różę, głośno syknęła. Białe płatki rozsypały się na posadzce krużganka, zaś na palcu siostry Asterii, w miejscu ukłucia kolcem, pojawiła się szkarłatna plamka. - Matko przełożona, ja... ja matki nie słyszałam. - Zakonnica zaczęła ssać palec, a siostra Charity ruszyła w jej stronę. Val szła tuż za nią. Asteria schyliła się po kwef i welon leżące na ziemi pod krzakiem róż.

- Jeśli pozwolisz - odezwała się siostra Charity. - Ojciec OToole ma gościa.

Drobna zakonnica zaczerwieniła się jak piwonia.

- Ależ oczywiście. No tak... oczywiście... tak. - Dziewczyna czmychnęła.

Valerie odprowadzała ją wzrokiem, w głębi duszy wiedząc, że to kolejna bezbronna kobieta, która padła ofiarą uroku tego przystojnego drania, ojca Franka OToole'a.

Bez słowa komentarza siostra Charity zbliżyła się stanowczym krokiem do księdza, rąbkiem sztywnej sukni zmiatając z drogi białe płatki róży, które potem wgniotła obcasem w posadzkę.

- Oto pani Valerie Renard, siostra siostry Camilli. Chciałaby z ojcem zamienić słowo.

Frank OToole wyprostował się, patrząc na Val ze smutkiem. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście przez sekundę widziała w jego wzroku błysk nienawiści? Jeśli nawet, to zaraz zniknął i ksiądz znowu wyglądał jak wcześniej.

- Valerie, tak - rzekł, kiwając głową. - Spodziewałem się pani.

Rozdział 16

Montoya zdjął kurtkę i usiadł za biurkiem, żeby odpowiedzieć na wiadomości zostawione na sekretarce i w jego skrzynce mej-lowej. Wczytywał się w ręcznie spisana listę pracowników, księży i zakonnicy oraz rezydentów parafii St. Marguerite's i klął w duchu fakt, że kancelaria parafialna nie ma komputera. Następna

lista zawierała nazwiska osób, które przebywały w klasztorze i w kościele w dniu śmierci Camilli Renard. Parafia nie była też wyposażona w monitoring bezpieczeństwa. Ten kościół był bardzo uwsteczniiony. Zapisał sobie, że musi zapytać o siostrę Lee, tę drugą zakonnice, która rzekomo miała romans z ojcem Frankiem OToole'em. Gdy zajrzał do Internetu, poszukując dodatkowych informacji o St. Marguerite's, w jego biurze pojawiła się Inez Santiago, jedna z oficerów śledczych.

Tuż przed trzydziestką, o sylwetce tancerki, Santiago była kobietą, za którą oglądają się faceci. Spojrzenie miała ostre, w kruczonych włosach połyskiwały jaśniejsze rudawe pasma, chodziła z wyraźną pewnością siebie. Montoya podejrzewał, że poza pracą wiezie szalone życie, ale w sprawach zawodowych była stuprocentową służbistką.

- Masz coś? - zapytał, dostrzegając Bentza, który również pojawił się w drzwiach biura za Santiago.

- Tylko podstawy. Wysłałam wam już mejl ze zdjęciami ofiary i miejsca zbrodni, ale pomyślałam, że może będziecie chcieli mieć fotosy, więc je wydrukowałam. - Otworzyła dużą kopertę, którą trzymała w ręku. - Kiedy otrzymam wyniki testów, też wam je prześlę. Na razie wydaje się, że miejsce zbrodni było tylko jedno. Dotąd nie zaleźliśmy żadnych śladów krwi czy walki nigdzie indziej na terenie klasztoru, a wiemy, że ofiara udała się do swojego pokoju około jedenastej.

- W pokoju niczego nie znaleźliście? - dopytywał się Montoya. Bentz pokręcił głową.

- Nic, czego tam być nie powinno. A przynajmniej ja niczego nie zauważyłem. Zresztą było tam bardzo niewiele przedmiotów, bo ofiara nie posiadała wiele. Kilka świeckich ubrań w komódce, osobiste przedmioty i buty ustawione obok siebie na podłodze w niewielkiej szafie, w której wiszą też habity. Wszystko bardzo starannie ułożone.

- A piżamy?

- Koszula nocna. Złożona w kostkę na półce w szafie. Santiago dodała:

- Kazałam Marsoletowi sfotografować pokój ofiary. - Policjantka położyła kilka zdjęć na blacie biurka. Fotografie były wyraźne i ostre, surowy pokój kontrastował z wymyślnie udekorowanymi zwłokami Camilli.

Montoya wpatrywał się w plamy krwi na dekolcie sukni ślubnej - w idealnie okrągłe krople.

- Zabójca chce, żebyśmy skupili się na krwi - rzekł, wskazując na dekolt. - Nie znalazła się tam bez powodu.

- Rodzaj przesłania? - Bentz nie wyglądał na przekonanego.

- To albo próba odwrócenia naszej uwagi. - Montoya uważnie przyglądał się temu niezwykłemu naszyjnikowi. Czy morderca chciał przesłać im jakąś ukrytą informację, droczył się z nimi, zostawiając niezrozumiałą wskazówkę, czy może starał się zamazać obraz i zmusić ich, żeby szukali nie tam, gdzie trzeba. Montoya usłyszał zbliżające się kroki i Brinkman, od którego cuchnęło ostatnim wypalonym papierosem, wsunął głowę do biura, trzymając w ręce papierowy kubek z kawą.

- Niezłą sprawę zahaczyliście dziś w nocy. - Brinkman pracował w wydziale od lat. Nosił o numer za małą kraciatą marynarkę, łysinę na czubku głowy otaczała kępa przydługich kosmyków, ale był sprytny. Uparty. Wielokrotnie odznaczony. Jak sam często powtarzał, znał się na tym gównie. - Chyba wiecie, chłopaki, że waszą ofiarę ktoś przeleciał? - Policjant wymownie poruszył brwiami.

- Słyszeliśmy - mruknął Bentz.

- Ale jak to możliwe? Była przecież zakonnicą, na litość boską. - Charczący śmiech Brinkmana zakończył się atakiem kaszlu. - Małe bzykanko w konfesjonale? Jak wam się podoba? - Policjant wypił łyk kawy. - Ale z wami, chłopaki, chyba coś nie tak. Wciąż zajmujecie się jakimiś zakonnicami i księżmi.

- Ojciec John nie był księdzem - przypomniał Montoya, nawiązując do sprawy seryjnego zabójcy, który przebrany w sutannę terroryzował Nowy Orlean.

Złośliwy uśmieszek Brinkmana świadczył o tym, że ma inne zdanie, ale z drugiej strony przecież nigdy się z nikim nie zgadzał. I w ogóle był dość wredny

- Powiedz nam coś, czego nie wiemy - rzucił Bentz ponuro.

- Na przykład, jaka była grupa krwi płodu? - Teraz nareszcie Brinkman przyciągnął ich uwagę. - B Rh minus - wyjął. - I co to oznacza? - zainteresował się Montoya.

- Bardzo wiele - zaśmiał się ironicznie Brinkman. - Matka, Camilla Renard, miała A Rh plus. Tak więc ojciec dziecka musi mieć minusową grupę. To zawęża pole.

Santiago popatrzyła na Brinkmana.

- Nie tylko minusową - zauważyła. - Jeśli dziecko ma grupę krwi B Rh minus, to ojciec musi mieć B albo AB Rh minus. Obie grupy są rzadkie. Ma je jakieś dwa procent populacji, a może mniej.

Brinkman wcale nie przejął się tym, że Santiago zakasowała go swoją znajomością hematologii. Nadal był bardzo z siebie dumny. - Poza tym grupa krwi na sukience tego księdza to także A Rh plus.

- Na sutannie. - Santiago była wyraźnie wkurzona. Nie podobało jej się, że z powodu niewielkich rozmiarów biura Montoi musi mieć tak bliski kontakt z Brinkmanem.

Montoi to jednak nie przeszkadzało.

- A Rh plus? Jak grupa krwi ofiary?

Brinkman, na którego czole błyszczały krople potu, puścił do niego oczko.

- Bingo! Zdaje się, że mamy zwycięzcę!

Montoya nie był zaskoczony, a mimo to poczuł się zawiedziony.

- Jakież wieści z toksykologii? Brinkman pokręcił głową.

- Jeszcze za wcześnie.

- A skąd to wszystko wiesz? - zainteresowała się Santiago.

- Sprawdziłem, zanim tu przyszedłem. - Policjant uśmiechnął się szeroko. Uwielbiał być górą.

- I to wszystko? Nic więcej nie masz? - dociekał Montoya.

- No coś jeszcze jest. - Brinkman uśmiechnął się promiennie, ukazując zęby poczerńiałe od kawy i nikotyny. W oczach miał złośliwe iskierki. - Na dole czeka jakiś facet, który chce się z tobą zobaczyć. I okropnie się tam awanturuje.

- Kto to? - Montoya miał złe przeczucia. Zadowolenie Brink-mana zapowiadało kłopoty.
 - Naprawdę okropnie się pienił. Strasznie wkurzył recepcjonistkę. Wiedziała, że jesteś zajęty, ale nie miała już sił i kazała, żebym ci powiedział o tym facecie.
 - Okej, kapuję - mruknął Montoya, dostrzegając światełko błyskające w jego biurowym aparacie telefonicznym, co oznaczało, że na automatycznej sekretarce pojawiły się nowe wiadomości. -No więc, kto to jest?
 - W tym cała rzecz. - Brinkman cały się rozpromienił, rozkoszując się chwilą, którą starał się przeciągnąć w nieskończoność. Kolejny ostrzegawczy sygnał. Wypił z kubka kilka łyków kawy, nie spuszczać oczu z Montoi. - Powiedział, że nazywa się Cruz. Cruz Montoya.
- Złe przeczucie, które towarzyszyło Montoi od początku dnia, stało się jeszcze bardziej dokuczliwe. Gdy sięgał po kurtkę, Brinkman dodał:
- I twierdzi, że jest twoim bratem.
- Val już rozumiała.
- Stojąc w klasztornym ogrodzie w ciepłych promieniach słońca, pojęła, dlaczego kobiety, łącznie z Camillą, w obecności tego księdza traciły rozum.
- Wysoki, ciemnowłosy Frank OToole był uosobieniem hollywoodzkiego przystojniaczka. Ze swoim wstydlwym uśmiechem, poczuciem humoru, inteligentnym spojrzeniem piwnych oczu, w koloratce mówiącej „nieodstępny" stanowił kwintesencję zakazanego owocu.
- Seksowny, ale bezpieczny.
- Tak, jasne.
- Chyba powinniśmy zostać sami - zwrócił się do siostry Charity, która zacisnęła usta, jakby chciała się sprzeciwić, ale po zastanowieniu zrezygnowała.
 - Oczywiście, ojcze. - Obróciła się z szumem sukni zakonnej, potracając przy tym zwisające pędy kapryfolium. Chwilę po-

tem oba skrzydła drzwi klasztoru zamknęły się za nią z cichym stuknięciem.

Gdy w ogrodzie nie było już nikogo poza nimi, ojciec OToole wskazał krótką ławeczkę stojącą pod daszkiem krużganka.

- Może tam usiądziemy - zaproponował. - Ale jeśli woli pani miejsce bardziej odosobnione, wejdziemy do środka.

- Tu będzie dobrze - odparła Val, ale nie usiadła, lecz stanęła blisko fontanny, w której kamienny anioł z szeroko rozpostartymi skrzydłami przelewał wodę z urny do otaczającego basenu. W czystej wodzie pływały złote rybki o lśniących łuskach.

Valerie i OToole byli sami. Tak przynajmniej wyglądało. Val rozglądała się dokoła: tu właśnie żyła jej siostra. Otaczające ją budynki - katedra, mniejsza kaplica, klasztor i ceglane przybudówki - były ze sobą połączone szerokimi werandami i zadaszonymi pasażami, które okalały ogród i skutecznie odcinały teren kościelny od miasta.

Kilka rosnących w ogrodzie drzew zapewniało cień. Motyle i brzęczące pszczoły krążyły nad pąkami kwiatów. Było spokojnie. Cicho.

Doskonałe miejsce do rozmyślań.

A jednak Val wciąż czuła mrowienie, nie opuszczało jej przykre wrażenie, że jest obserwowana z ukrycia. - A więc jak mogę pani pomóc? - odezwał się ojciec OToole. Na to czekała.

- Camilla powiedziała mi, że miała z ojcem romans. Duchowny lekko zacisnął szczęki i odwrócił wzrok, udając, że zainteresował go strzyżyk przelatujący nad ogrodowym murem. Potem na chwilę wydał usta, a w końcu rzekł:

- Mam wiele na sumieniu.

- Czy Camilla mówiła ojcu, że jest w ciąży? Duchowny westchnął i zwiesił ramiona, jakby ktoś położył na nich niewidzialny ciężar.

- Ja... hm, my nie powinniśmy dopuścić, aby sprawy zaszły aż tak daleko.

- Mało powiedziane. A na dodatek jest ojciec osobą z autorytetem, kimś, komu Camilla zaufała, komu się spowiadała. Nie miał ojciec prawa...

- Wiem! - przerwał jej głośnym krzykiem, po czym uniósł dłoń, chcąc powstrzymać Val przed dalszymi oskarżeniami. - Proszę mi wierzyć, że wiem, co zamierza pani powiedzieć, i wcale się pani nie dziwię. Popełniłem błąd i my... Wiedziałem, co się dzieje. Ona mi ufała, miałem nad nią przewagę, bo jestem księdzem, którego obowiązuje celibat. - O'Toole westchnął głęboko. - To był straszliwy... straszliwy błąd. - W tej sekundzie słońce oświetliło jego twarz i nagle wydał się starszy niż w rzeczywistości, jakby to wyznanie dodało mu lat. - Ale jeśli to w jakiś sposób może panią pocieszyć, proszę wiedzieć, że ją kochałem.

Spojrzał na Val, która poczuła dziwne poruszenie w powietrzu, jakiś ukryty prąd, którego nie umiała określić. - A dziecko?

O'Toole zamknął oczy, bolesny skurcz wykrzywił mu twarz.

- Biedna, niewinna istota - wyszeptał.

- Camilla też była niewinna - obruszyła się Val, nie zamierzała dać się zwieść skrusze wyrażonej przez duchownego. - Oboje byli niewinni. Moja siostra i moja siostrzenica lub siostrzeniec! -Z trudem panowała nad swym głosem, hamując cisnące się do oczu łzy. Ten mężczyzna w czarnej sutannie, jakby spowity całunem żalu, przyczynił się do śmierci jej siostry.

- Tak mi przykro. Gdyby pani wiedziała, jak okropnie się czuję, jak bardzo winny... i grzeszny.

Modliłem się do naszego Ojca, błagając o prowadzenie i pomoc.

- Tak jak wcześniej? W przypadku siostry Liii czy Lei...? Czekwała, widząc, że O'Toole nerwowo przełyka ślinę, aż mu grdyka podskakiwała.

- Siostry Lei. - Zamknął oczy. Na czoło wystąpił mu pot.

- Co się z nią stało? O'Toole ciężko westchnął.

- Odeszła z klasztoru.

- Dokąd?

- Wyjechała na Zachodnie Wybrzeże. Chyba do San Francisco.

- Z powodu ojca?

Duchowny mocno zacisnął powieki, jakby cierpiał.

- Tak.

- Ojciec nic nie rozumie? Przecież ojciec złożył ślub czystości, który potem złamał, wiążąc się z kilkoma kobietami.

- Ja wszystko rozumiem - odparł O'Toole cichym głosem. - I proszę mi wierzyć, odpokutowałem za swoje grzechy. Zapłaciłem za nie.

- Jak? - Val nie mogła uwierzyć, że ma do czynienia z tak wielkim egoistą. - Moja siostra nie żyje, ojciec. Tak jak jej nienarodzone dziecko. I wie ojciec, co myślę? - spytała, podchodząc bliżej i wbijając w O'Toole'a wściekłe spojrzenie. Nim zdążył odpowiedzieć, oświadczyła: - Myślę, że Camilla stała się dla ojca bardzo niewygodna i mimo że chciała już zerwać wasz związek, ojciec i tali ją zamordował.

- Co? Nie! - O'Toole poszarzał na twarzy. - Nie? Podniósł rękę.

- Morderstwo? Pani mówi poważnie? I skąd ten pomysł z „zerwaniem”? Przecież my nie umawialiśmy się na jakieś randki... - O'Toole kolejny raz wydał ciężkie westchnienie. - Naprawdę ogromnie mi przykro z powodu śmierci siostry Camilli. Prawdą jest, że mieliśmy romans, ale jej nie zabiłem. Nie mógłbym... nigdy bym tego nie zrobił... Niemożliwe, żeby pani mnie o to podejrzewała.

- Twarz księdza wyrażała niedowierzanie. - Ale podejrzewam - odparła Val, czując, że znów zalewa ją fala smutku. - Bo jak duchowny z ojca pozycją miałby się przyznać do romansu, do tego, że spłodził dziecko? - Nie byłoby łatwo, ale ...

- Straciłby ojciec wszystko. Nie byłby już księdzem. Może nawet zostałby ekskomunikowany?

Wyrzucony na bruk jak śmieć! W czarnych jak smoła oczach O'Toole'a płonął gniew, wydawało się, że temperatura otoczenia nagle spadła o dziesięć stopni.

- Ja jej nie zamordowałem - wycedził przez zęby, ledwo poruszając pobladłymi wargami. Gniew zaczerwienił mu policzki i ku zaskoczeniu Val O'Toole złapał ją mocno za ramię i przysunął

się do niej blisko, żeby wyszeptać: - Ja ją kochałem i przysięgam, że nigdy bym jej nie skrzywdził. Nigdy! - Szczerze w jego głosie była prawie przekonywająca. Ale tylko prawie. - Przysięgam na własne życie, Valerie, że nigdy nie zrobiłbym nic złego ani jej, ani dziecku. - Jego spojrzenie było bardzo intensywne. Rozgorączkowane. Dłoń na ramieniu Val zaciskała się kurczowo. - Kochałem ją.

- Tak jak kocha ojciec siostrę Asterię?

- Słucham? - Otworzył usta ze zdumienia. - Sądzi pani, że...

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co myśleć, ale moja siostra była w ojcu zakochana, a teraz nie żyje. Inna kobieta, siostra Lea, przez ojca opuściła klasztor...

OToole wziął głęboki oddech. Jego policzki nabierały normalnego koloru.

- A przed chwilą widziałam, jak ta dziewczyna na ojca patrzyła, jak była ojcem zachwycona i chyba przekonana, że nie mógłby jej ojciec skrzywdzić.

- Nie. Siostra Asteria i ja... - OToole zdjął dłoń z ramienia Val i kręcąc głową, zamknął oczy. - Tak mi przykro - rzekł. - Tak bardzo przykro.

- Mnie też.

Gdy otworzył oczy, znów lekko dotknął jej ramienia.

- To nie tak, jak pani myśli, Valerie - oświadczył zagadkowo. - Zupełnie nie tak.

- Przecież ojciec nie wie, co myślę. - Znów odebrała dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje, że czyjeś ukryte oczy śledzą jej każdy krok.

Zerknęła ukradkiem w stronę dzwonnicy. Czy stamtąd ktoś się jej przygląda? A może czyjeś oczy patrzą na nią przez półprzezroczyste witrażowe okna kaplicy? Lub ktoś kryje się w głębi łukowatego przejścia prowadzącego do ogrodu?

Chłodny powiew podniósł włoski na karku Val i przez ułamek sekundy przed jej oczami zamajaczyła postać z koszmarów.

Mroczna.

Groźna.

- Dobrze się pani czuje? - spytał cicho OToole. Nie. Już nigdy nie będzie czuła się dobrze.

- Ta... tak.

Czy możliwe, aby ten człowiek, który tak żarliwie twierdzi, że kochał Camillę, mógł ją zabić? Czy mówi prawdę? A może ona, jak tyle głupich kobiet przed nią, daje się zwieść temu idolowi w duchownych szatach?

Powoli usunęła ramię z uchwytu O'Toole'a, ale ten gest tylko wzbudził w nim jeszcze większą skruchę. Znow zaczął się zaklinać.

- Proszę mi uwierzyć, Valerie, nigdy nie skrzywdziłbym Ca-milli. Nigdy.

- Jeśli nie ty, ojczec, to kto?

- Nie wiem.

Dobry Boże, czyżby popełniła straszliwy błąd?

Słyszając zgrzyt furtki zawieszanej na zardzewiałych zawiasach, gwałtownie podniosła głowę. Matka przełożona, w czerni, szła spiesznie ścieżką przecinającą trawnik z kępami dalii i hiacyntów. Surową twarz siostry Charity wykrzywił grymas niezadowolenia, objijające się o siebie paciorki różańca grzechotały w rytm jej zbliżających się kroków.

- Pani Renard? - odezwała się wyniosłym tonem, zupełnie jakby przedtem nigdy ze sobą nie rozmawiały.

Val odwróciła się do nadchodzącej zakonnicy.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale mąż chciałby się z panią zobaczyć.

Rozdział 17

Cierpliwość nie była największą zaletą Cruza Montoi. Że był bystry, możliwe. Że przystojny, z pewnością.

Że potrafił wykaraskać się z najgorszych kłopotów - bez wątpienia.

Ale nigdy nie był cierpliwy. I teraz, stojąc w poczekalni posterunku policji naprzeciw rozzłoszczonej recepcjonistki gromiącej go wściekłym spojrzeniem i zwalistego sierżanta z wygoloną do łysa czaszką, blokującego wejście na schody i do windy, Cruz był wkurzony. Nie lubił tłumów, nienawidził być między ludźmi, czego tutaj nie mógł uniknąć. Policjanci, świadkowie, podejrzani, reporterzy, wchodzący i wychodzący, stłoczeni jak bydło - z czymś takim nie umiał sobie radzić. Poza tym nigdy nie był fanem policji, nie odnosił się życzliwie do władzy i czuł się fatalnie w zamkniętych pomieszczeniach.

- Detektyw już schodzi - poinformował go sierżant, spoglądając w stronę kolejnej osoby zbliżającej się do biurka, starszego mężczyzny wspierającego się ciężko na lasce. - Proszę tu czekać.

Zarówno sierżant, jak i recepcjonistka wspomnieli o jego podobieństwie do Diega, o którym mówili „detektyw” albo „Montoya”, ale na tym się skończyło. Jego rysy, tak podobne do rysów brata, nie stały się zielonym światłem, które dałoby mu wstęp do Wydziału Przystępności Zorganizowanej i Zabójstw.

Cruz już chciał dzwonić do matki i poprosić o numer prywatnej komórki brata, gdy detektyw Montoya pojawił się na schodach. Diego, kilka lat starszy, był od niego nieco niższy, bardziej napa-kowany, ale równie twardy. Nosił czarną kozią bródkę, w jednym uchu błyszczał kolczyk. Ze wszystkich członków rodziny tylko on miał pewne cechy odziedziczone po indiańskich przodkach, którzy w dalekiej przeszłości dołączyli do rodzinnego, na wskroś latynoskiego, drzewa genealogicznego. Diego nie zmienił się zbyt od czasu, gdy widzieli się ostatnio, nadal nosił swoją nieodłączną czarną skórzaną kurtkę, mimo że w Nowym Orleanie zaczynało się lato. Na ulicach było gorąco i parno.

- Hej! - zawołał do sierżanta przy biurku, omijając szerokim łukiem policjanta prowadzącego przez stłoczony przy schodach tłum jakiegoś niesamowicie chudego typka. - Wszystko w porządku. Znam tego rozrabiakę.

Otyły sierżant uśmiechnął się krzywo i machnięciem dłoni pozwolił Cruzowi przejść, natomiast wkurzona recepcjonistka

nawet na niego nie spojrzała. Miała pełne ręce roboty z zaniedbaną kobietą o zepsutych zębach i potarganych włosach, która domagała się widzenia z „jej facetem”. Chodziło prawdopodobnie o jakiegoś aresztanta. Nic zaskakującego w takim miejscu.

- Diego! - zawołał Cruz, zwracając się do brata imieniem, którego używał w szkole średniej.

Bracia powitali się krótkim, męskim uściskiem.

- Diego? - powtórzył zwalisty sierżant o wiele weselszym głosem. - Czy nie tak miał na imię Zorro? A gdzie maska i peleryna? - Policjant narysował w powietrzu niewidzialną szpadą literę Z.

- Diego to imię Zorro albo hiszpańskiego chłopaka z telewizyjnego serialu dla dzieci - dołączył się kolejny kpiący głos. - *Run Diego Run*.

- Chodzi o *Go Diego Go* - poprawiła stojąca obok kobieta. - Wiem, bo mam dwuletniego synka. Wszystkie odcinki oglądałam chyba po pięć razy.

- Nawet sobie nie zdajesz sprawy, co rozpętałeś - mruknął Montoya do Cruza. - Tutaj mówią do mnie...

- Tak, wiem... mówią do ciebie „detektyw”. Słyszałem - powiedział Cruz, idąc za bratem schodami. - I żeby się do ciebie dopchać, musiałem praktycznie dać jako zakładnika mojego pierworodnego.

- Przecież nie masz syna.

- O ile wiem, faktycznie nie - zgodził się Cruz. - No więc, gdzie właściwie jesteśmy, na komendzie czy w jakimś prywatnym klubie? Myślałem, że jesteś tu, żeby służyć społeczeństwu.

Diego parsknął śmiechem.

- Mamy na głowie dużą sprawę.

- Słyszałem. - Cruz skinął głową. - Zakonnica. Diego przemknął po nim wzrokiem.

- Jej imię ci nic nie mówi?

- Nie słyszałem imienia. Złapałem tylko urywki, coś o tym, że nazwisko ofiary zostanie podane dopiero po powiadomieniu rodziny.

- Och - mruknął z wahaniem Diego.

- Co?

Montoya, marszcząc czoło, spojrział na zegarek.

- Co ty na to, żebym postawił ci lunch? Lunch? Co to, u diabła?

- A może lepiej powiesz temu kopniętemu policjantowi, temu wieśniakowi, żeby oddał mi motor?

- Policja ci go odholowała?

- Tak, cholera, odholowała. Jakieś zamieszanie z prawem własności. Policja chyba uważa, że jest kradziony. Kupiłem go od faceta w Oregonie w zeszłym miesiącu. Wszystko było legalne. Ale nie mam dokumentów, a ubezpieczenie wygasło.

- To się da łatwo wyjaśnić.

- Powiedz to temu walniętemu glinie, dupkowi Burgessowi -burknął kwaśno Cruz, mając na myśli funkcjonariusza na motorze, który go zatrzymał. Wysoki, w ciemnym kasku i opryskliwy, od samego początku działał Cruzowi na nerwy.

- Człowieku, musiałeś go nieźle wnerwić. Cruz podrapał się po karku.

- Możliwe.

- Przekroczyłeś prędkość? Cruz wzruszył ramionami.

- Jechałem sześćdziesiąt w miejscu, gdzie można było czterdzieści.

- I potem jeszcze się stawiałeś. Niezbyt mądrze, braciszku. -Diego uśmiechnął się z przekąsem. - A teraz jesteś w wielkim kłopotcie i potrzebujesz mojej pomocy?

- Dlatego tu jestem.

- A już myślałem, że za mną zatęskniłeś.

- Jasne. - Cruz zgromił brata wzrokiem. - Chociaż właściwie miałem nawet zamiar do ciebie wpaść, zobaczyć twojego synka, ale...

- Ale najpierw wpakowałeś się w kłopoty. - Montoya pokręcił głową, jego ciemne włosy lśniły w świetle fluorescencyjnych lamp. - Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Slade pojechał za nią? Do St. Marguerite's? Serce Val zadrżało.

- On tu jest?

- Czeka w sieni. Wspaniale.

- Dziękuję.

- On czeka. Niech czeka.

- Wiem.

Matka przełożona wyraźnie nie miała zamiaru po raz kolejny dać się spławić, zwłaszcza osobie niezwiązanej z Kościołem.

- Pani Renard...

- Proszę mi mówić Val.

- Dobrze. A więc, Valerie, bardzo proszę, żeby zajęła się pani panem Hustonem. Poprosiłam go, żeby zaczekał, a nie był z tego powodu zadowolony. - Furtka zaskrzypiała. - Pan Huston... -Słyszając zgrzyt otwieranej furty, siostra Charity odwróciła się i zakryła dłonią usta. - O nie!

Val powiodła wzrokiem za spojrzeniem matki przełożonej i ujrzała Slade'a idącego za jakąś zakonnicą, która prowadziła go przez ogród. Żwir chrząścił pod jego kowbojskimi butami. Zupełnie nie pasował do tego miejsca, wyglądał tu jak mustang na środku oceanu. W wytartych dżinsach, z wysoko podwiniętymi rękawami koszuli wystraszył gajówkę siedzącą na gałęzi mirtowca.

Siostra Charity była rozwścieczona niesubordynacją gościa, co wyraźnie malowało się na jej twarzy. Ojciec O'Toole pociągnął nosem i spoglądając na intruza, mocno zacisnął szczęki.

Natomiast zakonnica prowadząca Slade'a między kwiatami i krzewami uśmiechała się błogo.

Wysoka, lekko utykająca, miała na sobie staromodny habit z kwefem i welonem. Twarz bez zmarszczek, ciemnobłękitne oczy. Czy Val nie spotkała jej wcześniej? Wydawała się znajoma... choć po zastanowieniu... nie, chyba nie.

- Przykro mi, że przeszkadzam - rzekła - ale pan Huston nalegał.

Matka przełożona sprawiała wrażenie niespokojnej.

- Właśnie to załatwiałam, siostrze Devoto.

Słyszając to upomnienie, zakonnica lekko zacisnęła wargi.

- Przepraszam, matko przełożona...

- To nie jej wina - wtrącił Slade, skupiając wzrok na matce przełożonej. - Szedłem za siostrą, ona tylko do mnie podeszła.

- I otworzyła furtkę. - Charity pokręciła głową. - Proszę nas zostawić, siostrze Devoto - zwróciła się do kobiety, która wyraźnie wystraszyła się tonu przełożonej.

- Oczywiście - szepnęła i odeszła ze zwieszoną głową tak szybkim krokiem, jakby chciała możliwie jak najszybciej wejść do klasztoru.

Gdy drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaskiem, Charity przeniosła mroźne spojrzenie na Slade'a.

- Panie Huston, prosiłam, żeby pan zaczekał.

- Zgadza się. - Łobuzerski uśrhiszek prześliznął się po ustach Slade'a. - Tylko akurat czekanie nie najlepiej mi wychodzi.

Siostra Charity nie dała się ogłupić ani tym bardziej oczarować. Zwróciła się do Val:

- Przykro mi z powodu pani straty. Ogromnie mi przykro. Ale my w klasztorze też cierpimy.

Potrzebujemy czasu, aby się otrząsnąć i uporządkować pewne sprawy. Byłoby najlepiej, gdyby wszyscy w okresie żałoby mieli zapewnione choć trochę prywatności.

- Nie sądzę, by policja na to pozwoliła - zauważyła Val. - Moja siostra została zamordowana. W tej sprawie toczy się policyjne dochodzenie. Matka przełożona nie ruszyła się z miejsca.

- Ale pani nie jest śledczym. A teraz wszyscy potrzebujemy czasu na duchowe uzdrowienie.

- Siostrze - odezwał się z naganą w głosie ojciec O'Toole, zwracając się do matki przełożonej, która lekko zeszywniała. Slade rzekł:

- To, czego nam teraz potrzeba, to prawda.

Uśmiech siostry Charity nie należał do najpewniejszych.

- A ta się ujawnia wyłącznie za sprawą łaski Pana Naszego.

- Tego samego faceta, który mówił „oko za oko” i „nie będziesz zabijał”? Tego samego? - naciskał Slade. - Nie ma potrzeby, aby tak się zachowywać - wtrącił ojciec O'Toole, podczas gdy stara zakonnica się wzdrygnęła i szeleszcząc sztywną materią habitu, lekko zacisnęła usta. - Nie ma potrzeby mówić o naszym Ojcu „facet”.

- Wszystko dobrze, tyle że ja nie mam na myśli prawdy w sensie duchowym - upierał się Slade, zerkając na hydraulika, który wszedł do ogrodu, zabrał wąż ogrodowy i wyszedł. Zaraz potem na tyłach katedry otworzyły się drzwi, w których pojawiły się dwie zakonnice. Jedna z nich, dość krępa, nuciła coś pod nosem, a druga, szczupła, blada, w grubych okularach, krzywiła się z niezadowoleniem. - Siostrzo Louiso! - warknęła matka przełożona. Obie zakonnice stanęły w miejscu w pobliżu fontanny. Nucenie ucichło.

- Tak, matko przełożona? - spytała krępa zakonnica, rumieniąc się ze wstydu.

- Proszę, żeby siostra i siostra Maura nam nie przeszkadzały.

- Ja... my... nie wiedziałyśmy, że ktoś tu jest.... - Louisa spojrzała na zebranych, jakby dopiero teraz ich dostrzegła. Wyglądała na wystraszoną. - Och, tak. Przepraszam. Oczywiście.

- Proszę poczekać! - Val wyminęła siostrę Charity. - Siostra Louisa, tak? - zwróciła się do zakonnicy, która wcześniej nuciła jakąś melodię. - Siostra... siostra pracowała z Camillą.

- Przykro mi - powiedziała Louisa, rzucając wystraszone spojrzenie na matkę przełożoną - ale nie wiem, o czym pani mówi.

- Jestem Valerie, siostra Camilli. - Val patrzyła na zakonnice błagalnym wzrokiem. - Chciałabym z siostrą porozmawiać. Zakonnica znów zerknęła ponad jej ramieniem.

- No... nie wiem.

Siostra Maura wyglądała tak, jakby próbowała się ukryć za kwefem i sterczącymi spod niego rudymi lokami. - Camilla dużo czasu spędzała w St. Elsinore's.

- W sierocińcu, tale. Lubiła pracę z dziećmi. Tak jak ja - zgodziła się siostra Louisa. - Obie byłyśmy przygnębione wiadomością,

że sierociniec zostanie zamknięty. A siostrze Camilli bardzo zależało na znalezieniu informacji o jej biologicznych rodzicach.

- Chwileczkę... Co siostra powiedziała? - zdumiała się Val. -Camilla wiedziała, kim są... nasi biologiczni rodzice.

Louisa natknęła się na surowe spojrzenie matki przełożonej.

- Przepraszam. Musiałam się pomylić. Sądziłam, że szuka swoich korzeni, bo przecież adoptowano ją z St. Elsinore's. -Louisa cofała się w stronę klasztoru. - Najwyraźniej się myliłam.

Val patrzyła, jak dwie zakonnice idą pospiesznie sklepionym przejściem prowadzącym do wysokiego budynku po przeciwnej stronie ogrodu, prawdopodobnie swych cel. Siostra Maura, doszedłszy do zacienionego miejsca, obejrzała się przez ramię, ale nie zwolniła kroku; potem zniknęła razem ze swoją postawną towarzyszką.

Val zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle знаła Camillę. Docierało do niej wiele sprzecznych informacji, których nie rozumiała. O ile pamiętała, Camilla nigdy nie lubiła dzieci, a jednak pracowała w sierocińcu i na dodatek zaszła w ciążę. Poza tym obie wiedziały, kim są ich rodzice. To nie była żadna tajemnica.

- Co tu się dzieje? - spytała, zwracając się do matki przełożonej.

- Nic, zapewniam. - Znów ten wątyły uśmieszek. - Camilla była po prostu bardzo zagubioną młodą kobietą. Coś jednak było nie tak. Nagle rozległo się głośne bicie dzwonów i na ścieżce pojawiła się Zita, zakonnica, która wprowadziła Val do tego miejsca.

- Przepraszam, matko przełożona, ale ktoś czeka na spotkanie z matką - przypomniała.

- Musicie mi państwo wybaczyć - odezwała się siostra Charity - ale, jak słyszeliście, gość na mnie czeka.

- Chwileczkę, chwileczkę, ja jednak chciałabym porozmawiać z przyjaciółmi i współpracownikami Camilli. Wiem, że była blisko z siostrą Louisą.

- Zobaczę, co się da zrobić - zapewniła matka przełożona z lodowatym uśmiechem.

- A ja muszę iść do szpitala - wtrącił ojciec O'Toole.

Val się poddała, widząc, że stoi przed murem. Nic więcej już tutaj nie wskóra. Dzisiaj. Opuszczając ogród, miała w głowie więcej pytań niż odpowiedzi. Była poirytowana zachowaniem matki przełożonej, czuła urazę do ojca Franka i złość do Sladc'a, że za nią pojechał.

Razem z nim dotarła do bramy, która oczywiście była zamknięta. Jakby się znajdowali w jakimś cholernym więzieniu.

- Zaraz otworzę - zawołała szybko siostra Zita. Val odwróciła się i zobaczyła, że zakonnica idzie za Slade'em. - Przykro mi za matkę przełożoną - dodała, wyciągając klucz z głębokiej kieszeni habitu i wkładając go do zamka. - Ale w klasztorze wszyscy jesteśmy bardzo przybici. - Odsunęła żelazną sztabę i napotkała wzrok Val. - Przykro mi z powodu pani straty.

- Dziękuję - odrzekła Val, czując ucisk w gardle. Potrafiła sobie radzić z czyimś gniewem, ale życzliwość przywodziła ją na skraj załamania. Nawet jeśli została wyrażona obojętnym tonem przez kobietę, której wzrok był zupełnie wyprany z uczuć.

Brama zamknęła się za nimi z trzaskiem.

Val jeszcze raz spojrzała przez pręty na ogród; był pusty.

Ale gdy po raz ostatni popatrzyła na teren klasztoru, miała to samo dziwne uczucie, które nachodziło ją już wcześniej. Przeniosła wzrok do budowli otaczających krużganek i tam na balkonie dostrzegła jakiś ruch. Ktoś tam stał, niewyraźna postać odziana w czerń, zlewająca się z cieniami.

Val poczuła, że włosy jeżą się jej na karku.

Zamrugła.

Na balkonie nikogo już nie było. Dziwne...

Przypomniała sobie, że to klasztor, święte miejsce. A jednak to dziwne wrażenie, że jest przez kogoś obserwowana, że coś jej grozi... Odsunęła te bezsensowne myśli, tłumacząc sobie, że to tylko wyobraźnia, że z powodu śmierci Camilli nerwy odmawiają jej posłuszeństwa.

Rozdział 18

Cruz, wyraźnie nie dowierzając, obrzucił brata ostrym spojrzeniem.

- Lucia Costa jest zakonnica w St. Marguerite's? - powtórzył ze zdumieniem. Siedzieli w małej restauracji niedaleko komendy. Cruz po jednej stronie stołu, Montoya po drugiej. Knajpka była całkiem czysta, w gablocie za szybą długiego kontuaru ustawiono różne sałatki i pokrojone w plasterki wędliny. Wolno się poruszające sufitowe wentylatory roznosiły po całym pomieszczeniu zapach starego oleju. - Ona jest tutaj... - Cruz stuknął palcem w obrus - w Nowym Orleanie?

- Uhm. - Montoya odgryzł kęs od swojej kanapki z mięsem i przeniósł wzrok z brata na szklane drzwi restauracji, za którymi pod pasiastą markizą widać było przechodniów znużonych popołudniowym upałem.

- To dopiero granda.

- Skoro tak twierdzisz.

Cruz zawsze był szalony, pomyślał Montoya, uznając po chwili, że to wcale nie jest aż tak dziwne, jak by się wydawało. Całe jego rodzeństwo, siostry i bracia, jako nastolatki porządnie rozrabiali.

Mierzący ponad metr osiemdziesiąt Cruz przerastał Montoyę o kilkanaście centymetrów i był raczej umięśniony niż szczupły. Jego czarne włosy sięgały kołnierza dżinsowej kurtki, a bystrym, ciemnym jak noc oczom nic nie umykało. Po skończeniu liceum Cruz kilka lat służył w wojsku, po czym wstąpił do college'u, pracując jako barman i kierowca ciężarówki. Gdzieś po drodze zrobił sobie tatuaż na przedramieniu i zdobył licencję prywatnego detektywa. „Złota rączka od wszystkiego”, żartował często. Z gęstymi brwiami i nosem, który nie raz był łamany, nadal wyglądał jak rozrabiaka i chyba tak też się zachowywał, czego dowodem była dzisiejsza scena z recepcjonistką.

- Wiesz, że jej szukałem. Jak szaleniec. Zaraz po wypadku. Potem zrobiło się ostro z jej ojcem, więc dałem sobie spokój. Lufa dubeltówki przystawiona do czoła może tak na człowieka podziałać.

- Ho, ho, zwolnij i opowiedz wszystko od początku. Cruz prychnął, wytarł usta i wasy serwetką.
 - No więc umawialiśmy się na randki. Ona chodziła jeszcze do liceum, a ja właśnie je skończyłem. Ty byłeś już wtedy w college'u.
 - Tyle jeszcze pamiętam.
 - Zgłosiłem się do wojsk lotniczych, ale miałem kilka tygodni do rozpoczęcia służby, więc generalnie się obijałem, doprowadzając starych do szału. Staralem się jednak trzymać z dala od problemów.
 - Nie bardzo ci się to udawało.
 - Cóż... Tak czy inaczej jednej nocy wyszliśmy, Lucia i ja. Ja prowadziłem... może trochę za szybko.
 - Może?
 - Do diabła, miałem tylko... Ile? Osiemnaście lat? Myślałem pewnie o tym, jak się dorwać do majtek Lucii i nie uważałem tak, jak powinienem. Jakaś przeklęta sarna przeskoczyła przez płot na sam środek drogi. Próbowałem ją ominąć. Była cholerna mgła. Szarpnąłem kierownicą i przednim kołem zahaczyłem o żwir.
- Montoya pamiętał tę część historii. Kiedy Cruz gwałtownie skręcił, żeby nie uderzyć w sarnę, samochód wpadł w poślizg, zjechał z drogi i przez druciany płot uderzył w cyprys od strony pasażera. Boczne drzwiczki zostały wgniecione, szyba się roztrzaskała.
- Boże, to było straszne. - Ciemne oczy Cruza złagodniały. - Lucia krzyczała i krzyczała, a potem nagle zamilkła. Uderzyła się w głowę, przypomniał sobie Montoya. Cruz złamał nadgarstek, co odsunęło w czasie jego wstąpienia do wojska, miał też kilka ran od okruchów pękanej przedniej szyby. Niewielka blizna koło lewego oka stanowiła pamiątkę po tym wypadku.
- Lucia nie miała tyle szczęścia, bo gałąź drzewa uderzyła ją mocno w głowę. Montoya nie pamiętał innych szczegółów poza tym, że dziewczyna przeżyła, ale zapadła w śpiączkę.
- Zawiozłeś ją wtedy do szpitala, tak?
 - Tak i siedziałem tam, dopóki jej stary nie zakazał mi się z nią widywać. Przekonał personel szpitala, że jestem osobą

niepożądaną, i groził, że pozwie szpital, jeśli wpuszczą mnie do jego córki. - Cruz zacisnął usta. - Philip Costa był cholernym czubem. Zresztą sam o tym wiesz, no nie? Straszyl mnie tą przeklętą dubeltówką. - Cruz pociągnął łyk piwa. - Chryste, człowieku, to dopiero był burdel. Chciałem ją zobaczyć przed pójściem do wojska. Od znajomego usłyszałem, że wybudziła się ze śpiączki. Ale ona zniknęła. - Pstryknął palcami. - Po prostu zniknęła.

- Myślałem, że jesteś wytrawnym detektywem.

- Nie wtedy. Wtedy skończyłem dopiero szkołę i nie miałem zielonego pojęcia, co zrobię ze swoim życiem. A ona po prostu zniknęła, jakby się zapadła pod ziemię. Jej stary dobrze ją ukrył, a ja nie wiedziałem, jak ją odnaleźć. Myślę, że panu Coście ulżyło, gdy w końcu zabrali mnie do wojska.

- Na pewno się ucieszył, że córka będzie z dala od takiego rozrabiaki.

- Tak, ale sposób, w jaki zniknęła... - Cruz, mrużąc oczy, zapatrzył się w butelkę piwa, ale Montoya domyślał się, że brat nie widzi bursztynowego szkła, tylko jakieś miejsce z odległej przeszłości. - Człowieku, to było dziwne. Naprawdę dziwne. - Kolejny łyk piwa. - Wiesz, zawsze się zastanawiałem, gdzie ona jest, ale żeby została zakonnicą? - Pokręcił głową w zadumie, na jego usta wypłynął smętny uśmieszek. - Na to bym nie wpadł.

Drzwi do restauracji otworzyły się i przy stoliku obok usiadło kilku mężczyzn. Byli hałaśliwi, rozmawiali i głośno się śmiali, omawiając ostatnie wyniki bejsbolu.

Montoya z nawyku zmierzył przybyłych szybkim spojrzeniem. Byli to zwykli obiadowi goście tego lokalu, niezbyt eleganccy - złote zęby, zaniedbane siwiejące brody i bejsbolowe czapeczki.

- Wiesz - kontynuował Cruz, zerkając na mężczyznę, który usiadł w krześle obok. - Myślałem, że może ona nie żyje.

- Żyje.

- Miło to słyszeć. - Skończył swoje piwo. - Bardzo miło. - Krzywiąc się, odsunął od siebie koszyczek z resztkami kanapki i frytek.

- I nigdy więcej nie próbowałaś jej szukać?

- Po wstąpieniu do wojska nie. Po co miałbym to robić?
- Z ciekawości?
- Wtedy było już po ptakach. Stara historia. Żyłem dalej. I szczerze mówiąc, Lucia zawsze była trochę dziwna. - Cruz dał znać kelnerce, że chce jeszcze jedno piwo. - To znaczy była ładna, gorąca i tak dalej, ale... miała w sobie coś odstręczającego. Czasami odnosiłem wrażenie, że czyta mi w myślach. To mnie przerażało.
- Chcesz powiedzieć, że była jasnowidzką?
- Nazywaj to, jak chcesz, ale ona miała te dziwne „przecucia”. Montoya zrozumiał. Żona Bentza, Olivia, też czegoś takiego doświadczała. Pomogła nawet Bentzowi rozwiązać pewną sprawę.
- A w szpitalu, kiedy jeszcze mogłem ją odwiedzać, gdy leżała, no wiesz, w śpiączce, otworzyła oczy, dosłownie na sekundę, i spojrzała na mnie. Poruszała ustami, ale niczego nie powiedziała. Tylko próbowała. Nie jestem pewien, ale to było chyba coś jak „niebezpieczeństwo”. - Cruz skubał etykietę na butelce piwa. Kelnerka przyniosła drugie piwo i postawiła je przed nim na stole.
- Coś jeszcze? - zapytała bez cienia entuzjazmu. Montoya, marszcząc czoło, pokręcił głową, więc dziewczyna odplynęła do następnego stolika.
- Obudziła się, żeby powiedzieć „niebezpieczeństwo”? -upewnił się Montoya. Cruz mocno zmarszczył brwi.
- Może tylko sobie to wyobraziłem. - Sięgnął po pełną butelkę. - Kto wie?
- Kto wie...
- Ważniejsze, kogo to obchodzi? - Cruz pociągnął długi łyk piwa, odstawił butelkę i splótł ręce na stole. - No więc, braciszku, skoro już zakończyliśmy podróż w przeszłość, to może teraz zastanowisz się, jak odzyskać mój motor?
- Ostatnią rzeczą, na jaką Val miała ochotę, była rozmowa z mężem.

- Nie podoba mi się, że mnie śledzisz - oświadczyła, gdy przechodzili zacienionym trawnikiem przed katedrą. - I nie powinieneś być tu przyjeżdżać.

- Cóż, ty chyba też nie.

Kiedy chciała otworzyć drzwiczki samochodu, Slade zatrzasnął je i próbował ją przycisnąć do maski wozu.

- Co ty sobie w ogóle myślałaś, Val? - zapytał. Wywinęła mu się, a on powiódł za nią oczyma, które nigdyś

wydawały jej się takie seksowne. Były błękitne, a ich odcień zmieniał się zależnie od nastroju.

- Musiałam porozmawiać z OToole'em.

- To zadanie policji, nie twoje. Nie jesteś już policjantką, Val. Dobrze o tym wiesz. Zostaw to zawodowcom. - Jego twarz znajdowała się blisko jej twarzy. Stanowczo zbyt blisko. Serce waliło jej jak oszalałe, myśl wędrowała w niedozwolone rejony. Slade, jakby czując tę nagłą świadomość fizycznej bliskości, cofnął się o krok i spojrzał na teren kościoła, gdzie dwie zakonnice w habitach, kwefach i welonach skręcały spiesznie za róg katedry. -Gdzie się podziały zakonnice w świeckich strojach? Myślałem, że cała ta szopka z czernią i bielą to już przeszłość.

- Myślę, że to zależy od zakonu albo diecezji, a może od parafii. Prawdę mówiąc, nie mam o tym pojęcia. Z Kościołem skończyłam dawno temu. - Val przypomniała sobie sierociniec, ciemne korytarze, smutek i samotność, potem jednak odcięła się od wspomnień, które czasami wdzierały się do jej świadomości w najmniej spodziewanych chwilach chwilach, mroczne, niepokojące i sprawiające ból.

- A więc klasztor St. Marguerite's może być tak anachroniczny, jak chce?

- Jestem przekonana, że archidiecezja też ma w tej sprawie coś do powiedzenia, chociaż Camilla mówiła, że tu zawsze tak było i większość zakonnice, zwłaszcza ciepłą i przyjazną matkę przełożoną, zadowala obowiązująca reguła. Zresztą matka przełożona ustala tu zasady.

Slade zmrużył oczy.

- Gdyby mnie ktoś pytał, określiłbym ją jako relikwiarz dalekiej przeszłości.
- Ale nikt nie pyta - przypomniała Val, dodając: -1 do twojej wiadomości, nie lubię, gdy się mnie śledzi.
- Slade, uśmiechając się szeroko, potarł szczeciniastą szczękę.
- Domyślam się.
- Mówię serio, Slade. Nie miałeś żadnego interesu, żeby jechać tu za mną, wchodzić do środka i mówić im... - Val skinęła głową w stronę katedry i w tej samej chwili obok przemknął jakiś człowiek na rowerze. - Mówić im, że jesteśmy małżeństwem.
- Ale przecież jesteśmy.
- Już niedługo.
- Kościół katolicki bardzo poważnie traktuje więzy małżeńskie. Pomyślałem więc, że wzmianka o tym otworzy mi drzwi i tak też się stało.
- Cóż, teraz te drzwi znów są zamknięte - zauważyła Val, spoglądając na główne wejście do katedry, na których wisiała żółta policyjna taśma poruszana tym samym wiatrem, który muskał korzenie opławy zwisające z dębów otaczających klasztorny teren. - Zabite na głucho.
- Co każe się zastanawiać, jakie tajemnice kryje w sobie ta stara katedra.
- Amen - mruknęła Val, choć poza ojcem O'Toole'em nie podejrzewała nikogo innego związanego z klasztorem. Slade parsknął niewesołym śmiechem.
- Wracasz do motelu?
- Nie od razu - odrzekła, wślizgując się do parnego wnętrza swojego samochodu. - Muszę jeszcze podrzucić coś na posterunek policji. - Zatrasnęła drzwiczki i uruchomiła silnik. Staruszek zasyczał, potem zaczął się dławić. Aby się upewnić, że mąż ją dobrze zrozumiał, Val opuściła szybę. - Naprawdę nie potrzebuję eskorty
- Slade przez chwilę się wahał, potem skinął głową.
- Okej, w takim razie zobaczymy się w domu. W domu?

- O Boże, nie masz ciekawszych zajęć? - spytała, nie potrafiąc się powstrzymać, żeby mu trochę nie dokuczyć. W tym momencie włączyła się klimatyzacja, wdmuchując do wnętrza wozu ciepłe powietrze. - Jakiegoś wołu do oznakowania, płotu do naprawienia?

Slade uśmiechnął się, odsłaniając przy tym białe zęby.

- Cóż, kochanie, przecież dokładnie tym się teraz zajmuję, nie sądzisz? Tyle że naprawiam nie płoty, lecz stosunki z żoną.

- Oszczędź mi tej gadki - burknęła Val, odnajdując w schowku okulary i wkładając je na nos. - Chyba zdajesz sobie sprawę, kowboju, że stoisz na poświęconej ziemi, więc lepiej uważaj z łgarstwami. Jeśli Bogu coś się nie spodoba, może cię poczęstować gromem z jasnego nieba!

Gdy tylko ostatnie słowo wyszło z jej ust, Val pomyślała o leżącym przed ołtarzem ciele Camilli.

- Muszę się zbierać - oświadczyła i zanim Slade zdążył się odezwać, wrzuciła jedynekę.

Gdy się odsunął, wyjechała na pustą ulicę, zostawiając męża pod drzewem rzucającym cień na popękany asfalt. Z wąskimi biodrami, ciasno opiętymi džinsami i opalonymi przedramionami Slade w każdym calu wyglądał jak teksański ranczer.

A ty nadal jesteś w nim zakochana, odezwał się cichy głosik w głowie Val.

- Nigdy - powiedziała na głos.

Miłość do Slade'a Hustona po tym, co zrobił, byłaby szaleństwem. Na coś takiego Val nie mogła przystać.

Rozdział 19

Więc powiedz mi jeszcze raz, na czym polega twój problem ze Slade'em? - zaproponowała Freya, schylając się, by wyjąć z piekarnika świeżo upieczone ciasteczka. W kuchni pachniało bosko

ciastem i wanilią i żołądek Val, która od rana nic nie jadła, zaczął głośno dopominać się o swoje prawa. Val sięgnęła po szklanek, wrzuciła do niej kilka kostek lodu z zamrażarki i następnie wyjęła z lodówki dzbanek z lemoniadą.

- Tobie też nalać? - zwróciła się do Frei, która pokręciła głową, po czym przeszła do lady, gdzie pod oknem stał duży kubek.

- Już mam swoją mrożoną kawę. - Freya położyła blachę z ciasteczkami na najwyższej półce piekarnika. - A ty przestań wykręcać się od odpowiedzi. Pytałam o Slade'a.

- Tak, wiem. Mam z nim mnóstwo problemów - wyznała Val. - Tyle że trudno je zliczyć.

- Hm.

Tylne drzwi były otwarte i przez siatkę przeciw owadom widać było Bo, który leżał spokojnie na ganku i zaglądał do kuchni. I był tym tak pochłonięty, że nawet nie zauważył przekradającego się przez podwórko Merlina, czarnego kocura z długim ogonem, który po chwili bezpiecznie zniknął za krzakami.

- Tracisz czujność - powiedziała Val do psa, który na dźwięk jej głosu przechylił łeb na bok i usiadł. - Widzę cię, widzę - roześmiała się Val.

Boże, jak bardzo tęskniła za tym starym kundlem.

Bo walił ogonem w malowane deski podłogi werandy, gdy wyszła na zewnątrz, czemu towarzyszył trzask zamykających się za nią drzwi z siatką.

- Dobre z ciebie psisko, wiesz? Ze środka domu Freya zawołała:

- On za tobą tęskni!

- Też tak myślę.

- Nie mówiłam o psie.

- Och, Slade? - Val pokręciła głową. - Wątpię. - Nie umiała wyobrazić sobie Slade'a stęsknionego za kimkolwiek, a zwłaszcza za podejrzliwą żoną, która zamierzała się z nim rozwieść.

- Umieję to rozpoznać. - Freya z kubkiem w dłoni stanęła po drugiej stronie moskitiery.

- Bo miałaś dwóch mężów? - I narzeczonego.
- I chłopaka, który z tobą mieszkał.
- Nie przypominaj mi o tym. - Freya wyszła na zewnątrz i przysiadła na poręczu. - Ale wiem, co wiem i widzę, jak facet na ciebie patrzy.
- Dosyć! Już zrozumiałam, okej? - Val przyłożyła zimną szklankę do skroni, czując zbliżający się ból głowy. Zamknęła oczy, odcinając się przynajmniej na sekundę od Frei, Slade'a i całego tego cholernego świata. - Czy gdy się tu sprowadzałam, nie umawialiśmy się, że żadna nie będzie wtykała nosa w uczuciowe życie drugiej? Zero odpowiedzi.
- Freya? - naciskała Val. - Wyraźnie pamiętam...
- Okej, okej, mówiłam tylko...
- Wiem, co mówiłaś i słyszę cię. - Otworzywszy oczy, Val westchnęła, po czym wypila duży łyk ze szklanki.
- Masz ochotę na ciasteczko waniliowe?
- Ogromną. A ty?
- Też. Zaraz wracam, a ty mi opowiesz, co się dzisiaj wydarzyło. - Freya zeskoczyła z poręczu i poszła do kuchni. Wyczerpana Val zastanawiała się, co udało się jej osiągnąć. Wszystko składało się na jedno wielkie zero. Niczego nie uzyskała od ojca Franka, matka przełożona też nie chciała mówić, a na koniec minęła się z detektywem Montoya, kiedy zostawiała mej-le jego partnerowi, który w sprawie Camilli nabrał wody w usta. No i jeszcze był Slade... Och, do diabła, co ona ma z nim zrobić? Ból i upokorzenie, które czuła przed dwoma laty, powróciły silną falą z właściwym im rodzajem znajomego niepokoju. Teraz, spoglądając wstecz, zdawała sobie sprawę, że była to sytuacja typu „on powiedział/ona powiedziała”, i Val uwierzyła siostrze, która twierdziła, że Slade nie tylko się do niej zalecał, ale na dodatek w czasie świąt Bożego Narodzenia wśliznął się do jej pokoju i łóżka. Według Camilli „tak naprawdę nic się nie wydarzyło”, ale ponieważ powiedziała to z wahaniem, Val miała wątpliwości. Ziarno podejrzliwości zostało zasiane i szybko puszczało korze-

nie. Slade zawsze lubił Camillę i zawsze z nią flirtował. Och, Boże, jaki to ma sens? Przecież już po wszystkim. Rozchodzi się z mężem, a jej siostra nie żyje. Obracając szklankę w dłoniach, przyglądając się wirującym kostkom lodu, zastanawiała się, czy nie była zbyt surowa wobec siostry, a także wobec męża, zbyt szybko uwierzyła w najgorsze. To policjantka w tobie.

Cóż, ta część jej życia też już się skończyła. Wyjeżdżając z Teksasu, porzuciła pracę detektywa śledczego. Przynajmniej oficjalnie. Do teraz.

Trudno się rozstać ze starymi nawykami. Zwłaszcza gdy ofiarą morderstwa okazała się własna siostra. Zabójcą na pewno jest Frank OToole.

No bo kto inny?

Instynkt jej podpowiadał, że nie ma co szukać gdzie indziej. Zaś logika, żeby patrzyła głębiej, poza to, co wydaje się oczywiste.

Myślała o siostrze. Cammie miała kłopoty, co do tego nie było wątpliwości. Chociaż Val nie знаła wszystkich szczegółów, usłyszała wystarczająco wiele, żeby uzyskać przekonanie, iż zabójstwo Camilli nie było przypadkowe. Ta ślubna suknia - czy to pomysł Cammie? A może ktoś inny zmusił ją do przebrania? Ktoś jej bliski? Koszula nocna została w pokoju. Wszystko, co wiedziała na temat śmierci siostry, prowadziło do wniosku, że Cammie zabił ktoś z jej otoczenia.

Musi tylko wydedukować, kto popełnił zbrodnię, i zdobyć na to dowody. Zegar tykał, a wiadomo, że jeśli sprawa o morderstwo nie zostanie rozwiązana w pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach po jej wykryciu, szanse na jej rozwiązanie spadają o połowę.

Co znaczyło, że najwyższa pora przycisnąć O'Toole'a, bo choć prawie mu uwierzyła, gdy się zarzekał, że kochał Camillę, Val nadal czuła, że jednak mógł ją zabić.

Zabójstwo w afekcie.

Policjanci wprawdzie wspomnieli, że znaleziono ślady walki, ale nic więcej nie chcieli powiedzieć.

Val z własnego doświadczenia

wiedziała, że śledczy zatajają informacje o dowodach, chcąc prze-filtrować potencjalnych kandydatów i wyłuskać tę jedyną osobę, która doskonale zna przebieg zbrodni. Val знаła tylko jeden fakt: to, że Camilla została uduszona w kaplicy około północy. Ale nadal czuła, że OToole jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym, jednak potrzebowała konkretnych dowodów.

Na to, że jest winny.

Lub że nie jest.

Czy to możliwe?

Jeśli tak, to kto aż tak nienawidził Cammie, że postanowił ją zabić?

Zostaw to policji. Niech ona się tym zajmie. Czy nie taka była zawsze twoja dewiza? Gdy pracowała w policji, nienawidziła, kiedy jakiś nowicjusz wtrącał się do jej śledztwa.

Ale ta sytuacja jest inna. Po pierwsze, ma duże doświadczenie, więc trudno ją nazwać nowicjuską. Ponadto ofiarą morderstwa padła jej siostra. Nie może siedzieć i czekać, aż jakiś Montoya czy Bentz upora się ze sprawą. Val sama musi działać.

- Moim zdaniem, świeżo upieczone ciasteczka są lekarstwem na prawie wszystko! - zawołała Freya, wchodząc na werandę przez siatkowe drzwi i kładąc talerzyk pełen smakołyków na stole obok swojego krzesła.

Val doceniała starania przyjaciółki, obie jednak wiedziały, że nic nie ukozi bólu po stracie bliskiej osoby. A przecież teraz w grę wchodziło morderstwo...

Freya wbiła zęby w słodki kwadrat i oświadczyła:

- Oooh, chyba najlepsze, jakie kiedykolwiek upiekłam.

- Nie grzeszysz skromnością. - Val ugryzła kęs ciepłego ciastka i natychmiast poczuła w ustach smak czekolady i orzechów.

Bo zaczął się ślinić, patrząc na nią swymi dużymi, smutnymi ślepiami.

- Proszę - powiedziała Freya i sięgnęła do kieszeni po psie ciasteczko, które Bo zaczął lizać z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

To było typowe dla Frei, zawsze miała coś smacznego dla każdego.

- A więc, Val, zapomnij o wszystkich starych, bzdurnych obietnicach i gadaj. Dlaczego uważasz, że ten przystojniak, za którego wyszłaś, to diabeł wcielony?

W odległości kilku przecznic od rzeki, w pewnej speluncie znajdującej się we francuskiej dzielnicy, Slade rozpracowywał drugą z kolei butelkę piwa. Jakiś czas spędził, włączając się po mieście, doszedł bowiem do wniosku, że mądrzej robi, nie spiesząc się z powrotem do motelu. Uważał, że po ich rozmowie pod katedrą Val powinna odetchnąć i nabrać dystansu.

Udał się nawet do St. Elsinore's, probostwa położonego po drugiej stronie mostu rozpiętego nad jeziorem Pontchartrain. Białe niegdyś budynki pociemniały z latami. Sierocińca, klasztoru i szkoły parafialnej połączonej z kościołem strzegły rosnące wokół murów wierzby. Widok nie był zachęcający, miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego. Ale jedne drzwi stały otworem, zapewne dla ekipy remontowej, i Slade, wśliznąwszy się ukradkiem do zimnego, ciemnego wnętrza, chodził pustymi korytarzami, poznając rozkład budynków. Większość pomieszczeń była oczywiście zamknięta, poza tym Slade unikał miejsc, w których słyszał głosy, niemniej udało mu się zdobyć ogólne wyobrażenie na temat parafii, jej biur i sierocińca. Widział ślady obecności dzieci, kilka porzuconych zabawek i rysunki na popękanych gipsowych ścianach. Przeczytał naklejone na szybach okiennych ulotki zawiadamiające o aukcji charytatywnej i o tym, że budynek zostanie zburzony, a sierociniec przeniesiony gdzie indziej. Fatalny stan obiektu był oczywisty - popękane ściany, plamy wilgoci na sufitach, zapach pleśni przenikający ostrą woń środków dezynfekujących. Podobnie jak St. Marguerite's, przestarzałe St. Elsinore's sprawiało wrażenie mrocznego miejsca, znajdującego się w fazie rozkładu.

Po skrzypiących schodach Slade wspiał się na drugie piętro, po czym zewnętrzną klatką schodową zbiegł na dół, gdzie dokładnie się przyjrzał ponuremu placowi zabaw, rozkładowi pomieszczeń,

połączeniom pomiędzy budynkami. Próbował nawet dostać się do kilku zamkniętych pokoi, ale zrezygnował, nie chcąc marnować czasu na niszczenie zamków. Na razie.

Nie chciał zbyt długo przebywać w St. Elsinore's. Gdyby ktoś go zaczepił, musiałby tłumaczyć, czemu się tu szwenda. Nie umiałby tego wyjaśnić. Tak, czuł potrzebę obejrzenia rozpadających się budynków w miejscu, w którym Valerie i Camilla żyły przez krótki czas, zanim adoptowali je Renardowie. Chodziło jednak o coś jeszcze. Camilla pracowała ostatnio w St. Elsinore's, zajmowała się dziećmi z tego samego sierocińca, o którym tak rzadko wspominała Val.

O co w tym wszystkim chodziło?

Po podróży przez jezioro Pontchartrain do St. Elsinore's Slade wrócił do miasta i skierował się prosto do St. Marguerite's, sprawdzając przy okazji odległość i czas, jaki zajmuje jazda. Nie umiał tego dokładnie określić, ale nie mógł się uwolnić od myśli, że za faktem, iż Camilla pracowała w St. Elsinore's, kryje się coś istotnego. Co takiego powiedziała ta zakonnica, która z nią pracowała - siostra Louisa? Że Camilla lubiła pracę z dziećmi. Że szukała swoich korzeni.

A przecież wiedziała chyba wszystko o swojej przeszłości.

Val wydawała się zdumiona słowami Louisy.

Warto się temu przyjrzeć.

Po sprawdzeniu, ile kilometrów dzieli St. Elsinore's od St. Marguerite's, Slade objechał inne części Nowego Orleanu; niektóre były zrujnowane i opuszczone, prawie bez śladu człowieka na skutek zniszczeń wywołanych huraganem Katrina.

Poświęcił sporo czasu, aby poznać miasto, w którym dorastała jego żona i które teraz nazywała swoim domem. Myśl ta była bolesna. Cholernie bolesna. Zastanawiał się, czy po tym, co stało się z Camillą, Val zechce wrócić kiedykolwiek na jego ranczo w pobliżu Bad Luck.

Prawdopodobnie nie.

Zwiedzwszy miasto, wylądował w Plug Nickel, podrzędnym klubie, równie mało wytwornym jak jego nazwa.

Barmanka czyściła porysowany kontuar, demonstrując tatuaże pokrywające chyba każdy skrawek jej ciała. Jej zniszczone częstym farbowaniem włosy były upięte wysoko na czubku głowy i przewiązane czerwoną wstążką. Wycięta bluzka i kusa spódniczka pozwalały swobodnie podziwiać wzory zdobiące ramiona i nogi kobiety. Na szczęście pajęcza sieć wspinająca się po szyi nie dotarła jeszcze do twarzy.

I dobrze, uznał w duchu Slade.

- Podać jeszcze jedno? - spytała barmanka z promiennym uśmiechem, zmieniając pustą miseczkę po słonych orzeszkach na pełną.

- Jeszcze się nie rozprawiłem z poprzednim.

- W razie czego, proszę mnie zawołać. - Dziewczyna szybko zaciągnęła się papierosem i natychmiast zgasła go w popielniczce stojącej koło dystrybutora z napojami, po czym przeszła w drugi kraniec baru, by tam czekać na wezwania innych klientów. Dwie mniej więcej dwudziestoletnie kobiety zanosły się śmiechem nad kieliszkami z winem. Nieco dalej samotny facet sączył powoli whisky, przyglądając się ukradkiem rozbawionym kobietom w lustrze wiszącym na ścianie za barem.

W miękkim świetle lamp umieszczonych na suficie butelki na barze błyszcząły jak klejnoty, od jednego z dwóch stołów bilardowych, przy którym dwóch facetów w dżinsach i T-shirtach grało w dziewięć bil, dochodził stukot wpadających do luz kul.

Telewizor zawieszony wysoko na ścianie nadawał program lokalny. Wiadomości o piątej podawały właśnie szokującą informację: w St. Marguerite's zamordowana została zakonnica.

O cholera.

Slade znieruchomiał.

Głos płynący z telewizora był tak cichy, że poprzez panujący w lokalu gwar niewiele mógł usłyszeć, ale sens załapał. Jakiś dziennikarz, stojąc przed wejściem do katedry, relacjonował szczegóły zbrodni. Zbliżenie taśmy policyjnej na drzwiach świątyni zastąpiło zdjęcie Camilli. Na fotografii nie była ubrana jak zakonnica.

Slade rozpoznał pozowany portret zrobiony ponad pięć lat temu. Takie samo Valerie ustawiła na kominku w ich domu na ranczu, gdy jeszcze mieszkali razem.

Slade skrzywił usta, gdy przy wtórze wyjaśnień dziennikarza na temat wydarzeń w St. Marguerite's po ekranie telewizora zaczęły się przesuwać białe-czarne postacie zakonnic.

Barmanka zauważyła, że Slade wpatruje się w ten obraz.

- Niezła afera, co? - mruknęła, z głośnym grzechotem wrzucając kostki lodu do trzech pustych szklanek. - Kto przy zdrowych zmysłach zabija zakonnicę? - Dziewczyna zalała lód sporą porcją alkoholu. - Coś niesłychanego.

- A kto mówi o zdrowych zmysłach - wtrącił samotny mężczyzna na końcu baru, po czym dodał: - Ale ta babka nie wygląda jak zakonnice, które mnie uczyły w podstawówce. - Facet uśmiechnął się, mając wyraźną nadzieję, że zainteresuje rozmową siedzące obok kobiety.

One go jednak zignorowały, podobnie jak telewizyjne wiadomości.

Slade nie powiedział słowa.

Fakt, że Camilla była piękna, nie uratował jej przed śmiercią.

Choć w pewnym sensie uroda zrujnowała jej życie.

Oczywiście wyobraźni ujrzał Camillę taką, jaką widział w czasie ich ostatniego spotkania: długa, smukła szyja, gęste ciemne włosy opadające falami na nagie piersi - pełne, krągłe, z różowymi i wyprężonymi sutkami, błagającymi, by je pieścił palcami lub językiem. Między piersiami bielał długi, splątany sznur pereł, a błękitne oczy płonęły obietnicą namiętności, kusząc wyobraźnię. Ta dziewczyna zapraszała go w ciemną uliczkę, która powinna pozostać zamknięta na zawsze.

Były święta, deszcz tłukł w okna, wiał zimny teksański wiatr. W wigilijnej atmosferze, w blasku świec, przy rozlegających się wokół dźwiękach kolędy *Cicha noc, święta noc*, Camillę opanował duch uwodzicielki.

I rozpętało się piekło.

A niech to wszyscy diabli.

Program informacyjny zmienił temat i Slade szybko dokończył swoje piwo. Rzucił kilka monet na kontuar i, skinąwszy głową wyatutowanej barmance, wyszedł z pubu w upał wczesnego popołudnia. Wizerunek Camilli towarzyszył mu i choć próbował się go pozbyć, obraz trzymał się go kurczowo, zupełnie jak sama Camilla za życia. Jej śmierć tylko wzmocniła wrażenie, że jest blisko, że nigdy nie da mu spokoju.

Minął kilka ulic, kierując się w stronę rzeki. Szedł, prawie nie widząc przechodniów, grupiek nastolatków podłączonych do iPodów lub rozmawiających przez komórki; biegaczki, spoconej i skupionej na swoim przedwieczornym treningu; dwóch bezdomnych mężczyzn z brodami, plecakami i w wełnianych czapczkach, żebrzących o drobniaki. Nie zwracał uwagi na cały ten lokalny koloryt, myślami błędząc gdzie indziej.

Powietrze było ciężkie i parne, pot spływał po skórze przyzwyczajonej do chłodniejszego klimatu górzystej krainy, którą nazywał swoim domem.

Wszedłszy na wał, zaczął się przyglądać statkom i łódkom prującym ciemne wody szeroko rozlanej, błotnistej Missisipi. Słońce wisiało nisko na niebie, wkrótce miało zniknąć za horyzontem.

Cienie się wydłużyły, ale upał trwał, emanując z rozpalonej ziemi. Slade wrócił do swojej furgonetki i wsiadł do nagrzanej szoferki.

Wcześniej, mimo że zupełnie nie miał na to ochoty, postanowił zostawić Val trochę czasu i przestrzeni. Była na niego wściekła za to, że pojechał za nią do klasztoru, ale w jej oczach wyczytał jeszcze coś, co odebrał jako zachętę.

A czego ty właściwie chcesz?

Małżeństwa bez zaufania?

Separacji?

Może rozwód to najlepsze rozwiązanie - czyste cięcie. Oboje mogliby zacząć od nowa.

Ich romans i ślub były jak pożar suchego lasu. Szybkie. Pochłaniające. Skazane na klęskę.

Spotkali się, gdy zjawił się w biurze lokalnego szeryfa, by powiadomić o zaginięciu kilku sztuk bydła - podejrzewał kradzież. Kiedy dyspozytor poinformował go uprzejmie, że ktoś przyjedzie na ranczo, spodziewał się doświadczonego, siwowego zastępcy szeryfa z wydatnym brzuszkiem. Zamiast niego z policyjnego dżipa wysiadła Valerie Renard, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Miała na sobie dopasowany mundur podkreślający wysportowaną sylwetkę i różne kuszące krągłości. Okulary przeciwsłoneczne zasłaniały górną część twarzy, rondo kapelusza rzucało cień na czoło, kasztanowate włosy związane były w kitkę. Nie była umalowana. Slade złapał się na tym, że o niej fantazjuje, jakby miał przed sobą striptizerkę w mundurze policjantki. W pierwszej chwili sądził, że bracia zrobili mu kawał.

Ale ponieważ Val nie wyciągnęła kajdanek, żeby go skuć, lecz zabrała się do rozwiązywania sprawy zaginionego bydła, musiał uznać, że jest policjantką wykonującą swoje obowiązki. Śledztwo przeprowadziła skrupulatnie, jednak nigdy nie odnaleziono tych dwudziestu sztuk bydła; prawdopodobnie padły ofiarą grasujących w okolicy złodziei.

Tak czy inaczej, Slade był zafascynowany zastępcą szeryfa, który szybko awansował na detektywa. A gdy po jakimś czasie ośmielił się zaprosić Val na randkę, zaskoczyła go szybkim: „Tak, kowboju, czemu nie?”

Prawdę mówiąc, istniało wiele przeciwwskazań, ale je zignorowali. Poszła z nim do łóżka na trzeciej randce, na ranczo przeprowadziła się w następnym miesiącu, a sześć tygodni później powiedziała: „Tak”. Ich romans był gorący, płomienny i zmierzał do katastrofy.

Która się pojawiła w postaci młodszej siostry: Camilla Renard, młodsza, dziksza wersja Valerie, kobieta, która patrząc z perspektywy, chciała koniecznie rozbić ich małżeństwo.

Nawet po śmierci Camilla była jak gradowa chmura wisząca nad ich związkiem.

Valerie postanowiła uwierzyć siostrze, a nie mężowi. A niech szlag!

A teraz Camilla nie żyje.

Slade, mrużąc oczy, spojrział na oświetloną zachodzącym słońcem barcę, którą holownik ciągnął w górę rzeki. Holownik się przesuwał powoli, lecz pewnie. Slade miał nadzieję, że on też dopnie swego.

Rozdział 20

Val najpierw wyjaśniła przyjaciółce, że wcale nie uważa Slade'a za diabła wcielonego, lecz za prawą rękę Szatana, po czym następne kilka godzin spędziła na wyszukiwaniu informacji dotyczących siostry. Mimo że zostawiła już na policji kopie mejli od Camilli, teraz zrobiła nowe kopie i zgrupowała je w jednym pliku.

Utworzyła linię czasową życia siostry, zaczynając od urodzin, przechodząc do śmierci ich biologicznych rodziców, krótkiego pobytu w sierocińcu i adopcji. Zrobiła listę wszystkich miejsc, w których mieszkały, szkół, w których się uczyły, oraz listę znajomych i chłopaków Camilli, przynajmniej tych, których pamiętała. Początkowo była w stanie przypomnieć sobie wyłącznie ich imiona, ale zajrzawszy do Internetu i przestudiowawszy szkolne archiwa, uzupełniła dane.

Jedną z osób, z którą chciała się spotkać, był Brandon Keefe, były narzeczony Camilli, student prawa z Uniwersytetu Tulane. Val nie znała wszystkich szczegółów jego związku z siostrą i historii zerwania, poza tym że Keefe rzucił Camillę i po roku ożenił się z dawną dziewczyną.

Najlepszą przyjaciółką Cammie w liceum była Georgiana Pagano, która wstąpiła do college'u w Kalifornii, potem wyszła za mąż za jakiegoś faceta poznanego w L.A.

Co do wrogów, to żadne z nazwisk na liście nie pasowało. Nie ulegało wątpliwości, że Cammie skrzywdziła wiele osób, ale przez ostatni rok zamierzała się zmienić. Na litość boską, przecież nawet wstąpiła do klasztoru. Tam powinna być bezpieczna.

Ale jak bardzo Cammie próbowała coś zmienić?

Zaszła w ciążę.

W dodatku z księdzem.

To przypomniało Val, że powinna dodać do listy mieszkańców St. Marguerite's, zaczynając od Lucii, z którą jej siostra była najbardziej zaprzyjaźniona. Zawsze powtarzała, że Lucia jest „interesująca” oraz „inna”, że ma zdolności paranormalne, co Cammie wydawało się fascynujące. Pewnego razu wspomniała, że podejrzewa, iż Lucia wstąpiła do klasztoru, by uciec przed swoją sekretną przeszłością.

Zupełnie jak Cammie.

Tyle że jej występki nie były żadną tajemnicą: romans z mężem siostry. Val aż skręcało, gdy sobie przypominała, jak krzyczała do siostry, żeby się wynosiła: „Wynocha! Zostaw nas w spokoju!” - gdy nakryła Camillę ze Sladé'em w jej sypialni. Wkrótce potem Val się spakowała i opuściła rancho, przeświadczona, że jej małżeństwo jest skończone. Nawet teraz na myśl o Siadzie i Cammie - w końcu jej siostrze - niezabliźniona rana w sercu odzywała się silnym bólem.

- Sukinsyn - mruknęła pod nosem, starając się skoncentrować. Nie mogła sobie teraz pozwolić, by zastanawiać się, co by było, gdyby...

Co by było, gdyby nigdy nie wyszła za Slade'a?

Co by było, gdyby nie zaproponowała Cammie, żeby została u nich na święta?

Co by było, gdyby nie wezwano jej tamtej nocy do wypadku?

Co by było, gdyby nie dowiedziała się nigdy o niewierności męża, który zdradził ją z jej własną siostrą?

Co by było, gdyby przełknęła dumę i spróbowała rozsądnie porozmawiać?

Co by było, gdyby Cammie nie wyjechała z Bad Luck...

- Przestań - skarciła samą siebie. Takie rozmyślenia nie prowadziły do niczego. Postanowiła otrząsnąć się ze starych melancholijnych wspomnień, zapomnieć o dawnych smutkach i rozumować jak

policjantka. Zastanawiała się nad zakonnice, o których wspominała Cammie: siostrze Edwinie, o której mówiła, że to „istna Królowa Śniegu”, i siostrze Angeli, „głupiej gąsce”, „naiwnym Kopciuszku”. Dziwny opis, gdyby nie pochodził z ust Camilli posiadającej dość ostre i złośliwe poczucie humoru.

- Czy nie wszystkie zakonnice są dobre? - spytała Val podczas jednej z pierwszych wizyt Cammie w Briarstone House, na co siostra uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawił się szelmowski błysk. Stały właśnie w ogródku ziołowym, przy trzech różnej wysokości palikach, na których umocowane były karmniki dla ptaków. Słońce tak mocno świeciło, że musiały mrużyć oczy.

Cammie wybuchnęła niskim śmiechem.

- Jasne, większość zakonnicy to dobre osoby. Nawet bardzo dobre. To normalne w takim miejscu i na przykład Angelę można nazwać dobrą, ale siostrę Edwinę? - Cammie uniosła lekko dłoń i zrobiła nią gest, jakby dawała do zrozumienia, że waha się w ocenie zakonnicy. - Nie bardzo. A siostra Devota? - Cammie wywróciła oczyma. - Wieczna ofiara. - Kiwając głową, dodała: - Choć niektórych nie umiem rozgryźć. Irena czasami bardzo się wszystkim przejmuję, a czasami ma wszystko w nosie. Jeśli „potulni zdobędą ziemię”, to Irena zostanie z niczym. Raz zachowuje się jak radziecki żołnierz, a po chwili robi się miła i spokojna. Irena jest dziwna. - Cammie zamyśliła się na moment. - Natomiast siostra Zita jest bardzo... cicha. Zawsze się wszystkim przygląda. To trochę przerażające. Milczy, chyba że trzeba odgrywać rolę potakiwacza przed matką przełożoną. Jakby starała się zarobić punkty u siostry Charity albo u księży lub u Pana Boga. Kto wie? Po prostu to nie wydaje się szczere, ale przecież ja niewiele wiem. - Camilla podeszła do jednego z karmników i zajrzała do środka. - Nikogo nie ma w domu, co?

- Jeszcze nie. Więc jak, masz w klasztorze jakieś przyjaciółki? - dopytywała się Val.

- Z naszej grupy? Tylko Lucię i pewnie tylko dlatego, że chodziłyśmy do tego samego liceum. No wiesz, łączy nas wspólna

przeszłość. - Cammie uniosła dwa palce, jakby pokazując cudzysłów. - Chociaż wtedy wcale się nie znałyśmy - przyznała otwarcie. - Dogaduję się też z Angelą. Ale ona jest taka słodka, że trudno jej nie lubić. - Naiwny kopciuszek?

- Tak, cóż, chyba byłam trochę zbyt uszczypliwa.

- Ty? - zażartowała Val.

- Tak, ja. Ale Angela wydaje się prawdziwa. Szczera. Za to nie jestem pewna, czy to samo można powiedzieć o Maurze.

- Dlaczego?

- No nie wiem. To tylko przeczucie. Maura jest mołem książkowym. Bardzo spokojna. Nosi okulary z grubymi szklami i nigdy, ale to nigdy się nie uśmiecha. - Camilla spojrzała na siostrę. - Czasami się zastanawiam, czy naprawdę napędza ją Duch Święty. Nie wygląda, jakby czerpała wiele radości z życia. - Może jest introwertyczką.

- Może - szepnęła Camilla. - Ale tak naprawdę to nie umiem rozgryźć nie jej, tylko Asterii. Sprawia wrażenie naiwnej... no wiesz, takiej marzycielki, co wierzy w bajki i żaby zmieniające się w królewiczów. Te wszystkie romantyczne bzdury.

- I została zakonnica? - To było dziwne.

- No właśnie. Siostra Edwina mówiła, że Asteria była zaręczona z chłopakiem, który popełnił samobójstwo, i po tym wypadku wstąpiła do klasztoru. Edwina twierdzi, że Asteria miała do wyboru poświęcić się Bogu albo skończyć w psychiatryku.

- Brzmi to dość melodramatycznie.

- Tak wygląda historia wszystkich zakonnice oprócz siostry Charity, która utrzymuje, że wiedziała, że chce zostać zakonnica już od pierwszej komunii. Możesz w to uwierzyć?

Camilla zamilkła i głośno westchnęła.

- Pewnie nie powinnam na ich temat plotkować. Wolałabym nie wiedzieć, co gadają o mnie.

- St. Marguerite's bardziej przypomina szkołę średnią niż zakon - zauważyła Val.

Cammie roześmiała się, ale brzmiało to niewesoło.

- Ty nic nie kapujesz, prawda? - spytała. - Oczywiście, że tam jest jak w szkole. Cały świat to jedna wielka szkoła. Wystarczy się rozejrzeć.

Co?

- Może twój świat.

- Cały świat - upierała się Cammie. - Uwierz, w klasztorze jest tak samo. Hierarchia, autorytety, kliki. Z tą różnicą, że zakon to szkoła tylko dla dziewcząt. - Camilla popatrzyła w dal, a potem zmarszczyła czoło.

Val zapamiętała, jak siostra wyglądała tamtego dnia, ubrana w zwyczajne ciuchy, proste spodnie i białą bluzkę, bez makijażu, z ciemnymi włosami związanymi w koński ogon, lśniącoymi w promieniach słońca.

Camilla podeszła do ławki i usiadła. Wyglądała na przygnębioną.

- Nie musisz tam zostawać - powiedziała Val. - Może nie nadajesz się na zakonnice.

- Wiem. - Camilla uśmiechnęła się smutno, unosząc kpiąco jeden kącik ust - Ale jeśli się powiedziało A... - To nie w twoim stylu.

- Tak, tak. Wiem, że wstąpiłam do klasztoru, kierując się błędnymi pobudkami. - Podniosła kucyk i poprawiła gumkę, trzymając pasma włosów z dala od twarzy. - Poza tym żartuję, mówiąc o innych zakonnicach. Niektóre są tak oddane, tak pełne wiary, że im zazdrozczę. Codziennie modłę się o to, abym i ja znalazła w sobie taką ufność w Boga, jednak... Nie wiem. - Pokręciła głową, na jej czole pojawiła się zmarszczka. - Siostry Angela i Dorothy doskonale pasują do klasztoru. Nawet mimo, że są trochę zadurzone w ojcu O'Toole'u. To młody, przystojny ksiądz i zdaje się, że wszystkie soprany są pod jego urokiem. - Camilla uśmiechnęła się szeroko. - Ja zresztą może też... - Oderwała kawałek łuszczącej się farby z palika, na którym stał karmnik. - Ale mówiąc poważnie - wróciła do swoich wywodów - to wszystko są dobrzy ludzie. Weźmy na przykład Louise. Jest zawsze w dobrym nastroju, czego ja nie umiem pojąć. Lubi też muzykę.

Zawsze śpiewa albo nuci, co wkurza matkę przełożoną. Okropnie ją wkurza. - Camilla się uśmiechnęła, jakby rozbawiona tym, o czym mówiła. - Louisa pracuje czasami ze mną w St. Elsinore's. - Cammie posłała siostrze szybkie spojrzenie. - Wiem, ty uważasz, że powinniśmy unikać tego miejsca, ale moim zdaniem to dobre na początek, żeby zacząć odwdzięczać się światu.

- Naprawdę? - St. Elsinore's nie było miejscem, które Val lubiła wspominać. Parafia usytuowana na wzgórzu poza Nowym Orleanem współpracowała ściśle z St. Marguerite's. Zakonnice z obu klasztorów stanowiły personel sierocińca.

- Naprawdę. - Camilla uśmiechnęła się promiennie. - Widzisz, staram się. Ale... - Wzruszyła ramionami i spoważniała. - Prawda jest taka, że muszę ze sobą walczyć, aby pozostać w zakonie.

- Bardziej niż inne?

- Kto wie? Wiele dziewcząt nie pasuje do obrazu typowej zakonnicy. Choćby Irena. Była tancerką. Wyobrażasz sobie? Jest wysportowana, silna i kapryśna.

- Nie sądzę, żeby istniał ktoś taki jak zakonnica primadonna - zauważyła Val.

- Nie powinien.

- Co masz na myśli?

- Moim zdaniem, w niej jest coś mrocznego. - Na twarzy Camilli odmalował się wyraz zadumy. - Zresztą jak w każdym z nas. - Zmrużyła oczy i zaczęła się przyglądać kołującemu w górze jastrzębiowi. - Kłopot w tym, że wszystkim się wydaje, iż postępują dobrze... No wiesz, próbując się dostosować. - Ale ty się o to nie starasz? - Uhm. Ja nie.

- Nikt nie trzyma ci pistoletu przy głowie i nie każe tam zostać. Masz mnóstwo czasu, żeby się zastanowić nad zmianą decyzji.

- I dokąd pójdę?

- Dokądkolwiek, Cammie. Jesteś młoda, piękna, mądra. Jeśli chcesz złożyć śluby zakonne, w porządku. Jeśli życie klasztorne jest dla ciebie, wspaniale. Ale jeśli uważasz, że tam nie pasujesz, odejść.

Camilla spojrzała w dal, gdzieś poza kępę pachnącego rozmarynu, w miejsce, które tylko ona widziała.

- Cóż, cały kłopot w tym, że ja chyba nigdzie nie pasuję... -Wyciągnęła okulary przeciwsłoneczne i włożyła je, zasłaniając oczy ciemnymi szklami.

Val czuła, że jej serce pęka.

- Tak mi przykro - powiedziała przez zaciśnięte gardło, ogarnięta poczuciem winy, przekonana, że odegrała znaczącą rolę w decyzji, jaką podjęła siostra. - Nie powinnam była cię wtedy wyrzucić.

Powinnam była z tobą porozmawiać, wysłuchać cię.

- Nie, wcale nie - obruszyła się Camilla. - Byłam z twoim mężem. I jest to coś, o czym matka przełożona prawdopodobnie nie powinna się dowiedzieć. Wyspowiadałam się ze swoich grzechów przed księdzem, ale...

- Skłamałaś siostrze Charity.

- Tylko pominęłam pewne fakty. - Camilla pociągnęła nosem, jakby walczyła ze łzami, choć Val nie mogła sprawdzić, czy płacze, bo jej oczy ukryte były za przeciwsłonecznymi okularami.

- To był błąd.

- Historia mojego życia - mruknęła Camilla, po czym szybko wstała i przez furtkę umknęła z ogrodu. Teraz, prawie po roku, serce Valerie ścisnęło się boleśnie na myśl, że mogła uratować siostrze życie.

Czy gdyby tamtego dnia zachowała się inaczej, zapobiegłaby temu, co stało się z Camillą?

Prawdopodobnie nie. Ale poczucie winy jej nie opuszczało, wciąż czaiło się blisko, nigdy całkiem się nie rozwiewając. Val zanotowała uwagi Camilli na temat mieszkańców St. Marguerite's, dodając własne spostrzeżenia o osobach, z którymi sama się zetknęła. Następnie przejrzała wcześniej zapisane nazwiska, które Camilla wymieniała przy różnych okazjach: ojciec Paul Neland, Regina St. James, Terri Sue coś tam. Osoby świeckie, pracownicy parafii. W skład personelu wchodziłi jeszcze inni, włącznie z wolontariuszami, ale Val nie znała ich nazwisk. I gdy notowała sobie w pamięci, że musi stworzyć kompletną listę,

spojrzała uważnie na nazwisko ojca OToole'a, które też wcześniej zapisała w brulionie. Zaczęła rozmyślać nad tą postacią, dochodząc w końcu do wniosku, że ojciec Francis OToole to wielka zagadka. Zbyt przystojny, żeby nie przyciągać uwagi, zbyt silny, żeby go zapomnieć. Zastanawiała się, jak to jest spowiadać się u niego, i ta myśl wzbudziła w niej dziwny niepokój. Zakreśliła jego nazwisko, robiąc wokół niego duże, atramentowe koła, jakby chciała wyzerować OToole'a ze świata. Bo przecież chciała, czyż nie? Kto prócz niego mógł pragnąć śmierci Camilli? Kto inny darzył Camillę tak namiętnym uczuciem? Valerie nie wiedziała. Lecz wpatrując się w nazwisko OToole'a w brulionie, przysięgła sobie, że się tego dowie. I to już wkrótce.

Rozdział 21

Wiele godzin później, po skutecznej interwencji w sprawie motoru brata, Montoya znów siedział za swoim biurkiem. Cruz przed odjazdem jeszcze raz poruszył temat Lucii Costy, ale Montoya niewiele mu powiedział, mając na względzie dobro śledztwa. Wystarczyło, że prowadzi sprawę zabójstwa Camilli Renard, od której zapewne zostałyby odsunięty, gdyby w wydziale nie brakowało ludzi. Tak czy owak, nadal uczestniczył w śledztwie. Zastanawiał się, jakie były szanse, by obie kobiety, z którymi on i Cruz spotykali się w szkole średniej, skończyły w St. Marguerite's jako zakonnice? Niewielkie. Bardzo niewielkie. Coraz mniej młodych ludzi na terenie całego kraju wstępowało do zakonów, seminariów i klasztorów, a jednak zarówno Lucia,

jak i Camilla znalazły się w zakonie, który nawet w kościelnych standardach uznawany był za staroświecki.

Całe popołudnie za drzwiami biura Montoi słychać było brzęczyki telefonów, stukot klawiatur, szum rozmów od czasu do czasu przerywanych wybuchami śmiechu. Mimo że klimatyzacja cicho terkotała, w pokoju temperatura i tak zbliżała się do dwudziestu stopni; gorąco wydzielane z ludzkich ciał, lamp i elektroniki walczyło zaciekle z systemem chłodzącym.

W pewnej chwili żwawym krokiem, z podskakującymi na głowie ciemnymi lokami, obok otwartych drzwi jego biura przepłynęła Lynn Zaroster, uważana za bardzo bystrą młodą detektyw. W jednej ręce trzymała przytkniętą do ucha komórkę, w drugiej butelkę dietetycznej coli.

- Wiem, wiem. Posłuchaj, nie obchodzi mnie, co twierdzi ten pieprzony sukinsyn - mówiła do telefonu. - Jeszcze raz ci powtarzam, że osobiście odczytałam dupkowi jego prawa, a on powiedział, że rozumie. Pogadaj z Mottem. On wszystko słyszał. - Policjantka, stukając obcasami, odeszła w głąb korytarza.

Ale teraz było już spokojniej, zostało tylko kilku rozliczających się z godzin detektywów.

Montoya wrócił myślami do własnej sprawy. Postukał ołówkiem w blat biurka, błyszczący w poświacie rzucanej przez monitor, na którym widniały fotografie Camilli Renard z miejsca zbrodni.

Brulion Montoi pełen był pytań, na które na razie nie znał odpowiedzi.

Kto zabił Camillę? Kto miał motyw i możliwość?

Kto ostatni widział ją przed śmiercią?

Dlaczego miała na sobie tę przeklętą suknię ślubną?

Jakie znaczenie mają krople krwi na dekolcie?

Dlaczego odnosi wrażenie, że matka przełożona i inne osoby z St. Marguerite's rzucają mu kłody pod nogi? Montoya miał jakieś niejasne teorie, nieprzemyślane pomysły, ale nic konkretnego poza poglądem, że ojciec Frank jest podejrzanym numer jeden.

Frank OToole.

Montoya, przymknąwszy oczy, usiłował wyobrazić sobie człowieka, którego znał w młodości, wyduszającego życie ze swojej kochanki, zaciskającego metalową linkę na jej szyi tak długo, aż przestała oddychać, aż jej serce się zatrzymało, a wszystko na środku kaplicy, przed ołtarzem, przy którym często odprawiał msze.

A potem co? Wymknął się na zewnątrz, gdzie padał ulewny deszcz, żeby kilka minut później nakryła go siostra Lucia? To nie trzymało się kupy, choć z drugiej strony, rzadko które morderstwo jest starannie zaplanowaną akcją.

Montoya postanowił skupić się na tym, co wiedział, zdając sobie sprawę, że odpowiedzi mogą się kryć w jego własnych notatkach lub tych poczynionych przez innych śledczych. Miał zeznania wszystkich osób powiązanych z klasztorem i kościołem, łącznie z zeznaniami kilku osób z sąsiedztwa, które o północy znajdowały się na zewnątrz. Pewien mężczyzna, pan Sylvester, wyprowadzał psa. Były też zeznanie dwojga nastolatków migdalących się w samochodzie zaparkowanym przy pobliskim domu. Para, na wpół rozebrana w aucie z zaparowanymi szybami, była przerażona, kiedy policjant ją zaczepił. Ale na terenie kościoła nie zauważyła niczego dziwnego.

Z zeznań zakonnic i pracowników klasztoru wynikało, że wszyscy spali i niczego nie słyszeli. Do osób z odmiennymi zeznaniami należała Lucia Costa, która „coś usłyszała i zeszła na dół, żeby to sprawdzić”, oraz matka przełożona, Charity Varisco, która opuszczała swoje biuro, gdy usłyszała wołanie siostry Lucii o pomoc. Siostra Louisa przyznała, że mniej więcej o tej porze szła do toalety, a siostra Irena nie spała, ale leżała w łóżku, zamartwiając się o swojego niedomagającego ojca. Niczego nie słyszała, mimo że jej pokój znajduje się blisko pokoju siostry Lucii. Ojciec Paul czytał, a ojciec O'Toole odwiedzał schorowanego pana Wembleya. Ogrodnik, Neron Lopez, jedyny poza duchownymi mężczyzna mieszkający w klasztorze, znajdował się w swoim pokoju nad garażami. Energiczny siedemdziesięciolatek oglądał emitowany późno talk-show na jednym z dwóch znajdujących się na terenie klasztoru telewizorów. Drugi odbiornik należał do ojca Franka O'Toole'a.

Tylko trzy osoby przyznały się do tego, że wiedziały o ciąży Camilli. Ojciec Frank, Valerie Renard i Lucia Costa. W swoich zeznaniach wszyscy wspomnieli nienarodzone dziecko. Camilla nie zwierzyła się z tego faktu matce przełożonej albo tak przynajmniej twierdziła siostra Charity.

Czy dziecko było powodem śmierci Camilli? A może istniał inny motyw, który dopiero trzeba odkryć? Jakaś nieznana jeszcze tajemnica?

Montoya powtórnie przeczytał zeznanie siostry Lucii. To ona, idąc po ojca Paula, spotkała w deszczu Franka. Według jej zeznań, O'Toole stwierdził, że jest winny śmierci Camilli, mówiąc coś w rodzaju: „To moja wina, niech mi Bóg wybaczy”.

Dla Montoi brzmiało to jak przyznanie się do winy.

Ułożywszy zeznania obok siebie, doszedł do wniosku, że będzie musiał jeszcze raz przesłuchać niektóre zakonnice, a zwłaszcza Lucię Costę. Czym było to „coś”, co ją obudziło? Krzyk? Wołanie o pomoc? Czyjeś kroki w korytarzu? I czy miała pewność w kwestii Franka i jego przyznania się do winy? To jedno z wielu pytań, jakie trzeba mu zadać. Ludzie z sąsiedztwa niczego ciekawego nie wniesli do śledztwa, ale warto jeszcze raz z nimi pogadać. I czeka go kolejna runda z matką przełożoną i ojcem Paulem. Ponadto jest jeszcze Valerie. Z nią też chciał porozmawiać. Valerie Renard przekazała mu plik mejli, które przysłała jej Camilla, a później wpadła na posterunek z kopiami. Jak widać, bardzo dbała o szczegóły, ale jako siostra zamordowanej miała ku temu powody. Czytając mejle, Montoya czuł się jak podglądacz. Z niejasnych przyczyn stosunki między siostrami były wyraźnie napięte. Ostatnia wiadomość od Camilli brzmiała przygnębiająco; najwyraźniej dziewczyna znajdowała się w głębokiej depresji.

„Po zastanowieniu stwierdziłam, że dłużej już tego nie zniosę. Opuszczam St. Marguerite's. Powód znasz”.

Camilla wyraźnie wątpiła w siebie i w słuszność swojej decyzji złożenia ślubów zakonnych. Nic zaskakującego.

Widać znajdowała się pod taką presją, że chciała opuścić zakon. Czy chodziło tylko o romans i ciążę, czy może o coś więcej? Jasne, że przede wszystkim musiało chodzić o to, iż spodziewała się dziecka i obawiała ujawnienia romansu z O'Toole'em, co zaszokowałoby wiele osób uważających ślub czystości za świętość.

Montoya, okręcając ołówek w palcach, pomyślał, że ciąża mogła być tylko zasłoną dymną.

Pogrążony w zadumie, pogładził swą kozią bródkę.

Te mejle niepokoiły go głównie dlatego, że w St. Marguerite's nie było komputerów, co świadczyło o tym, że klasztor naprawdę tkwił jeszcze w poprzedniej epoce. Według informacji na wydrukach, większość mejli pochodziła z blackberry, kolejnego urządzenia tabu, które na pewno nie było dostępne w St. Marguerite's. Kilka wysłano z biblioteki znajdującej się w pobliżu klasztoru.

Montoya zapisał sobie, że musi koniecznie sprawdzić, czy blackberry był zarejestrowany na Camille Renard i przez nią opłacany. Z chęcią obejrzałby sobie pamięć działań wykonanych na blackberry i wydruk z rozmów zakonnicy, która przecież ostentacyjnie wyrzekła się dóbr materialnych, łącznie z komputerami, telefonami komórkowymi, smartfonami typu blackberry i temu podobne. A na razie smartfonu nie odnaleziono. Kolejna mała zagadka.

Montoya zrobił notatkę opisującą anomalie życia Camilli, zestawiał fakty pozostające w sprzeczności z archaiczną instytucją, w której żyła, i z codzienną rutyną, jakiej powinna przestrzegać. Ciąża. Suknia ślubna, w której ją zabito. Mejle do siostry. Domyślał się, że postęp technologiczny z trudem dociera do zakonów, a St. Marguerite's było bardziej zapóźnione niż inne. A jednak Camilla wysyłała mejle, może nawet przez smartfon. Pisała do Valerie, ale czy tylko do niej?

Dane z telefonu powinny wkrótce nadejść. Dwa razy sprawdzał w komputerze, czy już dotarły.

Jeszcze nie.

Próbował złożyć w całość ostatnie kilka dni życia siostry Camilli, ale niewiele mu to dało. Jej dzień wyglądał tak jak innych

zakonnice - obowiązywał surowy harmonogram, w skład którego wchodziły modlitwy i śpiewy pochwalne, uczestnictwo w nabożeństwach, medytacje, przygotowywanie posiłków i ich spożywanie. Były też lekkie prace domowe, a siostra Camilla zajmowała się ponadto przyklasztornym ogrodem ziołowym. Według słów matki przełożonej, z własnej woli zaprzęgała się do prac w sierocińcu St. Elsinore's położonym po drugiej stronie jeziora Pontchartrain.

Z tego, co Montoi było wiadomo, wizyty w St. Elsinore's były jedynymi momentami, gdy Camilla opuszczała teren klasztoru. Może poznała zabójcę poza St. Marguerite's?

A może był to ktoś, kogo dobrze znała, kogo często widywała w obrębie zamkniętych murów klasztornych?

A co z sierocińcem w St. Elsinore's, starzejącą się instytucją, z której Camilla i Valerie były adoptowane? Według posiadanych notatek, Camilla trafiła do sierocińca jako niemowlę, podczas gdy Valerie miała już wtedy pięć lat. Starsza siostra pewnie pamięta tamte czasy, ale dla Camilli były to pewnie tylko niewyraźne wspomnienia. Czy to, że ostatnio z własnej woli zgłosiła się do pracy w sierocińcu, ma jakieś znaczenie, czy to tylko zbieg okoliczności?

Zerknął na biurko, gdzie na stosie papierów leżało zeznanie Franka O'Toole'a. Jego alibi pozornie się zgadzało, niemniej należało je sprawdzić. Zwłaszcza w świetle tego, co wyznał siostrze Lucii.

Z korytarza dobiegły Montoyę wrzaski jakiegoś lumpa zarzekającego się, że jest niewinny i chce, by mu zdjęto kajdanki.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Odezwała się jego komórka i na wyświetlaczu pojawiły się numer domowy i twarz Abby.

- Hej - powiedział.

- Hej.

Wystarczył sam dźwięk głosu żony, żeby Montoyę ogarnęło uczucie spokoju. Oparł się w krzesło.

- Co tam?

- To, co zawsze: pieluchy, ulewianie, pranie i za mało snu, co zawdzięczam tobie i Benowi.

Zachichotał, potem ziewnął. Miał za sobą długą noc i dzień i zaczynał już czuć zmęczenie w karku i plecach.

- No więc - ciągnęła Abby - właśnie się zastanawiałam, czy wracasz do domu na kolację. Czy wiesz, że zbliża się wieczór?

Czy w jej głosie brzmiała nutka urazy?

- Och, i przy okazji, podczas twojej nieobecności twojemu synowi wyrosły ząbki i zaczął chodzić.

Oho, sarkazm na całego.

Montoya znów zachichotał, pomimo przygany ukrytej w słowach żony.

- Dowcipnisia.

- Potrafię być dowcipna, gdy muszę. Spojrzał na zegarek.

- Tak, będę na kolacji.

- Wspaniale! W takim razie może kupisz po drodze butelkę wina i chleb? Francuski albo lepiej włoski.

- Tylko jeśli wykręcisz mi rękę - odrzekł, potem dodał ze śmiechem: - Ale naprawdę mocno. Albo jakąś inną część mojego ciała, jeśli wolisz.

- Może nos? - odgryzła się.

- Coś ci powiem: dzisiaj pozwolę ci samej podjąć decyzję.

- Obiecanki cacanki. Po prostu zadzwoń, jak będziesz wychodził z biura, to wstawię kolację.

- Umowa stoi.

- Mam nadzieję. - Abby się rozłączyła.

Montoya jeszcze przez dłuższą chwilę siedział z uśmiechem na ustach. Poszcęściło mu się.

Naprawdę mu się poszcęściło. Spojrzał na małe zdjęcie stojące na biurku przedstawiające Abby z odsłoniętymi ramionami, tulącą do siebie Benjaminą w pieluszce i patrzącą na syna wzrokiem pełnym miłości. Benjamin spał, ciemne rzęsy rzucały cień na puciołowate policzki, pogodną twarzyczkę otaczały ciemne włoski.

Serce Montoi wypełniło uczucie, o którym sądził, że już nigdy go nie doświadczy.

- Hej! - Bentz wsunął głowę do biura. - Jadę jeszcze raz porozmawiać z ojcem. Pomyślałem, że może chciałbyś się ze mną wybrać.

- Teraz? - Montoya spojrział na zegar stojący na biurku.

- To zajęty człowiek.

- Jak my wszyscy. Tak teraz nazywasz OToole'a? Ojciec ojciec?

- Tak, choć chyba przedwcześnie. Przecież jeszcze nic nie wiemy. - Montoya odsunął krzesło od biurka i sięgnął po kurtkę. - Ale pewnie wkrótce się dowiemy. - Krew została oddana do laboratorium. Na wyniki DNA trzeba trochę poczekać, ale badania krwi powiedzą im przynajmniej to, czy Frank OToole jest możliwym kandydatem.

A jeśli się okaże, że nie, znajdziemy się w punkcie wyjścia, myślał Montoya, sprawdzając broń i wkładając ją do kabury. W ciemności, którą rozprasza jedynie światło świec, otwieram okno na oścież, żeby wpuścić do środka oddech nocy, i zawieszam swój habit na kołku. Nie spiesząc się, podgrzewam olej, potem wolnymi ruchami wcieram jedwabisty płyn w moją nagość, natłuszczając ciało, czując, jak moje dłonie przesuwają się gładko po mięśniach. Twarde i żyłaste mięśnie napinają się łagodnie, gdy je masuję. Ramiona i brzuch, naprężone i mocne.

Biodra i uda, muskularne i błyszczące w świetle świec. Pośladki krągłe i jędrne.

Widzę własne odbicie w lustrze.

Wysoki.

Przystojny.

Prawie doskonały.

Ale są skazy.

Jedna to miejsce na ramieniu, gdzie utkwiała kula i gdzie pozostała do czasu, póki nie nabrałem dość sił, żeby ją usunąć. Nadal widnieje tam wgłębienie, niewielki, ledwo teraz widoczny dołek szpecący skórę. Nie poniosłem większej szkody.

Druga niedoskonałość*jest poważniejsza.

Moja prawa noga.

Pod kolanem, w miejscu gdzie łydka powinna się wybrzuszać, znajduje się splot mięśni i pokrytej bliznami skóry. Wcieram olejek w zniekształcone ciało, przypominając sobie, że to blizna wojenna, blizna zdobyta w walce o wyższe cele.

Powód, dla którego zawiesiłem wykonywanie mojej misji.

Na rehabilitację nogi poświęciłem lata, wiedziony silnym pragnieniem, żeby znów móc normalnie chodzić, biegać, ukrywając moją niedoskonałość przed światem. Aż nadejdzie właściwa pora.

Przesuwam palce po poszarpanej skórze, ugniatając zniekształcone ciało poniżej kolana, natłuszczając starą ranę. Czekałem. Byłem cierpliwy. Ale teraz już wiem, że dobrze uczyniłem.

Pan mnie wzywa.

Czas oczekiwania dobiega końca.

Klękam twarzą do lustra.

Biorąc głęboki oddech, myślę o kobietach.

O tych wszystkich kobietach z ich zalotnymi uśmiezkami zachęcającymi spojrzeniami, błyszczącymi ustami i sprośnymi uwagami. Uwodzicielki i dziwki, lafiryndy i nierządnicę, każda przekonana, że okaże się tą wyjątkową, przez którą złamię śluby...

Gdyby tylko wiedziały.

Czy nadal byłyby tak podniecone?

Nadal podążałyby za pragnieniem pogrążenia się w mrocznych wodach?

Oczywiście, że tak.

Uśmiechając się w ciemności, wspominam ich grzechy, ich zmysłowe i ciepłe, pulsujące ciała, woń pożądania zmieszana z unoszącym się w powietrzu zapachem perfum i potu.

Czuję ucisk w pachwinach.

Żar wślizguje się do mojego krwiobiegu.

Moja męskość się unosi, zaczyna tętnić.

Myślę o tych wszystkich pełnych ustach, o zdumieniu i pożądaniu lśniącem w martwych już oczach. A potem zaczynam się modlić.

Rozdział 22

Ojciec Frank był nieobecny, zajęty swoimi misyjnymi duszpasterskimi obowiązkami.

Bentz aż się gotował. Montoya poznał to po jego zaciśniętej szczęce i po tym, jak patrzył przez bramę na siostrę Charity.

Z drugiej strony, matka przełożona, która osobiście odpowiedziała na dzwonek, też nie była zadowolona. Ani trochę.

- Ojciec Frank jest w szpitalu - poinformowała przez zaciśnięte usta. Jej oczy powiększone przez korekcyjne szkła okularów były pełne milczącej nagany. - Powinni panowie zapowiedzieć swoją wizytę.

- Zrobiłem to - stwierdził Bentz. Zakonnica zmarszczyła szare brwi.

- Ojca Franka wezwano do szpitala. - Kobieta wsunęła dłonie w rękawy habitu, jakby czekając, że policjanci odejdą.

Bentz nie ruszał się z miejsca.

- Skoro już tu jesteśmy, możemy porozmawiać z innymi osobami z listy.

- Ale jest późno, przynajmniej dla nas w klasztorze, a ojca O'Toole'a nie ma. Może więc wróćcie jutro o bardziej stosownej porze.

- Teraz będzie lepiej - upierał się Montoya. - Kiedy wydarzenia w pamięci świadków są jeszcze świeże.

Bentz się z tym zgodził.

- Poza tym może ojciec O'Toole niedługo wróci. Zakonnica zamierzała się sprzeciwić, ale zmieniła zdanie, gdy Bentz zaczął szybko wymieniać nazwiska osób z personelu, które chciał przesłuchać.

- Już dobrze - zgodziła się w końcu i z grymasem niechęci otworzyła bramę, po czym odeszła, żeby poszukać osób, które miały być ponownie przesłuchane.

Montoya postanowił, że mimo dawnych powiązań porozmawia z siostrą Lucią. Chciał na własne oczy zobaczyć, jak zareaguje, zapytana o jednego z jej znajomych. Teraz siedzieli naprzeciwko siebie, w tym samym pokoju, w którym dwadzieścia cztery godziny wcześniej przesłuchiwał Franka OToole'a. Te same przyćmione kinkiety i porysowany stół, to samo niepokojące uczucie, że prawda kryje się tuż za rogiem, wymykająca się, nieuchwytna!

- Nie pamięta siostra, co siostrę obudziło? - pytał, zaglądając do swoich notatek.

Siostra Lucia pokręciła głową, nerwowo splatając palce. Była blada i wyglądała tak, jakby wolała być wszędzie, tylko nie w tym małym pokoju przesłuchiwanym przez policję.

Drzwi na zewnętrzny korytarz stały otworem, wpuszczając do środka trochę chłodniejszego powietrza. Montoya chciał je zamknąć, podejrzewając, że matka przełożona będzie krążyła w pobliżu; jej obecność działała paraliżująco na resztę zakonnicy.

Po drugiej stronie kaplicy Bentz, siedząc w podobnym pokoju, przesłuchiwał innych rezydentów klasztoru - zakonnice i świecki personel - których zeznania należało uzupełnić.

- Nie - odparta siostra Lucia. - Nie pamiętam, żeby obudził mnie jakiś specjalny odgłos. To było tylko przeczucie. - Dziewczyna nerwowo przygryzła wargi, a Montoya doszedł do wniosku, że siostra Lucia zupełnie nie umie kłamać. - Może po prostu ten hałas mi się przyśnił. Nie wiem, nie umiem tego określić.

- To był jakiś krzyk? - naciskał Montoya. Lucia gwałtownie pokręciła głową.

- Nie. - Poczerwieniała i umknęła wzrokiem przed spojrzeniem detektywa.

- Wołanie o pomoc?

- Nie!

- Odgłos kroków?

Spojrzała mu przepaszająco w oczy.

- Przykro mi - szepnęła.

Zmierzali donikąd. Montoya postanowił spróbować inaczej.

- Okej, porozmawiajmy więc o ojcu Franku. Tej nocy natknęła się siostra na niego na dziedzińcu?

- Tak. A raczej on się na mnie natknął. Pukałam do drzwi ojca Paula i ojciec Frank nagle stanął przy mnie. Wystraszył mnie -dodała, opisując po raz wtóry, jak młodszy z księży pojawił się niespodziewanie za jej plecami.

- Była siostra najbliższą przyjaciółką siostry Camilli - zasugerował Montoya.

- Możliwe. - Lucia wzruszyła ramionami. - A przynajmniej jedną z nich. My wszystkie się tu przyjaźnimy.

Montoya miał co do tego wątpliwości.

- Ale tylko siostrze powiedziała o ciąży. Zakonnica umknęła spojrzeniem w bok.

- Tak - potwierdziła słabym głosem, wyraźnie skrepowana. - No cóż, chodziłyśmy razem do szkoły, chociaż wtedy nie byłyśmy blisko.

- Czy powiedziała siostrze, że dziecko jest ojca OToole'a? Na gładkim czole pojawiły się zmarszczki.

- Nigdy nie mówiła, że to on. Montoya zapisał to sobie w notesie.

- Natomiast mówiła, że ją i ojca dziecka łączy hm... zaangażowanie. Właśnie tego słowa użyła. Co było dość oczywiste, skoro zaszła w ciążę.

- Ale nie wspominała ojca O'Toole'a?

- Nie. - Lucia z trudem przełknęła ślinę. - Nie wspominała, ale kilka razy widziałam ich razem. No wie pan... obejmujących się... całujących. Kiedy sądzili, że nikt ich nie widzi.

Zawstydzona, nadal unikała spojrzenia Montoi.

- Czy widział ich jeszcze ktoś inny?

- Tak przypuszczam. - Lucia uniosła w górę ramiona, podczas gdy reszta ciała pozostała nieruchoma, co sprawiało wrażenie, jakby dziewczyna miała ochotę wyskoczyć ze skóry. - Starali się zachowywać dyskretnie, ale przecież tutaj zawsze ktoś się kręci.

- Co siostra Camilla czuła, gdy zorientowała się, że jest w ciąży? - spytał Montoya.
- Była przerażona. Mówiła, że nie wie, co robi, ale że prawdopodobnie opuści klasztor.
- Ale zamierzała urodzić dziecko?
- Słucham? Och! - Oczy Luci zrobiły się okrągłe, gdy pojęła, że Montoya pyta o możliwą aborcję. - Och, Camilla bardzo chciała urodzić i wychować to dziecko. Nigdy nie zdecydowałyby się na przerwanie ciąży. Nawet jej to nie przyszło do głowy - zapewniła Lucia, gwałtownie kręcąc głową. Z niezwykłą żarliwością. Teraz na pewno nie kłamała. - Siostra Camilla sama była dzieckiem adoptowanym i bardzo chciała odnaleźć swoich biologicznych rodziców. Chyba nie wierzyła, że nie żyją. Szukała ich chyba właśnie z powodu dziecka i... Och, nigdy by go nie skrzywdziła. Chciała je wychować. - Zakonnica dumnie uniosła podbródek, jakby uważała, że ma obowiązek bronić reputacji przyjaciółki.
- Naciskała na ojca OToole'a?
- Ja... ja nie wiem. Rozmawiała z nim, ale powiedziała mi tylko, że go powiadomiła, iż spodziewa się dziecka. Jeśli chodzi panu o to, czy prosiła go, żeby zrzucił sutannę i ożenił się z nią, to ja o niczym takim nie wiem.
- Jak przyjął wiadomość o ciąży? - pytał Montoya.
- Siostra Camilla twierdziła, że był przybity.
- Jak bardzo? Zakonnica pokręciła głową.
- Nie wiem. Najlepiej zapytać jego samego.
- Zrobimy to.
- Proszę posłuchać, on jej nie zabił - zapewniła Lucia. -Przysięgał, że tego nie zrobił!
- Pytała go siostra o to?
- Oczywiście, że nie. Sam mi to później powiedział. - Siostra Lucia zrelacjonowała swoją rozmowę z księdzem, cała kurcząc się w sobie, jakby zdawała sobie sprawę, że powinna była te sprawy przemilczeć, bo wspominając o nich, w jakiś sposób zdradza zarówno Camille, jak i ojca Franka.

Natomiast Montoya zrozumiał, że popełnił błąd, osobiście przesłuchując Lucię. Zakonnica była wystraszona. Zdenerwowana Może dlatego, że po pierwsze, był mężczyzną, a po drugie, tak bardzo przypominał Cruza. Możliwe, że o wiele łatwiej otworzyłaby się przed kobietą.

Zapytał o blackberry i telefon komórkowy.

- O niczym takim nie wiem, ale wydaje mi się, że siostra Camilla prowadziła pamiętnik. A może tylko notatnik – wyznała niechętnie Lucia.

Pamiętnik. To mogłoby wiele wyjaśnić... Chociaż Bentz nie znalazł niczego takiego w pokoju Camilli.

Montoya zapytał jeszcze, co siostra Lucia wie na temat pamiętnika, ale zakonnica twierdziła, że nigdy go nie czytała; wiedziała tylko, że istnieje. .

Kolejna ślepa uliczka, pomyślał. Po tym przesłuchaniu miał więcej pytań niż odpowiedzi.

- Dziękuję - rzekł.

Lucia z ulgą opuściła ramiona; była wyraźnie zadowolona, że przesłuchanie się skończyło.

Wyszedszy z małego pokoju, natknęli się na siostrę Charity, która z zaciśniętymi zębami krążyła po korytarzu, przesuwając w palcach paciorki różańca.

- Skończyliście? - zapytała. Spojrzała przenikliwie na Montoyę oczyma, które zza wypukłych szkieł okularów wydawały się większe niż w rzeczywistości.

- Jeszcze nie.

Zakonnica pokręciła głową tak, że rąbek kwefu otarł się o habit na plecach. ,

- To dom boży - rzekła łagodnie - a nie izba przesłuchań. Zdaję sobie sprawę, że wykonujecie swoją pracę, ale my naprawdę nie możemy dłużej godzić się, żebyście tu robili zamieszanie. -Przez chwilę wyglądało tak, jakby ta twarda kobieta miękła je, spojrzenie przybrało niemal błagalny wyraz. -

Oczywiście chcemy żeby zabójca siostry Camilli został wykryty. Morderca mus! ponieść słuszną karę. Ale za jaką cenę? Wszystkie siostry są na

skraju wyczerpania. W klasztorze zapanowała atmosfera podejrzliwości. Krążą plotki, wszyscy spekulują, a wiarę, nadzieję i miłość zastąpił strach. - Matka przełożona ciężko westchnęła. - Wierzę, że Wszechmogący Ojciec, Syn i Duch Święty pomogą nam przejść przez ten kryzys. Wy wykonujecie swoją pracę, pozwólcie jednak, by słudzy domu bożego mogli wykonywać swoją.

- Prowadzimy tu dochodzenie.

- Rozumiem, detektywie, ale za jaką cenę? - Zmarszczki na twarzy matki przełożonej wydawały się dzisiaj głębsze, a jej zaciekłość nieco słabsza.

Montoyę ogarnęło współczucie, ale nie zamierzał ustąpić. Nie mógł się wycofać... Nawet na prośbę samego Jezusa Chrystusa.

- Prowadzenie dochodzenia wymaga czasu. A przecież wiem, że siostra chciałaby, byśmy wykonywali nasze zadanie starannie i rzetelnie.

- Rzetelnie? - Usta zakonnicy wykrzywił grymas irytacji. - Proszę za mną - rzekła twardo i stawiając stanowcze kroki, powiewając habitem, ruszyła w stronę kaplicy, a gdy tam dotarła, szeroko otworzyła drzwi. - To pan nazywa rzetelnością? - Uniosła brew z wyrazem niedowierzania, a następnie wymownym gestem wskazała wewnątrz niewielkiej nawy.

Proszek daktyloskopijny znajdował się wszędzie: pokrywał drewniane ławki i tapicerkę klęczników. Śpiewniki i modlitewniki leżały porzucane w nieładzie. Całe wnętrze wyglądało jak po przejściu huraganu. - Niestety, musimy jakoś prowadzić śledztwo.

- Detektywie, powtarzam raz jeszcze, że to dom boży. Niezależnie od tego, jak okropna rzecz się tu wydarzyła, miejsce jest święte. Święte. Proszę o tym pamiętać.

Zakonnica odwróciła się od niego z odrazą i odeszła, nim Montoya zdążył jej zadać choć jedno pytanie.

Montoya postanowił odczekać, aż matka przełożona ochłonie, a w międzyczasie odszukać Bentza, który, jak mu powiedziano, poszedł jeszcze raz obejrzeć pokój Camilli. Siostra Devota zaprowadziła go tam wąskim, pozbawionym okien korytarzem,

oświetlonym kinkietami, które wyglądały, jakby je wykradziono ze średniowiecznych j lochów. Czy tę upiorną atmosferę wywoływały unoszący się w powietrzu zapach pleśni i słabe oświetlenie, czy raczej fakt, że zamordowano tu kobietę, a zabójca jeszcze nie został zidentyfikowany?

Siostra Devota wskazała pokój Camilli. Przed wejściem, pilnując Bentza, stali ojciec Paul i siostra Edwina, wysoka zakonnica o skandynawskich rysach.

Wewnątrz przypominającego celę pokoju ciemność ledwo rozpraszało słabe światło małej lampki. Było tam uroczo i przytulnie jak w grobowcu. Łóżko stało puste, ponieważ pościel została oddana do laboratorium do analizy.

Bentz właśnie podnosił łóżko, żeby obejrzeć podłogę pod spodem.

- Pomyślałem, że warto tu jeszcze raz zajrzeć - wyjaśnił, gdy Montoya poświecił mu światłem z komórki. Pomimo włączonej lampki w pokoju było dość ciemno.

- Nie znalazłeś przypadkiem jakiegoś pamiętnika? - spytał cicho Montoya, nachylając się do partnera, żeby reszta go nie słyszała.

- Ach, więc tak to działa. Znajdziemy pamiętnik i z niego dowiemy się, kto jest zabójcą. Tak, to się często zdarza - burknął ironicznie Bentz, wznosząc oczy i patrząc na popękany sufit. -Niestety, jeszcze się na niego nie natknąłem.

- Tak myślałem. - Montoya wyprostował się i przesunął wzrokiem po ścianach pokrytych proszkiem daktyloskopijnym. Instynkt mu podpowiadał, że niczego tu nie znajdą. Niczego. *Nada*.

Obszedł wąskie żelazne łóżko, które raczej nie nadawało się do uprawiania miłości. Ale kto wie, może Camilla kochała się w nim z O'Toole'em? Wszystko możliwe. Kiedy ludźmi zawładnie namiętność, znikają granice i zdrowy rozsądek.

Niemniej gdy uważnie badał materac, coś zauważył. Przy pokrowcu brakowało jednego guzika. Mała rzecz. Prawie niezauważalna. Mimo to znalazł gumowe rękawiczki, wciągnął je na dłonie i wsunął palec w dziurkę, z której sterczały nitki po guziku.

Czubkiem palca wyczuł jakieś wybrzuszenie, nieznaczną wypukłość.

- A co to? - zdziwił się, widząc, że materac był zszywany bardzo drobnym ścięciem. Ostrożnie, żeby niczego nie naruszyć, wyciągnął swojego pomeroya 500, nóż z kilkoma ostrzami, i przeciął nim ręcznie wykonany ścieg.

W środku wymacał szparę i coś papierowego. Wyciągnął z materaca długą, wąską kopertę, trochę pomiętą, ponieważ wepchnięto ją pod pokrycie.

Nie była zaadresowana, za to dokładnie zaklejona. W miejscu, gdzie nałożono klej, widniała czerwonawobrazowa plama.

- Krew? - spytał Bentz.

- No to wygląda.

- Uważaj na odciski - przestrzegł Bentz.

- Jasne. - Montoya nie zamierzał naruszać zaklejonej części koperty. Mogły się na niej znajdować ślina, krew lub odciski palców. Używając najcieńszego ostrza, rozciął węższy róg koperty i rozchylił ją, żeby wyciągnąć ze środka pojedynczą kartkę, na której na górze widniał nagłówek „Do mojego ukochanego”, a na dole podpis „C”.

Tekst pisany gęsto i w pośpiechu ze szczegółami i bardzo obrazowo podawał, czego nadawca listu, kobieta, pragnie od swojego kochanka. I nie chodziło o romantyczne i mdłe żądania, lecz o wyraźnie określone erotyczne zachowania sugerujące, że kochanków łączył związek sadomasochistyczny.

Nawet Montoya, doświadczony weteran, był zdumiony.

- Czy to pismo siostry Camilli? - zapytał, podsuwając list pod oczy matce przełożonej, która z odrazą obejrzała kartę, mocno zaciskając usta.

- Możliwe - przyznała. Później obrzydzenie zastąpiła litość i zakonnica zrobiła na piersiach znak krzyża. - Camilla była bardzo udręczoną duszą.

Rozdział 23

Val usiadła w swoim ulubionym fotelu z podwiniętymi nogami. Notatki na temat Camilli leżały obok na stoliku. Ponieważ już zmierzchało, w pokoju paliła się tylko jedna lampa, telewizor, nastawiony na kanał informacyjny, łagodnie migotał, a Bo zwinięty w kłębek chrapał u jej stóp. Val właśnie skończyła rozmowę telefoniczną z detektywem Montoyą, gdy Bo, leżący blisko balkonu, uniósł nagle łeb i cicho zawarczał.

- Przestań - skarciła go Val.

Pies nie usłuchał jej, lecz wstał i przycisnął nos do szyby. I znowu zawarczał, nisko i ostrzegawczo.

- Hej! - zawołała Val. - Daj spokój.

Bo jednak, z sierścią zjeżoną na karku i z wyszczerzonymi kłami, nie odrywał wzroku od okna.

- O co chodzi? - spytała Val i wyłączywszy lampę, żeby nie było jej widać z zewnątrz, podeszła do okna i wyjrzała w ciemność.

Teren przed domem oświetlały lampa zawieszona na ganku oraz kilka przyćmionych ogrodowych lampionów rzucających niebieską poświatę na przecinające trawnik dróżki. Wokół dębów słały się dziwne cienie, ale poza tym wszystko wyglądało normalnie. Ciepłe światło migotało w oknach pokoiów Frei i głównego holu, a nawet w jednym z okien gościnnych pokoi, natomiast to na najwyższym piętrze, należące do pokoju Slade'a, było ciemne.

- Nic się nie dzieje - mruknęła Val do psa, próbując przekonać samą siebie, że kundel wyczuł po prostu zapach szwendają-cego się w pobliżu oposa lub szopa, a może kota z sąsiedztwa.

A jednak czuła lekkie zdenerwowanie, gdy po włączeniu światła przeszła do kuchni i w mikrofali podgrzała wodę, do której potem wrzuciła torebkę herbaty.

Następnie, starając się otrząsnąć z niepokoju, wróciła na fotel, lecz wtedy Bo znów nastawił uszy i cicho szczechnął.

- Dość tego - powiedziała stanowczo. - Rozumiesz? - Potem usłyszała cichy warkot silnika furgonetki. Zanim jeszcze wyrzwała przez okno, wiedziała, że to Slade.

Wspaniale. Jeszcze tego brakowało. Od chwili gdy zakończyła rozmowę z detektywem Montoyą, nie mogła odegnąć ponurych myśli na temat własnego życia.

Przymknęła oczy, walcząc z falą pożądania, z kobiecością, którą Slade nadal poruszał.

Przestań wreszcie z tym walczyć i ciesz się, że tu jest. Pomoże ci wykryć zabójcę Camilli. I przynajmniej masz z jego strony moralne wsparcie.

Roześmiała na głos. Moralne wsparcie? Ze strony mężczyzny, który próbował uwieść jej siostrę? Niezły żart.

Z drugiej strony, Camilla mogła kłamać. Val już wcześniej zastanawiała się nad taką ewentualnością. Tak czy inaczej, zdawała sobie sprawę, że kontakt ze Slade'em nastęrczy wiele problemów.

Bo szalał, skamłając pod drzwiami. Przez szparę w żaluzjach Val zobaczyła, że Slade wysiada z furgonetki i zamiast skierować się do motelu, skręca prosto do jej domku.

- Masz babo placek - mruknęła.

Podeszła do drzwi i w tym samym momencie Slade cicho zastukał. Bo skakał, niemal wyłaził ze skóry, gdy odsuwała zamek.

Slade stał na ganku. Jego nieogoloną twarz okrywał cień, szczęki miał zaciśnięte. Uśmiechnął się do Val słabo, kącikiem ust.

- No i jak, dałem ci wystarczająco dużo czasu?

- Przecież znów tu jesteś.

Nie można było nie zauważyć Slade'a Hustona, którego postać wypełniała teraz otwór wejściowy. Val pomyślała o muskularnym ciele męża.

- Bądź miła - rzucił.

- Zawsze jestem miła. Uśmiechnął się nieco szerzej.

- Jasne. Mili ludzie zapraszają gości stojących przed drzwiami do środka.

Bo dziko zawył, ale zaraz umilkł uciszony ostrym spojrzeniem Slade'a.

- Dobrze - powiedziała Val, otwierając skrzypiącą moskitierę i odsuwając się na bok. - Wejdz. Mam coś dla ciebie. - Przeszła do biurka, gdzie wśród stosu niezapłaconych rachunków dostrzegła kilka upomnień o zapłatę. Wzięła do ręki dużą kopertę od prawnika. - Nad tym właśnie pracowałam - oświadczyła. - Wezwanie przedwstępne. - Podała Slade'owi kopertę, a on sprawdził adres nadawcy. - Ale jest kilka szczegółów do uzupełnienia, więc skoro tu jesteś... - Wzruszyła ramionami, próbując wzbudzić w sobie gniew, rozbudzić pragnienie przecięcia wszelkich więzów z mężem, jak również chęć pokazania mu, że nie pozwoli, by ich rozpadające się małżeństwo zniszczyło resztę jej życia. Ale nie potrafiła. Wraz ze śmiercią Camilli utraciła możliwość odczuwania jakichkolwiek emocji.

- Mam już kopię w aucie. - Slade rzucił kopertę na stolik. - Poza tym to chyba niewłaściwa pora. Miał rację.

- Chciałam tylko, żebyś wiedział, na jakim jestem etapie.

- Och, rozumiem. - Twarz mu stwardniała. - Ale nie sądzisz, że teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie? Skinęła głową.

- Okej. W porządku. Na razie ogłaszam rozejm. - Skinęła ręką w stronę fotela. - Chciałam tylko, żeby wszystko było jasne.

- Jest kryształowo jasne.

- To dobrze. - Przechodząc do małej, wąskiej kuchni, zawołała przez ramię: - Mam herbatę, kawę albo coś gazowanego!

Otworzyła lodówkę, potem spojrzała ponad jej drzwiczkami w stronę salonu, gdzie Slade, pochylony nad Bo, drapał psa za uszami. Ten znajomy widok sprawił, że poczuła lekkie ukłucie w sercu. Ileż to razy widziała Slade'a w tej pozie na ganku ich starego domu na ranczu? Gdy o zachodzie słońca kończył swoją pracę, Slade pochylał się nad psem, żeby go pogłaskać, a potem z ulgą ściągał zabłocone buty i wchodził do kuchni. Widziała to setki razy. Znalazłszy się w środku, zawsze znalazł czas, żeby ją

pocałować. I albo cmokał ją szybko w policzek, albo, co zdarzało się o wiele częściej, brał ją w ramiona i miażdżył jej usta swoimi.

- Zdaje się, że mamy czas na szybki numerek - szeptał jej do ucha, tylko na wpół żartobliwie.

Biło od niego zapachem siana, koni i kurzu, i Val, w pierwszym roku ich małżeństwa, zazwyczaj podchwytywała ofertę. - O jakim numerku mówisz? - droczyła się z nim, a on, roześmiana, zanosił ją do sypialni, żeby się z nią kochać. I wcale się nie spieszył.

Czasami, gdy wracała do domu po pracy, stwierdzała, że na piecu kuchennym pichci się coś prawie niejadalnego, a Slade krząta się przy garnkach. Na odgłos jej kroków oglądał się za siebie i udając zaskoczenie, unosił ręce.

- Jestem niewinny, pani detektyw! - wołał, mimo że wyglądał tak, jakby właśnie coś przeskrobał, a jego oczy błyszczały podejrzanie.

- Wątpię - brzmiała zwykle jej odpowiedź.

A Slade, jak na zawołanie, odwracał się plecami i wystawiał ręce, wykręcając głowę, by przyszpilić ją łobuzerskim spojrzeniem i zaproponować:

- Ale i tak mnie skuj.

I znowu kończyli w łóżku.

Więc jak się stało, że od tych żartów kochanków przeszli do całkowitego braku zaufania i furii?

Odpowiedź była prosta: Camilla.

Val spojrzała na męża, zastanawiając się, czy on też podąża wyboistą aleją wspomnień.

- Mam też piwo, jeśli chcesz.

- Wspaniale. - Slade wszedł do kuchni, wziął puszkę coorsa z wyciągniętej dłoni Val, otworzył wieczko i łyknął spory haust, po czym wrócił za Val do salonu, gdzie opadł na niewielką kanapę. Val usiadła w fotelu i podciągając pod siebie nogi, uznała, że chyba może bezpiecznie zwierzyć się mężowi z przemyśleń na temat Cammie. - Dzisiaj rozmawiałam z detektywem Montoyą.

- Jakież nowe wieści?

- Żadnych odpowiedzi, same pytania - stwierdziła. Poinformowała męża, że policja szuka telefonu komórkowego, smartfonu, a także pamiętnika lub notatnika. - Wiem, że miała jakiś telefon, chociaż nigdy nie wydawało mi się to dziwne. Tak czy inaczej, nie mam pojęcia, gdzie on może być. I nic nie wiem na temat pamiętnika. - Nie zwracając uwagi na szybko stygnącą herbatę, dodała:

-Najdziwniejszą rzeczą, którą Montoya znów poruszył, jest to, że Camilla poszukiwała naszych biologicznych rodziców. Słyszałam to już wcześniej, ale nie mogłam uwierzyć. Od zawsze wiedzieliśmy, że nasi rodzice nie żyją. Byli spokrewnieni z Nadine i Gene'em, naszymi adopcyjnymi rodzicami, z którymi odwiedzaliśmy ich grób.

- Nigdy nie miałaś żadnych wątpliwości?

- Nigdy. - Val, wolno kręcąc głową, podniosła kubek. - Adoptowano nas z St. Elsinore's, gdy byliśmy bardzo małe, i nigdy nie miałam powodów wątpić, że nasi rodzice nie umarli.

- Ale Camilla miała? - Na to wygląda. - Valerie nadal nie mogła pogodzić się z tą informacją. - Ale to jakieś szaleństwo. Przecież nigdy przed nami niczego nie ukrywano. Całe życie wiedzieliśmy, że jesteśmy adoptowane i skąd pochodzimy - wyjaśniła. - Jesteś pewna?

- Oczywiście.

- A skąd ta pewność?

Val wypila trochę herbaty, niezbyt zadowolona z wniosków, jakie cisnęły się jej do głowy.

- Ze wszystkiego, co mi powiedziano...

- I nigdy nie przyszło ci na myśl, że Gene i Nadine mogli was okłamywać? - pytał Slade, unosząc sceptycznie brew. - Ludzie bez przerwy wymyślają jakieś historie, zwłaszcza jeśli dzięki nim mogą się wydać lepsi.

Val dostrzegła w oczach Slade'a powątpiewanie i szybko odwróciła wzrok, żeby tego nie widzieć. To jakaś pomyłka. Z pewnością! Ile razy matka, Nadine, opowiadała jej o adopcji, o walce, jaką Renardowie musieli stoczyć, żeby uzyskać prawa do Valerie i Camilli? Val pamiętała ojca siedzącego przy kuchennym stole

i opowiadającego o tym, jak rozmawiał z proboszczem, domagając się, żeby pozwolono mu zaadoptować spokrewnione z nim dzieci.

- Byłem tam dzisiaj - oznajmił Slade, przywołując Val do rzeczywistości.

- Gdzie? W St. Elsinore's? - spytała. - Po co?

- Musiałem jakoś zabić czas.

- No to miałeś go dużo, bo to przecież bardzo daleko - myślała na głos Val, przypominając sobie kościół i wysokie mury otaczające szkolny plac zabaw. W St. Elsinore's nigdy nie słyszało się bicia dzwonów kościelnych. Dzwonnica była zrujnowana, podobnie jak inne budynki.

Slade wzruszył ramionami.

- Kancelaria parafialna była zamknięta, ale znalazłem to. - Podał żonie ulotkę zawiadamiającą o zbliżającej się aukcji charytatywnej reklamowanej jako wielka gala zorganizowana w celu ekspresowego zebrania funduszy na nowy sierociniec.

- A poszedłeś tam, bo...? - Val wiedziała, że Slade nieprzypadkowo wybrał się do sierocińca właśnie tego dnia.

- Po pierwsze, dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że potrzebujesz czasu. Więc postanowiłem się wycofać i obejrzeć sobie kilka związanych z twoją przeszłością miejsc, o których wspominałaś. Przejechałem się też obok twojego dawnego domu i szkoły.

Val poczuła na skórze nieprzyjemne mrowienie. Próbowwała przypomnieć sobie jakąś życzliwą twarz lub miłe momenty, ale w jej umyśle pojawiały się tylko niewyraźne wspomnienia strachu, niemożliwości zrozumienia, co się stało z rodzicami, albo lęku o młodszą siostrzyczkę. Był jeszcze uspokajający dotyk czyichś dłoni, nieznanne głosy, które starały się wyjaśnić, dokąd odeszli jej rodzice. Pamiętała obce, zamazane twarze, współczujące i zaniepokojone, łagodny szept i słowa, którymi ktoś starał się ją uspokoić, gdy była wystraszona i samotna.

- Wszystko będzie dobrze - szeptała jakaś starsza kobieta, klepiąc ją po ramieniu.

- Nie do nas należy kwestionowanie woli bożej - przestrzegał mężczyzna w haftowanej szacie.

- Wola boska chodzi tajemniczymi drogami - wzniosłym tonem mówiła kolejna kobieta z kręconymi, niebieskawymi włosami.

Ale Valerie wiedziała tylko to, że jej życie nie będzie już takie samo. A potem, znikąd, pojawili się Nadine i Gene Renardowie, wybawiciele, którzy mieli adoptować nie tylko ją, ale również jej siostrę.

- To wszystko jest takie surrealistyczne - uznała teraz, wpatrzona w kubek, gdzie herbata odcinała się ciemną barwą od białej porcelany.

- Czy ty w ogóle pamiętasz swoich biologicznych rodziców? -zaciekał się Slade.

- Oczywiście. Miałam cztery lata, kiedy zginęli. Prawie pięć. Ale czy rzeczywiście?

Naturalnie w pamięci pozostały jej obrazy jakiejś pary, lecz nie było to nic konkretnego. Jakieś podwórko za domem z pustą betonową sadzawką bez wody i rybek, stare meble ogrodowe. Pamiętała matkę - ciemnowłosą, chudą, klęczącą w szortach przed jakimś krzewem, koniec jej papierosa żarzył się widoczny między zwisającymi gałęziami. Ojciec zawsze zajmował się czymś w garażu, głośno stukając młotkiem, i była chyba jeszcze piwnica. Kręte schody prowadzące do ciemnego, cuchnącego stęchlizną przedsionka z zamkniętymi drzwiami... A może te wspomnienia to tylko senne zjawy, zmyślane wspomnienia o czymś, co nigdy nie istniało?

Val poczuła suchość w gardle.

- Pamiętasz, żeby rodzice adopcyjni mówili kiedykolwiek, że odwiedzali twoich prawdziwych rodziców?

- Nie. Nie byli ze sobą blisko... - Val przerwała nagle i spojrzała na męża. - Ale ty to wszystko wiesz.

- Rozmawiali na ten temat kilka razy w trakcie małżeństwa.

- Nie przypominam sobie, żebym widział kiedyś zdjęcia twoich biologicznych rodziców.

- To było przed erą komputerów, kamer w komórkach i innych tego rodzaju urządzeń. Zresztą zdjęcia pewnie poginęły... -A przynajmniej tak jej powiedziano. Miała ochotę sprzeczać się

ze Slade'em i jej żołądek na tę myśl zacisnął się w supeł. Ten nowy scenariusz, że niby adopcyjni rodzice ją okłamali, ogromnie nią wstrząsnął.

- Ale znasz imiona rodziców?

- Tak. Mary i Michael Brown.

- Pospolite nazwisko.

- Tak, wiem. Ale dlaczego mieliby kłamać, mama i tata: Nadine i Gene. Co mieliby ukrywać?

- Może to właśnie chciała odkryć Cammie.

- O Boże - szepnęła Val, myśląc o siostrze. Cammie zawsze miała bujną wyobraźnię i skłonność do dramatyzowania.

Slade odchylił głowę, a Val patrzyła, jak jego grdyka porusza się, gdy dużymi haustami przełykał piwo. - Może dlatego zginęła.

- Ale to przecież nie ma sensu. To było tak dawno temu... - Val próbowała analizować fakty, szczególnie śmierci rodziców. Powiedziano jej, że zginęli w wypadku lotniczym. Wybrali się na jednodniową wycieczkę. Valerie i Camilla zostały u znajomych. Ponieważ dziadkowie z obu stron już nie żyli, nieliczna, pogrążona w rozpacz rodziny z trudem znalazła dla dziewczynek odpowiedni dom. Zostały wysłane do St. Elsinore's, gdzie przebywały do czasu, póki rodzina nie uporała się z całą sytuacją. W końcu wylądowały u Renardów, bo Nadine była kuzynką Mary Brown, jedyną krewną, która miała zarówno środki, jak i chęć przygarnięcia dziecka w wieku przedszkolnym i niemowlęcia.

- Cammie ci nie mówiła, że szuka rodziców?

- Nie - zaprzeczyła Val, kręcąc głową.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego, że uznałabym, iż zwariowała, uganiając się za duchami. - Val przeniknęła zimny dreszcz, burząc porządek jej życia, zmiatając wszystkie wspomnienia, które uznawała za prawdę. Spoglądając na Slade'a, poczuła w gardle skurcz. - Bo jeśli Mary Brown nie była naszą matką

- szepnęła, gniotąc w palcach ulotkę z sierocińca - znaczy to, że całe moje życie opierało się na kłamstwie.

- Wysłuchaj mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam. Ostatni raz spowiadałam się wczoraj. - Siostra Asteria wyszeptała formułę, robiąc znak krzyża. Po drugiej stronie kraty, głęboko w cieniu, siedział ksiądz, gotów wysłuchać spowiedzi. Dzięki Bogu, ojciec Paul, a nie ojciec Frank. Asteria, z mocno bijącym sercem, złożyła dłonie i wzięła uspokajający oddech. Usłyszawszy zachęcający szept duchownego, zamknęła oczy i rozpoczęła spowiedź: - Raz zakochałam się w mężczyźnie, który, jak się później okazało, był żonaty. Kiedy się o tym dowiedziałam, porzuciłam go.

Twarz ojca Paula była ukryta w półmroku, ale Asteria wiedziała, że duchowny słucha jej uważnie. Wyprostował się w skupieniu, gdy zaczęła wyliczać swoje przewiny.

- Postanowiłam, że już nigdy nie popełnię takiego błędu, że nigdy nie zakocham się w żadnym mężczyźnie, że pójdę za Chrystusem, moim Zbawicielem, moją siłą, moim... - Poczula, że jej oczy wypełniają się łzami. Głos uwiązł jej w gardle, drżąc, nabrała powietrza w płuca.

- Spokojnie, moje dziecko. Zbierz myśli i mów dalej.

Tak też postąpiła, wyrzucając z siebie wszystko, co ją dręczyło przez ostatnich kilka tygodni.

- Miałam nieczyste myśli - wyznała - i moje czyny... - Znów odebrało jej głos, ale szybko się opanowała. Jakakolwiek czeka ją pokuta, łatwiej ją będzie znieść niż ciężar osobistych grzesznych tajemnic. Asteria odniosła wrażenie, że słyszy jakiś dźwięk, odgłos cichych kroków za konfesjonalem. Cała zeszywniała.

Niemożliwe, żeby ktoś kręcił się w pobliżu albo podsłuchiwał. Spowiedź mógł przyjąć wyłącznie ksiądz...

A jednak była pewna, że usłyszała, a raczej wyczuła czyjaś obecność. Coś jak stłumione sapnięcie? Jej niepokój się wzmógł, bo teraz wyraźnie czuła, że ktoś stoi przy konfesjonale.

Przyjaciół czy wróg?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Mów dalej, dziecko - zachęcał ją duchowny łagodnym, lekko schrypniętym głosem. Asteria powściągnęła wodze szalonej wyobraźni. Fantazje, marzenia, koszmary zawsze były jej zgubą, zawsze wpędzały ją w kłopoty. A teraz, po śmierci biednej siostry Camilli, lęki i grzechy urosły do monstrualnych wręcz rozmiarów, szarpiąc jej nerwy. Musiała uwolnić się z pęt wszystkich tajemnic i grzechów. Choć ze strachu włoski zjeżyły się jej na karku, po plecach zaczęły spływać krople potu, postanowiła nie przerywać wyznań. Była sama z ojcem Paulem w domu Boga, aby wypełnić sakrament pokuty. Westchnęła głęboko i znów zaczęła mówić, przekonując samą siebie, że jest bezpieczna. Nikt jej tu nie skrzywdzi. Ale czy na pewno?

Rozdział 24

Pies może zostać z tobą - powiedział Slade, odnosząc pustą puszkę po piwie do kuchni. Mały, przytulny domek Val, tak inny od rozległej, pełnej zakamarków siedziby na ranchu w Teksasie, mimo wszystko wywoływał w nim uczucie, że jest u siebie. Z powodu Val, uzmysłowił sobie. - Mogę go zatrzymać? - zawołała z salonu, gdzie cicho szumiał telewizor nastawiony na najniższy poziom głośności. - Tak, ale tylko na tę noc. Bo podniósł łeb, lecz nie ruszył się z dywanika przy fotelu, w którym siedziała Val. Gdy jednak wstała, natychmiast poderwał się, gotów pójść za nią wszędzie. Tak jak ja? - Slade zadał sobie to pytanie w myślach, zły, że jest taki słaby, gdy chodzi o Val. Jego bracia mieli rację - był pan-toflarzem przez duże P.

- Może zatrzymam go na zawsze! - odkrzyknęła Val.

- Małe szanse.

Droczyła się z nim, jej piwne oczy błyszczały wesoło. Bardzo tęsknił za jej zmiennym wyrazem twarzy, która w mgnieniu oka potrafiła z napiętej zmienić się w rozbawioną.

- Przedyskutujemy to na przesłuchaniu w sprawie przejęcia opieki nad psem.

- Bo zostaje ze mną na ranczu, koniec tematu. - Slade ruszył do wyjścia, ale przeklęty kundel nawet na niego nie spojrzał. Wyglądało na to, że Bo, tak jak on, jest beznadziejnie uzależniony od Valerie.

- Uwielbiam, gdy faceci mówią mi, co mam robić - burknęła Val. - Albo gdy układają moją przyszłość, jakbym nie potrafiła kierować własnym życiem.

Slade lekko się uśmiechnął, a Val tymczasem wyłączyła telewizor i podeszła do niego z buńczuczną miną.

- To trochę szowinistyczne, nie uważasz?

- Szowinistyczne? To jakiś nowy termin oznaczający bezczelność?

- Hej, jeśli chcesz się kłócić, proszę bardzo, twoja sprawa. - Ale Slade już się szeroko uśmiechał, czując, że chętnie podjąłby wyzwanie, jakiego błysk dostrzegł w oczach żony; porwałby ją w ramiona i zaniósł do sypialni znajdującej się po drugiej stronie krótkiego korytarza. Przez otwarte drzwi widział nogi łóżka, znajomy dywanik na deskach podłogi. Podejrzewał jednak, że zbyt ni pośpiech to najpewniejszy sposób, by skłonić Val do jak najszybszego przeprowadzenia rozwodu.

Nie odpowiedziała na jego prowokację, więc otworzył drzwi, jednakże te z moskitierą nadal były zamknięte.

- I tak byś przegrał - rzuciła. Najwyraźniej go prowokowała.

- Uważaj, Valerie.

- Bo co? - Znów uniosła brwi i wysunęła podbródek.

- Bo zaraz zamienię się, jak to zwykle określałaś, w neandertalczyka.

Stęknęła.

- Och, i co? Pokażesz mi, kto tu rządzi? Oszczędź sobie.

- Jak powiedziałem, możesz zatrzymać Bo na noc, ale - posłał psu ostrzegawcze spojrzenie - potem wraca na ranczo. - Jasne, skoro tak mówisz - mruknęła Val, choć jej wzrok przeczył tym słowom.

- A co do jutra, to uważam, że powinniśmy pojechać do Elsinore's w godzinach, gdy jest tam otwarte.

- My powinniśmy? - powtórzyła.

- Tak, my. Czy ci się to podoba, czy nie, jestem tu i będę ci pomagał.

- Nie musisz.

- Wiem, ale chcę. Val się zawahała.

- Posłuchaj, Slade, nie musisz się czuć zobowiązany, okej? To, że wciąż jeszcze jesteśmy małżeństwem, nie oznacza, że musisz się angażować, pomagać mi, chronić mnie, czy co tam chodzi ci po głowie. Poradzę sobie sama. Byłam policjantką. Pamiętasz?

- Pamiętam jak koszmarne sen.

- Wszyscy je mają. Ryzyko zawodowe.

Slade nie był tego taki pewien. Wprawdzie koszmary śniły się jej dość rzadko, jednak dawały Val w kość. Dobrze o tym wiedział. Budził się, gdy krzyczała przez sen, gdy się pocila i drżała ze strachu. Próbował ją uspokoić, tulił do siebie, szeptał, że wszystko będzie dobrze, ale ona zawsze zwlekała się z łóżka i szła do salonu, gdzie zwinięta w kłębek na kanapie, okryta starym kocem, z Bo u boku, wpatrywała się w dogasający w kominku ogień.

Nigdy mu nie zabraniała, żeby dołączył do niej i Bo, ale najpierw musiała przez kilka minut dochodzić do siebie w samotności. Nie chciała powiedzieć, co jej się śniło, i twierdziła, że te koszmary są tylko wynikiem stresującej pracy.

Slade jednak podejrzewał, że Val go okłamuje, nie chcąc, by się denerwował. Uważał, że koszmary oczywiście mogą się brać z tego, z czym się stykała w pracy, ale sądził, że dokuczają jej bardziej, niż się do tego przyznawała.

Teraz stała tak blisko, że wyciągnąwszy rękę, mógłby jej dotknąć, odsunąć z policzka niesforny kasztanowaty lok, mógłby objąć jej szyję i przyciągnąć do siebie. Oparł się jednak pokusie i zamiast tego spytał:

- To jak, jesteśmy umówieni na jutro? - Oczywiście uważał, że dochodzenie powinni zostawić policji, powstrzymać emocje i nie włączać się w akcję, ale wiedział, że Val nie będzie w stanie się pohamować. Z jej temperamentem i doświadczeniem w ściganiu zabójców nie dopuściłaby, aby morderca siostry uniknął kary. Dlatego wpadł na pomysł, że może wspólnie zdołają odkryć coś, co pomoże policji, choć zdawał sobie sprawę, że gdyby wspomniał o tym któremuś z detektywów, nie tylko by go wyśmiano, ale jeszcze w ostrych słowach zakazano by im wtrącać się do śledztwa. Trudno. Val tak właśnie działa i koniec.

Dostrzegł wahanie na jej twarzy; potem zmarszczyła brwi.

- Przestań się zastanawiać - naciskał. - Ja też mam jakieś doświadczenie. I wiele pytań. Zarówno w sprawie Franka O'Toole'a, jak i w kwestii adopcji. Dlaczego Camilla szukała informacji na ten temat? Założyliśmy, że zginęła, bo zaszła w ciążę, bo to takie dziwne, że złamała śluby czystości, że wplątała się w tę całą hecę z księdzem. Ale jeśli ciąża nie miała nic wspólnego z morderstwem?

- O czym ty mówisz?

- Wiem, wiem, to brzmi nieprawdopodobnie, głównie dlatego że ciąża w takiej sytuacji to coś zaskakującego i bardzo poważnego. I dlatego uważamy, że Camilla zginęła z tego powodu, ale to przecież tylko przypuszczenie.

- A ślubna suknia?

- Tak... Ciekawe, jakie to ma znaczenie? - Slade przysunął się do Val. - Więc sama widzisz, że musimy zachować otwarty umysł i brać pod uwagę wszelkie możliwości. I sędzę, że mogę ci w tym pomóc. - Już chciała się sprzeciwić, gdy dodał: - Bo nie traktuję sprawy tak emocjonalnie jak ty.

- Ja wcale nie traktuję ... - Val westchnęła przeciągle. - Okej... dobrze - zgodziła się w końcu, choć nie wydawała się zachwycona perspektywą wspólnego działania.

- Tylko musisz się zgodzić na to, że o wszystkim, co odkryjemy, natychmiast powiadamy policję.
- Oczywiście. - Przymknęła na sekundę oczy. - Nadal nie mogę uwierzyć, że to się stało. Mimo że znam fakty, zawsze sądziłam, iż takie rzeczy przytrafiają się wyłącznie innym ludziom. Nie Cammie.
- Val westchnęła, krzyżując ręce na piersi. - Nie mogę uwierzyć, że już nigdy jej nie zobaczę.

Bardzo chciał ją objąć, przytulić i szeptać do ucha idiotyczne słowa pocieszenia. Jakby się domyślając, co mu chodzi po głowie, dodała:

- Będziemy współpracowali, ale jeśli zaczniesz mówić o rozwodzie, separacji albo o małżeństwie, umowa traci ważność. Wiesz, jakie mam w tej sprawie zdanie.

Miał ochotę się sprzeciwić. Wielką.

Jednakże wiedząc, że Val nadal próbuje uporać się z bólem i smutkiem, skinął głową.

- Zgoda.

- Dobrze.

Slade zwrócił się do psa:

- Do zobaczenia, zdrajco. - Potem otworzył drzwi z moskitierą, przemierzył niski podest i wyszedł w chłód nocy. Nie obejrzał się za siebie, nie czekał nawet, aż usłyszy trzask zamka. Starął się przestrzegać zasad.

Na razie. Do czasu, aż się dowiedzą, co stało się z Camillą.

Montoya domyślał się, że Abby będzie wściekła. Nie dziwił się jej.

Spóźnił się. Poważnie się spóźnił. Jednak list znaleziony w materacu Camilli uruchomił całą lawinę wydarzeń. Na miejsce musieli przyjechać ludzie z zakładu medycyny sądowej, którzy zabrali materac do laboratorium, a potem rozpoczęły się kolejne przesłuchania. Montoya rozmawiał z ojcem Frankiem w jego gabinecie wypełnionym książkami z dziedziny filozofii, historii i religii. Na grzbietach tomów stojących najbliżej dostrzegł na-

zwiska Nietzschego, Freuda, Mao Zedonga i Thomasa Jeffersona, jednakże tych pozycji było znacznie więcej.

Natomiast biurko księdza było puste, nie licząc fotografii członków rodziny OToole'a. Montoya niektórych rozpoznał. Nad drzwiami wisiał krzyż, drugi za biurkiem, a na jednej ze ścian rycina przedstawiająca Jezusa Chrystusa i Jego Święte Serce.

Po przeczytaniu listu O'Toole zamknął oczy i odsunął się od stołu, jakby się spodziewał, że słowa listu wcielią się zaraz w fizyczną postać Szatana.

- Tak - rzekł, potwierdzając, że Camilla była autorką listu.

I nie uważał, że pisała do niego. Nie miał też pojęcia, do kogo.

Właśnie, kto był adresatem?

I jeszcze kwestia grupy krwi płodu wskazująca, że ojciec Frank nie mógł być ojcem dziecka.

Najwyraźniej siostra Camilla miała jeszcze jednego kochanka. Czy to jakiś zboczeniec - świr zakręcony na punkcie kajdanek i dominacji? A może to jednak ojciec Frank? Wyszedłszy z klasztoru, Bentz oświadczył, że jego zdaniem facet „przez cały czas łągał przez te swoje ortodontycznie wyprostowane zęby”.

Ale jeśli Camilla rzeczywiście miała drugiego kochanka, kto nim był?

To pytanie dręczyło Montoyę od chwili znalezienia listu. Rozmowy z ojcem Frankiem i siostrą Charity nie wniosły nic odkrywczego. Zapytana o alibi ojca Franka, który rzekomo odwiedzał starego i schorowanego Arthura Wembleya, Charity odwróciła wzrok, jakby się wstydziła kłamać, niemniej potwierdziła wersję OToole'a.

Charity Varisco była bardzo lojalna.

Teraz jednak Montoya próbował zapomnieć o dochodzeniu. Przynajmniej na kilka godzin.

Gdy zaparkował na podjeździe i wyłączył silnik, reflektory jego auta oświetliły jednopiętrowy budynek. Zebrawszy rzeczy z siedzenia pasażera, zamknął samochód, potem przez trawnik pobiegł do drzwi. Wzdłuż ulicy stały takie same domy jak jego.

Pies sąsiadów, przyjazny dalmatyńczyk, przeskoczył przez oddzielający posesje żywopłot z bukszanu.

- Dobrze psisko! - Montoya zatrzymał się, żeby pogłaskać zwierzaka.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi frontowe sąsiedniego domu.

- Apollo? - zawołała z ganku sąsiadka, kobieta w średnim wieku w szlafroku i kapciach. Koniec papierosa żarzył się w ciemności czerwonym punkcikiem. - Chodź tu, Apollo! Wracaj do domu, zaraz zacznie padać! Wracaj natychmiast!

- Lepiej wracaj do domu, bo będziesz miał przechlapane jak ja - doradził Montoya.

Apollo przekrzywił łeb, a potem wystrzelił jak z procy, zręcznie przeskoczył żywopłot i pogalopował na ganek do czekającej na niego właścicielki.

- A kto ci pozwolił wychodzić z podwórka? - skarciła go kobieta i ze śmiechem otworzyła drzwi z moskitierą. Apollo wbiegł do środka, a kobieta pomachała do Montoi. Potem zgasła niedopałek w jednej z doniczek ustawionych wokół werandowej huśtawki i z głośnym trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Czas na spotkanie z wrogiem.

Dom Montoi pogrążony był w ciemności. Nie paliła się nawet lampa na ganku. Niezbyt dobry znak.

Montoya otworzył drzwi i od razu poczuł słabą woń niedawno zgaszonych świec unoszącą się ponad zapachem sera, czosnku i smażonej ryby.

Gdy pstryknął górne światło, zobaczył stół w jadalni z nakryciem dla dwóch osób. Puste lśniące białe talerze leżały na złotych podgrzewaczach ustawionych na jaskrawych, pasiastych matach. Obok szklanej wazy z różanymi płatkami stały trzy białe przed chwilą zgaszone świece, po których jeszcze spływały krople roztopionego wosku.

Nie ulegało wątpliwości, że Montoya znalazł się w poważnych tarapatkach.

- O cholera - mruknął.

Położył na blacie kluczyki, butelkę merlota i bochenek chleba, a następnie ruszył na tyły domu. Dom był dwa razy większy od domów sąsiadów, bo Montoya kupił sąsiednią działkę i połączył ze sobą dwa budynki. Oczywiście musiał je odnowić po huraganie Katrina, ale był zadowolony z efektów.

Pod drzwiami sypialni zauważył smugę migoczącego światła. Telewizor.

Pies skamlał i drapał w podłogę.

Wspaniale. Czyli większe kłopoty.

Montoya wolno otworzył drzwi, ale Hershey i tak wypadł przez nie jak burza z wywieszonym mokrym językiem, stukając pazurami. Zaczął intensywnie obwąchiwać Montoyę, prawdopodobnie wyczuwając Apolla.

- Hej, hej, hej! - zawołał Montoya, skupiając się na moment na psie, nim wetknął głowę do sypialni.

- Trochę się spóźniłeś - rzuciła Abby z łóżka. Wsparta na kilku poduszkach nie oderwała wzroku od telewizora. Tak, była wkurzona. Włosy miała zaczesane na czubku głowy i ubrana była w za duży T-shirt. Jej kot Ansel leżał zwinięty w kłębek przy jej głowie. Na poduszce Montoi. Abby wcisnęła guzik pauzy i wreszcie spojrzała na męża.

- Tak, przepraszam.

- Nie przepraszaj mnie, tylko swojego syna - zaczęła Abby. Była naprawdę wściekła. - Miejmy nadzieję, że zobaczysz go jeszcze w tym milenium.

- To przez pracę.

- Zawsze chodzi o pracę.

- Poznałem cię dzięki niej - przypomniał żonie, przysiadając na łóżku i przysuwając się do Abby, chcąc ją cmoknąć w szyję.

Uchyliła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Pamiętam - powiedziała nieco łagodniejszym głosem. -Uwierz mi, nie chcę być jędzą, ale masz teraz rodzinę. - Abby patrzyła na Montoyę z tą samą intensywnością, co zawsze, lecz

w jej spojrzeniu kryło się coś jeszcze. Mimo że próbowała pokryć doznaną przykrość gniewem, on ją dostrzegł. - Zawarliśmy umowę, gdy się pobieraliśmy.

- Wiem.

- Więc teraz nie możesz być na mnie zła.

- Jasne, że mogę. Zasady się zmieniły. Mamy dziecko.

- No właśnie.... - Montoya poderwał się z łóżka i ruszył ku drzwiom.

- Och nie, nie zrobisz tego! Reuben! Jeśli go obudzisz, przysięgam, że cię zabiję! - wołała za nim głośnym szeptem.

Nie zwrócił na to uwagi. Drzwi do pokoju dziecięcego zalanego mroczną poświatą stały otworem.

Wszedł do środka. Benjamin spał, ale Montoya bez wahania wziął go na ręce i przeniósł do sypialni, gdzie Abby znów włączyła głos w telewizorze. Słysząc było śmiech towarzyszący jakiemuś komediowemu serialowi, którego Montoya nie rozpoznawał.

- Powiedziałam ci... - Ciii.

Z dzieckiem w objęciach, położył się na łóżku. Ansel miauknął na znak protestu, ale po chwili zeskoczył na podłogę i wyniósł się z pokoju.

Mały Ben ziewnął, nie otwierając oczu. Miał ciemne włoski, które chyba już zaczynały się wycierać, pulchne rączki i nóżki. Był bardziej podobny do ojca niż do matki, ale to się oczywiście mogło zmienić z wiekiem. Montoya miał taką nadzieję. Abby wcisnęła guzik Mute i telewizor znów ucichł.

- Okej - rzuciła - przeprosiny przyjęte.

- To dobrze.

- Ale nadal mi się to nie podoba.

Kłótnia wisiała w powietrzu już od kilku miesięcy.

- Więc co chcesz, żebym zrobił? Oddał odznakę? Został ochroniarzem w centrum handlowym?

- Nie gadaj bzdur. Myślę, że po prostu mógłbyś znaleźć sobie bezpieczniejsze zajęcie w wydziale, takie ze stałymi godzinami

pracy. - Abby strzepnęła z oczu pasemko włosów i pogładziła syna po policzku. - Może coś w biurze?

- Zwariowałbym po dwóch minutach.

Abby westchnęła i oparła się czołem o ramię męża; dziecko siedziało między nimi na łóżku.

- Tak, prawda.

- Taka jest moja praca, Abs. Łapię złych chłopców.

- I kochasz to.

- Zgadza się. - Zauważył, że szykuje się kolejne pytanie, więc szybko dodał: - Nie każ mi wybierać. To nie fair. Jabłka czy pomarańcze. Wiesz, ile dla mnie znaczącyce oboje, ty i Ben,

- Ale...

- Żadnych ale. Jest jak jest. Mam rodzinę i pracę. Abby uśmiechnęła się, lecz w jej oczach czaił się smutek.

- Wiesz, że cię kocham. Oczywiście złapałam się na ten wizerunek zbuntowanego policjanta.

Przyznaję, że bardzo mi się to podobało, ale teraz nie chodzi już wyłącznie o nas. Ben potrzebuje ojca.

Ja potrzebuję męża. Zasady gry się zmieniły. - Wywróciła oczami. - Och, i na dodatek zaczynam narzekać jak wiedźmowa-ta żoneczka próbująca manipulować mężem. Nienawidzę tego.

- Więc przestań. - Montoya czule pocałował Abby, po czym zmienił temat. - Kupiłem chleb i wino.

- Ale z ciebie bohater.

- Może to, co zrobiłaś, zjemy jutro wieczorem?

- Owoce morza z sosem alfredo? - Abby zmarszczyła nos. - Na drugi dzień nie są smaczne.

- Przykro mi. Kiwnęła głową.

- Tak czy inaczej poczęstowałam Cruza.

Słyszając imię brata, Montoya gwałtownie uniósł głowę.

- Był tu wcześniej, zobaczyć Bena, ale ciebie nie zastał - wyjaśniła Abby

- A to niespodzianka.

- Wasza rodzina ma to do siebie.

- No więc w porządku, jesteś wkurzona - rzekł Montoya. - Rozumiem to i pytam, co chcesz, żebym zrobił?

- Nie wiem.

- Jutro wychodzimy. Załatw opiekunkę dla Bena.

- O tak, w środku nocy. - Abby знаła męża. Po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnęła się z rozbawieniem. - Chyba zaraz pęknę ze śmiechu.

- Och, ty kobieto małej wiary...

- Właśnie. Ale dobrze, nie kłóćmy się już. Wybaczam ci - oświadczyła, ześlizgując się z łóżka. Właśnie to było w niej wspaniałe; jej gniew nigdy nie trwał długo. Och, potrafiła się wściec do czerwoności, ale zawsze szybko jej przechodziło.

Postawiła stopy na podłodze.

- Chyba teraz powinnam odegrać rolę troskliwej żonki.

- Tak, jasne.

- Zajmij się synem, a ja odgrzeję kolację.

- Nie musisz...

- I tu się nie mylisz, nie muszę. - Zatrzymała się w drzwiach, bosa, z jedną ręką opartą na framudze, wbijając ostre spojrzenie w męża. - Ale wiem, że cały dzień łapałeś przestępców, by zaprowadzić spokój w mieście. Więc ofiaruję ci gałązkę oliwną, bo wiem, że napadłam na ciebie jak pierwszej klasy jędza, a przecież rozumiem, że twoja praca jest ważna, że jak szalony próbujesz ustalić, kto zabił tę nieszczęsną zakonnicę. - Splatając dłonie na piersiach, oparła się plecami o framugę i dodała: - Posłuchaj, wiem, że zawód policjanta masz we krwi, ale czasami nie umiem się pohamować. To, co robisz, okropnie mnie przeraża. Czasami nie wracasz długo w nocy, a ja odchodzę od zmysłów. Moja wyobraźnia pracuje na najwyższych obrotach. Zaczynam się bać, że coś ci się stało i że nigdy cię nie zobaczę, i... i Ben nie będzie znał swojego taty, i... - Spojrzała na męża pociemniałymi od strachu oczami. - I nic nie mogę na to poradzić, Reuben - wyznała. - Ta myśl przeraża mnie najbardziej.

Rozdział 25

Pokój był pogrążony w ciemności, przez okienko wpływała tylko wąska strużka księżycowego światła. Upał dnia osiadł na dachu, w małym pomieszczeniu zastygła wieczorna wilgoć. Żałosny śpiew nocnego ptaka roznosił się nad pogrążonym w ciszy miastem.

Edwina zdjęła nocną koszulę, a potem bieliznę. Odwróciwszy się, spojrzała na swoje odbicie w popękany lustrze, opartym o ścianę strychu. Była naga. Obnażona skóra białała w mroku. Jej sylwetkę w połowie zasnuwał mrok, drugą połowę osrebrzał słaby blask księżyca. Pęknięcie w lustrze nierówną linią rozdzielało jasną i ciemną część odbicia, przypominając, że jest tylko służką Boga, że jest nieskończenie zepsuta, że jest grzesznicą.

Jasny warkocz zwisał, przerzucony przez ramię, koniuszkiem ocierając się o czubek piersi. Ciało miała umięśnione i wysportowane, smukłą talię, szerokie ramiona, wąskie biodra. Sutki, małe i ciemne -jeden ledwie widoczny, drugi ukryty w cieniu. Kępka jasnych włosów w złączeniu nóg też była przedzielona w zniekształconym odbiciu.

Odsuwając wszelkie wątpliwości, Edwina wyciągnęła rękę, żeby pomacać tył lustra, gdzie palcami wyczuła gwóźdź wystający z grubej drewnianej ramy oraz gładki skórzany uchwyt zawieszony na gwoździu bicza. Ścisnęła palcami wytartą skórzaną rączkę i wyciągnęła z za lustra dziewięcioramienny rzemienny bicz.

Potem padła na kolana, odmówiła cichą modlitwę i uniosła narzędzie chłosty wysoko nad głowę. Skórzane ogony bicza zakończone były małymi, twardymi kulkami.

- Wybacz mi - szepnęła, myśląc o wszystkich swoich grzechach. Tak wielu. Tak wielkich. Grzeszyła przez całe życie, póki nie trafiła tutaj, gdzie się dowiedziała, jak może uzyskać rozgrzeszenie.

- Musisz pokonać ból i strach - powiedziano jej. - Musisz wznieść się ponad świat zwykłych śmiertelników i odpokutować...

Tak jak wiele razy wcześniej, spojrzała na swoje odbicie w lustrze, a potem zgięła nadgarstek.

- Powitaj ból, odpuszczenie twoich grzechów.

Tak też uczyniła i odważnie wzięła zamach. Plask!
Bicz opadł, z sykiem przecinając powietrze. Plask!
Uderzenia twardych końców bicza były jak ukąszenia szerszeni.

Ostre.

Szybkie.

Edwina wciągnęła powietrze. Nie uchyliła się przed razem. Nie krzyknęła.

Nie śmiała nawet zamknąć oczu.

W głębi duszy czuła, że jest obserwowana, a jej czyny są notowane.

Przez kogo? Nie wiedziała.

Jedną parę oczu? Dwie? Kilkanaście? Nawet nie próbowała zgadywać. Zresztą to nie miało znaczenia.

Wypuściła powietrze i wyprostowała plecy. Potem znów uniosła bicz i znów wzięła zamach. Ostry syk rozniósł się echem po strychu.

Jest stanowczo za późno, by telefonować, pomyślała Val, postanawiając, że zadzwoni od razu z samego rana. Wpadła na pomysł, że to, czego nie udało jej się wyszukać w Internecie, jej były partner znajdzie, korzystając ze źródeł policyjnych. Jeden z jego kolegów z college'u przez lata pracował dla FBI, więc pewnie bez trudu uzyska informacje na temat jej prawdziwego pochodzenia i tego, kim naprawdę byli Mary i Michael Brownowie.

Ona sama, pomimo że grzebała w Internecie od chwili zawarcia rozejmu ze Slade'em, niczego nie była w stanie znaleźć. Później, ponieważ nie mogła całkowicie zignorować obowiązków, jakie miała jako partnerka Frei i właścicielka zajazdu, zabrała się do rachunków. Popłaciła najpilniejsze, a następnie uaktualniła stronę internetową motelu.

Sprawami administracyjnymi związanymi z jego prowadzeniem zajmowała się w biurze swego małego domku. Gdy nie pomagała Frei przy gościach, sprawdzała rezerwacje, robiła wpisy na stronie internetowej, opłacała rachunki, wyszukiwała wiadomości o okolicznych imprezach i miejscach do zwiedzania oraz korespondowała z innymi motelami w regionie.

Dostęp do Internetu uzyskiwała bezprzewodowo z routera umiejscowionego w motelu, z którego też mogli korzystać goście w swoich pokojach, łącząc się z Internetem z własnych laptopów, ponieważ zajazd Briarstone nie dysponował salą konferencyjną, nie zapewniał też komputerów ani telewizorów. Były tu tylko dwa, z których jeden znajdował się w mieszkaniu Frei, drugi stał w sypialni Val. Wizja Frei dotycząca prowadzenia motelu opierała się na pomyśle, żeby w Briarstone House wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak w czasach, gdy obiekt został zbudowany. Nie należało oczywiście rezygnować z takich nowoczesnych udogodnień, jak łazienki i elektryczność. Jednakże Val i Freya starały się ograniczyć użytkowanie elektroniki do minimum.

Na szczęście, tej nocy szczęśliwie łączność z Internetem zanikła tylko kilka razy, czyli o wiele rzadziej niż zazwyczaj. Val zamknęła laptop i wyszła na werandę, gdzie w wilgotnym powietrzu unosił się zapach rzeki i nocy. Chmury zasłoniły księżyc i gwiazdy, zbierało się na burzę. Val, oparłszy się o poręcz, spojrzała na główny budynek, gdzie Slade pomagał Frei oczyścić zapchany zlew w kuchni.

Slade'owi udało się też wymienić zepsute kontakty i naprawić kapryśną lampę w holu. Przy okazji poznawali się lepiej z Freyą.

- Pomocny i przystojny - zauważyła współpracownik, odkurzając wnętrze szafy, gdy Val zajrzała do niej w trakcie przerwy od poszukiwań.

Pragnąc uniknąć dalszej rozmowy o swoim wkrótce już byłym mężu, Val umknęła do kuchni pachnącej cynamonem, bekonem i jabłkami na poranny chlebowy pudding.

Ale przed Freyą nie dało się uciec. Otrzeptała ręce z kurzu i wróciła do kuchni, żeby zajrzeć do piekarnika.

- Tak, już kapuję, dlaczego pozwoliłaś mu zostać - rzekła.
- Tylko nie zaczynaj. - Val nie miała nastroju do żartów.
- Oj, aleś ty delikatna. No, no.
- A ty wścibska.

Freya wybuchnęła śmiechem i uniosła ręce, udając, że się poddaje.

- Okej, okej, rozumiem. Rozmowa o Siadzie jest zakazana. Pamiętam o naszej umowie.
- To dobrze - uznała Val.

Udała się do pralni, poskładała suche ręczniki, po czym wróciła do swojego domku. Stała na skraju werandy, by spojrzeć na najwyższe piętro motelu. W pokoju wynajętym przez Slade'a nadal paliło się światło.

Val kazała mężowi wynieść się z miasta, ale jej nie posłuchał, a nawet chyba jeszcze bardziej utwierdził w decyzji, że zostanie. Powinna być wściekła, że nadal tu jest.

Zamiast tego jednak, jak głupia, czuła się pewniej, bezpieczniej.

Ale gdy pierwsze krople deszczu zaczęły uderzać w daszek werandy, pomyślała, że jeśli chodzi o mężczyzn, zawsze była idiotką.

Dziennikarka z wiadomości wszystko poplątała.

Wszystko.

I nic dziwnego.

Dlaczego w ogóle spodziewałem się czegoś innego?

Przy jednej świecy rozpraszającej mroki mojego małego pokoju, oglądam telewizję. To doprawdy irytujące, że dziennikarze są aż tak niekompetentni.

Prawie jak policjanci.

Na myśl o detektywach przydzielonych do śledztwa wywracają mi się bebechy. Reuben Montoya i jego partner Rick Bentz. Podejrzliwi faceci o przenikliwym wzroku i z celnymi pytaniami. Ludzie

pozbawieni wiary. Odwracam się od ekranu, ale wciąż słyszę relację o tym, co stało się z siostrą Camillą: nieszczęśliwą ofiarą sadystycznego mordercy.

Uśmiecham się i wznoszę krótką dziękczynną modlitwę do naszego Ojca za to, że obdarzył mnie wyjątkową inteligencją. Gdyby tylko wiedzieli.

Znów ze wściekłością patrzę w telewizor, na plastikową twarz dziennikarki.

- No dalej, dalej - szepczę przez zęby, nie mogąc się doczekać zdjęć, dalszego ciągu relacji. Nie mogę znieść smutku, jaki brzmiał w głosie dziennikarki wychwalającej zmarłą.

Piękna Camilla. Camilla kłamczucha. Przeklęta Camilla.

Czy „siostra Camilla” rozumiała, co to jest powołanie? Nie.

Czy traktowała swoje śluby poważnie? Oczywiście, że nie.

W końcu na ekranie pojawia się jej zdjęcie w habicie, z pobożną miną i różańcem w dłoniach.

Wyjątkowe świętokradztwo.

Wpatrując się w fotki świętoszkowatej Camilli, ledwie mogę znieść przewrotność tego świata. A jednak nadal odczuwam pożądanie, pamiętam dotyk jej ciała, jej przejmujący, słodki szept w moim uchu, przebiegły uśmiech i wyraźny błysk nikczemności w oczach.

Och... móc znów jej dotknąć.

Złączyć się z nią w grzechu...

Zamykam oczy. Czuję jej oddech na twarzy. Moje gardło wysycha od niezaspokojonego pożądania.

- Camillo - szepczę.

Zaciskam pięści z frustracji. Myślę o biczowaniu - o gładkim biczu i jego ostrych uderzeniach - ale potem rezygnuję. Nie mam czasu.

Na razie pożądanie jest wystarczającą karą.

Ale na tym się nie skończy.

Przyjdzie dzień rozrachunku.

Otwieram oczy i znów widzę ekran.

Relacja o jej śmierci wywołuje we mnie mdłości. Mam ochotę się wyrzygać, słysząc te wszystkie pochwały dotyczące Camilli. Jakby była naprawdę świętą - kandydatką do kanonizacji.

Co jest krańcową profanacją.

Była tak daleka od świętości, jak nierządnicą Jezebel. I równie kusząca.

Jej uśmiechnięta, anielska twarz to okropne oszustwo. Nie mogę dłużej znieść tej hańby. Wściekły, wyłączam telewizor.

- Gnij w piekle - szepczę do ciemniejącego ekranu.

Ale twarz Camilli pozostaje ze mną, ściga mnie nawet, gdy gaszę świece. Ból gorący jak ogień piekielny przeszywa moją duszę.

Potem słyszę jej śmiech, tak wyraźny, jakby stała u mojego boku.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Wychodzę z pokoju i zamykam drzwi na klucz. Ale duch Camilli ściga mnie nadal.

Rozdział 26

Gracie Blanc potrzebowała pieniędzy. Znów spóźniała się z opłatą za czynsz i ten ohydny zarządca budynku, Harold Horwood, który miał czelność przyjąć ksywkę McHorney, jak postać z popularnego telewizyjnego programu - o tak, jasne - naciskał, proponując, że zostanie jej alfonsem w zamian za specjalne przywileje.

- Ty jesteś dziwką, a ja twardzielem*. Nazywam się Horwood. Kapujesz? - mówił, sądząc, że jest bardzo zabawny.

Ohydzstwo.

Horwood był nawet przystojny. Miał proste, prawie czarne włosy i śniadą cerę, ale jego zachowanie budziło w Gracie mdłości. Pomyślała, że koniecznie musi znaleźć sobie inne lokum.

A Horwood tylko traci czas, próbując zostać jej alfonsem. Gracie była niezależna. Nie potrzebowała mężczyzny, który „po-

* *Woody* (ang.) - sztywny, mocny, twardy (przyp. tłum.).

kierowałby" jej karierą, jak często określał jej zajęcie McHorney. Jakby obracanie facetów było jej życiową ambicją.

Potrzebowała nowego mieszkania i nowej pracy. Problem w tym, że jej obecne mieszkanie było tanie, a ona była dobra w swoim fachu; po prostu nie zarobiłaby tyle, obsługując bar lub nalewając kawę w całonocnej knajpce.

Szła Bourbon Street, rozświetloną i zatłoczoną, i choć miała na sobie szpilki i krótką spódniczkę, nikt nie zwracał na nią uwagi, bo najzwyczajniej zlewała się z tłumem. Skreśliła więc w stronę rzeki, gdzie było mniej ludzi i mniej policyjnych patroli.

Tutaj auta mogły bez przeszkód ją mijać, a twarze kierowców kryły się bezpiecznie w mroku.

Gracie zatrzymała się pod latarnią, zapaliła papierosa, po czym ruszyła ku ulubionemu narożnikowi. Czasami musiała się nim dzielić, ale to jej nie przeszkadzało; czuła się bezpieczniejsza, gdy wiedziała, że inna dziewczyna z branży odnotowała jej obecność. Poza tym miała komórkę, w razie gdyby zrobiło się trochę zbyt dziwnie lub za ostro.

Noc była ciepła, parna, zanosilo się na deszcz. Mimo to, ponieważ była zdesperowana i nie mogła wrócić do mieszkania bez pieniędzy, Gracie zsunęła kurtkę z ramion.

Wiedziała, że w skąym topie i czarnej skórzanej miniówce wygląda świetnie. Pilnowała, żeby trzymać formę. Była szczupła w talii, miała jędrny, okrągłutki tyłeczek, nie za duży, ale na tyle wydatny, żeby przykuwał uwagę. Włosy, gęste i lśniące, rudawymi skrętami sięgały prawie do pasa. Faceci uwielbiali jej włosy. Och, kręciły ich też jej cycki, ale to przede wszystkim ogniste, zwichrzone włosy przyciągały ich wzrok.

I bądź tu człowieku mądry.

Oparła się o słupek latarni i mocno zaciągnęła papierosem. Minęło ją wolno kilka aut, ale choć rzucała w ich stronę wymowne spojrzenia, żadne się nie zatrzymało i żadna szyba nie opadła w dół.

Potem nadjechał wóz z bandą nastoletnich chłopaków. Czarny dwudrzwiowy lexus bębnił muzyką, podkreślone basy słycać było na zewnątrz nawet przez zamknięte okna. Gówniarze odjechali,

ale po chwili wrócili i gdy kierowca odkręcił szybę, ze środka auta buchnęło oparami marihuany. Gracie podeszła do drzwi kierowcy, upstrzonego krostami dzieciaka, za młodego na prawo jazdy, który tak mocno ścisnął kierownicę, że mu palce zbieleły. Chłopak ledwie na nią patrzył.

W środku tłoczyło się jeszcze czterech innych.

- Ile? - zapytał nerwowo kierowca; chłopaczek na siedzeniu pasażera miał tyle przytomności, że ściszył muzykę.

Gracie przesunęła wzrokiem po grupce szczeniaków, myśląc przy okazji o swoim bracie w Duluth. Był niewiele starszy od tych smarkaczy.

- Pięćset od sztuki - odpowiedziała, bo w końcu miała swoje zasady. Nieletni, napaleni gówniarze, zwłaszcza cała ich paczka, to temat zakazany. Wielki kłopot.

- Co? - W świetle latarni kierowca wyglądał tak, jakby przed chwilą spuścił się w gatki.

- Kurwa! Nie ma mowy! - krzyknął Afroamerykanin z tylnego siedzenia. - To jawny rozbój, człowieku.

- To standardowa cena.

- Tak, kurwa, na pewno.

- Taka jest stawka, więc jeśli nie macie kasy, to lepiej stąd spływajcie.

- Ta dziwka próbuje nas orznąć! - ryknął inny dzieciak z tylnej kanapy. Jego twarz kryła się w cieniu.

Gracie nie miała czasu na takie zabawy.

- Grupowe stukanko nie jest darmowe - zauważyła.

- Bo jeszcze nie widziałas, co ja tu mam, kochanie - mruknął ten, którego twarzy nie widziała. Jakby los obdarzył go nadzwyczajnie.

Deszcz lał na całego, więc Gracie powiedziała:

- No więc może ja wam pokażę, co mam, okej?

- Jasne, lalczko - zgodził się chłopak za kierownicą. Ohydztwo.

Gracie wyciągnęła telefon komórkowy.

- Jeśli nie chcecie, żebym wezwała mojego faceta, to lepiej zabierzcie stąd swoje tyłki. On jest naprawdę ostry.

- My... my mamy pięćdziesiąt dolców - zapiszczał jeden z chłopaczków, który chyba właśnie przechodził mutację. - Chyba starczy na zrobienie laski. Mój brat, Jesse, ma urodziny.

- Wszystkiego najlepszego, Jesse - rzuciła Gracie. - Ile lat skończyłeś?

Dzieciak z rudymi włosami przycisnął twarz do tylnej szyby.

- Osiemnaście - skłamał ten schowany z tyłu.

Gracie z trudem powstrzymała śmiech. Jesse mógł mieć czternaście, najwyżej piętnaście lat. Koniec zabawy. Rzuciła papierosa na ulicę, zmiażdżyła go obcasem, po czym wystukała lipny numer na komórce. Gdy odezwał się męski głos, dzięki Bogu, powiedziała:

- Tak, Duży Lenie, mam tu mały problem... Tak, stoję tam gdzie zawsze. Jakieś gnojki mi się naprzykrzają... Tak, zabierz Ralpa. I pospiesz się. - Ona łże! - zawołał czarny koleś. - Nie wiercie jej. Gracie zerknęła w stronę krańca ulicy, jakby na kogoś czekała. To wystarczyło. Gnojek za kierownicą otworzył i zamknął usta jak ryba.

- Ja stąd spierdalam. Ojciec mnie zabije, jeśli coś się stanie z tym wózkiem.

- Ale cipa! - Ten o niewidocznej twarzy nie wydawał się wystraszony, ale kierowca wcisnął gaz i szybko odjechał, nie zwracając uwagi na czerwone światło na skrzyżowaniu.

Gracie już miała się poddać, gdy pojawił się srebrny sedan, który już kilka razy przed nią przejeżdżał. To było to, jej ostatnia szansa. Deszcz robił masakrę z jej włosów i makijażu.

Auto podjechało do chodnika i facet w ciemnych okularach opuścił szybę. Zero marihuany. Zero nakreconych testosteronem nastoletnich napaleńców. Zero rapowej muzy, tylko cichy szum radiowego talk-show. - Szukasz dobrej zabawy? - Zawsze. - Uśmiech mężczyzny był zagadkowy.

- To cię będzie kosztowało - przypomniała Gracie.

Ale facet tylko skinął głową; znał się na rzeczy. I nawet nie mrugnął, gdy podniosła zwykłą stawkę o dwadzieścia dolców.

Deszcz lał się teraz z nieba strugami. Wycieraczki zbierały go z przedniej szyby w szalonym tempie.

- Ale wyłącznie u mnie - przestrzegła Gracie.

- Oczywiście. Zawiozę nas tam.

Szybko obeszła samochód i wśliznęła się na miejsce pasażera. Wnętrze pachniało czystością, bez pozostałości po dymie papierosowym, więc nie zapaliła. Podała swój adres i kierowca ubrany na czarno, w kurtce zapiętej pod szyję, bez słowa odbił od chodnika. Szum wycieraczek i odgłos wody rozpryskiwanej kołami samochodu mieszały się z cichymi głosami płynącymi z radia. Jechali zgodnie z przepisami - bez pośpiechu - i na koniec dotarli do starego czynszowego budynku, w którym Gracie wynajmowała mieszkanie. Jej dwa pokoje znajdowały się na pierwszym piętrze, blisko tylnego wyjścia. W strugach deszczu szybko przebiegła do drzwi frontowych. Klient podążał tuż za nią. Trochę ją zdziwiło, że nie zdjął ciemnych okularów, ale o nic nie pytała. Była przyzwyczajona do różnych świrów, nawet takich, którym wcale nie chodziło o seks; chcieli tylko z nią porozmawiać albo popatrzeć, jak sama się pieści, lub... cóż, nieistotne. Jeśli już w ogóle ten biznes czegoś ją nauczył, to tego, że nigdy nie wiadomo, co kogo kręci.

Cholera, na korytarzu unosiła się woń sosu do spaghetti pani Rubino, to znaczy tak cuchnęło czosnkiem, że zapach odstraszyłby nawet najbardziej wygłodniałe wampiry. I jej telewizor był nastawiony na maksa. Przez drzwi z dudnieniem wylewały się odgłosy ulubionego przez staruszkę nocnego talk-show. Pani Rubino, prawie głucha i nad wyraz przyjazna, co zresztą często przypominało zwykłą wścibskość, była jedyną sąsiadką Gracie po tej stronie budynku. Ich mieszkania oddzielały od siebie schowek zarządcy, winda i klatka schodowa.

Gracie nie przeprosiła za odór, wiedząc, że zniknie zaraz za jej drzwiami. Bardzo dbała o to, żeby jej mieszkanie pachniało wanilią i piżmem, zapachem świec i kadzidełek, które paliła w swoim małym królestwie.

Szybko otworzyła drzwi i weszła do środka.

Klient wszedł za nią i gdy zapalała świece, zdjął kurtkę.

- Biorę forszę z góry - poinformowała łagodnym tonem, przytykając zapalniczkę do osmolonego knota wysokiej zapachowej świecy.

- Wiem. - Głos mężczyzny był niski, melodyjny, a ona bardziej wyczuła, niż ujrzała, że facet wyciąga portfel, otwiera go i kładzie pieniądze na stole kuchennym koło okna. Potem usłyszała szelest zasłanianych żaluzji.

Pstryknęła zapalniczką. Wielu klientów nie zwracało uwagi na nastrój, ale ona lubiła łagodne światło i przyjemne zapachy. Zrzuciwszy kurtkę, odwróciła się i dech jej zaparło, gdy zobaczyła koloratkę, która dotąd ukryta była pod wierzchnim ubraniem mężczyzny.

- Jesteś... księdzem? - zapytała, chociaż to nie miało żadnego znaczenia. Ksiądz to też facet. Poza tym klient mógł wcale nie być księdzem. Poznała przecież niejednego „lekarza”, który nie miał pojęcia, co to stetoskop.

Facet nie odpowiedział, tylko zdjął spodnie i złożył je starannie, po czym to samo zrobił z koszulą i koloratką. Blask świecy opływał jego ciało, umięśnione i żyłaste. Mężczyzna był silny i przystojny, choć Gracie nie widziała jego oczu zakrytych ciemnymi okularami.

Mógłby być modelem, pomyślała, gdyby nie ta brzydka blizna na nodze, poszarpana czerwona szrama, która wydawała się pulsować. Gracie wolała się nie zastanawiać, co było jej przyczyną. Jakiś okropny wypadek na motorze?

A może coś gorszego.

Wzdrygając się wewnątrz, spostrzegła banknot, który klient wetknął pod pusty wazon stojący na stole. Sto dolców... tyle że trefnych - oko Bena Franklina było zacernione. Gracie poczuła lekkie mrowienie na skórze; potem postanowiła wziąć się w garść. No więc studolarowy banknot jest znaczony? Co z tego? To taki sam pieniądz jak ten prosto z drukarni. I zapełni dziurę w jej budżecie, pozwoli pozbyć się Harolda.

Odwróciła się do klienta.

Jego członek zwisał bezwładnie między nogami.

- Włóż to - powiedział.

Gdy się do niej zbliżył, Gracie dostrzegła w jego prawej dłoni coś lśniącego, jakieś szklane paciorki. Różaniec? O co tu chodzi?

Czyżby facet chciał, żeby uklękła i razem z nim się modliła? To dopiero świr!

- Nie powiedziałeś, czego chcesz - zauważyła.

Stał tak blisko, że mógł ją pocałować, zerwać z niej bluzkę i podciągnąć w górę spódniczkę. Gdyby tylko chciał.

- Uległości - rzekł miękko i nachylił się do jej szyi. - Całkowitej uległości.

- Jak sobie życzysz - odszepnęła z uśmiechem, wyciągając ręce, żeby zarzucić je mu na szyję. Biustem napierającym na cienki materiał bluzeczki zmysłowo wtuliła się we włosy porastające gęsto tors mężczyzny. - Wszystko jest na sprzedaż... nawet uległość.

- Tak myślałem - odparł mężczyzna z przebiegłym uśmiechem, prowadząc ją tyłem w stronę otwartych drzwi sypialni.

Czy on coś trzyma w ręce? Gracie coś poczuła... coś jeszcze oprócz różańca.

- Rozbierz się.

- Nie ma problemu.

Przynajmniej przechodził wreszcie do sedna sprawy. Wykonała przed nim szybki striptizowy numerek, mając nadzieję, że to choć trochę ożywi jego martwego fiuta, ale ten cholerny przyrząd nawet nie drgnął nawet wtedy, gdy objęła piersi dłońmi, wystawiając sutki między palcami.

Kto by pomyślał?

- Jesteś naprawdę przystojny - zagruchała, próbując podziałać na męskie ego klienta.

On jednak nie zareagował, tylko położył na łóżku małe radio i włączył znów ten sam talk-show, którego słuchał w aucie. Później, niemal metodycznie, jakby to był jakiś rytuał, włożył jej

różaniec przez głowę, pozwalając, by zawisł pomiędzy jej piersiami. Paciorki były jeszcze ciepłe od jego dłoni.

Żeby nie psuć mu zabawy, pozwoliła się pocałować i trochę popieścić, co robił dość brutalnie.

Gdy opadli na wypłowiałą narzutę na łóżku, spróbowała podgrzać nieco temperaturę, liżąc faceta, mruczając mu do ucha, masując wszystkie miejsca, których stymulacja, jak wiedziała, gwarantuje natychmiastową erekcję.

Ale nie w tym przypadku.

Wspaniale. Tej nocy będzie się musiała nieźle namęczyć, żeby zarobić na swoją zapłatę. Kto by pomyślał? Ale przynajmniej facet był przystojny. Wyciągnęła rękę, żeby zdjąć mu okulary, ale chwycił ją za nadgarstek.

- Nie ruszaj!

- Ooo, okej.

- Mówię serio. - Mówił ostrym głosem, a ona po raz pierwszy poczuła, że jego członek drgnął.

- Powiedziałam okej.

Łau, robiło się co nieco dziwnie. Trzeba szybko uporać się z facetem i potem niech się wynosi w diabły. Gracie, dając z siebie wszystko, znów zaczęła obsypywać klienta pocałunkami, ale on odsunął się i spojrzał na nią z góry przez ciemne szkła okularów.

- Jesteś dziwką - oświadczył. Postanowiła dołączyć do gry.

- A ty lubisz dziwki, ojczulku, prawda?

- Gardzę nimi. - Jego członek nagle ożył.

- I pewnie chciałbyś mnie ukarać? - spytała. Boże, faceta kręci bicie? Cóż, jest w stanie znieść kilka klapsów. Przekręciła się na brzuch i wystawiła pupę; potem obejrzała się przez ramię, spoglądając na księżulka kokieteryjnie przez zwichrzone rude loki. - Czy byłam niegrzeczną dziewczynką? - spytała, odgrywając fantazję klienta. - Czy grzeszyłam? Należy mi się lanie? - Ułożyła usta w dziobek.

Facet uśmiechnął się podle i wymierzył jej mocnego klapsa. W sam środek pośladków.

Gracie krzyknęła.

- Klapsy to tylko początek - zapowiedział duchowny, zaciągając różaniec na jej szyi. Jego paciorki były ostrzejsze, niż Gracie się spodziewała, i wrzynały się głęboko w skórę.

- Hej! - chciała zawołać, ale nie mogła. Z jej gardła wydobyło się tylko chrapliwe gulgotanie. Ksiądz tymczasem wbijał ją swym ciężarem w łóżko, twarz wciskał w poduszkę.

Gracie wstrząsnął atak paniki.

Zaczęła się szamotać, kopać. Próbowwała odepchnąć napastnika, czując zarazem, że jego erekcja się powiększa, że im bardziej walczy, tym jego członek staje się twardszy.

O Boże, to świr, świr morderca!

Płuca jej płonęły i czuła, że opada z sił. A napastnik nie przestawał dyszeć ciężko do jej ucha. Głos z radia roznosił się cichym szumem po pokoju, w którym zapadała coraz większa ciemność.

Nie! Nie! Nie!

Gracie pomyślała o swoim bracie w Minnesocie, o ostatnim spotkaniu z matką, a później zapytała samą siebie, dlaczego zaufała temu choremu księdzu.

Boże, pomóż, modliła się w duchu.

Potem zapadła w pustkę.

Rozdział 27

Twój chłopiec wziął sobie adwokata - poinformował Brinkman, gdy Montoya następnego dnia wszedł do stołówki.

Nie była to wiadomość, którą Montoya chciałby usłyszeć z samego rana, a zwłaszcza od kogoś takiego jak Brinkman.

Poirytowany, oddalił się szybko od kolegi, skrzypiąc przy tym podszwami ślizgającymi się po lśniącej, wysprzątanej poprzedniego dnia posadzce. Woń jakiegoś środka do mycia podłóg o zapachu sosnowym mieszała się z aromatem kawy.

Kilku policjantów właśnie ją sobie przyrządzało, inni pochylali się nad stolikami zasłanymi gazetami i magazynami, popijając z parujących kubków, przeglądali nagłówki i wymieniali kpiące uwagi przed udaniem się do swoich biur. Na jednym z okrągłych stolików leżało otwarte pudełko babeczek, otoczone wianuszkami okruchów i zużytych serwetek.

Montoya nie odpowiadał, więc Brinkman dodał:

- Wiesz, o kim mówię, prawda? O tym księdzu. Zdaje się, że jego tatuś to jakiś znany prawnik.

Montoya pamiętał ojca Franka. Wysoki, szczupły, zawsze dobrze ubrany, w garniturze albo koszulce polo i spodniach o starannie zaprasowanych kantach. Nawet gdy wybierał się tylko na trening koszykówki któregoś ze swoich dzieci albo na mecz piłki nożnej, Raymond Szpaner OToole zawsze wyglądał jak odnoszący sukcesy prawnik. Świetny golfista ze słabością do whisky był ogromnie zadowolony, gdy się okazało, że jego syn woli piłkę nożną od rugby.

Montoya wyobrażał sobie, że Szpaner pewnie dostał ataku serca, dowiadując się, że jego syn, sługa boży, wplątał się w poważny skandal.

- Myślałem, że Szpaner OToole zajmuje się nieruchomościami - odparł. - O ile wiem, nigdy nie podejmował się spraw kryminalnych.

- Tak, ale ma znajomych, gdzie trzeba. - Brinkman skrzywił się, zaglądając do prawie pustego dzbanka z kawą. - Zna kogoś z firmy, w której kiedyś pracował twój szwagier.

Technicznie rzecz ujmując, Cole Dennis był szwagrem Ab-by, a nie jego, ale Montoya nie miał nastroju, żeby teraz dzielić włos na czworo. A zwłaszcza nie chciał na ten temat rozmawiać z Brinkmanem, który zawsze tylko czekał, żeby powiedzieć coś nieprzyjemnego.

Straszny był z niego palant.

- Rezultat jest taki, że gadałem z tym adwokatem i on twierdzi, że jego klient jest niewinny, bo nasz poczciwy ojciec Frank ma grupę krwi B. A więc chyba nie może być ojcem...

- Nie, jeśli faktycznie ma grupę B.

Montoya poczuł ulgę. Cały czas nie mógł uwierzyć, że Frank OToole kogoś zabił. Przynajmniej nie ten Frank OToole, którego pamiętał.

- Co nie znaczy, że jej nie stuknął - mruknął Brinkman. - I nie mam na myśli bzykanka, bo przecież wiemy, że ją bzykał. Ale mógł się dowiedzieć, że pieprzy się też z kimś innym, i się wściekł. A potem ją zabił.

- Po tym, jak się upewnił, że ma na sobie ślubną suknię?

- Kto wie, co go kręci. - Brinkmana uśmiechnął się obleśnie.

- Nie, to za bardzo wymyślone.

- No nie wiem... Zresztą to tylko teoria.

- Potrzebujemy faktów - rzucił Montoya.

- Coś już ci dałem i dzięki temu nie musisz już czekać na badania DNA, żeby zacząć szukać innego faceta, który zrobił dziecko tej zakonnicy. A co do zakonnicy, to w czasach mojej młodości nie były takie gorące. Musiały mi wystarczać koleżanki w mundurkach, no wiesz, podkolanówki, kraciaste spódniczki...

- Skończ już z tym, proszę - odezwała się jedna z policjantek. Wkładając torebkę z lunchem do lodówki, rzuciła Brinkmanowi spojrzenie pełne pogardy. - Mógłbyś wreszcie dorosnąć.

Montoya zgadzał się z tym. Zresztą nie chciało mu się wysłuchiwać erotycznych fantazji Brinkmana. Miał swoje sprawy na głowie. Zeszłej nocy udało mu się pogodzić z Abby, co łączyło się z namiętą łóżkową sesją, jakie im się zdarzały przed urodzeniem dziecka. Gdyby zaczął to wspominać, mógłby się podniecić od samego myślenia o tym, co wyprawiali. Postanowił więc nie myśleć. Ale przynajmniej obudził się w całkiem niezłym nastroju, który teraz Brinkman starał się za wszelką cenę zepsuć.

- Wracajmy do OToole'a - zaproponował, wyrywając Brinkmana z ciągu sprośności.

- Mówię tylko, że musimy jakoś zaangażować w to wszystko adwokata księżulka. - Nachylając się nad prawie pustym kartonem z babeczkami, policjant dodał: - To prawdziwy wrzód na tyłku. - Potem

wziął jedną babeczkę i podszedł do ekspresu z kawą. Zjrzał do dzbanka i się skrzywił. - Jak ktoś ma ochotę na kawę, to nie ma szczęścia - zwrócił się do siedzących w stołówce policjantów. Najwyraźniej liczył, że ktoś go zastąpi w parzeniu świeżej kawy, nikt się jednak nie poderwał.

W tej samej chwili do kuchni weszła Lynn Zaroster, jedna z najmłodszych policjantek. Brinkman na jej widok uśmiechnął się i mrugnął okiem.

Urocze.

Ale Lynn nie dała się nabrać na te umizgi.

- O tak, zwracasz się do kobiety, bo wszystkie kuchenne sprawy to ich działka, co? Daj mi spokój, Brinkman!

- Hej, ja tylko mówię o zaparzeniu cholernej kawy.

- Kapuję. - Lynn zrobiła pełny obrót i szybko wyszła ze stołówki, potrząsając przy tym ze wzburzeniem krótkimi, ciemnymi lokami.

- Nie chodzi o to, że jesteś kobietą, a o to, że lepiej parzysz kawę! - zawołał za nią Brinkman.

- Jasne.

Kobieta, która wcześniej napadła na Brinkmana, posłała mu kolejne pogardliwe spojrzenie, po czym ona też opuściła stołówkę. Louis Brounier, który przyglądał się całej scenie, wstał i, kręcąc głową, złożył swoją gazetę. Ten wielki, zwalisty Afroamerykanin o pucułowatej twarzy i siwych włosach nie mógł już poruszać się tak szybko, jak niegdyś, ale jego ciemne oczy widziały wszystko, łącznie z idiotycznym położeniem Brinkmana, w jakie sam się wpędził.

- Wiesz co, Brinkman, nie zaszkodziłoby ci, gdyś się przełamał i sam sobie zrobił tę kawę.

- Całuj mnie, Brounier. - Z chęcią. - Posłuchaj, ja mam na głowie śledztwo - rzucił Brinkman.

- Tylko jedno? Szczęściarz z ciebie.

- Aleś ty dowcipny, Brounier.

- Mówię tylko, że wszyscy jesteśmy zajęci. - Brounier wsunął gazetę pod pachę i wyszedł ze stołówki, mamrocząc pod nosem: - Stary dureń.

- Słyszałem! - krzyknął Brinkman.

- I dobrze. - Brounier wcale się nie przejął.

Brinkman chwycił kolejną babeczkę i wskazał ręką karton z ciastkami.

- A tak w ogóle, z jakiej to okazji?

- Urodziny Peggy z wydziału osób zaginionych - rzucił kącikiem ust Del Albright, który pochylony nad ladą studiował w gazecie strony ze sportem. - Przyniosła je Rita i dobrze by było, żeby zostało trochę dla Peg.

- Po co? - Brinkman odgryzł pół babeczki i z pełnymi ustami dodał: - Przecież ona jest zawsze na diecie.

Montoya miał dosyć. Wyłączył się z rozmowy i poszedł do swojego biurka, żeby przejrzeć akta i jeszcze raz sprawdzić oś czasową ostatnich godzin życia Camilli Renard.

Jej ostatnia doba nie wyglądała jakoś szczególnie wyjątkowo. Większą część dnia spędziła w klasztorze, który opuściła tylko na sześć godzin, gdy udała się do pracy w przedszkolu sierocińca. Jeśli nawet spotkała się z OToole'em lub z kimś innym, zrobiła to bardzo dyskretnie.

I nie wysłała listu, który wetknęła pod pokrowiec materaca. Listu zawierającego niemal błagalne prośby o usługi seksualne. Do diabła, czemu Camilla została zakonnica? - zastanawiał się Montoya, choć w rzeczywistości uważał, że wszyscy duchowni muszą mieć problemy z niezaspokojonymi seksualnymi potrzebami. Celibat to bzdura, biorąc pod uwagę fakt, że prawie nikt nie potrafi wytrwać w abstynencji. Ludzie to istoty seksualne i żeby przyjąć celibat i w nim wytrwać, człowiek musi być bardzo zdeterminowany. Wierzył, że wielu duchownych to potrafi, ale niestety nie wszyscy.

Siostra Camilla najwyraźniej zaliczała się do tej drugiej grupy.

I miała tego świadomość; chciała opuścić klasztor.

- Za późno się zdecydowała - szepnął, zafascynowany tajemnicą dziewczyny.

Czekając na raport z sekcji, wykonał kilka telefonów, jednak przez cały czas nurtowało go pytanie, kto jest ojcem dziecka Ca-

milli. Jakiś parafianin? Może ojciec któregoś z dzieci, którymi się opiekowała w przedszkolu? A może pracownik klasztoru? Clifton Sharkey, złota rączka w St. Marguerite's, pięćdziesiąt cztery lata, ojciec szóstki dzieci i dziadek dwojga wnuków? Elwin Zaan, czterdziestodwuletni dozorca? Obaj mieli niepodważalne alibi na czas śmierci Camilli.

Nic tu się nie trzyma kupy, dumął, kończąc kawę akurat w chwili, gdy do jego skrzynki wpłynął raport z sekcji. Odstawiwszy kubek, obejrzał zdjęcia i przeczytał notatki. Nie był zaskoczony, że koroner potwierdził przypuszczenia przedwstępne: Camilla Renard, w ósmym lub dziewiątym tygodniu ciąży, zmarła na skutek uduszenia; jej drogi oddechowe zostały odcięte garo-tą o nierównej powierzchni.

Rany i otarcia na szyi były głębsze w niektórych miejscach, wzór wyraźnie odcisnięty.

Ale w raporcie Montoya wyczytał też coś, co go zastanowiło. Lekarz sądowy znalazł blizny na plecach Camilli. Drobne, przecinające się ślady na ramionach i na plecach, w większości zagojone, z pewnością niebędące wynikiem napadu, w którym straciła życie.

Montoya zmarszczył czoło, zrobił notatkę i czytał dalej. I gdy studiował raport, zaczęły go nachodzić przykre wspomnienia, ponure obrazy z innej sprawy, w której ofiary mordowane były w podobny sposób. Akurat wstukiwiał nazwisko tamtego zabójcy do komputera, gdy w drzwiach biura stanął jego partner. - Ojciec John - powiedział Bentz, spoglądając na ekran. Montoya zamarł na wspomnienie imienia seryjnego zabójcy,

który przed laty terroryzował miasto.

- On nie żyje. Zajmowałeś się tym. Pamiętasz? Wskazał na monitor, na którym pojawiła się twarz pierwszej

ofiary seryjnego mordercy znanego jako Ojciec John. Cherie Belle-champs, miejscowa prostytutka, poznała tego psychopatę podszywającego się pod księdza i z jego rąk poniosła straszliwą śmierć.

- No.

- Jezu Chryste, Ojciec John na pewno jest martwy. - Montoya przywołał w pamięci wizerunek przestępcy szaleńca, wysokiego,

przystojnego mężczyzny z makabrycznym zamiłowaniem do zabijania. Bentz postrzelił go śmiertelnie na bagnach. Tak czy nie?

- To samo narzędzie zbrodni. - Bentz dochodził do podobnych wniosków co Montoya: Camilla Renard została uduszona różańcem użytym jako garota.

- Jezu, nawet nie próbuj się nad tym zastanawiać. - Montoi przebiegł po plecach dreszcz przerażenia. - Minęły przecież całe lata. Ile to, dziesięć? Dwanaście?

- Coś koło tego. - Bentz nastroszył brwi.

- Ale Ojciec John zabijał prostytutki albo kobiety, które uważał za dziwki. - Montoya nadal kręcił głową.

- Może jego zdaniem zakonnica, która zaszła w ciążę, należała do tej kategorii.

- On nie żyje! - Montoya uważał, że Bentz z pewnością obszczekuje niewłaściwe drzewo.

- Jego ciało nigdy nie zostało odnalezione.

- I co z tego, do cholery? To były pieprzone bagna. Trafiłeś go! - Montoya czuł, że rośnie mu ciśnienie. Chciał, żeby ten sukinsyn zginął. Żeby na zawsze zniknął z powierzchni ziemi. - Poza tym w tym przypadku modus operandi jest zupełnie inne. Zabójca nie zostawił studolarowego banknotu z zaczernionym okiem Franklina, jak tamten chory skurwiel. I nikt nie wspominał, że widział w okolicy księdza w ciemnych okularach. A co najważniejsze: Camilla Renard nie została zgwałcona. Według raportu nic na to nie wskazuje. A pamiętaj, że Ojca Johna kręciło nie tylko zabijanie, ale też gwałcenie ofiar. - Racja - przytaknął Bentz - niemniej...

- Mówię ci, że to nie jest robota seryjnego mordercy - upierał się Montoya. - To morderstwo... - stuknął palcem w raport z sekcji Camilli Renard - miało podłoże osobiste. Zabójca znał ofiarę.

Bentz poprawił krawat. Z powodu spuchniętych oczu i bladej twarzy wyglądał tak, jakby nie spał od wielu dni, co pewnie było prawdą. Jego mała córeczka często miała kolkę, więc przez całe noce rodzice nie mogli się położyć.

- Tak tylko sobie pomyślałem.

- No to źle pomyślałeś - burknął Montoya i żeby udowodnić swój punkt widzenia, otworzył w komputerze zdjęcie Camilli Renard, tak jak ją znaleziono po śmierci, w pożółkłej sukni ślubnej przed ołtarzem. Potem ustawił zdjęcie Camilli obok fotografii zmalretowanego ciała Cherie Bellechamps leżącej na brudnej pościeli w łóżku w jakimś tanim motelu. Miał też inne zdjęcia, które teraz zaczął przeglądać, szukając powiązań pomiędzy zabójstwem Camilli a innymi ofiarami Ojca Johna, największego psychologa, jakiego widział w życiu.

- Mam nadzieję, że on faktycznie nie żyje - oświadczył żarliwie Bentz, po czym oderwawszy wzrok od monitora, dodał: - Pojawił się nowy dowód. Odnalazłem usługodawcę telefonicznego, z którego usług korzystała Camilla, i mam archiwa z jej smartfonu. Usługodawca przesłał je dziś rano.

To był jakiś początek.

- Zdażyłeś już do nich zajrzeć?

- Aha.

- I?

Bentz położył na biurku listę z wykazem połączeń.

- Większość nie jest zaskakująca: rozmowy z siostrą i oczywiście z O'Toole'em. I jeszcze z sierocińcem, gdzie pracowała, a nawet z klasztorem - Bentz wskazał jeden z numerów na liście. - Jedyne zagadkowe połączenie to połączenie z prepaidową komórką. I posłuchaj, już rozmawiałem z ludźmi ze sklepu, w którym została kupiona, oczywiście za gotówkę, i okazało się, że osoba, która ją kupiła, to sama Camilla Renard. - A więc miała dwa telefony?

- Chyba że ktoś się za nią podał albo kupiła tę komórkę i komuś ją oddała - wyjaśniał Bentz. - W tym sklepie mają kamery, a taśmy przetrzymują przez kilka miesięcy. Później tam pojedę i przejrzę taśmę z dnia zakupu, żeby się upewnić, że to była Camilla. Jeśli ktoś się pod nią podszywał, to mamy następny trop. Ale jeśli ona kupiła ten telefon, to gdzie on jest, do cholery?

- Pewnie razem z blackberry i pamiętnikiem. - Montoya zmarszczył czoło i przygładził ręką włosy. - Jak na kogoś, kto

zrezygnował z dóbr materialnych, siostra Camilla miała ich całkiem sporo.

- No i jest jeszcze dziecko. Sprawdziłem to dwukrotnie; Brinkman ma rację w sprawie grupy krwi.

Szukamy mężczyzny o grupie B minus albo AB minus.

- Czyli na pewno nie Franka OToole'a. Bentz kiwnął głową.

- To zawęża pole poszukiwań.

- Tak. Musimy tylko się dowiedzieć, z kim jeszcze sypiała Camilla. - Montoya ponownie spojrzął na fotografię zakonnicy widniejącą na monitorze. - Jak na zakonnice prowadziła dość bogate życie towarzyskie. Nic dziwnego, że w ostatnim mejlu do siostry pisała, że postanowiła opuścić klasztor. Montoya postukał końcem ołówka w blat.

- Tylko kto, do cholery jasnej, zrobił jej dziecko?

Rozdział 28

Chciałbym z nią porozmawiać - oświadczył Cruz, przywołując na twarz swój najbardziej zniewalający uśmiech, zarazem jednak wiercąc się niepewnie na krześle w biurze siostry Charity. Czuł na skórze ciarki, to miejsce przypominało, ile razy siedział godzinami w mrocznych korytarzach wyłożonych lśniącem linoleum, zalatujących środkami dezynfekującymi, pleśnią i jego własnym potem, w oczekiwaniu na spotkanie z dyrektorem szkoły, który miał jemu, Cruzowi Montoi, niepoprawnemu rozrabiace, wymierzyć surową karę.

Dzisiaj siedział w biurze przypominającym celę więzienną ze starą zakonnice, która wyraźnie nie zamierzała ulec jego urokowi osobistemu.

- To nie jest akademik, panie Montoya - zauważyła, a w kącikach jej ust pojawiły się drobne zmarszczki dezaprobaty. - To

klasztor. Z jego wszystkimi obowiązkami i powinnościami. Żyjemy tu prosto i pobożnie, i przestrzegamy zasad. Jeśli siostra Lucia będzie się chciała z panem skontaktować, jestem pewna, że w wolnym czasie napisze do pana lub zadzwoni. - Wyraz twarzy siostry Charity był lodowaty, osłonięte okularami oczy uważne jak u jastrzębia. Matka przełożona splotła na biurku dłonie, przez cienką skórę przeświecały niebieskie żyłki, jednakże palce sprawiały wrażenie bardzo silnych, z łatwością przełamałyby linijkę na pół. - Jeśli zostawi pan swój numer telefonu, dopilnuję, żeby siostra go otrzymała.

Cruz nie wierzył w to nawet przez sekundę. Siostra Charity należała do starej szkoły: była bardziej nadzorczą niż troskliwą opiekunką.

Zero szans, że powiadomi Lucię o jego wizycie. Wiedzieli to oboje.

W powietrzu między nimi unosił się swąd kłamstwa.

Ale co do jednego zakonnica miała rację - St. Marguerite's z twardymi drewnianymi krzesłami, krzyżami na ścianach, cichymi, ponurymi korytarzami w niczym nie przypominało żadnego z żeńskich akademików, w których kiedykolwiek postawił stopę.

Matka przełożona pierwsza przerwała milczenie, jakie między nimi zapadło.

- Wie pan, trochę mnie zastanawia fakt, że postanowił pan odwiedzić siostrę Lucię właśnie teraz, kiedy straciliśmy siostrę Camillę. Pański brat prowadzi w tej sprawie dochodzenie i nagle pojawia się pan. - Zakonnica lekko uniosła palce, jakby w nagłym wzburzeniu.

- Wyjaśnienie jest proste. Niedawno wpadłem do brata, a on mi powiedział, że Lucia tu jest. Nie widzę w tym nic podejrzanego, siostro.

Przenikliwy wzrok zakonnicy błyszczał inteligencją, usta wykrzywiały grymas okrucieństwa.

- Ale czemu pragnie się pan z nią zobaczyć?

- To sprawa osobista.

- Doprawdy? - Matka przełożona uśmiechnęła się do niego, jednak jej oczy pozostały bez wyrazu. Dorastając w rodzinie katolickiej, Cruz nieraz miał okazję stykać się z zakonnicami. Niektóre były poważne, inne radosne, niektóre przepełniał Duch Święty, a niektóre, jak siostra Charity, miały hopla na punkcie zasad, posłuszeństwa i pokuty. Cruz, patrząc na nią, zastanawiał się, czym kieruje się ta kobieta, jaka historia kryje się za jej surowością. Skąd pochodziła? Jak doszło do tego, że znalazła się w St. Marguerite's, razem z Lucią?

- Może mi pan zaufać, panie Montoya. Czyżby?

- Powiedziałem już, że to sprawa osobista.

Zakonnica wstała, ciężkim westchnieniem dając wyraźnie do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

- Przekażę siostrze Lucii, że nas pan odwiedził. Kolejne kłamstwo.

Cruz wstał i w tej samej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Siostra Charity ściągnęła kąciki ust, na jej twarzy ukazał się wyraz irytacji.

- Proszę wybaczyć - rzuciła - ale jestem bardzo zajęta. Zapewnie słyszał pan, co się mówi o bożej pracy? Że nie ma końca. I taka jest prawda, panie Montoya.

Pukanie znów się rozległo, a potem wsunęła głowę do środka świecka recepcjonistka, kobieta o kędzierzawych, niebieskawych włosach, w oliwkowym kostiumie z poliestru.

- Przepraszam, że przeszkadzam, matko przełożona - odezwała się, zerkając nerwowo na Cruza - ale jest telefon do siostry. Dzwoni siostra Simona z St. Elsinore's.

- Dziękuję, Eileen. Zaraz odbiorę. Pan Montoya właśnie wychodzi.

To był sygnał dla Cruza.

Kiedy recepcjonistka cofnęła się na korytarz, siostra Charity wróciła za swoje biurko i sięgnęła po słuchawkę czarnego telefonu, wyglądającego, jakby pochodził jeszcze z lat sześćdziesiątych.

- Z Bogiem - rzuciła miękko za wychodzącym.

Cruz minął niezwykle chudą, wręcz szkieletową recepcjonistkę, zastanawiając się, czemu kościół i klasztor, dom Boga, sprawiają wrażenie, że przesiąka je zło.

To tylko twoja wyobraźnia.

Ruszył do wyjścia, ale w pewnym momencie zatrzymał się, słysząc śpiew. Wiedział, że nie powinien przeszkadzać - jak upominała go matka przełożona, znajdował się w miejscu kultu i pocieszenia - ale zignorował to ostrzeżenie.

Bo co mogło go spotkać?

To, że go wyrzucą?

I co z tego?

Że wezwą policję?

Nie. O co mieliby go oskarżyć? Że wdarł się do niedozwolonego miejsca? Na pewno nie.

Po cichu, odczuwając niekreślone wyrzuty sumienia, ruszył tam, skąd dochodziły dźwięki zapamiętanej z dzieciństwa pieśni religijnej. Za rogiem muzyka stała się o wiele głośniejsza.

Płynęła zza lekko uchylonych drzwi.

Przy akompaniamencie pianisty chór wykonywał jedną z wersji *Ave Maria*. Głosy kobiet przepęłniały wiara i uniesienie. Cruz zajrzał do sali.

Grupa złożona z około dwudziestu zakonnic w czarnych habitach stała na podeście, wszystkie zajęte były śpiewem. Wzrok miały utkwiony w dyrygenta, wysoką zakonnicę zwróconą plecami do wejścia.

Lucia Costa stała w pierwszym rzędzie pośrodku; jej głos brzmiał czysto i wyraźnie.

Cruz poczuł ucisk w sercu. Lucia niewiele się zmieniła: niska i drobna, o twarzy bez jednej zmarszczki, miała duże oczy pod wygiętymi w łuk brwiami ocienione gęstymi rzęsami, wydatne kości policzkowe i spiczasty podbródek.

Oczami wyobraźni zobaczył ją uwięzioną w powyginanej metalowej karoserii jego auta, z krwią spływającą po twarzy. Potargane ciemne włosy, oczy białkami wywrócone w górę. Pamiętał,

jak Lucia na sekundę się ocknęła, żeby zbolalym szeptem powiedzieć: „Niebezpieczeństwo...” Potem znów zemdląa.

Cruza ogarnęło poczucie winy, blizna na czole zaczęła pulsować.

W tej samej chwili Lucia oderwała wzrok od dyrygentki, spoglądając w stronę drzwi. I nagle zmyliła melodię, szeroko otwierając oczy na widok Cruza. Dwie stojące obok niej zakonnice - wysoka Afroamerykanka i niższa kobieta w dużych okularach - zerknęły na nią karcąco, złe, że fałszuje.

Poblada Lucia usiłowała skupić uwagę na dyrygentce, która parę razy stuknęła batutą w stojący przed nią pulpit. Pianino ucichło, a wraz z nim śpiew.

Stuk. Stuk. Stuk.

- Siostry, bardzo proszę! - odezwała się ostrym tonem dyry-gentka. - Soprany? Czy coś się stało? Siostro Lucio?

- Nie, nie - zapewniła Lucia głosem tak znajomym, że Cruz odniósł wrażenie, iż widział się z nią wczoraj. - Ja... ja tylko się pomyliłam.

- W takim razie postaraj się bardziej uważać! - Znów rozległo się stukanie. - Zaczynamy od refrenu - dodała dyrygentka.

Zabrział fortepianowy akord, a po nim chóralny śpiew. Cruz postanowił zaczekać. Właściwie czemu nie? Tak samo jak w przeszłości, najgorsze, co mogło się wydarzyć, to że go wyrzucą. Cóż, najwyżej. Wprawdzie siostra Charity onieśmiela swoim autorytetem, ale przecież jest zakonnicą, a nie gestapo. Stał przy drzwiach, oparty ramieniem o ścianę, krzyżując ręce na piersiach.

Jakieś dwadzieścia minut później śpiew ucichł. Cruz usłyszał szuranie stóp po podłodze. Zakonnice rządkiem wyszły na korytarz, wszystkie w czarnych habitach, welonach i białych kwefach. Cruz nie potrafił ich od siebie odróżnić.

Na jego widok kilka sióstr zatrzymało się ze zdumieniem.

- Nazywam się siostra Irena. W czym mogę pomóc? - spytała jedna, patrząc na niego z zaciekawieniem szarymi oczyma.

- Chciałbym porozmawiać z siostrą Lucią - odparł, przenosząc spojrzenie na Lucię, która wyglądała tak, jakby pragnęła się zapaść pod wypolerowane klepki posadzki.
 - To wbrew wszelkim regułom - obruszyła się zakonnica w wielkich okularach.
 - Cicho, siostro Mauro - odezwała się wysoka i ładna mniszka o miłym uśmiechu. - Myślę, że siostra Lucia sama da sobie radę. Jestem siostra Devota.
 - Ale przecież obcy nie mogą wchodzić do tej części klasztoru! - upierała się siostra Maura. Puciołowata zakonnica o rumianych policzkach zachichotała.
 - Och, Mauro, daj spokój.
 - A właśnie, że nie, siostro Angelo! - sprzeciwiła się okular-nica, czerwieniejąc. Lucia, blada jak ściana, wyszła naprzód.
 - Porozmawiam z nim. To... stary przyjaciel rodziny. Cruz Montoya. - Lucia spojrzała na Cruza wzrokiem, który mógłby przecinać stal, po czym przez zaciśnięte zęby, wskazując na stojącą obok dziewczynę w czerni, powiedziała: - To jest Zita.
 - A ja mam na imię Edwina - wtrąciła się zakonnica o wysportowanej sylwetce i ostrych nordyckich rysach oraz głęboko osadzonych niebieskich oczach, które taksowały Cruza podejrzliwie. Reszta zakonnic szybko mu się przedstawiła, między innymi pulchna Dorothy, która cały czas wstydliwie wykręcała dłonie, a w kąciku jej oka pojawił się nerwowy tik. Louisa, niosąca nuty, uśmiechnęła się do niego życzliwie, a jednocześnie pytająco.
 - Chodź ze mną - powiedziała Lucia do Cruza. - Porozmawiamy w ogrodzie. - Poprowadziła go schodami i tylnym korytarzem, który kończył się dwuskrzydłowymi drzwiami wychodzącymi na ogród z szemrzącą fontanną.
- Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Lucia zwróciła się do Cruza gwałtownie;
- Co tu robisz, u diabła?
 - Szukam cię.
 - Po tak długim czasie?

- Zniknęłaś.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Wiem. Zrobiłam to z rozmysłem.

- Czemu?

- Czemu? - Wywróciła oczami. - Bo nie chciałam cię już nigdy więcej widzieć.

- Mogłaś mi to po prostu powiedzieć.

- A ty byś sobie tak po prostu poszedł?

Zawahał się, przypominając sobie wyrzuty sumienia, jakie go dręczyły po wypadku, o tym, jak bardzo był zakochany w Lucii. Jeśli zakochanie to właściwe słowo. W tamtym okresie miłość mieszała mu się z poczuciem winy i z pożądaniem.

- Widzisz? - Lucia dotknęła delikatnie jego ramienia. - Odejdź, Cruz. Zamierzam złożyć śluby i na zawsze oddać się służbie Bogu. - Mówisz poważnie?

- Tak. - Jej głos brzmiał stanowczo.

Cruz dostrzegł w jej oczach wahanie, niemniej Lucia stała przed nim sztywno wyprostowana z dumnie uniesionym podbródkiem. Poczul się nagle tak, jakby chmury zasłoniły słońce, mimo że w rzeczywistości żaden cień nie przysłonił ukwieconych krzewów wokół.

- Idź - dodała Lucia z większym naciskiem, jakby i ona wyczuła, że dzieje się coś dziwnego.

- Mam tylko jedno pytanie. - Tak? - Czemu postanowiłaś zostać zakonnica?

- Czy to nie oczywiste, Cruz? - spytała. - Podjęłam tę decyzję z twojego powodu.

Poczul skurcz w gardle i nagle ogarnęła go idiotyczna chęć pocałowania jej. Już się odwracała, by odejść, ale powstrzymał ją, chwytając za rękę.

- A co miałaś na myśli, kiedy w dniu wypadku powiedziałaś: „Niebezpieczeństwo”?

- To już drugie pytanie.

- No dobrze, oszukiwałem. - Jego palce zacisnęły się na grubej tkaninie habitu. - O jakie niebezpieczeństwo chodziło?

Oblizła nerwowo wargi, na ten widok aż jęknął w duchu.

- Lucio?

- O mnie i ciebie, Cruz. Razem stanowiliśmy niebezpieczeństwo i...

Zobaczył, że przetyka ślinę.

- Spotykając się, narażaliśmy się na niebezpieczeństwo. - Teraz już kłamała; wyczuwał to w jej ruchach, w podwyższonym tonie głosu. Patrzyła na niego ciemnymi, inteligentnymi oczyma. - A teraz puść mnie i zostaw w spokoju. Nie chcę cię więcej widzieć! Rozumiesz, Cruz? Nigdy więcej.

Nie wierzył jej. Zupełnie nie wierzył i ku własnemu zdumieniu przyciągnął ją nagle do siebie i mocno pocałował w usta, czując, że robi mu się gorąco, gdy Lucia z westchnieniem rozchyliła wargi.

Przymknął oczy. Lucia roztapiała się w jego objęciach, tuliła się do niego, ulegając namiętności, która zawsze w nich tkwiła.

Jęknął i rozluźnił uścisk.

I wtedy w jednej sekundzie wszystko się skończyło. Lucia zeszywniała.

- Nie! - szepnęła, wyrywając się z jego objęć z przerażeniem w oczach. - To nie może się wydarzyć. -

Szybko się cofnęła, nagle ogarnął ją strach. - Och... nie... - Pokręciła głową tak gwałtownie, że jej welon zafalował. - Zaczekaj! - Nie chciał stracić jej po raz drugi. Nie teraz, gdy miał jeszcze tyle pytań, gdy pozostało tyle niewyjaśnionych uczuć. - Lucio...

- Mówię poważnie. Znów chwycił ją za ramię.

- W takim razie zadzwoń do mnie.

- Nie.

Szybko wyrecytował swój numer, prosty i łatwy do zapamiętania. Kończył się cyframi roku jej urodzenia.

- Nie zapomnisz.

- Zapomnę - rzekła i szarpnęła ramieniem, zmuszając, by ją puścił. - Odejdź, Cruz i nigdy nie wracaj!

Nigdy! - Potknęła się, uciekając od niego, i zaraz znikła za ciężkimi drzwiami.

Cruz stał przez dłuższą chwilę, czując w uszach pulsowanie krwi. Gdy się odwrócił, zobaczył siostrę Charity, która przyglądała mu się z balkonu na piętrze. Jej twarz mówiła wszystko. Kredowobiała na tle czarnego welonu, wykrzywiona gniewem i dezaprobatą... Nie, czymś więcej.

Rysy będące uosobieniem wszelkich cnót układały się w wyraz obrzydzenia, jakby zakonnica zobaczyła coś niewymownie ohydneho i odstręczającego.

Patrząc mu w oczy, nakreśliła na piersi znak krzyża, a Cruz odniósł wrażenie, że ten święty gest bardzo przypomina groźbę.

Rozdział 29

Gdy Val i Slade wybrali się do klasztoru St. Elsinore's, było późne popołudnie. Przesłonięte chmurami słońce wisiało nisko na niebie; znów zanosilo się na deszcz.

Val większą część dnia spędziła na papierkowej robocie, rejestrowaniu gości w motelu i przez Internet, na pomaganiu Frei w kuchni i w pralni oraz przy sprzątaniu pokoi, bo wynajmowana na pół dnia sprzątaczką nie była w stanie wszystkiego ogarnąć. Val i Freya nie zapewniały gościom posiłków, jednakże wieczorami organizowały bufet z winami, serami, krakersami i jakimś specjałem przygotowanym przez Freyę.

Innym razem Valerie dałaby się skusić i spróbowałyby ciepłych ciasteczek, teraz jednak nie była ciekawa ich smaku. Nie mogła uwierzyć, że życie po prostu toczy się dalej, a ludzie zajmują się swoimi sprawami, gdy ciało Camilli leży w kostnicy, czekając, aż Val załatwi wszystkie formalności związane z pogrzebem.

Nie była w stanie się do nich zabrać, ponieważ wciąż jeszcze nie umiała się pogodzić z faktem, że już nigdy nie zobaczy siostry, nie usłyszy jej śmiechu, nigdy nie zamieni z nią porozumiewawczego spojrzenia, rzucając jakiś żart zrozumiały tylko dla nich dwóch.

- Otrząśnij się wreszcie - powtarzała sobie, ale smutek jej nie opuszczał, czając się gdzieś na obrzeżach świadomości, w każdej chwili gotowy wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

Więc starała się być wciąż zajęta.

Przez cały dzień jednak telefon komórkowy miała pod ręką i co jakiś czas sprawdzała, czy nie dzwonił Montoya z wiadomością, że policja schwytała zabójcę Camilli.

Wszystko było o wiele bardziej skomplikowane, niż początkowo sądziła.

Gdy pierwszy raz usłyszała, że Camilla została zamordowana, była przekonana, że zabójcą jest Frank O'Toole. Jednak im więcej o tym myślała, tym mniej wierzyła, że byłby w stanie dokonać podobnego czynu. Widziała w jego oczach ogromne przygnębienie z powodu śmierci Camilli. Tak żarliwie zapewniał o swoim uczuciu do jej siostry, że Val, choć wzdragała się do tego przyznać, prawie mu uwierzyła.

Prawie.

Ale jeśli nie O'Toole, to kto aż tak nienawidził Camilli, że postanowił ją zabić w kaplicy, ubraną w ślubną suknię? Ktoś owładnięty wielką nienawiścią. Ktoś, kto chciał coś udowodnić. Ktoś, kto miał dostęp i znał rozkład budynków parafii. Ktoś, kto potrafił zmusić Camillę do wypełnienia jego poleceń. Ktoś tak silny, że miał nad nią kontrolę.

- A niech to szlag - szepnęła Val, podsumowując w ten sposób fakt, że z każdą mijającą minutą perspektywa złapania mordercy staje się coraz mniej prawdopodobna. Nie może na to pozwolić. Musi zacząć aktywniej szukać winnego.

Teraz, czując ucisk w żołądku i mrowienie na skórze, siedziała obok Slade'a, który wyjeżdżał furgonetką na wiodącą na północny wschód drog 1-10 oraz na most rozciągnięty nad jeziorem Pontchartra-in. Nad gładką taflą nisko szybowały mewy, by co jakiś czas wznieść się w niebo pokryte chmurami prześwietlone promieniami słońca.

Po jakimś czasie ujrzeli wreszcie na horyzoncie kaplicę klasztorną z jej pobielonymi ceglanymi murami i witrażowymi oknami,

i wieżą wznoszącą się strzeliście ku zachmurzonemu niebu. Gdy się zbliżyli, Val spostrzegła, że wieża jest spękana, a niektóre okna zabite płytami wiórowymi. Mury też nie były białe, lecz pokruszone i poczerniałe ze starości.

Gdy Slade wjeżdżał na pełny dziur parking, Val przez parkan zobaczyła kilkoro dzieci bawiących się wśród rdzewiejących huśtawek i zjeżdżalni. Ten widok uzmysłowił jej, że jej strach jest niedorzeczny, że St. Elsinore's to parafia z sierocińcem, a pracujący tu ludzie są pobożni i mają dobre intencje.

Głośne krzyki, piski i śmiechy rozchodziły się po placu zabaw oraz spokojnym sąsiedztwie otaczającym parafię. Przedzierające się przez listowie i sękate gałęzie dużych drzew promienie słoneczne padały na trawniki i popękane chodniki prowadzące do starych, porysowanych drzwi sierocińca.

Val, wyzywając się w duchu od idiotek, po szerokich schodach weszła do przedsionka, gdzie uderzył ją zapach świeżo upieczonego ciasta z cynamonem. Dostrzegłszy przeszkłone drzwi biura, pchnęła je i weszła do środka. Zastała tam jakąś kobietę siedzącą za biurkiem i wpatrzoną w migoczący monitor komputera.

- W czym mogę pomóc? - zapytała, wstając i podając rękę. - Nazywam się siostra Philomena i jestem recepcjonistką. - Miała pogodne spojrzenie, uśmiech szeroki, włosy obcięte na pazia i silny uścisk dłoni. Ubrana była w spodnie i lekki sweterek.

Ogromnie się różniła od posepnych zakonnice w czerni, które Val pamiętała z przeszłości.

Przedstawiła się, mówiąc, że Slade jest jej mężem.

- Jestem siostrą Camilli Renard i powiedziano mi, że tu pracowała.

- Och, tak. Ogromnie mi przykro z powodu pani straty. - Siostra Philomena zdawała się mówić szczerze. - Camilla była wspaniałą osobą.

Te słowa sprawiły, że oczy Valerie napełniły się łzami. Zdumiały ją życzliwe słowa zakonnicy i własna reakcja. Wobec ujawniającego się nowego wizerunku siostry czuła wdzięczność, że ktoś oprócz niej widział coś dobrego w Camilli.

- Dziękuję - powiedziała, zerkając ukradkiem na Slade'a. Potem odchrząknęła i dodała: - Bardzo mi zależy na rozmowie z osobami, z którymi pracowała.

- A może ma pani ochotę porozmawiać z księdzem? - podsunęła zakonnica. - Ojciec Thomas jest ogromnie wyrozumiały i z pewnością będzie się starał jakoś pani pomóc, zwłaszcza jeśli chodzi o uporanie się ze smutkiem.

Val nie przyszła tu szukać pocieszenia, ale siostra Philomena oczywiście tego nie wiedziała.

- Może później. Najpierw jednak wolałabym porozmawiać z jej znajomymi. Wiem, że często tu pracowała.

- Naturalnie. - Siostra Philomena kiwnęła twierdząco głową. - Powinnyśmy zacząć od matki przełożonej. - Odwróciła się i delikatnie zapukała w wewnętrzne drzwi, po czym wśliznęła się za nie, a po sekundzie wróciła z drepczącą za nią drobną kobietą.

Mająca niecały metr pięćdziesiąt wzrostu, z kręconymi rdzawymi włosami przetykanymi siwizną matka przełożona ubrana była w granatową spódnicę i pasujący do niej żakiet włożony na wyciętą w łódeczkę białą bluzkę. Zdawała się promieniować energią. Twarz miała poznaczoną zmarszczkami i opaloną, jakby dużo czasu spędzała na słońcu, na jej szyi wisiał cienki łańcuszek z krzyżykiem, na nosie tkwiły okulary do czytania. Przedstawiła się jako siostra Georgia.

- Tak mi przykro - rzekła, ujmując obie dłonie Val. Jej twarz wyrażała ogromne współczucie. - To trudny moment dla nas wszystkich. Proszę wejść do mojego biura, to porozmawiamy.

Poszli za nią do małego pokoju, gdzie wskazano im krzesła z wytartymi siedziskami stojące przed biurkiem siostry Georgii. Pokój był nieduży, ale jasny, bo do środka światło wpływało przez kilka okien, jedno wychodzące na teraz już opustoszały plac zabaw. Przy jednej ze ścian stały półka z książkami i stary globus na drewnianej podstawce obok nakrapianej ciemnymi cętkami orchidei.

- Jak mogę pani pomóc? - spytała matka przełożona, gdy wszyscy zajęli miejsca.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o mojej siostrze - wyjaśniła Val. - Wiem, że przez jakiś czas tu pracowała i że szukała śladów po naszych biologicznych rodzicach.

- A tak, koniecznie chciała się dowiedzieć, kim byli.

- Ale my to wiedziałyśmy. Pamiętam rodziców! - obruszyła się Val, po czym opowiedziała historię swojej adopcji.

Matka przełożona słuchała jej cierpliwie, nie przerywając, i tylko raz na jakiś czas zerkając na Slade'a, który siedział na krześle obok żony.

Gdy Val skończyła, zakonnica powiedziała:

- Oczywiście wszystkie dokumenty dotyczące adopcji już dawno zostały zaplombowane, więc nie mogłam pomóc Camilli, tak jak i wielu osobom, które zjawiają się u nas, szukając odpowiedzi na różne tego rodzaju pytania. - Kobieta lekko zmarszczyła czoło. - A co do wiarygodności historii, którą pani przekazano... - Siostra Georgia wzruszyła ramionami.

- Ale mogłaby siostra to sprawdzić. Georgia skinęła głową.

- Tak, ale złożyłam przysięgę. Jak już wspomniałam, akta są zaplombowane.

- Proszę więc znaleźć sposób na ich odplombowanie - nalegała Val, uzmysławiając sobie, że ta miła zakonnica jest na swój sposób równie twarda jak siostra Charity. - Tu chodzi o moje życie... - Val popukała się palcem w pierś. - A poza tym podejrzewam, że moja siostra mogła zginąć z powodu tego, czego szukała!

Wyraz twarzy matki przełożonej pozostał obojętny.

- Proszę mnie zrozumieć - błagała Val. - Muszę poznać prawdę.

- Oczywiście, tyle że mnie ograniczają zasady. Lub zobowiązania, jeśli pani woli...

Odpowiedź zakonnicy przerwał dzwonek komórki Slade'a, który szybko sięgnął do kieszeni.

- Przepraszam - rzucił w stronę siostry Georgii, która mocno zacisnęła usta. -1 proszę wybaczyć - dodał, po czym szybko wyszedł z biura. Val słyszała, jak mówi: „Halo? O do diabła. Który koń?

Posłuchaj, jestem nadal w Nowym Orleanie. Zadzwoń po weterynarza. .." - A potem Slade zamknął za sobą drzwi i jego głos ucichł.

- Jak pani sobie radzi z tą stratą? - zapytała matka przełożona, która już zdążyła się opanować. Teraz na jej twarzy malowało się współczucie. - To trudne. Wiem.

- Tak - przyznała Val, ale nie była w nastroju do rozmowy o smutku, bólu ani przygotowaniach do pogrzebu. Zjawiała się tu, szukając odpowiedzi na swoje pytania i choć ta matka przełożona była cieplejsza i miłsza od siostry Charity, to jednak podobnie jak ona nie paliła się do pomocy, a wręcz przeciwnie. Postanawiając mimo to zejść nieco z tonu, Val głęboko odetchnęła i powiedziała: - Naprawdę bardzo chciałabym obejrzeć swój akt urodzenia i porozmawiać z ludźmi, z którymi pracowała Camilla, z każdym, kto mógłby coś wiedzieć na temat tego, co ją spotkało.

- A czy policja się już tym nie zajmuje?

- Oczywiście, jednak... - Val, zaciskając dłonie, szukała w głowie sposobu, by dotrzeć do rozmówcy. - Siostrzo Georgio, czy siostra ma rodzeństwo? - spytała znużona owijaniem tematu w bawełnę. Zakonnica kiwnęła głową.

- Nawet pięcioro.

- I co by siostra zrobiła, gdyby jedno z nich... i dziecko...? - Mój brat Patrick...

- Gdyby Patrick został zamordowany z zimną krwią? Nie starałaby się siostra ze wszystkich sił złapać zabójcy, żeby poniósł sprawiedliwą karę?

Na ustach zakonnicy pojawił się lekki, wyrozumiały uśmiech.

- Rozumiem, że odczuwa pani potrzebę, by coś zrobić, że szuka pani odpowiedzi i zadośćuczynienia, ale czasami najlepiej przy bożej pomocy poszukać wewnętrznego spokoju. - Siostra Georgia sięgnęła przez stół i ujęła dłoń Val. - Czasami to jedyny sposób na znalezienie odpowiedzi. Na pani miejscu starałabym się zaufać mądrości Pana Naszego.

Val cofnęła rękę; miała dość uspokajających porad, słów, które miały ukoić ból, ale które nic ze sobą nie wnosiły, niczego nie wyjaśniały.

- Przecież nie proszę o wiele. - Patrząc w oczy zakonnicy, starała się nie rozplakać, nie krzyknąć ani nie wygrażać niebiosom, na co miała ogromną ochotę; zachowała spokój, tak jak w czasach gdy pracowała w teksańskiej policji. - To jest osobista tragedia nie tylko dla mnie, lecz również dla Kościoła. Szukam odpowiedzi, bo chcę zrozumieć, dlaczego moja siostra zginęła. Nie próbuję wchodzić w drogę policji i nie chcę w żaden sposób podważać autorytetu Kościoła.

Siostra Georgia westchnęła głęboko i zastukała palcami w blat biurka, jakby się zmagala wewnętrznie z prośbami Val.

- Ja wszystko rozumiem - zaczęła z pozornym współczuciem - i jestem przekonana, że niektóre osoby, które pracowały z siostrą Camillą, chętnie z panią porozmawiają. - Zapisała kilka nazwisk na kartce, po czym dołączyła ją do ulotki, identycznej z tą, którą znalazł wcześniej Slade. - Ale nie mogę otworzyć archiwum, a nawet gdybym mogła, musiałoby to potrwać. To archiwum ma ćwierć wieku i pochodzi z czasów, gdy nie było komputerów. Akta znajdują się w piwnicy. Tak mi się przynajmniej wydaje, choć nie jestem pewna.

Val pomyślała, że to kłamstwo, ale nie mogła powiedzieć tego matce przełożonej. Na razie. Georgia obdarzyła ją życzliwym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że zjawi się pani na aukcji. Jako osobę adoptowaną z St. Elsinore's łączą panią z tym miejscem specjalne więzi, a my zachęcamy wszystkich, którzy mają coś wspólnego z sierocińcem, do udziału w aukcji. - Na ustach zakonnicy pojawił się uśmiech, ale jej oczy pozostały poważne. - W tak smutnych okolicznościach nie mogę powiedzieć, że to będzie dobra zabawa, ale z pewnością jest to wspaniała inicjatywa. Będziemy szczęśliwi, jeśli pani do nas dołączy. Zresztą tak się składa - zakonnica sięgnęła do najwyższej szuflady biurka i wyciągnęła z niej kopertę, a z koperty dwa bilety - że mam kilka darmowych biletów wstępu. Zapraszam panią na aukcję jako naszego gościa. - Matka przełożona podała Val kartkę z listą nazwisk, ulotkę i bilety, po czym z ogromną uprzejmością oprowadziła ją po korytarzach i przejściach łączących kościół, plac zabaw i ogrody.

Przebywanie w murach St. Elsinore's było dla Val trudne. Mimo że budynki wyglądały nieco inaczej, nie umiała otrząsnąć się z wrażenia, że cofnęła się w przeszłość i znów przeżywa strach odczuwany przez małą dziewczynkę, która właśnie straciła rodziców i została przywieziona do nieznanego jej miejsca.

Sam sierociniec, dwupiętrowy budynek z rzędami wysokich okien, wywołał ciarki na jej skórze. Pamiętała swoją sypialnię, jasny, błyszczący pokój, który nocą pogrążał się w mroku i w którym robiło się strasznie, gdy gasło światło. Nad każdym metalowym łóżkiem wisiał krzyż, pościel była szorstka, sztywna i śmierdziała chlorkiem. Pamiętała, jak leżała w tej pościeli, z kołdrą naciągniętą na głowę, wsłuchując się w odgłosy kroków dochodzące z korytarza, w pisk gumowych podeszew na posadzce. Pamiętała, jak płakała z tęsknoty za rodzicami.

Była przerażona, a inne dziewczynki w sali tylko się na nią gapiły dużymi, wystraszonymi oczami. Zakonnice, które wtedy nosiły habity, w większości były dla niej miłe, choć z braku czasu ciągle ją popędzały. Jednak niektóre nie nadawały się do opieki nad dziećmi.

Na placu zabaw też czuła się opuszczona i wyobcowana. Inne dzieci miały swoje paczki, swój kastowy system, ignorowały ją lub wręcz odrzucały, bo była nowa.

Teraz, stojąc pod zachmurzonym niebem, Val zerknęła w stronę zjeżdżalni, korkociągu z powykręcanego metalu, i nagle przypomniała sobie pewną niewiele od niej wtedy starszą dziewczynkę, która nie chciała jej dopuścić do drabinki.

- To moje miejsce! - zawołała z szyderczym uśmiechem, a gdy Valerie się cofnęła, zaczęła się niezdarnie wspinać po szczeblach, ciągnąc za sobą nogę w gipsie, na którym widać było podpisy prawie wszystkich starszych dzieci.

Val, którą rozdzielono z jej małą siostrzyczką, bała się, że już nigdy więcej nie zobaczy Camilli. Na szczęście Renardowie adoptowali je obie.

A teraz nawet to wydawało się podejrzanym.

Lucia wrzuciła małą paczuszkę do otworu skrzynki pocztowej i odruchowo zrobiła znak krzyża na piersiach. No i już. Stało się.

Wydało jej się, że słyszy niski śmiech siostry Camilli. „Wiedziałam, że nie dotrzymasz obietnicy. Wspaniała z ciebie przyjaciółka” - powiedziała by z błyskiem przebiegłości w oczach. O dobry Boże. Jestem do niczego, myślała Lucia.

- Przepraszam - szepnęła, prawie wpadając na około trzyletniego chłopca, który za daleko odbiegł od matki, trzymającej na jednej ręce niemowlę, a w drugiej paczkę pieluch i jakieś trzy inne torby. Chłopczyk schował się za nogami matki, wpatrując się w Lucię okrągłymi oczami. Posłała mu niewyraźny uśmiech. -Szczęść Boże - powiedziała do kobiety i pospiesznie odeszła od drzwi, czując się jak oszust, któryrh zresztą była.

Ostre światło i gorąco uderzyły ją prosto w twarz. Na niebie zaczynały się zbierać chmury, powietrze było bardzo wilgotne i Lucia strasznie się pocila. Z powodu pogody, a może raczej z powodu zszarpanych nerwów...

- Wiesz, na czym polega twój problem? - zapytała ją pewnego dnia Camilla, gdy szły z kaplicy chłodnymi, mrocznymi korytarzami. - Mój problem?

- Nie masz prawdziwego powołania. - Błękitne oczy Camilli pociemniały jak wzburzone morze. - Ty się boisz, Lucio. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że przed czymś uciekasz... albo przed kimś.

- Nie, ja...

- Ależ tak - upierała się Camilla, nachylając się do Lucii, szepcząc jej do ucha. - Ale zdradzę ci mały sekrecik. My wszystkie przed czymś uciekamy. - Camilla wyprostowała się z wymownym, przebiegłym uśmiechem na twarzy. - Tak czy inaczej, ufam, że to dla mnie przetrzymasz. - Upuściła w ręce Lucii swój cenny dobytek. - Nie zgub tego.

Teraz żołądek Lucii skurczył się boleśnie. Okłamywała się, próbując sobie wmówić, że nie jest tchórzem. Ale Camilla miała rację.

Spotkanie z Cruzem Montoyą, rozmowa z nim tylko wszystko przyspieszyła. Nawet w tym momencie, w środku dnia, idąc szybko zatłoczoną ulicą, czuła, że pieką ją policzki, a jej puls wali jak oszalały na samo wspomnienie ciemnych oczu, wpatrujących się w nią uporczywie, w milczeniu, przypominających o tym, co ich łączyło. I Cruz podał jej swój numer telefonu, który ona jak głupia natychmiast zapamiętała. Jakby zamierzała kiedykolwiek do niego zadzwonić!

- Pomóż mi, Panie - szepnęła, schodząc z chodnika. Zawył klakson.

Odskoczyła, a przed jej oczyma mignęła sylwetka rozpedzonej dużej terenówki.

- Uważaj! - krzyknął ktoś, gdy się cofała, zawadzając obcasem o krawężnik.

Rozległ się dudniący ryk silnika i pisk wielkich opon.

Lucia upadła na ziemię, mając wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. W oczach mignął jej metalowy potwór z wyszczerzoną kratownicą na przedniej masce i reflektorami niczym chromowo-szklane ślepia.

Czyjeś silne ramiona objęły ją i wciągnęły na chodnik. Brudna terenówka z przyciemnionymi oknami przejechała tuż obok, po czym, lawirując zuchwale między innymi autami, znikła na końcu ulicy.

Z sercem tłukącym się w piersi, z krwią przesyconą adrenaliną i strachem Lucia poczuła, że uścisk ramion słabnie. W tej samej chwili do jej nozdrzy dotarła woń znajomej wody po goleniu.

- O nie - szepnęła, spoglądając w ciemne, poważne oczy Cruza Montoi.

Rozdział 30

W St. Elsinore's, lekko urażona, że Slade nie wrócił, Valerie próbowała otrząsnąć się z mrocznych wspomnień, które się jej

uczepiły. Spotkała się z kilkoma zakonnkami i świeckimi wychowawczyniami: wszystkie pracowały z Camillą i żadna nie nosiła habitu. Gdy napomknęła o tym w rozmowie z siostrą Georgią, zakonnica wyjaśniła, kiwając głową:

- Tutejszy ksiądz, ojciec Thomas, jest dość postępowy, ale ja też z radością powitałam fakt, że habity, kwefy i welony poszły w zapomnienie. Oczywiście każdy zakon kieruje się własnymi regułami, ale my tutaj, mam nadzieję, jesteśmy nowocześniejsi i bardziej elastyczni. Naturalnie naszym zadaniem jest służba Bogu, jednak nie sądzę, żeby Panu przeszkadzało, że pracujemy dla niego w nieco wygodniejszych strojach.

Val szła szybko, dostosowując się do kroku matki przełożonej, cały czas jednak rozglądała się za Slade'em, który po odebraniu telefonu gdzieś znikł. Bardzo dziwne. Z tego, co podsłuchiwała, wniosioskowała, że do męża zadzwonił któryś z jego braci, ponieważ pojawił się jakiś problem z inwentarzem. Bracia powinni z łatwością sami dać sobie z tym radę. Chyba że Slade chciał porozmawiać z weterynarzem lub z zarządcą rancza albo z kimś jeszcze innym...

Wyglądając przez okno, dostrzegła furgonetkę męża zaparkowaną tam, gdzie ją zostawił, doszła więc do wniosku, że bez względu na to, co go zatrzymało, z pewnością w którymś momencie się pojawi. Przedstawiono ją kilku osobom - dwóm zakonnkom i kucharce, z których żadna nie była w stanie przekazać jej czegoś więcej niż tylko kilku dobrych słów na temat Camilli oraz wyrazów współczucia z powodu jej śmierci.

- Wspaniała kobieta, kochająca dzieci - oświadczyła wysoka, wyjątkowo chuda kucharka, wrzucając poplamiony fartuch do kosza na brudy i odwieszając na kołek siatkę na włosy.

- Pomagała mi w ambulatorium zawsze, gdy tego potrzebowałam - opowiadała siostra Rosaria, starsza pielęgniarka, którą zastały przy sprawdzaniu zawartości zamykanej na klucz gabloty z lekarstwami. Zakonnica, marszcząc czoło, przeliczała fiołki i słoiczki, ale gdy Val się zjawiała, oderwała się od swojego zajęcia, by wesprzeć ją na duchu. - Mogłam zawsze liczyć na Ca-

milę, jeśli chodzi o dzieci. - Kobieta zerknęła na Valerie znad okularów. - Nieważne, jak bardzo osłodzi im się tę chwilę, dzieci i tak nie znoszą zastrzyków. - Zakonnica uśmiechnęła się ze znużeniem. - Będzie mi brakowało Camilli i bardzo mi przykro z powodu tego, co ją spotkało. Val ścisnęło się gardło, gdy wyszła z ambulatorium na korytarz, który, jak pamiętała, prowadził do kaplicy.

- O proszę bardzo - rzuciła matka przełożona, gdy mijały okno z widokiem na plac zabaw. - Siostra Simona była blisko z Camillą. - Zakonnica szybkim krokiem ruszyła do drzwi prowadzących na zewnątrz, gdzie jakaś kobieta, zapewne siostra Simona, zbierała piłki i plastikowe kije do golfa, o których zapomniano przy sprzątanii zabawek.

Siostra Simona miała cerę koloru czekolady i krótkie, kędzierzawe włosy. Była mocnej budowy, miała jakieś metr sześćdziesiąt sześć wzrostu i ciemne oczy o podejrzliwym spojrzeniu. Gdy się zbliżały, nuciła coś pod nosem, jakąś popową piosenkę, której tytułu Val nie mogła sobie przypomnieć. Na ich widok natychmiast zamilkła.

Gdy siostra Georgia przedstawiła Val i wyjaśniła, że jest siostrą Camilli, twarz Simony posmutniała. Zakonnica złożyła Val kondolencje, po czym dodała:

- Będzie mi jej bardzo brakowało. Nigdy się nie spóźniała i zawsze była uśmiechnięta.

- Sostro Giorgio - powiedziała recepcjonistka, pojawiając się w drzwiach wejściowych. - Tu siostra jest! Jest do siostry telefon.

- Proszę mi wybaczyć - rzuciła w pośpiechu siostra Georgia - Ale dla grzeszników nie ma odpoczynku. Czy nie tak się mówi?

- Dla utrudzonych grzeszników - poprawiła siostra Simona. Jej niesforne loczki sterczały na wszystkie strony, odsłonięte w szerokim uśmiechu białe zęby odcinały się od ciemnej karnacji. - Ale to chyba bez znaczenia.

- Wręcz przeciwnie - odparła z roztargnieniem matka przełożona, dodając: - Byłaby siostra tak dobra i oprowadziła panią Renard po terenie?

Zanim Simona zdążyła odpowiedzieć, starsza zakonnica szybko odmaszerowała i po chwili zniknęła za drzwiami.

- Zdaje się, że nie ma siostra wyboru - zażartowała Val. - Nawet jeśli to siostrze nie w smak.

- Czy siostra dobrze się czuje? - zapytała jakaś blondynka, zwracając się do Lucii.

Zakonnica wciąż była w szoku po incydencie z terenówką, pod którą omal nie wpadła, lecz również dlatego, że Cruz, który nadal ją obejmował, prawdopodobnie uratował jej życie.

Zdała sobie sprawę, że ludzie gapią się na nią - nie na nią, lecz na nich. Ona w habitcie - kwef, szkaplerz, welon i tak dalej -i Cruz, w T-shircie i džinsach, zbyt długo trzymający ją w objęciach, zanim pomógł jej się podnieść.

- Nic mi... nie jest - zapewniła, zwracając się do kobiety i kilku innych osób, które się przy niej zebrały: dwóch ciemnoskórych nastolatków rzucających w jej stronę podejrzliwe spojrzenia, jasnowłosej kobiety z dwojgiem dzieci i grupki młodych dziewcząt, każdej z komórką przy uchu. Byli tam też para biznesmenów oraz, jak na złość, ksiądz rozmawiający z pchającym przed sobą wózek bezdomnym. Lucia zapragnęła zapaść się pod ziemię. - Ja... ja chyba się zamyśliłam. - Czując na policzkach piekący rumieniec, uśmiechnęła się do blondynki.

Światła się zmieniły i większość przechodniów ruszyła przez pasy, łącznie z wystraszoną kobietą, która ściskając za rękę swoje dziecko, szybko przecięła jezdnię, kierując się w stronę parku z placem zabaw widocznym za rzędem dębów i żywopłotem z wonnego mirtu.

Lucia nie poszła za innymi, tylko wzięwszy głęboki oddech, skupiła uwagę na Cruzie, niedawnym wybawcy.

- Co tu robisz? - spytała, zerkając nerwowo w stronę budynku poczty. - Śledziłeś mnie?

- Zgadza się.

O Matko Boska, tylko tego brakowało! W dodatku akurat teraz.

Cruz posłał jej swój uwodzicielski uśmiech, a ona natychmiast skarciła się w duchu, że to zauważyła.

- Ale po co?

- Żeby cię uratować przed groźną terenówką? O mało się nie roześmiała. O mało co.

- A poważnie?

- Ponieważ, gdy rozmawialiśmy ostatnio, kazałaś mi trzymać się od siebie z daleka, i to przez całą wieczność.

- Jesteś niemożliwy.

- Na tym polega mój urok.

- Jasne. - Nadal roztrzęsiona po tym, co się wydarzyło, ruszyła przed siebie chodnikiem, chcąc się oddalić od miejsca niedosłego wypadku i stojących tam ludzi, którzy nadal spoglądali na nią ciekawie. Mijając wystawy sklepowe, wmawiała sobie, że jest taka niespokojna z powodu adrenaliny krążącej w jej krwiobiegu i że nie ma to nic wspólnego z Cruzem. Oczywiście, znowu się oszukiwała. Zdaje się, że kłamstwo stało się jej zwyczajem. Bardzo niezdrowym zwyczajem.

To, że Cruz szedł tuż za nią, wprowadzało ją w zakłopotanie.

- Coś mi się zdaje, że rachunki między nami zostały wyrównane, nie uważasz?

- Wyrównane? - Pokręciła głową. - Ja nie prowadzę żadnych rozliczeń.

- Oczywiście.

Nie zamierzała dać się złapać na przynętę.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze, dlaczego mnie śledzisz. - Przypomniała sobie o paczce, którą właśnie wysłała, i zaczęły jej się pocić dłonie. Matko Boska, ależ z niej fatalny kłamca. - Sądziłam, że całkiem wyraźnie dałam ci do zrozumienia, że nie chcę cię więcej widzieć.

- Tak, ale pomyślałem sobie, że poniosły cię nerwy i odegrałaś trochę zbyt melodramatyczną scenę.

- I co z tego? Mówiłam poważnie.

- Nie wierzę.

Już zapomniała, jak irytujący potrafi być Cruz.

- No to sobie nie wierz - odcięta się, gromiąc się w duchu za to, że dała mu się pocałować, że pokazała, że jeszcze jej na nim zależy. - Tylko zostaw mnie w spokoju.

Zatrzymała się pod markizą sldepiku z odzieżą i w szybie dostrzegła ich odbicie. Niewyraźny, nakładający się na wystawę z letnimi sukienkami obraz mężczyzny i kobiety; on w wytartych džinsach i spłowiałym T-shircie, ona w obszernym habicie z welonem. Dziwna para, a jednak było coś jeszcze. Ślad skrywanych emocji widoczny w rumieńcu na jej policzkach i w intensywności jego spojrzenia.

Wspomnienie zakazanego pocałunku.

Cruz napotkał jej wzrok i serce Lucii zabiło mocniej. Odwróciła twarz i zamrugła, bo w szybie dostrzegła odbicie czegoś tak niepokojącego, jak chmury zbierające się nad jej głową.

Zamazany wizerunek mężczyzny w sutannie - księdza w okularach przeciwsłonecznych. Coś z nini było nie tak. - O co chodzi? - spytał Cruz.

W tej samej sekundzie, w której przeniosła na niego uwagę, ksiądz znikł. Lucia obejrzała się przez ramię. - Widziałeś go? - Kogo?

- Tego księdza.

- Jakiego księdza? Tego, co pomagał na rogu bezdomnemu? -Cruz spojrzał w tamtą stronę.

- Nie wiem - odparła, dochodząc do wniosku, że może tylko sobie wyobraziła tego księdza, choć jego wizerunek mocno tkwił jej w umyśle. Zimny jak lód i mglisty.

Jak tamtej nocy przed laty.

Siedziała w wozie Cruza, radio grało głośno. Doskonale, jakby to było wczoraj, pamiętała ostatnią noc ich młodości, podniecenie, że jest z Cruzem, że robi coś niebezpiecznego, wbrew woli ojca... Byli wtedy dziećmi, nastolatkami, świat zdawał się wielki i podniecający. Przyszłość rozciągała się w nieskończoność.

Do chwili, gdy w blasku reflektorów przenikających opary mgły ujrzała sarnę na smukłych nogach, znieruchomiała z przerażenia. Światła odbijały się w szklistych oczach zwierzęcia.

Głos szorstki jak papier ścierny zadźwięczał w jej uszach: „Syn Lucyfera zwiastuje śmierć”.

Krzyknęła, gdy koła straciły przyczepność, samochód wpadł w poślizg, rozległ się zgrzyt metalu i trzask pękającego szkła. Przeniknęły ją panika i ból ...

Teraz, spoglądając w stronę pustego parku, czuła ten sam mrozący krew w żyłach dreszcz przerażenia, a jej ręce pokryły się gęsią skórką.

Cruz chwycił ją za ramię.

- Lucio, proszę...

Wiedząc, że już na zawsze będzie gniła w piekle, wspięła się na palce i złożyła na jego policzku szybki pocałunek. Cruz chciał ją pocałować, ale się odsunęła.

- Cruz, jeśli mnie kochasz, nie idź za mną. - Po tych słowach przeszła przez jezdnię i zniknęła w parku.

Gdy szła, nie oglądając się za siebie, czuła na plecach ciężkie spojrzenie Cruza.

Rozdział 31

A więc jest pani siostrą Cammie - rzekła siostra Simona do Val, po czym włożyła ręce do kieszeni spodni i kiwnęła głową, jakby sobie przytakiwała. - Mówiła mi, że jesteście sobie bliskie. Dopóki między nami nie stanął Slade Huston.

- Tak było.

- To takie smutne, że odeszła - rzekła Simona. - I mówię to szczerze. Kochałam siostrę Camille. Bóg ją pobłogosławił szczególnym poczuciem humoru. Nie pojmowałam, dlaczego została w St.

Marguerite's. - Wzrok zakonniczy na ułamek sekundy skrzyżował się ze spojrzeniem Val, ale Simona natychmiast odwróciła oczy. - Moim zdaniem, to nie było dla niej odpowiednie miejsce.

- Dlaczego siostra tak sądzi?

Zakonnica wzruszyła ramionami, przyglądając się pszczole krążącej pod okapem.

- Camilla nie robiła na mnie wrażenia tradycyjnej, przestrzegającej reguł zakonnicy. Ona była... niezależna. Miała własny rozum.

Amen.

Simona była chyba pierwszą osobą, która naprawdę rozumiała Camillę. Val myślała o tym, że nie powinna zdradzać tajemnicy siostry, jednak szybko doszła do wniosku, że to niedorzeczne. Prawda i tak wkrótce pojawi się w prasie i rozniesie po parafialnej społeczności z szybkością błyskawicy.

Uznała, że prędzej się czegoś dowie, jeśli będzie szczerą.

- Wiedziała siostra, że Cammie była w ciąży? Zakonnica szeroko otworzyła oczy.

- O Matko Święta - mruknęła, kręcąc głową. - To znaczy, obawiałam się, że... Nie, nie wiedziałam.

- Ale wiedziała siostra o jej romansie z ojcem Frankiem O'Toole'em.

- Słyszałam, że Camilla była nim... zauroczona. - Simona wbiła wzrok w ziemię. - Ale chyba tak naprawdę nie chciałam tego wiedzieć. Camilla zaczęła kiedyś o tym ze mną rozmawiać, ale zmieniła zdanie, a potem widziałam, jak odchodzi z księdzem.

- Z O'Toole'em? - zaciekała się Val.

Simona wzruszyła ramionami, sprawiała wrażenie zakłopotanej. Przygryzając wargi, spojrzała na dzwonnice, wokół której na tle chmurzącego się nieba krążyły jaskółki.

- Nie wiem. Było ciemno, a ten ksiądz stał do mnie tyłem, ale był wysoki, zbudowany tak jak ojciec O'Toole.

- Czy ten O'Toole często tu przychodził? Żeby spotkać się z Camillą?

Simona nie umiała albo nie chciała odpowiedzieć.

- Nie jestem pewna. On... on przychodził tu z ojcem Thomasem, żeby odprawiać msze oraz wizytować sierociniec i klinikę. Zresztą jak wiele innych osób. St. Elsinore's to wyjątkowe miejsce. To prawdziwa wspólnota.

Valerie poczuła ucisk w żołądku. Wiedziała. Pamiętała. Mieszkała tu, choć bardzo krótko.

- Siostra Camilla mówiła mi, że jest pani jej jedyną żyjącą krewną - odezwała się zakonnica, gdy szły przez plac zabaw, gdzie na wietrze kołysała się stara huśtawka, żałośnie skrzypiąc zawiasami.

- Tak, nasi rodzice nie żyją, nie miałyśmy innego rodzeństwa ani bliskich kuzynów. A mimo to Camilla szukała biologicznych rodziców.

Simona zamrugała, a jej twarz zrobiła się nagle napięta.

- Wiedziała pani o tym? Sądziłam, że Camilla trzymała to w sekrecie.

- Obie się tym interesowałyśmy - oświadczyła Val, dość mocno naciągając prawdę. - Wiem, że zaglądała do tutejszych dokumentów i sprawdzała w komputerach, czy ludzie, o których mówiono nam, że byli naszymi biologicznymi rodzicami, rzeczywiście nimi byli.

Simona skinęła głową, bawiąc się krzyżykiem zawieszonym na szyi,

- Czy Camilla coś siostrze o tym wspominała?

- Nie. - Zakonnica pokręciła głową. - Ale... - obejrzała się przez ramię, marszcząc brwi - ...ja pomagałam jej przy komputerze i wiem, że miała notes, w którym wszystko zapisywała.

Pamiętnik! Serce Val zabiło mocniej. Miała wrażenie, że w końcu do czegoś dotarła.

- Czy wie siostra, gdzie on jest?

Simona zawahała się, jakby walczyła sama ze sobą, potem jednak rzekła:

- Mamy tu osobiste szafki. To dość nowy zwyczaj, wprowadzony po kilku przypadkach kradzieży.

Władze szkoły zdecydowały, że osobiste przedmioty i przyrządy do nauki powinnyśmy trzymać pod kluczem. - Zakonnica i Val mijaly właśnie zjeżdżalnię z jej korkociągowymi odnogami i dołkiem w ziemi w miejscu, gdzie lądowały tysiące małych stóp.

Ale nie stóp Val.

Silny podmuch poruszył łańcuchami huśtawki, które zazgrzytały na wietrze i Valerie znowu złapała się na tym, że wpada

w koleinę wspomnień o najmroczniejszym, naznaczonym ciągłym strachem okresie życia, spędzonym w tym właśnie miejscu.

- Proszę tędy - odezwała się siostra Simona, wrywając ją z przygnębiającej zadumy.

Ganiąc w myślach swoje niedorzeczne zachowanie, Valerie dopiero teraz zauważyła, że zakonnica wrzuciła zebrane piłki i pałki do kosza na werandzie i teraz czeka na nią, stojąc w otwartych drzwiach. Ruszyła więc za przewodniczką dobrze znanymi korytarzami, których ściany ze starości zmieniły kolor, za to kafelki na posadzce były dokładnie te same, co przed trzydziestu laty. Przy wejściu do sali gimnastycznej panowało zamieszanie, wolontariusze już rozpoczęli przygotowania do aukcji, która miała się odbyć za kilka dni. Zaplanowany poczęstunek organizowano w hotelu położonym trzy ulice dalej, potem goście mieli zwiedzić sierociniec, zanim na zawsze zamknie swoje podwoje. I właśnie z tego powodu wolontariusze urządzali w sali gimnastycznej wystawę, na której miały się znaleźć wszystkie przedmioty wystawione na aukcję.

Valerie nigdy nie spędzała wiele czasu w tej sali, ponieważ gdy trafiła do St. Elsinore's, była jeszcze za mała.

Dzisiaj, idąc za siostrą Simoną, poczuła, że jej serce zaczęło bić nieco szybciej. Przypomniała sobie dzieci gapiące się na nią w dzień, gdy... Jak miała na imię kobieta, którą ją tu przywiozła?

Theresa... Tonią... Nie, chyba jakoś inaczej. Ale Val pamiętała zakonnice, której zlecono zaprowadzenie jej do sypialni w sierocińcu.

Siostra Ignatia, wpijając się w jej ramię ostrymi paznokciami, ciągnęła za sobą Val tym właśnie korytarzem. Korytarzem, który Val wtedy wydawał się niezwykle długi, mroczny i przerażający.

- Pospiesz się, dziecko! - popędzała ją zakonnica w czarnym habicie, który przy każdym kroku głośno szeleścił.

Ignatia, która Valerie przypominała starą kobietę pedałuącą na rowerze w szalejącym tornado z filmu *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*, szła tak szybko, że Val musiała biec, żeby dotrzymać jej kroku.

- Nikt ci nie mówił, że lenistwo jest grzechem?

Val, wówczas zaledwie pięcioletnia, mijając szereg zamkniętych drzwi, nie przestawała się zastanawiać, za którymi znajduje się jej mała siostrzyczka. I co oni z nią tam robią? Czy kiedyś jeszcze ją zobaczy?

Siostra Ignatia zostawiła ją w pokoju z siostrą Anną.

Ta zaś, zupełne przeciwieństwo siostry Ignatii, przywitała wystraszoną Val z otwartymi ramionami, życzliwym uśmiechem i ogromną cierpliwością. Była miła i łagodna, czytała dzieciom bajki i pozwalała im, również Val, siadać sobie na kolanach. I nigdy nikogo nie karciła za zabawę jej szkaplerzem, kwefem czy różańcem.

- Pan pobłogosławił malców darem ciekawości - mówiła do niezadowolonej, skwaszonej Ignatii, gdy Valerie przesuwiała w palcach paciorki jej różańca.

- Raczej przeklął - odburkiwała starsza zakonnica, ale nie upierała się dłużej przy swoim. Jeśli chodziło o dzieci, Ignatia wołała opieką nad nimi obarczyć siostrę Annę, wyraźnie uszczęśliwiona, że może się pozbyć odpowiedzialności za gromadę tych „urwisów”, jak je nazywała.

To było trzydzieści lat temu.

Teraz siostra Simona otworzyła drzwi i zmarszczyła czoło.

- Dziwne - mruknęła. - To jeden z pokojów, które trzymamy zamknięte. Hm. - Minąwszy stół konferencyjny, przeszła do lady, pod którą znajdowały się szafki magazynowe. Zatrzymała się przed jedną z nich, po czym jakby do siebie powiedziała: - Ona też nie jest zamknięta. Naprawdę dziwne. Otworzyła drzwiczki szafki i Valerie zajrzała do wnętrza. Szafka była pusta.

Zupełnie jak w tej starej rymowance *Matka Hubbard**, pomyślała Val, czując skurcz w gardle, bo przypomniała sobie, jak

* *Stara matka Hubbard, Poszła do szafki, Chcąc dać biednemu psu kość: Lecz na miejscu zobaczyła, Że szafka jest pusta...* (przyp. tłum.).

siostra Anna czytała ten wierszyk dzieciom siedzącym u jej stóp w pokoju znajdującym się na tym samym korytarzu.

- Nic nie rozumiem - oświadczyła siostra Simona.

- Czy ktoś jeszcze ma klucze do tego pokoju?

- Tak, oczywiście. Siostra Georgia, Philomena, nasz konserwator i jeszcze kilka osób.

- Ojciec Thomas?

- Naturalnie.

To by było tyle, jeśli chodzi o prywatność, pomyślała Valerie.

- Czy coś zginęło z szafki siostry? - spytała.

- Nie sędzę. Dlaczego miałoby zginąć? Och, zresztą sprawdzimy. - Zakonnica otworzyła następną szafkę i Val ujrzała w środku kilka książek i pudełko z flamastrami. - Wszystko tak, jak zostawiłam. - Siostra Simona zajrzała do kolejnej szafki, w której leżało kilka motków żółtej włóczki i dwa komplety drutów oraz coś, co wyglądało jak niedokończony dziecięcy kocyk.

- A co z ojcem Thomasem? - zaciekała się Val.

- Och, on nie ma tu szafki - wyjaśniła, prostując się, Simone. - Wystarczy mu jego biuro.

- Jest tam teraz? - Nie sędzę. Został zaproszony na konferencję, która rozpoczyna się jutro; myślę, że wyleciał wcześniej rano.

- Ale czy siostra ma klucz do jego biura?

- Słucham? Do biura? Och, ależ skąd. - Zakonnica była zaszokowana sugestią Val. - Nie, oczywiście, że nie mam. Val chciała poprosić siostrę Simone, żeby pokazała jej drzwi biura ojca Thomasa i otworzyła je, gdyby nie były zamknięte na klucz, ale po zastanowieniu zrezygnowała z tego pomysłu. Poza tym, gdyby miała szperać w rzeczach księdza, wolałaby zrobić to w samotności. Wprawdzie nie miała powodu, by go o coś podejrzewać, ale jeśli Camilla odczuwała potrzebę porozmawiania z kimś o swoim związku z ojcem Frankiem, mogła się zwrócić o poradę do kogoś spoza St. Marguerite's. Nad tym warto było się zastanowić.

- To dziwne - powtórzyła siostra Simona, prowadząc Valerie z powrotem ku frontowi budynku. Val tymczasem zastanawiała się, co dzieje się ze Slade'em. Minęła prawie godzina od chwili, gdy odebrał telefon i znikł.
- Co jest dziwne? - spytała. Dla niej wszystko było dziwne. Nic nie wyglądało tak, jak powinno.
- Dzwoniłam dzisiaj do St. Marguerite's i rozmawiałam z siostrą Charity o rzeczach siostry Camilli, a teraz ich nie ma.
- Kiedy siostra tam dzwoniła?
- Zaledwie przed kilkanaście godzinami. - Simona zmarszczyła brwi. - Siostra Charity powiedziała, że wyśle kogoś po te rzeczy, ale nikt taki się do mnie nie zgłosił.
- Może zajrzemy do komputera i zobaczymy, co Camilla w nim znalazła?
- No nie wiem...
- To byli też moi rodzice - naciskała Val.
- Parafialne komputery służą tylko do użytku parafii, ale... Muszę to skonsultować z siostrą Georgią. W tym momencie Valerie dostrzegła Slade'a, który szedł szybko korytarzem, wkładając komórkę do kieszeni koszuli. - Gotowa, żeby jechać? - zwrócił się do Val, po czym podał dłoń siostrze Simonie. - Slade Huston, mąż Val.
- Miło pana poznać - odparła zakonnica, gdy Val przedstawiła ją Slade'owi.
- Siostra Simona przyjaźniła się z Camillą i oprowadziła mnie po parafii.
- Żałuję, że mnie to ominęło - rzekł Slade z tym krzywym uśmiechem, który Val wydawał się tak irytująco ujmujący. - Ale teraz siostra nam wybaczy, naprawdę musimy już iść. Val napotkała jego spojrzenie i postanowiła się nie opierać, choć uważała, iż nie załatwiła tu jeszcze wszystkiego - była przekonana, że gdzieś w tych mrocznych korytarzach kryją się odpowiedzi na pytania dotyczące śmierci jej siostry.
- Czy może siostra mnie powiadomić, gdy już będzie wiedziała, co się stało z rzeczami Camilli? - poprosiła.

- Jestem pewna, że zrobi to matka przełożona - odparła siostra Simona, idąc obok Val, która szła szybko za spieszącym do wyjścia mężem.
 - Co się stało? - zapytała, gdy znaleźli się na zewnątrz, gdzie z powodu burzowych chmur było dość ciemno. - Coś na ranczu?
 - Wszystko jest w porządku - odparł z uśmiechem Slade, gdy dotarli do furgonetki.
 - Ale myślałam, że ten telefon...
 - Tak, cóż, to był pretekst. Dzwoniłem sam do siebie. - Slade usiadł za kierownicą, a Val wśliznęła się na miejsce pasażera. - Co zrobiłeś?
 - Twoja rozmowa z matką przełożoną zdążyła donikąd. Ta sama stara śpiewka. Postanowiłem więc się ulotnić i trochę powęszyć. Dlatego upozorowałem rozmowę telefoniczną.
 - Jesteś naprawdę strasznym oszustem - orzekła Val i w tym samym momencie w dach starego forda uderzyły pierwsze krople deszczu.
 - Potraktuję to jako komplement.
 - Jak uważasz. - Val była zaskoczona przebiegłością męża. -I co? Znalazłeś coś?
- Slade przekręcił kluczyk i silnik furgonetki ożył.
- Tak. - Zerknąwszy w lusterko wsteczne, wyjechał z parkingu. Serce Val zabiło mocniej.
 - Więc mów. Co znalazłeś? Slade zerknął na nią z ukosa.
 - Zajrzyj do mojej kieszeni - powiedział, wyjeżdżając z bocznej uliczki na bardziej zatłoczoną drogę wiodącą na południe.
- Val sięgnęła na tylne siedzenie, gdzie Slade rzucił kurtkę. Szperając w kieszeni, wyczula palcami plastikową torebkę, a w niej coś przypominającego grzbiet książki. Oczyma wyobraźni ujrzała pustą szafkę Camilli. Ogarnęło ją uczucie żalu. Wyciągnęła cieniutką broszurę. Okładka była gładka i czarna zupełnie jak w modlitewniku.
- Pamiętnik Camilli?
 - Tak mi się zdaje.

- Ukradłeś go? - zapytała z niedowierzaniem. Była pewna, że pamiętnik zabrał zabójca, chroniąc swoją tożsamość.

- Pożyczyłem. Kiedy już poznamy treść, będziemy go musieli przekazać policji.

- Czytałeś?

- Tylko żeby się upewnić, że należał do Camilli.

- I miałeś przy sobie torebkę na dowody?

- Znalazłem jakąś w szufladzie i pomyślałem, że lepiej nie niszczyć śladów.

Valerie z trudem przełknęła ślinę. Gładząc palcami grzbiet broszurki, myślała o tym, że gdy otworzy pierwszą stronę pamiętnika, zyska wgląd w osobiste myśli siostry, a może nawet w jej duszę. Bała się tego, co może tam znaleźć. - Mam wrażenie, że robimy coś złego - mruknęła. - Jakbyśmy się wdzierali na teren prywatny. Slade rzucił jej krótkie spojrzenie. - Myślałem, że chcesz wiedzieć, kto ją zabił.

- Chcę. - Więc? Usztywniła plecy.

- Tak, wiem. - Docierali właśnie do mostu nad jeziorem Pontchartrain. Deszcz padał coraz intensywniej.

- W schowku są rękawiczki.

- Naprawdę?

- W końcu to schowek na rękawiczki.

- No tak, wiem, ale... Och, nieistotne. - Otworzyła schowek i rzeczywiście obok latarki, kombinerek i noża kieszonkowego oraz torebki z ciasteczkami dla psa ujrzała pęk lateksowych rękawiczek.

- Badam bydło, jak wiesz. Robię zastrzyki, oczyszczam rany, pomagam przy porodach. - Slade wzruszył ramionami. - Lubię być przygotowany na wszystko.

- Także na wykradanie dowodów zbrodni, prawda?

- Właśnie. - Kiwnął twierdząco głową.

Oboje doskonale wiedzieli, że policja będzie wkurzona, ale Val i tak naciągnęła parę za dużych na nią rękawiczek i ostrożnie

otworzyła okładkę pamiętnika, w którym krył się prywatny świat jej siostry.

- Wiesz, że za to pójdziesz do piekła.

Slade wrzucił wycieraczki na szybszy bieg i uśmiechnął się szeroko.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. Kiedy diabeł się dowie, co zrobiłeś, przyjdzie po twoją duszę.

- A niech sobie po nią przychodzi. - Slade posłał Val krótkie szelmowskie spojrzenie, od którego natychmiast zrobiło jej się cieplej. - Chociaż myślę, że będzie też szukał twojej.

- A więc razem wylądujemy w piekle?

- Zgadza się. - Mrugnął do niej, wciskając gaz. - Czyli jesteśmy umówieni na randkę?

Rozdział 32

Dziecko grymasiło. Znowu.

- Ząbkuje - tłumaczyła Olivia, a Bentz w to wierzył i kiedy jego małeńka córeczka płakała, nosił ją po domu, kołysał w ramionach.

- Daj, wezmę ją - powiedziała Olivia, odkładając czytaną książkę: kieszonkowe wydanie poradnika dotyczącego opieki nad dzieckiem w pierwszym roku życia. Przeszła do kuchni, gdzie ze swojej klatki zaskrzeczała do niej Chia, papuga odziedziczona po babce Virginii, „Ginny” Dubois, imiennicze córki. - No co tam, moja kochana? - szepnęła Olivia. - Nie denerwuj się, wszystko jest okej.

Ale wcale nie było okej i Ginny dawała to swojej matce wyraźnie do zrozumienia. Mimo że to było jej pierwsze dziecko, Olivia zachowywała spokój. Bentz miał jeszcze jedną córkę z poprzed-

niego małżeństwa, teraz już dorosła. Kristi była dwadzieścia pięć lat starsza od swojej przyrodniej siostrzyczki i na dowód tego Bentz miał powojenne blizny.

Kristi była jak petarda - sprawiała kłopoty od samego początku. Zupełnie jak jej matka. Bentz bardzo ją kochał, mimo że przez wiele lat dostarczała mu problemów swoimi wyskokami, do których należy zaliczyć bunt przechodzącej kryzys nastolatki, jak też zagrażające życiu obrażenia i wypadki...

Bentz miał nadzieję, że Ginny jako nastolatka nie będzie nastęczać takich trudności wychowawczych.

Teraz Kristi była żoną Jaya McKnighta, który pracował w stanowym laboratorium kryminalistycznym i wykładał kryminologię w college'u Ali Saints w Baton Rouge. Chodzili ze sobą jeszcze w liceum, a ponownie spotkali się właśnie w Baton Rouge.

Serce Bentza, starego, niepoprawnego romantyka, przepełniało uczucie miłości, gdy spoglądał na Olivię wpatrzoną w ich małą córeczkę.

- Widzisz, wystarczy odpowiednie podejście - pochwaliła się Olivia.

Bentz poczuł zalewającą go falę szczęścia. Kochał tę kobietę i to dziecko, choć wiedział, że oznacza to dla niego emocjonalną karuzelę. Niemniej kiedy myślał, jak bardzo zależy mu na tej małej, nowo narodzonej istotce, czuł w sobie wielką pokorę.

Śmieszne, myślał teraz, że tak nie chciał drugiego dziecka, że tak się o to kłócił z Olivią, a jednak gdy żona zaszła w ciążę, jego życie zmieniło się na lepsze. Teraz już nie umiał sobie wyobrazić życia bez małej Ginny, mimo że była tak kapryśna. Blondynka, jak jej matka, z wycierającymi się płowymi loczkami na małej główce, raczkowała po całym domu, z ciekawością patrząc na świat dużymi oczami i terroryzując Hairy'ego, ich starzejącego się psa - kolejne zwierzę odziedziczone z menażerii ukochanej babki Olivii. Bentz widział przed sobą lata szczęścia.

- W porządku - rzekł - wygrałaś. Jesteś lepszym rodzicem. Olivia roześmiała się, a on zszedł do swojego gabinetu i sięgnął

po telefon, żeby zadzwonić do zięcia. Może Jay zdoła przyspieszyć

niecو analizy robione w sprawie Camilli Renard. Ciągle nie otrzymali wyników badań toksykologicznych, ponadto Bentz chciał, żeby jeszcze raz sprawdzono krew nienarodzonego dziecka i porównano ją z krwią Franka OToole'a. Nie mogli sobie pozwolić na żadne błędy.

Kiedy sadowił się przy biurku w swoim ulubionym starym krześle, poczuł nagle w piersiach dziwny ucisk. Myślał o Camilli i jej dziecku, któremu odebrano życie, zanim jeszcze zdążyło przyjść na świat. Mała Ginny, uwolniona z objęć matki, szybko przeraczkowała do gabinetu. Spojrzała na Bentza i uśmiechnęła się, pokazując dwa dolne ząbki, wyraźnie dumna z siebie, że odnalazła tatusia.

Za nią w progu stała Olivia.

- Chodź do mnie - powiedział Bentz i wziął córkę na ręce, ucałował ją w główkę, a potem posadził sobie na kolanach.

Ginny zaczęła drzeć na strzępy mały notesik, a Bentz wykręcił numer Jaya.

Nadeszła pora, by dowiedzieć się więcej o tym, w jakim stanie była Camilla Renard w godzinie śmierci. Czy miała narkotyki we krwi? I co oznaczały ślady na jej plecach?

I który ze znanych jej mężczyzn ma grupę krwi zgodną z grupą krwi ojca dziecka.

- Mocna rzecz - orzekł Slade, który siedząc przy stole naprzeciwko Valerie, razem z nią czytał fotokopię pamiętnika Camilli.

- Powinno się go spalić. - Valerie, nie zwracając uwagi na stojący przed nią pełny kieliszek wina, przewróciła stronę i westchnęła. - To naprawdę zbyt osobiste.

- Policja będzie tego potrzebowała.

- Wiem, wiem. - Val z niechęcią myślała o tym, że życie i naj-intymniejsze myśli siostry staną się przedmiotem analizy, będą studiowane przez obcych ludzi.

Slade ją rozumiał. Camilla Renard była przeciwieństwem wszystkiego, czym powinna charakteryzować się zakonnica. Przynajmniej w jego opinii.

Bardzo starannie odbił oryginał pamiętnika Camilli na rozpadającej się ze starości kopiarce Val. I choć spodziewał się, że na stronach znajdzie sporo osobistych przemyśleń, nie był przygotowany na takie rewelacje. W pamiętniku występowało kilka nazwisk, ale żadne w kontekście romantycznego lub erotycznego związku, a przynajmniej nie bezpośrednio. Były tam też litery, może oznaczające inicjały, ale trudno to było stwierdzić.

Val wreszcie spróbowała wina. Na twarzy miała wyraz zakłopotania.

- Część notatek pisana jest szyfrem. - Val zmarszczyła czoło, potem wskazała na skreślony niestarannym pismem napis: CUN 7734, RM CV.

- Co to? Część numeru telefonu? - zapytał Slade. - A może rejestracji samochodu?

- RM CV: Pokój 105? - myślała na głos Val. - RM to skrót od *room* pokój, a CV wygląda mi na cyfrę rzymską.

- Możliwe. W St. Marguerite's zapewne używali ich częściej, niż praktykuje się to poza klasztorem..

- Mówisz tak, jakby to było jakieś więzienie.

- A nie jest?

- Nie w opinii Camilli. Mówiła mi, że nikt ich tam nie trzyma na siłę poza ich własnym sumieniem i chęcią wytrwania w podjętej decyzji. - Marszcząc czoło i kręcąc głową, Val czytała dalej. - Ale kto wie? - rzekła z niepokojem. Potem, przerzuciwszy kolejną stronę, dodała: - Tu jest następny skrót: TOM BF 2 MiM.

- BF... czy to nie *best friends* w młodzieżowym, internetowym żargonie? - zapytał Slade.

- Co? Chcesz powiedzieć, że znasz młodzieżowy żargon? Skąd, kowboju?

- Mam Internet na ranczu. Mam komórkę i słyszałem o Face-booku. - Slade mrugnął do żony. -

Nawet w Bad Luck dzieci piszą do siebie SMS-y. Zresztą dorośli pewnie też.

- Spryciarz!

- Każdy na tej planecie, kto jest choć trochę przytomny, wie co to BF i BFF. Nawet zakonnice w St. Marguerite's pomimo tej ich archaicznej fasady.

- Możesz mi wierzyć, to nie jest fasada. - Val wywróciła oczyma, lekko się przy tym uśmiechając. - Okej, panie SMS, więc jeśli TOM to jakiś „Thomas”, jak ten ksiądz w St. Elsinore's, to co oznacza reszta? *Best friends* dla M i M, jak te cukierki?

- Wiele osób je lubi - odparł Slade z udawaną powagą.

- Wiem, sama należę do ich grona. - Val zaczęła usilnie się zastanawiać. - Tom... Myślisz?

- Ze miała romans z księdzem z St. Elsinore's? - Slade pokręcił głową. - Jakie są szanse, że na swej drodze spotkała dwóch księży skłonnych złamać śluby? W jakim to ich stawia świetle?

- A ją?

- Już wiemy, jaka była Camilla' - mruknął Slade, a Val, zamiast wdawać się z nim w bezsensowną sprzeczkę, wypila łyk wina z kieliszka i nie znajdując odpowiedzi na pierwsze pytanie, przeszła do następnej zagadki, zapisanej zwykłymi gryzmołami. Serduszko, a w nim zakodowana informacja: CALLED*.

Val wpatrywała się w nią z uwagą. Czy ktoś - kochanek Cam-mie - zadzwonił? Czy serduszko ma jakieś znaczenie? I dlaczego brak jakiegokolwiek imienia? Westchnęła, wpatrzona w obrys w kształcie serca otaczający to jedno słowo.

Och, Cammie, pomyślała. Czy to jest jakaś wiadomość, czy może siostra po prostu marzyła o kochanku, do którego chciała zadzwonić; a może to kochanek zadzwonił do niej. Kto wie?

Na końcu była tam krótka notka, która brzmiała: „Matka przełożona” - otoczona małymi strzałkami, których ostrza z wściekłością atakowały napis, jakby Camilla szczerze nienawidziła siostry Charity.

Nie znajdując żadnego wyjaśnienia zagadkowych zapisów, które mogły być przecież tylko zwyczajnymi bazgrołami, Val przełożyła kilka następnych stron.

* *Cali* (ang.) - dzwonić (przyp. tłum.).

- Oho, nawet ty zostałeś wspomniany na liście przebojów. - Val, której uśmiech powoli gasł, okręciła w palcach nóżkę kieliszka. - Zdaje się, że należą ci się ode mnie przeprosiny.

W pamiętniku Camilla przyznawała się do nieudanej próby uwiedzenia „szczególnie upartego ranczera, który traktuje przysięgę ślubną równie poważnie jak swoje teksańskie dziedzictwo”.

- Chyba że istniał jakiś inny kowboj. Val spojrzała sceptycznie na męża.

- Kto? Trask? Zane? O ile pamiętam, obaj byli wówczas samotni, a Cammie wyraźnie wspomina o ślubnej przysiędze. - Val znów wypijała trochę wina, a Slade patrzył na nią, zachwycony jej urodą tym bardziej uderzającą, że Val nie zdawała sobie z niej sprawy. Piękna młodsza siostra wyglądała inaczej, bardziej krzykliwie, przy tym zachowywała się otwarcie uwodzicielsko, natomiast Valerie Renard była bardziej stonowana; jej klasyczne rysy i zmysłowa inteligencja zawsze ogromnie fascynowały Slade'a.

- A jeśli Camilla kłamała w pamiętniku? - spytał i, odchylając się w kuchennym krześle, które głośno zakrzypiało, sięgnął po piwo. - A gdyby napisała, że ja ją podrywałem, a ona nie umiała się oprzeć? Uwierzyłabyś? Uznałabyś mnie za winnego?

Val nie odpowiedziała.

- Ona nadal dyryguje całym przedstawieniem, Val - rzekł Slade, czując, że znów ożywa cicha furia, którą cały czas od siebie odsuwał.

- O czym ty mówisz?

- Że powinnaś była mi zaufać. Wiedzieć, że mówiłem prawdę. Ale ty uwierzyłaś Camilli i teraz znów jej wierzysz. Napisała w pamiętniku, że skłamała, i ty dajesz temu wiarę.

- Może powinieneś się cieszyć, że zrozumiałam swój błąd. Chyba powinieneś być wręcz zachwycony. Slade wytrzymał znaczące spojrzenie żony i poczuł nagle, że słabnie, że pojawia się rysa w jego postanowieniu, by ułożyć sprawy z żoną na jego warunkach, a nie na warunkach podyktowanych przez nieżyjącą kobietę.

- Te zapiski mogą być czystą fantazją - odezwał się, wskazując na stronę zawierającą opis wyjątkowo ostrej sceny erotycznej
 - Twierdzisz, że kłamała we własnym pamiętniku?
 - Twierdzą, że mogła tak robić. To wszystko. Nie bierz niczego za pewnik.
 - Łącznie z twoją niewinnością.
 - Tak. - Zacisnął szczęki mocno, aż do bólu. - Powinnaś mi ufać, Val. Tylko dlatego, że ja to ja. Dlatego, że się sprawdziłem. Nigdy cię nie okłamałem. Nigdy.
- Valerie przełknęła ślinę. Jej oczy się zamgliły, zawahała się, potem odwróciła wzrok, a Slade z trudem się powstrzymał, by nie wstać i nie wziąć jej w objęcia.
- Okej... masz rację. Ten pamiętnik może być tylko wykwitem wyobraźni. Czystą fikcją. - Val zmarszczyła czoło i przygryzła kącik ust. - Ale ja w to nie wierzę - myślała na głos, kręcąc głową. - Po pierwsze, Cammie mówi o swoich kochankach. Ten pierwszy? - Z niesmakiem odstawiła kieliszek z winem. - W liceum? O kogo, twoim zdaniem, może chodzić? Slade wzruszył ramionami.
 - Nie mam pojęcia. - Wysportowany z licznej latynoskiej rodziny.
 - To mógł być każdy.
 - Reuben Montoya - orzekła Val, a gdy spostrzegła niedowierzanie w oczach męża, dodała z naciskiem: - Jestem pewna.
 - Mówiłaś, że tylko się spotykali.
 - Najwyraźniej nie tylko! - Val kilka razy stuknęła palcem w otwarte strony pamiętnika. - Zgodnie z tym, co tu napisane, on był jej pierwszym mężczyzną, jeszcze w liceum. Potem pojawił się cały szereg kochanków, takich na jedną, dwie noce, bezimiennych; jest też wzmianka o tobie i w końcu o jakimś księdzu. Ale my wiemy, kto to jest.
 - Frank OToole.
 - Sukinsyn - mruknęła Val, zrywając się z krzesła i przechodząc do kuchni, gdzie szybkim, gniewnym ruchem wylała resztkę wina do zlewu. Bo, zdrajca, merdając ogonem, podążył

za nią. - Montoya nie powinien prowadzić tej sprawy. Z uwagi na bardzo osobiste związki z ofiarą. A Frank OToole powinien trafić za kratki.

- Jesteś pewna, że to on ją zabił?

- Tak! Och... Boże. Nie, tak naprawdę to nie jestem. - Val pokręciła głową, a w jej włosach, na które padało światło lampki, zamigotały rdzawe pasma.

Slade'a na ten widok zalała fala wspomnień. Ile razy opuszczał ich sypialnię na ranchu, widząc, jak wpadające przez okno promienie letniego słońca lśnią jaskrawym blaskiem w rozwichrzonych włosach żony? Ile razy Val, otwierając zaspane oczy, przyłapywała go na tym, że jej się przygląda, a potem uśmiechała się do niego z wyraźnym zaproszeniem, którego nigdy nie odrzucał. Jeszcze teraz pamiętał zapach ich pościeli suszonej na gorącym tekszańskim słońcu. Pościeli pachnącej perfumami Val i seksem. Poczul ucisk w podbrzuszu, szybko się jednak opanował.

Moment z pewnością nie był odpowiedni.

- W tym cały kłopot - kontynuowała Val. - Frank OToole nie sprawia wrażenia, jakby był zdolny do takiego czynu. Do diabła, uwierzyłam mu, kiedy powiedział, że kochał Camillę. Ale nie umiem... Po prostu trudno mi sobie wyobrazić ich razem. Przynajmniej w takich okolicznościach. - Val, mocno zaciskając usta, zerknęła na leżący na stole pamiętnik. Slade wiedział, co miała na myśli. Sceny łóżkowe opisane w zwierzeniach Camilli, bardziej mroczne niż przepełnione miłością, nie pasowały do człowieka, który pomaga chorym w szpitalu, spędza czas z dziećmi w sierocińcu St. Elsinore's i udziela się w akcji, której celem była budowa domów dla potrzebujących w Nowym Orleanie po huraganie Katrina. Kochanek opisany przez Camillę to mężczyzna silny, zmysłowy. I znacznie bardziej skłonny do sadyzmu niż altruizmu.

Frank OToole?

A z drugiej strony, kto tak naprawdę wie, do czego zdolny jest człowiek?

Ktoś, na zewnątrz pozornie całkiem normalny, wewnątrz może być chory i przesiąknięty złem.

Slade widział kiedyś zdjęcie drobnej zadbanej uczęszczającej do kościoła kobiety, ubranej w modną spódnicę i żakiet. Miała bardzo jasne, prawie białe włosy ułożone starannie w stylu fryzur noszonych przez dobrotliwe starsze panie. Jej uśmiech był słodki jak brzoskwinie z Georgii. Dobijała chyba osiemdziesiątki. Ale następne zdjęcie pokazywało ją w negliżu. Całe ciało miała wytatuowane, sutki przebite kolczykami, włosy łonowe zgolone i stała w zmysłowej pozie. A jego nie tyle zdumiało wytatuowane ciało, co fakt, że kobieta zgodziła się, by ją sfotografowano, a następnie umieszczono zdjęcia w Internecie.

A może był to montaż zrobiony w Photoshopie.

I kobieta wcale nie wyraziła zgody na opublikowanie tego zdjęcia.

Może jej głowę umieszczono na fotografii innej osoby.

Zresztą to nie miało znaczenia. Zdjęcie utkwilo mu w pamięci jako dowód, że nikt tak naprawdę nie wie, co dzieje się w głowie drugiego człowieka. Bo skąd tylu zszokowanych sąsiadów, którzy nie mogą uwierzyć, że mężczyzna z domu obok bije żonę, jest pedofilem lub mordercą? W ich mniemaniu ten mieszkający obok księgowy był zawsze bardzo dobrym, spokojnym sąsiadem.

Tak więc Frank O'Toole, nieważne, że ksiądz, mógł być mężczyzną, który lubił przywiązywać ręce Camilli do żelaznych poręczy łóżka i lać oliwę na jej ciało. Mógł długo utrzymywać ją w podnieceniu, pieszcząc i traktując różnymi przedmiotami, które wywoływały ból. OToole mógł kłaść Camillę na brzuchu i chłostać ją biczem po plecach, aby zanim w nią wejdzie, porządnie się podniecić. Czekał, aż rozbudzona strachem i bólem wygnie w ekstazie swoje ciało. On również mógł okazać się zabójcą.

- Chory sukinsyn. - Valerie opłukała swój kieliszek, odruchowo poklepała Bo po łbie i przeszła do salonu, gdzie siadła ciężko w swoim ulubionym fotelu. Spojrzała na Slade'a, który nadal siedział przy stole. - Przepraszam - powiedziała napiętym głosem. - Za to, że w ciebie zwątpiłam. Że uwierzyłam Camilli,

nie tobie. - Mówiąc to, nerwowo splatała i rozplatała palce. - Popełniłam błąd - szepnęła ze zmieszaniem.

Powinien teraz podejść i wziąć ją w ramiona. Wyobraził sobie, że odchyła jej głowę, odgarnia włosy z policzków, całuje zamknięte powieki, szepcząc słowa pocieszenia i zapewniając, że przyjmuje przeprosiny. Ale nie mógł tego zrobić. Jeszcze nie teraz. Nie, dopóki między nimi było tyle żalu i niedomówień.

Najłatwiej byłoby przyciągnąć ją do siebie, wziąć na ręce i zanieść do sypialni. Oczyma wyobraźni zobaczył ją nagą pod sobą, drżącą z oczekiwania i gorącą, unoszącą biodra, gdy się w niej zanurzał. Jej włosy rozsypałyby się na poduszce, ciemne od potu, jej piersi z ciemnymi, nabrzmiętymi sutkami czekałyby, aż weźmie je w usta, żeby je całować i lekko podgryzać. Oplotłaby go nogami, z jej gardła wydobyłyby się jęk rozkoszy, gdy ująłby jej pośladki, by mocniej do siebie przycisnąć.

Wiedział, że ich zbliżenie byłoby teraz dzikie i gorączkowe, bo w ten sposób chcieliby zmyć ból i cieszyć, że żyją, choć Camilla już nigdy nie obudzi się w świetle ciepłego czerwcowego poranka.

Wypił piwo do końca i wstał.

- Chyba przyda nam się trochę snu - rzekł i postawił butelkę na stole, nie zbliżając się do Val nawet na krok. - Na posterunek powinniśmy dotrzeć około ósmej. - Podeszedł do drzwi, ale tam się zatrzymał zdjęty nagłym wahaniem. - Oboje mamy sporo do przemyślenia.

Bo stał z przekrzywionym łbem i merdał ogonem.

- Zostań - powiedział do psa Slade, tłumiąc chęć pozostania w tym małym, przytulnym domku. Z żoną.

Och, do diabła.

Spoglądając ostatni raz na Val, przywołał na twarz wymuszony uśmiech, potem otworzył drzwi, podniósł moskitierę i wyszedł w noc, gęstą i czarną jak rozlewająca się plama gorącej smoły.

Rozdział 33

Już czas - popędzał głos. -*Pospiesz się.*

Siostra Asteria wyśliznęła się z pokoju, w głowie miała zamęt na myśl o tym, co się zaraz wydarzy. Zebrawszy fałdy długiej sukni, uniosła ją tak, by nie zaczepić o rąbek bosymi stopami, gdy będzie w pośpiechu iść korytarzem oświetlonym jedynie mdłym blaskiem kinkietów.

W uniesieniu, niemal jakby była pijana, o mało się nie potknęła. Zdołała jednak utrzymać równowagę i pobiegła przed siebie ku schodom na tyłach.

- *On czeka.*

Tak! Spieszyła do celu, ostro poszturchiwana, żeby nie stawała. Zatrzymała się jednak przy drzwiach, ogarnięta nagłą niepewnością.

- *No już!* - Głos brzmiał nagłaco. Rozkazująco. - *Dalej!*

Głęboko w duszy, pod dziwnym, szybko rosnącym uniesieniem, poczuła pierwszy dreszcz strachu.

Pełna trwogi myśl przypominała jej, że to, co się dzieje, jest złe, bardzo złe.

Pamiętaj o siostrze Camilli, ostrzegał ją inny głos, dochodzący z najgłębszych zakamarków jej umysłu. Ale go zignorowała, skupiona na tym, by się nie przewrócić; otworzyła drzwi i wybiegła w noc. Księżyc świecił jasno, ciemność była blisko, zapach ogrodu mieszał się z ciężką wonią wilgotnej ziemi. Żwir, którym była wysypana ścieżka, kłuł ją w stopy, ale to jej nie powstrzymało, bo prawie nie czuła bólu. Niemal płynęła w powietrzu, mijając bramę, która była otwarta, jakby ktoś już tam na nią czekał.

Jej narzeczony. Oczywiście.

Joseph!

Miała w pamięci jego twarz, wyobraziła sobie, jakie to będzie uczucie znów móc go całować.

Nie, zaczekaj. Nie Joseph. To nie tak. A może tak? Przez chwilę była zupełnie pogubiona; księżyc też nagle znikł za chmurami.

Dlaczego nie jest w kościele? I jeśli nie wychodzi za Josepha, to kto czeka na nią przy ołtarzu?

Chrystus! Poślubisz Jezusa, Syna Bożego. Jesteś zakonnica!

Oczywiście.

Pragnęła odzyskać stan uniesienia, który owładnął ją wcześniej, ale nie chciał wrócić, niespodziewanie zastąpiła go świadomość, że ktoś ją oszukał i prawdopodobnie odurzył narkotykami.

Ale jak?

- *Tędy.* - Bezcielesny głos kazał jej skręcić za róg i przejść przez kolejną bramkę, która też stała otworem. Usłyszawszy zgrzyt zardzewiałych zawiasów, Asteria zdała sobie sprawę, że znalazła się na cmentarzu, wśród nagrobków i kamiennych rzeźb. Między bielejącymi w ciemnościach pomnikami prześlizgiwał się złowieszczy powiew, szarpiąc fałdami jej sukni i poruszając gałęziami rosnących tu drzew. Na ich sękatych konarach niczym duchy powiewały pędy oplątwy. Asteria usłyszała w uchu syk: - *To za twoje grzechy...* za wszystkie grzechy, siostrze Asterio. Nie! - chciała krzyknąć, lecz nie mogła wykrztusić słowa. Przerazenie szarpało pazurami jej duszę.

- *Uczyliś pośmiewisko ze swoich ślubów.* O dobry Boże.

Zaczekaj - chciała powiedzieć, ale nie była w stanie.

- *Ruszaj.*

Asteria szła przed siebie, potykając się, i zdjęta przerażeniem, zaczęła się modlić. Krew zakrzepła jej w żyłach, przypominając, że zasłużyła na karę.

Przez głowę jak błyskawica przemknęło wspomnienie losu nieszczęsnej siostry Camilli; w tej samej chwili rozległ się żalostny, szyderczy skrzek czarnego kruka, który łopocząc skrzydłami, uniósł się do ciemnego nieba.

Asteria zadrżała. Szorstka tkanina sukni ocierała się o jej skórę. Jej los był przypieczętowany. Z oczu polały się łzy. Przez chwilę pomyślała o ucieczce. Chciała się odwrócić i wołając o pomoc, pobiec pomiędzy nagrobkami.

Ale nie mogła. Głos zamarł jej w gardle. Zatrzymywały go popełnione grzechy. Zasłużyła na to, co się działo.

Wiedziała, co spotkało siostrę Camille, że zginęła ubrana w taką samą suknię. Jej śmierć była ostrzeżeniem, które zlekceważyła. Ojczy, pomóż mi, proszę, modliła się w duchu. Potknęła się, a gdy odzyskała równowagę, poczuła ukłucie ostrza noża pod żebrami, ponaglające, by szła dalej pomiędzy kryptami i grobami. Znała napastnika albo tak się jej przynajmniej wydawało, choć postać okryta ciemną szatą nie była wyraźna. Jej serce waliło dziko, jakby nagłąc do ucieczki. Chciała to zrobić, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Ledwie się na nich trzymała.

Jako najstarsza córka z siedmiorga rodzeństwa Asteria zawsze robiła to, co jej kazano.

Nigdy o nic nie pytała.

Nigdy się niczemu nie sprzeciwiała.

Od czasu pierwszej komunii jej wiara była niezachwiana, a w całym życiu załamała się tylko raz, na bardzo krótko. Asteria aż się kurczyła na to wspomnienie.

Joseph.

Była wtedy głupią młodą dziewczyną, miała szesnaście lat i dała się oczarować starszemu mężczyźnie. Miał dwadzieścia cztery lata - tak przynajmniej twierdził. Jednak Joseph Allard słowem nie wspominał o żonie i dzieciach.

Pomyśleć, że zakochała się w żonatym mężczyźnie... Na myśl o popełnionych grzechach robiło się jej niedobrze. Gdy prawda wyszła na jaw, odrzuciła go bezlitośnie. Była przerażona, że ją okłamał, i nie chciała słuchać wymówek o tym, że jest „nieszczęśliwy i uwięziony” w pozbawionym miłości małżeństwie. Asteria powiedziała kochankowi, że nie chce go więcej widzieć. Po tygodniu, gdy jego żona i dzieci spały, mężczyzna poszedł do garażu, zamknął szczelnie drzwi, wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

Kiedy jego żona dowiedziała się o romansie, winą za to, że została wdową pozbawioną dochodów męża, obciążyła Asterię.

Ponieważ mąż popełnił samobójstwo, kobieta nie otrzymała żadnego odszkodowania. Asteria poczuła się niktą i po ukończeniu szkoły postanowiła wstąpić do klasztoru. Odsunęła na bok wszelkie romantyczne fantazje i oddała swe życie Chrystusowi.

Nie zdawała sobie jednak sprawy, że spotka kogoś takiego jak ojciec Frank OToole. Na samą myśl o nim serce jej się ścisnęło. Taki przystojny, taki męski, taki... wspaniały.

I taki zły. Czyżby Szatan znów ją kusił?

O nie, nie... nie z ojcem Frankiem.

A jednak stała tu teraz, lekko oszołomiona, w ślubnej sukni, ze świadomością, że zapłaci za swoje grzechy na tym cmentarzu, pomiędzy prostokątnymi nagrobkami, które wyrastały z ziemi niczym kamienne potwory.

Jej serce biło tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Ścisnąc palcami paciorki różańca, czuła gwałtowne pulsowanie w żyłach. Jak mogło do tego dojść?

Cicho zaszlochła i poczuła, że czubek noża przeciął cienki materiał sukni i zagłębił się pod zębem. Na rozpalonej, mrowiącej, od strachu skórze poczuła lodowate ostrze. Spróbowała wydać z siebie okrzyk, ale nie zdołała; po jej plecach spłynęła ciepła krew.

- Nie - szepnęła poprzez szum w uszach.

- *Krzyknij, a twoja dusza szczytnie w piekle!* - zapewnił ją Sos. - *A teraz rusz się!*

Poszła więc przed siebie, pomiędzy grobami, posłuszna, tak jak ją uczono, myślami wędrując do matki i ojca, dość młodych, bo dopiero co przekroczyli pięćdziesiątkę. Potem pomyślała o rodzeństwie, o całej szóstce, lecz najwyraźniej w pamięci odbiła się twarz Marie, najmłodszej siostry. Marie miała zaledwie osiem lat i ze swoimi piegami, kręconymi włosami i poważnymi piwnymi oczami była bardzo podobna do Asterii. I jak ona była oddana wierze i Bogu, choć jeszcze za mała, by w pełni pojąć swoją wiarę.

- *Na kolana* - rozkazał szorstki głos, gdy dotarła do grobu gdzie ustawiony na pomniku anioł z szeroko rozpostartymi

ramionami spoglądał na nią pogardliwie z góry, zasłaniając sobą księżyc. Oblicze posągu krył cień, wyraz twarzy posągu był nie do rozpoznania. - *Tutaj!*

Ktoś pchnął Asterię tak mocno, że padła na ziemię, na ostry żwir, który poranił jej kolana.

- *Jaka jest zapłata za grzechy?* - zapytał głos.

Co? Strach prześlizgiwał się wąskimi strużkami po jej skórze.

- Zapłata za grzechy jest... O Boże!

- Śmierć - wychrypiała i w tym samym momencie jej ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia. Ponieważ głos już zupełnie odmówił jej posłuszeństwa, zaczęła modlić się w duchu.

Ojcze Nasz, który jesteś w niebie... Na szyję zarzucono jej pętlę. Nie!

Walcz, Asterio! Musisz się bronić! Nikt ci nie przyjdzie z pomocą!

Usiłowała się podnieść, ale cienka, mocna linka szybko się zacisnęła na jej szyi, wrzynając głęboko w skórę.

Asterię załapała panika, przed oczami zamigotała jaskrawa czerwień.

Walcz! Uciekaj! Uciekaj od tej chorej osoby!

Znów spróbowała krzyknąć. Wziąć oddech.

Palce wbiła w szyję, szukając sposobu, by odciągnąć od skóry dławiacą garotę.

Och, ojcze, błagam, uratuj mnie, powtarzała w myślach, nie zaprzestając walki. Jedną rękę wyrzuciła w powietrze, drugą próbowała poluzować ostrą pętlę. Płuca jej pękały, w duchu krzyczała z bólu.

Ciemność zaczęła obejmować obrzeża jej świadomości i jakby z bardzo daleka usłyszała bicie kościelnych dzwonów.

Och nie... proszę... Zbawco, proszę...

Od ciśnienia rozsadzającego płuca zaczęło jej się kręcić w głowie. Dusza kurczowo trzymała się ciała, w ostatniej sekundzie, jakby wznosząc się nad nie, Asteria zobaczyła, że napastnik dokręca końce garoty i cienki stalowy drut zagłębia się w szyję.

Z wysoka obserwowała, jak na jej skórze pojawiają się kolejne lśniące krople krwi, układające się jakby w naszyjnik z granatów. Jej ciało zadrżało, a potem osunęło się bezwładnie. Ssss! Trzask! W tym momencie Asteria wzniosła się w górę, myśląc w oszołomieniu, że ten jaskrawy blask, który wybuchł na jej oczach, był tym, o czym mówi tak wiele osób, światłem prowadzącym do niebios. Och Boże... Znów ogarnęła ją ciemność, gęsta, mroczna chmura, pochłaniająca ból i uśmierzająca przerażenie.

Umierała.

Była tego świadoma... jakby przez mgłę. A jej umysł nurtowało tylko jedno pytanie. Czy bramy niebios będą dla niej otwarte? Czy może raczej, czego się obawiała, zostanie wtrącona do czeluści piekielnych, by pozostać tam na wieki?

Pssst!

Lucia gwałtownie uniosła powieki.

Nie! Tylko nie to!

Nie przed opuszczeniem...

Serce jej waliło jak młotem i pomimo że przez otwarte okno wpadał chłodny powiew, była cała spocona. Wczepiła palce w kołdrę i cienki koc, modląc się, aby to była pomyłka, by się okazało, że wcale nie usłyszała tego pozaziemskiego głosu, tego ochrypłego szeptu demona.

- Błagam, ojcze - szepnęła tak spięta, że ledwie mogła oddychać. Oczyma wyobraźni ujrzała anioła z ramionami wysoko uniesionymi, jakby sięgał niebios. - Tylko nie kolejna...

Ale instynkt, umiejscowiony tam, gdzie strach zbiega się z nadzieją, mówił jej, że została siłą wplątana w nowy i mroczny horror.

Dzwony wybijały północ, ich głosy niosły się w noc miękkim, żalnym brzmieniem.

O Boże, Boże, Boże.

Ogarnięta rosnącą paniką, zsunęła się z łóżka, wyjęła habit z szafy i wciągnęła go przez głowę. Gdy rąbek szaty dotknął

ziemi, wsunęła ręce w rękawy, drżącymi palcami zdjęła z poręczy łóżka różaniec i cicho się modłać, udała się na spotkanie swego przeznaczenia.

Wyszła z pokoju i ruszyła ciemnym korytarzem w stronę schodów, czując przy tym czające się w mrokach zło, odrażający ziemisty odór demona.

Nie spodziewała się, że kogoś spotka, lecz gdy skręciła za róg, niemal zderzyła się z siostrą Edwiną.

- Och! - krzyknęła cicho, chwytając się za pierś. - Czemu nie śpisz?

Toalety i prysznicznice znajdowały się po przeciwnej stronie.

- Nie mogę zasnąć - wyjaśniła Edwina. - A ty?

- Trudno to wytłumaczyć. Chodź ze mną. - Lucia pociągnęła zakonnicę za habit i ruszyła przed siebie, nie chcąc się nad niczym zbyt głęboko zastanawiać, nie mając odwagi nawet próbować zwierzyć się koleżance. - Chyba... chyba stało się coś złego.

- Skąd wiesz? - spytała z niedowierzaniem Edwina.

- Nie wiem. Chodź. - Lucia zbiegała już po schodach, nie oglądając się za siebie. - Pospiesz się! -

Stukot butów świadczył, że siostra Edwina idzie za nią. Lucii przemknęło przez myśl niejasne pytanie, dlaczego Edwina, w całym rynsztunku, habicie i welonie, krąży nocą po korytarzach, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Ani też rozpatrywać prawdopodobnych powodów.

- Dokąd idziemy? - spytała Edwina.

- Ja... ja nie jestem pewna.

- Zaczekaj chwilę. Nie wiesz, co usłyszałaś, i nie wiesz, dokąd idziesz...

- Po prostu chodź ze mną, dobrze? - warknęła Lucia. Na ogół nie była despotką, ale tej nocy, o słodki Jezu, musiała. A co do stanu jej zdrowia psychicznego, sama zaczynała w nie powątpiewać. Ale się nie zatrzymała. Miała nadzieję, że się pomyliła... och, błagam, Boże, niech się tak okaże... miała nadzieję, że głos, który usłyszała, był tylko wytworem wyobraźni, choć włoski jeżące się na jej rękach mówiły co innego.

- Nie wiem, czy to mądre - zawahała się Edwina, gdy Lucia gwałtownie otworzyła podwójne drzwi i wybiegła na zewnątrz. Wiatr niosący zapach Missisipi uderzył ją prosto w twarz. Przesuwające się chmury zasnuwały księżyc i gwiazdy.

Lucia, nie czekając na Edwinę, pobiegła przed siebie ścieżką prowadzącą przez bramę na teren cmentarza. Proszę, Boże, nie opuszczaj mnie.

Pomimo ponaglającego ją szeptu zła, całą siłą woli starała się zachować kontakt z Panem.

Edwina, która się nieco ociągała, dołączyła do niej przy bramie cmentarnej.

- Czyś ty zwariowała? - Przerażone oczy zakonniczy przesunęły się po twarzy Lucii.

Możliwe, pomyślała Lucia, ale w tym momencie nie chciała tego rozpatrywać. Nie odpowiadając słowem, przyspieszyła kroku. I choć głos demona już jej nie popędzał, doskonale wiedziała, dokąd ma iść, z przerażeniem myśląc o tym, co znajdzie na miejscu.

Błagam, niech się okaże, że się pomyliłam, powtarzała żarliwie w duchu. Serce jej waliło, a nocny wiatr rozwiewał włosy. Niech to się okaże pomyłką.

Mimo to nie zachwiała się, gdy jej wzrok padł na posąg anioła z wizji. Dziwnie szary, miał szeroko rozpostarte skrzydła, ramiona wzniesione ku niebu, brud i zacieki w kącikach oczu przypominały bruzdy wyżłobione przez łzy.

Anioł był dokładnie taki jak w wizji.

A pod rzeźbą, przed nagrobkiem, leżała nieruchoma, martwa kobieta.

Siostra Edwina wyrzała zza pleców Lucii i z jej ust wydarł się przeraźliwy krzyk.

Zwłoki oświeślały blade promienie księżyca. Martwa kobieta, tak jak Camilla, miała na sobie zniszczoną suknię ślubną, której fałdy unosiły się w podmuchach wiatru szalejącego po cmentarzu z żalnym zawodzeniem, trzaskającego gałęziami drzew.

- O Najświętszy Panie, nie! - zawołała Edwina, gdy Lucia się pochyliła, by sprawdzić, czy w drobnym ciele znajdzie jeszcze

oznaki życia. - Nie Asteria... - jęknęła Edwina i padła na kolana, zalewając się łzami. Siostra Asteria patrzyła w górę, jej wzrok wbity był w nocne niebo. Lucia sięgnęła do jej nadgarstka, żeby wyczuć puls... w nadziei... modląc się. Ale nie wyczuła pulsu. Asteria nie oddychała. Leżała nieruchomo. Jej dusza prawdopodobnie wędrowała już do nieba. Z oczu Lucii popłynęły łzy. Jej modlitwę przerywał szloch. Dzwony kościelne wreszcie zamilkły.

Rozdział 34

Tylko nie mów, że to kolejna twoja stara znajoma z lat szkolnych? - zakpił Bentz z Montoi, który przykucnąwszy, wpatrywał się w zwłoki siostry Asterii. Po śmierci jej skóra przybrała sinawy odcień, a nieruchome spojrzenie było równie martwe, jak otaczające ich groby.

- Ale śmieszne - sarknął Montoya.

- No więc? - Bentz nie do końca żartował.

- Nie, Bentz - odrzekł Montoya, prostując się i oddychając z ulgą. - Po raz pierwszy widziałem ją na oczy podczas przesłuchań. - Czy to naprawdę było zaledwie kilka dni temu? Montoi wydawało się, że minęła wieczność.

- To dobrze.

Więcej niż dobrze. Fakt, że znał tyle osób powiązanych z morderstwem, zakrawał na jakiś surrealistyczny żart; Montoya zaczynał już nawet podejrzewać, że stanowi jakiś swoisty wspólny mianownik. Jednak teraz, po śmierci Asterii McClellan, już tak nie myślał.

- To jakiś koszmar - mrucał Bentz pod nosem, gdy obaj już odeszli z miejsca zbrodni, gdzie lekarz sądowy badał zwłoki Asterii przed zapakowaniem ich do worka i wywiezieniem.

Zbliżyła się Lynn Zaroster, która dotąd trzymała się z dala od miejsca przestępstwa. Uśmiechnęła się ponuro do Montoi. Niedawno pracowali ze sobą jako partnerzy, w czasie gdy Bentz wziął urlop, żeby wrócić do siebie po obrażeniach, przez które omal nie stracił pracy i życia. Po jego powrocie Zaroster od razu przydzielono do Brinkmana, którego Lynn nie znosiła. Była jedyną osobą w wydziale, która chciała, żeby Bentz poszedł już na emeryturę, bo wtedy mogłaby pracować z Montoyą.

Teraz powiedziała:

- Prasa domaga się informacji. *Pronto*. Gadają, że to seryjne zabójstwa.

- Już? O Jezu. - Bentz pokręcił głową. - Trochę za wcześnie, żeby nazwać mordercę seryjnym - stwierdził,

Montoya się z nim nie zgadzał. To, że podręczniki sugerowały, że muszą być co najmniej trzy ofiary zamordowane w określonych odstępach czasu, nic jeszcze nie znaczyło. Kto tak naprawdę zna umysł psychopaty? Ich się nie da poszufladkować. W jego mniemaniu dwie zakonnice zabite w ten sam sposób to już seria. Początek szaleństwa albo morderca zabijał już wcześniej.

- Brenda Convoy jest dość natarczywa - orzekła Zaroster, rozglądając się dokoła z ponurą miną. Jej twarz oświetlały flesze z aparatów i słaby blask księżyca.

Montoya spochmurniał. Nie lubił tej bezczelnej reporterki z WKAM, chociaż z drugiej strony, z innymi dziennikarzami też specjalnie się nie przyjaźnił.

- Kazałam jej czekać na oświadczenie rzecznika - wyjaśniła Zaroster - ale ona wyglądała tak, jakby zaraz miała zacząć pluć małymi zielonymi jabłkami.

- Srać małymi zielonymi jabłkami - poprawił koleżankę Brinkman.

Zaroster mocno zacisnęła szczęki. Brinkman jednak tego w ogóle nie zauważył.

- I to cholernie źle. Nawet Convoy wie, że niczego nie dostanie bez rozmowy z Sinclair. Tina Sinclair była ostatnim nabytkiem w całym gronie rzeczników prasowych przydzielanych wydziałowi.

- Co masz? - spytał Montoya.

- Na razie nic. - Nawet Brinkman sprawiał wrażenie zakłopotanego, z jego ust znikł charakterystyczny szyderczy uśmieszek. - To wygląda naprawdę kiepsko - przyznał.

- Hej, czy przypadkiem wam nie przeszkadzamy? - spytała gniewnie Bonita Washington, główny oficer dochodzeniowy na miejscu zbrodni. - My tu mamy robotę. - Washington była duża, czarna i nikt nie mógł jej podskoczyć. Włosy miała szesane do tyłu, jej twarz lśniła od potu; w jednej ręce niosła podkładkę do pisania, w drugiej skrzyneczkę z narzędziami.

- Sooory - rzucił w jej stronę z pogardliwym uśmieszkiem Brinkman, który najwyraźniej wrócił już do siebie. - Ale my też próbujemy tu pracować.

- No to zabierzcie się wreszcie do roboty - burknęła Washington, piorunując go swymi zielonymi oczyma - i nie przeszkadzajcie innym. - Odwróciła się, żeby porozmawiać z Santiago, a fotograf tymczasem pstrykał zdjęcia przy upiornym błysku flesza, który na milisekundy wydzierał z ciemności zarysy cmentarnych krypt i nagrobków.

Brinkman wydał usta.

- Ktoś dzisiaj wstał lewą nogą.

- Słyszałam, Brinkman. I żebyś wiedział, że nie lubię, jak się mnie wyciąga z domu w środku nocy. - Washington podeszła do rzeźby, pod którą znaleziono zwłoki Asterii.

- Jasne, ale nie jesteś tu sama - mruknął Brinkman, który, gdy czarna policjantka nie odpowiedziała na jego zaczepkę, przestał jej dokuczać i skupił się na dochodzeniu. - No więc co? Znów ta sama zakonnica znalazła ofiarę? - zwrócił się do Montoi, nerwowo szukając w kieszeni pogniecionej paczki marlboro. Potem zrećcznie wytrząsnął z niej papierosa i włożył go w zęby, idąc obok kolegi między wypłowiałymi od słońca grobami. W No-

wym Orleanie zmarłych grzebie się nad ziemią, ponieważ większa część miasta znajduje się na poziomie morza lub niżej. Nikt nie chce, żeby zmarła babcia wróciła z wizytą w razie powodzi, która mogłaby podmyć grunt, sprawiając, że zakopane pod ziemią trumny wypłynęłyby na powierzchnię. - Co może oznaczać, że ta sama osoba znajduje ciało, które nie zdążyło nawet jeszcze ostygnąć? - zadał pytanie, nie wypuszczając z ust niezapalonego papierosa.

- Jeszcze nie wiem - odparł Montoya. - Ale się dowiem. Zamierzam przesłuchać siostrę Lucię jako pierwszą.

- Wygląda na to, że wie więcej, niż nam powiedziała. Doszli do bramy cmentarza, a gdy ją minęli, Brinkman zatrzymał się, żeby zapalić.

Zapach dymu podrażnił nozdrza Montoi; żarzący się czerwono koniec świecił w mroku jak miniaturowa latarnia morska.

- A co z księdzem? - dopytywał się Brinkman.

- Z nim też pogadamy, gdy tylko pojawi się jego adwokat -zapewnił Bentz.

Brinkman wypuścił z ust smuzkę dymu.

- Byliście w pokoju ofiary?

- Jeszcze nie. Zaroster ma się tym zająć.

- Pójdę z nią - rzekł Brinkman. - Żeby matka przełożona nie dostała zawału, myśląc, że jakiś facet łązi sam po sypialniach świętych dziewic. - Policjant odwrócił się, pozostawiając po sobie zapach dymu papierosowego.

- Brinkman jest nie do zniesienia - mruknął Bentz, kiedy wchodzili do środka.

- Gorzej. - Montoya ruszył ścieżką w stronę szerokich dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do korytarza łączącego katedrę z klasztorem.

Wszelkie zwyczaje i reguły obowiązujące w St. Marguerite's przestały mieć znaczenie, gdy do wydziału dotarło wezwanie z 911 i policja została wysłana na miejsce zbrodni.

Teraz spokojna stara katedra i otaczający ją teren przypominały dom wariatów.

Nie tylko cmentarz, gdzie znaleziono ciało, ale również kaplicę, katedrę, budynki gospodarcze i sam klasztor otoczono taśmą policyjną, wydając zakaz wstępu na teren. Funkcjonariusze policji kręcili się wszędzie. Prasa, zawsze czujna, czekała w pobliżu, reporterzy stali przed wejściem do katedry z ekipami filmowymi i oprzyrządowaniem, ostrzegając miasto o kolejnym zabójstwie w zakonie. Okoliczności były niemal takie same, jak przy morderstwie Camilli Renard.

Kolejna zakonnica. Kolejna ślubna suknia.

Kolejny obrus z ołtarza nałożony na twarz zmarłej przez matkę przełożoną.

Kolejny naszyjnik z kropel krwi na dekolcie pod szyją. Tym razem jednak morderca zabił na cmentarzu, a nie w kaplicy. Dlaczego?

Przesłuchania już zostały zarządzone, parafię zamknięto, wszyscy w jej obrębie mieli zostać przepytani. Jedną grupę policjantów wysłano do sąsiedztwa, druga patrolowała pobliskie ulice. Każdy miał nadzieję, że natknie się na podejrzanego, znajdzie coś wyjątkowego, co pomoże przygwoździć sukinsyna.

Oczywiście, istniała możliwość, że zabójca zbiegł z terenu katedry przed przyjazdem policji i teraz był już gdzieś daleko.

Montoya szedł korytarzem do biura matki przełożonej. Tak jak poprzednio, ciało znaleziono, gdy dzwony były północ. Pierwszy funkcjonariusz pojawił się w klasztorze osiem minut później. Tyle dokładnie zajęło siostrze Lucii zawiadomienie policji i obudzenie matki przełożonej - w tej właśnie kolejności ku wielkiemu niezadowoleniu siostry Charity.

Siostra Lucia.

Znowu.

O co w tym wszystkim chodzi? Brinkman miał rację - to podejrzone, że właśnie Lucia odkryła oba ciała.

Montoya dotarł na miejsce o dwunastej dwadzieścia siedem. Zaparkował blisko cmentarza akurat w chwili, gdy wóz lokalnej

stacji telewizyjnej wtoczył się na ulicę i zatrzymał obok jednej z karetek.

To morderstwo miało w sobie coś surrealistycznego i mroźnego krew w żyłach.

Montoya z resztą funkcjonariuszy wydziału sądził, że zabójstwo pierwszej ofiary, Camilli Renard, to odosobniona sprawa. Myślał, że Camillę zabito, bo była w ciąży, miała romans z księdzem lub z innych osobistych powodów. Uważał, że była celem, a nie przypadkową ofiarą, ponieważ ten, kto ją zabił, poświęcił czas na przygotowanie zbrodni, zadbał o to, by ofiara miała na sobie suknię ślubną.

Poza tym morderca zabił i z bliska obserwował, jak z ofiary ucieka życie.

Montoya nie spodziewał się, że dojdzie do kolejnego zabójstwa, że Camilla była pierwszym trofeum seryjnego mordercy. Wcale nie miał chęci się w to zagłębiać. Nie chciał myśleć, że jakiś szaleniec postanowił zabijać zakonnice.

I nie tylko zakonnice, ale właśnie siostry zamieszkujące w St. Marguerite's.

Chyba że te dwie kobiety łączyło coś jeszcze.

Jego buty stuknęły o posadzkę, gdy przemierzał stare korytarze, kierując się do pomieszczeń, w których miały się odbyć przesłuchania. Po raz kolejny spędzi noc na rozmowach z mieszkańcami St.

Marguerite's i pewnie teraz będzie jeszcze gorzej niż poprzednio.

Bo tym razem wszyscy wiedzieli, że zabójca pochodzi spośród nich.

I najwyraźniej nie zamierza odejść.

- Obudź się, słoneczko, i chodźmy!

Głos Slade'a docierał do Val gdzieś z oddali, z bardzo daleka.

- Hej, Val!

Otworzyła oczy i ujrzała wpadające przez okna promienie słońca. Slade, ubrany, z mokrymi po kąpieli włosami, stał przy jej łóżku. Bo, który leżał w jego nogach, uniósł łeb i zamerdał radośnie ogonem, gdy Slade podrapał go za uszami.

- Która? - spytała Val, przekręcając się i spoglądając na zegarek. - Szósta trzydzieści? - Czuła się tak, jakby przez całą noc nie zmrużyła oka.

- Ruszaj się. - Przez kołdrę Slade klepnął ją w pośladek.

- Hej! Skąd ten pośpiech? Mówiłeś przecież, że jedziemy o ósmej albo dziewiątej, albo... - Val mocno zamrugła, żeby się ocknąć. - Jak tu wszedłeś? - Freya dała mi klucz.

- Przypomnij, żebyś skręciła jej kark.

- Weź prysznic, a ja zrobię kawę.

- A może po prostu ją zastrzelę. Będzie łatwiej.

- Ruszaj się!

- Nie lubię, gdy ktoś mnie popędza.

- Pamiętam. - W głosie Slade'a zabrzmiała tęsknota, lecz nim Val zdążyła przyszpilić go groźnym spojrzeniem, wyszedł z pokoju.

Dlaczego tak mu się spieszy?

Ona też, rzecz jasna, chciała jak najszybciej odkryć, kto zabił Camillę, ale całą noc, do wczesnych godzin porannych, wczytywała się w pamiętnik siostry, usiłując zrozumieć osobę, której, jak się teraz przekonywała, wcale nie znała. Zwlokła się z łóżka i zaczęła zdejmować za duży T-shirt. Kątem oka dostrzegła swoją twarz w lustrze stojącym na komodzie i aż się skrzywiła na widok potarganych włosów i podkrążonych, zaczerwienionych oczu. Poblądłe usta, worki pod oczami, chorobliwie biała, piegowata skóra. Odwracając wzrok od swojego odbicia, weszła do łazienki i wzięła szybki prysznic, mokre włosy związała w kucyk. Jedno maźnięcie szminką, trochę tuszu na rzęsy i makijaż gotowy. Następnie ubrała się i boszo przeszła do salonu, gdzie pachniało kawą. Telewizor był włączony i nastawiony na lokalną stację informacyjną. Slade wchodził właśnie do kuchni tylnymi drzwiami z Bo przy nodze.

- Pies nakarmiony i wyprowadzony. Wypij kawę i lecimy. - Slade trzymał już w ręce zamknięty w plastikowej torbie pamiętnik Camilli.

Gdy Val naląła sobie kawę, dodając do niej troszkę śmietanki, zauważyła, że Slade zatrzymał się koło sofy i, siorbiąc kawę, wbił wzrok w telewizor.

- Lepiej tu przyjdź i zobacz! - zawołał.

Przeszła do salonu i stanęła obok męża akurat w chwili, gdy na ekranie pojawił się znajomy widok: dwuskrzydłowe drzwi katedry St. Marguerite's. Przed nimi stał dziennikarz wpatrzony w oko kamery. Zanim Val zdążyła podgłośnić fonię, żeby usłyszeć, co mówi reporter, Slade rzekł:

- To nie są stare nagrania. To leci na żywo, Val.

- Jak to?

- Słyszałem w radiu. Zabójstwo twojej siostry nie jest już sprawą odosobnioną. W St. Marguerite's zginęła kolejna nowicjuszka.

Rozdział 35

Tylko nie mów, że była w ciąży - rzekł Montoya do Lynn Zaroster następnego dnia z rana, stojąc w posterunkowej stołówce i nalewając sobie kolejną kawę. Miał na myśli ostatnią ofiarę w St. Marguerite's, zaledwie dwudziestodwuletnią siostrę Asterię McClellan.

- Za wcześnie, by to stwierdzić. Sekcja odbędzie się dopiero za kilka godzin, a i tak jest przyspieszona.

- To dobrze.

- Ktoś już rozmawiał z rodziną?

- Z rodzicami i sześciorgiem młodszego rodzeństwa. Większość nadal mieszka w domu, w Birmingham. - Zaroster zajrzała do swoich notatek. - Rodzice to Jacob i Colleen McClellanowie. Mają być powiadomieni z rana. - Policjantka spojrzała na zegarek. - I pewnie dzieje się to właśnie teraz. Montoya zazgrzytał zębami. Powiadamianie krewnych to bardzo trudne zadanie, konieczne i często pouczające, niemniej

przekazywanie informacji, że ktoś bliski nie żyje, to prawdziwe piekło.

Tego przekłętego poranka dochodziła ósma rano i Montoya ciągnął na kawie i kilku papierosach, które kupił, idąc do pracy; wyraźny znak, że żył w stresie. Oczywiście, jasne, że chodziło też o adrenalinowy haj wywołany udziałem w dużej sprawie, która obecnie przyciągała uwagę całego kraju, ale dzisiaj, po niecałych czterech godzinach snu, był naprawdę wyczerpany.

Na cmentarzu siedział do trzeciej rano, przesłuchując wszystkie nowicjuszek i zakonnice, co próbowali mu utrudniać siostra Charity i ojciec Paul, rzucając wszelkie możliwe kłody pod nogi.

Wprawdzie pozornie współpracowali, odpowiadając na pytania

1 ułatwiając dostęp do ludzi mieszkających w St. Marguerite's, ale kilka razy wspominali coś o „rozmowie z archidiecezją” i o tym, że „poinformują o wszystkim biskupa”. Montoya rozumiał przez to, że wkrótce do wydziału zgłoszą się adwokaci Kościoła, mimo że siostra Charity twierdziła: „Zrobimy, co w naszej mocy, żeby pomóc w znalezieniu tej udręczonej duszy, która jest winna tych strasznych czynów”.

Ojciec Frank był zszokowany - omal nie dostał zawału - jego twarz zbieleła, musiał oprzeć się o ścianę, żeby się nie przewrócić.

- Nie - rzucił szeptem i zamknąwszy oczy, zaczął się pomodlić. Jego usta się poruszały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Czy dwie zamordowane nowicjuszek miały ze sobą bliski kontakt?

Nikt nie umiał tego dokładnie określić; nie przebywały ze sobą częściej niż z innymi.

Czy obie miały romans z ojcem Frankiem? Nie istniały na to żadne dowody, choć kilka zakonnice zarumieniło się, słysząc to pytanie. Edwina, Devota, Charity i Maura sprawiały wrażenie bardzo zakłopotanych.

Tym razem Lucia nie była sama; gdy znalazła ciało, towarzyszyła jej siostra Edwina. Lucię coś obudziło - nic, co potrafiłaby określić czy nazwać - zaś Edwina twierdziła, że wstała, by udać się do toalety, choć ta wersja nie zgadzała się z wersją Lucii.

Montoya usiadł za biurkiem, otoczony zwykłymi odgłosami pracy wydziału. Brzęczały telefony, ludzie rozmawiali, przestarzała klimatyzacja terkotała. Machina dochodzenia zaczęła się kręcić. Policjanci przesłuchiwali wszystkich, którzy mieli jakiś związek z siostrą Asterią, badano ostatnie dni jej życia, sprawdzano każdą odbiegającą od normy informację, pod mikroskop trafiła jej znajomość z siostrą Camillą. Analizy laboratoryjne były w toku, zebrane dowody posortowano i studiuowano, przygotowane do sekcji ciało Asterii czekało na pierwsze cięcia skalpela. Dwóch detektywów wysłano do St. Elsinore's, gdzie pracowała Camilla, choć wyglądało na to, że w przypadku siostry Asterii w codziennym planie jej zajęć nie odnotowano wizyt w sierocińcu po drugiej stronie jeziora Pontchartrain.

Montoya, myśląc o Asterii z jej piegowatą twarzą i rudymi włosami, czuł, że żołądek podchodzi mu pod gardła. Kolejne krótkie życie przerwane bezlitośnie. Obrzydliwość.

Teraz jednak należało skupić się na wykryciu osoby, która zmusiła do przebrania się w ślubną suknię, a potem udusiła zakonnicę, pozostawiając naszyjnik z kropel krwi na dekolcie i różaniec przepleciony przez palce.

Chory sukinsyn.

Montoya przeniósł wzrok na ekran komputera, żeby sprawdzić pocztę w nadziei, że znajdzie tam rejestr rozmów telefonicznych Camilli Renard. Jednak nim zdążył to zrobić, rozdzwonił się jego telefon.

Podniósł słuchawkę przed drugim dzwonkiem.

- Montoya.

Kobięcy głos powiedział:

- Tu oficer Joan Delmonte z wydziału policji w San Francisco. Otrzymałam zadanie odszukania Lei De Luki, nowicjuszeki, która jakiś czas temu opuściła klasztor St. Marguerite's.

Chodziło o kolejną zakonnicę, która prawdopodobnie miała romans z O'Toole'em.

- Tak, słucham.

- No więc mamy tu problem, bo nie możemy jej zlokalizować. Sprawdziłam wszystkie zakony w okolicy, ale nikt o niej nie słyszał. Dzwoniłam nawet do archidiecezji, ale tam też niczego nie uzyskałam.

- Proszę zaczekać. - Montoya zjrzał do swoich notatek, znalazł dokładną datę i podał ją rozmówcy. - Tak, wiem, ale powtarzam, że na razie siostra Lea De Luca nie istnieje, a przynajmniej nie na obszarze Bay Area.

Montoya poczuł mrowienie na skórze.

- Macie może nazwiska kogoś z rodziny? Kogoś, z kim moglibyśmy porozmawiać, ale spoza Kościoła? - Przekażę listę.

- To bardzo pomoże, skoro to takie ważne.

- Jest ważne - zapewnił Montoya, czując wewnętrzny skurcz jak zawsze, gdy coś mu nie pasowało, gdy podejrzewał, że ktoś nim manipuluje. - Proszę szukać dalej, wychodząc poza sfery kościelne, jeśli to możliwe. Jeśli już nie jest zakonnicą, mogła zostać nauczycielką. Chyba miała odpowiednie wykształcenie. - Zobaczymy, co da się zrobić.

- Dzięki. Oddzwonię później z nazwiskami krewnych. Montoya odłożył słuchawkę, po czym przez kilka sekund się w nią wpatrywał. Potem znów sięgnął po telefon, wykręcił numer posterunku w San Francisco i zapytał o Joan Delmonte. Na wszelki wypadek. Mógł oczywiście poprosić o rejestr rozmów przychodzących do wydziału, ale chciał usłyszeć głos Delmonte, upewnić się, że nie padł ofiarą jakiegoś oszustwa.

- Delmonte - odpowiedziała ta sama kobieta, gdy już połączyła z nią dyżurna telefonistka.

- Montoya z Nowego Orleanu. Pomyślałem sobie tylko, że może chciałaby pani numer mojej komórki.

- Jasne. - Kobieta roześmiała się nisko i gardłowo, kończąc kaszlem palacza. - Niech pan nie kręci, Montoya. Oboje wiemy, dlaczego pan zadzwonił. Żeby sprawdzić, czy nie jestem jakąś wariatką pociągającą za sznurki. Przykro mi, ale muszę pana

rozczarować, jestem prawdziwą policjantką. Proszę mi jednak podać ten swój numer.

Montoya szybko wyrecytował cyfry i się rozłączył.

W drzwiach stanęła Zaroster.

- Krewni Asterii McClellan zostali powiadomieni, a prasa przebiera nogami, żeby poznać szczegóły.

- Powiedz, że...

- Wiem, wiem. Żeby zwrócili się do rzeczniczki. Sinclair już przygotowuje oświadczenie.

- No i dobrze.

- Ale to nie powstrzyma takich jak Brenda Convoy. Montoya się skrzywił.

- Tak, wiem. Dzięki. - Czuł, że w wydziale panuje napięta atmosfera. Kolejne morderstwo w St.

Marguerite's w tak krótkim odstępie czasu po pierwszym wywoływało w śledczych nastrój lekkiej paniki. Wszyscy mieli nerwy napięte jak postronki, w każdej chwili mogli zadzwonić federalni.

A więc co łączyło obie ofiary poza tym, że były zakonnicami w klasztorze St. Marguerite's w Nowym Orleanie? Czy miały ze sobą bliski kontakt? Bliższy niż z innymi członkiniami klasztoru? Montoya przetarł twarz, czując pod palcami zarost wokół koziej bródki. Piekły go oczy.

Wypił do końca kawę i znów spojrzął na monitor komputera, na którym umieścił zdjęcia obu ofiar obok siebie. Obie kobiety leżały na plecach, ubrane były w stare suknie ślubne, na dekolcie miały charakterystyczny wzór utworzony z kropel krwi, w zaciśniętych dłoniach trzymały różańce.

Oba miejsca zbrodni zostały zainscenizowane.

Jedno w kaplicy pod figurą ukrzyżowanego Chrystusa, drugie na cmentarzu, w pobliżu grobu z rzeźbą anioła na nagrobku.

Co jeszcze łączyło ofiary?

Dlaczego zostały zmuszone do zrzucenia habitów?

- No dalej - mruknął, jakby widoczne na monitorze ofiary mogły go słyszeć i odpowiedzieć.

Kątem oka dostrzegł, że w drzwiach biura stanął Bentz. W jednej ręce trzymał swój ulubiony kubek do kawy, w drugiej zamykaną na suwak plastikową torebkę. W środku była jakaś książka.

- Mam towarzystwo - powiadomił. Był niedbale ubrany, miał włosy jeszcze wilgotne po niedawnej kąpieli i zmarszczki pod oczami wyraźniejsze niż zazwyczaj.

- Mam nadzieję, że to nikt z prasy.

- Nie. Lepiej. Siostra ofiary z mężem. Przynieśli nam prezent. - Bentz podał Montoi plastikową torebkę.

- Co to? - spytał Montoya. Zanim Bentz zdążył odpowiedzieć, zdał sobie sprawę, że patrzy na pamiętnik Camilli Renard.

- To, czego szukaliśmy.

- A gdzie on był, do cholery?

- W St. Elsinore's. W szafce ofiary, schowku czy czymś takim. Mąż zwędził go stamtąd wczoraj.

- Co zrobił? Och, na litość boską, co za idiota. - Montoya, wzburzony, zerwał się na równe nogi. - Co on sobie, u diabła, myślał? Powinien był zostawić pamiętnik i wezwać nas. A tak straciliśmy ciąg dowodowy. Nie mamy jak sprawdzić, czy ktoś jeszcze nie miał w ręku tego pamiętnika, odkąd trafił do schowka. - Montoya był wściekły. Narastająca frustracja wywołana śledztwem wybuchła teraz z całą siłą. - Obrońca będzie miał używanie. Nawet jeśli Slade Huston przysięgnie, że miał przy sobie pamiętnik przez cały czas od chwili, gdy wykradł go z St. Elsinore's, i tak sprawa będzie budziła wątpliwości. Straciliśmy dowód. Cholera! - Montoya kopnięciem przysunął krzesło do biurka. - I założę się, że na dodatek zniszczył odciski palców i wszystkie inne ślady. - Przeczesał palcami włosy, próbował się uspokoić. - Gdzie oni są?

- W pierwszej sali przesłuchań.

- Chodźmy! - Montoya z pamiętnikiem w plastikowej torebce szybko opuścił biuro. Ze wściekłości stawiał zamaszyste, gwałtowne kroki. - Czy ona nie była przypadkiem policjantką?

- Detektywem w Teksasie.

- Detektywem? Tak właśnie myślałem. Nie wiem, czego ich uczą w Teksasie, ale powinna mieć więcej rozumu! - Montoya szedł szybko krótkim korytarzem. - A niech to szlag! - mruzczał pod nosem.

- A niech to wszystko szlag trafi!

Val wiedziała, że zostanie ostro zrugana za zabranie pamiętnika, i wcale się nie przeliczyła. Detektyw Montoya, kipiąc z wściekłości, wszedł do pokoju przesłuchań i położył torebkę z pamiętnikiem Camilli na stole.

- To jest policyjne dochodzenie i trzeba przestrzegać pewnych zasad, jeśli się nie chce zaszkodzić śledztwu.

- Przecież przynieśliśmy pamiętnik - odparła Val, siedząc na niewygodnym krześle obok Slade'a. Na razie jeszcze nie zostali rozdzieleni, choć pewnie i tak to ich w końcu czekało, ale co z tego. Ich wersje zdarzeń będą zgodne, nie zamierzali kłamać. - Ale słyszałam, że w St. Marguerite's zginęła kolejna osoba. Kolejna zakonnica - dodała. - Podano to w porannych wiadomościach.

Montoya przez chwilę milczał, wybity z myślowego ciągu.

- Zginęła siostra Asteria McClellan.

- O Boże - szepnęła Val, zakrywając ręką usta. Dobrze pamiętała rudowłosą, piegowaną zakonnice o świeżej cerze, która stojąc w ogrodzie, z uwielbieniem wpatrywała się w ojca Franka O'Toole'a, podając mu białą różę. Val poczuła, że robi się jej niedobrze. - O nie. - Pokręciła głową.

- Znała ją pani?

- Nie, ale raz ją widziałam. - Opowiedziała Montoi i Bentzowi, jak natknęła się na Asterię i ojca Franka w ogrodzie.

- Nie umiem ocenić, co czuł O'Toole - wyjaśniła, mając wrażenie, że żołądek podchodzi jej do gardła - ale nie mam cienia wątpliwości, że była w nim zakochana. Podarowała mu różę i najwyraźniej była zachwycona tym, że może przebywać blisko niego. - Val wzdrygnęła się, słysząc własne słowa. - Przepraszam, może ten opis jest zbyt wydumany, ale tak właśnie to wyglądało.

- Tylko pani była wtedy w ogrodzie?

- Wprowadziła mnie tam matka przełożona, siostra Charity. I siostra Zita też ich chyba widziała, bo z nią pierwszą rozmawiałam.

- Ta Afroamerykanka?

- Tak - potwierdziła Val, kiwając głową.

Montoya nie wyglądał na zadowolonego, że nazwisko O'Too-le'a znów wypływa w tej sprawie. W jego ciemnych oczach Val dostrzegła niedowierzanie. Pochmurniejąc, zapytał:

- Czy Asteria przyjaźniła się z pani siostrą?

- Ja... ja nie wiem. Montoya nie dawał się zbyć.

- Czy siostra kiedykolwiek o niej wspominała?

- Możliwe... poruszając inne tematy. - Val, szczerze przejęta, pokręciła głową.

- Więc nie były ze sobą blisko?

- Nie sędzę - odrzekła, po czym zerknęła na torebkę w rękach Montoi. - Ale z drugiej strony, chyba jednak nie znałam Camilli tak dobrze, jak myślałam.

- Powinna pani była zostawić dowód tam, gdzie został znaleziony - zauważył Montoya, wskazując na plastikową torbę i pamiętnik.

- Już za późno. - Val nie zamierzała dać się onieśmielić. -Przeglądał to pan, detektywie? Bo jeśli nie, to może zainteresuje pana fakt, że Camilla wylicza w pamiętniku swoich kochanków, poczynając od pierwszego. I nietrudno się domyślić, o kogo chodzi.

Ze zdumieniem spostrzegła, że Montoya lekko się wzdrygnął. Prawie niedostrzegalnie, ale mimo wszystko. - Czy wymienia O'Toole'a?

- Camilla była dyskretna, nie używała nazwisk.

Val zauważyła, że Montoya jakby się rozluźnił, usłyszawszy tę wiadomość. I wcale się nie zdziwiła. Wszyscy liczyli na to, że pamiętnik okaże się kluczem, że wskaże zbrojcę Camilli.

- Nie rozpoznałam go, jeśli to ma pan na myśli, ale i tak jestem przekonana, że występuje pomiędzy osobami z listy.

- A więc przeczytała pani pamiętnik strona po stronie? - spytał oskarżycielskim tonem Montoya.
- Używaliśmy rękawiczek - pospieszył z wyjaśnieniem Slade. Montoya zacisnął usta tak, że aż mu pobielały. Detektyw bezskutecznie próbował zapanować nad wściekłością.

Bentz ze swojego miejsca w rogu zapytał:

- Czy rozpoznała pani kogoś jeszcze?

- Nie za bardzo. Po prostu dodałam dwa do dwóch. - Val przeniosła wzrok na Montoyę i ujrzała zmęczonego, rozgniewanego człowieka. - Widzę, że świetnie panu wychodzi wytykanie palcami i pouczanie, czego nie powinnam była zrobić, ale czy pan sam nie popełnia błędu? Czy na pewno powinien pan uczestniczyć w śledztwie, skoro jest całkiem oczywiste, że był pan kochankiem Camilli numer jeden? Na śniade policzki Reubena Montoi wypłynął lekki rumieniec, mimo to detektyw zdecydowanym gestem pochylił się nad stołem.

- Skoro już czytała pani pamiętnik, byłbym wdzięczny, gdyby mi pani powiedziała, kto był ostatnim kochankiem ofiary. - Już mówiłam: Frank OToole.

- I on się do tego przyznał. Ale tu pojawia się pewien problem - oświadczył Montoya bez cienia satysfakcji. - Frank OToole nie mógł być ojcem dziecka. Wykluczają to badania naukowe. Więc jeśli nie on, to kto, pani zdaniem, mógł nim być?

Siostra Charity walczyła ze sobą od wielu godzin. Siedziała przy biurku, cierpiąc katusze. Bolały ją wszystkie stawy i mięśnie. W oczach czuła piasek. Zdrzemnęła się nawet kilka razy przy biurku nad otwartym modlitewnikiem, przy wtórze stukotu maszyny do pisania, w której klawisze zaciekle uderzała biedna Eileen.

- Co się stało? - zapytała sekretarka wcześniej, zakrywając dłonią usta, gdy siostra Charity przekazała jej wszystko, co wiedziała o przerażającej śmierci siostry Asterii.

- O Boże, Boże. Biedna, słodka dziewczyna. - Eileen z oczyma pełnymi łez złożyła dłonie i razem z matką przełożoną zaczęła się modlić; później, umieściwszy paczuszkę chusteczek obok kubka z aniołkiem, często wypełnionego miętówkami, Eileen starała się zająć pracą.

Siostra Charity była całkiem wyczerpana. Po wielu godzinach spędzonych z policją przez resztę nocy rozmawiała z ojcem Paulem i ojcem Frankiem, zupełnie nie wierząc im obu. Miała ich za słabeuszy. Paul nie potrafił sprzeciwić się arcybiskupowi i bardziej dominującym parafianom, zwłaszcza tym z wypchanymi portfelami, a Frank... cóż, Frank był słaby z powodu swych skłonności.

Powinna była już przy pierwszej okazji, gdy ujawniła się jego prawdziwa natura, odwołać go, położyć kres wszystkiemu. Ale tego nie uczyniła.

A teraz dwie z jej ukochanych dziewcząt nie żyły.

Poczucie winy rozdzierało jej serce, bo w głębi duszy Charity wiedziała, że przynajmniej częściowo odpowiada za śmierć Asterii.

Zamiast ukrywać fakty i chronić różne osoby, powinna była bardziej otwarcie rozmawiać z policją.' Ale bała się. Teraz dawno już zagojone blizny na plecach przypominały jej, że kara za grzechy nie omija nikogo.

- Wybacz mi - szepnęła chyba po raz setny od chwili odkrycia ciała Asterii, zauważając przy okazji, że nad miastem pojawiły się pierwsze promienie brzasku.

Wczesne godziny poranne spędziła w kaplicy, klęcząc na zimniej posadzce, modląc się i błagając o przewodnictwo. Tak mocno przyciskała obie dłonie, że jej obciążone cienką skórą palce robiły się zupełnie białe.

Powtarzała sobie, że musi być silna, i dlatego prawie nie zmrużyła oka od momentu, w którym się dowiedziała, że kolejna owieczka z jej stadka - kolejna córka - została w tak straszliwy sposób zamordowana.

Zbolała i zeszywniała podniosła się z krzesła i tylnymi drzwiami wyszła z biura na korytarze, które tak bardzo kochała. St. Marguerite's był częścią niej samej, traktowała klasztor jak rodzinny dom, którego nigdy nie miała.

Tylko kilka osób wiedziało, że jest sierotą, że wychowała się w St. Elsinore's, nikt jej bowiem nie adoptował. Tam odnalazła swoje powołanie i choć zakonnice z St. Elsinore's oprócz inspi-

racji budziły też w niej strach, to jednak Charity nigdy nie zważyła w swój wybór. Aż do tej chwili. W klasztorze panowała cisza. Wcześniej z powodu obecności policji panował tu chaos, ale później, zamknąwszy najpierw teren cmentarza, funkcjonariusze na jakiś czas odjechali.

Ponieważ zwykły rozkład zajęć został zakłócony, większość zakonnic spędzała dzień na kontemplacji. Tak miało być do wieczora, kiedy wszyscy mieli się zebrać w kaplicy, gdzie ojcowie Paul i Frank zamierzali odprawić specjalną mszę.

Charity potrzebowała odpoczynku - jej ciało domagało się tego - ale nie mogła, jeszcze nie teraz.

Wyszła do ogrodu, gdzie stała jej ukochana fontanna. W lśniącej tafli dostrzegła swe odbicie zniekształcone drobnymi falami, jakie wywoływały złote rybki śmigające nad wyłożonym kafelkami dnem.

W habicie i welonie była reliktem przeszłości, kimś, kto wbrew wszystkiemu trzyma się kurczowo starych, zapomnianych reguł. A mimo to w głębi serca wiedziała, że podąża za swoim prawdziwym przeznaczeniem, że pomogła wielu takim jak ona, opuszczonym przez rodziny.

- Siostrze? - Głos mężczyzny wystraszył ją, wyrrywając z głębokiej zadumy. Po drugiej stronie fontanny stał ten nieznośny detektyw Montoya, któremu Charity nie ufała nawet na jotę. - Mogę z siostrą zamienić kilka słów?

Przynajmniej okazywał jej szacunek.

- Przykro mi, matko przełożona - wtrąciła siostra Devota, która sprawiała wrażenie bardzo przygnębionej. - My obie - wskazała na swoją towarzyszkę, siostrę Irenę - wracałyśmy z sierocińca i ten pan czekał przy bramie.

- Nic się nie stało - uspokoiła Charity wystraszoną nowicjuszkę.

Devota przygryzła wargę, potem szybko odeszła, lekko kulejąc. Devota była trudną osobą, pełną namiętnej wiary, pod którą kryła nurtujące ją wątpliwości. Wiara Ireny była równie trwała, a mimo to Irena różniła od Devoty. Była wysoka i szczupła,

postawę miała niemal królewską. Płynność jej ruchów tylko podkreślała niezręczne gesty Devoty. Wszystkie takie różne, a zarazem takie same.

- Co mogę dla pana zrobić? - zwróciła się Charity do detektywa, trochę zdziwiona, że jest sam. Zazwyczaj przesłuchiwali ją parami, ale pewnie po ostatnich tragicznych wydarzeniach w wydziale zabrakło ludzi do pracy. - Sądziłam, że w nocy odpowiedziałam na wszystkie pańskie pytania. - Jej głos brzmiał oschle i słabo.

- Chodzi o coś, o czym dowiedziałem się dopiero dzisiaj - wyjaśnił Montoya, przechodząc od razu do rzeczy. - Mówiła mi siostra, że siostra Lea De Luca opuściła Nowy Orlean i wstąpiła do klasztoru w San Francisco.

- Rzeczywiście tak mówiłam.

- Do jakiego dokładnie?

- Nie wiem, choć wiem, że ostatecznie postanowiła nie przyjmować ślubów wieczystych.

Montoya obszedł fontannę i teraz stał, patrząc na matkę przełożoną ze zdziwieniem

- Nie znam szczegółów - ciągnęła siostra Charity - ale w zeszłe święta Bożego Narodzenia dostałam od niej kartkę, w której pisała, że zdecydowała się zostać nauczycielką. Świecką nauczycielką. Nie tłumaczyła swojej decyzji, niemniej porzuciła stan zakonny.

- Czy zna siostra nazwę parafii, do której należał klasztor, do którego się przeniósła?

- St. Dominique's... Nie, nie, chyba nie to. Och! Pani Miłosierdzia? - Charity wymieniła tę nazwę pytającym tonem, jakby szukając w pamięci. - Tak, Pani Miłosierdzia.

Montoya pokręcił głową.

- Policja w San Francisco sprawdziła wszystkie parafie. Nikt nie pamięta siostry Lei.

- Powiedziłam przecież, że wystąpiła z zakonu. - Charity zacisnęła usta.

- Moi informatorzy powiedzieli jednoznacznie: żadna Lea De Luca w ostatniej dekadzie nie wstąpiła do żadnego klasztoru na tamtym terenie.

- Ale... - Charity poczuła, że chwieją się podstawy jej wiary. Co ten policjant opowiada? - Nic nie rozumiem. Jak powiedziałam, dostałam od niej kartkę.

- Ale siostra Lea nie dzwoniła do matki ani jej nie odwiedzała? Matka przełożona przywołała na twarz pełen cierpliwości

uśmiech, który, jak wiedziała, działał onieśmielająco i osobę zadającą niedorzeczne pytania bez słów nazywał idiotą. Jednak Charity wiedziała, że detektyw Reuben Montoya nie jest głupcem, mimo że wyglądał śmiesznie, krzywiąc się w blasku słońca, a diamentowy kolczyk w uchu i mała kozia bródka świadczyły o jego próżności.

- To jest klasztor - przypomniała ostrym głosem. - Miejsce, w którym obowiązują pewne reguły i w którym przestrzega się pewnych wartości. Już zresztą o tym rozmawialiśmy.

- Czy siostra ma jeszcze tę kartkę? - spytał Montoya.

- Ostatnią otrzymałam w Boże Narodzenie, ale nie jestem pewna, czy ją zachowałam - wyznała zakonnica. - Chodźmy do mojego biura, to jej poszukam.

Montoya ruszył ogrodową ścieżką i ciemnymi, chłodnymi korytarzami za matką przełożoną do jej biura, gdzie Charity otworzyła szufladę, w której trzymała osobistą korespondencję - żałośnie cienki stosik. Po przełożeniu kilku kopert Charity znalazła to, czego szukała - białą kopertę z kartką w środku, na której widniał obrazek błogosławionej Dziewicy trzymającej na rękach małego Jezuska, z owieczką u Jej stóp. Treść stanowił prosty wers z Biblii z podpisem wykaligrafowanym starannym, wyuczonym w katolickiej szkole charakterem pisma:

Niech pokój pozostanie z Wami w tym najświętszym okresie roku
siostra Lea

- Czy mogę ją dostać? - poprosił Montoya.

- Oczywiście - odparła matka przełożona.

Detektyw wsunął kartkę i kopertę do plastikowej torebki, jakby ten przedmiot miał wyjątkową wartość.

Rozległo się pukanie i recepcjonistka o kędzierzawych niebieskich włosach wsunęła głowę do środka.
- Przepraszam, że przeszkadzam, ale ma siostra gościa... Och! - Oczy kobiety zaokrągliły się na widok Montoi.

- Dziękuję ci, Eileen. Właśnie kończę rozmowę z detektywem Montoyą.

- Z detektywem? - Sekretarka uniosła siwiejące brwi, co sprawiło, że przypominała teraz sowę. - Ale ten pan, który czeka, powiedział, że jest...

Za plecami Eileen pojawił się mężczyzna o dość ciężkiej budowie - partner Montoi.

- Wszystko w porządku - zapewniła Charity, zapraszając Bentza gestem ręki do środka. - Dobrze się nawet składa, bo chciałabym porozmawiać z obydwoma panami.

Eileen odsunęła się w bok i Beritz wszedł do biura.

- Zamknij drzwi, proszę - zwróciła się matka przełożona do Eileen i gdy sekretarka wykonała polecenie, wskazała dwa stojące przy biurku krzesła. - Cieszę się, że jesteście tu obaj, panowie - zaczęła, gotowa wreszcie do zrzucenia z siebie jarzma tajemnicy. - Muszę się do czegoś przyznać. Otóż dotąd nie byłam z wami do końca szczerą.

Rozdział 36

Odnoszę wrażenie, jakbym w ogóle jej nie znała - stwierdziła Valerie, gdy wchodzili do mauzoleum. Buty Slade'a głośno stukały o lśniącą marmurową posadzkę, a Val jak zawsze, gdy odwiedzała to miejsce, przeszył zimny dreszcz, jakby po szerokich korytarzach o wysokich na sześć metrów ścianach z wypolerowanego kamienia krążyły duchy. Strzeliste okna po obu stronach budowli wpuszczały do wnętrza światło dzienne, teraz słoneczne promienie przenikające zasło-

nę z chmur. Val miała wrażenie, że idzie długim tunelem, gdzie zamieszkują zmarli. Spoczywały tu prochy jej rodziców złożone na wschodniej ścianie obok prochów kilkunastu innych zmarłych. Gene Richard Renard i jego żona Nadine Lynne Bates Renard zajmowali kwatery w osadzonej w ścianie z pożyłkowanego marmuru krypcie w piątym rzędzie od posadzki.

Gdy Slade oparł się o drabinę, po której można się było wspiąć do położonych wyżej krypt, Val przesunęła palcami po wyrytych w kamieniu literach. Często przychodziła tu po śmierci ojca, który zmarł na raka krtani, a także po śmierci matki, która niecałe dwa lata później odeszła z powodu tętniaka mózgu. Zdarzyło się to tuż po Bożym Narodzeniu, w tym samym roku, w którym Camilla postanowiła na jakiś czas zamieszkać z Val i Slade'em w Teksasie, a potem wstąpiła do klasztoru. Choć Gene, umierając miał prawie siedemdziesiąt lat, Nadine kończyła życie o wiele młodsza. Skończyła dopiero pięćdziesiąt osiem lat. Val zastanawiała się czasami, czy tętniak mózgu nie został wywołany stresem, w jaki wpędzały Nadine jej córki, choć wszyscy lekarze, z którymi rozmawiała, wykluczali taką ewentualność.

To były złe czasy dla nich wszystkich. Val otrząsnęła się ze wspomnień i powiedziała:

- To znaczy... tak jakby Camilla była dwiema osobami. Albo... coś takiego.

- Rozdwojona osobowość? - podpowiedział Slade Val pokręciła przecząco głową.

- Nie do końca. Słyszałam, jak ktoś mówił, że ludzie mają życie publiczne, osobiste i prywatne.

Wszyscy widzą życie publiczne, rodzina i bliscy przyjaciele są częścią życia osobistego, a jest jeszcze życie utajone, o którym nikt nie wie poza tą jedną osobą. Mówię o sekretnym życiu Camilli.

- Ktoś je znał - zauważył Slade, podchodząc do Val i dotykając jej ramienia w intymnym i czułym geście.

- Tak, ktoś je znał. - Na pewno ten, z którym sypiała, mężczyzna, o którym Camilla pisała „Ukochany”, ktokolwiek to, do

diabła, był. Frank OToole? A może ten nieznany facet, który ją zapłodnił?
Gdyby tylko Camilla jej się zwierzyła. Opowiedziała o tym drugim kochanku.
Może myślała, że ojcem dziecka jest Frank.

Val z westchnieniem spojrzała na inskrypcje na urnie rodziców. Gene i Nadine, imiona, które się rymują. Żartowali z tego często, a ojciec się zarzekał, że gdyby ona i Camilla nie miały już nadanych imion, ją nazwałby Valdine, a Camillę - Camdeen. Mówił to, mrugając żartobliwie, a Val robiła oburzoną minę.

Renardowie byli dobrymi rodzicami. Gene, spawacz pracujący na kolei, Nadine, nauczycielka na zastępstwa w szkole publicznej. Córki posiali jednak do St. Timothy's.

- Chyba nie zaszkodzi, jeśli razem z abecadłem łykną trochę religii, co? - mówił Gene, zazwyczaj popijając przed telewizorem piwo z butelki o długiej szyjce.

Ale Nadine robiła wtedy niezadowoloną minę, a Val podsłuchiwała kiedyś, że kłócą się na ten temat. Zbiegała właśnie ze schodów i gdy była jeszcze prawie na samym szczycie, z pokoju rodziców, którego drzwi nie były do końca zamknięte, przypląnęły ich głosy.

- Nie możesz opóźniać się z czesnym! - szeptała gniewnie Nadine. Drobna i szczupła, wręcz koścista, należała do kobiet obdarzonych silną wolą i wiarą.

- Wcale się nie spóźniam. To była pomyłka, ale już ją wyjaśniłem. - Dwanaście lat starszy Gene Renard, o głowę wyższy od żony, o siwych włosach, które kępkami otaczały całkiem sporą łysinę na czubku, zawsze pachniał dymem papierosowym.

Słyszając słowa matki, Val zatrzymała się i z ręką opartą na poręczy spojrzała w szczelinę między drzwiami a framugą. Z miejsca, w którym stała, widziała wysokie lustro matki i odbijającego się w nim ojca, który ściągał właśnie z siebie brudny roboczy kombinezon.

Val chciała się odwrócić, ale nie mogła.

- Posłuchaj, Gene, przyrzekłam Mary, rozumiesz? Prywatna szkoła. Katolicka. Więc nie możemy teraz kręcić.

Nogi ojca były blade, ale umięśnione, spodenki czarne jak noc. Niegdyś wysportowany, z niewielkim brzuszkiem, którego dorobił się wraz z latami, Gene zamierzał w następnej kolejności zdjąć szorty. Val zaczerwieniła się na ten widok; potem spojrzenie ojca skrzyżowało się z jej spojrzeniem, więc szybko zbiegła na dół.

Żadne z nich nie wspominało później o tym incydencie.

Val uważała, że to dziwne, iż ilekroć przychodziła do mauzoleum, ani razu nie odwiedziła grobu biologicznych rodziców, których obraz w jej pamięci był jakby zamazany. Gdzie oni, do diabła, zostali pochowani? Zapewne będzie to wiedziała kobieta, z którą się przyjaźnili, ta, która przywiozła Val i Camillę do sierocińca. Twarz tamtej kobiety pojawiła się w pamięci Val, ale jej nazwisko... Thea? Nie... Ale miała męża i facet nazywał się... O cholera. Steve... nie! Stanley! No tak, Stanley O'Malley! - Chodźmy - powiedziała, nie bardzo wiedząc, dlaczego przyprowadziła tu Slade'a, dlaczego czuła tak wielką potrzebę dotknięcia urn adopcyjnych rodziców. Wyglądało na to, że oni też mieli tajemnice, które zabrali ze sobą do grobu.

- Dokąd? - zapytał Slade, gdy przechodzili przez wielkie szklane drzwi, za którymi świeciło popołudniowe słońce. Powietrze było gęste, a niebo błękitne, kiedy szli w stronę parkingu po wyłożonej ceglami ścieżce przecinającej trawnik.

- Najpierw chcę pojechać do biblioteki i do biur lokalnej gazety, zajrzeć do starych archiwów, poszukać wszystkiego, czego nie udało mi się znaleźć w Internecie. Sądzę, że przyszła pora na odnalezienie tej „przyjaciółki” rodziny. Nazywała się chyba O'Malley. Podobno opiekowała się nami po wypadku rodziców. Chciałabym z jej własnych ust usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- Okej.

Val otworzyła drzwiczki samochodu, Slade wśliznął się na miejsce pasażera.

- A potem muszę wrócić do motelu i zajrzeć na stryszek nad garażem - dodała, po raz pierwszy od dawna przypominając sobie o pudłach, które Camilla zostawiła na stryszku. Nie zwracając uwagi na upał panujący we wnętrzu subaru, uruchomiła silnik,

a następnie szybko opuściła szybę. - Kiedy Camilla szła do klasztoru, zostawiła u mnie trochę swoich rzeczy. Nie chciałam, żeby je zostawiła, bo nie byłyśmy wtedy w najlepszych stosunkach, ale ustąpiłam, kiedy powiedziała, że zabierze je, jak tylko będzie mogła i odda na jakąś aukcję charytatywną lub coś takiego. - Val wyjechała z parkingu i ruszyła ulicą prowadzącą na drogę szybkiego ruchu. - Wtedy wydawało mi się to dziwne, bo nie wyobrażałam sobie, że po wstąpieniu do klasztoru będzie miała czas na takie trywialne zajęcia, ale ona i tak wniosła pudła na strych i od tamtej pory nikt ich nigdy nie ruszał. - Val kątem oka zerknęła na męża. - Pomożesz mi?

- Jasne. - Slade lekko się uśmiechnął. - Będzie jak w Boże Narodzenie.

- Jasne - przytaknęła Val bez cienia uśmiechu. - Zupełnie jak w Boże Narodzenie.

Montoya i Bentz wysłuchiwali wyznań matki przełożonej, siedząc na dwóch chyba najbardziej niewygodnych krzesłach na świecie. Montoya obserwował przemianę siostry Charity z szorstkiej, skrytej i nadopiekuńczej strażniczki w skruszoną, starzejącą się kobietę, która z wolna traciła kontrolę nad rządami w swej duchowej fortecy.

- Prawdopodobnie nie powinnam tego panom mówić, przynajmniej nie bez obecności prawnika z archidiecezji lub kogoś z władz, ale uważam, że to, co się dzieje, jest złe. Oczywiście ojciec Paul się ze mną nie zgadza, ale my się często sprzeczamy, a poza tym... Cóż, jestem zdania, że czasami należy robić to, co w sercu uważa się za odpowiednie. Jak najbardziej jestem za zasadami, przepisami i hierarchią, jednak czasem... A więc, jak powiedziałam, wierzę w hierarchię, lecz zostałam obdarowana wolną wolą, by się modlić, by szukać u Naszego Pana pociechy, by wreszcie robić to, co uważam za słuszne. Wiem, że w tej chwili Kościół otaczają mroki, ale przy tym zupełnie się zapomina, ile w nim jest dobra. Pomagamy tu chorym i głodnym, ofiarujemy pociechę, przewodnictwo i miłość. Czy wiecie, że klasztor pod

wezwaniami świętej Urszuli istnieje od XVIII wieku i że zapewniał medyczną opiekę zdziesiątkowanemu chorobami, nowo powstałemu miastu? Zdaje się, że pierwszą farmaceutką w Stanach była siostra z tego klasztoru, a tamtejsze zakonnice pomagały kształcić dziewczęta i... Och, nie ma sensu, żebym przedstawiała historię klasztorów i próbowała was przekonać, ile warta jest ich działalność. Panowie i tak to wiedzą. Jednak wraz z dobrem zawsze pojawia się zło.

Dość zaskakujące wyznanie w ustach osoby tak surowej, pomyślał Montoy. Drobne zmarszczki na twarzy matki przełożonej były dzisiaj wyraźniejsze, jej plecy nie tak sztywno wyprostowane jak poprzedniego dnia.

- Bóg nigdy nie chciał, żeby ludzie porozumiewali się przy pomocy prawników. Wiem, że Kościół, który kocham całym sercem, zyskał ostatnio złą stawę. Na światło dzienne wypływają ohydne skandale. - Na twarzy siostry Charity malowało się cierpienie. Jej siwiejące brwi marszczyły się w wyrazie konsternacji i smutku. - Ale to wszystko dzieło Szatana, a my tu wykonujemy bożą pracę. Tak więc chcę panom wyjawić prawdę, zanim kolejna z moich nowicjuszek zostanie skrzywdzona.

Zakonnica wstała, podeszła do okna i wyjrzała na dziedziniec.

- Wypytajcie mnie o siostrę Leę, co mnie wcale nie dziwi. Wiedziałam, że wcześniej czy później jej imię się pojawi.

- Z jakiego powodu? - spytał Bentz.

- Ponieważ ona też była zauroczona ojcem OToole'em. - Charity ciężko westchnęła. - Dziewczęta, które tu przychodzą, są zazwyczaj jeszcze bardzo młode. Młode, energiczne, pełne radości życia i Ducha Świętego. Ale też często trzpiotowate i naiwne, niektóre nawet zbuntowane, ale mają dobre serca, chcą się uczyć i służyć Bogu. Jestem wobec nich surowa, to prawda. Potrzebują dyscypliny i zasad, lecz na koniec zostają aniołami dobroci tu na ziemi. Och, ale się rozgadałam. Chodzi po prostu o to, że one są wrażliwe, podatne na wpływy i że są kobietami. Mają hormony i marzenia, a wiele z nich to romantyczki, owładnięte szaleństwem młodości i... - Zakonnica wykonała ręką gest, jakby zaznaczając,

że to, co chciała powiedzieć, nie miało większego znaczenia. -Tak czy inaczej, nie umknęło mojej uwagi, że siostra Lea stąpa po grząskim gruncie, że zakochała się w ojcu Franku OToole'u. On jest przystojny, namiętny i bardzo męski. - Charity spojrzała na Montoyę. - Jak mówiłam, zakonnice, nawet te starsze, też są kobietami. Widzimy różne rzeczy, choć staramy się nie patrzeć. -Matka przełożona odchrząknęła, a jej dłonie znowu zniknęły między fałdami habitu. - I nie tylko ja zwróciłam uwagę na to, hm... zauroczenie. Słyszałam, że młodsze zakonnice rozmawiają o tym między sobą, a ojciec Frank... Cóż, tak jak zakonnice są kobietami, tak on jest mężczyzną. To kłopotliwa sytuacja... Rozmawiałam z Leą. Przyszła do mnie sama i chociaż nie chciała rozmawiać o tym, co wydarzyło się między nią a ojcem Frankiem, zgodziła się odejść, ale na własnych warunkach. Straciła ducha powołania i nie była pewna, czy chce być zakonnica. Pozwoliłam jej opuścić klasztor. - I nie dowiadywała się siostra, co się z nią potem działo? -zapytał Bentz.

Siostra Charity przeszła detektywa wzrokiem, który mógłby przebić granit.

- Nie, detektywie, nie dowiadywałam się. Poprosiłam, żeby się odezwała, kiedy już się gdzieś zadamowi, i dostałam od niej kartkę z wiadomością, że porzuca Kościół... Zaraz, gdzieś powinnam ją mieć.

Matka przełożona podeszła do biurka, otworzyła szufladę, chwilę szperała wśród kopert i w końcu znalazła to, czego szukała. Podała Bentzowi kartkę pocztową z fotografią katedry Świętego Pawła w San Francisco, której dwie wysokie, otoczone mgłą wieże wznosiły się ku niebu. Po drugiej stronie widniała ręcznie napisana wiadomość, że siostra Lea dotarła na miejsce, jest „podekscytowana” miastem i nadal zmaga się ze swoimi duchowymi problemami.

- Możemy zabrać tę kartkę? - spytał Montoya. Siostra Charity skinęła głową.

- Oczywiście.

- Czy rozmawiała siostra z kimś z jej rodziny? - zainteresował się Bentz, podczas gdy Montoya ostrożnie wsuwał kartkę do plastikowej torebki dowodowej, w której znajdowała się już karta bożonarodzeniowa.

- Nie - odparła ze smutkiem zakonnica. - Rodzice Lei byli rozwiedzeni. Jej matka zmarła kilka lat temu, chyba zginęła w wypadku samochodowym, a z ojcem Lea nie utrzymywała kontaktów. Ożenił się wkrótce po rozwodzie i wyjechał z kraju. - Siostra Charity zmarszczyła brwi. - Tak, chyba tak. Zdaje się do Meksyku.

- A co z rodzeństwem?

- Nie miała rodzeństwa, ale sądziłam, że o tym wiecie. - Siostra Charity wyglądała na szczerze zaskoczoną. - Siostra Lea była jedynym dzieckiem swoich rodziców, adoptowanym przed wielu laty. Montoya cały się spiął, czując przypływ adrenaliny, co działo się zawsze, gdy wiedział, że natknął się na coś istotnego dla śledztwa. - Z St. Elsinore's? - upewnił się Bentz.

- Oczywiście. - Matka przełożona mówiła tak, jakby ten fakt był powszechnie znany. - Większość dziewcząt, które przybywają do naszego klasztoru, pochodzi z St. Elsinore's. Są siostrami duchowymi, ale też w pewnym sensie rodziną, ponieważ wychowywały się w jednym sierocińcu. - Kącik ust mówiącej lekko zadrżał. - Tak jak i ja.

Montoya chciał się upewnić, czy dobrze usłyszał.

- Adoptowano siostrę z St. Elsinore's?

Na twarzy zakonnicy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Nie, nigdy nie byłam adoptowana, choć adoptowano mojego brata - westchnęła ze smutkiem. - Wychowałam się w sierocińcu. Wiele z nas tam dorastało. Mówię o tych starszych, które trudniej oddać do adopcji. Serce mi pęka na myśl, że sierociniec jest zamykany...

Montoya poczuł, że krew znów w nim zawrzała.

- Siostra Camilla też była adoptowana z St. Elsinore's, prawda? - Wyczytał to w swoich notatkach.

- Tak. - Charity skinęła głową.

- Ale Asteria pochodziła z licznej rodziny z Birmingham.
- Nie, detektywie. - Twarz matki przełożonej wyrażała głębokie zastanowienie. - Ją też adoptowano z St. Elsinore's. - W uśmiechu zakonnicy kryły się zarówno smutek, jak i lekka kpina. - To przypadek małżeństwa, które nie mogło mieć dziecka, i gdy adoptowali Asterię, pani McClellan, chyba miała na imię Colleen, po roku powiła własne dziecko. Później rodzeństwo Asterii pojawiało się dość regularnie.

- Żadne z reszty dzieci nie było adoptowane?

- Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Myśli galopowały przez głowę Montoi jak szalone. Czy to jest to? Połączenie, którego szukali? Sierociniec St. Elsinore's, a nie klasztor St. Marguerite's?

- Czy możemy otrzymać listę osób, które tu zamieszkują, a które pochodzą z sierocińca St. Elsinore's?
- zapytał.

- Chyba... chyba tak. Tyle że wkraczamy na grunt tajemnicy osobistej.

- Można z łatwością sprawdzić te informacje w publicznych archiwach - zauważył Bentz.

Siostra Charity skinęła głową.

- Dobrze. Najpierw porozmawiam z zainteresowanymi osobami, a potem przedstawię panom listę.

- I jeszcze jedno - odezwał się Montoya. - Czy siostra Asteria miała romans z ojcem O'Toole'em?

- Co? Och, ależ skąd! To klasztor, detektywie. I choć doszło tu do kilku przypadków nierozważnych zachowań, nie jest to statek miłości, czy coś w tym rodzaju. My wszyscy, księża, zakonnice, nowicjuszeki, przestrzegamy celibatu... I zanim mi pan przerwie, to wiem o siostrze Camilli i ojcu Franku, i oczywiście przyznaję, że siostra Lea uległa... pokusie, podobnie jak ojciec Frank, ale nie siostra Asteria... - Zakonnica zamilkła nagle i odwróciwszy wzrok, zapatrzyła się w przestrzeń. Wyraz jej oczu świadczył o tym, że trudno jej pogodzić się z faktami. - Asteria mogła się oddawać niegroźnemu flirtowi, marzeniom, ale zapewniam, że nie było nic poważnego.

Montoya skinął głową, chociaż nie był przekonany. Musiał zapytać o coś, co od jakiegoś czasu ciągle go dręczyło.

- Na ciele siostry Camilli znaleziono dziwne ślady - rzekł, chcąc zbadać grunt.

Stara zakonnica nieco zeszywniała, ale nie zapytała, o jakie ślady chodzi, czekając, aż sam to wyjaśni.

- Krzyżujące się blizny. - Jakby się biczowała - dodał Bentz. Matka przełożona mruknęła coś pod nosem. - Słucham? - rzekł Montoya.

Zakonnica na chwilę przymknęła oczy, a gdy je otworzyła, jej spojrzenie było skupione i jasne.

Wpatrywała się w Montoyę z intensywnością entomologa, który odkrył nowy gatunek owada.

- Czasami, detektywie, w ramach pokuty grzesznik wymierza sobie karę fizyczną, która ma go oczyścić. Choć nie jest to zalecana przeze mnie praktyka, wiem, że jest tu stosowana.

- Siostra tego nie zaleca ani nie wymaga, ale akceptuje? - dociekał Bentz, marszcząc brwi.

- Uważam, że każdy człowiek ma prawo sam wyznaczać sobie rodzaj pokuty. To sprawa między nim a Ojcem Świętym.

- Czy siostra Camilla praktykowała samobiczowanie?

- Nie jestem pewna. Jak mówiłam, istnieją praktyki, które wydają się archaiczne, jak na przykład cielesne umartwianie się, ale zapewniam pana, że nie wchodzi one w skład obowiązującej w klasztorze reguły i nikt ich nikomu nie zaleca. A czy niektóre z zakonnice je stosują? - Matka przełożona wolno pokiwała głową. - Myślę, że tak. Chyba wcześniej mówiłam, że moim zdaniem siostra Camilla była udreńczoną duszą.

Zakonnica odchrząknęła i wyciągnęła z szuflady wielki pęk kluczy.

- A teraz zapraszam panów ze mną. Chciałabym wam coś pokazać - rzekła i skinęła ręką. Obaj detektywi wstali z krzeseł i tylnym wejściem ruszyli za matką przełożoną na korytarz prowadzący do klatki schodowej. Trzymając się poręczy, siostra Charity szybko wspięła się na trzecie piętro.

Otworzyła drzwiczki na

zatechle poddasze, zapaliła światło, podciągnęła habit i weszła do wnętrza, gdzie stały stare biurka i zakurzone lampy, świeczniki, łóżka i ramy od obrazów.

W kilku miejscach na podłodze ustawiono pułapki na myszy. Wszędzie pełno było pajęczyn, a nieliczne małe okienka, przez które do wewnątrz wpływało słabe, rozmyte światło, pokrywał kurz. Na końcu zawalonego przejścia znajdowały się następne drzwi sięgające krokwi. Matka przełożona zatrzymała się przed nimi, przesunęła ręką po chropowatym drewnie, po czym odnalazła odpowiedni klucz i wsunęła go do zamka. Pobrzękując całą wiązką, przekręciła klucz i nacisnęła na klamkę. Drzwi otworzyły się z oporem, zgrzytając zardzewiałymi zawiasami. Za nimi ukazała się ciemna, pusta przestrzeń.

Matka przełożona włączyła światło i weszła do środka. W pomieszczeniu stał długi drewniany wieszak, na którym po jednej stronie wisały plastikowe torby z jakąś odzieżą.

Zdaniem Montoi było to miejsce, gdzie składowało się stare szaty liturgiczne - sutanny, alby, habit i inne, których nazw nie znał; wszystkie zapakowane w plastik. Druga strona wieszaka była pusta.

Siostra Charity przez chwilę wpatrywała się w pusty drążek, po czym pokręciła głową.

- Przecież nie mogły zniknąć. To po prostu niemożliwe -szepnęła, robiąc znak krzyża.

- O co chodzi? - zapytał Montoya, czując, jak niepokój jeży mu włoski na karku.

- Suknie ślubne. Zniknęły. Wszystkie. - Zakonnica, wyraźnie strapiona, znów pokręciła głową, po czym przeszła na drugą stronę wieszaka, gdzie wisały liturgiczne szaty i zaczęła przesuwając plastikowe worki. - Obawiałam się tego - wyznała, kolejno odsuwając w bok osłonięte plastikiem szaty, czemu towarzyszył zgrzyt metalowych haczyków od wieszaków przesuwających się po drążku.

Zaglądała pomiędzy worki, jakby się spodziewała, że suknie ślubne pojawią się tam znikąd, po czym przechodziła do następnych, coraz szybciej i gwałtowniej zsuwając ciężką odzież na jedną stronę.

- Mówi siostra o takich sukniach, jakie miały na sobie ofiary? - spytał Bentz.

Rzuciła mu spojrzenie, które mówiło, że jest głupcem.

- Oczywiście! To są suknie, jakie zakonnice niegdyś wkładały na zaślubiny z Chrystusem. Tych, które tu były, nie używałyśmy już od bardzo dawna. Wisiały tu przez lata. Zapomniane, jak sądziłam. -
Matka przełożona powróciła do poszukiwań.

Świsst!

Kolejna obłożona plastikiem sutanna przeleciała jej przed nosem, a ona sięgała już do następnej.

Świst! Następna sutanna. Świst! Świst!

Ostatnie dwa habity i koniec.

- Wszystkie były tutaj. - Siostra Charity stała przy końcu wieszaka, najwyraźniej ogarnięta paniką, na jej twarzy pojawił się nerwowy tik.

Wycofawszy się z magazynu, odepchnęła w bok stary stół, który potoczył się kawałek na skrzypiących kółkach, potem przesunęła wzrokiem po przedmiotach zasłoniętych kawałkami materiału.

- Ile ich było? - zapytał Montoya, czując w żołądku coraz dokuczliwszy ciężar.

- Co najmniej tuzin - odparła szybko matka przełożona, której policzki pokryły się szkarłatem.

- Tyle ich było przed zabójstwami czy po nich?

- Przed nimi, oczywiście! Były tu jeszcze wczoraj... - Zakonnica mocno zacisnęła powieki i dłoń, w której trzymała pęk kluczy. - Sprawdziłam wczoraj i wisiało jedenaście sukien. - Otworzywszy oczy, siostra Charity wycelowała palcem w pusty drążek. - Jedenaście - powtórzyła osłabionym głosem. - Tylko jedenaście, a teraz zniknęły wszystkie.

- Tylko jedenaście? - zdziwił się Bentz.

- Tak. - Zakonnica zrobiła znak krzyż na piersiach. - Ale o ile pamiętam, było ich tu dwanaście.

Specjalnie zaglądałam do swoich notatek i wczoraj zauważyłam, że jedna zniknęła.

Przez plecy Montoi przebiegł lodowaty dreszcz.

- Dwunastą miała na sobie siostra Camilla - domyślił się.

- Tak.
 - A siostra Asteria jedenastą - dodał Bentz, krzyżując wzrok ze spojrzeniem Montoi. - Co znaczy, że zostało jeszcze dziesięć.
 - Dziesięć sukien, dziesięć ofiar - mruknął Montoya.
 - Och nie, błagam! - jęknęła Charity, ale Montoya widział, że sama już wcześniej wpadła na tę myśl, a on tylko potwierdzał głośno jej najgorsze obawy.
 - Koniecznie musimy dostać tę listę z nazwiskami - oświadczył. - Spis wszystkich sierot z St. Elsinore's.
 - A także zakonnic, które tam teraz pracują. Niektóre opiekują się dziećmi, a inne pomagają w klinice, prawda? - dopytywał się Bentz, podczas gdy matka przełożona, stojąc w dusznym rogu poddasza, nerwowo szarpała palcami krzyżyk wiszący na łańcuszku na jej szyi.
 - Tak, tak, oczywiście - potwierdziła roztrzęsionym głosem, choć już po chwili odezwała się z większą pewnością siebie: -Przekażę panom wszystko, czego potrzebujecie. - I pociągając nosem, szybko zamrugła, jakby hamując łzy.
- Łzy wściekłości? Furii?
- A może wyrzutów sumienia?
- Kto wie? I czy to w ogóle miało jakieś znaczenie?
- Chodźmy więc - zaproponowała, prostując się i mocno zaciskając szczęki. - A jeśli ojciec Paul zacznie narzekać i przestrzegać przed łamaniem prawa, powiem, żeby zwrócił się z tym do Pana Boga.

Rozdział 37

Późnym popołudniem Slade i Valerie postanowili znieść kartony z poddasza. Zapadał zmrok, wokół motelu słały się już wieczorne cienie.

Val była zdziwiona, że zrobiło się już tak późno. Wcześniej musiała się jednak zająć związaną z motelem papierkową robotą, której nie mogła dłużej odkładać. W tym czasie Slade zadzwonił do braci, żeby sprawdzić, co dzieje się na ranczu, potem naprawił zapadkę w systemie zraszania, a na koniec zajął się komputerem, oczyszczając go z wirusów, zwiększając pamięć, usuwając za pozwoleniem Valerie niektóre pliki i zwiększając prędkość tego starego gruchota. Gdy skończył, Val, poszukując nieuchwytej pani Stan, poszperała trochę w Internecie oraz w książce telefonicznej, gdzie wprawdzie znalazła kilku O'Malleyów, ale to było wszystko.

Cały czas miała w głowie pamiętnik Camilli - zagadkowe zaszyfrowane informacje, zrozumiałe tylko dla piszącej, nasuwały wyobraźni niepokojące obrazy.

Prawdopodobnie nie wszystkie nieczytelne skróty były istotne.

Mimo to myśl o nich nie przestawała dręczyć Val, była dokuczliwa jak świerzb.

Teraz siedziała przy swoim biurku, skończywszy rozmowę z pewną kobietą, która zatelefonowała, długo i rozwlekle przepraszając za odwołanie zarezerwowanego na weekend pokoju, tłumacząc, że jej mąż trafił do szpitala z powodu nagłego ataku woreczka żółciowego.

Slade ostatnią godzinę spędził przy naprawianiu laptopa, co robił przy małym stoliku, który Val wcisnęła w kąt przy kuchni. Przez otwarte drzwi wejściowe do wnętrza wpadał ciepły letni wiaterek, a Bo leżał na werandzie, popiskując i powarkując przez sen.

- Teraz powinien działać znacznie szybciej - oświadczył Slade, przykręcając pokrywę komputera.

- Skąd wiesz, jak to się robi? - spytała Val, podchodząc do męża.

- Słucham?

- Skąd umiesz naprawiać te przeklęte urządzenia? I dodawać pamięć? I całą resztę?

Uśmiechnął się leniwie i z rozbawieniem, lekko wyginając usta.

- Nie wiesz, że na ranczu mamy komputery?

- No wiem, ale...

- Chyba ci mówiłem, że w Bad Luck też nastał XXI wiek. A ja od dawna byłem maniakiem komputerów, tylko się z tym ukrywałem - żartował Slade, zerkając na Val znad monitora. Odsunął krzesło i wstał, po czym nie odkładając śrubokręta, mocno się przeciągnął.

- Naprawdę? - Val starała się nie zauważać, że gdy uniósł ramiona, sięgając prawie sufitu, koszula podsunęła się w górę, odsłaniając twarde mięśnie na płaskim brzuchu i smugę ciemnych włosów znikającą za paskiem dżinsów.

- Nie pamiętasz? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem, unosząc brwi.

- Że miałeś hopla na punkcie elektroniki? - spytała. - Nie.

- Przecież mówię, że się z tym ukrywałem. Val wywróciła oczami.

- A więc to prawda. Żona zawsze o wszystkim dowiaduje się na końcu.

- Moja żona ostatnio rzadko przebywała w domu - przypomniał Slade, rzucając ten żart ostry jak nóż, którym Val zamierzała rozciąć taśmę oklejającą pięć kartonów zniesionych z poddasza. Ta sprawa ciągle tkwiła między nimi.

Ich małżeństwo.

Zbliżający się rozwód.

Val jednak nie chciała o tym teraz myśleć.

- A więc ty, kowboju, jesteś komputerowym geniuszem?

- Tak, proszę pani - zakpił Slade, obracając w palcach śrubokręt, jakby to był sześciostrzałowy rewolwer, a potem wsuwając go do kieszeni spodni. - My na ranczu BS... a wyjaśnię, jeśli nie wiesz, że BS to skrót od Briarstone... potrafimy robić wszystko. Od wypasania bydła po naprawianie laptopów. - Jego usta rozciągnął krzywy, zdecydowanie uwodzicielski uśmiech.

- BS mi pasuje - odparła Val i roześmiała się, chyba po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Przypomniała sobie również, co było przyczyną, że zakochała się w mężu. Och, Slade, przemknęło jej przez myśl, gdybyśmy mogli zacząć od nowa, z czystym kontem.

W tym momencie dotarło do niej, że nigdy nie przestała kochać męża.

I poczuła skurcz w gardle. Ale z niej idiotka.

Przeszłość minęła i nigdy nie wróci. Czyż nie wierzyła w to stare powiedzenie? Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy sobie wyobraziła swoją samotną przyszłość. Długie lata bez rodziców, siostry, męża... A teraz jeszcze zaczyna się nad sobą użalać.

Wyjątkowa z niej idiotka!

Czując, że palą ją policzki, modliła się w duchu, by Slade nie domyślił się, co jej chodzi po głowie.

- Więc sprawdź, co udało mi się zrobić. - Slade postawił laptop na jej biurku.

Stał tak blisko, że wyraźnie dochodził do niej zapach jego płynu po goleniu. Przypomniała sobie, jak leżąc w pościeli, czuła unoszący się wokół zapach męża, mimo że Slade już dawno wyszedł nakarmić inwentarz. Poirytowana, szybko odsunęła od siebie te niechciane myśli.

Slade, który wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze, stał tuż za nią, prawie ocierając się ramieniem o jej plecy. Jego twarz znajdowała się na poziomie jej twarzy.- Spróbuj coś zrobić.

- Na przykład co?

Zdziwiony, spojrział na nią kątem oka.

- Mówiłem o programie w komputerze, ale jeśli miałaś na myśli co innego... - Jego głos przybrał niski, wymowny ton.

- Możesz sobie tylko pomarzyć, kowboju.

- Może pomarzymy razem?

- Skończ z tym, dobrze? - odparła Val stanowczo, ale czuła, że w środku się rozplywa.

Slade roześmiał się zmysłowo, jakby wiedział, o czym myślała. Odwróciła głowę i jej wzrok padł na klamrę przy pasku jego dżinsów i wypłowiwały, nieco wybrzuszony rozporek.

No wspaniale!

On też się podniecił?

Niedobrze! Bardzo niedobrze.

Szybko przeniosła wzrok na monitor komputera.

- W porządku, cwaniaku - powiedziała, zirytowana, że mówi zduszonym głosem. - Pokaż, co potrafisz.

Zapadła chwila pełnej napięcia ciszy, a Val poczuła, że się czerwieni.

- Czasami jesteś naprawdę nieznośny! - burknęła.

- Ale ty to uwielbiasz. - Jego niski i dźwięczny śmiech brzmiał znajomo.

- Co za rozdęte ego!

Ignorując rozbawienie męża i jego osłonięte dżinsem podbrzusze, wciąż jeszcze pozostające na poziomie jej oczu, sięgnęła po myszkę, podłączyła ją do gniazdzka i, kliknąwszy kilka razy, odnalazła program, którego używała do robienia rezerwacji.

- Sprawdźmy, czy uda mi się skasować rezerwację na weekend państwa Millerów. - Zabrała się do pracy, zapominając o wybrzuszeniu w spodniach Slade'a.

- Niezła z ciebie kokietka, żono - rzucił. Chyba jest nas dwoje.

- A ty zawsze myślisz tylko swoim... Och, nieistotne.

- Chciałaś powiedzieć „sercem”, tak?

- Tak, dokładnie tak - zgodziła się ze śmiechem. Slade pochylił się niżej i szepnął jej do ucha:

- I masz rację. Jego ciepły oddech połaskotał skórę Val. Zachęcająco. Sekundę później Slade musnął ustami jej szyję, a ona zadrżała, czując lekkie mrowienie w złączeniu nóg, to słodkie świerzbiecie, sygnalizujące początek pobudzenia, pulsującego, gorącego wibrowania. Początek kłopotów.

Wiedziała, że gdyby się teraz odwróciła, Slade by ją pocałował. A potem... och, słodki Jezu...

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Racja.

- Slade... - Odruchowo przymknęła powieki. Nie rób tego, Val, otwórz oczy!

Odwróciła głowę i poczuła dotyk jego ust, ale Slade jej nie całował, nie naciskał wargami na jej wargi. Otworzyła oczy i przekonała się, że się w nią wpatruje. Źrenice miał pociemniałe z pożądania, niebieska tęczówka była wąska, prawie niewidoczna. Pory w jego skórze, szczecina rosnącego zarostu, wszystko tak blisko, i ten jego zapach - wody po goleniu i mężczyzny - tak wyraźny, że aż namacalny.

Przełknęła ślinę, bo nagle jej gardło zrobiło się suche jak teksańskie kaniony w sierpniu. Slade powoli się od niej odsunął.

- Wiesz co, Val - zaczął prawie szeptem, z poważną miną - nigdy nie mógłbym cię zdradzić. Nigdy.

Do oczu napłynęły jej łzy.

- Ani z Camillą, ani z nikim innym.

W gardle Val nagle wyrosła twarda kula, była bliska załamania.

- Kusilo mnie. O tak, bardzo kusilo. Ale nie było warto. - Slade ciężko westchnął. - Nic nie było tego warte. Wiedziałem, że cię stracę. Ale nawet gdybym to zrobił, gdybym się z nią przespał, chodziłoby wyłącznie o seks. A z tobą... - Odwrócił wzrok i spojrzał w stronę wyjścia, gdzie za moskitierą stał rozbudzony Bo. - Sama wiesz. Oboje wiemy.

- Och, Slade... - Po policzkach Val popłynęły łzy, które szybko otarła wierzchem dłoni.

Nie była w stanie pójść w tej chwili tą drogą. Była rozdarta wewnątrz. Śmierć Camilli - nie śmierć, morderstwo - świadomość, że być może rodzice ukrywali prawdę o jej pochodzeniu, że teraz kruszały podstawy, na których opierało się całe jej życie, a na dodatek powrót Slade'a. To było dla niej za wiele. Weź się w garść i przestań się zachowywać jak płaczliwa, żalosna idiotka!

- Och... Chyba powinniśmy zajrzeć wreszcie do tych kartonów - stwierdziła.

Sięgnęła po nóż, odsuwając krzesło, na którym siedziała. Próbując uciszyć gwałtowne bicie serca, podeszła do sterty paczek zniesionych ze strychu. Pięć kartonów pokrytych cienką warstwą kurzu, starannie zaklejonych i podpisanych, to było wszystko, co zostało po Camilli.

Oczywiście siostra, wstępując do klasztoru, pozbyła się większości rzeczy, jednakże gdy się myślało o burzliwym życiu Camilli, widok kilku tekturowych pudełek budził żal.

Val uklękła przy kartonach i na jednym z nich dostrzegła słowo napisane ręką siostry, dużymi i zamaszystymi literami: „Sypialnia”.

- Chyba od tego powinniśmy zacząć - mruknęła i zdecydowanym ruchem noża rozcięła taśmę.

Constantina Rubino, skończywszy rozmowę z własną córką niewdzięcznicą, odłożyła słuchawkę na widełki. Zgniatając w popielniczce niedopałek papierosa, myślała o tym, że odkąd Giovanna - och, nie Giovanna, lecz Jean - zeszła się z tą kiepską namiastką męża, zresztą już piątego i chyba najgorszego w długim orszaku żalonych typów, miała coraz mniej czasu dla starzejącej się, cierpiącej na artretyzm matki. Ten przynajmniej, jak twierdziła Giovanna, miał pieniądze; podczas ostatniej wizyty była tak obwieszona złotem i diamentami, że wyglądało to na prawdę.

Choć raz.

Na szczęście zostali jej Enzo i Cario, dwóch najwspanialszych na świecie synów, z których żaden nie zmienił imienia. I choć pożenili się z chciwymi protestantkami, obdarowali ją pięciorgiem wnucząt, kochanych skarbów! Wprawdzie Enzo rozwiódł się i ponownie ożenił, ale kto by go winił? Jego pierwsza żona nie była lepsza od drogiej dziwki. Szkoda tylko, że nie udało mu się unieważnić małżeństwa. Constantina martwiła się tym, kwestią grzechu, problemem z dostaniem się do nieba i tak dalej. Z ciężkim westchnieniem zrobiła znak krzyża na wydatnym biuście.

Niestety Enzo z żoną mieszkali w Nowym Jorku, siedlisku zła, a Cario sprzedawał nieruchomości na pustyni w Scottsdale w Arizonie.

Tylko Giovanna - cóż, jakkolwiek ta niewdzięcznica chce, żeby ją nazywano - była blisko.

Pani Rubino z głośnym jękiem dźwignęła się z ulubionego fotela i oparłszy się na balkoniku, ruszyła do kuchni, gdzie gotował się jej sos. Chore biodro dawało o sobie znać, ale pani Rubino

postanowiła nie zwracać na to uwagi i nie brać żadnych z tych paskudnych lekarstw, które przepisał jej lekarz. Nie chciała się uzależniać od tych trucizn. Och, od czasu do czasu brała tabletkę aleve, popijając kilkoma kroplami wina, ale to było wszystko.

Krzywiąc się z bólu, stanęła przy elektrycznym kominku, który Cario i jego żona Misty - co to w ogóle za imię? - przysłali jej w prezencie na zeszłe Boże Narodzenie. Na winylowym gzymsie - bardzo ładnym, wyglądał prawie jak z prawdziwego drewna orzechowego - stały zdjęcia jej ukochanych wnuków, do których pani Rubino uśmiechnęła się z rozczeniem. Oczywiście obok stały małe zdjęcie ślubne i fotografia jej ukochanego Silvia, niech jego dusza odpoczywa w spokoju. Ona miała na sobie białą suknię z welonem z ręcznie robionej koronki, a Silvio czarny garnitur. Jego oczy na zdjęciu były piwne, a starannie przystrzyżony wąsik czarny jak sadza. Pani Rubino dotknęła twarzy męża i oczywiście po włosku powiedziała mu, jak bardzo go kocha.

- *Io l'amo per sempre.*

Jeden mąż, jedna miłość, jedno małżeństwo.

A nie pięć.

Pani Rubino rzuciła okiem na obrazek z Jezusem Chrystusem w promiennej aureoli i do niego też się uśmiechnęła, znów się żegnając i szybko odmawiając *Zdrowaś, Mario*. Potem, pchając przed sobą balkonik, ruszyła w stronę kuchni, co trwało znacznie dłużej, niżby pragnęła.

Zamykając kurek od gazu, pomyślała o młodej kobiecie mieszkającej na tym samym piętrze. Tak, niewątpliwie była dziwką, sądząc po liczbie odwiedzających ją mężczyzn, ale Constantina zaczynała wierzyć, że jej sąsiadka chce coś zmienić w swoim życiu.

Jeszcze wczoraj w nocy przez judasz widziała, że z jej mieszkania wychodzi ksiądz.

To dobry znak.

Może ta kobieta zrozumiała wreszcie, jak bardzo grzeszy.

Jeśli tak, Constantina powinna zachować się jak dobra sąsiadka i pomóc biedaczce zostawić dawne plugawe życie za sobą. Tak, do tej młodej kobiety należy wyciągnąć pomocną dłoń.

Podśpiewując, wzięła gliniany słój i napełniła go gorącym sosem. Był tak dobry, że przyjaciółka Constantiny, Donna-Marie Esposito, nieustannie jej powtarzała podczas ich popołudniowych niedzielnych spotkań, kiedy grały w remika, że powinna go sprzedawać jak Paul Newman. Kiedy Constantina, rumieniąc się, przypominała przyjaciółce, że nie ma pieniędzy ani sławy pana Newmana, Donna-Marie odrzucała jej argumenty zdecydowanym machnięciem pulchnej upierścienionej dłoni. - I co z tego? Twój sos jest lepszy od wszystkich, jakich w życiu próbowałam, łącznie z sosem mojej drogiej, nieżyjącej już ciotki. Mówię ci, kochana, *zia!* Rosalia i ten pan Newman nie umywają się do ciebie. Och, zaczekaj! - Donna-Marie uniosła ręce, jakby właśnie otrzymała wiadomość od samego Pana Boga. W palcach ozdobionych pierścionkami, w których odbijało się światło padające z wielkiego, wiszącego nad stołem żyrandola, ścisnęła karty, w uszminkowanych na kolor fuksji ustach tkwił papieros, camel bez filtra. - Mogłabyś go nazwać „Stary, dobry włoski sos pani Rubino” i niech ten pan Newman, że tak powiem, pocałuje się gdzieś. Newman? To przecież na pewno nie jest włoskie nazwisko. Zarobiłabyś fortunę. A przy okazji, wykładam się. - I Donna-Marie wykladała karty na stół. Teraz, zarumieniona i uśmiechnięta, Constantina zamknęła słój i zatrzymała się, by wziąć kolejnego papierosa. Usiadła i wypaliła go do samego filtra. „Niczego nie marnuj i niczego nie požądaj”, jak powtarzała swoim dziewięciorgu dzieciom, ucząc je oszczędności, jej matka, niech jej dusza odpoczywa w spokoju. Constantina zamierzała zabrać ze sobą tę radę do grobu. Zgniotła salema lighta w popielniczkę, umyła ręce i włożyła słój z sosem do koszyka przytwierdzonego do chodzika; poczym ruszyła do drzwi wyjściowych. Zajął jej to trochę czasu. Nie była już taka młoda, jak kiedyś, i to biodro, mój Boże, ale krok po kroku podążała do tej kobiety -chyba miała na imię Grace - w której mieszkaniu bębniła muzyka.

¹Zia (wł.) - ciotka (przyp. tłum.).

Zastukała palcami w drzwi, które od razu się uchylły. Nie były zamknięte. Nic dziwnego, że muzyka - jakaś popowa, z pewnością nic Franka Sinatry - dudniła tak głośno. Jak oni to nazywają? Hip-hop? Jak jakieś królicze susy.

Ach, ta dzisiejsza młodzież!

I co ta dziewczyna sobie myśli, że w takim domu zostawia drzwi niezamknięte?

- Halo? - zawołała Constantina. - Halo, Gracie? - Poprawiając chodzik, pani Rubino weszła do mieszkania. - Przyniosłam pani trochę mojego sosu... - Gdzie ona jest? Jeszcze w łóżku? Drzwi były otwarte, a Constantina jeszcze nigdy nie widziała buduaru rozwiązłej kobiety. - Halo? - zawołała drugi raz, nie chcąc wystraszyć Gracie, w razie gdyby ta się ubierała. - Gracie? - Skierowała balkonik w stronę drzwi sypialni i czując, że zaczyna się pocić oraz żalując, że nie wzięła ze sobą papierosów, przepchnęła się przez otwór i...

Stanąła jak wryta.

Na łóżku leżała naga dziewczyna.

Szczupłe ciało Gracie miało ziemistoszary kolor, oczy były otwarte i wybałuszone, skóra na szyi sina. Gracie leżała z rozpostartymi ramionami i nogami. Piersi opadały jej na boki. Rdzawe włosy łonowe miała przystrzyżone w dziwaczny wzór. I nie żyła.

Była martwa. Całkowicie i zupełnie.

Przerażona Constantina wrzasnęła jak jeszcze nigdy w życiu. Było jasne, że dziewczyna została uduszona. Ktoś ją zamordował! Poniosła karę za swe grzeszne życie. O Matko Święta.

Żegnając się roztrzęsionymi, powykrzywianymi reumatyzmem dłońmi, Constantina była pewna, że gdzieś w rogu mieszkania czai się Lucyfer i zacierając swe szponiaste pazury, szykuje się, by wyrwać z jej piersi łomoczące serce.

Postanowiła wyjść.

Szybko!

Serce waliło jej tak mocno, że bała się, iż pęknie. Wycofując się, poczuła w biodrze szarpnięcie bólu.

Demon! Już się do niej dobierał!

Ogarnęło ją przerażenie, a przed oczami pojawiła się wizja płonących ogni piekielnych. Rzuciła się do ucieczki, ale się potknęła.

- Pomocy!

Znów się potknęła i przewróciła do tyłu.

Łup! Głową uderzyła w podłogę.

Chodzik przewrócił się na nią.

Słój z sosem do spaghetti wypadł z koszyka.

Trzask! Rozbił się o ścianę.

Kawałki gliny rozprysły się po pokoju.

Czerwony gęsty płyn ściekał z otynkowanych ścian.

Ale Constantina nie przestawała wrzeszczeć, darła się tak głośno, że mogłaby obudzić nieboszczyka.

Wprawdzie najbliższe zwłoki należały do Gracie Blanc...

Modląc się, wrzeszcząc, pewna, że diabeł znajduje się gdzieś w pokoju, Constantina zrzuciła z siebie metalową bestię, swój chodzik, i zaczęła się czołgać po zielonym dywanie do drzwi.

Które wydawały się być kilometry od niej.

- Pomocy! - krzyknęła ponownie. - Na rany Chrystusa, niech ktoś wezwie policję!

Jej stare serce łomotało, nogi drżały jak w drgawkach agonii. Przez sekundę sądziła, że widzi Boga. W drzwiach ujrzała mocne, jaskrawe światło.

- Ojciec... - Podniosła rękę i wyciągnęła ją przed siebie z nadzieją, że Stwórca zabierze ze sobą jej pobożną duszę. Potem sobie uświadomiła, że błyszczący snop światła pochodzi z latarki skierowanej w jej stronę. A trzymał ją ten wstrętny, leniwy zarządca budynku. Harold Horwood.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - zapytał.

- Dzwon na policję - poleciała, z trudem łapiąc powietrze i starając się nie widzieć Szatana w każdym rogu. Chwyciła się za serce. - Wezwij policję i pogotowie.

- A po co, do kurwy nędzy? - zdziwił się Horwood.
- Do Grace.
- A co jej się stało? - Stawiając duży krok nad przewróconym chodzikiem, Horwood wszedł do sypialni i pośliznąwszy się, zatrzymał się nagle w kałuży starego, dobrego włoskiego sosu pani Rubino. - Cholera! - zaklął. - O Jezu... pieprzony Jezu Chryste.
- Dzwon już po tę policję - pogoniła Constantina debilnego zarządcę. - I uważaj na język!

Rozdział 38

Bentz był skonany i siedząc na miejscu pasażera w służbowym samochodzie, w którym trzeszczało radio ustawione na policyjną częstotliwość, czuł to w każdym mięśniu.

Montoya, jak to on, prowadził samochód, nie zważając na ograniczenia. Żaden z nich nie miał nastroju do rozmowy, obaj przetwarzali to, czego się dowiedzieli w St. Marguerite's.

Na ulicach wciąż natykali się na zatory, we wnętrzu forda było jak na rozgrzanej patelni, wilgotność powietrza przekraczała wszelkie normy, co wprawiało Bentza w coraz gorszy humor. Po prostu był za stary na to gówno. Nieprzespana noc z powodu kolki córeczki po długich godzinach przesłuchań powodowała, że ujawniały się najgorsze cechy jego charakteru. Do tego jeszcze koszula klejąca się do ciała z powodu upału i wilgoci oraz frustracja śledztwem, które zmierzało donikąd, ale coraz bardziej przyciągało uwagę społeczeństwa.

Ta sprawa zaczynała działać mu na nerwy. Na litość boską, kto uprzyjemniał sobie czas, zabijając zakonnicę... zakonnicę! Po co?

Dowodów nie brakowało. Erotyczne, sadystyczne pamiętniki, samobiczowanie, dziewczęta z sierocińca wstępujące do klasztoru, nieobecni księża i tacy, którzy bardziej nadawali się na żigolaków. Małomówna matka przełożona i zagubiona w San Francisco nowicjuszka. Dotychczas w sprawę zamieszane były

dwa klasztory; Bentz był ciekaw, jakie jeszcze rozmiary przyjmie ten horror. Czy St. Marguerite's i St. Elsinore's to koniec, czy może się okaże, że to tylko wierzchołek ohydnej góry lodowej? Czy Kościół katolicki czeka kolejny cios?

Przeczuwał, że tak właśnie będzie, i bardzo mu się to nie podobało. Bentz nie był zbyt religijny, przynajmniej nie w tradycyjnym rozumieniu, ale wierzył w Boga i w to, że większość kościołów i ludzi z nimi związanych - księża i parafianie - to dobre dusze mające dobre intencje.

Ale ta sprawa i w ogóle cała jego praca - w której na co dzień miał do czynienia z ciemną stroną społeczeństwa, z ignorancją, złem i psychotycznymi sadystycznymi przestępcami - powodowały, że czasami kwestionował dobroć Najwyższego.

Jego żona i dwie córki, jedna uparta dwudziestokilkulatka, druga, która dopiero zaczynała' raczkować, zawsze sprowadzały go na właściwą drogę, na drogę wiary w dobro, tym samym doprowadzając do pogodzenia go z Nim lub Nią tam na górze.

- Mamy gości - mruknął Montoya i sięgnął po paczkę kupionych ostatnio marlboro.

Skinął w stronę ulicy, gdzie naprzeciwko parkingu stał wóz transmisyjny z insygniami WSIJ wymalowanymi na białych bokach.

- Wspaniale.

- Zostaw ich Sinclair.

- Słusznie.

Wysiedli z wozu i Montoya zatrzymał się, żeby zapalić papierosa.

- Abby wie, że wróciłeś do palenia?

- Wcale nie wróciłem - zaprzeczył Montoya. - Ale tak, ta kobieta ma węch psa myśliwskiego. Jak tylko sprawa się skończy, rzucę to rakotwórcze świństwo.

- Jasne, już to widzę.

- Naprawdę!

Bentz spojrział na partnera, jakby mówił: Już to kiedyś przerabialiśmy, i pocierając kark, wszedł na schody prowadzące na posterunek. Montoya zaciągnął się mocno dwa razy, po czym zgasił papierosa w stojącej przy wejściu popielniczce z piaskiem.

Było późno, za chwilę pracę zaczynała druga zmiana.

Policjanci w mundurach i po cywilnemu wchodzili do komendy i wychodzili. Bentz ramieniem otworzył drzwi, na korytarzach słychać było gwar rozmów, śmiechy i stukot obcasów.

Po wejściu nawiązał kontakt wzrokowy z kilkoma znajomymi osobami, a nawet się uśmiechnął, dostrzegłszy Verę z wydziału osób zaginionych spieszącą w przeciwnym kierunku.

Cały czas rozmyślał nad tym, co usłyszał w ciągu dnia. Wiele godzin spędzili z Montoyą, przebijając się przez mur milczenia księży z St. Marguerite's, niewiele więcej uzyskali w St. Elsinore's, podlegającemu innej jurysdykcji, co zresztą nie miało większego znaczenia. Zaszuszone, stara matka przełożona, siostra Georgia -zewnątrznie o wiele bardziej nowoczesna i może nie „na luzie”, ale bardziej otwarta na świat niż siostra Charity - powiedziała im tylko tyle, ile musiała. Usłyszawszy, że pełny erotycznych fantazji pamiętnik siostry Camilli znaleziono w St. Elsinore's, jeszcze bardziej zamknęła się w sobie i usztywniła. Wprawdzie nie nosiła habitu, ale nawet w spodniach, bluzce z dużym kołnierzem i stylowych okularach była równie surowa, jak siostra Charity. Ekstra.

Zdążali donikąd.

Księża byli nie lepsi. Ojciec Paul denerwował się tak, że zagryzał wargi i nieustannie poprawiał fałdy sutanny. Ojciec Frank nie chciał rozmawiać bez adwokata, więc przesłuchanie przełożono na później, zaś ojciec Thomas z St. Elsinore's był niedysponowany. Kolejny raz.

Bentz zaczynał nawet podejrzewać, że Thomas Blaine jest wytworem wyobraźni siostry Georgii, jej, można by rzec, „wąsami”. Bowiem zdaniem Bentza, ona zarządzała rozpadającą się parafią.

Wszedł do pokoju, w którym słychać było terkot dogorywającej klimatyzacji, zostawił kurtkę na wieszaku i usiadł za biurkiem. Dzisiaj się dowiedział, że siostra Camilla i siostra Asteria

były adoptowane z St. Elsinore's. A także siostra Charity i jeszcze wiele nowicjuszek i zakonnice z St. Marguerite's.

Czy to ma znaczenie? Może stanowić wspólny mianownik?

Niewykluczone.

Poza tym materac w pokoju Camilli. Tam nie znaleziono niczego prócz koperty wetkniętej pod pokrowiec. Niewysłany list do kochanka.

Do Franka O'Toole'a?

Czy do kogoś innego?

Bentz odpiął kaburę z bronią i przewiesił ją przez oparcie krzesła. Fakt, że chodząc po opustoszałych korytarzach i biurach obu kościołów i klasztorów, miał broń przy sobie, uzmysławiał mu dobitnie, jak nienormalne tory przybrało dochodzenie.

I czemu znikły te suknie? Instynkt mu podpowiadał, że kryje się za tym coś złego. Coś bardzo złego. A niech to szlag.

Siostra Charity przekazała listę zakonnice, które, osierocone w dzieciństwie, trafiły do sierocińca St. Elsinore's. Siostra Asteria McClellan. Siostra Camilla Renard. Siostra Dorothy Reece. Siostra Maura Viole. Siostra Irena Shikov. Siostra Devota Arness. Siostra Louisa Cortez. Siostra Angela Peterson. Siostra Edwina Karpovich.

Tak różne osobowości. Łączyły je tylko klasztor St. Marguerite's i St. Elsinore's. Większość, choć nie wszystkie, pochodziła ze stanów położonych nad Zatoką Meksykańską, i z pewnością nie wszystkie kochały się w ojcu Franku O'Toole'u.

Może za szybko wyciąga wnioski.

Może sierociniec St. Elsinore's nie ma nic wspólnego z morderstwami.

Może zainteresowanie Frankiem O'Toole'em to tylko zbieg okoliczności. O ile wiedział, jedynie siostra Camilla skonsumowała romans z księdzem. Siostra Lea De Luca i siostra Asteria tylko o nim fantazjowały. Może jeszcze flirtowały. Nie istniały żadne dowody, że miały z nim kontakt fizyczny. Tak czy inaczej, ten facet nie powinien nosić sutanny.

A kto powinien?

Przypomnij sobie swojego brata, Jamesa. Nigdy nie świecił przykładem, ale gdy zdecydował się na celibat, to go zachowywał.

Wzburzony, podążając myślami w ciemne rejony, których wolałby unikać, Bentz wykonał kilka telefonów, sprawdził pocztę w komputerze i przestudiował końcowy raport z sekcji Camilli Renard i jej nienarodzonego dziecka. Camilla zmarła z powodu asfiksji wywołanej uduszeniem, a najgłębsze otarcia i otłuczenia na jej szyi układały się w rzadki wzór, który Bentz już wcześniej widział: różaniec z ostrymi paciorkami nanizanymi na tak mocny drut, że broniąca się ofiara nie mogła go przerwać. Na szyi Camilli widniały też ślady po zadrapaniach, w miejscach, gdzie próbowała odciągnąć garotę. Otarcia, które sama sobie zrobiła paznokciami w desperackiej próbie uwolnienia.

Żołądek Bentza wywracał się do góry nogami, gdy myślał o szaleńczej, przerażającej i ostatecznie skazanej na porażkę walce, gdy Camilla z trudem łapała powietrze, szamotała się, a oczy wychodziły jej z orbit.

- Kto ci to zrobił? - spytał.

Klimatyzacja rzeziła, przez okno dochodził warkot silnika wielkiej ciężarówki wolno przejeżdżającej ulicą. Postawiłby całą swoją miesięczną pensję na ojca O'Toole'a, na tego przebranego za księdza łamacza damskich serc.

Jednak badania krwi płodu wykluczały jego ojcostwo.

Ale nie wykluczały go jako mordercy, pomyślał Bentz i w tej samej chwili odezwała się jego komórka. Numer na wyświetlaczu należał do jego córki.

- Hej - rzucił, przykładając aparat do ucha i przytrzymując go ramieniem.

- Hej - odpowiedziała Kristi, jej głos brzmiał słabo, zagłuszany szumem powietrza, jakby jechała samochodem i próbowała mówić przez źle działający zestaw słuchawkowy. - Pomyślałam, że zadzwonię, żeby udzielić ci moralnego wsparcia.

- Doprawdy? - spytał, nie potrafiąc ukryć niedowierzania. Kristi właśnie skończyła pisać swój pierwszy kryminał.

Jeszcze nie został wydany, ale przyglądało mu się kilku agentów, a jeden z nich zasugerował, żeby Rick Bentz, policjant z wydziału morderstw, który pomógł rozwiązać sprawę zabójcy o skłonnościach wampirycznych w college'u Ali Saints, napisał wstęp.

Bentz odmówił.

Nie podobało mu się, że jego córka ma tak bliski kontakt z morderstwami.

- Tak, doprawdy. Pomyślałam, że pewnie chciałbyś pogadać z kimś o obecnym dochodzeniu, a ja z przyjemnością cię wysłucham. - Jasne. - Och, tato.

Tę walkę toczyli ze sobą, odkąd córka dorosła. Kristi, uparta i piękna jak jej matka Jennifer, była żona Bentza, stała się przyczyną siwych włosów, które teraz srebrzyły się w jego ciemnej czuprynie.

Przedwcześnie, pomyślał.

- Jak tam życie małżeńskie?

- No, no, zgrabny unik - obruszyła się Kristi, ale w rzeczywistości nie była zła, że ojciec zmienił nagle temat. - Opowiem ci w weekend. Pomyślałam, że wpadnę zobaczyć Ginny... No i ciebie, OHwię też, oczywiście.

Bentz szeroko się uśmiechnął. Kristi się z nim droczyła.

- Będziemy czekać. I przyprowadź Jaya.

- Mam taki zamiar. - Kristi się roześmiała. - Znasz mnie, tato. Nigdzie nie chodzę bez męża.

- I z niego pewnie też wyduszasz informacje.

- Tylko kiedy ma ochotę na seks.

- Oj! To ciut za wiele. Jestem twoim ojcem, pamiętasz?

- Ojcem, który ma dziecko w wieku niemowlęcym. Nie udawaj, że nie masz zielonego pojęcia o seksie. Ale w porządku, zmieńmy temat.

Bentz się roześmiał i jego wzrok padł na listę nazwisk z St. Marguerite's. Osierocone dziewczęta adoptowane z St. Elsinore's. Wszystkie młode i pełne życia. Każda potencjalna kandydatka na ofiarę mordercy.

- Zadzwoń do Olivii i umówię się, okej? - powiedziała Kristi. Bentz kiwnął głową.

- Okej. Będzie zachwycona.

- No dobrze, tatau. Do zobaczenia.

Kristi się rozłączyła, a on jeszcze przez chwilę trzymał komórkę przy uchu. Córce groziło niebezpieczeństwo o wiele częściej, niż chciał przyznać. Zawsze, gdy pojawiała się na miejscu zbrodni.

Miał wielką nadzieję, że kiedyś to się wreszcie skończy.

Przygnębiony myślami o córce i jej zamięłowaniu do tajemnic i zbrodni, zauważył, że w jego skrzynce mejlowej pojawiły się wyniki analiz toksykologicznych Camilli Renard. Przejrzał je i zmarszczył czoło, gdy się przekonał, że we krwi wykryto rohyn-pol, zwany potocznie tabletką gwałtu.

Ten silny środek uspokajający dodany do jedzenia lub napoju działa na ofiarę rozprężająco, może nawet wywołać zaniki pamięci. Bentz nie był zaskoczony.

Teraz przynajmniej rozumiał, dlaczego na życzenie mordercy ofiary przebrały się w suknie ślubne.

Wyjaśniało to też, dlaczego Camillę znaleziono w kaplicy, gdzie udała się pozornie z własnej woli, zaś Asterię na cmentarzu. Jednakże z analizy nie wynikało, lito odurzył ofiary i zmusił do odegrania głównej roli w tej dziwacznej sztuce.

O narkotyki w tych czasach łatwo. Można je kupić na ulicy, ukraść, a nawet zamówić przez Internet.

Ile to razy on sam, w końcu przecież glina, był bombardowany ofertami proponującymi GHB, kolejny narkotyk z rodzaju pigułki gwałtu, na jego osobistą skrzynkę mej Iową.

- Parszywe sukinsyny - mruknął pod nosem.

Bentz przez wiele godzin przeglądał wszystkie notatki i dokumenty, a mimo to nadal nie miał pojęcia, co przytrafiło się ofiarom. Wpatrywał się ponuro w monitor komputera. Czuł, że jest w kropce. Ciało Camilli leżało przed ołtarzem, martwa Asteria na cmentarzu, z oczyma wbitymi w nocne niebo i rzeźbę anioła stojącą na mogile. Obie sieroty z St. Elsinore's. Obie zadurzone w tym samym księdzu. Obie wstąpiły do Idasztoru z powodu problemów z mężczyznami. Bentz stukał palcami w blat biurka, nie zauważając, że za oknem zapadła już noc, a nad światłami miasta rozciąga się ciemność.

- Hej! - W drzwiach pojawił się Montoya. Bez kurtki, z cieniem zarostu na twarzy w miejscach, gdzie zazwyczaj ją golił, tak samo zmęczony jak Bentz.

- No?

- Popatrz, co dostałem w poczcie. - Montoya pchnął po stole telefon komórkowy zamknięty w torebce na dowody.

- Camilli Renard?

- Tak.

- Kto go przysłał? - Bentz ostrożnie podniósł plastikowy woreczek.

- Anonim.

- Sprawdzałeś?

- Informacje na komórce? Jasne.

- No i?

- Nie jestem pewien, ale to już coś. Bentz kiwnął głową.

- To już coś. - Sztuczka polegała na odkryciu co.

- Laboranci badają kopertę. Szukają odcisków palców, a może DNA ze śliny na pasku kleju, ale to zajmie jakiś czas. Który szybko ucieka, pomyślał Bentz. Ale przesyłka faktycznie stanowiła ważny trop. - Myślisz, że przysłał ją zabójca? Żeby zwrócić na siebie uwagę? Żeby się z nami zabawić, pokazać, że jest sprytniejszy od nas?

- To prawdopodobne.

W tej sekundzie przez uchylone drzwi do biura wsunął głowę Brinkman, odpychając Montoyę na bok.

- Właśnie dostałem telefon - powiadomił. - Morderstwo. Samotna biała kobieta. Pracująca dziewczynka. - prostytutka.

Brinkman uśmiechnął się ironicznie.

- Widzisz, Montoya, jednak nie jesteś taki głupi. Była u nas notowana. Gracie Blanc, znana również jako Grace La Blanc lub Grace Lee Blanco. Jedna i ta sama osoba. - Uśmiech Brinkmana był obrzydliwie obleśny. - Jakby pseudonim mógł kogoś zwieść. - Zabójca znany?

- Nie. Dziewczyna była martwa już od jakiegoś czasu. Sąsiadka, starsza kobieta, która mieszka na tym samym piętrze, znalazła ją, ze strachu przewróciła się i zaczęła krzyczeć. Zarządca budynku, który na mój gust był alfonsem dziewczyny, usłyszał wrzaski, znalazł starszą panią i ofiarę, a potem zadzwonił na policję. Kiedy funkcjonariusz, który odebrał wezwanie, przyjechał na miejsce, nasza słodka Gracie była już martwa jak kłoda. Teraz jadą tam ludzie z medycyny sądowej i dwoje dodatkowych policjantów.

I prawdopodobnie prasa, pomyślał Bentz.

- Też tam jadę - oświadczył Montoya, a Bentz sięgał już po swoją kurtkę i kaburę. Wyglądało na to, że ten długi dzień pracy nie skończy się szybko.

- I dobrze zrobisz - rzucił Brinkman, mrużąc oczy i uśmiechając się z zadowoleniem jak kot, który właśnie schwytał w pazury kanarka - bo jest coś jeszcze. Ta starsza pani... Okazuje się, że jest wścibska i zgadnijcie, kogo widziała zeszłej nocy, jak opuszczał mieszkanie dziewczyny?

- Kogo? - zapytał Montoya.

- Jakiegoś księdza.

- Co? - Bentz znieruchomiał.

- Właśnie. - Brinkman napawał się zaskoczeniem kolegi. - Najwyraźniej starsza pani zamiast pilnować własnych spraw, lubi szpiegować sąsiadów przez judasz i wczoraj około północy widziała, jak z mieszkania ofiary wychodzi facet, którego opisała jako młodego księdza.

Rozdział 39

Radio gra cicho, a ja szlifuję brzegi szklanych paciorków, cierpliwie i starannie, żeby każdy był ostry jak żyłeczka, żeby łatwo wrzynały się w ciało.

Uśmiecham się, myśląc o tych małych, lśniących kulkach spełniających swoje zadanie. Odnoszę wrażenie, jakby różaniec w moich dłoniach, nanizany na mocny drut, mrugał do mnie porozumiewawczo.

Moczary są dzisiaj spokojne, woda cicho chlupie, w powietrzu unosi się woń butwiejących roślin i gnijących ryb. Świerszcze dają swój wieczorny występ przy akompaniamencie żab, których rechot stanowi basowy podkład.

Muzyka, jakiś szlagier z lat osiemdziesiątych, cichnie i na antenie rozlega się głos doktor Sam z tym jej psychologicznym bełkotem, którym odpowiada na głupie pytania słuchaczy dotyczące związków, dzieci, umierających bliskich.

Idioci! Nie wiedzą, że ta baba jest oszustką? Nie rozumieją, że jej pseudopsychologiczne porady to trucizna?

Wszystko we mnie aż się gotuje, przypominam sobie, jak mało brakowało, abym ją zabił... Potem spoglądam na zawieszony nad moim łóżkiem łeb aligatora. Gapi się na mnie wielkimi kaprawymi ślepiami, błyszczącymi jak oczy demona, szczerząc groźne zęby, żebym pamiętał o rządku szwów w mojej nodze - robota niekompetentnego weterynarza - i o bólu, który wciąż mi dokucza. Nazwałem go Ipana, na cześć ulubionej pasty do zębów mojej babki.

- Mało brakowało, co? - rzucam do wypchanego gada i słyszę, jak doktor Sam gładkim jak jedwab głosem radzi jakiejś nieszczęśliwej dziewczynie, żeby przerwała toksyczny emocjonalnie związek i rzuciła swojego chłopaka, z którym jest od dwóch lat, ojca jej maleńkiego synka.

Kolejna gówniana porada.

- Zostań z chłopakiem, Lola - mruczę, nie mogąc się powstrzymać. - Daj mu jeszcze jedną szansę. Niech gość ma czas

się przekonać, że jest ojcem. I zaspokajaj go w łóżku! Głupia dziwka! Robi sobie z facetem dzieciaka, a potem dochodzi do wniosku, że gość jest do niczego. I pewnie jeszcze będzie z niego ciągnęła alimenty.

Camilla nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Camilla była posłuszna i uległa. Oczywiście, miała też swoje wariactwa; płonął w niej ogień, ale tylko żeby seks był gorący. Na samą myśl o niej kutas zaczyna mnie swędzieć.

Nigdy nie miałem tak chętnej kochanki. Tak gotowej. Tak bosko grzesznej.

A teraz jej nie ma.

Pomyłka, diabelska pomyłka.

Niechący zacynam się paciorkami w rękę i na jednym palcu pojawia się krew. Tak, część zreczności utraciłem wraz z kawałkiem uda podczas tej nieszczęsnej szamotaniny z kolegą Ipaną.

Oczywiście Ipana przegrał. Ssę palec, potem nakładam na ranę chirurgiczny klej tkankowy i kończę nakładanie paciorków. Przywiązuję ostatni i mocno rozciągam swoje rękodzieło, ten zupełnie wyjątkowy różaniec.

Trzyma.

Jeszcze raz go naciągam, z całej siły, ale jest mocny. Nie puszcza. Jest doskonały.

Wrzucam go do kieszeni plecaka, obok okularów przeciwsłonecznych.

Sutanna też jest w plecaku.

Słyszę chlupot wody w dole pod moją chatą; to ryby wyskakują nad powierzchnię, a ja wiem, że jestem gotowy. Gaszę radio, otwieram klapę w podłodze i schodzę ostrożnie po drabinie do czekającego na mnie czółna.

W kartonach należących do Camilli niczego nie było. Przynajmniej zdaniem Val. Zawartość wszystkich pięciu leżała teraz na podłodze salonu.

Nie znaleźli tam nic szczególnego.

Pamiętki, ubrania i kilka zdjęć stanowiących dowód bardzo zwyczajnego życia. Żadnych płomiennych listów miłosnych, żadnych gorszących pamiętników kobiety, która łączyła ból z przyjemnością, seks z cierpieniem.

Sukienka Camilli od bierzmowania, stare pompony z St. Timothy's, gdzie była czirliderką, fotografia rodziców w ramce, ale nic, co wskazywałoby na zachowania odbiegające od normy.

- Jesteś zawiedziona - powiedział Slade, włączając światło, bo przez okna wsączał się już do pokoju mrok.

- Ogromnie.

- A co spodziewałaś się znaleźć? Wiadomość z nazwiskiem zabójcy napisaną krwią?

- Chyba tak - przyznała z lekkim uśmiechem. - Albo coś, co by nas skierowało na właściwy tor. -

Spojrząwszy na różaniec, wzięła go do ręki, pozwalając, by prześlizgnął się między palcami niczym święty wąż: krzyż to głowa, paciorki ciało, i upadł na podłogę. - Nadal stawiam na Franka O'Toole'a.

- Mimo że nie jest ojcem dziecka?

- Może właśnie dlatego.

- Zostawmy to na chwilę. Zabieram cię na kolację, a kiedy wrócimy, spojrzysz na to wszystko świeżym okiem. - Slade zrobił krok nad stertą ubrań Camilli i wyciągnął rękę.

Val nie chciała się poddać. Wiedziała, że odpowiedź ma przed sobą, ale teraz nie myślała jasno. Slade miał rację.

- Dobrze. - Chwyciła wyciągniętą dłoń i podniosła się z podłogi. - Ale najpierw sprawdzę co u Frei.

Pomogę jej zmienić pościel. - Każdego wieczoru w jadalni zostawiały dla gości półmiski z ciastkami wraz z wyborem różnych alkoholi. Na każdym łóżku kładły czekoladowe trufle wyrobu Frei. -

Spotkamy się w foyer za... - rzuciła okiem na zegarek - ... czterdzieści pięć minut?

- W porządku. - Slade gwizdnął na psa i razem z nim wyszedł tylnymi drzwiami do oblanego szarzącym światłem zmierzchu ogrodu, gdzie wciąż jeszcze buczało kilka trzmieli, krążących nad kępami wonnej lawendy.

Na werandzie stała Freya, która ściskając pod pachą torbę ze świeżo zerwanymi ziołami, odwieszała na kolek kapelusz. Wszędzie pełno było głośno bzyczących komarów, a wokół lampy latały ćmy.

- Znalazłaś coś? - spytała. Val wspomniała wcześniej, że wieczorem zamierzają ze Slade'em otworzyć kartony, które Camilla zostawiła na stryżku nad garażem.

- Nic, co miałoby jakieś większe znaczenie. - Val oparła się o poręcz i przy krzaku mirtu dostrzegła skradającego się kota sąsiadów. Bo, choć miał w sobie cechy psa myśliwskiego, niczego nie zauważył. - Pomyślałam, że pomogę ci zmieniać pościel - dodała.

- Za późno - odparła Freya, zerkając na Slade'a. - Już się tym zajęłam i wystawiłam w jadalni brandy, porto, bezkofeinową kawę, pralinki i napoleonki. - Przeniosła wzrok na Val. - Pościel też zmieniłam. - Z uśmiechem dodała: - Możesz mnie nazywać „pani Wydajna”.

- Jestem z ciebie dumna - zażartowała Val.

- Hm. Lepiej, żebyś ty też kiedyś wszystkim się zajęła.

- Niedoczekanie twoje - droczyła się Val. Freya rzekła:

- A więc postanowione: masz dziś wychodne.

- Ho, ho, chwileczkę. - Val uniosła rękę. - Od kiedy jesteś tu szefową?

- Od zawsze. - Freya wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Jasne, na pewno.

- Mnie ten pomysł pasuje - wtrącił się Slade. - Wezmę szybki prysznic i będę czekał na ciebie w foyer.

- Ooo - mruknęła Freya przeciągle, gdy Slade wszedł do kuchni, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Bo został i wpatrywał się we Freyę, merdając ogonem. - Gorąca randka, co? - Jeśli chcesz to tak nazwać.

- Znasz mnie, mówię tylko to, co widzę. - Freya zerknęła na pognieciony T-shirt Valerie i jej rybaczeki.

- A co na siebie wkładasz?

- Cokolwiek. Rozwiedzimy się, pamiętasz? - odparła Val, zbiegając po schodach i kierując się do domku przerobionego ze stajni. Bo popędził za nią.

Dośćgnął ją głos Frei:

- Właśnie się nad tym zastanawiałam.

Val również, ale teraz nie miała czasu na takie rozmyślania. Zostawiła Bo na ganku i szybko weszła do domku.

Rzeczy Cammie leżały na stole i Val wzięła do ręki zapomnianą szczotkę. Coś musi być wśród tych przedmiotów. Coś ważnego. Coś, co ona i Slade przeoczyli. Ale rzeczy wyglądały zwyczajnie; zbrązowiałe ze starości dziecięce buciki, świadectwa szkolne, stare płyty CD, kasety magnetofonowe z lat osiemdziesiątych, zestaw minikaset do nauki hiszpańskiego, którego Cammie chciała się uczyć pewnego lata, sygnet szkolny jakiegoś chłopaka, który zapomniała zwrócić, i lalka Barbie, chyba pierwsza z kolekcji, sądząc po wyglądzie. Włosy lalki były potargane i postrzępione, a twarz szara od brudu. Stanowczo przydałaby się jej kąpiel.

Więc co to jest? Co jej umyka?

Val odłożyła szczotkę i kołysząc się na piętach, przyglądała się pozostałym przedmiotom. Choć wpatrywała się w nie przez dobre dziesięć minut, niczego nie wypatrzyła.

Zadzwoiła jej komórka, więc wyciągnęła ją z kieszeni.

- Halo? - odezwała się, ale nikt nie odpowiedział. Została tylko wiadomość „nieodebrane połączenie” bez numeru. - Hm. - Sądziła, że ten ktoś zadzwoni jeszcze raz, ale telefon milczał.

Stwierdziła więc, że to pewnie pomyłka, i po raz ostatni przejrzała rzeczy Cammie, nie znajdując niczego niezwykłego. Nazywając samą siebie w myślach kiepską policjantką - dla ścisłości, była policjantką - ściągnęła dżinsy oraz koszulkę i ruszyła do kabiny prysznicowej wielkości budki telefonicznej znajdującej się w rogu małej łazienki.

Gdy odkręciła wodę, z rur wydobył się głośny jęk. Val zwinęła włosy i upięła je w kok na czubku głowy. Uchyliła okno, bo para z prysznicą była gęsta jak mgła nad zatoką San Francisco, po czym weszła za matowe szklane drzwi.

Z prawdziwą przyjemnością stanęła pod ciepłym strumieniem, splukując z siebie pot i brud. Mydląc się, mocno tarła kark, żeby pozbyć się napięcia. Gdy gorące igielki wody masowały jej mięśnie, zastanawiała się, co ją naszło, że zgodziła się iść ze Slade'em na kolację.

To nie była prawdziwa randka; tu Freya się myliła.

Ale... może być bardziej intymnie, niż powinno.

I jaki w tym widzisz problem, Val? - zadała sobie pytanie. -Od chwili przyjazdu, gdy zatarasował twój samochód swoim, Slade był ci bardzo pomocny. A poza tym, mówiąc szczerze, on cię nadal pociąga. Jakie to wszystko skomplikowane.

Doprawdy? - ciągnął głos w jej głowie. Teraz wiesz już na pewno, że Cammie kłamała, że to ona próbowała uwieść Slade'a, że Slade cię nie zdradził. Więc co, zamierzasz winić go przez całą wieczność? Zapomniałaś o ślubnej przysiędze? Tak trudno byłoby zacząć od nowa? Znow mu zaufać? Pozwolić sobie go kochać, czego tak bardzo pragniesz?

- Val, jesteś żalosna - mruknęła, czując, że jej postanowienie zaczyna się kruszyć, że znowu wpuszcza męża do swego serca. Odsuwając od siebie rozważania o rozpadającym się małżeństwie i możliwości jego naprawy, umyła włosy szamponem, a potem je splukała. Przekręciła głowicę, żeby ciepła woda spływała po ramionach i plecach.

Kochasz Slade'a! Zawsze go kochałaś. Nie karz siebie i jego z powodu kłamstw nieżyjącej kobiety.

- Och, Cammie. - Val zamknęła oczy, a w jej myślach pojawiły się sceny z dzieciństwa.

Mała Cammie łapiąca trzykolorowego kotka i wspinająca się za nim wysoko na drzewo, gdzie wśród konarów przechodziła linia wysokiego napięcia. Valerie krzyczała na siostrę, żeby zeszła na dół, ale Cammie płakała, zastygła ze strachu, kociak miauczał, wczepiony pazurkami w chropowaty pień. Zwierzątko w końcu zgramoliło się jakoś z wierzby, a dziesięcioletnia Valerie, z bijącym sercem, wspięła się na drzewo i sprowadziła siostrę na ziemię. Potem ostro skarciła smarkulę, lecz Cammie, już wtedy uparta i niezależna, nie bardzo się tym przejęła. Niebezpieczeństwo minęło, a ona zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

Później, już w liceum, Cammie, bardzo dobra uczennica grająca w żeńskiej drużynie pitki nożnej i należąca do zespołu czirlide-rek, zaczęła umawiać się z chłopcami. Starszymi. Młodszymi. Bez różnicy. Ich matka określiła ją jednym słowem: „Chłopaczara”.

I to mówiło wszystko.

Cammie odbita chłopaka swojej najlepszej przyjaciółce - może to on dał jej ten okropny szkolny sygnet z mieniącym się szkarłatnym oczkiem; później, mimo że nadal spotykała się z Benem, przyłapano ją z nauczycielem. Cammie była w ostatniej klasie w St. Timothy's, a Val już wyprowadziła się z domu, skończyła Ole Miss² i podjęła pracę w Teksasie, ale słyszała o tej historii. Ponieważ Cammie skończyła osiemnaście lat, nauczycielowi, który był na ostatnim roku college'u, nie postawiono żadnych zarzutów, ale kazano mu się spakować i wynieść.

Potem, ukończywszy kurs księgowości w dwuletnim college'u, Cammie często zmieniała i prace, i chłopców. Kiedy przyjechała w odwiedziny do Valerie i Slade'a, na ranczo doszło do gwałtownej kłótni i nim Val się obejrzała, Cammie postanowiła zostać zakonnica i wylądowała w St. Marguerite's. Dziwne, że na koniec obie zamieszkały w Nowym Orleanie. A może to przeznaczenie?

Po pewnym czasie stosunki między siostrami poprawiły się o tyle, o ile i rzeczy Cammie znalazły się na stryszku nad garażem. - Co mam z tym zrobić? - pytała Val, pomagając siostrze upychać kartony pod skośnym dachem. Dzień był upalny, w ciasnym, pełnym pajaków i os pomieszczeniu ledwo można było oddychać. - Nie wiem. - Jesteś pewna, że nic z tego ci się nie przyda?

- Teraz nie, a jeśli kiedyś będę czegoś potrzebowała, to przyjdę i wezmę.

Cammie pierwsza, po niej Val zeszły po drabinie przybitej do ściany garażu. Val ściągnęła w dół klapę zamykającą otwór.

- Będiesz w klasztorze.

* Uniwersytet Missisipi (przyp. tłum.).

² *To* (ang.) - do. W angielskim wymowa słowa *to* i wymowa cyfry

2 jest identyczna i brzmi „tu”, dlatego też dla oszczędności słowo *to* można zapisać cyfrą 2 (przyp. tłum.).

- Wiem, ale to przecież nie więzienie. Mogę stamtąd wychodzić, kiedy chcę.

Gdy wychodziły przez drzwi garażu na jasne Luizjańskie słońce, Val otrzepała dłonie z kurzu.

- Nie wiadomo czemu wydawało mi się, że gdy wstąpisz do klasztoru, będziesz odcięta od świata.

- Tak było w średniowieczu, ale siostra Charity zapewniała, że jeśli będę chciała, będę mogła pracować w klinice w St. Elsi-nore's albo z dziećmi z sierocińca.

- A chcesz?

Cammie wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

- Sama nie wiem. Ale uwierz mi, Val, jeśli zechcę wyjść, to wyjdę. To dom Boga, drzwi nie są zamykane na klucz.

Teraz Val zastanawiała się głęboko, dlaczego siostra tak uparcie twierdziła, że w St. Marguerite's panuje duża swoboda. Tym bardziej zadziwiająca, że matkę przełożoną sama nazywała strażniczką. A więc zamki znajdowały się w umysłach tych, którzy zamieszkiwali w obrębie murów otaczających katedrę i klasztor. Czy do tego właśnie nawiązywała Cammie?

Valerie nie miała co do tego pewności.

Jak brzmi ten często cytowany wers? Stała pod prysznicem i rury znów jęknęły, gdy przypomniała sobie właściwy fragment: „Nie czynią więzienia mury kamienne ni kraty z żelaza kute...”

Masując kark, myślała o pamiętniku Camilli, o obrazowych opisach seksu i uległości. Czy możliwe, by Cammie myliła posłuszeństwo wobec Boga z uległością wobec mężczyzny? Czy w jej głowie seks mieszał się z religią? Czy grzech i seks były dla niej tym samym? To nie miało żadnego sensu. Ale co w takim razie miało? Te zagadkowe notatki, które pisała sama do siebie?

Rysunek serca z jednym słowem w środku: „Called”.

I co z TO3 BF 2 M&M. Do najlepszej przyjaciółki dwa Em

1 Em. Czemu więc wiadomość nie została zapisana 2 BF 2 M&M.

³ *To* (ang.) - do. W angielskim wymowa słowa *to* i wymowa cyfry

2 jest identyczna i brzmi „tu”, dlatego też dla oszczędności słowo *to* można zapisać cyfrą 2 (przyp. tłum.).

Czemu TO też nie zostało zapisane cyfrą? I czy nie pisze się BFF? Najlepsze przyjaciółki na zawsze? Val nie знаła dobrze komputerowego żargonu.

Kolejna wiadomość wywoływała w niej jeszcze większy niepokój.

- „CUN siedem, siedem, trzy, cztery C V” - wyrecytowała na głos na tle szumu prysznica.

Te dziwne litery nic jej nie mówiły. Jeszcze raz powtórzyła cały zapis w łazience wypełnionej parą. Jej umysł nieprzerwanie analizował zagadkowe litery i cyfry... Chwileczkę! Jeszcze raz powtórzyła wiadomość. Kiedy wypowiadała ją na głos, przypomniła sobie coś z dzieciństwa, z sierocińca w St. Elsinore's. Dziewczynka, która zepchnęła Val ze zjeżdżalni - chyba miała na imię Darlene lub Eileen - zapytała przebiegle:

- Wiesz, co znaczy siedem-siedem-trzy-cztery, prawda? -I zerknęła z ukosa na swoją koleżankę o kręconych włosach i wystających górnych zębach. - To znaczy piekło.

Druga dziewczynka zachichotała nerwowo.

- Nieprawda.

- Oczywiście, że tak. - Oglądając się przez ramię, żeby się upewnić, czy stara zakonnica pilnująca dzieci na placu zabaw nie patrzy w ich stronę, przemądrzała smarkula narysowała cyfry patykiem na piasku. - Odczytaj je od tyłu.

Ta ze złym zgryzem krzyknęła, a potem zasłoniła usta pulchną rączką i skuliła ramiona.

- Masz rację! - wyszeptała, odczytując napis.

Siostra Anna, która tego dnia miała dyżur na placu zabaw, spojrzała wreszcie w ich kierunku.

Przemądrzała szybko zamazała napis.

- Siedem-siedem-trzy-cztery - powiedziała do Valerie, a potem, gdy głośny gong obwieścił koniec przerwy, odbiegła, upuszczając patyk.

- Cholera - mruknęła teraz Val. Bo szczeknął nagle ostro, ale prawie nie zwróciła na to uwagi, nadal zastanawiając się nad dziwnymi zapisami w pamiętniku: „C U N piekło, C V”. A więc...

See you in heli (do zobaczenia w piekle)? Czy to Cammie miała na myśli? Do zobaczenia w piekle i sto pięć? Co to znaczy? Za sto pięć lat? Nie, coś nie tak.

Ale blisko... Musi tylko bardziej pomyśleć. Wzięła gąbkę i zaczęła się nią namydlać i nacierać.

- No, Cammie, co miałaś...

Bo znowu szczeniła. Tym razem głośniej. A potem...

Val, ściskając gąbkę w dłoni, przestała się nacierać i wyżej słuch, zaczęła nasłuchiwać poprzez szum wody i bulgotanie w rurach. Czy coś usłyszała?

Na mokrej skórze poczuła mrowienie. Zesztywniała.

Czy odgłos pochodził z wnętrza domu? Poczuła skurecz w gardle. Znow to samo. Ciche szuranie.

Kroki? Piana i ciepła woda spływały jej po plecach, umysł przeszła szpila strachu.

To pewnie Slade.

- Hej, zaraz wychodzę! - zawołała.

Ale czy Slade nie mówił, że spotkają się w foyer? Skrzypppp.

To klepki trzeszczały pod czyimś ciężarem.

- Halo?

Czekała, a woda ściekała jej z brody i łokci.

Żadnego odzewu.

Nic.

Tylko krople wody uderzające w jej ciało i w wyłożone kafelkami ścianki.

Nasłuchując, z trudem przełknęła ślinę. Nie pamiętała, czy zamknęła tylne drzwi. Chyba nawet nie zamknęła na haczyk moskitiery. Nie mogła sobie przypomnieć.

Za dnia, kiedy wciąż wchodziła i wychodziła, kursując między swoim mieszkaniem a motelem, rzadko zamykała drzwi, ale

nocą czyniła to na ogół automatycznie... Ale teraz zostawiła Bo na werandzie. O Boże!
Nie zamknęła nawet drzwi do łazienki. Chyba nawet zostawiła je uchylone.
Z mocno bijącym sercem sięgnęła po ręcznik i wtedy przez zaparowaną szybę dostrzegła jakiś ruch -
czyjś cień w wejściu. Postać w czerni, podobna do demona z jej snów, tego z małymi ostrymi zębami
i złymi oczami.
Co to jest, do cholery!
Włoski zjeżyły się jej na karku.
Pokręciła głową, aby odepchnąć koszmarną wizję, i wzięła głęboki wdech, wciągając w płuca
wilgotne, nagrzane powietrze. Żałowała, że nie ma przy sobie pistoletu. Para wypełniająca łazienkę
była bardzo gęsta, ale zaczynała się już przerzedzać i...
Usłyszała szelest kroków. Jakby ktoś biegł, uciekał.
O nie, nie uciekniesz mi, ty sukinsynu!
Owinęła się pospiesznie ręcznikiem i rzuciła do drzwi.
Buch!
Schyliła się odruchowo, spodziewając się przelatującej obok głowy kuli, i omal nie upadła na
umywalkę w rogu. Skulona przy sedesie, stwierdziła, że żadna kula nie wbiła się w ścianę ani nie
roztrzaskała lustra.
Serce jej łomotało, ale ruszyła ku drzwiom. W łazience była jak w pułapce. Znajdowało się w niej
tylko jedno wyjście: małe okno nad sedesem zbyt wąskie, żeby mogła się przez nie przecisnąć.
Przykucnąwszy, pchnęła drzwi, uświadamiając sobie nagle, że to, co usłyszała, to nie był strzał, lecz
głośne uderzenie drzwi z moskitierą o framugę.
- Jasny szlag!
Przyciskając ręcznik do piersi, pobiegła do salonu, w którym panował półmrok. Pokój był pusty.
Szybko, zostawiając mokre ślady stóp na drewnianej podłodze, przeszła przez kuchnię do drzwi na
tyłach. Moskitierą była teraz zamknięta, a podwórko puste, tylko kilka latarenek świeci-

ło wzdłuż ścieżki prowadzącej do motelu. Wyszła na ganek i rozejrzała się, ale nikogo nie zobaczyła. Ciemność zapadała nad miastem.

Czy dała się ponieść wyobraźni?

A może ktoś faktycznie był w domu i przez szparę w uchylonych drzwiach zaglądał do łazienki?

Dostrzegła Bo, który obwąchując trawę, szukał najlepszego miejsca do załatwienia potrzeby. Czy Bo czekał na kota sąsiadów, wiewiórkę, czy...

Czy co?

Dlaczego ktoś miałby węszyć w jej domu?

- Chodź, mały! - zawołała na psa, gdy zwierzak skończył podlewać kępę ulubionych lilii Frei. Bo z wywieszonym językiem podbiegł do werandy i wspiał się na schody. - Musisz sobie znaleźć inne miejsce - zganiła go Val, klepiąc po głowie. - Freya nie wpuści cię więcej do ogródka.

Bo szczeknął głośno i dźwięcznie, zamiatając ogonem klepki na werandzie. Ten szczek był inny od wcześniejszego i Bo, domagając się uwagi, wtulił łeb w udo Val.

- No już chodź! - Czując, że na mokrej jeszcze skórze robi jej się gęsia skórka, Val wpuściła psa do kuchni, zamknęła moskitierę na haczyk, po czym wróciła po własnych śladach, zatrzymując się na chwilę w salonie: rzeczy Camilli leżały nadal tam, gdzie je zostawiła. Szybkie spojrzenie upewniło ją, że nikt nie ruszał pamiątek siostry.

Co tu się, u diabła, przed chwilą wydarzyło? Kto łaził po jej domu?

Czemu miała uczucie, że naruszono jej prywatność, że ktoś ją podgląda?

Zerknęła w stronę okna. Przez ułamek sekundy widziała w nim demona z koszmarów, czarną bestię z małymi, ostrymi ząbkami, zawsze gotową do zadania ciosu.

- Nie bądź śmieszna - skarciła się na głos, ale zanim poszła się przebrać do sypialni, jeszcze raz sprawdziła, czy zamknęła drzwi.

Znów rozdzwoniła się jej komórka.

Znalazła ją na biurku i przed trzecim dzwonkiem wcisnęła klawisz odbioru. Tym razem również nikt się nie odezwał.

Rozdział 40

Nie denerwujcie się, to tylko sos do spaghetti - wyjaśnił Montoi jeden z funkcjonariuszy, gdy on, Bentz i Brinkman przybyli na miejsce zbrodni i zobaczyli lepkie czerwone plamy na ścianie tuż za drzwiami sypialni Grace Blanc.

Mały salon był prawie pusty. Meble, w latach siedemdziesiątych nowoczesne i modne, teraz wyglądały na stare i zniszczone. Po obu stronach niskiej, zielonej kanapy stały dwa metalowe stoliki, a w rogu używany bujany fotel.

- Uff, to dobrze - zakpił Brinkman i chichocząc odrażająco, przyglądał się resztkom czerwonego sosu.

- Już myślałem, że to naprawdę kiepsko pachnie... jakieś zakrwawione części mózgu lub coś takiego.

- No ładnie - rzuciła ociekającym sarkazmem głosem Bonita Washington, dowódca ekipy badającej miejsce przestępstwa. - Co ty, Brinkman, z przedszkola się wyrwałeś? Dorośnij wreszcie.

- Próbuję tylko poprawić wam humory.

- O tak, jasne. - Washington nie łapała się na gadki kolegi. Zresztą jak zazwyczaj. - Wiesz co, Brinkman, mógłbyś dla odmiany choć raz okazać współczucie. A poza tym jest tu ciasno, więc obejrzyjcie, co macie do obejrzenia, a resztę zostawcie nam. Okej? Im szybciej zabierzemy stąd ciało, tym lepiej dla wszystkich.

Pstryk! Eve Marsolet robiła zdjęcia.

Jakiś facet z laboratorium kryminalistyki zbierał odciski palców, inny mierzył plamy.

Montoya, Bentz i Brinkman przeszli do sypialni, gdzie dokonano zabójstwa.

Ktoś z wydziału medycyny sądowej badał już ciało ofiary -rudej kobiety leżącej na rozgrzebanym łóżku, z oczyma wbitymi w sufit. Wyglądała, jakby żyła. Na pół ubrana, z twarzą wykrzywioną przerażeniem i bólem, z naszyjnikiem z kropel krwi i śladami zadrapań w miejscu, gdzie próbowała odciągnąć garotę. Montoya wyobraził sobie jej ostatnie minuty i odwrócił wzrok. Okropna scena. Chyba Abby ma rację; czas przejść na emeryturę.

W pokoju pachniało wanilią, czosnkiem i śmiercią - fatalne połączenie, od którego Bentzowi zrobiło się niedobrze. Z drugiej strony, mimo że twardy glina, Bentz zawsze zmagął się z nudnościami na miejscu zabójstwa. Próbował to ukrywać, ale Montoya nieraz przyłapywał kolegę wymiotującego tuż po wyjściu.

- Czas zgonu? - spytał, widząc, że ekspert medycyny sądowej mierzy temperaturę zwłok.

Marszcząc czoło, asystent z zastanowieniem wpatrywał się w termometr.

- Zmarła chyba około północy lub pierwszej dziś nad ranem. - Mężczyzna skinął głową, jakby milcząco potwierdzał to, do czego sam doszedł. - Stopień stężenia pośmiertnego się zgadza.

- Mniej więcej o tej porze pani Wścibska widziała wychodzącego księdza - zauważył Brinkman.

Montoya, nie zwracając się do nikogo konkretnego, rzekł:

- Trzeba koniecznie nałożyć jej torebki na ręce.

- A co, myślicie, że nie zamierzaliśmy tego robić? - Opuszczając podkładkę z kartką, na której robiła notatki, Washington spojrzała na Montoyę z irytacją. - Niech pan się zajmie swoimi sprawami, detektywie, a nasze zostawi nam. Brinkman wysoko uniósł brwi.

- Oj - stęknął.

Montoya miał to gdzieś. Zależało mu jedynie na tym, żeby się dowiedzieć, co ofiara ma pod paznokciami. Bentz milczał i Montoya pomyślał, że pewnie nadal walczy z nudnościami, ale w tym momencie jego partner się odezwał:

- Spójrz na to. - Stał w saloniku, twarz miał białą jak papier. Zaciskał zęby tak mocno, że wydawało się, że zaraz pęknie mu szczęka.

Na stoliku przed nim stało radio, a przy nim leżał studolaro-wy banknot z okiem Franklina zamalowanym ciemnym flamastrem.

- O do diabła, a ona jest...

- Rudowłosą prostytutką. I zobacz, jaka to stacja. - Montoya instynktownie przeczuwał, że cyfrowy wyświetlacz pokaże częstotliwość, na której nadawała stacja WSIT.

- Doktor Sam nadal prowadzi swoją radiową audycję, prawda? No wiesz, tę nocną, podczas której udziela porad? - spytał Bentz.

- *Zwierzenia o północy*. Tak, Abby słucha jej czasami, gdy karmi dziecko.

Samantha Leeds Wheeler nadal występowała na antenie, nadal udzielała porad, mimo że niegdyś stanowiła cel podstępnego zabójcy, którego policja i prasa nazwały Ojcem Johnem. Zabójcy, który gwałcił i mordował swoje rudowłose ofiary, słuchając przy tym programu pani doktor. I zawsze zostawiał studolarowy banknot z zaciemnionym okiem Bena Franklina.

Montoya poczuł ucisk w żołądku i to upiorne przeświadczenie, że zanim sytuacja się poprawi, najpierw bardzo się pogorszy.

- Niech ktoś zadzwoni do radia i porozmawia z doktor Sam, dowie się, czy miała dziwne telefony.

- Już idę - rzucił Bentz przez zęby. To on powalił strzałem Ojca Johna, jego kula trafiła faceta na moczarach, gdzie jak wszyscy mieli nadzieję, stał się pokarmem aligatorów.

Ponieważ ciała mordercy nigdy nie znaleziono i ponieważ minęły lata od jego ostatniego ataku, wszyscy - policja, prasa i społeczeństwo - sądzili, że Ojciec John, seryjny morderca przebijający się za księdza, żeby zyskać zaufanie swoich ofiar, zginął w słonych wodach bagniska.

Teraz się okazało, że chyba się mylili.

- Zadzwonić do doktor Sam? A po cholere? - zapytał Brink-man, zawsze nieco wolniej kojarzący fakty; jednak spostrzegłszy pomazany studolarowy banknot, po dłuższej chwili mruknął: -O do diabła! - I kręcąc wyłysiałą na czubku głową, dodał: - No, panowie i panie, wygląda na to, że wrócił!

- Albo ktoś tak dobrze znał jego sposób działania, że jest w stanie naśladować go przekonująco - zauważył Montoya, choć wiedział, że pewne szczegóły oryginalnych zbrodni policja ukryła przed prasą. Ten zbójca, kimkolwiek był, miał bardzo dobre informacje.

- Stawiam pięć do jednego, że to Ojciec John - oświadczył Brinkman, przygryzając dolną wargę i przymrużonymi oczami przyglądając się zniszczonemu studolarowemu banknotowi.

Zakładu nikt nie przyjął.

Val prawie zdołała przekonać samą siebie, że to jej umysł płata jej figle. Prawie.

Jednak napięte mięśnie karku i gęsia skórka na rękach mówiły coś przeciwnego. Kto mógł się do niej włamać? I w jakim celu?

To musi mieć jakiś związek ze śmiercią Camilli.

Odkąd tu zamieszkała, jeszcze nikt nie zakradł się do domku, a teraz, zaledwie kilka dni po śmierci Camilli, ktoś wszedł do środka.

Ale po co?

- Val?

Val omal nie wyskoczyła ze skóry.

Odwróciła się szybko, prawie gubiąc ów przeklęty ręcznik, za drzwiami z moskitierą ujrzała świeżo wykąpanego Slade'a. Obok niego stał Bo, merdając ogonem i przyciskając nos do siatki.

- O Boże... Już późno, a ja nie jestem jeszcze gotowa. Slade przesunął po niej wzrokiem; po frotowym ręczniku,

który zasłaniał sam tułów.

- Jak dla mnie, wyglądasz wspaniale.

- Dzięki - odparła, czując, że jej niepokój nieco słabnie.

Noc jeszcze nie zapadła, było ciepło... Slade patrzył na zagłębienie między jej piersiami, gdzie spoczywała jej ręka z pobladłymi knykciami, trzymająca kurczowo ręcznik.

- Zamierzasz wpuścić mnie do środka czy mam tu stać? - spytał Slade, unosząc brwi.

Val odetchnęła z ulgą.

- Każę ci stać - odparła, z przyzwyczajenia przechodząc na żartobliwy ton, choć wcale nie było jej do śmiechu. Nadal była spięta i zdenerwowana. Podeszła szybko do drzwi po mokrych śladach swoich stóp na kuchennej podłodze. - Przepraszam. - Odpięła haczyk.

- Coś się stało?

- Ja... - Coś się stało? Na pewno? A może to tylko jej wyobraźnia? Stary demon z jej snów wrócił, żeby ją straszyć? - Sama nie wiem...

- Słucham?

- Teraz wydaje mi się to śmieszne, ale... chyba ktoś tu wszedł, kiedy się kąpałam, chociaż to nie ma najmniejszego sensu. To znaczy, chyba kogoś widziałam i słyszałam, ale... - Uniosła wolną rękę. - Och, naprawdę nie wiem. Ostatnio jestem przewrażliwiona.

- Wszyscy jesteśmy podenerwowani. - Slade wszedł do kuchni, usiadł na barowym stołku i rzekł: - Opowiadaj.

Więc opowiedziała. Owinięta w ten przeklęty ręcznik, opowiedziała, co czuła i co słyszała.

- Ale kto wie? Równie dobrze wiatr mógł trzasnąć drzwiami - dodała na koniec.

- A kroki? Westchnęła.

- Nie wiem. Może tylko mi się wydawało, że je słyszę. Tak samo z tym cieniem przemykającym za drzwiami. Bo szczeknął, ale nie jakoś specjalnie ostrzegawczo... Och, do diabła, naprawdę nie wiem - przyznała, sfrustrowana. Zastanawiała się, czy nie opowiedzieć Slade'owi również o śnie, który budził ją nocami, o koszmarze, w którym pojawiał się przerażający, ubrany na czarno potwór, ścigający ją po zalanych deszczem alejkach, zamglonych ulicach, pobrzękujący błyszczącymi łańcuchami i syczący jak wąż.

Ale nie opowiedziała.

W świetle dnia ta koszmarowa wizja wydawała się niedorzeczna, zwykły przerażający sen, który nie miał z niczym nic wspólnego

i tylko kazał jej się zastanawiać, czy jest całkiem normalna. Ona, taka niegdyś silna. Nieustraszona. Kobieta, która po szczeblach kariery wspięła się aż na pozycję detektywa, zastępcy szeryfa, pozycję zarezerwowaną wyłącznie dla mężczyzn. A jej się jednak udało!

A teraz... Teraz drży pomimo ciepłego zimy, a Slade, niech go szlag, wyciąga rękę i obejmuje jej nagie ramiona. - Już w porządku - szepnął. - Jesteśmy tu.

Znów zadrżała; tym razem jednak nie z powodu zimna. Wewnętrzne drżenie wywołał uścisk męża, tak znajomy, a zarazem tak obcy, tak upragniony i tak niechciany.

- Jesteśmy? - zapytała zduszonym głosem.

- Bo i ja.

- Faktycznie, co ja bym bez was zrobiła? - zakpiła. Slade sarknął z irytacją.

- Nie wiem, kobieto - mruknął. - Ale nie wyglądałoby to dobrze.

- Racja.

Klepnął ją w osłonięty rękawikiem pośladek.

- Mówię to z niechęcią, ale ubierz się. - Na jego ustach ukazał się ten lekceważący uśmiech, którego Val nienawidziła, bo był tak cholernie pociągający. - A ja z Bo przejdziemy się po terenie i sprawdzimy, czy nie kręcił się tu ktoś obcy.

Albo duch, pomyślała Val, bo właśnie takie odnosiła wrażenie - jakby do tego domu zakradła się jakaś pozaziemska istota, która chciała zrobić jej krzywdę.

Znów zadrżała i zerknęła w stronę biurka, na którym leżały jej notatki i kopia pamiętnika Camilli...

- O nie!

- O co chodzi?

Val już biegła w stronę biurka. Na blacie ułożone w równe stosiki leżały rachunki za telefon, kwity, nieotwarta poczta i karty rezerwacji. Ulotka o odbywającej się pod koniec tygodnia aukcji w St. Elsinore's nadal wetknięta była pomiędzy strony książki, którą Val ostatnio czytała, ale to było wszystko.

To, czego w oczywisty sposób brakowało, to skopiowane strony pamiętnika Camilli.

Poliniowane kartki z nagryzmołonymi przez Cammie opisami jej najintymniej szych i najmroczniej szych erotycznych fantazji zniknęły. Żołądek podszedł Val do gardła, gdy pomyślała, co by było, gdyby ktoś z prasy przejął zapiski Cammie i opublikował je w jednym z tabloidów: zwierzenia zamordowanej zakonnicy razem ze zdjęciem Camilli w czarnym habicie z poważną, pobożną miną. - O Boże. - Zaczęła się rozglądać za pamiętnikiem. Szukała go na biurku i wokół niego na podłodze, choć pamiętała, że zostawiła go na blacie. Ale to miejsce było puste. - A niech to wszyscy diabli - mruknęła pod nosem. Gdy do biurka podszedł Slade, spostrzegła małe, czarne urządzenie upchnięte na półce z książkami stojącej koło biurka. Dokładnie w tym miejscu zawsze stawiała kubek z kawą, kiedy pracowała. - A co to, na rany boskie? - O co znów chodzi? - spytał Slade.

- Nie jestem pewna.

Ledwie widoczne urządzenie leżało tuż przed zdjęciem Cammie zrobionym w czasie, gdy była w ostatniej klasie liceum.

Valerie poczuła na plecach dreszcz lodowaty jak kanadyjska zima.

Slade natychmiast znalazł się przy niej.

- Co to? - spytał z niepokojem. - Komórka?

- Aha. Blackberry - odparła Val i choć wiedziała, że nie powinna, włączyła aparat. - Chyba Camilli.

Mały ekran natychmiast się rozświecił i pojawiło się na nim jakieś zdjęcie.

Camilli w agonii.

- Neeee! Jezu Chryste!

Valerie straciła dech, rozpoznając siostrę.

Krew skrzepła jej w żyłach, upuściła telefon, jakby ją sparzył.

- O Boże, nie - jęknęła, gdy aparat uderzył w róg biurka, ekranem do góry, a ona przekonała się, że właśnie patrzy na trzy- lub czterosekundowe nagranie wideo z Cammie zrobione tuż przed jej śmiercią.

Camilla patrzyła w obiektyw. Jej oczy były rozszerzone straszliwym przerażeniem, usta miała sine, twarz białą. Dyszała, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, krew ściekała po szyi w miejscu, gdzie garota, wyglądająca jak różaniec o ciemnych paciorkach, odcinała jej oddech, odbierała życie. Ręcznik opadł na podłogę, kolana ugięły się pod Val, zachwiała się i pewnie by się przewróciła, gdyby Slade jej nie podtrzymał. Silnymi ramionami objął ją w pasie i przyciągając jej nagie ciało do siebie, postawił ją na nogi.

- Przykro mi - szepnął jej do ucha, gładząc ją po włosach. Z oczu Val polały się łzy.

- Co za potwór to zrobił? - spytała zduszonym głosem, czując, że rozpacz rozdziera jej duszę. - Co za chory, popieprzony sukinsyn? - Jedną ręką trzymała się kurczowo Slade'a, drugą, zaciśniętą w pięść, okładała go po plecach. - To nie w porządku. Tak nie może być.

- Ciii. Wiem - uspokajał ją Slade, nie usiłując jednak powstrzymać wybuchu frustracji. - Wiem.

- To jest cholernie nie w porządku! - Val zacisnęła powieki i oparła się bezwładnie o męża. Choć raz w życiu nie musiała być silna, nie starała się nawet walczyć z cierpieniem, tylko mu się poddała. Czy to jej wina? Czy była zbyt surowa wobec Cammie? Bo wyrzuciła ją z domu, sądząc, wierząc, że ma romans z jej mężem?

Teraz wydawało się to zupełnie błahe. Całkiem niedorzeczne. Przepraszam, załkała w duchu. Och, Cammie, tak bardzo cię przepraszam. Była starsza; zawsze myślała, że jest w stanie ochronić młodszą siostrę, i poniosła klęskę. O Boże, jakże straszliwą klęskę.

- Chodź - rzeki Slade, prowadząc ją do sypialni. - Wyjdziemy innym razem.

- Myślisz... myślisz, że teraz zasnę?

- Uważam tylko, że potrzebujesz trochę spokoju, żeby się z tym wszystkim uporać - wyjaśnił.

Chciała się sprzeciwić, przecież powinna coś zrobić, żeby złapać mordercę Cammie, ale w tej chwili nie miała sił. Wszystko zważyło się na nią: duchy, morderca, cały ten cholerny świat....

Mimo że była przecież naga, nie opierała się, gdy Slade kładł ją na łóżku. Przykrył ją kołdrą i poszedł, by przynieść jej wody.

- Nie rób tego - powiedziała, gdy postawił szklankę na stoliku przy łóżku, a później usadowił się w fotelu z trzcinowym oparciem, zrzucił buty i oparł skrzyżowane w kostkach nogi na brzegu starego małżeńskiego łóża. - Odpoczywaj.

- Nie mogę... Tyle jest do zrobienia. - Myśli kłębiły jej się w głowie. Kto zostawił blackberry? Czy należał do Camilli? Co jeszcze w nim jest? Musi zawiadomić policję.

- Ja się wszystkim zajmę, a ty odpoczywaj - powtórzył Slade, krzyżując ręce na piersi. - Poleż przynajmniej dwadzieścia minut. Myśl, jeśli chcesz, ale przy okazji... po prostu oddychaj.

- I weź się w garść?

- Tak - zgodził się, a ona tym razem nie zaprotestowała. - To dobry pomysł.

Val zamknęła oczy i zapadła się w puszystą miękkość poduszki. Otoczyła ją ciemność, w której nie było przerażających obrazów umierającej Camilli.

Poczuła, że łóżko się ugina. Bo wskoczył na posłanie i ułożył się blisko, jakby chciał ją pocieszyć. Łzy piekły ją pod powiekami, w roztargnieniu poklepała psa po łbie, uspokajając i jego, i siebie.

Nie załamuj się! Nie wolno ci! Nie w tej chwili. Musisz być silna dla Cammie. Musisz znaleźć zabójcę.

Była pewna, że znajdzie rozwiązanie, wystarczy tylko intensywniej pomyśleć. Wiedziała, że na nie wpadnie. Ale było tyle różnych pytań. Nie tylko, kto zabił Camillę i siostrę Asterię, ale też czemu Cammie interesowała się sprawą adopcji? I kto, jeśli nie ojciec Frank OToole, jest ojcem jej dziecka? Dlaczego ona, Valerie, wszędzie, gdzie się ruszyła, odnosiła wrażenie, że jest obserwowana?

Dlaczego Cammie miała na sobie ślubną suknię? Co ukrywa siostra Charity? Co znaczą zapiski w aż nadto obrazowym pamiętniku siostry?

I Boże, och Boże, co ma począć ze Slade'em?

- Nie mogę tak dłużej - oświadczyła, nie otwierając oczu. - Muszę wstać i coś zrobić.

- Jeszcze zdążymy. - Głos Slade'a dochodził z bliska. Prawdopodobnie teraz siedział na stojącym koło łóżka jedynym w tym pokoju krześle.

- Nie - sprzeciwiła się, nie umiając pohamować potrzeby działania. - Musimy coś zrobić natychmiast.

- Miała wrażenie, że czas umyka, że każda sekunda, której nie poświęca próbom wyśledzenia zabójcy Cammie, jest stracona. Odrzuciła kołdrę, po czym mimo iż Slade widział ją nagą tysiące razy, ściągnęła narzutę, żeby się nią okryć, i szybko wyskoczyła z łóżka. Slade siedział na krześle ze stopami opartymi o brzeg materaca, blokując przejście. Spojrzał na nią spod oka.

- Jesteś pewna? Skinęła głową.

- Absolutnie. Już pora, żeby przestała się mazgaić i zaczęła działać. Ten, kto się tak z nami bawi, cholernie mnie wkurza. Slade uśmiechnął się, błyskając swoimi śnieżnobiałymi zębami. Val sądziła, że będzie chciał ją zatrzymać, ale on tylko kiwnął głową i wstał z krzesła.

- Jestem z tobą - zapewnił, a jej serce mocno zadrżało.

- Musimy odłożyć nasze wyjście.

- Rozumiem.

- Możesz mnie teraz zostawić samą? - powiedziała Val, przyciskając do piersi tę przeklętą narzutę.

- Nie. - Uśmiechnął się szerzej, po szelmowsku. Val uniosła brew, więc Slade mruknął z westchnieniem: - No dobrze, w końcu jestem dżentelmenem.

- Kolejny kiepski tekst, Huston.

Slade zachichotał i prostując się, gwizdnął na psa.

- Chodź, Bo, pani chce zostać sama. - Przystając w drzwiach, rzucił przez ramię: - Obejdziemy teren, ale jestem pewien, że jeśli ktoś tu był, już dawno sobie poszedł.

- Bez wątpienia.

Po jego wyjściu Val ubrała się - majtki, stanik, koszulka i dżinsy. Przyczesła włosy, ale nie zrobiła makijażu, tylko przejechała usta błyszcznikiem. Następnie przeszła do salonu.

Cholerny blackberry leżał w tym samym miejscu, w którym go upuściła. Podnosząc go, pamiętała o zachowaniu ostrożności i użyła plastikowej torebki, a potem po raz drugi obejrzała krótkie wideo ze śmierci siostry.

- Ty chory skurwielu - mruknęła, po czym wcisnęła klawisz uruchamiający następne nagranie. Zamarła, rozpoznając siostrę Asterię w ślubnej sukni, z różańcem wokół szyi, z trudem łapiącą powietrze i ze łzami płynącymi z oczu; ona też umierała przed kamerą.

Z jakim popieprzonym psychopata mają do czynienia?

Ręce jej się trzęsły tak, że z trudem natrafiła palcem na przycisk, żeby puścić następny film wideo. Nie pojawił się obraz, słychać było tylko głos, ostry, syczący szept, ten sam, który straszył Val w jej koszmarach.

Po plecach Val przebiegł zimny dreszcz, jej usta pobieleły.

„Ty też jesteś na liśście - syczał z zadowoleniem ów przeraźliwy głos. - Nie unikniesz końca”.

Valerie nie miała wątpliwości, że ta wiadomość przeznaczona jest dla niej.

Rozdział 41

Oczywiście niczego nie znalazł.

Slade obszedł teren wokół motelu Briarstone House i nie spotkał przeciwnika groźniejszego od oposa z dziewięciorgiem lub dziesięciorgiem dzieci na grzbiecie, człapiącego niezdarnie w stronę czereśniowego drzewka i kępy mleczy rosnących gęsto przy płocie.

Ten, kto podrzucił blackberry, rozwiął się jak duch, nie pozostawiając żadnych śladów ani zapachów, które skłoniłyby Bo do ujadania.

Z drugiej strony stare psisko nie zauważyło oposa, więc raczej nie należało zbytnio liczyć na jego pomoc.

- Chodźmy, piesku - mruknął Slade, siłąc się na spokój. W końcu nikt nie doznał krzywdy. Ale myśl, że ktoś węszył po domu, gdy Valerie była w nim sama, niepokoiła go. Poza tym doskonale wiedział, że Val tylko zgrywa twardą byłą policjantkę, w rzeczywistości jest bezbronna. Ten przerażający typ był w środku!

A gdyby zamiast trzasnąć drzwiami, ten intruz faktycznie miał przy sobie broń i strzelił? Pewnie teraz Slade siedziałby na ostrym dyżurze w lokalnym szpitalu przy łóżku Valerie, mając nadzieję, że żona wyliże się z ran. A jeśli atak okazałby się śmiertelny, jeśli kula przeszłaby jej serce?

- Skończ z takim myśleniem - upomniał sam siebie, wspinając się na schody ganku na tyłach i po raz ostatni obrzucając spojrzeniem zabudowania motelu.

Zrobiło się już ciemno i tylko solarne lampki rzucały upiorny szaroniebieski blask na trawnik i kwiaty, których pąki zamknęły się już na noc. Boczna ulicą przejechało kilka samochodów, a na parkingu stały tylko te, które były do tego upoważnione.

Niemniej Slade postanowił zadzwonić do Montoi.

Komuś potrzebny był pamiętnik Camilli.

Tylko do czego?

I komu?

Slade wrócił do swojego wozu, otworzył schowek na rękawiczki i wyciągnął stamtąd pistolet - trzydziestkęósemkę. Niezbyt groźna broń, ale wystarczająca, żeby odstraszyć napastnika.

Wepchnąwszy ją do tylnej kieszeni spodni, skierował się do domu i szybko wbiegł na schody.

W środku zastał Valerie, która czekała na niego, trzymając w ręce plastikową torebkę z przeklętym blackberry. Stała, milcząc, z twarzą białą jak ściana, oczyma okrągłymi ze strachu i buntowniczo uniesionym podbródkiem.

- Co tu masz?

- Mały prezent - odparła. - Od naszego przyjaciela.

- Przyjaciela? Och. - Intruz. - Jest coś więcej, niż widzieliśmy wcześniej?

- O tak, sam zobacz. - Podała mu aparat w przezroczystym opakowaniu.

Wpatrywał się w mały ekranik, oglądając ostatnie sekundy życia Camilli, przerażone oczy pełne błagania, słysząc jej zduszony oddech.

- Skurwiel - wymamrotał, od tego straszliwego nagrania zrobiło mu się niedobrze.

- To jeszcze nie koniec widowiska. - Głos Val pozbawiony był cienia humoru.

Teraz na małym ekranie pojawiła się ofiara, którą widział w wiadomościach telewizyjnych, siostra Asteria. Ta piękna dziewczyna również przegrała walkę o życie. Leżała bezbronna na ziemi, oczy wychodziły jej z orbit, usta się poruszały, krew ciekła po szyi.

- Dobry Boże - szepnął w przerażeniu. - Nie mów, że jest tego więcej - dodał, widząc, że Val znów naciska klawisz w telefonie.

- Nie. Tylko wiadomość głosowa. - Wcisnęła przycisk i Slade usłyszał ostry, charczący, wyraźnie zmieniony głos. Nie umiał rozpoznać, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety; wiedział tylko, że brzmi śmiertelnie groźnie.

„Ty też jesteś na liśście - zasyczał ktoś ohydnie i zamilkł, aby wywołać większe wrażenie, po czym dodał: - Nie unikniesz końca”.

Slade'a ogarnął strach, włoski zjeżyły mu się na karku, zawrzała w nim wściekłość, że ktoś zamierza skrzywdzić Val.

- To do ciebie.

- Najwyraźniej.

- Musimy zadzwonić do Montoi.

- Już mu zostawiłam wiadomość - oświadczyła Val, zbyt spokojnie jak na jego gust.

Nagle mały, przerobiony ze stajni domek, który wydawał mu się taki przytulny, pachniał perfumami Val i jej potpourri, zaczął przypominać pułapkę; mógł się tu dostać każdy pokrecony łotr, który postanowił wziąć Val za cel. Zadzwonił telefon. Zostawiając torebkę z blackberry w rękach męża, Val chwyciła komórkę i spojrzała na wyświetlacz.

- Montoya - powiadomiła.

- Powiedz, żeby natychmiast tu przyjechał!

Val kiwała głową, odbierając rozmowę, która trwała bardzo krótko.

- Już jest w drodze.

- To dobrze. Kiedy przyjedzie, pójdę po moje rzeczy.

- Twoje rzeczy?

- Dopóki to nie minie, dopóki ten szaleniec, który teraz zamierza zaatakować ciebie, nie zginie lub nie trafi za kratki, choć lepiej, żeby zginął, będę przy tobie przez cały czas. Bo i ja wprowadzamy się do ciebie. - Ale...

- Żadnych ale, Val. Mogę spać nawet na kanapie. Jesteś dla mnie zbyt ważna, żebym siedział spokojnie i pozwalał, żeby jakiś maniak zakradał się do twojego domu, kiedy tylko mu się zachce! Nie ma takiej możliwości! Zmienimy zamki we wszystkich drzwiach, nawet w motelu. Zawołaj Freyę i powiedz jej, co się dzieje. Obejdę motel, gdy tylko zjawi się Montoya. I zażądamy policyjnej ochrony.

- Ho, ho, zwolnij tempo - powiedziała Val. - Nie sądzę, żeby to było potrzebne. Gdyby ten gość chciał mnie zabić, mógł to z łatwością zrobić. Byłam przecież pod prysznicem, na litość boską. Widziałam go, a on prawdopodobnie widział mnie, a mimo to nie zaatakował. - Na razie.

- Chciał mnie tylko wystraszyć, co mu się zresztą udało. - Val kiwała głową, nerwowo obracając komórkę w palcach.

- Ale dwie inne kobiety zaatakował.

- One były zakonnice z St. Marguerite's. - Po zmarszczonych brwiach żony Slade poznawał, że się nad czymś zastanawia. Bardzo mocno. Łączy fakty w całość. - Zabójca wie, że węsze, i chce, żebym się wycofała.

- Jego groźba była bardzo wyraźna. - Slade nie zamierzał ryzykować. - Chce cię wystraszyć, to pewne. Może nawet chce, żebyś trzymała się z dala od śledztwa, ale teraz, gdy czytałaś pamiętnik Camilli, gdy węszyłaś po St. Marguerite's i St. Elsinore's, będzie chciał krwi.

- Ale, do diabła, po co mu ten pamiętnik?

- Kto wie. - Slade przypomniał sobie zapisane pochyłym pismem strony pełne seksualnych scen. Czy to wszystko było prawdą? Może część należało potraktować jako fantazje? Zapewne nigdy się tego nie dowiedzą, ale te zapiski były dla kogoś ważne. - Może policja dowiedziała się czegoś nowego - rzekł. Zauważył, że Val się zdrygnęła. Wiedział, iż nie podobało jej się, że ktokolwiek, nawet śledczy z wydziału zabójstw, ma wgląd do prywatnego życia Camilli.

- Miejmy taką nadzieję.

- I może - kontynuował - powinniśmy zostawić dochodzenie policji. To ich robota; my prawdopodobnie tylko im przeszkadzamy.

- Nie ma mowy. - Val spojrzała twardo na męża i zbliżyła się do niego o krok. - Nie chodzi o to, że nie ufam policji. Sama przecież byłam policjantką. Ale wiem, jak mało mają ludzi w wydziałach, ile godzin rozpracowuje się taką zbrodnię. Domyślam się, że skierowali wszystkie siły do sprawy zabójstwa Camilli i pewnie utworzą specjalną grupę zadaniową, korzystając z pomocy FBI. I dobrze. Ale mówimy o Cammie, o mojej jedynej siostrze. - Val stała tuż przed nim, palcami bosych stóp następując na czubki jego kowbojek. - Nie wycofam się, Slade. - Jej oczy płonęły, źrenice miała rozszerzone. - Wiesz to. Znasz mnie. Więc nie marnuj słów.

Patrzyła mu głęboko w oczy, a on mógł myśleć tylko o tym, jak bardzo pragnie ją całować i tulić, a potem kochać się z nią aż do rana. Wypuściłby ją z objęć dopiero wtedy, gdy duchy nocy, nekające ich zjawy, umknęłyby przed blaskiem wstającego dnia. Ale to, oczywiście, było niemożliwe.

- Okej - zgodził się, aczkolwiek bardzo niechętnie; do diabła, nie chciał, żeby Val ktoś skrzywdził i żeby sama wystawiała się na ryzyko. - Ale jak powiedziałem, wprowadzam się do ciebie. Zamieszkam tu! - Wskazał palcem na podłogę. - Z tobą! Dopóki nie będę pewny, że jesteś bezpieczna.

Dzięki Bogu, tym razem się nie sprzeciwiła. Slade uznał to wręcz za cud.

Wiadomość dotarła na komórkę Montoi akurat w chwili, gdy obaj z Bentzem wychodzili z mieszkania Grace Blanc.

- Jedziemy tam - rzucił, streściwszy koledze szybko, że ktoś wkradł się do domu Valerie. Pobiegli przez parking do wozu policyjnego, którym przyjechali z komisariatu. Bentz, mimo wieku i nadwagi, dotrzymywał Montoi kroku, więc jednocześnie dotarli do forda crown victoria. Ruch w mieście już się zmniejszył, ale Montoya, który prowadził, i tak wymijał w pędzie wolniejsze pojazdy.

- Nasz koleś nie próżnuje - zauważył Bentz.

- Wygląda na to, że lubi pracować po godzinach. - Montoya wyminął jakiegoś pick-upa i pognął w kierunku St. Charles, gdzie stojące rzędem latarnie rzucały kręgi światła, a liście wysokich drzew rosnących wzdłuż jezdni błyszczały. Minał ich zdążający w przeciwną stronę samotny tramwaj, wiozący zaledwie kilku pasażerów. Wyglądał, jakby wychynał prosto z horroru. Po obu stronach szerokiego bulwaru podzielonego szynami tramwajowymi stały eleganckie rezydencje, zróżnicowane architektonicznie jak samo miasto, wszystkie okazałe, z zadbanymi ogrodami, często otoczone ogrodzeniem z kutego żelaza.

- No więc, co mogą mieć ze sobą wspólnego prostytutka i dwie zakonnice? - zastanawiał się na głos Bentz, patrząc w okno.

- Brzmi to jak początek kiepskiego żartu. - Montoya skrzywił się, zbyt ostro skręcając w boczną uliczkę, na której po lewej stronie stał Briarstone House rozświetlony niczym przysłowiowa bożonarodzeniowa choinka. - A odpowiedź jest oczywista: wszystkie znały podejrzanego księdza.

- W takim razie kolejne pytanie brzmi - zaczął Bentz, gdy Montoya wjechał crown vickiem na podjazd, zatrzymując się prawie na zderzaku starego, zniszczonego pick-upa - kim jest ksiądz?

- Dobre pytanie. - Montoya wyłączył silnik i przebiegł w myślach różne warianty: ojciec Frank O'Toole, ksiądz, który przyznał się do romansu z siostrą Camillą, ale zgodnie z wynikami badań krwi nie był ojcem jej dziecka; ojciec Paul Neland, starszy, sztywny ksiądz z St. Marguerite's; wiecznie nieobecny ojciec Thomas

z St. Elsinore's; albo ktoś jeszcze... Co z Ojcem Johnem, fałszywym księdzem, który powstał z martwych, żeby zamordować kolejną prostytutkę? On też wchodził w grę. Tylko co mógł mieć wspólnego z zabójstwami w St. Marguerite's? Zawsze polował na rudowłose. I była jeszcze zaginiona zakonnica, Lea De Luca. Na razie policja z San Francisco nie znalazła ani jej, ani żadnych śladów. Montoya czuł, że powinien połączyć jakieś wątki i dojść wreszcie do tego, co łączy wszystkie zabójstwa. Sierociniec? Zakon? Co?

Wysiadł z wozu i był w połowie drogi do wejścia, gdy nagle pojawił się przed nim mąż Valerie Huston, gość, który przyjechał do miasta tej samej nocy, kiedy jego szwagierka i niedoszła kochanka została zamordowana.

Przypadek?

A może nie?

- Cieszę się, że jesteście - przywitał się Slade, potrząsając najpierw ręką Bentza, potem Montoi. Wysoki, silny mężczyzna wyglądał na bardzo przejętego. - Żona chyba wam powiedziała, co się stało. Proszę do środka.

Weszli więc do mniejszego budynku, którego podłużny kształt i wysokie ściany wskazywały, że wcześniej służył za stajnię. Valerie Huston czekała w kuchni, u jej stóp leżał wielki pies. Zwierzak spojrzał na wchodzących Montoyę i Bentza, a jego ogon, zamiatający wcześniej podłogę, znieruchomiał.

Mąż Valerie miał broń wetkniętą za pasek spodni.

- Ma pan na to pozwolenie? - zapytał Montoya, wskazując na pistolet.

Huston skinął głową, a Montoya nie poprosił o pokazanie dokumentu; zamierzał sam to sprawdzić. Później.

- Tu jest ten blackberry - oznajmiła Valerie na powitanie. Przy okazji spostrzegła wymianę spojrzeń pomiędzy Montoyą a Slade'em. Aparat zapakowany był w plastikową torebkę, którą Val pchnęła po blacie szafki. - Nie wiem, czy należał do Camilli, ale zakładam, że tak i że zabójca wykradł go w noc

jej śmierci, a potem użył do swoich celów. I tak, dotknęłam go, zanim się zorientowałam, co to jest. - Napotkała spojrzenie Montoi. - Obejrzałam też zawartość. Nie mogłam się powstrzymać.

Bentz wyjął swój notatnik, a Montoya cyfrowy dyktafon.

- Zaczniemy od początku - zaproponował Bentz. - Proszę opowiedzieć, co się tu działo wcześniej.

Val zreferowała przebieg włamania, jeśli w ogóle można było to tak nazwać. Drzwi w domku nie były zamknięte, gdy wydawało jej się, że ujrzała intruza i usłyszała coś, co w pierwszej chwili uznała za wystrzał.

Detektywi zadawali pytania, ona odpowiadała; mąż potwierdzał zeznania. Oboje przyznali, że rozrzucone w salonie rzeczy należały do Camilli. Była to zawartość kartonów zniesionych ze strychu nad garażem. Potem odtworzyli pierwsze nagranie na blackberry i wszystkie mięśnie w ciele Montoi napięły się jak struny, gdy oglądał Camillę Renard ubraną w zniszczoną suknię ślubną, walczącą o oddech. Jej piękne oczy, rozszerzone przerażeniem, wychodziły z orbit, gdy w straszliwym cierpieniach żegnała się z życiem. W Montoi zawrzała furia. Co za chory psychol zabija ludzi i jeszcze to nagrywa? Scenę śmierci ofiary. Zakonnicy.

- Jezu - wymamrotał po obejrzeniu następnego nagrania.

Żołądek podchodził mu do gardła, gdy patrzył na scenę rozgrywającą się na cmentarzu wśród bielejących w mroku nagrobków. Siostra Asteria w ślubnej sukni błagała o litość, a mimo to garota zaciskała się na jej szyi, z której zaczynała spływać krew. Na dekolcie sukni nie było jeszcze krwawego naszyjnika, który widocznie powstał później, po zakończeniu sesji wideo.

Przez kilka następnych sekund Montoya nie mógł wykrztusić słowa, nie był w stanie zebrać myśli.

Tykanie stojącego w salonie zegara odbijało się echem w jego pustym umyśle.

Pomyślał o Grace Blanc leżącej na łóżku, na wpół ubranej, ze zsiniałą, zakrwawioną szyją. Spojrzał na Bentza i przekonał się, że jego partner też jest biały jak ściana.

- Mówiła pani, że jest jeszcze wiadomość głosowa.

- Tak - przyznał mąż z pociemniałym wzrokiem, marszcząc brwi.

Przez plastik Valerie wcisnęła kolejny klawisz i już po chwili w pokoju rozniósł się syczący głos. „Ty też jesteś na liście. - Po tych wypowiedzianych przeciągle słowach nastąpiła pauza, a po niej usłyszeli resztę wiadomości: - Nie unikniesz końca”.

Było oczywiste, że głos jest zmieniony; brzmiała w nim nie tylko groźba, lecz również zadowolenie.

- Zakładam, że nie wie pani, do kogo należy?

- Nie. - Valerie pokręciła głową.

- Dlaczego wziął panią na muszkę? Nie jest pani zakonnica... - zastanawiał się na głos Bentz.

- Chciałabym to wiedzieć, ale może ma to związek z pamiętnikiem Camilli. Zabójca go zabrał. Może w środku było coś kompromitującego, coś, co mogło powiązać jego osobę z Camillą.

- Możliwe - mruknął Bentz, nie przestając notować. - Ale zgadzam się. Groźba jest zaadresowana do pani.

Montoya skinął głową.

- Nakażemy kolegom obserwować to miejsce - rzekł. Valerie też kiwnęła głową.

Montoya kontynuował:

- I chcielibyśmy przegłądać rzeczy Camilli i zabrać je z sobą.

- Okej.

- A ja chciałabym zajrzeć na strych - wtrącił Bentz. - Sprawdzić, czy nie zostało tam coś, czego Camilla nie zapakowała do kartonów.

- Zaprowadzę tam pana - zaoferował się Slade i wyjął z szuflady latarkę.

Jak na kogoś, kto zjawił się w Nowym Orleanie, żeby pogodzić się z żoną, chyba zbyt dobrze orientował się w jej domu. A wrogość, którą Montoya wyczuwał między małżonkami przy pierwszym przesłuchaniu, najpierw w tym domu, a potem w szpitalu, ten niewidoczny, podskórny nurt niezgody, jakby znikła.

- Czy chcielibyście państwo dodać coś jeszcze? - zapytał. -Może zauważyliście coś odbiegającego od normy, coś niecodziennego?

Nie był zaskoczony, gdy Valerie ponownie kiwnęła głową.

- Tak. Dzisiaj po południu miałam kilka dziwnych telefonów. Ktoś dzwonił i natychmiast się rozłączał. Dzwonił z numeru zastrzeżonego - zeznała.

- Będziemy musieli zabrać pani telefon.

- Ale... - zaczęła, chcąc zaprotestować, potem jednak rzekła: - Oczywiście.

- I musimy też zabrać to. - Montoya wskazał na blackberry, Valerie twierdząco skinęła głową i spojrzała Montoi prosto

w oczy.

- Pan znał moją siostrę, detektywie - powiedziała, a jej szczeka lekko zadrżała. - Niech pan dorwie drania, który jej to zrobił. Niech pan go przyszpili do ściany.

- Zrobię to - zapewnił, mając świadomość, że obiecuje coś, co może się okazać niemożliwe do wykonania. Kątem oka dostrzegł ostrzegawcze spojrzenie Bentza, ale je zignorował i wetknąwszy blackberry do kieszeni, tylnymi drzwiami wyszedł w noc.

Później razem z Bentzem obejrzelili teren, przeprowadzili rozmowę z partnerką Valerie w interesach, Freyą Martin, i z pięciorgiem zaspanych gości motelu. Z małżeństwem siedemdziesięcioletków z Maine; żona twierdziła, że niczego nie słyszała poza chrapaniem męża, który się zdrzemnął. I z trzema kobietami z Oregonu; wszystkie były dobrze po czterdziestce, wybrały się na babskie wakacje bez mężów i partnerów. One też niczego nie zauważyły. Freya słyszała szczekanie psa, ale to było wszystko. Żadnych odgłosów kroków, uruchamianego silnika, krzyków... Nikt nie wyglądał przez okno i nie zauważył nikogo podejrzanego skradającego się przez trawnik.

Czyli ogólnie klapa, myślał Montoya, wracając do policyjnego wozu i słysząc poprzez echo własnej obietnicy, że dorwie drania, który zabił Camillę Renard, dobiegające z oddali upiorne bicie dzwonów obwieszczających północ.

Rozdział 42

Przez następnych kilka dni nic się nie działo, ale była to cisza przed burzą. Niepokojący spokój, myślał Montoya, biegnąc o brzasku ulicami miasta. Czuł, że nogi mu drętwieją, co stanowiło niezbitą dowód, że przez ostatnie dwa tygodnie zaniedbywał treningi. Te osiem kilometrów które zazwyczaj przemierzał, dzisiaj wydawały się dłuższe i brakowało mu tchu, choć Hershey galopował obok bez wysiłku.

Zeby nadażyć za psem, będzie musiał zapomnieć o tym jednym okazjonalnym papierosie. Zresztą Abby ciągle się go o to czepiała. Wprawdzie nie mówiła słowa, ale gdy wracał ze swoich „spacerów”, zalatując dymem, patrzyła na niego złym okiem i marszczyła nos. Normalnie od razu by wygarnęła, co myśli, ale gdy prowadził poważną sprawę, zazwyczaj mu trochę odpuszczała. A on z tego korzystał. - To cena bycia żoną supergliny - pokpiwała sobie, choć od kiedy urodziła Benjaminą, jej uwagi stały się bardziej uszczypliwe, bardziej się obawiała o życie męża. - Już nie jesteśmy sami, detektywie - przypominała.

Jakby nie wiedział.

Obiegłszy cały kwartał, skręcił za róg; gdy mijali budynki mieszkalne z szerokimi balkonami z kutego żelaza o wymyślnych wzorach, czekoladowobrazowy labrador zaczął pozostawać nieco w tyle. Nad włazami kanalizacyjnymi unosiły się kłęby pary, ulice były niemal puste, nie licząc kilku przechodniów, których Montoya wyminął w biegu; w nielicznych oknach paliło się światło.

Montoya zmusił się, by przyspieszyć.

Dotarłszy do rzeki, wbiegł na promenadę wiodącą wzdłuż brzegu i głęboko wciągnął w płuca powietrze nasiąknięte oparami Missisipi. Słyszając kłapanie jego stóp, stadko pelikanów poderwało się w górę, a Hershey tylko popatrzył tęsknie za ptakami, lecz nie pomknął za nimi.

- Dobry pies - pochwalił go Montoya zdyszczanym głosem, po czym znów wrócił myślami do śledztwa i do faktu, że zabójca, na szczęście, nie uderzył ponownie.

A przynajmniej nikt o tym nie wiedział.

Federalni węszyli, grupa zadaniowa zwieriała szyki, prasa domagała się informacji, a wszyscy w wydziale w napięciu oczekiwali na kolejne morderstwo kolejnej nowicjuszki lub prostytutki uduszonej garotą lub różańcem, zgwałconej i zostawionej ze zniszczonym studolarowym banknotem. Jednak do dziś nikt nie doniósł o żadnym tego typu wydarzeniu. Bentz rozmawiał z doktor Sam, psychologiem z radiowego programu *Zwierzenia o północy* ze stacji WSIJ, która przed kilku laty była celem jednego z napadów Ojca Johna. Doktor Sam zapewniła, że ani ona, ani stacja nie miały żadnych niezwykłych telefonów, co o czymś świadczyło, ponieważ Montoya był zdania, że każdy, kto podnosi słuchawkę i dzwoni do psychologa na antenie, ma niezłego hyzia. No bo kto przy zdrowych zmysłach mówi o swoich najbardziej osobistych problemach, gdy słucha go cały Nowy Orlean? Z drugiej strony, trzeba przyznać, że mało jest tego typu programów, jak choćby *Jerry Springer* czy *Sędzia Judy*, podczas których ludzie zwierają się ze swoich najbardziej prywatnych spraw.

- Nie pojmuję tego - wyznał Hersheyowi, podskakującemu obok na smyczy.

Montoya, ociekając potem, biegł dalej w świetle poranka i oparach mgły unoszącej się znad rzeki; w głowie miał chaos.

Pamiętnik siostry Camilli otworzył mu oczy, lecz nie znalazł tam nic poza kilkoma pozbawionymi sensu zapiskami i opisami seksualnych zbliżeń - wszystkie z anonimowymi partnerami. Montoya krzywił się, czytając o pierwszym zbliżeniu Camilli, zwłaszcza że wyznawała, iż sprawił jej zawód; w tamtym czasie liczyła na znacznie więcej, niż mógł jej ofiarować napalony licealista.

Wydawało się, że kolejni kochankowie bardziej przypadli jej do gustu. Montoya studiował pamiętnik, próbując dopasować nazwiska do wydarzeń, łącząc kilka na podstawie dat z Brandonem Kee-fe'em, facetem, z którym Camilla była niegdyś zaręczona, a który teraz mieszkał z żoną i dwojgiem dzieci w Kalifornii, oraz z jeszcze jednym gościem, który osiedlił się w parafii St. Marguerite's,

Joshua Lassiterem. Jednak oba związki miały miejsce, zanim Camilla wstąpiła do klasztoru. Byli też inni kochankowie, których nazwisk nie podała, no i z ostatniego okresu niezaprzeczalnie ojciec Frank. Czy mógł być ktoś jeszcze? Kto, nie wiedzieli.

Blackberry należący do Camilli również nie zawierał łatwych do udowodnienia tropów, ale technicy jeszcze nie skończyli go badać, mimo że wszystkie wiadomości, kontakty i stare rozmowy zostały z aparatu usunięte. Poza ostatnią wiadomością głosową i dwoma nagraniami wideo.

Ten sukinsyn był ostrożny i cholernie działał Montoi na nerwy.

Laboratorium nadal próbowało dopasować próbki krwi, jednak jak na razie nie natknęło się na poważnego kandydata na ojca dziecka. Sprawdzono nawet mężczyzn pracujących w parafii - dozorcę Elwina Zaana, konserwatora Cliftona Sharkeya i ogrodnika Nerona Lopeza.

Rażącym przeoczeniem był brak próbki ojca Thomasa, od którego nie pobrano krwi, bo nie można go było zastać w St. Elsinore's.

Dziwne.

Niemniej Montoya wątpił, żeby ojciec Thomas okazał się ojcem dziecka. Pograżony w myślach, zaczął biec w stronę kawiarni, w której zazwyczaj kupował kubek ulubionej kawy. Przy kasie zapłacił, dostał kubek z wodą dla psa i w słoiku na drobne zostawił napiwek dla Jessiki, ekspedientki, puszystej Afroamerykanki o włosach posrebrzonych siwizną. Popijając parujący napój z papierowego kubka, szedł w stronę domu i rozciągał mięśnie. Hershey, w końcu zmęczony, z wywieszonym językiem, truchtał za nim.

Wszystko było jak zwykle.

Poza tym, że teraz ulicami jego miasta, Nowego Orleanu, znów krążył groźny zabójca.

Najpierw siostra Camilla, potem Asteria McClellan. Dwie zakonnice, które, o ile Montoya wiedział, łączyły tylko parafie: St. Elsinore's, z której obie były adoptowane, i St. Marguerite's, gdzie mieszkały i gdzie zamierzały złożyć śluby zakonne.

Różniły się od siebie jak dzień od nocy - tak powiedziałaaby jego matka. Siostra Camilla przebojowa, spontaniczna, flirciara i, jak się okazało, osoba, która nie traktowała poważnie ślubów czystości. I siostra Asteria, która nie prowadziła skandalicznego pamiętnika i nie zaszła w ciążę. Zgodnie z opinią ekspertów medycyny sądowej, była dziewicą.

Obie te ofiary odurzono narkotykami. Obie miały we krwi ślady rohypnolu. Zakonnicom podano pigułkę gwałtu. O co w tym, do cholery, chodzi?

Nie nadeszły jeszcze informacje na temat Grace Blanc, a zeznania Włoszki, pani Rubino, która widziała księdza przez wizjer w drzwiach, okazały się bardzo powierzchowne. Starsza kobieta była głuchawa i miała bardzo słaby wzrok, więc gdyby nawet stanęła na podium dla świadków, jej zeznania zostałyby z miejsca podważone przez każdego obrońcę strony oskarżonej, nawet jeśli byłby wart tylko tyle, ile tusz użyty do podpisu na jego dyplomie.

Cholerny chaos! Montoya, popijając kawę, przeciął trawnik i podszedł do wejścia. Na werandzie zrobił jeszcze kilka ćwiczeń rozciągających, potem skończył kawę i zgniótł kubek. Pies sąsiadów, dalmatyńczyk Apollo, na widok Hersheya zaczął się łaścić i skomleć.

- Nie! - mruknął Montoya, zanim jeszcze Hershey zdążył na niego spojrzeć lub wbiec do domu. - Siad!
- Ściągnął koszulkę i wytarł nią łapy wiercącemu się niecierpliwie psu. - Hej! Uspokój się wreszcie. -
Gdy już łapy labradora były mniej więcej czyste, Montoya otworzył drzwi i pies pognął do środka jak strzała.

- Próbujesz zarobić punkty? - spytała Abby. Była w szlafroku, włosy miała związane na czubku głowy. Stała przy kuchennym zlewie, krojąc jakieś owoce. Kawa się parzyła, a Benjamin spał w swoim leżaczku ustawionym na blacie.

- U ciebie? - zapytał Montoya, a potem mrugnął. - Zawsze, maleńka.

- O Jezu, Montoya, ale ty masz gadane! Aż zwała z nóg. - Abby pomachała ręką przed twarzą, jakby nagle zrobiło jej się słabo i zaraz miała zemdleć; potem śmiejąc się, wróciła do krojenia kantalupy i arbuza.

Niemowlę westchnęło przez sen, co ogromnie wzruszyło Montoyę. Uśmiechnął się i pogładził pulchne policzki Bena, przyglądając się, jak poruszają się jego usteczka.

- Cruz już wstał?

- Jeszcze nie - odparła Abby, patrząc na męża wymownie. - Jest dopiero wpół do siódmej. Jedyni ludzie, którzy są na nogach o tej porze, to karmiące matki i supergliny.

- Jasne.

Brat Montoi wpadł na kilka dni, żeby spędzić z nim i Abby trochę czasu, odwiedzić matkę i resztę rodzeństwa. Ale choć tego nie powiedział, Montoya podejrzewał, że Cruz przyjechał, bo chciał jeszcze raz zobaczyć się z Lucią Costą, dziewczyną, którą znał w liceum, a którą interesował się też wydział; w końcu to ona odkryła zwłoki zarówno siostry Camilli, jak i siostry Asterii.

Montoya uważał, że Lucia nie mówiła całej prawdy, ale na razie nie doszedł, co może ukrywać.

Uważał też, że Cruz, interesując się nią, nie pomaga śledztwu, a w gruncie rzeczy może mu nawet poważnie zaszkodzić.

- Mówię serio. Normalni ludzie śpią jeszcze o tej porze.

- Tak, tak, ale wiesz, jak jest.

- Wiem, kiedy prowadzisz poważną sprawę, nie możesz spać, a to znaczy, że ja też nie. - Abby westchnęła, przekroiła następną kantalupę i zaczęła nożem wybierać pestki.

Montoya, kierując się w głąb domu, zatrzymał się, żeby lekko trzepnąć żonę w pośladek przeupoconym i brudnym T-shirtem.

- Hej! Uważaj, bo będziesz miał kłopoty - ostrzegła Abby, grożąc mu nożem.

- Och, już nie mogę się doczekać.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego z uśmiechem. Nie umiał się oprzeć i objął ją ramionami.

- Naprawdę.

Abby zerknęła na dziecko śpiące w leżaczku, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Miałeś chyba być wcześniej w pracy.

- Myślę, że potrafiłabyś mnie przekonać do zmiany planów. -Pocałował ją w usta, rozpoznając gorączkowe, znajome uczucie, ten żar we krwi, który pojawiał się zawsze, gdy żona oddawała mu pocałunek. Czasem zastanawiał się, czy możliwe, by kiedyś się nią nasycił. Wsunął język między jej wargi, a rękę pod szlafrok, szukając osłoniętej koronką biustonosza pełnej, twardej, wypełnionej mlekiem piersi.

- Mm... - mruknęła i w tej samej chwili odezwał się jego przeklęty telefon.

Montoya go zignorował, ale Abby się odsunęła.

- Obowiązki cię wzywają.

Widząc, że zamierza się sprzeciwić, uniosła brew, jakby przypominając o ich sprzeczce sprzed kilku dni - dotyczącej odpowiedzialności spoczywającej na ojcach i mężach, niezgodnej z obowiązkami policjanta.

- A niech to! - zaklął.

- Właśnie - zgodziła się, choć bez szczególnego sarkazmu. -A niech to.

Cmoknął ją szybko w policzek i odebrał połączenie.

- Montoya.

- Mamy coś - obwieścił Bentz zachrypniętym głosem, jakby się dopiero obudził.

- Co? - zapytał Montoya, już całkowicie skupiony na telefonie.

- Ten konserwator. Clifton Sharkey? Był wcześniej zatrzymany. Za napad.

- Jak mogliśmy to przeoczyć?

- To było dwadzieścia lat temu, w Kanadzie. To za mało, żebyśmy mogli zrobić coś poza ściąganiem go na kolejne przesłuchanie, ale i tak to już coś.

Wreszcie! Jakiś przełom. Może.

Montoya poczuł przyływ adrenaliny, to znajome, przyjemne mrowienie, które się pojawiało, gdy śledztwo nabierało tempa. Tak! Biegł już na dół do łazienki.

- Będę na komisariacie za dwadzieścia minut - powiedział.

- Ale, Montoya - odezwał się Bentz w słuchawce - tak dla pewności.

- No?

Montoya kopnięciem zamknął drzwi łazienki i odkręcił kurek.

- Ja nadal obstawiam OToole'a.

- Nie możemy zapominać o naszych obowiązkach, nawet podczas żałoby - mówiła matka przełożona podczas kolejnego zwołanego po śniadaniu spotkania, trzeciego w tym tygodniu.

Wszystkie zakonnice i nowicjuszki siedziały na twardych krzesłach sali na tyłach katedry, gdzie odbywały się seminaria, zebrania lub wspólne modlitwy. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny, okna były zamknięte, tablica za plecami siostry Charity czysta jak nigdy.

Podczas przemowy matki przełożonej ojciec Paul i ojciec Frank stali przy drzwiach. Na twarzy starszego z księży widniał lodowaty, wymuszony uśmiech. Ręce miał skrzyżowane przed sobą.

Ojciec Frank przez ostatni tydzień postarzał się o dobre dziesięć lat. Jego ciemne włosy, zazwyczaj ostrzyżone i starannie uczesane, były w nieładzie, srebrzyły się w nich siwe pasma. Na brodzie miał cień zarostu, oczy zapadnięte i podkrążone, jakby życie, a nawet wiara, zostały wysrane z jego duszy.

Nieustannie poruszał palcami. Nerwowo. Zachowanie człowieka dręczonego własnymi grzechami.

Lucia zauważyła, że siostra Louisa, bardzo smutna, usiłowała napotkać jego spojrzenie, ale ojciec Frank był pogrążony we własnych myślach. Fizycznie znajdował się w sali, ale sercem i duszą przebywał bardzo, bardzo daleko.

Ale nie tylko on był wytracony z równowagi. Lucia przypuszczała, że wszyscy w St. Marguerite's są wstrząśnięci i zastanawiają się nad przyszłością parafii. Nie tylko duchowni. Świeccy pracownicy też się denerwowali.

Dozorca Elwin Zaan stał teraz z ponurą twarzą, oparty o swoją miotłę.

Neron Lopez, zawsze wesoły ogrodnik, przez ostatni tydzień nie był w stanie się uśmiechnąć. Lucia kilkakrotnie widziała, jak

się zegnał, zerkając na wieże katedry, jakby się spodziewał, że podczas grabienia ogrodu i wyrywania chwastów trafi go grom z jasnego nieba.

Regina, wiecznie skwaszona kucharka, przestała na wszystkich pokrzykiwać i wyłożyła na wierzch noszony na szyi krzyżyk, który błyszczał mocno, kołysząc się na łańcuszku, gdy zagniała ciasto lub nalewała warzachwią zupę do waz. Jej szczekliwe komendy stały się mniej wyraźne i krążyła plotka, że zamierza odejść. Eileen, recepcjonistka o kędzierzawych, niebieskich włosach, nosząca spodniemy niebieskie jak włosy, większą część tygodnia spędziła, ocierając ukradkiem łzy z oczu. Tylko Clifton Sharkey, konserwator, który naprawiał wszystko od butów do maszyn, wydawał się niczym nieporuszony, choć bardzo się pocił. Gdy Lucia spojrzała w jego stronę, zobaczyła, że znów ociera czoło.

- To dla nas czas połączenia i zbliżenia. Nie dopuszczajcie lęku do swoich serc... - przemawiała dźwięcznym głosem matka przełożona, chodząc tam i z powrotem przed biurkiem stojącym pod oknem. Wszystkie zakonnice w St. Marguerite's były zdenerwowane, nie miały teraz poczucia, że w murach klasztoru są bezpieczne.

Rozmawiały o tym, pracując w ogrodzie, jadąc do St. Elsi-nore's lub wykonując zleczone im prace. Przez cały czas w przerwach między zaplanowanymi modlitwami, medytacjami i służbą dla potrzebujących, szeptały, dzieląc się swoimi obawami. Jeszcze poprzedniego wieczoru, przed nieszporami, w ogrodzie zebrało się kilka zakonnice. Lucia, stojąc w tej grupie i wyczuwając zdenerwowanie kobiet, uważnie wpatrywała się w pływające w sadzawce złote rybki o błyszczących łuskach.

- Czemu spotkało to Asterię? - pytała siostra Dorothy, obracając w pulchnych palcach paciorki różańca. - Ona była przecież taka... dobra, taka czysta.

- Och, proszę cię - szepnęła siostra Maura, obrzucając niższą od siebie zakonnice pochmurnym spojrzeniem. - Naprawdę myślisz, że o to chodzi? Że zginęła, bo była nieczysta? - Maura zadrżała, jakby ją musnął lodowaty powiew, choć tego dnia upał

panował w ogrodzie, w którym brzęczały pszczoły, a kolibry krążyły nad wonnymi pąkami magnolii.

- Niemożliwe.

- Ale ona była czysta - potwierdziła słowa Maury siostra Angela, patrząc znad wąskich okularów i kiwając głową.

- Sądzisz, że czystość uchroni kogokolwiek przed szaleńcem? - wzburzyła się Maura. - Bo właśnie z szaleńcem mamy tu do czynienia.

Lucia pomyślała o głosach, które słyszała w głowie, i postanowiła się nie odzywać. Niemniej w głębi duszy zgadzała się z Dorothy i Angelą.

- Ale ja tylko mówię - odezwała się nerwowo Dorothy - że musiały istnieć jakieś powody, dla których siostra Camilla została zabita... - Kobieta umilkła i zrobiła na piersiach znak krzyża.

- Może nie powinniśmy o tym rozmawiać - rzekła spokojnie siostra Zita, która zawsze była głosem rozsądku, po czym zdjęła z rękawa habitu jakiś niewidoczny kłaczek.

- Ona ma rację - przyznała Devota. - Żadna z nas nie jest w stanie pojąć, na czym polega kara boska.

- Kara boska? - powtórzyła Maura, a dwie wrony zaskrzeczały głośno z dachu kaplicy. - Myślisz, że to była kara boska? Dorothy odpowiedziała:

- Cóż, ona była... no wiecie. - Zakonnica zaczerwieniła się aż po korzonki włosów, krótkie, ciemne i kędzierzawe, które w całości zakrywał welon. - Z ojcem Frankiem OToole'em.

- Ale jego nikt nie zabił - zauważyła Louisa, czerwieniąc się i z przestachem robiąc znak krzyża.

- Jeszcze nie - rzuciła Angela cicho i z lękiem.

- Nigdy! - Louisa gorączkowo pokręciła głową. - On jest... on jest...

- On miał romans z siostrą Camillą.

- Wiem, ale...

- Ale co? - spytała wzburzona siostra Maura. - To Camilla była wszystkiemu winna? Wiem, że żyjemy tu w zacofanym, archaicznym świecie, ale Camilla nie była bardziej winna niż ojciec Frank. On jest przecież księdzem, Louiso!

- Cii... - uspokajała siostra Irena, nieco sepleniąc. Musiała mocno wygiąć szyję, żeby spojrzeć w oczy siostry Louisy. - To w niczym nie pomaga - dodała, kładąc swe smukłe palce na jej ramieniu.

- Racja - zgodziła się Devota. - Najlepiej będzie, jeśli przestaniemy plotkować. Nasze troski powinnyśmy przekazywać Ojcu Świętemu w czasie modlitwy. On udzieli nam rady i wskaże, co jest słuszne i jak powinnyśmy postąpić.

Maura wywróciła oczami i nerwowo potarła palcami grzbiet modlitewnika.

- Ty lepiej przypomnij sobie, że żyjesz w XXI wieku - poradziła.

- A ty pamiętaj o złożonych ślubach - skarciła ją Devota, wykrzywiając blade usta. - Same wybrałyśmy tę profesję, to życie. Więc powinnyśmy je szanować.

- I odprawiać pokutę, gdy nachodzą nas grzeszne myśli -zgodziła się posepnie siostra Edwina. - Można znaleźć dobry sposób na taką pokutę.

Siostra Lucia przypomniła sobie, że siostra Edwina, urodziwa i pełna wdzięku, wierzyła w skuteczność samobiczowania. Przynajmniej tak twierdziła siostra Camilla. A poza tym, czy Lucia sama nie widziała Edwiny nocą na korytarzu w koszuli pokrytej czerwonymi plamami?

Siostra Louisa, skarcona, westchnęła przeciągle. Było oczywiste, że jak wiele innych dziewcząt zadurzyła się we Franku O'Toole'u. Czy on je uwodził? Czy może raczej, mając świadomość własnego uroku, po prostu pozwalał im się w sobie zakochiwać? A może wszystko działo się w podświadomości, a niektóre zakonnice po prostu snuły fantazje na jego temat?

Ale teraz to przecież bez znaczenia, myślała Lucia. Przerażało ją, że ostatnie wypadki w klasztorze tak bardzo je wszystkie od siebie odsuwały.

Przez chwilę miała nawet ochotę opowiedzieć towarzyszkom o obecności zła, które wyczuwała, o tym, że demon nie zakończył jeszcze swej śmiercionośnej pracy, ale zmieniła zdanie, napotkawszy stroskane spojrzenie siostry Devoty.

Lepiej nie straszyć ich jeszcze bardziej. Zresztą po co mają myśleć, że jestem wariatką.

- Uważam, że nie powinniśmy spekulować - oświadczyła. Siostra Zita ją poparta.

- Siostra Lucia ma rację. Nie rozumiemy i nie zrozumiemy, jakimi drogami chadza wola naszego Stwórcy. - Przesunęła spojrzeniem po twarzach zakonnic zebranych na dziedzińcu. - Może zamiast tego powinniśmy się po prostu modlić.

- I to bardzo szczerze - dodała z żarliwością Dorothy. - Bo nie wiemy, która będzie następna.

- Ani czy będzie następna - wtrąciła siostra Angela, poprawiając wąskie okulary i ocierając kroplę potu spływającą z czoła.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie - zgodziła się Louisa, a Lucia uzmysłowiła sobie nagle, że chyba po raz pierwszy brak jej cichego nucenia roznoszącego się po St. Marguerite's, którego korytarze, ciche, spokojne i mroczne, przypominały ostatnio grobowiec.

Strach udzielał się wszystkim w St. Marguerite's.

Siostra Angela była blada i mizerna, siostra Maura pochmurniejsza niż zwykle, siostra Louisa już nie śpiewała, a siostra Edwina, zazwyczaj wyprostowana jak struna, chodziła ze zwieszonymi ramionami.

I nawet siostra Devota, tak pobożna, wydawała się zamyślona i przygnębiona.

Wszystko było naprawdę przykre.

St. Marguerite's nagle i niespodziewanie zostało ukazane w jaskrawym świetle, co się okazało ogromnie krępujące. Przed bramami parkowały wozy telewizyjne, a dziennikarze, stojący z mikrofonami na tle imponującej świątyni, wciąż od nowa powtarzali historię dwóch martwych zakonnic, opisywali szczegółowo przerażające morderstwa popełnione na siostrze Camilli i Asterii, nie pozwalając zapomnieć mieszkańcom Luizjany o masakrze, jaka się wydarzyła w murach klasztoru.

Kościół przeżywał szturm tłumnie przybywających na msze parafian, którzy zjawiali się z czystej ciekawości, jak również zwiększony ruch pojazdów i przechodniów na ulicach otaczających teren katedry.

Policyjne samochody, kręcące się w pobliżu o każdej porze, nie przyczyniały się do poprawy nastrojów, podobnie jak dodatkowe zamki w drzwiach. Lucia wiedziała, że zło czai się wewnątrz. Czowała to wyraźnie i niemal widziała ciemne, skradające się potwory o błyszczących ślepiach, wykrzywionych ustach i ociekających krwią, długich kłach.

Nawet w miejscu poświęconym w kaplicy, gdy modliła się na klęczkach, z pobożnie złożonymi dłońmi, nadal słyszała szept zła, czuła jego gorący oddech na karku, jej serce zaczynało łomotać i nie mogła zaznać spokoju, który zawsze na nią spływał podczas modlitwy.

Czy to z jej powodu zło krążyło po korytarzach klasztoru? Czy to jej chwiejna wiara doprowadziła do tych strasznych wydarzeń? Nie! Oczywiście, że nie! To szaleństwo tak myśleć.

Ale czy zło za nią nie podążało?

Czy nie była jedyną osobą, która słyszała jego ohydny syk? Nikczemny i złowróźbny głos? Jedyną, która wykonywała jego polecenia, gdy kazało jej odszukać nie jedną, ale dwie martwe kobiety? Była wybranką samego Szatana. A to znaczyło, że jeśli nie chce, aby ktoś jeszcze doznał krzywdy, musi opuścić ten bezpieczny raj, dom, w którym zamieszkała z zupełnie niewłaściwych powodów.

A byłyby potrzebne były dodatkowe argumenty, mówiące, że powinna stąd odejść, coś bardziej realnego od głosów, które słyszała nocą, to był jeszcze fakt, że Cruz Montoya ją tu odnalazł.

Zupełnie niewłaściwie zareagowała na jego obecność.

Tak fizycznie. Tak... zmysłowo. Sama jego bliskość okazała się niszcząca dla jej ślubów. Czy ich pocałunek, dotyk ust, który przywołał lawinę wspomnień i atak pożądania, nie stanowił wystarczającego powodu? Cruz Montoya oznaczał kuszenie. Niebezpieczeństwo.

Właśnie to słowo wyszeptwała do niego przed laty.

Wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszała przerażający, syczący głos bestii i poczuła jej zgniły, mdlący odór.

- A więc najważniejsze, abyśmy podążały za głosem naszych serc, dochowywały naszych ślubów, były wierne naszemu

powołaniu - mówiła siostra Charity, wpatrując się w Lucię i chodząc tam i z powrotem przed tablicą, jak nauczycielka usiłująca przekazać swoje nauki znudzonym, obojętnym uczniom.

Lucia z całych sił starała się wyglądać na przejętą; nie mogła pozwolić, żeby matka przełożona poznała jej prawdziwe intencje.

- Musimy żyć tak jak przedtem. Tego właśnie pragnęłyby siostra Camilla i siostra Asteria, i tego chce również nasz Ojciec Niebieski. Co nie znaczy, że mamy o nich zapomnieć lub że przestaniemy o nich myśleć; znaczy to tylko, że mamy iść dalej, oddając chwałę Bogu, wykonując jego pracę tu, na ziemi. A siostra Camilla i siostra Asteria są już teraz z błogosławioną Maryją Dziewicą i jej Synem, Jezusem Chrystusem.

W tym momencie ojciec Paul skinął głową i razem z ojcem Frankiem wystąpił do przodu, podchodząc bliżej matki przełożonej. Wszystkie oczy skupione były na nich i zdawało się, że twarz siostry Louisy promienieje, gdy patrzyła na młodszego z księży. Wszyscy to zauważyli; siostra Devota zerknęła na Lucię i pokręciła głową.

Ale siostra Louisa nadal promieniała, nawet gdy ojciec Paul rzekł:

- Siostra Charity ma rację. Musimy dalej wypełniać nasze obowiązki, bo to jest boża służba. Bez względu na to, czy uczycie dzieci, opiekujecie się bezdomnymi, pocieszacie chorych, wasza praca jest ważna. Musimy trzymać się razem, musimy być nie-ulęknięci. Nasza służba będzie kontynuowana, a my w niej wytrwamy. Nie pozwolimy, by poplecznik mrocznego anioła przebił nam serca kołkiem strachu. - Ojciec Paul przesunął wzrokiem po zebranych, sprawdzając, czy ktoś mu się sprzeciwi. Gdy już się przekonał, że jego słowa przykuły uwagę słuchaczek, jego głos złagodniał. - Nadal jak zawsze będziemy wypełniali nasze obowiązki i oczekuję, że wszyscy tu zebrani wezmą udział w aukcji w St. Elsinore's, która odbędzie się jutro wieczorem. Ojciec Thomas dedykuje to wydarzenie pamięci siostry Camilli i siostry Asterii. To piękny gest i my w St. Marguerite's wesprzemy go całym sercem. - Spojrzenie duchownego wyrażało stanowczość. -

A teraz... - rzekł, przywołując na twarz uśmiech, który zapewne jego zdaniem powinien rozgrzać nawet najbardziej zamknięte, opuszczone serca - módlmy się... - Ojciec Paul złożył dłonie i pochylił głowę. - Ojciec nasz...

Lucia również schyliła głowę, zerkając jednocześnie na siostrę Edwinę; ich spojrzenia na sekundę się spotkały. I w tym momencie Lucia zrozumiała, że nie pomogą żadne słowa pocieszenia.

Edwina, tak jak pozostałe zakonnice, była śmiertelnie przerażona.

Rozdział 43

Myślę, że ta wiadomość - Valerie wskazała palcem zapisaną na ulotce o aukcji w St. Elsinore's notkę brzmiącą: „C U N 7734 C V” - oznaczała: „Spotkamy się w piekle, Charity Varisco”. Odchyliła się w krzesło, żeby Slade, który robił w kuchni kanapki, mógł jeszcze raz rzucić okiem na tę zaszyfrowaną informację. Nie był to oczywiście oryginał ani nawet kopia, lecz to, co Valerie zapamiętała i nad czym się zastanawiała przez ostatnie trzy dni.

- Możliwe - mruknął Slade bez przekonania, wnosząc do pokoju talerz z kanapkami z tuńczykiem i korniszonami, i stawiając go przed żoną. - Proszę, to dla ciebie.

- Dzięki. - Posłała mu uśmiech, gdy się pochylił, owiewając ją wonią swojej wody po goleniu kojarzącą się z czystością, rześkością i przywołującą nieproszone wspomnienia o tym, jak czasami kochali się z rana w świeżej, wysuszonej na słońcu pościeli, pieszczeni wpadającymi przez otwarte okno ciepłymi promieniami teksańskiego słońca. Śpiew ptaków mieszał się wówczas ze skrzekiem sójek i z porykiwaniem krów.

Ścisnęło ją w gardle, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskni za ranczem. Jak bardzo tęskni za Slade'em.

Ale on, jeśli nawet zauważył jej reakcję, nie zdradził się z tym, tylko uważnie wpatrywał się w notatkę. Val odchrząknęła.

- Ja... hm... sądzę, że część wiadomości to szyfr, którego Camilla użyła, dopisując inicjały matki przełożonej, bo pewnie w tym momencie była na nią wściekła.

- W takim razie, co znaczy druga notatka?

- Nie jestem pewna. - Val nabazgrała na ulotce drugi tajemniczy zapis: TO BF 2 M&M. - Ale pracuję nad tym. - I mówiła prawdę. W ostatnich dniach, kiedy tylko nie była zajęta pracą w zajeździe lub nie próbowała dociec, dlaczego Camilla została zabita, nieustannie rozmyślała o zagadkowych zapiskach i o rzeczach siostry znalezionych w kartonach. - BF to chyba *best friend* (najlepszy przyjaciel), a co do M i M, które mogą oznaczać każdego, to sądzę, że Camilla mogła mieć na myśli naszych rodziców, to znaczy naszych biologicznych rodziców. Mike'a i Mary Brownów.

- Których nie znaleźliśmy.

- Bo może nie istnieli. I w tym cały kłopot.

- A kto jest tym TO? - dociekał Slade.

- Wydaje mi się, że chodzi o Thelmę O'Malley - odparła Val.

- A nie o Toma, jak ten ksiądz z St. Elsinore's?

- Chyba nie, a poza nim nikt inny nie przychodzi mi na myśl. Thelma to wdowa, która przywiozła nas do sierocińca i która twierdziła, że nasi rodzice zginęli.... Ale nie mogę jej odszukać. Sprawdzałam Thelmę O'Malley, panią Stanley O'Malley, S. O'Malley i T. O'Malley. Dzwoniłam nawet do ludzi o tym nazwisku, ale wciąż jestem w punkcie wyjścia.

- Mówiłaś o tym policji? Pokręciła głową.

- Nie, bo nie jestem pewna. Mam tylko przeczucie i niejasne domysły. Pamiętnik Camilli ma policja. - Sfrustrowana, czując w gałkach ocznych klucie znamionujące zbliżający się ból głowy, Val odchyliła się w krześle, opierając się plecami o pierś męża. Slade się wyprostował, gdy dodała: - Ale bardzo bym chciała znaleźć tę Thelmę.

- Jeśli jeszcze żyje.

- Tak. - Wzrok Val padł na ulotkę zawiadamiającą o aukcji w St. Elsinore's. - Może odpowiedź kryje się tutaj - rzekła, stukając palcem w fotografię sierocińca wydrukowaną na błyszczącym papierze. Na ulotce widniała lista wystawionych na aukcję przedmiotów, a także ogłoszenie o wycieczce do Las Vegas. Była tam również wzmianka o miejscowych celebrytach, którzy zamierzali pojawić się na aukcji: wśród nich główny rozgrywający z drużyny New Orleans Saints, arcybiskup i radiowa psycholog, doktor Sam.

- Na terenie parafii?

- Aha. Może w dokumentach z archiwum, którego matka przełożona nie chce otworzyć - wyjaśniła Val, mając na myśli siostrę Georgię, pozornie ciepłą i miłą, ale twardą jak granit pod maską życzliwości. - Muszę w jakiś sposób do nich dotrzeć.

Slade położył dłoń na jej ramieniu.

- Daj spokój, Val. To zadanie policji - rzekł z powagą.

Od dnia, gdy do domu żony zakradł się intruz, Slade wciąż się o nią martwił, czemu Val wcale się nie dziwiła. Sama była wystraszona i nie oponowała, gdy zmienił wszystkie zamki w domku i w motelu, naprawił zatrzaski w oknach i na stałe zagnieździł się w jej salonie.

I tak jakoś ze sobą współistnieli mimo napięcia wywołanego śledztwem oraz ukrytych lęków, jakie nie opuszczały ich nawet na chwilę. Razem pracowali w domu, potem wychodzili, ponieważ Val pokazywała Slade'owi Nowy Orlean - od podrzędnych barów na Bourbon Street do bogatych, eleganckich rezydencji na plantacjach nad rzeką pod miastem.

Gdyby Val dopuściła taką możliwość, byłaby nawet w stanie wyobrazić sobie, że znów zakochuje się w mężu, ale nie chciała pójść tą drogą. A przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Cruz Montoya zaczynał się czuć jak nieudacznik.

Nigdy nigdzie nie zagrzewał dłużej miejsca i teraz też zaczęła go nachodzić chęć, by udać się gdzieś dalej, poszukać zieleńszych pastwisk, wyruszyć na spotkanie wielkiej przygody życia.

Niezbyt starannie złożył pasiastą kołdrę, która służyła mu za okrycie przez ostatni tydzień, i skierował się do łazienki. Pretekst, by tu zostać, stanowiła oczywiście rodzina. Bardzo dobrze rozumiał się z Abby, zachwycił się maleńkim synkiem Reubena, spędzał dużo czasu z matką i resztą rodzeństwa, ale prawdziwą kotwicą, która go trzymała w Nowym Orleanie, była Lucia Costa. Wmawiał sobie najróżniejsze kłamstwa, wymyślał historyjki, udawał, że istnieją ważne sprawy wiążące go z miastem, ale prawda była taka, że był zafascynowany Lucią tak samo jak dziesięć lat temu.

Mimo że została cholerną zakonnica. Chryste, matka nieźle by się wkurzyła, znając jego myśli.

Na szczęście nie jest jasnowidzką.

Jak Lucia?

Och, do diabła, prawdopodobnie właśnie to go do niej przyciągało. Nie jej lśniące ciemne włosy, błyszczące oczy i dumnie uniesiony podbródek. Ani wąska talia i duże piersi, przyciągające uwagę mężczyzn, ani nawet jej ostry intelekt. Ta jej przeklęta umiejętność zagładania do umysłów innych ludzi tak przykuła jego uwagę, że nie mógł się wyzwolić.

Jasne.

Kogo chcesz oszukać, Montoya?

Wyszedł z sypialni i omal nie nadepnął na tego przeklętego kota... Ma chyba na imię Ansel, pomyślał. Albo jakoś podobnie. Kot, spojrzawszy na niego złotymi ślepiami, prychnął i czmychnął.

- Widzę, że bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliście - zauważyła Abby. Siedziała w salonie, przeglądając zdjęcia dziecka. Profesjonalna fotografka, wzięła urlop na kilka pierwszych miesięcy życia Bejamina, ale mimo to znajdowała czas, żeby pstrykać setki fotek.

Hershey, leżąc u jej stóp, uniósł łeb i uderzył grubym ogonem w podłogę.

- Przynajmniej pies mnie lubi.

- Nie podniecaj się zbytnio. On nie jest szczególnie wybredny. Lubi każdego, od opryskliwego śmieciarza po moją siostrę Zoey, której wiele osób po prostu nie cierpi. - Abby zerknęła na Cruza. - Ja zresztą też jej nie znoszę.

- Coś o tym słyszałem. - Zoey, starsza siostra Abby, mieszkała w Seattle. Relacje między siostrami były, jak raz zwierzył się Cruzowi Reuben, napięte i dość trudne.
- Nie zrozum mnie źle, kocham ją całym sercem i wszystko bym dla niej zrobiła, ale czasami strasznie działa mi na nerwy.
- Kapuję. - Cruz dogadywał się z całym rodzeństwem, choć oczywiście z jednymi lepiej, z drugimi gorzej. - W dzbanku jest kawa, ale chyba będziesz ją musiał sobie podgrzać. Stoi już od jakiegoś czasu. Twój brat wyszedł z samego rana.
- Słyszałem. - Cruz nalał kawy do kubka, który wstawił do mikrofal, potem pobawił się z Benjaminem, siedzącym w leżaczku i wodzącym za nim ciemnymi oczkami. - Jesteś bardzo podobny do swojego tatusia - szepnął do chłopca, który miał złocistą cerę Reubena, a włosy niemal równie czarne i trochę kręcone. Abby się roześmiała.
- Wszyscy tak mówią.
- Ale dasz sobie w życiu radę - rzucił Cruz do bratanka, który w odpowiedzi uśmiechnął się do niego szeroko bezzębnymi usteczkami. - Babki będą za tobą przepadały.
- Daj spokój, dobrze? Ma dopiero trzeci miesiąc. „Babki” będą musiały poczekać, aż skończy dwadzieścia... nie, trzydzieści lat!

Mikrofała zadzwoniła i Cruz wyjął kubek, parząc sobie palce o nagrzane ucho. Ostrożnie zaniósł go do łazienki, gdzie wypił kilka łyków, po czym wszedł pod prysznic, rozkoszując się strumieniem gorących igiełek, które masowały mu skórę. Gdy otoczyła go para, przypomniał sobie tę mglistą noc sprzed laty, kiedy samochód wpadł w poślizg, a on na zawsze stracił Lucię. Tak mu się przynajmniej wydawało. Może teraz pojawiła się druga szansa.

A może nie?

Jak brzmiało to zdanie, które często powtarzała ich babka? „Jesteś kowalem własnego losu, Cruz. Nie zapominaj o tym”.

Sięgając po mydło, uznał, że najwyższy czas, aby potraktował radę *abueli* poważnie.

Posterunek przypominał dom wariatów. Pojawili się dwaj federalni, których Bentz znał z Los Angeles, ale na razie nie przejmowali dowodzenia, tylko zapoznawali się ze sprawą. Dziennikarze rozbili się na zewnątrz, czekając na więcej informacji. Na gorący telefon w dzikim tempie spływały donosy i był jeszcze Clifton Sharkey, jeden z nowych głównych kandydatów na podejrzanego. Montoya był zawalony robotą - sprawdzał informacje przy swoim biurku albo rozmawiał z innymi detektywami w kafeterii lub w sali grupy zadaniowej. Ledwie miał czas zjeść lunch, wielokrotnie przeglądając wiadomości, odbierając mejle, kończąc raporty i cały czas marząc, by Clifton Sharkey okazał się zabójcą, którego w końcu będą mogli wsadzić za kratki.

Nie zamierzał się oszukiwać. Chciał, żeby się okazało, iż jedynym przestępstwem OToole'a było złamanie celibatu. Po prostu Montoya nie mógł sobie wyobrazić w roli zabójcy chłopaka, którego znał z liceum, sportowca, który wziął go pod swoje skrzydła.

Mimo że pragnął zachować obiektywizm, cały czas miał wielką nadzieję, że mordercą okaże się ktoś inny. Było już popołudnie, gdy wszedł do biura Bentza i spostrzegł na biurku partnera informacje na temat Sharkeya. Facet już został ściągnięty na posterunek i teraz mieli ustalić zasady prowadzenia przesłuchania.

- Zarzuty mają dziesięć lat - przypomniał Bentz to, co już podał podczas wcześniejszej krótkiej rozmowy telefonicznej. - Zarzuty o napaść. Ale zostały odrzucone. Przemoc domowa. Zona. - Siedząc przy swoim biurku ze ściągniętymi brwiami, koszulą rozpiętą pod szyją, przekrzywionym krawatem i okularami do czytania na czubku nosa, Bentz przeglądał kopie starych raportów. - Wygląda na to, że złamał jej rękę. Trafiła do szpitala, ale gdy przyszło do złożenia oskarżenia, wycofała się.

- Typowe. - Montoya stykał się z tym wielokrotnie. Mechanizm przemocy przechodzący z pokolenia na pokolenie.

Bentz spojrział na niego znad okularów.

- No więc on i jego żona mają razem sześcioro dzieci, dwoje wnuków i nadal są małżeństwem, choć w separacji. Od czasu tego

wydarzenia. - Wskazał na raport z obrażeń odniesionych przez Henriettę Sharkey. - Mieszkają oddzielnie.

- Bez rozwodu?

- Katolicy do szpiku kości. - Bentz w zamyśleniu podrapał się po brodzie. - Tego typu incydenty więcej się nie powtórzyły. I od tamtego czasu facet przesyła żonie lwią część swojej wypłaty.

- W ramach pokuty - mruknął Montoya.

- Możliwe. - Ale Bentz nie wyglądał na przekonanego. - Trudno orzec.

- Coś jeszcze?

- Tak, jego alibi na noc, w którą zginęła Camilla Renard, nie jest pewne. Twierdził, że był z synem numer dwa, oglądali mecz, ale kiedy zadzwoniłem do tego syna dzisiaj rano i trochę go przycisnąłem, przyznał, że stary Cliffie był tej nocy w domu i oglądał porażkę Huston Astros.

- Niech go przyprowadzą.

- Brinkman już mu przekazuje dobre wiadomości.

- Ale to ci się nie spodoba. - Bentz pokręcił głową. - Inne alibi, na noc zabójstwa Asterii McClellan i Grace Blanc, są dobre. - Spojrzał Montoi w oczy. - To się nie trzyma kupy, prawda? Chyba że mamy jeszcze jednego mordercę, który narkotyzuje zakonnice, zmusza je, by włożyły suknie ślubne, nim zadusi je czymś, co przypomina różaniec, i na ich szyjach wymaluje krwią wzór różańca. - Bentz westchnął. - Mogę uwierzyć, że ktoś zabił prostytutkę. Ale zakonnice? - Jego brwi uniosły się aż do nasady włosów. - Kurka wodna, nie ma mowy.

- Kurka wodna? - powtórzył Montoya.

Bentz uśmiechnął się z zawstydzaniem i skinął głową, wskazując ostatnie zdjęcie swojej córeczki oprawione w złotą ramkę i ustawione na półce za jego plecami.

- Tak, Liwie powiedziała, że muszę przestać kłąć, bo Gin-ny nauczy się brzydkich wyrazów. - Kiwnął głową. - Trudno się z nią nie zgodzić.

Trzecia strona?

Historia o zamordowanej prostytutce dopiero na trzeciej stronie? - Idioci!

Nie mogę uwierzyć w ten brak profesjonalizmu, czytając wieczorną gazetę w migotliwym świetle lampy naftowej, owiewany gorącym podmuchem wiatru znad moczarów. Historia o zejściu tej dziwki Grace Blanc powinna zajmować całą pierwszą stronę.

Co za imbecyl decyduje o rozmieszczaniu artykułów?

Śmieszne!

Krew we mnie burzy się od tej zniewagi i odrzucam gazetę. Później ją spalę.

Świerszcze i żaby znów robią swój wieczorny harmider, gdzieś w oddali słychać sapanie pociągu - jego samotny, ostry gwizdek - przetaczającego się przez las wysokich cyprysów o białej korze.

Zorientowawszy się, że zrobiło się już późno, włączam radio i słucham programu, jej niedorzecznego radiowego programu poświęconego niesieniu pomocy wszystkim niespokojnym duszom zaniepokojonym obecną życiową sytuacją. Słyszę „Jo” - a może to „Joe”? - z Aberdeen w Waszyngtonie, skarżącą się na brak uwagi ze strony męża, na to, że więcej czasu spędza przy komputerze w sztucznym, obcym świecie Internetu niż z rodziną. Potem mówi Karen z jakiegoś miasta w Ohio, którego nazwę z trudem można wymówić, uskarżająca się na swoją kilkunastoletnią córkę, która wymyka się nocami z domu prawdopodobnie po to, by spotykać się z chłopakiem pochodzącym zdecydowanie ze „złego środowiska”. I jeszcze Ozzie z Birmingham, którego żona chce trzeciego dziecka i straszy go rozwodem, jeśli się nie zgodzi. Ozzie nie widzi powodu, żeby powiększać stadko; dwóch synów mu wystarczy - żona przeżyje bez małej córeczki.

Na te zwierzenia Samantha, doktor Sam, odpowiada spokojnie i klarownie, jakby wiedziała, o czym mówi.

Idioci.

Głupcy.

Spoglądam na aligatora gapiącego się na mnie szklanymi, wszytkowiedzącymi ślepiami, i zdaję sobie sprawę, że moja praca nie jest skończona.

Podnoszę pogniecioną gazetę i rozkładam ją na starym, porysowanym blacie zrobionym z drzwi opartych na dwóch koziółkach stolarskich. Czytam artykuł po raz czwarty, wyłapując błędy, zastanawiając się, skąd ten, pożałuj Boże, dziennikarz brał „fakty”. Czy policja umyślnie wprowadziła go w błąd? A może to przypadek nierzetelnego dziennikarstwa? Gdzie, do licha, po-dziewał się redaktor? Dlaczego nie zażądał więcej informacji i nie kazał umieścić historii o śmierci prostytutki na pierwszej stronie?

W obecnych czasach nie ma już profesjonalistów.

Na tym polega problem tego kraju! Wszechobecny brak rzetelności we wszystkim.

Trzecia strona jest nie do zaakceptowania.

To się musi zmienić.

Jestem tak wściekły, że widzę szkarłat w ślepiach Ipany, który ze swojego miejsca na ścianie szczerzy do mnie kpiąco swoje parszywe zębiska.

- To debile - mówię do niego. - Kretyni! - Po mojej skórze przebiega dreszcz obrzydzenia.

Przerzucam strony gazety. Widzę, że księżyc jest wysoko na niebie, jego mdławe srebrzyste światło wpada do środka przez małe okienko. Zamykam oczy i wsłuchuję się w rytm łagodnego, pewnego siebie głosu Samantha.

„Tu doktor Sam - mówi gładko. - Wszystkiego najlepszego, Nowy Orleanie. Żegnam się ze wszystkimi i niech was Bóg ma w swojej opiece. Pamiętajcie, nieważne, jakie problemy macie dzisiaj, bo zawsze jest jeszcze jutro”. Pauza.

Czekam, słysząc chlupot wody obijającej się o słupy, na których wspiera się moja chata. Jakaś ryba wyskakuje nad powierzchnię. Potem:

„Słodkich snów” - mówi na antenie melodyjnym, ciepłym głosem przy wtórce cichnącej melodii, którą zawsze nadają na koniec jej programu.

Czuję, że kąciki moich ust układają się w ironiczny uśmiezek.

Słodkich snów?

Mało prawdopodobne.

I czy „zawsze jest jeszcze jutro”?

Nie sądzę.

A w zasadzie zamierzam udowodnić, że na pewno go nie ma.

Rozdział 44

Koszmar powrócił.

Późną nocą, niczym zaciekły wysłannik Szatana.

Bestia wkradła się do podświadomości Val po cichu, niespodziewanie. Mroczna i wysoka postać z wijącym się srebrzystym wężem w rękach.

Język gada, rozdwojony na końcu, wysuwał się i chował, drgał, smakując powietrze. Oczy przesłonięte były nieprzejrzystymi błonami, wgłębienia w podłużnym łbie zdawały się pulsować przepływającą żyłami krwią.

- *Też jesteś na liśście* - syczała żmija złowieszczco, nie poruszając powiekami. - *Nie unikniesz końca!*

- I wciąż się zbliżała, prześlizgując się między uzbrojonymi w pazury palcami swego pana, odsłaniając białawe wnętrza paszczy i kły ociekające perłowymi kroplami jadu.

- Val, nie! Uważaj! - krzyknęła Camilla, a Val spostrzegła ciemny kształt, przemykające obok widmo o lodowatym oddechu.

Zaczekaj! Camillo, czekaj na mnie! - wołała, ale te słowa, nie mogły wydobyć się z jej ust.

- *Za późno* - zaskrzeczała bestia z wężem ochryłym głosem starej wiedźmy. - *Ona już odeszła.*

- Nie!

- *Dostała tylko to, na co zasłużyła* - rzekł demoniczny stwór. - *I dobrze o tym wiesz.*

- Nie! Cammie! Wracaj! - Val szukała wszędzie. Jej serce dziko łomotało. Tragiczne odejście Camilli budziło w jej duszy dudniące echo. - Nie zostawiaj mnie - zatkąła. - Proszę cię, Cammie, wróć. Nie chciałam tego. Nie chciałam cię wyrzucić... Cammie! - Gorące łzy spływały po policzkach Val.

- *Za późno. Ona odeszła! Jest martwa!* - odezwał się wąż, ohydny, przerażający gad.

Val chciała krzyknąć. Potwór trzymający węża odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem ostrym, zgrzytliwym jak odgłos pazurów drapiących po tablicy.

Val poczuła mrowienie na skórze i gdy spojrzała w dół, przekonała się, że jej ciało staje się lśniące, pokryte lśniącą szarą łuską.

Wielka bestia znowu wydała z siebie ohydny rechot, pokazując małe szczurze ząbki, osadzone w czarnych dziąsłach i wilgotne od trucizny.

- *Też jesteście na liściach!*

Wąż zaatakował z błyskiem w lśniących, wygłodniałych ślepiach.

Val krzyknęła, osłaniając się przed ukąszeniem.

- Valerie! Valerie! - Głos Slade'a przypląwał z bardzo daleka i roznosił się głośnym echem, jakby Slade stał na końcu długiego tunelu, krzycząc do niej na całe gardło. - Val, na rany boskie, obudź się! Zamrugła.

Ciemność zniknęła, zastąpiona miękkim blaskiem nocnej lampki. Slade pochylał się, położywszy dłonie na ramionach Val, potrząsał nią, żeby oprzytomniała i zepchnęła przerażające koszmary na dno umysłu.

- Och... Boże.

- Nic się nie stało. To tylko sen - szepnął.

- Nie... to było takie rzeczywiste. - Ale mówiąc to, zdała sobie sprawę, że kłamie. Widząc, że jest w swojej małej sypialni, czując, że rozsądek zwycięża nad nierealnymi strachami, zaczęła się uspokajać, napięte mięśnie się rozluźniły, a fragmenty snu odpłynęły w nicość.

- Ciii. - Slade objął ją ramionami i położył się na łóżku, na narzucie. - Już wszystko dobrze - szepnął i ucałował ją w czubek głowy.

Twarz Val była mokra od łez.

Wdzięczna za jego siłę i spokój, gdy sama była w tak strasliwym zamięcie, rozplakała się, przywierając do męża. Ponieważ straciła siostrę, ponieważ Camilla złamała śluby zakonne, ponieważ nigdy nie pozna swej siostrzenicy lub siostrzeńca, ponieważ sama najwyraźniej zmierzała do zniszczenia własnego małżeństwa. Z jej gardła wydobywał się przejmujący szloch. Choć nie chciała tego przyjąć do wiadomości, prawda była taka, że już nigdy nie zobaczy Camilli. Już nigdy nie będą się razem śmiały do łez, do utraty tchu. Nigdy nie będą się kłócić zawzięcie, nieustępliwie.

- Och, Cammie - zawodziła. - Och, Boże.

Slade przez cały ten wybuch trzymał ją mocno, tuląc bez słowa, jego równy oddech mierzwił włosy Val.

- Tak mi przykro - wykrztusiła.

- Cii...

- Nie, Slade, naprawdę strasznie mi przykro - powiedziała, gdy wściekłość i rozpacz przygasły. - Żałuję, że tak cię potraktowałam, że cię obwiniałam, chociaż powinnam była wiedzieć...

- Już po wszystkim - rzekł, starając się ją uspokoić.

- Po wszystkim? Mówisz o nas? Już za późno? Chwilę milczał, a potem szepnął:

- Nie wiem.

Ona też nie wiedziała. „Uważaj, czego sobie życzysz”. Tysiące razy słyszała to powiedzenie. I życzyła sobie, aby jej rozwód przebiegł jak najszybciej. Przeklinała dzień, w którym poznała Slade'a.

Przeklinała samą siebie, że tak szybko wyszła za męża. A teraz...

Leżąc w łóżku, wciąż jeszcze lekko odurzona nocnym koszmarem, czując siłę Slade'a i jego stanowczość, pamiętając, jak bardzo ją kochał, pojęła, że popełniła błąd.

- Ja... ja cię kocham - wyznała łamiącym się głosem.

- Wiem.

Pociągnęła nosem.

- Wiesz?

- Wiem i czekałem, kiedy to zrozumiesz.

- Co? - Odsunęła głowę, żeby na niego spojrzeć. - Żartujesz sobie, prawda? Poza tym, kiedy ktoś obnaża przed kimś swoją duszę i wyznaje miłość, normalną odpowiedzią jest: Ja też cię kocham.

- Ale to przecież wiesz. Wyznawałem ci miłość wielokrotnie. Val wzięła głęboki oddech.

- Poczekaj chwilę. Coś mi tu nie gra... Dlaczego nie teraz? Dlaczego nie możesz powiedzieć tego w tej chwili?

- Ponieważ byłaby to normalna, spodziewana reakcja. - Jego oczy nieznacznie pociemniały. - A ja nie chcę, żebyśmy wpadli w rutynę. Nie chcę tego, co oczywiste. Zwyczajne. Chcę ci wyznawać miłość wtedy, kiedy czuję to całym sercem.

- Za każdym razem?

- Tak - potwierdził. A potem ją pocałował. Długo. Mocno. Z tą samą namiętnością, której nie mogła zapomnieć. Zamknęła oczy, a Slade błyskawicznie ściągnął spodnie i koszulę, zgasił lampę.

To działo się naprawdę. Znowu z nim była.

Dłonie Slade'a głaskały jej plecy, jego usta smakowały znajomo. Przyciskał je niecierpliwie do jej ust - ciepłe, pożądliwe - a ona odpowiadała, rozchylając wargi i czując dotyk jego języka na zębach.

Ogarnęła ją fala gorąca i coś jeszcze, to szczególne mrowienie, które zaczynało się w dole pleców i wznosiło się, rozkwitając coraz wyżej.

Pocałował jej policzek, potem zagłębił szyi, a Val przechyliła głowę, zapominając o wszystkim, skupiona tylko na nim, na mężczyźnie, który był jej mężem.

Zsuwał się wargami niżej, ożywiając napiętą cienką skórę na obojczyku, koncentrując się na pulsie, który tętnił w tym miejscu coraz mocniej. Zamknęła oczy, pogrążając się w doznaniach, jakie budziły jego dłonie, które odnalazły jej piersi i zaczęły je

najpierw delikatnie, a potem gwałtowniej ugniatać. Jej oddech stał się szybszy, dopasowując się rytmem do jego oddechu.

- Slade - szepnęła w ciemność, gdy odnalazł ustami sutek i leniwie go oblizał.

Zadrżała, czując, jak głęboko w jej wnętrzu rodzi się tętniące ciepło. Zwilgotniała od potu. Owładnęło nią pożądanie, była przesycona zapachem Slade'a, jego dotykiem.

Kiedy dmuchnął na jej wilgotny sutek, z trudem powstrzymała się od krzyku wyrażającego, jak bardzo go pożąda. Wsunęła mu palce we włosy, a on przycisnął do niej głowę i zaczął ssać.

O Boże!

Pożądanie przepływające gorącymi falami wprawiało jej ciało w łagodny, podniecająco rytmiczny ruch. Wbiła palce w jego ramiona, a on kontynuował eksplorację, ześlizgując się jeszcze niżej, rozchylając jej nogi, dotykając jej, smakując.

Przeszył ją płomienny dreszcz, wygięła ciało w łuk. Coraz gorętsze i szybsze spazmy przenikały Val, gdy Slade zagłębiał się w nią palcami i językiem. Myśli miała wypełnione tylko nim, jej ciało domagało się więcej, gdy prześliznął się w górę, układając się między jej nogami, scałowując z jej skóry pot.

Jęknęła cicho, głaszcząc jego ramiona i plecy, od tych pieszczot jego mięśnie stwardniały.

- Ostrożnie - ostrzegł, gdy przesunęła dłonie po płaskim brzuchu do bioder.

- Nie. - Pocałowała go żarliwie, rozkoszując się słonawym smakiem jego języka, wchłaniając jego świeży zapach, odkrywając na nowo płaszczyzny i zaokrąglenia jego ramion i klatki piersiowej, twardość pośladków i napiętą skórę na udach.

Dotykała go wszędzie, całowała, gdzie mogła, pieściła, dopóki miała śmiałość, aż poderwał ją w górę, biorąc w objęcia. Potem, trzymając mocno pod sobą, oparł się na łokciach i, patrząc jej w oczy, kolanami rozszerzył jej uda.

Westchnęła, gdy nad nią zawisł.

Potem czekała.

Oblizwała wargi.

Ale Slade się nie poruszył. Tylko się w nią wpatrywał.

- Slade? - powiedziała w końcu.

- Tak?

- O co chodzi? Dlaczego nie...?

Uśmiechnął się szeroko, jego białe zęby błysnęły w blasku wpływających przez otwarte okno promieni księżyca.

- Już. Za chwilę.

- Gdy nastanie ten moment?

- Uhu. - Odsunął włosy z jej twarzy, a Val poczuła, że drżą mu dłonie. - Kocham cię, Valerie - powiedział zdławionym głosem i głęboko się w niej zatopił. - A niech to wszyscy diabli, kocham cię! Czy mogłaby to zrobić? Naprawdę?

Odejść z St. Marguerite's na zawsze?

Przełykając ciężko ślinę, Lucia skradała się mrocznymi korytarzami klasztoru na palcach, żeby nikt jej nie usłyszał. Jej naprędce stworzony plan, do powstania którego impulsem były raczej błędy młodości niż czas spędzony w St. Marguerite's, formował się w jej umyśle, dojrzewając przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Jeśli odejdzie teraz, póki jeszcze głos w jej głowie nie jest tak donośny i natarczywy, może zdoła uratować życie kolejnej zakonnicy.

Może nawet własne.

Z mocno bijącym sercem, czując krople potu na dłoniach i między łopatkami, skulona, przemykała jak duch pod kinkietami długim labiryntem korytarzy.

Przy każdym rogu spodziewała się, że wpadnie na kogoś lub na coś, choć nie wiedziała, co to miałyby być. Nie chciała wiedzieć. Dzisiaj głos w jej głowie milczał, ale śmiertelnie się bała, że znów go usłyszy i że on znów pchnie ją w stronę przerażającej sceny zbrodni, gdzie kolejna z jej przyjaciółek, kolejna kobieta, która poświęciła życie Bogu, będzie leżała zimna, nieżywa, z martwym spojrzeniem.

Drżąc, szła dalej, w dół schodów, jej stopy wydawały szelest cichy jak trzepot ćmy. Gdy znalazła się za kaplicą w korytarzu prowadzącym do biura matki przełożonej, przyspieszyła.

Wydało jej się, że prócz własnego oddechu i bicia serca słyszy czyjeś kroki, szuranie skórzanych podeszew o stare, twarde drewniane klepki.

To tylko twoja wyobraźnia. Przecież wszyscy śpią. Nikt cię nie goni. Jesteś tu sama w środku nocy. Ale to nie była prawda. O północy korytarzami chodziły siostra Camilla i siostra Asteria, czyż nie? Policja twierdziła, że na miejsce zbrodni dotarły na własnych nogach. A czy ona w noc morderstwa nie widziała, jak ktoś wymyka się z kaplicy? I jeszcze siostra Edwina - czy Lucia nie widziała jej na korytarzu nocą?

Na pewno nie tylko ona po nich krążyła.

Lucia stanęła.

Wstrzymała oddech.

Zamknawszy oczy, zaczęła w napięciu wsłuchiwać się w ciszę. Czy to kroki?

Nie. A może po prostu już ucichły?

Otworzyła oczy i obejrzała się przez ramię, spoglądając na długi, mroczny korytarz, w którym poza słabymi plamami światła wokół kinkietów panowała zupełna ciemność. Czy czai się w niej demon?

Czy jego krwawe ślepie kryją się w tych mrokach? Czy czeka, szczerząc kły?

Serce biło jej z częstotliwością tysiąca uderzeń na minutę, pot ściekał z czoła. Otarła go rękawem habitu, mówiąc sobie w duchu, że nie może dopuścić, aby strach ją sparaliżował. Szła więc dalej, ledwie dotykając stopami podłogi, aż w końcu dotarła do tylnych drzwi biura siostry Charity, o których wiedziała, że zawsze są otwarte.

Zagryzając wargi, przekreśliła gałkę, pchnęła drzwi i przekroczyła próg.

Cicho zamknęła za sobą drzwi i ruszyła do biurka matki przełożonej.

W ciemności uderzyła nogą w ostry kant regału z książkami.

- Sss. - Wciągnęła powietrze, tłumiąc okrzyk bólu. Nikt w klasztorze nie mógł znać jej planów. Nikt.

Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności, którą rozpraszał tylko blask księżyca, wydobywając z mroku nieliczne meble stojące w pokoju. Starając się nie robić najmniejszego hałasu, podeszła do biurka i stanęła, by uspokoić oddech i łomoczące serce. Wyteżając słuch, sięgnęła po słuchawkę telefonu. Znów wydało jej się, że słyszy kroki. Zamarła z ręką nad słuchawką.

Nie... nic się nie dzieje.

Przestań wreszcie panikować i rób, co należy!

Bezszelestnie podniosła słuchawkę z widełek i słysząc głośny, płaski dźwięk aktywnej linii, wykreśliła zapamiętany numer. Komórki Cruza Montoi.

Z bijącym sercem, modląc się w myślach, wsłuchiwała się w monotony sygnał.

Zdrowaś Mario, łaski pełna... Piii...

Pan z tobą... Piii...

Błogosławionaś...

- Cruz Montoya. - Głos miał stłumiony, zaspany. Kolana ugięły się pod Lucią i musiała przysiąść na brzegu

biurka. Serce tłukło się w niej jak oszalałe. To był błąd!

- Halo? - pytał, teraz już zły. - Halo! Och, na rany Chry...

- Tu Lucia - szepnęła szybko, próbując się opanować. Mówiła za głośno. Ktoś z pewnością ją usłyszy.

- Lucia? - powtórzył.

- Tak! Możesz się ze mną spotkać?

- Co?

- Powiedziałam...

- Wiem, co powiedziałaś, ale teraz? - Mówił już mniej zaspanym głosem, jakby wreszcie oprzytomniał.

- Za jakieś pół godziny.

- Wiesz, która jest?

- Oczywiście. Ale muszę się z tobą zobaczyć. To pilne. Cisza.

- A więc zmieniłaś zdanie, że nie chcesz mnie więcej widzieć? Już zapomniała, jaki potrafił być irytujący.

- Proszę cię, Cruz. Potrzebuję twojej pomocy. Cisza. Lucia liczyła sekundy. Przy piątej rzekł:

- Okej... - rzucił niepewnie. Serce jej się ścisnęło.

- Nie zadzwoniłabym, gdyby to nie było ważne! - szepnęła, bojąc się, że nie zrobi tego, o co go prosiła. I wtedy co? Nie miała planu B.

- W takim razie gdzie? Mam przyjechać do klasztoru? - spytał nieufnie, jakby podejrzewał ją o pódstęp.

- Nie! - Lucię ogarnęło przerażenie. - Tutaj nie przyjeżdżaj. Spotkajmy się... na stacji benzynowej przy minimarkecie na Rampart.

- Mówisz poważnie? - W jego głosie brzmiało powątpiewanie.

- Tak - zapewniła i obejrzała się przez ramię, odnosząc wrażenie, że pokój ma oczy i uszy, że ktoś ją obserwuje. Zadrzała, wstrząśnięta lodowatym dreszczem. - Jestem poważna jak nigdy w życiu. I wtedy usłyszała. Odgłos kroków.

Serce podeszło jej do gardła. Powoli odłożyła słuchawkę i uważając, żeby znowu nie uderzyć w kant, skryła się za szafką.

Wstrzymała oddech, słysząc zbliżające się kroki.

Nie wchodź tu. Proszę, proszę, proszę... nie...

Potem, słysząc, że kroki zatrzymały się tuż za drzwiami, odruchowo z całej siły chwyciła za gałkę.

Ktoś po drugiej stronie próbował ją przekręcić.

Lucia, napinając mięśnie, trzymała mocno.

Nacisk ustał.

Ona jednak nie puszczała gałki. Ten ktoś znów chciał ją przekręcić.
Pot lał się jej z czoła, kapał na ręce. Gałka lekko się przekręciła, ale Lucia nie puściła.
Usłyszała, że po drugiej stronie ktoś sarknął z niezadowoleniem; potem nacisk zelżał.
Lucia zagryzła wargi, nie ruszając się z miejsca.
Kroki się oddalały. W głąb korytarza. W którym kierunku?
Gardło miała wyschnięte jak powietrze pustyni. Ciało mokre od potu.
Czy odważy się wyjść, wystawić głowę z biura siostry Charity? I co z tego, jeśli nawet ktoś ją na tym przyłapie? Nie! Nikt nie może mnie zobaczyć, bo wtedy nie będę mogła się spotkać z Cruzem! Czas ucieka. Odliczyła sześćdziesiąt sekund i już miała otworzyć drzwi, gdy do jej uszu dotarł trzask zamka. Co się dzieje? Skąd to?
Odwróciła głowę, szukając źródła dźwięku.
I znów rozległy się ciche kroki, tym razem nadchodzące zza głównych drzwi biura, z poczekalni, gdzie stało biurko Eileen Moore.
Och, słodki Jezu!
Za kilka sekund ten, kto stał za drzwiami, wejdzie do środka. Nie ma już czasu, żeby przebiec przez pokój i zamknąć drzwi na klucz!
Lucia doszła do wniosku, że pozostaje jej tylko ucieczka. Z trudem panując nad napiętymi do ostateczności nerwami, odczekała pół sekundy, a potem, w chwili gdy dobiegł ją zgrzyt przekręcanej gałki w głównych drzwiach, otworzyła te na zapleczu i wymknęła się za nie, zamykając je za sobą bezszelestnie.
Potem rzuciła się do ucieczki, biegnąc lekko, jakby unosiła się w powietrzu, zamiatając brzegiem habitu podłogę.
Za róg skrzyła w momencie, gdy drzwi, przez które właśnie umknęła, znów się otworzyły.
Intruz zorientował się, że nie były zamknięte na klucz.
Domyśli się, że ktoś był w środku.

Och, dobry Boże!

Lucia miała nadzieję, że zdąży uciec, zanim ten ktoś zorientuje się, że była w biurze. Modląc się żarliwie w myślach, pomknęła po schodach, ale gdy dotarła na ich szczyt i zamierzała wspiąć się na kolejną kondygnację, znów usłyszała ten głos, ohydne, ochryple warczenie, głośnie jak jeszcze nigdy.

Psssttt.

Tym razem nie zamierzała tego słuchać.

Tym razem przerwie wiążący ją okrutny łańcuch.

Tym razem, być może, uratuje komuś życie. Jednak w jej wyobraźni obrazy już się przesuwały, szybkie czarno-białe ujęcia kobiety w sukni ślubnej, szarpiącej zaciskający się na jej szyi drut, poruszającej pod welonem ustami jak ryba wyjęta z wody desperacko próbująca nabrać powietrza przez niedrożne skrzela.

Czy było już za późno?

Wystraszona, spojrzała przez ramię, ale zobaczyła tylko ciemność.

Psssttt! - rozległ się ponury syk.

Złowróżbne bicie dzwonów oznajmiających północ nie zagłuszało ścigającego Lucię ohydneho rechotu, od którego lodowate ciarki przebiegły jej po plecach.

Rozdział 45

Montoya nie mógł spać.

Denerwował się śledztwem i nawet teraz, po długiej sesji miłosnej z Abby, przewracał się z boku na bok i rzucał na łóżku, nie mogąc uspokoić myśli.

Odwrócił się do żony, a gdy objął ją w pasie, Abby westchnęła z zadowoleniem i wtuliła się pośladkami w jego krocze, co znów obudziło w nim podniecenie.

Abby też to odczuła i rzekła:

- Na dziś koniec, detektywie. Nasz mały synek wkrótce się obudzi.
- Ale mój facecik jest zainteresowany.
- Więc mu powiedz, żeby dał sobie spokój. - Abby się odsunęła i westchnęła ciężko w poduszkę. Montoya przekręcił się na plecy, mówiąc sobie, że musi zwolnić i porządnie się zastanowić nad zwrotami w śledztwie.

Clifton Sharkey nadal był pod lupą z powodu niewiarygodnego alibi na czas morderstwa Camilli Renard. Przysięgał, że skłamał tylko po to, żeby się chronić, bo myślał, że zważywszy na jego przeszłość, gliny nie uwierzą, że był sam w domu.

Frank OToole również nie zniknął z radaru. Fakt, że schował się za prestiżem i popularnością ojca prawnika, wcale mu nie pomógł, przynajmniej zdaniem Montoi.

Ojciec Thomas Blaine miał wrócić do miasta następnego dnia. Montoya zamierzał spotkać się z nim w jego biurze z samego rana.

Był jeszcze Ojciec John.

Prawdziwy przestępca, bandzior, który powstał z martwych. A może to jakiś jego naśladowca? Montoya miał wrażenie, że zabójca, kimkolwiek, do cholery, był, po prostu się z nimi bawi, a morderstwo prostytutki miało ich tylko zmylić.

Gdzie, do licha, są te zaginione suknie ślubne? I czy to ma jakieś znaczenie, że dwie z ofiar, zakonnice, były adoptowane z St. Elsinore's? W przeciwieństwie do Grace Blanc, dziewczyny pracującej. W tej sprawie występowało zbyt wiele tropów, których w żaden sposób nie można było ze sobą powiązać. Wieczorem następnego dnia w St. Elsinore's miała się odbyć aukcja.

Montoya zamierzał się na niej pojawić.

Usłyszał jakiś hałas.

Dziecko?

Nie. To Cruz. Pewnie wstał, żeby pójść do toalety. Faktycznie. Montoya usłyszał szum spuszczonej wody, a potem kroki Cruza, który przeszedł korytarzem i otworzył drzwi wyjściowe.

Montoya zerknął na cyfrowy zegar. Dwunasta siedemnaście. Co, u licha?

Wytarabanit się z łóżka i w tym momencie dobiegł go dźwięk uruchamianego silnika harleya, a następnie pisk opon.

Przeszedł do tylnego wyjścia i wyrzwał na zewnątrz: zobaczył tylne światło motoru Cruza migające czerwono jak oko umierającego cyklopa.

- Hej! - zawołał, ale było za późno.

Odgłos nabierającego prędkości motoru zaczynał już cichnąć. Odwrócił się, żeby wejść z powrotem do domu i omal nie zderzył się z Abby, rozczochną i mrużącą oczy.

- Co się dzieje? - spytała, ziewając.

- Sam chciałbym to wiedzieć - odparł i zamknął drzwi. -Bardzo chciałbym to wiedzieć.

Posłała mu niewyraźny uśmiech.

- Mogę panu postawić drinka? - zażartowała.

- Trochę na to za późno, ale... - Wymownie uniósł brew.

- Ale? - powtórzyła, naśladując męża.

Objął ją i podniósł z ziemi. Pisnęła zaskoczona.

- Jesteś nieznośny, Montoya! - zawołała ze śmiechem.

- Jestem nieznośny, kobieto, i zamierzam ci pokazać, co to naprawdę znaczy.

- O Boże, chroń mnie przed mężem zgrywającym twardziela - powiedziała, lecz chichotała, kiedy ją całował, ostrzej niż zwykle powarkując w szyję.

A potem, pękając ze śmiechu, padli razem na łóżko. Cruz odjeżdżał w dal, w nieznanym kierunku.

Cruz czekał pod migoczącymi fluorescencyjnymi światłami stacji benzynowej. Lucia się spóźniała.

Może zresztą w ogóle nie zamierzała się zjawić. Nabiła go w butelkę.

Nie, to do niej nie pasowało. Zapalił papierosa, zgniótł pustą paczkę i powiedział sobie, że daje jej jeszcze pięć minut. Nie więcej.

A potem co?

Po prostu odjedziesz?

Nie ma mowy, twardzielu. Lucia ma kłopoty. Zaczekasz na nią.

Zniesmaczony, zaciągnął się mocno papierosem, przyrzekając sobie, że bez względu na wszystko, to jego ostatni szlug. Palenie rzucił wiele lat temu, ale kupił paczkę kilka dni temu z powodu Lucii.

Trochę mu odbiło, gdy ją znowu zobaczył.

Głupia wymówka.

Stacja była otwarta. Należała do całonocnych. Krostowaty chłopak w wełnianej czapce i roboczym kombinezonie z imieniem „Al” na naszywce na piersi obsługiwał dystrybutory i kasę. W ocenie Cruza mógł mieć nie więcej niż dziewiętnaście, może dwadzieścia lat, i stał tam, pochylony nad komórką, wystukując jak szaleniec jakiś tekst na klawiaturze, niemniej dyspozycyjny, gdyby ktoś podjechał i potrzebował obsługi.

Cruz palił w milczeniu, wyczuwając dudniący puls miasta, pomimo że wokół panowała cisza. Był przecież środek nocy. Ale Nowy Orlean nigdy nie śpi. Prócz wilgoci w powietrzu, którą cały nasiąkał, i smugami świateł, jakie na pobliskie ulice rzucały neonowe reklamy, był jeszcze podskórny prąd energii tętniący tuż pod powierzchnią nocy. Niewidoczny, lecz namacalny.

Na czerwonym świetle zatrzymał się samochód, stary Chevrolet, terkoczący i syczący na jałowym biegu; kierowca spojrzął w stronę stacji. Ale światło się zmieniło i gruchot odjechał, grzechocząc blachami karoserii.

Cruz sprawdził godzinę i potrząsnął kluczykami w kieszeni skórzanej kurtki. Gdzie ona jest, do diabła? Kątem oka dostrzegł ruch: jakaś kobieta przechodziła przez pustą ulicę.

Gdyby nie czekał na Lucię, nie rozpoznałby jej. W dżinsach i koszuli z długimi rękawami, w swetrze, z włosami splecionymi w warkocz przerzucony przez ramię, z plecakiem Lucia Costa wyglądała bardziej na studentkę wybierającą się na wycieczkę niż na kobietę, która niedawno zapewniała, że zamierza zostać zakonnica i złożyć śluby wieczyste.

Cruz zgasił butem camela i podszedł do harleya, którego chromowane rury wydechowe i czarny lakier były tak świejące, że motor w blasku fluorescencyjnych żarówek wydawał się mokry.

- Hej - rzucił z udawaną swobodą, pomimo że na sam widok Lucii puls mu podskoczył. - Co się stało? Co ty wyprawiasz?

- Uciekam - odparła, uśmiechając się nerwowo. Cruzowi ścisnęło się serce.

- Z klasztoru. - To było stwierdzenie.

- Tak.

- Jak stamtąd wyszłaś?

- Wszystkie wiemy, jak to się robi. To nie jest więzienie, chociaż ostatnio... - Obejrzała się lekliwie przez ramię. - Możemy już stąd iść?

- Dokąd?

- Gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

- O pierwszej nad ranem?

- Jeśli taka jest teraz godzina, to tak. - Jej duże, piwne oczy patrzyły na niego błagalnie. Pomyślał, że przecież nie ma nic do stracenia.

- Jasne - mruknął, zastanawiając się, czym to wszystko się skończy. - Wskakuj.

Siedząc w knajpce 24x24 w środku nocy, Lucia wiedziała, że postąpiłaby najuczciwiej, gdyby od razu poprosiła Cruza, żeby zawiózł ją na dworzec autobusowy, mówiąc, że nie chce go więcej widzieć i żeby za nią nie jechał.

Ale to doprowadziłoby do jeszcze większych kłopotów.

Kolejne kłamstwa.

Kolejne zawody i ból serca.

Przecież tak naprawdę nie może zniknąć.

Nie, musi wypełnić swój naprędce stworzony plan. Miał mankamenty, o czym wiedziała, liczyła jednak na wsparcie ze strony Stwórcy.

Musi oszukać Cruza. Za co później odpokutuje.

Błagam, pomóż mi, Boże, modliła się w duchu, maczając nasączone oliwą frytki w plamie ketchupu w koszyczku z krewetkami. Cruz znalazł pustawą knajpkę usytuowaną na obrzeżach miasta.

Skrzydła wentylatorów sufitowych obracały się leniwie nad długim, fornirowanym barem wykończonym metalem, i stojącymi przy nim pustymi stołkami obitymi sztuczną skórą. Jedyna kelnerka, szczupła Afroamerykanka, wkładała do wolno się okręcającej gabloty na desery grube plastry limonki, miseczki z kremem bananowym, porcje szarlotki i ciasta brzoskwińskiego, jeśli wierzyć napisom na kartonikach leżących stosikiem na ladzie.

Miejsce cuchnęło starym olejem, smażoną cebulą i dymem, który wnikał do sali jadalnej przez znajdujące się za barem kuchenne drzwi. Za rzędem zawieszonych na szafkach garnków i patelni Lucia zauważyła drugie drzwi, wychodzące na parking.

Kucharz w poplamionym tłuszczem fartuchu stał w cieniu, opierając się ramieniem o framugę, i mocno zaciągał się papierosem. Obok niego pomocnik kelnera, wsparty na miotle, zapalał papierosa. Cruz i Lucia usiedli przy stoliku w rogu, tyłem do podłużnego, wąskiego budynku, z dala od okien wychodzących na szosę. Lucia kończyła swoje krewetki; Cruz, ignorując cheeseburgera, rozpracowywał drugie piwo.

Jego lśniące czarne włosy były potargane, w oczach koloru ciemnej czekolady malowała się podejrzliwość. Mała blizna przecinająca brew i przypominająca Lucii o wypadku, w którym omal nie straciła życia, dzisiaj wydawała się wyraźniejsza.

- A więc opuszczasz klasztor i uważasz, że najlepszym sposobem jest ucieczka? - spytał, marszcząc czoło i przyglądając się jej uważnie. - Tak. - Dlaczego?

- Z powodu morderstw. Tam jest... niebezpiecznie.

- Boisz się, że zabójca dobierze się do ciebie?

Powinna mu powiedzieć o głosie, o swoim lęku, o tym, że musiała robić wszystko, co kazał jej głos, ale nie mogła - nie chciała wyjść na skończoną wariatkę.

Cruz i tak już sporo wiedział o jej paranormalnych zdolnościach, o tym jej przekleństwie.

- Ty znalazłaś ciała? Skinęła głową.

- Jak to się stało?

- Ja... ja nie spałam i coś usłyszałam. Nie umiem tego określić. Po prostu wyczułam, że dzieje się coś złego. - Blade określenie niepokoju, który nią wtedy owładnął, impulsu, by pójść tam, dokąd prowadził ją umysł, nacisku, z jakim poganiał ją syczący głos.

- I to ty przesłałaś komórkę Camilli Renard na policję, prawda?

- Och. Ty... wiesz?

- Dodałem dwa do dwóch. Najpierw natknąłem się na ciebie przy poczcie, a potem podsłuchałem, jak brat opowiada komuś przez telefon o tej komórce.

Lucia potwierdziła skinieniem głowy. Nie była w stanie kłamać.

- Camilla zostawiła ją u mnie. Dla bezpieczeństwa. Bała się, że siostra Charity ją znajdzie, a ona miała jeszcze blackberry... a potem... potem została zamordowana i nie wiedziałam, co mam zrobić.

- Byłyście sobie bliskie?

Lucia pomyślała o Camilli i zalała ją fala ogromnego smutku.

- Tak. - Spojrzała w pytające oczy Cruza. - Świat nie jest pozbawiony barw, czarno-biały jak habity zakonnice czy sutanny księży. Są w nim też różne szarości, a Camilla miała w sobie całą gamę tych odcieni. Raz czysta jak śnieg, potem czarna jak grzech, a najczęściej coś pośredniego. Ale tak, byłyśmy żyte i bardzo za nią tęsknię. - Zamrugnęła gwałtownie, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

Cruz odwrócił wzrok, potem dokończył piwo.

- Popęłniłam błąd, zatrzymując ten telefon, więc wysłałam go na komisariat. - Pokręciła głową i spojrzała w stronę drzwi. - Powinnam była od razu go oddać.

- Pewnie byłoby to prostsze.

W knajpce pojawiło się pięciu nowych klientów, którzy w przeciwieństwie do Lucii i Cruza zachowywali się głośno. Niezłe podpici, rozsiedli się przy stole od frontu. Byli to trzej napakowani mężczyźni z ogolonymi głowami, w obcisłych skórzanych spodniach i koszulach z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi tatuaże, oraz dwie kobiety, jedna w krótkiej spódnicy, rajstopach i wyciętej bluzce, druga w kusej sukience i kowbojskich butach.

Kelnerka podeszła do nich niechętnie i zaczęła zapisywać zamówienia, przerywane pytaniami i żartami, śmiechem oraz prośbą jednego z mężczyzn o „rundkę” piwa.

- Tylko niech będzie light - zażyczyła sobie kobieta w kowbojskich butach.

Jej koleżanka roześmiała się głośno, widząc, że ogoleni na łyso faceci kręcą głowami.

- Więc dlaczego ja? - spytał Cruz, spoglądając z uwagą na Lucię. - Skoro byłaś pewna, że nigdy więcej nie chcesz mnie widzieć na oczy?

Skrzywiła się i choć raz tej nocy postanowiła być szczerą.

- Wiedziałam, że przyjedziesz.

- Na szczęście, jeszcze byłem w mieście.

- Wiem. - Kiwnęła głową i przez słomkę wypila do końca swoją dietetyczną colę.

- I co teraz?

- Chcę, żebyś mnie stąd wywiózł. Zamurowało go.

- Mówię dosłownie. Myślałam o tym. Chcę jechać do Huston. Tam się zastanowię, co dalej.

- A co jest w Huston? - Nie ma tam St. Marguerite's. - Porzucisz stan zakonny?

- Nie wiem. Możliwe. Archidiecezja nic będzie zachwycona, kiedy wyjdzie na jaw, że uciekłam w środku nocy, nic nikomu nie mówiąc. Ale z samego rana zadzwonię do klasztoru. Powiadomię siostrę Charity, że mam się dobrze, że nikt mnie nie porwał ani... ani cokolwiek - dodała, myśląc o siostrze Camilli i Asterii.

Prawdopodobnie nie musiała być aż tak przebiegła. Domyślała się, że mogłaby po prostu poprosić go, żeby dokądś ją zawiózł

i tam zostawił. Ale czy to możliwe? Jeśli pobędzie z Cruzem dłużej, dotknie jego ręki, może nawet znów go pocałuje, czy będzie w stanie rozstać się z nim? Już w tej chwili nachodziły ją wątpliwości. Nie... tak będzie najlepiej.

- Muszę tylko skorzystać z toalety - rzekła.

- Ja też.

- Jest tylko jedna - zauważyła. - Damsko-męska.

- Panie pierwsze. - Skończy! piwo. - Tymczasem ureguluję rachunek. - Gdy wstał, Lucia wspięła się na palce i objąwszy go jedną ręką w pasie, wsunęła dłoń do kieszeni jego kurtki i lekko pocałowała w usta.

- Dzięki, Cruz - powiedziała, widząc, że jest zaskoczony. Palcami wyczuła kluczyki. Chwyła je, potem się odsunęła i pospiesznie odeszła przez salę.

Cruz patrzył za nią, jak otwiera drzwi do toalety.

Boże, błagam, niech tylko jeszcze nie zacznie szukać kluczyków, modliła się w duchu Lucia.

Z bijącym sercem skorzystała z toalety, umyła ręce i wyszła z łazienki akurat w chwili, gdy Cruz kładł pieniądze na stole. Miała sucho w gardle, dłonie spocone i czuła, że pogrąża się we własnej perfidii.

Och, Matko Boska, pomóż mi.

Spotkała Cruza w korytarzu. Miał ciemne, błyszczące oczy. On wie!

Nogi się pod nią ugięły.

Ku jej zaskoczeniu, przyciągnął ją mocno do siebie i przytulił.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedział, dmuchając oddechem w jej usta. - Bo ja nie mam zielonego pojęcia. -1 zanim zdołała się od niego oderwać, pocałował ją. Mocno. Namiętnie.

Poczuła szorstkość jego wąsów, smak piwa i papierosów. Gorączka krążąca w jego żyłach zaczęła się wsączać w jej ciało. Pragnę cię, pomyślała żarliwie.

Przywarła do niego na krótką, szaloną chwilę, poczuła żal i rozchyliła usta. Świat w tej chwili zupełnie przestał istnieć, odgłosy knajpki zagłuszyło bicie jej serca i pulsowanie pożądania we krwi.

Nie, nie, nie!

Ale nie umiała się zatrzymać. Nie mogła.

Gdy wreszcie podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, w jego wzroku dojrzała płomień namiętności. Intensywny. Czuła mrowienie w całym ciele. Jej puls przyspieszył.

- To żaden grzech, gdybyś złamała śluby - rzekł zduszonym głosem.

- Ja... ja jeszcze nie złożyłam ślubów wieczystych.

- Lucio, zastanów się nad tym.

Serce jej się ścisnęło i zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek przestała go kochać. Przez lata wmawiała sobie, że jej fascynacja tym mężczyzną była tylko zauroczeniem nastolatki.

Ale teraz...?

Jednak kochanie Cruza to najgłupsze, co mogłaby zrobić.

Z trudem przełykając ślinę, ze straszliwymi wyrzutami sumienia, wiedząc, że go wykorzystuje zupełnie jak kobiety, którymi gardziła, powiedziała:

- Zastanowię się. - I choć faktycznie zamierzała zastanowić się nad porzuceniem stanu zakonnego, to wiedziała, że nie może, że nie powinna, nie potrafi zastanowić się nad ukrytym pod tą propozycją pytaniem. Nie istniała przyszłość dla nich dwojga. Ona wiedziała to już w tej chwili, a on miał się o tym dowiedzieć za kilka minut.

Pozwolił jej odejść i skierował się do toalety.

Lucia nie czekała. Chwyciła swój plecak, zarzuciła na ramię i ruszyła w stronę wyjścia na zapleczu, gdzie pomocnik opróżniał kubel, wrzucając śmiecie do dużego pojemnika stojącego przy parkingu. Smród zaschniętych resztek mielonej kawy, zgniłych warzyw i zepsutych ryb unosił się w powietrzu. Lucia jednak nie zwróciła na niego uwagi, biegnąc przez parking i powtarzając sobie, że jest w stanie to zrobić. Jest w stanie ukraść motocykl; pojechać nim, nie wpadając do rowu lub na inny pojazd. To jak jazda rowerem - tego się nie zapomina! Przynajmniej tak twierdził jej kuzyn Juan.

Miała nadzieję, że Juan choć raz wiedział, co mówi!

Dobiegłszy do harleya, wyciągnęła kluczyki. Serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe, dłonie miała mokre od potu tak, że omal nie upuściła kółka z kluczami.

No dalej, dalej, popędzała samą siebie. Minęły lata, odkąd jeździła motorem i wtedy była to mała honda kuzyna, o połowę słabsza od bestii Cruza.

Czując przyływ adrenaliny, przełożyła nogę nad siodełkiem, uruchomiła motor i ruszyła. Harley jęknął, opony zapiszczały.

Kask Cruza spadł z rączki kierownicy i potoczył się po asfalcie parkingu.

- Hej! - Usłyszała męski głos i gdy się obejrzała, zobaczyła Cruza na szeroko rozstawionych nogach, na tle świateł baru, przystojnego jak wszyscy diabli.

Krzycząc, rzucił się nagle biegiem, jakby dopiero teraz pojął, że Lucia zabrała motor i odjeżdża. Za późno.

Schyliła głowę i nacisnęła na gaz. Skręcając, wpadła kołem w dziurę w asfalcie, motor zachybotał, ale zaraz, gdy dotarła do jezdni, znów się wyprostował. Lucia trochę zwolniła, a potem pognała przed siebie.

Trzymaj się. Dasz sobie radę, przekonywała się w duchu, odmawiając jednocześnie krótką modlitwę, w razie gdyby Bóg jej słuchał.

Jasne światła reflektorów przecinały gęstą ciemność luizjań-skiej nocy. Warkocz Lucii powiewał za nią jak długi czarny wąż.

Z rykiem silnika przemknęła obok parku, pamiętając, by przestrzegać przepisów i nie przekraczać prędkości. By nikt jej nie zatrzymał, póki nie dotrze do autostrady. Tam będzie mogła dodać gazu i pomknąć harleyem, jak to mawiał jej kuzyn, na złamanie karku.

Skręciła za róg i kierując się na północny zachód, przecięła skrzyżowanie na pomarańczowym świetle. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy faktycznie ponad wyciem silnika usłyszała syczący śmiech?

Serce podeszło jej do gardła, ale odepchnęła od siebie obraz umierającej zakonnicy leżącej na łóżku z błyszczącego metalu z zakrwawioną szyją, w poplamionej krwią zniszczonej sukni i z twarzą zasłoniętą welonem.

Pssst!

- Zostaw mnie w spokoju! - wrzasnęła, jadąc pod wiatr.

Zobaczywszy tablice informujące o bliskim zjeździe na autostradę, wcisnęła gaz, na zawsze porzucając Nowy Orlean i Cruza Montoyę.

Rozdział 46

No więc przespałam się z własnym mężem, pomyślała Valerie. I co z tego?

To przecież nic wielkiego.

Więc dlaczego wydaje się takie istotne? Jakby w jej życiu zaszła jakaś wyjątkowa zmiana.

Och, na litość boską, zaczynam się zachowywać jak sentymentalna bohaterka z kiepskiego romansu.

Skończ z tym, upomniała się i sturlała z łóżka.

Slade leżał na brzuchu z rękami podłożonymi pod poduszkę i głową zwróconą w jej stronę. Spod skotłowanej kołdry wystawały jego pośladki. Spał twardo, lekko pochrapując, twarz miał zrelaksowaną, opalenizna kontrastowała z białą pościeli. Na oczy opadł mu kosmyk ciemnych włosów, czarne rzęsy opierały się o policzki. Patrząc na niego, czuła w sercu radość. Wpatrywała się w jego szerokie ramiona i umięśnione plecy, pokryte gładką złocistą skórą.

Dlaczego tak długo mu się opierała?

Co jest złego w zakochaniu się we własnym mężu?

Zwłaszcza że został oczyszczony z fałszywych zarzutów.

Z cichym westchnieniem przekręcił się na bok, odsłaniając tors i wyraźną erekcję.

- Podziwiasz widoki? - zapytał zaspanym głosem.
- Nie śpisz? - zdziwiła się, nie mogąc pohamować podniecenia. Na jego twarzy pokrytej lekkim cieniem zarostu ukazał się szeroki uśmiech.
- Jak sama widzisz.
- Jesteś niepoprawny.
- Uwielbiam, kiedy tak brzydsko do mnie mówisz. - Sturlał się z łóżka i nagi tak jak ona, objął Val ramionami i przycisnął usta do jej warg.
- Och, na litość bo...

Nie przestając jej całować, poprowadził ją tyłem do małej łazienki, odkręcił kurki prysznic i zanim woda zdążyła się podgrzać, popchnął Val pod orzeźwiający strumień. Roześmiał się, gdy pisnęła głośno. W miarę jak woda stawała się cieplejsza, ona też się rozgrzewała, czując pulsowanie krwi, gdy dłoń Slade'a przesuwiała się po jej śliskiej skórze. Namydlił ją starannie, pocałował i ustawił pod wyłożoną kafelkami ścianą, po czym uniósł lekko w górę i pod spływającymi strumieniami z łatwością osadził na swym stwardniałym członku.

Zamrugnęła, broniąc się przed spadającymi kroplami i westchnęła cicho, zaszokowana tym, jak głęboko w nią wszedł.

- Och... och... och Boże, Slade! - krzyknęła przy pierwszej fali orgazmu.

W konwulsjach, prychając wodą wpadającą do ust, w spazmach rozkoszy przywarła do męża, rękoma obejmując jego szyję, biodra nogami, a on, przyciskając jej plecy do ściany, dysząc równie ciężko jak ona, wbijał się w nią rytmicznymi ruchami. Roztapiając się w środku, wczepiła się palcami w jego skórę.

A on znów w nią wszedł.

I znów.

I znów.

Aż w końcu zamknęła oczy i wydała z siebie gardłowy okrzyk, który zupełnie nie przypominał jej własnego głosu. - O Boże - jęknął Slade i drżąc pod wpływem skrajnego podniecenia, odrzucił głowę do tyłu i, cały przy tym sztywniejąc, osiągnął spełnienie w jej wnętrzu.

Przez dłuższą chwilę stali pod strumieniami wody, ich oddechy powoli się uspokajały. Oczy Val znajdowały się na wysokości twarzy Slade'a. Wpatrywała się w jego zamglony wzrok, w krople wody ściekające z włosów i czubka nosa. - Jesteś niepoprawna - rzekł, a ona się roześmiała.

- Och, przecież ty odwalileś całą robotę. - Przyjemność po mojej stronie, droga pani.

- Mówiłam ci już, że ten wdzięk chłopaka z rancza zupełnie na mnie nie działa.

Roześmiał się, nadal trzymając ją w objęciach, nadal w niej pozostając.

- Nie? W takim razie chciałbym zobaczyć, jak zareagujesz, kiedy wreszcie coś na ciebie podziała.

Mógłbym dostać ataku serca. - Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Tylko pomyśl, ile stracilibyśmy przyjemności. - Pocałowała go mocno w usta, po czym ześliznęła się na ziemię i sięgnęła po ręcznik. -

Jak wiele może się zmienić w ciągu kilku dni - powiedziała, myśląc o początku tygodnia, gdy ktoś obcy zakradł się do jej domu, gdy tak jak teraz brała prysznic.

- Hej! - Slade chwycił ją za ramię. - Co do zeszłej nocy...

- Było całkiem dobrze, co? - zażartowała. Nie uśmiechnął się.

- Tak, było. Ale wcześniej. Śniłaś jakiś koszmar...

- Ten sam, który śni mi się od lat. Zaczęło się w dzieciństwie, potem przez jakiś czas miałam spokój, ale później... - Na chwilę się zamyśliła, ale teraz nie miała ochoty zastanawiać się nad potworami z własnej podświadomości. - Później koszmar wrócił. - Kiedy? - spytał, a Val wcale nie musiała długo szperać w pamięci. - Odkąd wróciłam do Nowego Orleanu - wyznała, nie dodając jednak: Odkąd

zostawiłam cię w Bad Luck.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie. - Była o tym przekonana. Rozmowa o koszmarze tylko zniszczyłaby spokój jej umysłu, wszystko by zrujnowała. - Może kiedy indziej.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Spojrzała mu prosto w oczy ocienione wilgotnymi jeszcze rzęsami. - Pogadamy o tym kiedy indziej. - Wysunęła się z uścisku męża, z całą stanowczością wyrzucając z głowy myśli o koszmarze. Kiedy już wytarła się do sucha, włożyła szlafrok, poszła zaparzyć kawę i wypuścić zniecierpliwionego Bo na podwórko ogrzane ciepłym luizjańskim słońcem. W oknach motelu paliły się światła, ptaki rozpoczęły poranne trele, pojazdów było mało, bo to był weekend.

Slade, w samych dżinsach, wszedł do kuchni.

- Może ci się dzisiaj poszczęścić - rzekł, puszczając do niej oczko.

- Myślałam, że już mi się poszczęściło.

- No tak, ale chodziło o mnie', a teraz mógłbym cię zabrać na śniadanie. Co powiesz na świeże słodkie bułeczki nad rzeką? Może nawet wyżyłowałbym się na jakąś odlotową kawę... no wiesz, taką, za którą tak szaleją ludzie z północnego zachodu.

- Latte?

- Albo każdą inną.

- Jasne, ale najpierw muszę zająć się obowiązkami. Pomogę Frei i wtedy...

Rozdzwoniła się jej komórka, więc ją podniosła do ucha. Nie rozpoznała numeru dzwoniącego, ale i tak odebrała rozmowę.

- Halo? - odezwała się przy wtórze skomlenia Bo, który chciał, żeby go wpuścić do domu, i gulgotania ekspresu do kawy.

Cisza.

- Halo?

Serce w niej zamarło.

- Kto mówi?

- *Jesteś nasssstępną* - syknął węzowy głos. - / *nie uciek-nieszszsz przed tym.*

Gdy pierwsze promienie słońca roztoczyły różowy wachlarz na wschodzie i zaczęły kłaść smugi szarości na ulicach Nowego Orleanu, Montoya zastał brata na zewnątrz. Cruz siedział na podeście schodów na tyłach domu, w palcach trzymał zapalonego papierosa, Hershey ułożył się przy jego stopach, obok porysowanego kasku.

I co było najbardziej zauważalne, cuchnęło od niego jak z gorzelni.

Brakowało też motocykla, który zapewne przepadł przy partyjce pokera.

- Problemy? - zapytał Montoya, podczas gdy Hershey trącał go łbem, domagając się głaskania.

- Nic, z czym nie miałbym już wcześniej do czynienia. - Cruz spojrział w górę i westchnął. - Chłopie, wszystko schrza-niłem - dodał.

- Chcesz pogadać?

- Do diabła, nie!

Montoya usiadł na podeście obok brata i czekał. Cruz zgasił papierosa, miażdżąc go obcasem, potem niechętnie, wkurzony jak cholera na samego siebie, opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się tej nocy. Siostra Charity wychodziła z siebie.

Dwie zakonnice znikły jednego dnia? Dwie?

Szła szybko korytarzem, klekocząc paciorkami różańca i szeleszcząc habitem, którego dół zamiatał posadzkę. O Matko Przenajświętsza, nie opuszczaj mnie.

Policja przeszukała pokoje i cały teren, ale ani siostry Lucii, ani siostry Louisy nie odnaleziono.

Gdzie one mogą być?

Siostrę Charity zżerał niepokój, od którego czuła pieczenie w żołądku, a myśli biegły ku mrocznym rejonom, gdzie przebywał sam Lucyfer. Nie zapuszczaj się w te strony, upominała w duchu samą siebie, po raz ostatni przeszukując pokój siostry Lucii. Był pusty, wszystkie ziemskie dobra zniknęły, łóżko było starannie zasłane.

Natomiast pokój siostry Louisy stanowił jaskrawe przeciwieństwo poprzedniego pomieszczenia.

Musiał zostać opuszczony

całkiem niedawno, wgniecenie na materacu było nadal wyraźnie widoczne, pościel rozrzucona, narzuta odsunięta. Ale gdy dotknęła pościeli, była zimna. Zimna jak śmierć.

Serce siostry Charity ścisnął strach przenikający do głębi duszy.

Na szczęście nie znaleziono żadnych ciał.

Może one po prostu uciekły.

Razem.

A różnica w wyglądzie pokoi ukazuje tylko różnicę charakterów.

Może uciekły dlatego, że się bały. Zapewne częściowo ona sama przyczyniła się do wzbudzenia w nich tego strachu, bo nieustannie za nimi chodziła jak kwoka i pilnowała ich jak jastrząb. Gdyby była łagodniejsza, mądrzejsza, bardziej kochająca i nie tak surowa, może teraz nie musiałaby szukać tych dziewcząt.

Wybaczcie mi.

Wczesne godziny poranne spędziła na modlitwie, poszukiwaniach i powtarzaniu sobie, że jej panika jest bezpodstawna, że jej serce bije tak gwałtownie bez powodu; ale teraz miała już pewność.

Wszystkie zasady, dodatkowa ochrona, nowe zamki i policyjne patrole obserwujące St. Marguerite's - wszystko na nic. Weszła do biura i zauważyła, że otrzymała wiadomość, która według czasu podanego na wyświetlaczu nadeszła kilka minut po piątej rano, w porze, gdy nigdy nie siedzi przy biurku.

Po wciśnięciu klawisza Play usłyszała głos, który od razu rozpoznała, który tak bardzo pragnęła jeszcze raz usłyszeć.

- „Matko przełożona, tu Lucia Costa. Chcę, żeby matka wiedziała, że u mnie wszystko w porządku. Dziś rano porzuciłam klasztor i jestem w drodze do nowego życia. Zdaję sobie sprawę, że matka może nie dać wiary tej wiadomości, może sądzić, że zmuszono mnie do jej pozostawienia, ale proszę tak nie myśleć. Naprawdę jestem bezpieczna i łaska Pana Naszego niech zawsze będzie z wami”.

Klik.

Koniec wiadomości.

Siostra Charity opadła na swój fotel i jeszcze dwa razy odsłuchiwała wiadomość, żeby się upewnić, czy faktycznie w głosie dziewczyny nie ma zdenerwowania, czy siostra Lucia nie kłamie.

Dokąd odeszła?

Dlaczego nic nie powiedziała?

Bo miała dosyć mojego mieszania się we wszystko.

Bo się bała.

Bo nie chciała, żeby ją znaleziono.

Siostra Charity pochyliła głowę, czując wyraźnie brzemień swoich sześćdziesięciu siedmiu lat. W żadnym wypadku nie uważała, aby to był wiek starczy, jednak dzisiaj czuła się znużona. Bolały ją kości i miała wrażenie, że istotnie jest reliktem przeszłości, jak często nazywały ją między sobą nowicjuszki. Ale jeszcze nie dinozaurem, jak mówiła o niej siostra Irena.

Oparła łokcie o blat biurka, rzuciła szybkie spojrzenie na portret papieża i zaczęła modlić się do Boga o przewodnictwo i pomoc. Była upokorzona. Wystraszona. Nie wiedziała, co robić.

I w głowie usłyszała odpowiedź Stwórcy: „Podążaj za głosem serca, moje dziecko. Znasz prawdę. Wiesz, co musisz zrobić. Bądź posłuszna, ale zarazem czujna, stanowcza, ale też łagodna. Zaufaj sobie i tym wokół ciebie. Nie trać wiary we Mnie i w Mego Syna i Ducha Świętego. Zaufaj Świętej Trójcy”. Kiedy wyszeptała ciche „amen”, uświadomiła sobie, że oczy ma pełne łez i że jej płacz wywołany jest zarówno żalnością, jak i radością. Policzki miała mokre, słone krople padały na blat biurka. Postanowiła wziąć się w garść. Rozpacz nie może przyćmić wiary; lęk nie zwycięży odwagi. Ona, służebnica Pańska, wytrwa na swoim posterunku.

Mimo to dłonie jej drżały, gdy sięgała po słuchawkę i wykreślała numer parafii St. Elsinore's. I choć dopiero dochodziła siódma, ktoś odebrał, prawdopodobnie dlatego, że był to dzień aukcji, którą parafia St. Elsinore's przygotowywała od roku.

Gdy wreszcie połączono ją z siostrą Georgią, Charity zmusiła się, by wygłosić kilka uprzejmych słów, których nie czuła,

wyobrażając sobie matkę przełożoną z sierocińca bez welonu, kwefu i habitu. Siostra Georgia była nowoczesną zakonnicą, która obydwoma nogami stała twardo w XXI wieku, a jednak gdzieś w głębi serca była równie stanowcza i obdarzona równie niezachwianą wiarą jak Charity. Musiała taka być. Obie jako sieroty pobierały lekcje od siostry Ignatii w St. El-sinore's. Obie, Georgia i Charity, dorastały w tych rozpadających się murach, które teraz, po raz pierwszy od prawie dwustu lat, stały puste, gotowe do rozbiórki.

Cóż za parodia.

- No więc, co mogę dla ciebie zrobić? - zapytała Georgia, gdy już uprzejme frazesy miały za sobą.
- Chcę porozmawiać z ojcem Thomasem - wyjaśniła Charity, szykując się do walki. Ona i Georgia były jak rywalizujące ze sobą rodzeństwo, zawsze jedna próbowała prześcignąć drugą.
- Nie ma go teraz, ale z przyjemnością powtórzę mu twoją wiadomość.

Tak myślałam.

- A czy on w ogóle tam czasami bywa? - spytała Charity, nie umiejąc się powstrzymać od kaśliwej uwagi.
- Jest zapracowany. Służba Bogu nie ma końca.
- Doskonale o tym wiem - odparła Charity, postanawiając, że musi powiedzieć Georgii, co się dzieje.
- I mam nadzieję, że będzie chciał zastanowić się nad przełożeniem aukcji - dodała, wiedząc, że prosi o niemożliwe. - Mamy w St. Marguerite's pewną... sytuację. Zniknęła kolejna z moich nowicjuszek... Cóż, chyba nawet dwie, i uważam, że w takich okolicznościach nie wypada urządzać żadnych uroczystości.

Zapadła cisza, a_a potem po drugiej stronie linii rozległo się ciężkie westchnienie.

- Rozumiem - rzekła Georgia zadziwiająco uprzejmym tonem. - Ale jest już chyba za późno na zmiany. Zaproszenia zostały rozesłane, bilety sprzedane, sala w hotelu zarezerwowana, catering i parafianki, które zaangażowały się w przygotowanie poczęstunku, są gotowi. Och, Charity, obie dobrze wiemy, jak będzie brzmiała odpowiedź ojca Thomasa. Przykro mi.

- Mnie też, Georgio. - Nie było sensu dalej naciskać. Georgia odrzuciła prośbę, zanim wiadomość dotarła do ojca Thomasa, gdziekolwiek się teraz podziewał.

Nic zaskakującego.

- Ale nie jestem pewna, czy chór będzie mógł wystąpić.

- Ależ z pewnością będzie mógł. Przecież to występ ku pamięci sióstr, które odeszły. I ku czci Ojca Świętego. Wiem, że to dla ciebie ciężki okres, Charity, ale aukcja ma się odbyć ze względu na dobro miejsca, które przez tak wiele lat nazywałyśmy domem. Nawet siostra Ignatia, błogosławię jej serce, będzie w niej uczestniczyła. Wwiezie ją wózkiem sam ojciec Thomas, chociaż oczywiście ma swojego pomocnika.

Ile lat dokładnie ma Ignatia, kobieta, która pomagała je wychowywać, jednocześnie je terroryzując? Dziewięćdziesiąt pięć? Sto? Może nawet więcej. Sześćdziesiąt lat temu była nieszczęśliwą czterdziestolatką i raczej pewne, że jej zgorzkniałość i okrutne usposobienie nie zmieniły się w późniejszym życiu.

Zdaniem Charity siostra Ignatia bardziej straszyla dzieci, niż im pomagała.

- Będzie wspaniale, mówię ci - zapewniła Georgia z westchnieniem, jakby była debiutantką wybierającą się na pierwszy bal.

- Skoro tak twierdzisz - szepnęła Charity w słuchawkę, ale nawet przez sekundę w to nie wierzyła, nie w sytuacji, gdy dwie z jej nowicjuszek zamordowano, i to na terenie parafii, a dwie kolejne zaginęły.

- Tak twierdzą i sama się o tym przekonasz.

Charity odłożyła słuchawkę z głębokim westchnieniem. Z ciężkim sercem potarła rozpostartymi dłońmi gładki, świecący ze starości blat biurka.

Dlaczego została wystawiona na taką próbę?

Spojrzała na krucyfiks zawieszony nad drzwiami. Chuda sylwetka Jezusa została wyrzeźbiona w ciemnym drewnie, ale i tak

było wyraźnie widać blizny na Jego rękach, cierniową koronę i gwoździe w dłoniach i stopach. Jak można roztkliwiać się nad własnymi cierpieniami, patrząc na agonię Syna Bożego? - pomyślała i, przeżegnawszy się, z przymkniętymi oczami odmówiła kilka modlitw. Później, prostując plecy, znów sięgnęła po słuchawkę telefonu. Tym razem, aby zadzwonić na policję.

Rozdział 47

Montoya wpadł na posterunek jak burza. Wspiął się na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz, i udał się prosto do biura Bentza, nie zostawiając nawet wcześniej broni w swoim pokoju i nie zatrzymując się w kafeterii po kawę.

Dzisiaj odpuścił sobie poranny jogging, był poirytowany i skory do kłótni.

Bentz odczytywał już swoją pocztę na komputerze, choć reszta wydziału dopiero zabierała się do pracy. Policjanci gawędzili, brzęczały klucze i telefony, klimatyzacja rzeźbiła, weekendowy personel dopiero nadjeżdżał. Zapach świeżo parzonej kawy mieszał się z wonią pasty do podłogi, lekkiej spalenizny płynącej od nadużywanej kopiarki i zatechłego odoru ludzkiego potu pozostawionego przez ostatnio zatrzymanych.

Wszystko to stanowiło klimat tego miejsca.

- Musimy znaleźć harleya mojego brata! - oświadczył Montoya, wkurzony ponad wszelkie wyobrażenie. - Teraz ta maszyna pędzi prawdopodobnie na północny zachód dziesiątką w stronę Huston lub Teksasu, lub Arkansas, albo cholerniej Oklahomy! I prowadzi ją nasz główny świadek.
- Zwolnij trochę - zaproponował Bentz, wskazując ręką, żeby usiadł na krześle stojącym przy biurku.
- Do licha, o czym ty w ogóle mówisz?

Montoya nie zamierzał siadać, tylko podszedł do okna.

- O moim cholernym braciszku - warknął wściekły jak nigdy. - Co za pieprzony idiota! - Zerknął na Bentza i ostrzegł: -Tylko nie próbuj żartować, że to rodzinna cecha.

Montoya zaczął referować partnerowi wszystko, co powiedział mu przed kilkoma godzinami brat, gdy siedzieli obaj na podeście schodów jego domu. Wyjaśnił, że Lucia Costa, siostra Lucia, która jako nastolatka była zadurzona w Cruzie, zadzwoniła do niego, błagając o pomoc, ponieważ chciała opuścić klasztor w środku nocy. Twierdziła, że boi się konfrontacji z siostrą Charity czy coś w tym stylu, potem ukradła motor Cruzowi, który musiał piechotą wracać do domu Montoi. Przyznała się też, że w akcie skruchy wysłała komórkę Camilli Renard na policję. Cruz mógł w to uwierzyć, ale nie Reuben Montoya.

Z drugiej strony, należało pamiętać, że Cruz był zalany. Wściekły, że dał z siebie zrobić głupka, zatrzymał się w kilku barach na Bourbon Street, nim wrócił do domu z podkulonym ogonem i czekał, aż brat się obudzi, by przekazać mu sensacyjne wiadomości.

- Ostatnią rzeczą, jaką widział, były tylne światła motoru jadącego w stronę autostrady. Uważał, że Lucia kierowała się na zachód, ponieważ wspominała o Huston, ale, do cholery, to też mogło być kłamstwo! Może wybrała się do Kalifornii albo Nowego Jorku, a może do pieprzonej Kanady! A niech to szlag! - Montoya kopnął metalowy kubek na śmieci, robiąc w nim wgniecenie, a potem, mając wielką ochotę skrócić bratu kark, przesunął nerwowo ręką po włosach. - Dupek!

- Ostrożnie, to rządowy sprzęt!

- Ten kubek ma stempel z datą z 1965 roku! - I sądząc po wyglądzie, niejedyn raz dostał kopniaka.

Bentz, jak zauważył Montoya, nie odczuwał takiego gniewu, jaki wrzał w nim. Zapytał spokojnie:

- Sporządziłeś komunikat?

- Tak.

- To dobrze, bo pojawił się kolejny problem.

- Nie ma jeszcze dziewiątej, a my już jesteśmy zawałeni problemami - sarknął Montoya, nieco spokojniejszy. - Co się wydarzyło?

- Z samego rana dzwoniła matka przełożona z St. Marguerite's. Powiadomiła, że Lucia Costa zniknęła; jak domyślam się, Lucia zadzwoniła do niej i dała znać, że wszystko z nią w porządku, co potwierdza relacja twojego brata. Ale zniknęła nie tylko ona. Zniknęła też nowicjuszka Louisa Cortez.

- Jezu Chryste! - Montoya uniósł ręce i zaczął krążyć przed biurkiem.

- W klasztorze są już dwie jednostki. A ja czekałem, aż się pojawisz, i też chcę tam jechać. Montoya skierował się do drzwi.

- Wiesz, że w zeszłym tygodniu byłem w kościele częściej niż przez ostatnie dziesięć lat?

Bentz prychnął z rozbawieniem, sięgnął po kurtkę i kaburę, by sprawdzić, czy służbowa broń znajduje się na swoim miejscu.

- Chyba mamy szczęście, że nie zawaliły się na nas mury katedry.

- Tak - zgodził się Montoya. - Wielkie szczęście! Pierwszy opuścił biuro i ruszył tam, skąd przyszedł, głośno stukając obcasami o stopnie schodów. A na dole prawie wpadł na policjanta prowadzącego korytarzem do pokoju przesłuchań mężczyznę w kajdankach. Facet śmierdział tak, jakby spał we własnych wymiocinach, miał skołtunione włosy, podrapaną, krostowatą twarz, a przy tym zgrzytał zębami, mrugając szybko.

Wstrząsały nim wyraźne drgawki. Delirka jak nic.

Montoya podpisał odbiór samochodu i wyszedł na zewnątrz. Było słonecznie, ale na horyzoncie zbierały się gęste chmury i rosła wilgotność powietrza. Co jest z tymi zakonnicami w St. Marguerite's? Pomyślał o sukniach ślubnych, które znikły z wieszaka na strychu, oraz o liście nowicjuszek i zakonnicek, które w pewnym okresie życia mieszkały w sierocińcu St. Elsinore's.

Nazwisko siostry Louisy znajdowało się na tej liście.

Ale nie było na niej siostry Lucii Costy.

Montoya poważnie martwił się o Louise.

- Musimy dorwać tego gościa - rzekł, gdy Bentz wsiadł do już nagrzanego wnętrza crown victorii i zapiął pasy.

- Im szybciej, tym lepiej.

Montoya pomknął przez miasto. Ruch był niewielki, jak to w sobotni poranek. Bentz poinformował, że dostał raport na temat rodziny Grace Blanc - brat mieszkał w Duluth w Minnesocie, a matka, mając dość srogich północnych zim, przed rokiem przeniosła się do Miami. Wiadomość o tragedii wstrząsnęła obojgiem.

Montoya wjechał na wolne miejsce parkingowe w pobliżu tylnego wejścia do katedry. Zwrócił uwagę na wysokie wieże budowli, które zdawały się przekłuwać swymi iglicami przepływające nad miastem szare chmury. Ciemna i ponura świątynia ziała pustką, nie było wchodzących i wychodzących wiernych, żadna zakonnica nie otwierała garażu, by jechać do szpitala lub do sierocińca, ani jeden ksiądz nie zatrzymywał na pogawędkę przechodzących spacerowiczów.

Potężny gmach sprawiał wrażenie mrocznej i groźnej fortecy, nieprzyjaznej dla odwiedzających, w ogóle nie przypominał sanktuarium dla strapionych dusz.

Tego dnia, jak zauważył, przechodząc przez trawnik do bramy na tyłach, na drzwiach katedry nie było już żółtej taśmy, znikły również wozy transmisyjne. Nie spostrzegł nikogo z biura medycyny sądowej ani z wydziału badania miejsca zbrodni.

Przynajmniej na razie.

Bo nie wiadomo, co znajdą, gdy zaczną szukać. Ciało Louisy Cortez? Czy może Louisa Cortez znikła tak jak Lea De Luca i teraz również, jak się wydawało, Lucia Costa? Montoya miał złe przeczucia co do Lucii. Bardzo złe przeczucia.

- Policja może już nam wydać ciało Camilli - oznajmiła Valerie, zamykając klapkę telefonu. Poczula na plecach lodowaty dreszcz.

Siedziała na miejscu pasażera w szoferce samochodu Slade'a, wracali właśnie ze śniadania składającego się ze świeżych bułeczek i kawy z mlekiem, które zjedli w niskiej, podłużnej salce

restauracji we francuskiej dzielnicy. Siedzieli tam pod wolno obracającymi się skrzydłami wentylatora, wsłuchując się w gwar rozmów i przyglądając nurtowi Missisipi leniwie płynącej ku zatoce.

Wodne ptactwo unosiło się na falach przy brzegu, a mniejsze ptaki skakały po chodniku, szukając okruchów.

Slade uparł się, żeby się tam wybrali, więc Valerie przyjęła propozycję, przedtem jednak zatelefonowała do Ricka Bentza, pomogła Frei przy śniadaniu i myciu naczyń, a także spotkała się z policjantem, który przybył, by spisać jej zeznania.

Gdy wyszła z domu, zatapiając się w zgiełku miasta, jej nastrój trochę się poprawił. Oddaliła się też myśl o wypowiedzianej syczącym głosem groźbie.

Jesteś nasssstępna. - Przerwa wypełniona dyszeniem. - I nie uciekniesz przed tym".

Ani ona, ani Slade nie poruszali tej sprawy przez cały czas pobytu poza domem. Ustalili, że jest to temat zakazany, i cieszyli się spędzonymi razem chwilami. Było tak, jakby od nowa się w sobie zakochiwali.

Jednak gdy wracali i furgonetka podskoczyła na wyboju, Val przypomniała sobie, że tak naprawdę zaczyna się druga runda.

Spokój poranka, jaki udało im się spędzić, został zakłócony. Telefon z przedsiębiorstwa pogrzebowego sprowadził Val na ziemię, do rzeczywistości i łamiącego serce faktu, że jej siostra została zamordowana przez psychopatę ogarniętego żądzą krwi.

Wściekła na niesprawiedliwość losu, mocno zacisnęła zęby. Kim jest ten psychol i jak, u diabła, mają go złapać i zamknąć za kratkami? Targała nią chęć zemsty; chciała, żeby morderca zapłacił za swoje czyny, i była sfrustrowana, że jeszcze go nie zidentyfikowano.

I jeśli nie jest to ten sukinsyn łamiący śluby czystości, O'Toole, to kto? - zastanawiała się w duchu, gdy Slade zwolnił, żeby przepuścić kobietę pchającą wózek z dzieckiem, a potem skręcił w St. Charles

Avenue. Po jednej stronie ulicy znajdował się park Audu-bon, po drugiej kolisty dziedziniec przed zbudowanym z czerwonej cegły, przypominającym średniowieczną fortecę Uniwersytetem Loyola. Obok ciągnęły się zadbane trawniki prowadzące do budynku z jasnej cegły, stanowiącego część Uniwersytetu Tulane. „Harvardu Południa”, według niektórych przyjaciół Val, absolwentów tej uczelni. Z tym jednak mogłabym się spierać, myślała, przyglądając się łukowatym oknom i gładkim trawnikom, stanowiącym dumę kampusu.

Dwie uczelnie, których Camilla nigdy już nie odwiedzi.

- Wcale nie musimy iść dzisiaj na tę aukcję - odezwał się Slade, skręcając w boczną uliczkę wiodącą do motelu. Martwił się tym od początku dnia, od porannego telefonu.

- A ja za nic nie chcę tego przegapić. Będą tam wszyscy związani ze sprawą. - Val znów pomyślała o ojcu Franku O'Toole'u. Czy też się tam pokaże? - Zresztą na pewno Camilla chciałaby, żeby wzięła w niej udział.

- Tego akurat nie wiesz. - Slade zatrzymał auto po drugiej stronie ulicy, na wprost garażu.

- I w tym cały problem - odparła. - Nie wiem i nigdy się nie dowiem.

- A więc, co mamy? - spytał Bentz, gdy kupiwszy żeberka na wynos w knajpce znajdującej się kilka przecznic od komendy, znaleźli z Montoyą ławkę w parku i usiedli, żeby zjeść, przyglądając się nadciągającej burzy, i generalnie omówić miniony dzień.

- Masz na myśli poza tym niczym, co już wiemy? - Nastrój Montoi nie poprawił się w ciągu dnia. Wielogodzinne rozmowy z zakonnikami, które już znali tak dobrze, że mogliby spokojnie wysyłać im kartki na święta, próby pokonania przeszkód stawianych przez księży, wyłuskania czegoś istotnego z matki przełożonej, to wszystko było wyczerpujące dla obydwu, ale szczególnie dla Montoi, który zawsze był bardziej porywczy od Bentza, zresztą jak na młodego byczka przystało. I choć z latami Montoya nieco złagodniał - na co miały wpływ małżeństwo z Abby i fakt, że został ojcem - to jednak nadal był impulsywny i wybuchowy. Praca z Reubenem Montoyą niezmiennie okazywała się ekscytującym wyzwaniem. Bentz naginał zasady; Montoya je łamał.

Jedząc żeberka polane gęstym pikantnym sosem, przyglądali się kaczkom pływającym po stawie, którego wody zaczynały przybierać niepokojąco szary odcień z powodu nadciągających na niebo chmur. Jakaś kobieta karmiła ptaki, które zbierały się wokół niej i głośnym kwakaniem domagały kawałków chleba.

Po drugiej stronie stawu inna kobieta prowadziła na smyczy jamnika, który wyrywał się i ujadł zaciekle najpierw na pływające po wodzie ptaki, potem na wiewiórkę skaczącą po gałęziach dębu.

- Przestań Charlie! Wracaj! - krzyczała koścista właścicielka jamnika.

Charlie jednak nie zwracał na nią uwagi.

- Dlaczego siostra Lucia opuściła klasztor? Dlaczego zrobiła to ukradkiem? I dlaczego właśnie zeszłej nocy? - zastanawiał się na głos Bentz.

- Może wiedziała, co spotkało Louise Cortez; przecież właśnie Lucia znalazła ciała obu ofiar.

- Myślisz, że była w to wmieszana? - zaciekawiał się Bentz.

- W morderstwa? - Montoya, ssąc żeberko, pokręcił przecząco głową. - Na pewno nie. Ale mogła coś widzieć i przez to groziło jej niebezpieczeństwo. Cruz twierdzi, że Lucia ma jakieś zdolności paranormalne. - Montoya machnął ręką i pokręcił głową na znak, że nie bardzo rozumie tego typu zjawiska.

Bentz je pojmował, przynajmniej częściowo; jego żona Olivia miała ten niezwykły dar, choć zdawało się, że obecnie te jej umiejętności zanikły lub na jakiś czas przygasły. Bentz miał wielką nadzieję, że tak już pozostanie. Dziobiąc plastikowym widel-czykiem, zjadł porcję sałatki z białej kapusty, prawie nie czując ostrości przypraw i słodczy miodu zawartego w dressingu.

- Zaginiona zakonnica, siostra Louisa, była sierotą z St. Elsinore's, adoptowaną przez małżeństwo z Maine. Ale wróciła do klasztoru.

- Siostra Charity szuka tej pary - przypomniał Montoya. Podczas przesłuchania siostra Devota Arness napomknęła,

że matka przełożona ma stały kontakt ze wszystkimi kobietami, które jako sieroty w tym lub innym czasie trafiły do St. Elsinore's.

- Ale Lucia Costa miała rodzinę.

- Zatem, jeśli ofiary łączy to, że przebywały w St. Elsinore's, to ona powinna być bezpieczna.

Bentz skończył sałatkę, a następnie zgniótł pergaminową torebkę po żeberkach.

- Lucia Costa prawdopodobnie o tym nie wiedziała; do diabła, my sami dopiero niedawno na to wpadliśmy. Ona tylko miała świadomość, że jej towarzyszki giną jedna po drugiej. - Bentz wrzucił zmięte opakowanie do śmietnika. - Wiemy, że Camilla Renard romansowała z ojcem O'Toole'em. Czego inne zakonnice nie robiły. - Ten trop prowadzi donikąd, myślał, obserwując rudą wiewiórkę, która tak zdenerwowała jamnika Charliego. Przez dłuższy czas biegła z drzewa na drzewo, po czym machając lśniącym, puszystym ogonem, zeskoczyła na trawnik.

- Nie licząc zaginionej siostry Lei - zauważył Montoya, wbijając zęby w kromkę kukurydzianego chleba i strącając okruchy z koziej bródki. Skrzywił się, niezadowolony z własnych przemyśleń.

- Racja.

To nie wystarczyło. Tropy prowadzące do ojca O'Toole'a były zbyt słabe. Nawet jeśli romansował z Leą i Camillą, to co z Aste-rią, Lucią i Louisą?

Bentz miał w głowie zamęt. Dokończył lunch, opróżniając puszkę dietetycznej coli, a potem wyrzucił resztki do metalowego kosza. Cały czas jednak nie przestawał zastanawiać się nad bezowocnym porankiem. Umundurowani policjanci przeszukali cały teren i wszystkie budynki w St. Marguerite's - klasztor, katedrę oraz cmentarz - niczego nie znajdując. Niczego. Zero. *Nul*. Żadnych śladów walki, martwych ciał, nic powiązanego z Louisą Cortez. I nikt nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie podziwia się Lucia Costa i motocykl Cruza.

Sąsiedzi, jak zwykle, nie widzieli i nie słyszeli niczego niezwykłego. Ojciec Frank miał alibi: ojca Paula. Spędzili noc, rozmawiając, pisząc kazania i modląc się do późna.

Louisa mogła zostać porwana z rana, zatem O'Toole nie był do końca czysty, niemniej...

Montoya skończył swoją porcję zeberek i nie mając ochoty na sałatkę, zjadł jeszcze dwa kęsy kukurydzianego chleba, po czym wrzucił resztki do kosza.

Obaj z Bentzem wrócili na komendę pogrążeni we własnych myślach.

- I dlatego zgadzam się z ojcem Thomasem. Uważam, że uczestnictwo w dzisiejszej aukcji jest naszym obowiązkiem - rzekł z naciskiem ojciec Paul.

Wcześniej poprosił siostrę Charity, by ponownie zwołała no-wicjuszki, zakonnice i cały świecki personel, aby mógł wszystkich pouczyć, czego się od nich oczekuje oraz na swój sposób dodać wszystkim otuchy.

Z poważnym wyrazem twarzy i milczącym ojcem Frankiem O'Toole'em u boku, ojciec Paul starał się przekonać zgromadzonych w sali, że powinni wykonywać swoje zadania - nie tylko religijne - jak zwykle.

Jakby to było możliwe!

Czy on postradał rozum?

Po tym, co się tu wydarzyło?

To przecież podejście typu „a przedstawienie musi trwać”.

Siostra Charity słuchała tej przemowy i twierdząco kiwała głową, choć jej zaangażowanie w aukcję słabło, a uśmiech akceptacji stawał się wymuszony. Ale przecież tak postępowała przez całe życie, przestrzegała zasad i praw ustanowionych przez Kościół, wierząc w niego i w Świętą Trójcę.

Zaakceptowała fakt, że tylko mężczyźni mogą zostawać księżmi, ufając, że większość z nich to dobrzy ludzie, bogobojni, z niezachwianą wiarą. Oczywiście kilka zgniłych jabłek, których ostatnio było więcej, niż sobie wyobrażała, kompromitowało starodawną instytucję, która mimo to istnieć będzie do końca świata.

Do tych, którzy skreślali organizację religijną jako niezdrową, odbierającą prawa jednostce, niepozwalającą na indywidualne opinie, mawiała: „Wasza strata”. Kościół jest dobry. Ludzie w nim również.

Ale teraz ojciec Paul, stojąc tam i upierając się, że powinni wziąć udział w dzisiejszych uroczystościach w St. Elsinore's, doprowadzał ją do granic wytrzymałości. Przez szybki kwadrat okiennych widać było, jak zbierają się ciemne chmury zwiastujące burzę. Deszcz zapowiadano na szesnastą, a gwałtowną burzę jakieś dwie godziny później, czyli mniej więcej w porze, gdy w St. Elsinore's rozpocząć się miała aukcja.

Siostrze Charity ścisnęło się serce. Całą duszą kochała St. Elsinore's i chętnie oddałaby na zbliżającą się aukcję nie tylko ciało i duszę, ale też własną pracę. Byłaby wzruszona, mogąc w niej uczestniczyć nie tylko jako ktoś, kto dorastał w sierocińcu, ale też jako członkini Kościoła.

Jednakże okoliczności przybrały obrót tragiczny i straszliwy.

Po śmierci dwóch zamordowanych zakonnic i zaginięciu dwóch innych sióstr opuszczanie klasztoru i uczestniczenie w jakichkolwiek uroczystościach wydawało się jej czymś zupełnie niewłaściwym. A z drugiej strony, czemu nie? Co dobrego wyniknie z tego, że zostanie?

Na sercu Charity zaciążył wielki smutek. Mimo że z przykrością patrzyła na przenosiny sierocińca, na to, że budynek, w którym był prowadzony, miał zostać zniszczony, włożyła całą duszę i serce w to przedsięwzięcie.

Nie mieściło się jej w głowie, jak chór mógłby wystąpić bez siostry Louisy. Ale będzie musiał spróbować. Głęboko wierzyła, że Bóg obarcza człowieka tylko takim ciężarem, jaki jest w stanie udźwignąć.

Ojciec Paul nakłaniał wszystkich do modlitwy, choć zakonnice i personel świecki byli zdenerwowani i przez cały ranek chodzili spięci z powodu przeszukiwań prowadzonych na terenie klasztoru i nieuniknionych kolejnych przesłuchań.

Wszystkie zakonnice niepokoili się o los siostry Louisy i siostry Lucil, jak zresztą powinny. Charity zerknęła w dół i spostrzegła, że sama nerwowo zaciska dłonie. Zauważyła też karcące spojrzenie ojca Paula. Dzisiaj

jest nie do zniesienia, pomyślała, nieugięty i arogancki, a przecież powinien wykazać się większą łagodnością. I wyrozumiałością.

A czy tego samego nie można powiedzieć o tobie, Charity? Ty też przecież od zawsze trzymasz wszystko w klasztorze twardą ręką. Zawsze chcesz być kapitanem, pozostawiając rolę admirałów księżom i pozwalając im działać, ale prawdziwym przywódcą masz być ty. To ty masz prowadzić zakonnice ich drogą. Ale czy bywasz przy tym łagodna? Lub wyrozumiała? Czy może surowość stała się twoją piętą achillesową, słabością, która w końcu pograży statek, którym dowodzisz? I kto za to zapłaci? Ty? Czy ci, którym powierzyłaś wiosła, kobiety, które tu zamieszkały pod twoim przewodnictwem, które zaufały, że poprowadzisz je prostą drogą, te młode niewinne dusze, które sama wybrałaś i przyjęłaś do nowicjatu? Przecież one są twoimi siostrami, Charity, bo innych nie masz. Nigdy nie miałaś. '

Charity szybko się wyprostowała, przełykając twardą kulę, która nagle wyrosła jej w gardle. Nie czas na retrospekcje i wątpliwości.

Wróciła spojrzeniem do ojca Paula, zdesperowanego księdza, nerwowo zbierającego swoje stadko. Obok niego stał ojciec Frank, nieruchomy, z pobladłą twarzą. W przeciwieństwie do ojca Paula, młody ksiądz, sprawiający wrażenie oszołomionego, jak automat wykonywał to, co należało do jego profesji.

Wydawało się, że myślami jest odległy o miliony lat świetlnych od miejsca, w którym się znajdował.

Rozdział 48

Tak do twojej wiadomości, uważam, że to duży błąd - oświadczył Slade. Krzywił się do lustra, szarpiąc się z krawatem i próbując odwieść Val od pomysłu wzięcia udziału w aukcji w St. Elsinore's. Ona jednak nie dawała sobie tego wyperswadować.

- Wiem. Już to mówiłaś setki razy. - Włożyła czarną sukienkę i szpilki, włosy miała upięte w koczek.
- Pozwól, że ja to zrobię - rzekła i poprawiła węzeł krawata, potem spostrzegła ich odbicie w dużym

lustrze stojącym w rogu sypialni. - Och Boże, spójrz -powiedziała i uśmiechnęła się do odbicia. - To chyba nie my!

- Więc podziękuj Bogu za drobne łaski - zakpił Slade, uśmiechając się do odbicia w lustrze: Val w długiej do ziemi czarnej, żałobnej sukni, siebie w ciemnych spodniach i białej koszuli, krawacie i marynarce, ze starannie przyczesanymi włosami i gładko ogoloną twarzą.

Wyglądali zupełnie inaczej niż w zakurzonych dżinsach i wypłowiałych koszulach, jakie oboje nosili na ranczu. Chociaż Val przypomniawsza sobie, że w torbie, którą już spakowała, oprócz latarki miała tenisówki i luźne ciuchy na zmianę. Zamierzała bowiem tego wieczoru w czasie aukcji rozejrzeć się po starej szkole i poszukać informacji na temat biologicznych rodziców oraz tego, co mogła znaleźć Camilla.

Nie wspominała jednak o tym Slade'owi, nie chciała wysłuchiwać jego kontrargumentów. I nie chodziło o to, że niepokoił się bez powodu; ona sama od ostatniej groźby była spięta, gdyż w jakiś sposób stała się nagle bardziej pożądanym celem. Od: *Jesssteś na liśśście*" do *Jesteś nasssstępna!*" Jak mówił Slade, ujawniała się przed światem, przynajmniej patrząc z perspektywy zabójcy, i to ją gryzło. Wielka sprawa. I jeszcze te ostatnie niepokojące wydarzenia, zniknięcie dwóch zakonnice. Wcześniej rozmawiała z Bentzem, który ją poinformował, że siostry Lucia i Louisa zniknęły. Na razie nie znaleziono żadnych zwłok i nikt nie wiedział, czy zakonnice żyją, czy są martwe - choć detektyw Bentz sugerował, że jego zdaniem siostra Lucia nadal jest wśród żywych.

Slade, słysząc to, stanowczo odmówił pójścia na aukcję, ale gdy Val mu oświadczyła, że uda się tam z nim czy bez niego, zmienił zdanie.

- Nie ma mowy, żebyś szła sama! - zaperzył się, nie przyjmując uwagi, że przecież na aukcji będzie wiele osób.

Jednak były ofiary śmiertelne. Zginęli ludzie związani z St. Marguerite's i St. Elsinore's. Zakonnice, poprawiła się w myślach Val, nie chcąc myśleć o prostytutce, która również została zamordowana. Prasa próbowała połączyć te zabójstwa, ale policja jeszcze nie udowodniła, czy między tymi sprawami istniał jakiś związek.

Tak czy inaczej mieszkańcy Nowego Orleanu zaczęli się bać.

I, szczerze mówiąc, to samo działo się z Val.

Z jednej strony, chciała uciekać i się kryć, z drugiej - tu ujawniały się cechy charakteru, które niegdyś pchnęły ją do pracy w policji - była gotowa wysledzić i dopaść tego anonimowego, chorego tchórza.

Wzrok Slade'a skrzyżował się w lustrze z jej spojrzeniem.

- Naprawdę, wyglądasz oszalamiająco - przyznał. - Moglibyśmy zamówić jakieś jedzenie i spędzić całą noc w łóżku.

- Nie ma mowy. - Pociągnęła go za krawat. - Idziemy.

- Uwielbiam, kiedy tak się rządysz - rzekł i objął ją w pasie, przyciągnął do siebie i mocno pocałował.

- Och, ale i tak mnie nie przekonałeś - wyszeptała z uśmiechem, odchylając głowę i zaglądając mu w oczy. Teraz, gdy była w szpilkach, jej twarz znajdowała się prawie na wysokości twarzy Slade'a.

Prawie.

- Mam cię na oku, Huston - ostrzegła, robiąc do niego oczko, i zanim zdążył ją znów pocałować, wyrwała się z objęć i wybiegła z sypialni. Bo, który przyglądał się całej scenie, potruchtał za nią do salonu. Val zauważyła, że zaczęło padać; duże krople deszczu spływały po szybach.

- Letnia burza - pomyślała na głos.

- Omen.

Obejrzała się przez ramię.

- Nie wierzę w omeny.

- Ty nie, ale ja tak - odparł Slade, który wszedłszy do pokoju, odszukał swój pistolet, wsunął go za pasek spodni, a następnie włożył kurtkę.

- Idziemy na kościelną aukcję - przypomniała mu Val. W jego uśmiechu nie było nawet cienia humoru. - No właśnie...

Wiadomość telefoniczna nadeszła tuż przed piątą.

Motocykl Cruza, cały i zdrowy, został zlokalizowany zabezpieczony kłódką, stał zaparkowany na dworcu autobusowym w Baton Rouge. Zwrócił na niego uwagę stanowy policjant, sprawdził numery i dowiedział się, że motor jest uznany za skradziony i że osobą kontaktową jest Montoya z nowoorleańskiej policji.

- Potrzebujemy tej maszyny. Jest dowodem rzeczowym w sprawie zabójstwa - wyjaśnił Montoya funkcjonariuszowi. - Motor ukradł jeden ze świadków.

- Z akt wynika, że należy do Cruza Montoi.

- To mój brat. - Montoya streścił policjantowi całą historię i ustalił z nim, że po zabezpieczeniu harley zostanie przewieziony do garażu przy laboratorium kryminalistyki. Może coś znalezionego w lub na motorze da im pojęcie, dokąd uciekła Lucia Costa. Montoya odłożył słuchawkę i w Internecie sprawdził trasy przewoźnika autobusowego i rozkład jazdy. Lucia najwcześniej mogła dotrzeć do Baton Rouge około trzeciej nad ranem, więc sprawdził wszystkie autobusy odjeżdżające od godziny drugiej trzydzieści. Firmie autobusowej przejrzenie wszystkich kursów zajęło prawie godzinę, ale na koniec okazało się, że jeden z autobusów wyjeżdżał do Huston o siódmej rano.

Czy Montoya wierzył w to, że Lucia udała się na zachód? Raczej nie.

Chciała przecież wystrychnąć Cruza na dudka, więc zapewne była bardzo ostrożna. Nie, nie.

Montoya odsunął krzesło, czując, że cały spływa potem. Klimatyzacja w komendzie znowu szwankowała. Aukcja w St. Elsinore's miała się rozpocząć za godzinę, a on zamierzał się na niej pojawić, rozejrzeć w tłumie, przekonać, kto tam przybędzie. Może nawet sam zabójca, choć miał co do tego spore wątpliwości. Z drugiej strony instynkt mu podpowiadał, że morderstwa Camilli Renard i Asterii McClellan zostały zaplanowane wcześniej, może nawet już wtedy, gdy ich drogi skrzyżowały się po raz pierwszy w sierocińcu w St. Elsinore's. To łączyło ofiary, chociaż nie był

to ścisły związek, przypominał pociąg, który toczy się po torach, ale poszczególne wagony nie są ze sobą spięte.

A więc niektóre kobiety, sieroty z St. Elsinore's, były zakonnkami i nowicjuszkami w St. Marguerite's. Czy to aż tak dziwne?

Montoya sięgnął po papierowy kubek, w którym znajdowała się resztką wystygłej kawy z rana. Przełknąwszy tę galaretowatą zawiesinę, wrzucił kubek do stojącego pod biurkiem kubła na śmieci, uświadamiając sobie nagle, że hałas na komendzie jakby przycichł; większość funkcjonariuszy skończyła już pracę.

Ale nie Bentz.

Kiedy Montoya wyszedł na korytarz, zauważył, że lampka na biurku Bentza nadal się świeci, jej ciepły blask wypływał na zewnątrz przez uchylone drzwi biura.

Montoya wsunął głowę do pokoju i zobaczył partnera, który siedząc przy biurku w koszuli z podwiniętymi rękawami, oparty o blat łokciami, zapisuje coś w żółtym skoroszycie, choć wzrok wbity ma w monitor komputera, na którym widniały fotografie dwóch ofiar. Zdjęcie Grace Blanc, prostytutki, i jakiejś drugiej kobiety, której Montoya od razu nie rozpoznał, ale która wydała mu się znajoma. Leżała w podobnej pozycji co Grace Blanc.

Cholera. Nagle pojął, że to fotografia Cherie Bellechamps, jednej z ofiar Ojca Johna, który przed dziesięciu laty terroryzował całe miasto.

Obie kobiety były na pół nagie, rude włosy miały potargane, spoglądały martwymi oczami, purpurowe ślady okalające szyję znaczyły miejsce głębokich nacięć po nierównych paciorkach - w przypadku Bellechamps po paciorkach różańca.

- Myślisz, że to jego robota? - spytał Montoya, wpatrując się w dwa niemal identyczne zdjęcia.

- Ojca Johna? Tak - warknął gniewnie Bentz. - Nie chciałem w to uwierzyć, ale myślę, że on wrócił. - Bentz popchnął przez biurko w stronę partnera kartkę papieru. - Właśnie dostałem wyniki badań spermy wykrytej u Grace Blanc - rzekł. - Nie zgadniesz. Pasuje jak ulał do wyników spermy wykrytej

u wszystkich ofiar Ojca Johna sprzed dziesięciu lat. - Bentz sięgnął do szuflady, wyszukał paczkę gumy owocowej i w milczeniu zaproponował Montoi listek. Gdy Reuben odmówił, rozwinął papierek i wsadził sobie gumę do ust. - To nie DNA, ale jednak...

- Miałem nadzieję, że ten skurwiel zdechł.

- Obaj mieliśmy nadzieję, ale sam widzisz. - Bentz wskazał na monitor i makabryczne fotografie. - Miejsce zbrodni wygląda niemal identycznie. Może i dałoby się coś takiego skopiować, ale jaka jest szansa, że nowy zabójca ma taką samą rzadką grupę krwi jak Ojciec John? - Bentz kręcił powątpiewająco głową.

- Cóż, przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia.

- Wiemy? - Bentz pstryknął końcówką długopisu, który trzymał w dłoni. - Ten sukinsyn zmienił pewnie nazwisko, może nawet twarz. - Z akt wyciągnął fotografię mordercy sprzed dziesięciu lat. - Już zleciłem komputerową symulację. Sprawdzenie, jak by wyglądał z brodą, jako blondyn... Och, cholera, kto wie, jak on teraz może wyglądać? Niech to wszystko szlag trafi!

Montoya przyglądał się staremu zdjęciu i czuł, że zaczyna go kłuć w żołądku.

- Więc sądzisz, że on może być jednym z tych księży, z którymi rozmawialiśmy?

- Lub nie rozmawialiśmy. Ojciec Thomas cały czas nas unika, a Camilla pracowała w klinice w St. Elsinore's. Wiesz co? Założę się, że gdybyśmy porządnie poszperali, znaleźlibyśmy farmaceutę powiązanego z St. Elsinore's. Mają tam przecież różne lekarstwa.

- Słuchaj, nawet jeśli Ojciec John wrócił i przyjął nową tożsamość, to przecież nie mógł zmienić linii papilarnych, a już z pewnością nie zmienił sobie DNA... ani grupy krwi.

- Tak, cóż, w tym cały problem - zgodził się niechętnie Bentz. - A ta grupa krwi? - prychnął. - Jest taka sama jak grupa krwi dziecka siostry Camilli. Ojciec John jest jego pier... pieprzonym ojcem!

Slade, trzymając parasolkę nad głową Valerie, biegł wraz z nią przez hotelowy parking w stronę sali balowej, gdzie urządzano poczęstunek.

Hotel zbudowany w początkach XIX wieku ostatnio został odrestaurowany, przywrócono mu oryginalny dawny wygląd. Potężne, białe kolumny podtrzymywały szeroki fronton, oskrzydłony z obu stron rzędem wysokich na ponad trzy metry okien z kwaterami; wszystkie były opatrzone ciemnymi okiennicami i nad każdym wisiała migocząca w mroku lampa gazowa. Nadciągała burza. Pod osłoną parasoli, w ociekających wodą płaszczach przeciwdeszczowych goście zmierzali grupkami do głównego wejścia. Ich wytworne stroje i kosztowna biżuteria roztaczały wokół blask prestiżu i zamożności. Zjawiła się ekipa wiadomości, której wóz transmisyjny stał zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy. Brenda Convoy i jej kamerzysta filmowali przybywających - wszystkich, od burmistrza po osobistości z miejscowej telewizji, znanych sportowców i biznesmenów oraz kobiety należące do społeczności Crescent City. Krążyły plotki, że będzie obecny Trey Wembley, syn jednego z najbogatszych obywateli miasta, ostatnio bardzo popularny hollywoodzki idol.

Brenda Convoy z pewnością nie przegapi z nim wywiadu, pomyślała kpiąco Valerie,

- Nienawidzę takich spędów - szepnął Slade, szarpiąc z irytacją swój krawat, podczas gdy Valerie witała się z siostrą Simoną, która na aukcji pełniła funkcję hostessy.

Tego wieczoru zakonnice z St. Elsinore's i St. Marguerite's miały na sobie tradycyjne habity i siostra Simona nie stanowiła wyjątku. U jej pasa wisiał drewniany różaniec, a śnieżnobiałe welon i kwef ostro kontrastowały z lejącą się czarną serżą, z której uszyto habit.

- Miło panią znowu zobaczyć - przywitała się siostra Simona z uśmiechem.

- Siostrę też.

- A więc proszę - rzekła zakonnica, podając Valerie kopertę z wydrukowanym godłem St. Elsinore's. - W środku jest program oraz lista przedmiotów przeznaczonych na aukcję i tabliczka z pani numerem na wypadek, gdyby zobaczyła pani coś, bez czego nie mogłaby pani dalej żyć.

- Dziękuję - odparła Val, chociaż nie miała najmniejszego zamiaru niczego licytować.

Czując na plecach dłoń Slade'a, weszła razem z nim do wnętrza w grupie innych gości przez foyer pełne luster, marmurów i palm w donicach. Na samym środku stał masywny stół, na którym feerią barw rozkwitała ozdobna wiązanka tropikalnych kwiatów - anturium, helikonii i lilii.

Kwartet smyczkowy wykonywał spokojny utwór u stóp szerokich, pokrytych chodnikiem w kwiaty schodów, które wznosiły się dumnie i rozdzielały dopiero na podeście prowadzącym na piętro. Klatka schodowa z lśniącymi mahoniowymi balustradami i białymi poręczami przypominała najpiękniejsze rezydencje, jakie niegdyś wznoszono na wielkich, bogatych plantacjach.

Foyer zdobiły zawieszane na sztalugach czarno-białe zdjęcia St. Elsinore's; przedstawiały historię zabudowań parafii, pokazując, jak zmieniały się z latami kościół, sierociniec i otaczające je tereny. Na zrobionych przed laty fotografiach uwieczniono dzieci, nauczycieli, zakonnice, pielęgniarki i księży. Wiele z tych osób już odeszło na tamten świat, myślała Val, przyglądając się zdjęciom i zauważając zmianę w strojach, pojawiające się na późniejszych zdjęciach urządzenia elektryczne i telefony, wzrost drzew, przemianę pojazdów na ulicach od powozów i furmanek przez fordyskie T, wielkie auta z bokami jak pletwy z lat pięćdziesiątych, po późniejsze coraz zgrabniejsze samochody.

Na jednym z nowszych zdjęć z lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych, sądząc po wyglądzie aut, Val dostrzegła zarys wież katedry i dębu. Zakonnica w czarnym habicie o szerokich rękawach wyciągała rękę do małego dziecka.

Val zamarła ze spojrzeniem wbitym w twarz zakonnicy, młodą i niepoznaczoną zmarszczkami, a mimo to surową. Kobieta na zdjęciu w drugiej ręce trzymała różaniec, którego srebrny krzyżyk zwisał między jej smukłymi palcami.

- Co się stało? - spytał ze zdziwieniem Slade.

Val z biciem serca wpatrywała się w czarno-białe zdjęcie.

Przed oczyma przemknęły jej sceny z młodości, jej trudne i bolesne fragmenty. Przypomniała sobie, jak szła lśnjącymi czystością korytarzami St. Elsinore's. Tracąc z oczu małą Camille.

I jak płakała w nocy, tęskniąc za rodzicami. Pragnąc, by pani O'Malley wróciła i ją uratowała.

Przed czym? Val mocno zamrugła, przez chwilę czując zapach zapamiętany z dzieciństwa. Pasty do podłóg. Amoniak. Sosnowego płynu do zmywania.

Strachu.

Zadrzała.

- Nic ci nie jest? - Głos Slade'a, który chwycił ją za łokieć i odciągnął od ekspozycji, sprowadził ją do rzeczywistości.

- N... nie, nic - zapewniła, choć było to kłamstwo, bo nadal nie mogła otrząsnąć się ze wspomnień, mimo że już do niej docierało, że jest XXI wiek, a ona znajduje się w hotelu pełnym ludzi.

Jeszcze raz rzuciła okiem na sztalugi z fotografiami i nagle stanęła jak wryta. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Zaczekaj! - powiedziała i jeszcze raz dokładnie przyjrzała się młodej zakonnicy na zdjęciu, w której, gdy odjęła zmarszczki starości i rysy surowości wynikające z wieloletniego zgorzknienia, rozpoznała młodą siostrę Ignatię.

Nerwy odmawiały Val posłuszeństwa. Serce łomotało jak oszalałe. Rozpoznała nie tylko zakonnice, nie tylko kobietę, która chwyciła jej ramię palcami z ostrymi paznokciami, której różaniec przypominał pięcioletniemu dziecku srebrzystego węża... Rozpoznała też potwora nawiedzającego jej sny - demona, który zawładnął jej podświadomością, istotę, która z latami przemieniła się z okrutnej jędzowatej kobiety w stwora o małych ząbkach, trzymającego w szponiastych palcach wijący się srebrny różaniec.

- O Boże - szepnęła, czując na plecach zimny dreszcz i ciarki na całej skórze. Przez te wszystkie lata jej przerażenie budziła zakonnica, krzycząca, bijąca linijką po rękach kobieta, której najwyraźniej zadawanie bólu sprawiało przyjemność. Val zadrzała,

mówiąc sobie, że to śmieszne, zwłaszcza że wiele osób w sierocińcu miło się do niej odnosiło.

- Valerie? - odezwał się Slade, a jego oczy pociemniały z niepokoju.

- Nic... nic mi... nie jest - wykrztusiła, przywołując na usta słaby uśmiech. Ale w głębi serca wiedziała, że od tych obrazów z dzieciństwa, od strachu i bólu prawdopodobnie nie uwolni się do końca życia.

- Nie musimy tu zostawać, jeśli nie chcesz. - Widziała, że Slade prócz tego, że czuł się w tym miejscu niezręcznie, bardzo się o nią martwił.

- Powiedziałam już, że wszystko w porządku. Chodźmy. - Skierowała się do sali, gdzie miał zostać podany poczęstunek. Usiedli przy jednym z wielu przygotowanych tam stołów, czekając, aż reszta gości uczyni to samo i zostaną podane napoje; piwo i wino stanowiły najmocniejsze z alkoholi.

Zanim zostali obsłużeni, ojciec Thomas, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o miłym uśmiechu i ostrym spojrzeniem, podszedł do mikrofonu i przedstawił siebie oraz personel stojący na podium.

Wwieziono wózek inwalidzki z siedzącą w nim przypominającą figurę woskową siostrą Ignatią, pomarszczoną, zgarbioną, z wychudłą, zapadniętą twarzą.

I to była kobieta, przez którą Val nawiedzały te straszne koszmary? Ta drobna, wysuszona postać w zakonnym habicie? Czy możliwe, by ta biedna staruszka nadal tkwiła w jej podświadomości, wywołując nocne lęki?

Ponieważ Ignatia nie wstawała już z wózka, ustawiono go przy stoliku najbliższym podium. Zakonnica prawie się nie poruszała, skurczona na swoim siedzeniu z ręcznie tkaną narzutą na kolanach i srebrnym krzyżem zwisającym z szyi.

Może teraz, myślała Val, moje koszmary wreszcie się skończą. Gdy tylko wózek siostry Ignatii zatrzymał się w miejscu, do stojącego przy mikrofonie ojca Thomasa podeszli ojciec Frank i ojciec Paul. Ojciec Thomas z entuzjazmem zachęcał zebranych do licytowania przedmiotów wystawionych na aukcję w starej sali gimnastycznej w St. Elsinore's. Ofiarowane dobra robiły wrażenie.

Było tam wszystko od wycieczki dla dwóch osób do rezydencji przy plaży w Kalifornii, po „jedyne w swoim rodzaju” biały fortepian подарowany przez Arthura i Marion Wembleyów, wieloletnich mieszkańców Nowego Orleanu, parafian z St. Marguerite's. Oboje Wembleyowie, jak wspomniał ojciec Thomas, przed osiemdziesięciu laty wychowywali się w sierocińcu St. Elsinore's.

Po tej inspirującej uwadze ojciec Thomas zaprosił wszystkich, by przed poczęstunkiem wraz z nim zmówili modlitwę.

A potem, gdy przebrzmiało ostatnie „amen” i większość gości zrobiła na piersi pospieszny znak krzyża, obsługa zaczęła serwować potrawy.

Val nie miała apetytu. Była zbyt spięta, wciąż myślała o swoich planach. To mogła być jedyna szansa na zajrzenie do archiwum St. Elsinore's, na poszukanie informacji, które doprowadziły Camillę do śmierci. Gdy wszyscy przejdą do sali gimnastycznej, Val zamierzała przy odrobinie szczęścia zakraść się do archiwum i dowiedzieć, kim, do diabła, naprawdę jest.

Była pewna, że jej tożsamość ma związek ze śmiercią siostry; nie wiedziała tylko, na czym on polega. Siedziała, rozgrzebując widelcem sałatkę z krewetek z melonem, gdy nagle odniosła wrażenie, że jest obserwowana, że ktoś śledzi każdy jej ruch. Tylko kto w tłumie sześciuset czy nawet siedmiuset osób mógłby się jej przyglądać?

Czując, że włoski jeżą się jej na karku, spojrzała przez ramię.

Nie zauważyła jednak, żeby ktoś wlepił w nią wzrok.

Ale z drugiej strony, czy istnieje lepsze miejsce do ukrycia się niż tłum nieznanymi twarzami?

Rozdział 49

Ze swojego miejsca w pobliżu bocznych drzwi Montoya lustrował tłum gości zebranych w hotelowej sali restauracyjnej. Ponad

pięćset osób, wszyscy elegancko ubrani i gotowi otwierać swoje portfele na rzecz nowego sierocińca, ale nikogo, kogo mógłby zidentyfikować jako Ojca Johna.

Minął go kelner z dużą srebrną tacą, potrącając po drodze palmowe drzewko. Ostry koniec liścia otarł się o twarz Montoi, który postanowił zmienić miejsce i przeniósł się nieco bliżej frontu sali, skąd miał lepszy widok na tłum.

Jedna z osób w tym zbiorowisku mogła być zabójcą.

Czy ten sukinsyn znajduje się między gośćmi?

Ze zoperowaną plastycznie twarzą, żeby nie można go było rozpoznać?

Lub przebrany? Za kogo? Księża sutanna od razu by go zdradziła. A zatem... Wzrok Montoi przesuwiał się po twarzach gości.

Zauważył kilku policjantów w cywilnych ubraniach wmieszanych w tłum; niektórzy nawet robili z ukrycia zdjęcia i filmowali zebranych; w tych czasach dzięki komórkom i kieszonkowym kamerom było to łatwe. Montoya pochwycił spojrzenie Bentza i skinął głową, gdy ksiądz, trudno osiągalny ojciec Thomas, teraz stojący przed mikrofonem, wspomniał o Wembleyach, parze, która zapewniła alibi ojcu Frankowi na noc śmierci Camilli Renard. Arthur i Marion, wierni parafianie, wystawili na aukcję szczodry dar w postaci ich ukochanego fortepianu firmy Steinway.

Montoya dokładnie sprawdził tę pobożną parę. Wembleyowie większość swych ziemskich dóbr przekazali instytucjom charytatywnym, a ostatnio przenieśli się ze swojej położonej nad brzegiem Missisipi rezydencji o powierzchni czterystu metrów do znacznie mniejszego lokum w kompleksie domków jednorodzinnych.

Montoya rozmawiał z nimi. Po długim życiu poświęconym gromadzeniu materialnych korzyści Wembleyowie bardziej troszczyli się obecnie o życie pozagrobowe niż o swoje kolekcje aut, dzieł sztuki czy o ukochanego steinwaya w stylu Ludwika XV, teraz wystawionego na aukcję.

Gdy odwiedził starzejących się Wembleyów w szpitalu, gdzie starszy pan przegrywał bitwę z ponurą kostuchą, zauważył coś

więcej. Chociaż małżonkowie zachowywali się jak kochająca się, oddana sobie para, Montoya zaobserwował, że żona nie jest tak zależna od męża jak on od niej. Tłumaczył sobie, że prawdopodobnie wynika to z pogarszającego się stanu zdrowia starszego pana, ale mimo wszystko budziło to pewne wątpliwości.

Odnosił wrażenie, jakby w pokoju szpitalnym Wembleya unosił się opar kłamstwa unoszący się nad ukrywaną prawdą.

A może tylko popuścił wodze fantazji, wyczuwając zakłamanie, bo tak się nastawił?

Natomiast tego wieczoru w hotelowej restauracji wyczuwał atmosferę podniecenia i lekkiego napięcia. Niestety, nie wynikała ona wyłącznie z tego, że zebrane tu szczodre duszyczki gotowe były dużo zapłacić za wystawione na aukcji przedmioty, mając na względzie szczytny cel. Nie, tu działało się coś więcej; przybyło wielu dziennikarzy, liczących nći atrakcyjną historię związaną z makabrycznymi morderstwami w St. Marguerite's.

Chorzy maniacy!

A fakt, że tak łatwo sprzedano wszystkie bilety, bez wątpienia brał się nie tylko stąd, że na aukcji miały się pojawić miejscowe sławy, czy z tego, że ludzie chcieli się przysłużyć dobrej sprawie, ale też z tego, że ludzi przyciągała aura skandalu, w który zamieszany był sierociniec.

Obie zamordowane kobiety były sierotami i adoptowano je właśnie z St. Elsinore's, z sierocińca, który teraz zamierzano sprzedać i zapewne zburzyć. Camilla Renard, nowicjuszka, była w ciąży i krążyły plotki, że miała romans z ojcem Frankiem O'Toole'em, przystojnym księdzem, który znajdował się tego wieczoru na sali.

Darmowa reklama, pomimo skandalicznych i przerażających okoliczności.

Tak, w tłumie gości wyraźnie wyczuwało się wielkie podniecenie, które częściowo można było przypisać potwornym zbrodniom, jakie starał się rozwikłać Montoya.

Morderstwa intrygowały wszystkich, choć na szczęście opinia publiczna nie знаła dokładnych szczegółów - suknie ślubne, zakrwawione dekolty, sieroty, tajemne praktyki religijne i szaleniec,

który znów grasował na wolności. Martwa prostytutka i pamiętnik zakonniczy, który czytało się jak poradnik perwersyjnego seksu z tak obrazowymi opisami, że Montoya prawie nie zwrócił uwagi na drobne zapiski na bokach, zapiski, których nie rozumiał. Czy były istotne?

Wzruszył ramionami, jakby ktoś faktycznie zadał mu to pytanie. Dziwne cyfry i symbole, serca i strzałki, niczym zakodowane informacje Kupidyna. Wszystko w otoczce śmierci.

Niesamowita sprawa, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

Autobus pędzi, pędzi, pędzi, Koła się kręcą, kręcą, kręcą, Autobus pędzi, pędzi, pędzi Przez całe miasto...

Rymowanka z dzieciństwa z uporem przewijała się przez głowę Lucii wsłuchanej w szum kół grayhounda toczącego się po szosie. Ile razy śpiewała tę piosenkę razem z innymi dziećmi w sierocińcu St. Elsinore's, wykonując przy tym odpowiednie gesty?

Westchnęła i oparła głowę o szybę, za którą przesuwała się ciemność. Wiedziała, że tego wieczoru odbywa się aukcja na rzecz nowego budynku dla sierocińca i w pewnym stopniu pragnęła tam być; tak jak pragnęła być z Cruzem.

Idiotka!

Ten okres życia, z sierocińcem, a tym bardziej z Cruzem, masz za sobą.

Autokar był prawie pusty. Poza Lucią znajdowała się w nim kobieta z ośmioletnim dzieckiem, siedząca dwa miejsca za kierowcą. Dziecko było wtulone w objęcia matki; oboje spali. Z tyłu siedział około dwudziestoletni chłopak z blizną przecinającą połowę twarzy i tatuażami widocznymi na muskularnych rękach. Wygodnie rozparty, z zamkniętymi oczami słuchał iPod'a.

Lucia siedziała pośrodku, po przeciwnej stronie reszty pasażerów.

Miała na sobie zwykłe ubranie, włosy przycięta krótko nożyczkami wykradzionymi z klasztoru.

Podróżowała na koszt siostry

Camilli, która wraz z telefonem komórkowym zostawiła jej portfel pełny studolarowych banknotów. Dokładnie znajdowało się tam pięćdziesiąt studolarówek.

Dla Lucii była to cała fortuna. Westchnęła, chuchając w szybę, która w tym miejscu zaparowała.

Doskonale pamiętała moment, w którym Camilla przekazywała jej pieniądze.

- Na wszelki wypadek - powiedziała, wciskając gruby skórzany portfel w kieszeń habitu Lucii dwa dni przed nocą, gdy została zamordowana. - Ojciec Święty może i chce, byśmy wyzbywały się ziemskich dóbr, ale z pewnością nie pochwała głupoty.

- Ale skąd to wzięłaś? - zdumiała się Lucia, usiłując zwrócić pieniądze.

- Nie ma znaczenia - odparła Camilla, lecz jej uśmiech przygasł. - Można powiedzieć, że to zapłata za milczenie.

Lucia mocno uściśnęła dłoń Camilli.

- Bogaci ludzie, tacy jak Marion Wembley, nazywają to darowizną.

- Darowizną? Z jakiego powodu? Camilla zamyśliła się na chwilę.

- Zeby mieć pewność, iż nic nie zrujnuje ich przyszłości. Że pewne tajemnice nigdy nie wyjdą na jaw

- odparła z zagadkowym uśmiechem. - Po prostu to weź, dobrze?

- Nie mogę.

- W takim razie przechowaj je dla mnie. Bardzo cię proszę. - Wzrok jej się zachmurzył. - Mogę ich potrzebować.

Lucia z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową, choć wiedziała, że w ten sposób sprzeniewierza się wyznawanym wartościom, że popełnia jakiś nieokreślony grzech.

- Dobrze, ale tylko na pewien czas...

A teraz Camilla nie żyła, została zamordowana, a Lucia łamała wszystkie złożone sobie obietnice.

Wykorzystała gotówkę, by znaleźć się jak najdalej od Cruza.

Zamknęła oczy, zastanawiając się, gdzie będzie, gdy nastanie nowy dzień.

Jej podróż prowadziła zygzakiem donikąd.

W Baton Rouge wsiadła do autobusu jadącego na zachód ubrana w to, co miała na sobie, gdy rozstała się z Cruzem; kiedy autokar minął granicę stanową, wjeżdżając do Teksasu, i zatrzymał się na pierwszym przystanku, kupiła bilet na południe. W toalecie włożyła habit. Miała go na sobie przez całą drogę do Meksyku, żeby zapamiętano, że w autobusie zmierzającym do granicy kraju była młoda zakonnica.

Dwa postoje dalej, przystanek przed granicą, wsiadła do autobusu kierującego się na północ, ubrana w zwykłe ciuchy, dodając tylko różowy sweterek, który miała w plecaku. Na każdym postoju w czasie tej zawilej podróży zmieniała coś w swoim wyglądzie. Raz miała okulary przeciwsłoneczne, głowę obwiązaną chustką, bluzkę i dżinsy, a raz T-shirt i spódnicę.

Zaczęło padać. Autobus wspinał się na wzgórza. Przyglądając się przez okno zarysom ciemnych pól, Lucia myślała o Wschodnim Wybrzeżu; nie zamierzała udawać się na północ - była dziewczyną z Południa.

Przez głowę przemknęły jej nazwy miast na wybrzeżu i w końcu zdecydowała się na Savannah - wystarczająco duże miasto, by mogła w nim zniknąć, a jednocześnie na tyle małe, żeby poczuła się tam jak w domu. Tak, pomyślała, Savannah.

Zauważyła, że kierowca, przysadzisty mężczyzna z wygoloną głową i czerwoną twarzą, włączył wycieraczki.

Wycieraczki robią szu, szu, szu, szu.

Wycieraczki robią szu, szu, szu, szu...

Kelnerzy zebrali już półmiski po sałatkach. Val, napięta jak struna, rozglądała się po sali, patrząc na twarze gości. Rozpoznała wiele zakonnicek z obu parafii. Szum rozmów i śmiechy, brzęk talerzy i kieliszków napełniały pomieszczenie kakofonią dźwięków. Teraz wnoszono do sali parujące półmiski z jambalają, étouffée z raków, czerwoną fasolą z ryżem i stosami ciastek oraz kukurydzianego chleba polanego masłem i miodem.

Pomimo że ona i Slade starali się nie włączać do rozmów, zostali w nie wciągnięci przez trzy pary siedzące przy ich stoliku. Były to małżeństwa z co najmniej dziesięcioletnim stażem, mające dzieci w wieku przedszkolnym. Dwaj mężczyźni okazali się sierotami adoptowanymi z St. Elsinore's. Jedna para adoptowała dwie dziewczynki z tego sierocińca. Wszyscy byli poruszeni tym, co działo się w St. Marguerite's.

- Dzisiejszy wieczór to prawdziwy zjazd po latach - entuzjasmował się wysoki rudowłosy mężczyzna imieniem Ned.

Jego żona, dość ładna blondynka, była tego samego zdania, natomiast kobieta o pociągłej twarzy, Connie, nie mogła przestać rozprawiać o okropnościach, jakie wydarzyły się w St. Marguerite's, opróżniając drugi - a może już trzeci? - kieliszek wina.

Val z trudem hamowała język, zwłaszcza gdy rozmowa zeszła na Camille.

- Słyszałam, że ona była w ciąży - oświadczyła Connie, z oburzeniem unosząc brwi.

- Naprawdę? - zdumiała się trzecia kobieta, brunetka o dużych, sarnich oczach..

- Cii... - szepnął, krzywiąc się, mąż Connie.

- Nie uciszaj mnie! Mówią, że ojcem dziecka był ksiądz. Zresztą wcale się jej nie dziwię, wystarczy na niego spojrzeć!

- Connie! - obruszył się Vince, purpurowiejąc na twarzy. -Bardzo cię proszę...

Ale Connie, lekko zawiana, nadal pożerała wzrokiem ojca Franka.

- Ciekawe, jak było z tą drugą zamordowaną zakonnice. Może ona też kręciła z tym księdzem! -

Connie roześmiała się głośno, o mało nie spadając z krzesła. - A od mojej przyjaciółki, która tam pracuje, usłyszałam, że zaginęły kolejne dwie zakonnice. I to ma być klasztor? Dziewczyny padają w nim jak muchy!

- Ciiii! - Mąż był teraz naprawdę zły. I zakłopotany.

Val nie mogła tego dłużej znieść. Nie zważając na ostrzegawcze spojrzenie Slade'a, rzekła:

- Camilla Renard była moją siostrą.

- Oczywiście, że była pani siostrą. Była siostrą nas wszystkich - odparła Connie, patrząc szklistym wzrokiem i unosząc niepewną ręką kieliszek chardonnay.

Vince zeszywniał, a pozostałe pary zamilkły, odkładając sztućce na stół.

- Nie mówię o tym, że Camilla wstąpiła do klasztoru i zamierzała złożyć śluby. Była moją rodzoną siostrą - wyjaśniła spokojnym głosem Valerie, rejestrując zaszokowane spojrzenia sześciu par oczu. Slade wyglądał tak, jakby miał ochotę ją udusić, ale Val nie zamierzała się teraz wycofać. - Obie zostałyśmy przywiezione do St. Elsinore's, gdy zginęli nasi rodzice. Camilla była wspaniałą osobą i bardzo mi jej brak.

- Och, dobry Boże - jęknęła żona Neda. Druga kobieta się przeżegnała.

- Ale w ciąży była? - Connie całkiem zatraciła poczucie przyzwoitości.

- Tak mi przykro - powiedział jej mąż i zwracając się do żony, rzekł: - Chodźmy, kochanie. Wyjdźmy stąd.

- Ale przecież aukcja nawet się jeszcze nie rozpoczęła - opierała się Connie, rozwlekając słowa.

Val, zirytowana, zastanawiała się, ile drinków wypila ta baba, zanim przekroczyła próg hotelu.

- Już będę grzeczna, obiecuję - zapewniała Connie, robiąc słodką minkę.

Jej mąż jednak nie dał się na to nabrać i postanowił wyprowadzić zawianą żonę z sali. Gdy szli do drzwi między stolikami, reszta osób przy stole Val i Slade'a w milczeniu grzebała w swoich talerzach. Był to jedyny stolik, przy którym panowała głucha cisza.

Slade położył dłoń na kolanie Val, prosząc ją wzrokiem, by nie robiła więcej scen. I oczywiście miał rację. Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co zamierzała zrobić później. Nie chciała, żeby ktoś zwrócił na nią uwagę. Lub zauważył jej nieobecność.

Znów powiodła wzrokiem po tłumie gości, dostrzegając kilka osób z policji. Na sekundę jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Bentza, zobaczyła też Montoyę opartego o kolumnę

i przyglądającego się ojcu Thomasowi, który w czasie, gdy serwowano deser lodowy z bananami, przedstawił zebranym siostrę Charity i zapowiedział występ chóru z St. Marguerite's.

Val odniosła wrażenie, że matka przełożona przez ostatnie kilka dni jakby się skurczyła, jej twarz była teraz bledsza i nie tak surowa.

- Jak państwo wiecie - zaczęła siostra Charity, stuknąwszy kilkakrotnie w mikrofon, aby sprawdzić, czy działa - w ostatnich dniach ponieśliśmy w St. Marguerite's ogromne straty. - Jej głos brzmiał mocno i czysto mimo sprzężenia zwrotnego w mikrofonie. - Nasz chór również poniósł stratę, ale w hołdzie tym, które straciły życie, i tym, które zaginęły, ku chwale naszego Pana i na rzecz ważnej sprawy, postanowił jednak dać koncert. - Zakonnica zacisnęła usta, a po sekundzie dodała: - Ale najpierw chcę państwa poprosić o wspólną modlitwę i minutę milczenia, którą uczcimy pamięć siostry Asterii i siostry Camilli, które niedawno Bóg wezwał do Siebie. Tym milczeniem uczcimy również zaginione zakonnice. - Spojrzała na ojca Paula, który zaintonował modlitwę.

Później, po chwili ciszy, której nie zakłócił najmniejszy szmer, siostra Charity dała znak chórowi, że może rozpoczynać występ.

Val przyglądała się i słuchała, zastanawiając się, jak brzmiałaby wykonywana pieśń, gdyby pomiędzy chórzystkami znajdowała się jej siostra i nowicjuszka o pięknym głosie, która zawsze nuciła, siostra Louisa.

Ale chór i tak śpiewał melodyjnie i, zdaniem Val, z ogromną melancholią.

Gdy zerknęła na program, zauważyła, że został wydrukowany wcześniej i zawierał imiona wszystkich zakonnice, również dziś nieobecnych. Wpatrując się w nie kolejno, zwróciła uwagę na coś, co jej przedtem umknęło.

Lista sopranów wyglądała tak: Siostra Camilla Siostra Asteria Siostra Lucia Siostra Louisa

Siostra Edwina Siostra Devota Lista altów: Siostra Zita Siostra Irena Siostra Maura

Kiedy zapisała kolejno pierwsze litery imion sopranów, powstało słowo CALLED. Gdyby otoczyła go rysunkiem serca niczym pętlą, otrzymałaby jedną z wiadomości, którą Camilla umieściła w swoim pamiętniku.

No i co z tego? - myślała. To zwykły przypadek. Niemniej czuła rosnące podniecenie, że wpadła na ważny trop.

Czy Camilla nie mówiła, że wszystkie soprany zadurzyły się w ojcu Franku? Czy to możliwe?

Val zastanawiała się nad różnymi możliwościami, jednak wniosek, do jakiego doszła, wydał się jej zbyt dziwaczny, by go rozpatrywać.

Camilla wiedziała, które z zakonnic podkochiwały się w tym księdzu.

Z tych sześciu dwie nie żyły, a dwie zniknęły. Siostry Lucii i siostry Louisy nie można było odnaleźć.

Serce Val zamieniło się w sopel lodu. Czy one również nie żyją, uduszone tą straszliwą garotą?

Jeśli tak, zastanawiała się, przesuwając wzrokiem po liście imion, siostra Edwina i siostra Devota będą następnymi ofiarami!

Valerie popatrzyła uważnie na chór wykonujący wzniosły hymn do Pana.

Siostra Devota zwróciła oczy na salę i przez ułamek sekundy jej wzrok padł na Valerie. Jakby wiedziała.

Jakby ona też wyczuwała zło kryjące się w kątach, jakby zauważyła, że dusza Val zadrżała pod wpływem przerażającej wizji. A może Val się myliła?

Przecież morderca zapowiedział co innego. Przecież na kolejną ofiarę wytypował właśnie ją.

„Jessteś nassstępa - syczał w słuchawkę. - Nie uciek-nieszsz przed tym”.

Spojrzenie siostry Devoty przeniosło się dalej, a Valerie głęboko zaczerpnęła powietrza, postanawiając, że nie da się ustawić w roli ofiary.

Ujawnij się wreszcie, chory sukinsynu, pomyślała z wściekłością. Mam szczerze dosyć twoich pokręconych gier.

A więc to jest to, myślę, stojąc na balkonie na pierwszym piętrze i przypatrując się z góry zbierającym się gościom, licznemu, odświętnie ubranemu tłumowi osób chętnych do wzięcia udziału w uroczystości zorganizowanej przez sierociniec.

Hołd dla dziwki.

Kpina.

A czy mimo wszystko nie wyczuwam jej obecności? Czy nie słyszę jej śmiechu? Myślę o jej zuchwałym śmiechu, o roziskrzonych oczach i ogarnia mnie żal.

- Ucz mnie - błagała z niecierpliwością.

I ja ją uczyłem.

Tylko, jak się okazało, nie byłem w tym osamotniony. Miała wielu nauczycieli. Dlatego była wyjątkowa.

Oczywiście nie pierwszy raz spotyka mnie zawód w miłości.

Ale tym razem... tym razem ból jest nieznośny.

Czuję różaniec głęboko w kieszeni, jego paciorki cicho postukują, a ja się uśmiecham, odnajdując wyjście na boczną klatkę schodową, z której korzysta obsługa.

Wchodzę do windy i naciskam guzik ze strzałką skierowaną w dół, a on jaskrawo się rozświecila.

Stara maszyna rusza z jękiem.

Jedziemy w dół, do samego wnętrza piekieł.

Rozdział 50

Val musiała mu powiedzieć.

Nie miała jak tego obejść; musiała zapoznać Slade'a ze swoimi planami.

- Wyjdźmy stąd - poprosiła, odsuwając krzesło.

Slade, dostrzegłszy jej zdecydowanie, posłuchał bez słowa. Nie byli osamotnieni. Inni goście również opuszczali hotel w nadziei, że szybko przebiegną kilka ulic dzielących hotel od sierocińca i zaczną licytować przedmioty wystawione na aukcję w starej sali gimnastycznej.

- Chcę trochę poszperać w aktach sierocińca, zanim to miejsce zrównają z ziemią - wyjaśniła Val półgłosem. Nie było czasu na tłumaczenie tego pośpiechu; przecież kierowało nią tylko przeczucie, które się wzmocniło, gdy zobaczyła zdjęcie siostry Ignatii z dzieckiem. Wkrótce sierociniec zostanie zburzony lub sprzedany, stare akta, które nie znajdują się w komputerze, zagubią się lub ktoś je spali, a tajemnice w nich zawarte znikną na zawsze.

- Nie można tak po prostu grzebać w aktach.

- Nawet jeśli dotyczą one mojej osoby? - spytała szeptem, gdy przechodząc foyer, mijali podium, na którym wcześniej siedział kwartet.

Przez oszklone drzwi wyszli w noc. Lało teraz jak z cebra, wiał silny wiatr. Slade otworzył parasol i ruszyli w stronę kościoła i sierocińca. Na chodnikach porobiły się kałuże, woda szerokimi strumieniami ściekała do studzienek kanalizacyjnych i choć było ciepło, ciężkie krople deszczu spadające z nieba wydawały się lodowate.

Kiedy brnęli przez ulewę, Val powiedziała Slade'owi, co zobaczyła w programie i jak to powiązała z notatkami Camilli. Slade słuchał jej, kręcąc głową.

- Uważasz, że to nic nie znaczy?

- Nie dostrzegam w tym nic ważnego.

- Twoim zdaniem, to wymysły?

- Ty mi powiedz.

Nie było czasu na sprzeczkę, właśnie docierali do St. Elsinore's.

Wokół katedry płonęło wiele świateł rzucających na stare mury dziwny blask, który podkreślał wrażenie rozkładu, wyławiając z ciemności pokruszone cegły i pęknięcia w białej fasadzie. Pędy opłaty tańczyły w podmuchach wiatru, przycupnięte na szczycie dachu i przy rurach odpływowych gargulce spoglądały groźnie na ludzi przekraczających bramy St. Elsinore's.

Głupio było myśleć, że czai się tu jakieś zło, i Val to sobie uświadamiała, zwłaszcza że w środku było już wielu gości. Ich liczba powinna napawać poczuciem bezpieczeństwa.

Jesssteś nasssstępna, zdawał się syczeć maskaron usytuowany w rogu nawy. *Nie uciekniesz przed tym.*

- Gówno prawda - mruknęła pod nosem Val, broniąc się przed atakiem paniki.

- Słucham? - Slade nachylił się, bo jej słowa zagłuszyło wycie wiatru.

- Nic - odparła.

Chwilę później szli korytarzami, gdzie na stołach leżały przedmioty wystawione do licytacji. Ta cicha część aukcji miała trwać do chwili rozpoczęcia ustnej licytacji. Przedmioty o większej wartości, takie jak wycieczka, stary koń z karuzeli i fortepian Wembleyów, miały być licytowane po zakończeniu aukcji cichej, czyli za jakieś dwie godziny.

Goście już rozpoczęli licytację, wpisując swoje nazwiska i kwoty w odpowiednie kolumny. Przy każdym ze stolików stała osoba obsługująca z St. Elsinore's lub z St. Marguerite's.

Siostra Simona i siostra Georgia, matka przełożona z St. Elsinore's znajdowały się już w budynku, ale Val dostrzegła również kilka zakonnic z chóru. Siostra Maura, siostra Devota i siostra Zita krążyły po korytarzach i sali gimnastycznej, nie było jednak siostry Edwiny. Val powiedziała sobie, że nie ma się czym martwić, Edwinę bowiem widziała niecałą godzinę temu, a jej teoria na temat napisu „CALLED” nie ma znaczenia. Nawet jeśli zapis sugerował, że sopran podkochały się w ojcu Franku, to i tak cała reszta była tylko wykwitem jej wyobraźni.

Tak czy nie?

W tym momencie dojrzała siostrę Edwinę wychodzącą pospiesznym krokiem z toalety.

A więc nie ma się czym martwić. Poza stanem własnych nerwów.

I właśnie o to Val zamierzała zadbać.

Ludzie przybywali coraz tłumniej, robiło się coraz głośniejsze i tłoczniej, gorączka licytacji zaczynała udzielać się wszystkim. Val czuła, że jej zdenerwowanie rośnie. Już sama obecność w sierocińcu budziła niechciane wspomnienia, a za każdym razem, gdy natykała się wzrokiem na ojca Franka, powracał ból po stracie Camilli... Camilli i jej nienarodzonego dziecka.

Łobuz, pomyślała, gdy zobaczyła, że OToole pochyla się i rozmawia z małą dziewczynką stojącą z rodzicami. Nie było w tym nic złego, zwykły przyjazny gest, normalny u księdza, ale Val na ten widok robiło się niedobrze. Ten człowiek był oszustem.

Jakby czując na sobie jej wzrok, ojciec Frank odwrócił głowę i spojrzał na Val. Spodziewała się ujrzeć przymiłny, zadowolony z siebie uśmiech; zamiast tego zobaczyła oczy pozbawione blasku, martwe i zaszczute.

Odwróciła się.

Gdy cicha aukcja dobiegła końca, personel i wolontariusze zebrali listy. Większość z obecnych ruszyła do sali gimnastycznej, przestronnego, wysokiego pomieszczenia zwieńczonego skośnymi belkami krokwi. Val, przymknąwszy oczy, poczuła zapach przeпоconych, brudnych koszulek graczy, a także woń niepokoju i obaw, a nawet rozczarowania dziewcząt stojących pod ścianami w trakcie piątkowych potańcówek. Stare wspomnienia unosiły się w powietrzu jako pozostałość czasów, gdy sala gimnastyczna była przyłączona do szkoły.

Teraz kłębił się tu tłum zaaferowanych, podnieconych gości. Emocje wzmocnione wypitymi wcześniej kilkoma kieliszkami wina były wyraźne. Deszcz tłukł w matowe szyby okien usytuowanych nad wysokimi drabinkami. W sali było duszno od rozgrzanych ludzkich ciał.

Val była pewna, że gdyby w sali znajdował się dowódca straży pożarnej, zamknąłby ją bez wahania. Tymczasem goście szukali sobie najwygodniejszych miejsc, a ojciec Thomas, wszedłszy na podium, górował teraz nad tłumem.

U jego boku stanęły siostra Georgia w habicie oraz szczupła kobieta o ciemnorudych, prawie kasztanowatych włosach i promiennym uśmiechu. Przedstawiono ją jako doktor Sam, psycholog radiową ze stacji WSII. Jej program *Zwierzenia o północy*, jak twierdził ojciec Thomas, należał do jednych z najpopularniejszych nie tylko na terenie Nowego Orleanu, ale również na obszarze całego Południowego Wybrzeża.

Nastąpiły kolejne prezentacje i jeszcze jedna modlitwa, którą poprowadził ojciec Paul, po czym aukcja ustna została oficjalnie otwarta. Oznajmiła to siostra Georgia.

Na pierwszy ogień poszła wycieczka do Las Vegas. Ale to nie było wszystko - wśród przedmiotów do licytacji znalazły się dwa krzesła antyki, dar miejscowego sklepu meblowego, koń z karuzeli, stanowiący własność sławnej aktorki i, oczywiście, wspaniałe fortepian...

Montoya dosłownie przykleił się do Val. Widział, że wcześniej opuściła hotel, i otrzymawszy szybki sygnał od Bentza, poszedł za nią. Na szczęście towarzyszył jej mąż, ale mimo to Montoya nadal czuł niepokój z powodu wiadomości, którą otrzymała z rana, że będzie następną ofiarą.

Czy to możliwe, że to tylko czyjś głupi żart?

Oczywiście, że możliwe.

Ale on w to nie wierzył.

Instynkt mu podpowiadał, żeby ją śledzić, więc machnął Ben-tzowi na pożegnanie, a potem zadzwonił do niego na komórkę. Bentz pilnował ojca O'Toole'a, a Brinkman, Zaroster i kilku innych policjantów w cywilu obserwowało resztę gości.

Wszyscy w wydziale uważali, że zabójca nie wytrzyma i wyjdzie z ukrycia, skuszony rozgardiaszem uroczystości i uwagą mediów. Jeśli zasadzi się na Valerie Renard Huston, Montoya zamierzał przy tym być.

Poszedł za nią i jej mężem do kościoła i patrzył, jak dołączają do reszty gości; posunął się nawet tak daleko, że wszedł do sali gimnastycznej, gdzie rozpoczynała się ustna aukcja. Jednym z gości honorowych była Samantha Leeds Walker, pani psycholog z radia, pierwotny cel Ojca Johna przed dziesięciu laty. Kiedy patrzył, jak doktor Sam podchodzi do mikrofonu, po karku przebiegł mu zimny dreszcz. Przeczował, że wydarzy się coś złego. Jeśli Ojciec John znajduje się w sierocińcu, jeśli on był potworem, którego szukali, zabójcą, który udusił Grace Blanc różańcem, to czy nie zwróci uwagi na swoją pierwszą niedoszłą ofiarę?

Przed dziesięciu laty ten chory sukinsyn zabijał kobiety podobne do doktor Sam. Czy zapoluje teraz na nią, czy na Valerie Huston? A może telefon był próbą odciążenia uwagi policji od prawdziwego celu?

Val, stojąc na tyłach sali, uznała, że nadarzyła się okazja do działania. Znała budynek i wiedziała, że wejścia na schody prowadzące do piwnic znajdują się w biurze i po obu stronach gmachu. Biuro zajmowali wolontariusze z firmy księgowej zliczający kwoty z cichej aukcji, więc ta droga odpadała. Południowe wejście znajdowało się zbyt blisko sali gimnastycznej, ktoś mógłby ją łatwo zauważyć, postanowiła więc skorzystać ze schodów północnych.

- Czy już ci wspominałem, że to nie najlepszy pomysł? - mruknął Slade, gdy przemknęli pod aksamitnym sznurem i ruszyli cicho korytarzem.

- Tylko jakieś tysiąc razy.

- Więc niech to będzie tysiąc pierwszy, okej?

- Zanotowałam. - Val pospiesznie skrzyła za róg w stronę klatki schodowej, która oczywiście była zamknięta. - Cholera - zakląła, uderzając pięścią w drzwi. Myślała, to znaczy miała nadzieję, że pójdzie łatwiej. Chociaż oczywiście zakładała też, że nie wszystko będzie proste.

- Okej, uznajmy to za znak.

- Żeby się poddać? - Pokręciła głową, jakby mówiąc: Nie ma mowy. - Może drzwi od południa... - Ale jakie miała na to

szanse? Cały budynek był pozamykany na głucho. Westchnęła ze zniechęceniem. - Wiem, że dla ciebie to może nie jest wielka sprawa - rzekła z zawodem w głosie - ale dla mnie to ważne. Myślę, że gdzieś tam w tych aktach - wskazała palcem na drzwi do piwnicy - znajduje się odpowiedź na dręczące mnie pytania na temat mnie i Camilli, i może nawet jakaś wskazówka, kto ją zabił.

Próbowałam się tam dostać, ale siostra Georgia się nie zgodziła. A jeśli zwrócę się z tym do policji, sprawa zajmie całą wieczność. Zanim policja coś zrobi, to miejsce będzie już stertą gruzu.

- Archidiecezja nie dopuści do zniszczenia akt - upierał się Slade, ale Val widziała, że się łamie.

- Pewnie masz rację, ale może je zniszczyć ktoś inny, kto bardzo nie chce, żebym poznała prawdę. - Val oparła głowę o drzwi. - Och, niech to szlag - mruknęła.

Slade dotknął jej ramienia.

- Mam w samochodzie wytrych.

- A nie przy sobie? - Już czuła przyływ adrenaliny; może jednak zdołają pokonać tę przeszkodę.

- Nie. - Slade błysnął białymi zębami w szerokim uśmiechu. - Pójdę po to narzędzie. Wracam za dziesięć minut, więc nigdzie nie odchodź.

- Dobrze.

- Chociaż... - Slade popatrzył z niepokojem w głąb ciemnego korytarza.

- Tu wszędzie jest mnóstwo ludzi i policji - uzmysłowiła mu Val, widząc jego wahanie. - Poza tym sama byłam policjantką.

- „Byłam” to najważniejsze słowo w tym zdaniu. I nie masz broni.

- Nic mi nie grozi.

- Więc czemu mam wrażenie, że popełniam błąd? - mruknął Slade i nieoczekiwanie objął Val w pasie i mocno pocałował w usta.

Kiedy oderwał od niej wargi, oparł czoło na jej czole. Jego oddech był nierówny, a serce biło mu tak mocno, że Val czuła jego niespokojny rytm.

- Myślisz, że popełniasz błąd - odezwała się zduszonym głosem, próbując rozładować napięcie - bo jesteś mężem. A tak właśnie zachowują się mężowie.

- Tak, jasne - sarknął i zza paska spodni wyciągnął swój pistolet. - Weź.

- Na litość boską, przecież jesteśmy na aukcji dobroczynnej w sierocińcu!

- A ty ścigasz mordercę.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby zabrać wytrych, ale jakimś cudem uznałeś, że pistolet może się przydać?

Popatrzył na Val ze złością i wcisnął w jej dłoń trzydziestkę-ósemkę. To było dobre. Miała uczucie, że trzyma w ręce coś solidnego. Przypominało czasy, gdy była detektywem.

- Weź to, inaczej nigdzie nie pójde.

- Już dobrze! - Wepchnęła broń do torebki.

- I użyj, jeśli będziesz musiała.

- Nie będę musiała.

Nie chciał słuchać żadnych wykrętów.

- Jesteś moim dłużnikiem, żono - zażartował i odsunąwszy się, zaczął biec w stronę głównego wyjścia.

Wysoki i wysportowany, łopocząc połami kurtki i stukając obcasami, zniknął za rogiem.

- Och, jakbym tego nie wiedziała - szepnęła Val, patrząc za nim z lekkim uciskiem w sercu.

Siostra Charity wymknęła się z sali w chwili, gdy rozpoczęła się pierwsza licytacja: wycieczki dla dwóch osób do Las Vegas. A więc do tego sprowadzały się całe jej pobożność i poświęcenie; miała wrażenie, że jest to kupczenie Jezusem, zamienianie go na „dwa wspaniałe dni i dwie noce” w Mieście Grzechu, na luksusowy apartament w hotelu zaopatrzony w wielką wannę na sześć osób i darmowe bilety na koncert Wayne'a Newtona lub na występ grupy Cirque du Soleil.

I wszystko w imieniu Ojca Świętego.

Z ciężkim sercem, pełna niepokoju szła pospiesznie korytarzami St. Elsinore's, ścigając duchy przeszłości.

A ty? Myślisz, że jesteś lepsza? Oburzasz się w duchu na kupczenie wakacjami, a sama skradasz się po korytarzach, żeby zrobić wszystko, co się tylko da, aby twoje tajemnice pozostały bezpieczne. Kim jesteś, żebyś wydawała sądy, Charity Varisco? Dobra z ciebie matka przełożona!

Charity postanowiła nie słuchać dłużej krytycznego głosu w jej umyśle i przykleiwszy do twarzy uśmiech, który powinien wyglądać na szczery, skinęła głową kilku parafianom kręcącym się nadal po korytarzu. Ale nie zatrzymała się, żeby z kimś porozmawiać, tylko udała się prosto do toalety i do kabiny. Odczekała kilka sekund i gdy była pewna, że jest sama, nabrała powietrza w płuca i niepostrzeżenie znów wymknęła się na korytarz.

Nie wróciła jednak do sali gimnastycznej, lecz ruszyła w przeciwnym kierunku, przechodząc pod sznurami sygnalizującymi, że wstęp do reszty budynku i na południowe korytarze jest zabroniony. Prawie biegnąc, z szelestem habitu i grzechotem paciorków różańca, podążała drogą prowadzącą do drzwi piwnicy w południowym skrzydle. Właśnie sięgała po klucze, które trzymała u siebie od dziesięciu lat, modląc się w duchu, by się nie okazało, że stare zamki zostały zmienione, gdy nagle odniosła wrażenie, że coś słyszy.

Kroki?

Czyjś głośny oddech?

Zatrzymała się, spoglądając w ciemny korytarz ciągnący się aż na tyły budynku, w mroczny, pogrążony w ciszy labirynt. Czyżby dostrzegła jakieś poruszenie przy jednym z okien? Serce jej się ścisnęło, przymrużyła oczy, ale niczego nie dostrzegła. A nie miała czasu na sprawdzanie. Dawała sobie piętnaście minut. Może jej nie być piętnaście, najwyżej dwadzieścia minut, zanim ktoś zauważy jej nieobecność i zacznie zadawać pytania. Na kwadrans znajdzie wytłumaczenie, ale nie na dłużej. Zatrzymała się na chwilę przy drzwiach, tylko aby szybko się przeżegnać. Potem włożyła klucz do zamka, przekreśliła go i usłyszała kliknięcie zapadki.

- Dzięki Ci - szepnęła, czując boże przewodnictwo, gdy szybko wślizgiwała się na klatkę schodową i włączała światło.

Przewodnictwo boże czy może raczej samego Szatana?

Pomyślała o błędach, jakie popełniła w życiu, o kłamstwach wypowiedzianych pod wpływem próżności i dumy. Pokutowała za nie całe lata, okładając się biczem w pokoju z lustrami, wciągając powietrze, gdy skórzane końce przecinały jej skórę, zażenowana, że patrzy na to ten wstrętny rozpustnik, ojciec Paul.

Nie miała wyboru i musiała się godzić na tę perwersję, na to, że podglądał ją, gdy się torturowała, robiąc tam w tej swojej kryjówce nie wiadomo co. Ale on chciał czegoś więcej niż tylko „podziwiać” jej nagość, jak to określał. Interesowało go przyglądanie się cierpieniu towarzyszącemu samobiczowaniu - podniecał go akt umartwiania się.

Och, była taka głupia.

I nadal jest, nadal go kryje. Zszedłszy na dół, wyłączyła światło, choć wydało jej się, że słyszy coś na górze. Pomyślała jednak, że to gwar dolatujący z sali gimnastycznej albo skrzywienie belek sufitu pod ciężarem setek stóp krążących nad jej głową podekscytowanych ludzi.

Włączając żarówkę oświetlającą płataninę wąskich korytarzyków, pewnym krokiem pokonała dwustumetrową przestrzeń zastawioną rupieciami - krzesłami, ramami łóżek, starymi ramami od obrazów, biurkami i materacami. Szczury bez wątpienia porobiły sobie gniazda, dostając się przez dziury do porozdzieranych kartonów, wołała nie myśleć o pajakach... ani o węzach. Słyszac kapanie wody z zardzewiałych rur, widzac plamy wilgoci, postanowiła nie zastanawiac się dluzej nad tym, jakie robactwo musiało się rozmnożyć w tym miejscu.

Choć uważała, że to nie w porządku, iż sierociniec ma być sprzedany albo nawet zburzony, to z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że wszystko ma swój koniec. Może St. Elsinore's z jego mrocznymi tajemnicami słusznie znalazł się teraz w objęciach śmierci.

Odnalazła miejsce, którego szukała. Pewnego rodzaju klatkę. Powierzchnię odgradzoną ścianą z drutu, za którą stały półki z drewnianymi i metalowymi skrzynkami oraz plastikowymi rulonami; wszystkie miały nalepki z datami.

Zamek szyfrowy był już otwarty, a pokręta ustawione tak, by można było odblokować zapadki.

- A co to? - szepnęła Charity ze zdumieniem. Dziwne. Nie miała jednak czasu na dłuższe zastanawianie. Sekundy

szybko uciekały. Nad głową znów usłyszała jakiś hałas. Krzyk? Nie, to pewnie okrzyki zachwytu.

Weszła do środka okratowanej klatki i zaczęła przyglądać się skrzyniom, aż znalazła tę, o którą jej chodziło. Stała na środkowej półce. Wyciągnęła ją i już zamierzała przejrzeć akta, aby znaleźć te, które były jej potrzebne, gdy nagle znów usłyszała hałas i podniosła wzrok.

Serce jej stanęło i upuściła skrzynkę, bo w drzwiach ujrzała postać. Postać, którą rozpoznawała. Z nikczemnym uśmiechem i twardym spojrzeniem.

W jednej ręce trzymała teczkę z aktami, w drugiej nóż z długim ostrzem.

A na podłodze przy drzwiach leżała poślizgnięta ślubna suknia.

Montoya przyglądał się, jak po licytacji dwóch antyków zakończonej ogłoszeniem w wykonaniu doktor Sam: „Sprzedane numerowi 514!”, krzesła zostały przesunięte na bok sali i w świetle jupiterów pojawił się wielki fortepian.

- A oto prawdziwy klejnot - zachwycił się ojciec Thomas z szerokim, radosnym uśmiechem. -

Podarowany przez Arthura i Marion Wembleyów, oryginalny steinwayowski fortepian! -Z miejsca na podium pozwolił doktor Sam wygłosić kilka słów pochwalnych na temat zalet instrumentu, na który spoglądał z dumą z góry, w czasie gdy wolontariusze podnieśli i podparli klapę.

Doktor Sam też się temu przyglądała, stojąc najbliżej fortepianu.

- Na tym rzadkim i wspaniałym instrumencie grywał podobno... - Głos doktor Sam przygasł, jej oczy zrobiły się okrągłe i psycholożka krzyknęła nagle przeraźliwie.

Pomocnik podpierający klapę upuścił ją z hukiem. Buch!

- Jezu Chryste! - wyszeptał, cofając się. - Boże Święty... O Boże!

Krzyk doktor Sam rozniósł się echem po sali, wszyscy zamilkli, szeroko otwierając oczy.

Przestronne pomieszczenie zalała fala przerażenia.

Montoya nie czekał nawet sekundy. Pobiegł pomiędzy rzędami krzesel w stronę podium, podczas gdy reszta gości, sparaliżowana zdumieniem, siedziała nieruchomo na swoich miejscach. Wolontariusz, który przesunął fortepian na środek, potężny Azjata, cofał się, patrząc na lśniący biały instrument, jakby to była ziejąca paszcza piekielnego potwora. - Niech ktoś wezwie policję! - krzyknęła do mikrofonu Samantha, odzyskawszy głos. Stała na podium blada jak kreda i cała się trzęsła. I choć próbowała się opanować, nie była w stanie oderwać oczu od fortepianu. Wszyscy w sali wstrzymali dech. Zapanował zamęt. Goście sięgali po telefony, przeszukiwali kieszenie lub torby, by dzwonić na policję. Białą jak ściana twarz ojca Paula wykrzywił grymas przerażenia.

- Jeśli tylko zachowamy spokój...

Ale okrzyki tłumu dotarły już do uszu Montoi.

- Co się stało?

- Na litość boską, co ona takiego zobaczyła?

- Spójrzcie na Jima. Tak, tak, na tego pomocnika. Tego, co cofa się z podium. Wygląda, jakby zobaczył ducha!

- O mój Boże, Chuck, musimy stąd wyjść...

Montoya wyciągnął z kieszeni kurtki swoją odznakę, otworzył ją i uniósł wysoko, nie przestając biec na przód sali.

- Policja! - Przeskoczył dwa stopnie podium i podbiegł do fortepianu. - Niech wszyscy zachowają spokój. - Pochwycił spojrzenie Bentza i kilku innych policjantów w cywilu. - Proszę zostać na swoich miejscach. Wszystkim się zajmiemy.

Czuł, że nikt mu nie uwierzył.

Podszedł do fortepianu, uniósł klawisz i cofnął się kilka kroków, bo w nozdrza uderzył go odór gnijącego ciała. To był odór śmierci.

W środku leżały zwłoki kobiety. Odzianej w zniszczoną suknię ślubną, z otoczką wyschniętych kropel krwi na dekolcie. Jej twarz była maską przerażenia. Leżała rozciągnięta pod kołeczkami do strojenia i strunami, pod jej plecami widniała szeroka plama krwi. Krwi, której zakrzepłe resztki oblepiały srebrne struny. W pulchnych palcach połyskiwał różaniec.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - wyszeptał ojciec Frank, który podszedł do fortepianu i zajrzał do środka, po czym szybko się przeżegnał i odwrócił wzrok.

Montoya, czując skurcze żołądka, zacisnął mocno zęby. Wpatrzony w przerażoną i martwą twarz siostry Louisy Cortez bał się, że zaraz zwymiotuje.

Rozdział 51

Val weszła na mroczną klatkę schodową, zdjęła jeden pantofel i podparła nim drzwi, żeby się nie zamknęły i żeby Slade mógł do niej dołączyć. Potem ruszyła boso ku światłu u podnóża schodów. Czekaając przy wejściu do piwnicy, słyszała, że ktoś się zbliża, więc szybko schowała się w małej niszy, gdzie niegdyś znajdowała się mała fontanna. Gdy matka przełożona zniknęła na klatce schodowej, rzuciła się przez korytarz i przytrzymała ciężkie drzwi, zanim zdążyły się zamknąć. Kiedy zgasło światło na schodach, wśliznęła się za drzwi.

Miała ze sobą pistolet i choć czuła się głupio, wyciągnęła go z torebki i odbezpieczyła. Śledziła zakonnicę, samą matkę przełożoną, zatem użycie broni wydawało się czymś zupełnie niedorzecznym, mimo to schodząc cicho w dół, trzymała ją w dłoni. I zaciskała zęby, żeby nie krzyknąć, w razie gdyby w ciemności nastąpiła na coś bosą stopą.

Znalazłszy się na dole, nie zapaliła światła, nie chcąc, by matka przełożona zorientowała się, że jest śledzona.

Dlaczego Charity Varisco skrada się po zamkniętych korytarzach sierocińca w trakcie aukcji? Czy nie powinna być na górze, biorąc udział w uroczystościach? Val przypomniała sobie notatkę Camilli,

która brzmiała: CUN 7734 CV, a którą ona rozszyfrowała jako: „Spotkamy się w piekle, Charity Varisco”. Ale to nie miało żadnego sensu i niczego nie wyjaśniało. Druga notatka ze strzałkami celującymi w napis „matka przełożona” - też nie.

Szła dalej, a gdy dotarła do oświetlonego korytarza i przekonała się, że nie ma tam nikogo, weszła w plamę światła. Serce podeszło jej do gardła, po skórze przebiegły ciarki, gdy bosą szła wolno przed siebie po brudnym cemencie.

Nagle usłyszała nieprzyjemny cichy pisk i drapanie pazurków, potem dostrzegła w kącie szczura, w którego ślepiach jak paciorki odbijało się światło. Na jej widok gryzoń, mignawszy ogonem, skoczył i jednym susem skrył się w jakiejś dziurze.

Val, zaciskając zęby, skradała się dalej, usłyszawszy przed sobą jakieś głosy. Rozgniewane, groźne. Zaczęła ją mrowić skóra na karku.

Ze ściśniętym gardłem wysunęła przed siebie pistolet i natężając słuch, zbliżała się do miejsca kłótni. Rozpoznała głos matki przełożonej, ale był tam jeszcze ktoś, czyj głos wydał się jej znajomy. O Boże! To ten ochrypły, dziwny szept, który słyszała w telefonie.

- Tego szszszukałaś? - zapytał, a serce Val w przypiływie adrenaliny i strachu załomotało jak oszalałe.

- Jej aktu urodzenia?

Akt urodzenia? Czyj akt urodzenia - i nagle Val pojęła, że chodzi o nią, o akt urodzenia Valerie Renard. Musiało tak być. Poczowała skurcz w żołądku.

- Oddaj mi to. - Matka przełożona mówiła to z naciskiem. W panice.

- Po co? Żebyś go zniszczyła? Nie ma mowy. No już, ruszaj się! Idziemy!

- Nigdzie nie pójdę.

- To cię zabiję. Rozumiesz? Jak pozostałe. Ona jest nassss-stępna.

Val czuła, że miękną jej kolana. Odbezpieczyła trzydziestkę-ósemkę.

- Nie zrobisz tego.

- Oczywiście, że zrobię! - Pełne przekonanie. Zdecydowanie. Nikczemność intencji. - Powinnaś już to wiedzieć. Czy tamte nie są wystarczającym dowodem? A teraz się ruszaj!

Z jakiegoś powodu matka przełożona targowała się z zabójcą o życie Val.

Val usłyszała, że osoby stojące przed nią poruszyły się. Usłyszała nierówny krok, prawdopodobnie siostry Charity, którą siłą zmuszano, by przeszła w głąb piwnicy.

Stwierdziła, że jakoś musi powstrzymać ten obłęd. Miała przecież broń. A zabójca? Czy powinna ryzykować? Zrobiła krok do przodu, zamierzając ujawnić się mordercy i jego ofierze, gdy nagle ktoś wyłączył światło.

Pstryk!

Zalała ją ciemność, najczarniejsza z czarnych. Cholera! I co teraz?

Mogła zawrócić, zaczekać na Slade'a, wezwać jakiegoś policjanta z sali gimnastycznej, ale wtedy straci czas i prawdopodobnie zgubi ślad matki przełożonej i zabójcy w tym labiryncie długich piwnicznych korytarzy.

Kto wie, dokąd prowadzą. Nie, musi iść dalej. Nie tylko, żeby odzyskać swój akt urodzenia, ale by ratować życie matki przełożonej!

Slade na pewno za chwilę do niej dołączy... Tak?

Wstrzymując oddech, napięta jak struna ruszyła w mrok za chyboczącym światłem latarki.

- Niech wszyscy zostaną na miejscach!

Montoya komenderował tłumem, pozostali policjanci obecni na aukcji pilnowali wyjścia, żeby nikt nie opuścił sali. Scena przypominała dom wariatów i zapowiadało się, że za chwilę wybuchnie panika.

Odór wydobywający się ze zwłok nieco zelżał i wezwano lekarza, aby potwierdził coś, było oczywiste: że siostra Louisa nie żyje.

Wiadomość o tym, co się wydarzyło, rozniosła się wśród uczestników aukcji z prędkością błyskawicy. Niektórzy płakali, jakaś kobieta zemdląca, a kilku mężczyzn chciało się rzucić w pościg - tylko za kim? I dokąd?

Ojciec Paul przy pomocy ojca Thomasa próbował zapanować nad parafianami, prosząc, by zachowali spokój i modlili się do Boga o wsparcie i przewodnictwo.

Ojciec Frank był w szoku, stał oparty o poręcz podium, ledwo trzymając się na nogach. Doktor Sam zdołała odzyskać równowagę. Ty Wheeler, jej mąż, który siedział w sali, natychmiast podbiegł do żony i wziął ją w objęcia.

Montoya chwycił za mikrofon i powtórzył to, co próbował wykrzyczeć, biegnąc do podium:

- Proszę wszystkich o uwagę! Nazywam się Reuben Montoya i jestem detektywem z wydziału nowoorleańskiej policji. Są tu ze mną moi koledzy i chcemy, byście państwo wiedzieli, że panujemy nad sytuacją, ale potrzebujemy waszej pomocy. Proszę zachować spokój i wrócić na miejsca. Doszło tu do... pewnego zdarzenia, ale jeśli będziemy współpracowali, wszystko będzie okej. W drodze są już kolejni funkcjonariusze i pracownicy pogotowia. Gdy tu dotrą, przeprowadzimy rozmowę z każdym z państwa, a po złożonych zeznaniach będziecie mogli wrócić do domów. Do tej pory proszę pozostać na swoich miejscach. - Zerknąwszy na ojca Thomasa i doktor Sam, dodał: - Aukcja musi zostać przełożona. Personel St. Elsinore's zajmie się tym i powiadomi państwa, co dalej. A na razie proszę, by wszyscy usiedli.

Strach czuło się w powietrzu, malował się wyraźnie w rozszerzonych źrenicach i na pobladłych twarzach. Kobieta, która zemdląca, zajmował się lekarz.

Montoi i Bentzowi udało się nie dopuścić nikogo do zwłok poza osobami na podium i lekarzem, ale sala i tak przypominała scenę z koszmaru.

Niektórzy wyciągali szyje, chcąc zajrzeć do wnętrza fortepianu. Inni kręcili się przy drzwiach, próbując uciec, a jeszcze inni

zbierali się w grupki wstrząśnięci i przerażeni faktem, że zabójca może znajdować się wśród osób obecnych w sali.

Montoya nawet przez sekundę w to nie wątpił. Zamykając wieko fortepianu, spojrzął na Bentza rozmawiającego z mężczyzną, który przywiózł go na aukcję.

Jak to możliwe, żeby siostra Louisa, duża kobieta, została zapakowana do środka i żeby nikt o tym nie wiedział? Gdzie zginęła? Kiedy?

Trzeba było znaleźć odpowiedź na wiele pytań, ale na razie Montoya musiał się zająć tłumem, dopilnować, żeby nie wybuchła panika.

Ojciec Frank, który do tej pory był jak sparaliżowany i w ogóle się nie odzywał, opanował się w końcu i prostując plecy, wszedł na podium.

- Proponuję, abyśmy się pomodlili - rzekł i nie czekając na czyjąkolwiek zgodę, pochylił głowę i zrobił znak krzyża na piersi. Swym głębokim barytonem zaczął: - Ojcze Nasz...

Większość osób dołączyła do modlitwy, a Montoya po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia dochodzenia w sprawie śmierci Camilli Renard poczuł, że wreszcie ma do czynienia z prawdziwym Frankiem O'Toole'em.

Gdy parafianie pochylili głowy, zauważył nagle, że w sali brak Valerie Huston i jej męża. Brakowało też kilku innych osób, które widział wcześniej, choć możliwe, że wyszły do toalety lub były w biurze, podliczając wyniki cichej aukcji.

Brinkman pilnował biura, Zaroster i dwóch policjantów w cywilu korytarzy. On i Bentz razem z księżmi starali się zatrzymać ludzi w sali gimnastycznej, ale Montoya wiedział, że gdzieś za jakimś rogiem, gdzieś w którymś z korytarzy lub nawet na wieży dzwonnicy czai się Ojciec John.

Czekając.

I kolejne osoby padną ofiarą jego śmiertelnej nienawiści. W czasie gdy ojciec Frank O'Toole modlił się ze swoimi parafianami.

Slade zobaczył pantofel Val.

Ociekając potem po szaleńczym biegu, pognał do północnego skrzydła i w chwili, gdy wszystkim zebranych w sali gimnastycznej zaparło dech ze zdumienia, dotarł do drzwi piwnicy, które okazały się otwarte i zablokowane pantoflem jego żony.

Cholera!

Do diabła, jak jej się udało otworzyć te drzwi? I dlaczego światło jest zgaszone? Czy nie powiedział, żeby na niego czekała? Cóż, wiadomo...

Przeczuwał, że wydarzyło się coś złego, ale postanowił nie wołać Val. Coś mu mówiło, że może mieć problemy. Poważne problemy.

Przemoczony do suchej nitki, ściskając wytrych w dłoni, zaczął bezszelestnie schodzić w dół. Słyszał na zewnątrz wycie syren policyjnych, a także krzyki, które z każdą sekundą stawały się coraz głośniejsze.

I dobrze!

Oby policja przybyła tu jak najszybciej, myślał gorączkowo, dotarłszy do podnóża schodów. Tam jednak, zamiast ryzykować i włączać światło, wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Migotliwy płomień rzucał na ściany piwnicy niepokojące, drgające cienie.

Znów dobiegło go wycie syren.

Pospieszcie się, ludzie. Na litość boską, ruszajcie się!

Val z mocno bijącym sercem, zroszona nerwowym potem, podążała za wiązką światła latarki, wydobywającą z mroku drewniane skrzynie i cementowe ściany. Słaby promień, który swym niebieskawym blaskiem odsłaniał pęknięcia w fundamentach oraz stosy starych mebli i pamiątek, prowadził ją pod łukowatym sklepieniem przez następne drzwi w głąb piwnic.

Przy każdym zakręcie myślała, że jej obecność zostanie wykryta. Zastanawiała się też, dokąd idą, bo postępując za światłem, musiała zejść po kolejnych schodach do pomieszczeń, w których było znacznie chłodniej niż w korytarzach na wyższych kondygnacjach.

Posuwała się jednak dalej, schodząc coraz niżej aż do miejsca, w którym korytarze zmieniły się w tunele, a cementowe ściany zastąpiła chropowata skała.

Jakoś udawało jej się poskromić strach, ale mimo że temperatura otoczenia spadała, zaczęła bardziej się pocić. Nerwy miała napięte do ostateczności.

Gdzie jest Slade? O Boże, czy mógłbyś sprawić, żeby się już zjawił i sprowadził ze sobą wsparcie? A jeśli będzie musiała sama zmierzyć się z mordercą, strzelać do księdza?

Gdy idąc za słabym światełkiem, weszła na wąskie schody prowadzące w dół, odniosła wrażenie, że została zamknięta między zimnymi ścianami. Z coraz niższego sufitu zwisały pajęczyny, które lepiły się jej do włosów i twarzy. Pachniało stęchlizną. Kurz i zgnilizna tworzyły odór, od którego dostawała mdłości. Gdy dotarła wreszcie do ostatnich drzwi, z trudem powstrzymywała kaszel.

- Dlaczego tu jesteśmy? - spytała Charity, której drżący ze strachu głos odbił się echem od ścian i przyplął do Val.

Światło przestało się poruszać i tylko wąska strużka padała na ściany wydrążone w skale.

- Chciałabym, żebyś się tu z kimś spotkała.

O Boże, pomyślała z przerażeniem Val, morderca ma wspólnika! Obejrzała się przez ramię i nastawiła uszu, sprawdzając, czy coś usłyszy... Czy ktoś ją śledzi? Czy słyszy odgłos dyszenia? Czy znalazła się w pułapce? Szybko się odwróciła, celując trzydziest-kąósemką w ciemność, z wilgotnym od potu palcem na spuście. Przed oczami przemknęło jej oblicze demona z koszmarów, potwora o szurzących ślepiach i ze srebrnymi łańcuchami. To była siostra Ignatia. Dobrze o tym wiesz. Nie pozwól, żeby wyobraźnia nad tobą zapanowała.

Jej serce waliło teraz tak, że wydawało się, iż zaraz pęknie.

Ale nikt się na nią nie rzucił.

Przełykając strach, Val zwróciła się do światła i trzymając się cienia, podeszła bliżej. Gdy jej wzrok przystosował się już do mroku, z mdlącą odrazą uświadomiła sobie, że znajduje się w czymś w rodzaju krypty, w której trzymano trumny ustawione

w wyciętych w skale otworach. Kilka starych, zbutwiałych trumien stało jednak na zewnątrz, oparte szerszym końcem o zakurzone ściany. Charity stała przed jedną z tych trumien; wieko było otwarte. Jakby na kogoś czekało.

Było zbyt ciemno, aby Val mogła dostrzec twarz zabójcy, ale zauważyła nóż o długim, błyszczącym ostrzu. U stóp szaleńca leżało coś białego - koronkowa suknia ślubna.

Och Boże, nie!

Ten psychol zamierza zabić siostrę Charity, udusić ją garotą, przedtem jednak zmusi ją do włożenia tej przeklętej sukni. Val musi powstrzymać to szaleństwo. Musi!

- Czego ode mnie chcesz? - spytała Charity, spoglądając nerwowo na swojego prześladowcę.

- Żebyś odpokutowała za swoje grzechy. I nie chodzi mi o biczowanie, które odprawiasz dla tego zboczeńca, ojca Paula. Chcę, żebyś przyznała, że jesteś kłamcą i oszustką - odparł zabójca szyderczo.

- Że nie nadajesz się na oblubienicę Chrystusa. Tak jak i inne się nie nadawały.

- Och, dobry Boże - szepnęła Charity. - Więc ty o wszystkim wiesz?

- Że miałaś nieślubne dziecko z Arthurem Wembleyem? - sarknął zabójca.

Teraz, bez sztucznej chryпки, Valerie wydało się, że rozpoznaje ten głos; słyszała go już wcześniej.

Był łagodny... Mówił: „Przykro mi, matko przełożona”, gdy usta siostry Charity zacisnęły się w wyrazie niezadowolenia.

Valerie krew zakrzepła w żyłach.

Ten głos, który słyszała w ogrodzie St. Marguerite's, należał -co w tej sekundzie sobie uprzytomniła - do zarozumiałej kulejącej dziewczynki sprzed trzydziestu lat, która nie chciała wpuścić Val na zjeżdżalnię i zapytała podstępnie: „Wiesz co to znaczy siedem--siedem-trzy-cztery? To znaczy piekło”.

Siostra Devota?

To ona jest zabójcą?

Kobieta?

Zakonnica?

Nie! To zbyt szalone... zbyt...

Ale zabójczyni, jakby czytając jej w myślach, zabrała się do czynu. Val, ściskając w dłoni pistolet, usłyszała gorączkowe szuranie stóp ślizgających się po posadzce. Jakby doszło do przepychanki.

Bójki.

Nie!

Val zrobiła krok do przodu, w tej samej chwili, gdy siostra Charity zakwiliła żałością.

Potem wszystko nagle ucichło. Zapadła grobowa cisza.

Ręce Valerie pokryły się gęsią skórą, strach ścisnął jej serce lodowatymi pazurami.

Ratuj ją... musisz ją ratować.

Zaczęła się wolno skradać, obejrzała się za siebie, mając wrażenie, że z gęstych ciemności ktoś zaraz na nią skoczy. Usłyszała kasznięcie.

Val szybko odwróciła głowę w stronę, z której dochodził dźwięk, w stronę strumienia upiornego niebieskawego światła, i w tej sekundzie przez mętne, zatęchłe powietrze przepłynął zgrzytliwy głos:

- Wyjdź z cienia, Valerie. O tak, wiem, że tam jesteś. Wiem, że mnie śledziłaś. Czekałam na ciebie.

Więc wyjdź i się pokaż.

Żołądek Val skurczył się gwałtownie, mimo to nie wykonała najmniejszego ruchu.

- Słyszałaś, co powiedziałam - odezwała się ponownie Devota z wyraźną złością. - Wyjdź z tego ukrycia. To bez sensu. Nie rozumiesz, że się przede mną nie ukryjesz? Jesteś teraz na moim terytorium, Val. Moim i Boga.

Val nadal się nie ruszała. Miała jeszcze szansę strzelić do tej psychopatii.

- Och - sarknęła ochryple Devota, jakby coś sobie właśnie przypomniała. - I rzuć ten pistolet, bo zaraz na twoich oczach poderżnę gardło tej twojej żalosznej matce!

Slade usłyszał głosy.

Dochodziły nie z góry, gdzie odbywała się aukcja, ale z mrocznej przestrzeni przed nim. Niewyraźne, zniekształcone słowa przyływały z głębi tuneli, z szeregu krypt zalatujących śmiercią i rozkładem. Z miejsca, gdzie łąziły szczury, z przerdzewiałych rur kapąła woda. Slade miał wrażenie, że porusza się wśród szczątków dawno zapomnianych, dogorywających istnień.

Starał się iść jak najszybciej, wyobrażając sobie Val szamoczącą się z zabójcą. Widział ją z garotą na szyi, która zaciskając się coraz mocniej, wrzynała się w jej piękną szyję, odcinając dopływ powietrza. Nie myśl o tym, tylko idź dalej! Ratuj ją, na rany Chrystusa!

Jego zapalniczka dawała słabe światło, skrzył w złą odnogę, więc musiał się cofnąć. Ciężko dysząc, ogarnięty przerażeniem, zatrzymał się, wsłuchując się w ciszę ponad gwałtownym, dzikim biciem swego serca. Nie słysząc nic, ruszył dalej.

Pomyślał o Valerie i żołądek podszedł mu do gardła. Wyobraził sobie, że może ją stracić, że jakiś maniak może zarzucić jej na szyję ostrą jak brzytwa garotę i wycisnąć z niej życie. Jak wyglądałby świat bez Val? Byłby straszliwie pusty.

Nie, pomyślał, zaciskając zęby.

Musi zrobić wszystko, żeby ją uratować.

Wszystko!

Żeby tylko starczyło mu czasu.

Rozdział 52

Ludzie zamknięci w sali gimnastycznej byli niespokojni, ale przybyły dodatkowe siły policyjne, które zaprowadziły porządek, a pracownicy pogotowia zajęli się tymi, którzy poczuli się źle.

Bentz, rozglądając się po zdenerwowanym tłumie, przekazał swój posterunek Zaroster i podszedł do Montoi, aby podzielić się z nim niepomyślnymi wieściami.

- W zachodnim skrzydle drzwi do piwnicy są otwarte -oświadczył. - Odkryła to Zaroster i postawiliśmy tam umundurowanego funkcjonariusza.

- Po co?

- Drzwi były wcześniej zamknięte. Pytałem o to siostrę Georgię, matkę przełożoną. - Bentz wiercił się w miejscu, nieprzerwanie sondował tłum i żuł nerwowo gumę, czując, że coś się zaraz wydarzy. Coś złego. - I brakuje niektórych osób.

- Valerie i Slade'a Hustonów?

- Siostry Charity i siostry Devoty. - Bentz nieustannie przeczesywał tłum wzrokiem. - I Bóg wie kogo jeszcze. Ojciec John!

- Sukinsyn. Bentz kiwnął głową.

- Czytasz w moich myślach.

- On tu jest! - Montoya był o tym przekonany. Wystarczyło pomyśleć o martwym ciele siostry Louisy wepchniętym do fortepianu... - Niech to szlag! Myślisz, że ich ma?

Bentz nie odpowiedział. Ale tak, tak właśnie uważał. Nie chciał jednak wymawiać tego na głos. Jeszcze nie teraz.

- Nie wiem, ale chodźmy sprawdzić. - Bentz szedł już do wyjścia z sali gimnastycznej, mijając elegancko ubranych ludzi, ze smutkiem na twarzy. Miał nadzieję, że znów nadarzy mu się okazja władować kulkę w bebechy tego pieprzonego Ojca Johna.

I tym razem sukinsyn nie przeżyje.

Devota rzuciła się, chwytając Charity od tyłu i wykręcając jej ramię tak mocno, że słychać było trzask ścięgien. Matka przełożona krzyknęła, gdy młodsza od niej zakonnica przystawiła jej nóż do gardła.

Wiedziała, że wołanie jest bezcelowe.

Charity zamierzała walczyć, ale przegrała, zanim jeszcze walka się rozpoczęła. Pociała się i była przerażona, serce waliło jej w piersi tak mocno, że myślała, iż zaraz pęknie.

Co mogła zrobić?

Jak miała się ratować?

Jak miała ratować córkę?

Och, Najświętsza Panienko, dlaczego całe życie kłamałam, dlaczego pozwalałam, żeby oszustwo się rozrastało, dlaczego zaprzedałam duszę?

Usłyszała szczekliwą groźbę Devoty: „I rzuć ten pistolet, bo zaraz na twoich oczach poderżnę gardło tej twojej żalosnej matce!” Kolana się pod nią ugięły.

Nieemożliwe, żeby Valerie tu była! Nie po tych wszystkich latach, gdy z taką zaciekłością próbowała chronić swe jedyne dziecko.

'- Słyszałaś mnie, dziwko? - warknęła szyderczo Devota, chuchając gorącym oddechem w kark Charity i zatapiając cienkie ostrze w jej szyi.

Charity jęknęła, czując, że z rany, która od razu zaczęła szczypać, pociekła ciepła krew. To się nie działo naprawdę. Bo dlaczego Devota, którą Charity poznała w St. Elsinore's, gdy tam pracowała, ta nieszczęśliwa dziewczynka, która złamała nogę i potem zawsze kulała, miałaby zwrócić się przeciwko niej? Jak do tego doszło, że przemieniła się w nikczemnego potwora? Ale przecież Bóg na pewno o to zadbał, by w jej sercu pozostała choć odrobina szacunku dla ludzkiego życia, odrobina pobożności i dobroci. - Devoto, błagam cię... pomyśl o Matce Przenajświętszej. Nie ulegaj kuszeniu Szatana.

- Zamknij się, stara hipokrytko! - syknęła Devota. - Co ty możesz o tym wiedzieć? Sama jesteś zakłamana, a śmiesz osądzać innych? Twój czas się skończył... matko - dodała urągliwie.

-Porozmawiasz sobie z Bogiem, gdy się z nim spotkasz. - Potem Devota rzuciła w ciemność: - Ty! Valerie Renard! Siostró dziwki! Pokaż się! - Zakonnica znów wykręciła ramię Charity.

Charity głośno jęknęła. Nie była w stanie walczyć, nóż był zbyt ostry - poza tym, jeśli będzie uległa, może Valerie uniknie... Ale wiedziała, że się oszukuje.

Czy los Camilli i Asterii nie stanowił wystarczającego dowodu, tak jak to, co prawdopodobnie spotkało też Louise i pewnie Lucię. Zaczęła się osuwać na ziemię.

Devota szarpnęła nią, żeby się wyprostowała.

- Powiedziałam, wyłaż!

Charity z przerażeniem spostrzegła, że Valerie posłuchała.

Błogosławiona Matko, błagam, zatrzymaj to szaleństwo.

Jednak Valerie już wychodziła z cienia, wstępując w plamę zimnego, niewyraźnego światła.

Wysoka i piękna, silna jak niegdyś jej ojciec, celowała pistoletem w głowę Devoty.

- To nie jest moja matka!

- Oczywiście, że jest! Nie rozumiesz, że o to właśnie chodzi? Ze jesteś nieślubnym dzieckiem tej starej kobiety i ledwo dyszącego kościotrupa, który podarował sierocińcowi fortepian? - rzuciła Devota wyraźnie rozbawiona. - W tym fortepianie znajdą Louise. Tylko obawiam się, że tym razem chyba nie zaśpiewa. Już wcześniej wykonała swoją ostatnią solową partię.

- O mój Boże - jęknęła Charity. Potwierdzały się jej najgorsze przeczucia.

- A twój kochany tatuś, Wembley, wykorzystał swój majątek, żeby wszystkich przekupić, łącznie z Mikiem i Mary Brownami, żeby nikt się niczego nie dowiedział. I wszyscy milczeli, dopóki forsa płynęła. Grzesznicy, wszyscy razem i każdy z osobna!

- Nie słuchaj jej! - zaprotestowała Charity i natychmiast jej lewe ramię znów zostało boleśnie wykręcone. Prawą rękę miała wolną. Mogła się zamachnąć na Devotę, ale wtedy ostrze na pewno przecięłoby jej tętnicę szyjną.

- Przecież nie kłamię - rzuciła zimno Devota z dziwnym, przerażającym błyskiem w oku. - Odkryłam prawdę, którą tyle lat ukrywałeś... Prawdę, że masz nieślubne dziecko.

- Proszę - szepnęła Charity. Po jej szyi spływały ciepłe krople krwi, w głowie miała szum. Była przerażona i upokorzona.

- I nie było to wcale trudne - chwaliła się Devota. - Wystarczyło śledzić tę dziwkę. Ona na coś wpadła. Kiedy pracowała w St. Elsinore's, dowiedziała się, że wprowadzono zmiany w dokumentach adopcyjnych. A potem przyszła tutaj i wszystko się wyjaśniło.

- Nie wierzę ci! Puść ją! - krzyknęła Valerie, celując w Devotę pistoletem.

- Oczywiście, zawsze byłaś tępą. Pamiętam z sierocińca. Charity wyraźnie wyczuwała zgorzknienie Devoty, które jak

gęsta chmura unosiło się w zaduchu krypty. Ona, niechciana kaleka dziewczynka, którą zawsze pomijano. Valerie zrobiła krok do przodu.

- Powiedziała, puść ją! - powiedziała niskim, groźnym tonem.

- Jeszcze nie teraz.

- Teraz. - Valerie nie opuszczała pistoletu.

- Nie ty tu rozkazujesz - przypomniała jej Devota.

Ale Valerie, równie twarda jak Charity w młodości, nie zamierzała się poddać.

- Dlaczego to robisz? - spytała, wypowiadając na głos pytanie, które nurtowało umysł Charity.

- Bo jestem sługą Pana - odparła Devota z satysfakcją, wreszcie ujawniając kierujące nią poczucie misji. To wyznanie śmiertelnie przeraziło Charity. Devota mocniej ścisnęła jej ramię.

- Ktoś przecież musi usunąć nierządnicę przynoszące hańbę Kościołowi, bezczeszczące zakon. A więc teraz już wiesz, że Camilla wcale nie była twoją siostrą. O tak, mimo pewnego podobieństwa nie byłyście ze sobą spokrewnione. W najmniejszym stopniu! To było kłamstwo. A cała reszta jest tylko sprawą przypadku... lub wyobraźni. Ludzie widzą to, co chcą widzieć. Ale Camilla nie była ślepa. Charity poczuła, że wymieniając imię Camilli, Devota cała się spina, jakby piękniejsza od niej kobieta była jej rywalką.

- Wszyscy dawali się nabrać na jej gierki, ale ona pod warstewką fałszywej pobożności była zła. Była czystym złem.

Twarz Val w blasku upiornego światła pozostała bez wyrazu.

Devota mówiła dalej, jakby tłumione przez lata słowa same wypływały na powierzchnię niczym piana z odkorkowanej butelki zepsutego, gorzkiego szampana.

- Nie mogła się doczekać rozmowy ze starym Wembleyem. Śledziłam ją, widziałam, jak ta starucha, jego żona, dawała jej

pieniądze. A wiesz, co Camilla zrobiła z częścią tej forsy? Dała ją tej wiedźmowatej Lucii. Tej wariatce! Widziałam to na własne oczy. I nie musiałam długo myśleć, żeby dodać dwa do dwóch.

- Sama nie wiesz, co mówisz! - krzyknęła Valerie, ale już nie tak pewnym głosem.

- Ależ oczywiście, że wiem! - warknęła Devota. Pieniąc się ze wściekłości, dodała: - Zgodnie ze swoją naturą, ta Jezebel szantażowała Wembleya, którego żoneczka nie była z tego powodu zbyt szczęśliwa. Charity nie mogła już dłużej tego słuchać.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała, załamana, że jej upokarzający sekret został ujawniony własnej córce, którą zawsze starała się chronić. Miała świadomość, że prawdopodobnie umrze teraz, gdy miała tyle grzechów do odpokutowania.

- Czego od ciebie chcę? - powtórzyła Devota, nie przejmując się wcale wycelowaną w nią bronią. Oddychając ciężko, z wściekłością, syknęła w ucho Charity: - Myślę, że wiesz, matko przełożona. Chcę, żebyś zapłaciła za swoje grzechy. Tak jak inne. One też były dziwkami. Wszystkie kochały się w ojcu O'Toole'u.

- Nie! - Charity pokręciła głową. Nie pozwoli oczernić zakonnic ze swego stadka.

Ale Devota była przekonana o ich grzeszności.

- Wiem, że chyba tylko Camilla faktycznie z nim cudzołożyła - rzekła, wzdrygając się, jakby myśl o Camilli i Franku splecionych w miłosnym uścisku była dla niej odrażająca, nie do zniesienia. Mimo to mówiła dalej: - Ale one również tego pragnęły. Widziałam to w oczach tych świętoszkowatych hipokrytek. W oczach każdej z nich. - Devota dyszała ciężko, jak po długim biegu. Kipiała z wściekłości. Jej palce zacisnęły się na ramieniu Charity. - Te śliczne dziewczynki miały wszystko. Adoptowano je... Znalazły rodziny... Miały braci i siostry - dyszała ogarnięta furją. - Spędzały święta u dziadków. Babcie piekły dla nich szarlotki i wkładały im do skarpetek robione na drutach czapeczki, pieniądze i czekoladki - dodała z goryczą dziewczynka, którą zawsze pomijano. - Wierzyły w Świętego Mikołaja i miały rodzeństwo,

z którym mogły się kłócić i bawić, chłopców, z którymi chodziły w liceum. Zakochiwały się i miały przyjaciółki... Niektóre zostały czirliderkami albo sportsmenkami, jeszcze zanim poszły do college'ów i poznały mężczyzn, których poślubiły. - Devota pluła jadem, dławiąc się doznana niesprawiedliwością. Przy tym znów ścisnęła palcami ramię Charity tak mocno, że stara zakonnica krzyknęła z bólu. Jednakże Devota, ogarnięta szałem, w ogóle nic zwróciła na to uwagi. Ponownie przeżywała krzywdy, jakich nie szczędził jej los. - Miały pierwsze pocałunki, pierwsze miłości i pisały o tym w pamiętnikach... - Spojrzała na Valerie. - O tak, zapisywały swoje szokujące marzenia w pamiętnikach. Opisywały swoje grzeszne uczynki dokładnie i ze szczegółami...

Charity ujrzała grymas na twarzy córki, której dłoń trzymająca pistolet lekko zadrżała.

- Masz pretensję do tych dziewcząt, że je adoptowano? -szepnęła Valerie z niedowierzaniem.

Dlaczego ona nie chce stąd odejść? - myślała Charity z rozpaczą. Mogłaby uciec, ukryć się w ciemnościach i uratować własne życie. Po co tu stoi, dyskutując z Devotą? To nie ma sensu. W końcu ta wariatka ją zabije.

- Powinnaś stąd odejść - odezwała się, patrząc córce prosto w oczy. - Idź stąd. Szybko.

Valerie spojrzała na Devotę i przesunęła się w bok, lecz nie odeszła.

- Te zakonnice były niewinne.

- Niewinne? - powtórzyła z odrazą Devota. - Te idiotki? One nie miały pojęcia, co to słowo znaczy! I dopiero kiedy rodzice i chłopcy nie spełnili ich oczekiwań, kiedy nie dostały od życia wszystkiego, co chciały, przybiegły z płaczem do zakonu, krzycząc, że chcą w nim zostać. Żeby odtąd żyć w czystości. Żeby zostać oblubienicami Chrystusa! - Znów zacisnęła rękę na ramieniu Charity. - A ty je przyjmowałeś, matko przełożona. Każdą, nawet najbardziej żalną. A zwłaszcza swoje ulubienice, które się wychowywały w St. Elsinore's. Dawałaś im nowe życie, udzielałaś rad i wskazywałaś drogę, chociaż sama żyłaś w ciągłym

zakłamaniu! Jesteś dziwką, która przespała się z żonatym mężczyzną, urodziła mu dziecko, a potem wszystko ukryła.

- Nie - jęknęła Charity, czując, że krew spływa jej za kołnierz. Błagam, Valerie, odejdz. Odejdz teraz! Postanowiła grać na zwłokę. - Wierzę, że...

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. To i tak będzie kłamstwo. I Bóg to wie! - oświadczyła Devota. - On widzi, jaka jesteś, i widział, co zrobiły tamte dziwki, kiedy śluby czystości zaczęły je uwierać. Każda gotowa była bez zastanowienia wskoczyć do łóżka tego przystojnego księdza. - Devota nachyliła się do ucha Charity i głosem pełnym nienawiści dodała: - Dostrzegłam to wszystko, matko przełożona, i ty też to widziałas, ale pozwalałaś na to, prawda? Pozwalałaś im flirtować. Pozwalałaś marzyć i fantazjować, że idą z nim do łóżka. Bo wiedziałas, jaki toczy je głód. Rozpoznawałaś to niszczycielskie pożądanie.

Było coraz gorzej. A Valerie... Ojczy Święty, błagam, spraw, by odeszła. Nie pozwól, by jej krew została przelana.

- One... one fantazjowały, ale...

- Ale miały oddać się Jezusowi, Synowi Boga Ojca! - wrzasnęła Devota histerycznie, owładnięta szałem fanatyzmu.

Charity pamiętała, jaka była w przeszłości: Darlena, półkaleka, dziecko, którego nikt nie chciał adoptować. I dlatego dziewczynka całe swe serce oddała życiu zakonnemu. Wyczuwało się w niej mroczność, ale Charity miała nadzieję, że z czasem rozproszy ją światło wiary. Darlena przybrała imię Devoty, lecz rak zaszczepiony w jej duszy przez Szatana zwyciężył. Kobieta, która stała przed nią, ten potwór przekonany o swojej prawości i słuszności, niczym się nie różnił od samego Lucyfera.

Charity czuła krople krwi ściekające po szyi, jej ciało przeszył dreszcz przerażenia. Zapominając o bólu, patrzyła na swoją jedyną córkę, modląc się w duchu, by Valerie wrócił rozsądek i by uciekła z tego miejsca, nie oglądając się na potwora, do którego powstania przyczyniła się również ona, Charity.

- Uciekaj! - rzuciła z desperacją. - Uciekaj natychmiast!

Val jednak, jakby nie słysząc słów Charity, przesunęła się tylko dalej w bok, ustawiając się w lepszej pozycji do strzału. Stała w migoczącym świetle spokojna i opanowana.

- Powiedziałam, żebyś ją puściła - powiedziała stanowczo, nie spuszczać oczu z szalonej zakonnicy trzymającej nóż. - Nie.

- Więc cię zastrzełę.

- Ależ nie zrobisz tego! Chcesz strzelać w ciemnościach? - prychnęła Davota z odrazą, jakby Valerie była skończoną idiotką. - Spudłujesz i trafisz matkę albo kula odbije się od ścian i trafi was obie. - Devota zamilkła, drżąc, jakby przez jej ciało przepłynął nowy prąd ekscytacji. - Ale najpierw chcę, żebyście się z kimś spotkały.

O dobry Boże! Charity, czując, że krew z szyi spływa jej na ramiona, wiedziała, że nadchodzi kolejna przerażająca chwila. W głosie Devoty brzmiała nuta tryumfu. Zadowolenia.

Szalona zakonnica przesunęła się w bok i lekko opuszczając nóż, odchyliła szerzej wieko jednej z trumien. Z wnętrza wypadły zwłoki, przegniłe i wysuszone.

- Ty chora su...! - krzyknęła Val i odskoczyła w tył.

Z gardła Charity wydarł się mrozący krew w żyłach okrzyk zgrozy. Uginając się na zwiotczonych nogach, matka przełożona wpatrywała się rozszerzonymi oczami w martwą kobietę, z której zostały już tylko prawie same kości, miejscami pokryte kawałkami ciała. Skóra zmarłej była sucha i pomarszczona, oczodoły ziały mroczną pustką. Trup odziany był w poplamioną i podartą suknię ślubną, której wyblakłe koronki mieniły się upiornie w przyćmionym świetle latarki.

- Rozpoznajesz? - zapytała Devota.

O tak. Oczywiście, że rozpoznała. Charity poczuła falę mdłości, wiedząc, że patrzy na zwłoki siostry Lei De Luki, która rzekomo przed laty przeniosła się do San Francisco i przysyłała stamtąd kartki pocztowe.

Devota tryskała dumą.

- To zaskakujące, jak łatwo znaleźć kogoś, kto zgodzi się wysyłać listy z innego miasta. A ty przez cały czas... - znów ostrym szarpnięciem wykręciła ramię Charity - ...sądziłaś, że wiesz, co się z nią dzieje. Myślałaś, że uporałaś się z problemem.

- Jesteś szalona - szepnęła Val. Jej dłoń ściskająca pistolet drżała wyraźnie. - Zabiłaś tę kobietę.

- Ukaralam ją - poprawiła Devota. - Posłałam jej duszę do piekła. Tak jak dusze innych. To było takie łatwe. Wystarczyło powiedzieć, że ojciec Frank czeka. Na nią. Na dole. A ona się na to nabrała. Włożyła tę swoją śliczną sukieneczkę.

- Bo ją odurzyłaś narkotykami! - wrzasnęła Val.

- Pomogłam jej.

- Zwabiając ją tutaj i zabijając?

- Była rozpustnicą. Dziwką! Nie zasługiwała na niego. - Devota trzęsła się z wściekłości.

- Na Franka O'Toole'a? - Val skrzywiła się z obrzydzenia.

- I nie zasługiwała na święty habit - ciągnęła Devota. - Nie z tymi nieczystymi myślami, marzeniami, że będzie się z nim pieprzyła! Lea zasłużyła sobie na to, co ją spotkało.

- Nie możesz odgrywać roli Boga - szepnęła Charity.

- A ty tego nie robiłaś? Każdego dnia, matko? Nie udawałaś, że działasz w Jego imieniu, że robisz, co w twojej mocy, by prowadzić nas dobrą drogą? I przez cały czas ukrywałaś swoje sekrety. Ciekawa jestem, ile razy pozwoliłaś temu starcowi zaciągnąć się do wyra, ile razy z nim cudzołożyłaś, ile razy go dotykałaś, całowałaś, robiłaś to, czego od ciebie chciał. Czy o to w tym wszystkim chodzi? - Devota potrząsnęła nożem, a potem opuściła go w dół, tnąc ostrzem habit. Charity poczuła, że zimny stalowy czubek wrzyna się w skórę jej pleców, jakby ktoś chciał ją rozplatać jak filetowaną rybę.

- Nie rób tego! - krzyknęła Val. Ale nóż przeciął już tkaninę.

Charity poczuła napływające do oczu łzy. Spojrzała na zwłoki i w tej sekundzie pojęła, że ona i jej córka są zgubione.

Boże, pomóż mi. Pomóż nam.

Musiała coś zrobić. Musiała ratować córkę i własną grzeszną duszę.

Zebrawszy wszystkie siły, głośno krzyknęła, protestując z furją, wściekłością i nienawiścią.

A potem, zamknawszy oczy, ugięła kolana i osunęła się na ziemię, ciągnąc za sobą zaskoczona Devotę.

- Valerie! - zawołał Slade; imię żony odbiło się echem od ścian tunelu, powróciło do niego wraz z mrozącym krew w żyłach okrzykiem przerażenia. - Cholera! - Rzucił się biegiem w stronę, skąd przyłynął krzyk, przekonany, że morderca dopadł Val.

Niech to szlag, czemu zostawił ją samą i poszedł po ten przeklęty wytrych? Wiedział, że nie będzie na niego czekała, jeśli coś się wydarzy. Postąpił jak głupiec. A teraz Val za to płaci.

Z przerażeniem, po omacku, przedzierał się przez mrok, nie dbając, że ktoś zauważy jego obecność. To już nie miało znaczenia.

Zresztą dobrze się stanie, jeśli przeszkodzi mordercy.

Niech lepiej ten sukinsyn skupi się na nim.

Dalej, parszywcu, zmierz się ze mną!

Modlił się tylko o to, żeby na czas dotrzeć do Valerie. Bo jeśli się spóźni... Jeśli Val umiera już z ręki tego maniaka, to on, Slade, osobiście wyśle go na tamten świat, prosto do piekła.

Nie!

Val patrzyła, jak matka przełożona, jej matka, osuwa się na ziemię. Krew ściekała ze skóry na jej plecach pokrytych pręgami blizn, pozostałych po uderzeniach bicia.

Padając, Charity chwyciła zabójczynię za fałd habitu i pociągnęła Devotę za sobą.

Valerie rzuciła się do nich, gotowa przystawić lufę pistoletu do głowy potwora i pociągnąć za przeklęty spust. Odstrzelili tej wariatce mózg i do diabła z konsekwencjami.

- Ty suko!

Devota była jednak przygotowana na atak; nie zamierzała się łatwo poddać.
Zdrową nogą kopnęła Val w piszczel. Trzask!
Ból w sekundę rozszedł się po nodze. Kolejne kopnięcie.
Bum! Devota zadała cios twardym obcasem swojego buta.
Ból ostry jak ukąszenie żmii przeszył kości i Val się zachwiała.
Pistolet wypadł jej z ręki. Wstrzymując oddech, rzuciła się do niego, ale ból był tak rozdzierający, że zaczęła tracić przytomność.
Nie, nie może teraz zemdleć! Nie teraz!
Znow wypuściła pistolet, który poleciał w ciemność.
Bang!
Broń uderzyła w kamienną posadzkę i potoczyła się w kąt. Nie! Nie! Nie!
Val desperacko runęła za trzydziestkąósemką, ale zahaczyła stopą o nogę martwej siostry Lei. Upadła na twarz. Buch!
Huknęła brodą o skaliste podłoże. Aż jej zęby zadzwoniły.
Drapiąc palcami ostre kamienie, łamiąc paznokcie, próbowała dosięgnąć tego przeklętego pistoletu
Nogi zaplątały się jej w fałdy zbutwiałej sukni ślubnej i zobaczyła, że Devota, dysząc ciężko, z dzikim błyskiem w oczach próbuje się podnieść.
Wyglądała zupełnie jak potwór z koszmarów Val. Jeszcze bardziej przerażająca, nikczemniejsza i groźniejsza niż siostra Ignatia. Z noża w jej ręce skapywała krew.
Morderczyni w stroju zakonnicy...
Val zalała falą przerażenia.
- To koniec - zachrypiła Devota, wybuchając szalonym uśmiechem. - Jesteś nasssstepna! O Boże.

Zmrożonej strachem Val mimo straszliwego bólu w kostce i łydce udało się oswobodzić nogi z poślizgniętych fałd zaszarganej koronki.

- Nie, ty głupia dziwko - szepnęła, nie przestając macać podłogi w poszukiwaniu broni. Palcem dotknęła zimnego metalu. Pistolet! - To ty będziesz następna, nie ja!

- Valerie! - Głos Slade'a odbił się głuchym echem od ścian krypty.

- Tutaj! - krzyknęła rozpaczliwie, sięgając po trzydziestkę-ósemkę.

Za późno.

Devota z dzikim wrzaskiem kopnęła pistolet, który ślizgiem przeleciał po posadzce. Potem szalona zakonnica, niemal tracąc równowagę z wściekłości, padła na kolana i chwyciła welon Charity.

Szarpnęła nim mocno, odciągając głowę i odsłaniając gardło matki przełożonej. Na jej szyi zalanej krwią wisiał złoty krzyżyk.

- Nie! Nie rób tego! - zawołała Val z przerażeniem. Siostra Charity zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Jej usta

poruszały się szybko, gdy szeptała: „Święta Mario, Matko Boża...”

W przyćmionym, niebieskawym świetle latarki Val przyglądała się w panice, jak Devota unosi nóż, a następnie szybkim ruchem, z nienawiścią przecina delikatną skórę na szyi siostry Charity.

- O Boże, nie! - krzyknęła.

Z gardła matki przełożonej trysnęła strumieniem krew, ochlapując Devotę, trumny i ściany krypty.

Czerwone krople padły nawet na zwłoki siostry Lei.

Latarka potoczyła się po ziemi, a jej blask w dzikim tańcu odbijał się od ścian. Val ujrzała czaszkę z pustymi oczodołami, a następnie twarz siostry Charity, która mrugając, trzymała się z przerażeniem za gardło. Ciemne strużki krwi spływały między jej poskręcany artretyzmem palcami.

Ich spojrzenia się spotkały - matki i córki. Val, której duszę rozdzierał straszliwy ból, próbowała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa i upadła, zdana na łaskę bestii...

- Nie rób tego - wyszeptała Charity, zwracając się do Devo-ty. - Błagam, nie rób jej krzywdy...

- Zamknij się! - Nozdrza Devoty falowały dziko. - Przestałam cię już słuchać. - Kopnięciem odsunęła nogi matki przełożonej z drogi.

- Zostaw ją w spokoju - warknęła Val.

- Ciebie też już nie słucham! - Devota zgromiła Val wściekłym spojrzeniem. - Jesteś tak samo zła jak cała reszta. Jak wszystkie te głupie kobiety. I te smarkule w tym przeklętym sierocińcu. Staralam się wskazać je Bogu, żeby je ukarał, ale mnie nie wysłuchał! Odwrócił wzrok od ich grzesznych uczynków. Sama więc musiałam wymierzyć sprawiedliwość, żeby je zauważył. Udało mi się nawet złamać rękę jednej z tych dziewczuch, ale czy ją potem ukarał? Nie! Wszystko zostało na mojej głowie.

- Ta dziewczynka miała zaledwie trzy lata - szepnęła ze zgrozą Charity.

Devota szeroko się uśmiechnęła.

- I była za mała, żeby mówić. A niech to szlag!

Val nie mogła dłużej tego słuchać. Ta zakonnica była potworem, krzywdziła innych, próbowała ich niszczyć od samego dzieciństwa. Prawdopodobnie tworzyła swój plan stopniowo, krok po kroku aż do tej chwili i pewnie jeśli ktoś porządnie zbada jej przeszłość, znajdzie więcej „ukaranych” przez nią ofiar. Wraz z upływem czasu szaleństwo narastało, stawała się coraz okrutniej sza. Ale co sprawiło, że na koniec zaczęła mordować? Fakt, że podpatrzyła siostrę Leę z ojcem Frankiem? Że sama się w nim zakochała? Czy zagadkowa wiadomość Camilli, serce otaczające litery CALLED, nie zawierała również litery „D” oznaczającej Devotę? Kto to mógł wiedzieć?

Ze wzrokiem skupionym na psychopatce Val wolno przesuwiała się w stronę, w którą poleciał pistolet. Ale było stanowczo za późno na takie ruchy.

- Nie ucieknieszsz przed tym - syknęła Devota, a grymas nienawiści wykrzywił jej opryskaną krwią twarz. Zaczęła się powoli podnosić, a z noża w jej ręce krew kapała na suknię ślubną, którą ze sobą przyniosła. Jak potwór z horrorów, który choć

śmiertelnie ranny, nadal próbuje dokończyć swe okrutne dzieło, Devota szła ku Val, ciągnąc za sobą przeklętą suknię.

Gdzie jest pistolet! Boże, gdzie on jest! Val szorowała dłońmi po kamiennej posadzce.

- Nie... błagam... na litość boską... Valerie... ona nie... ona nie składała ślubów - bulgotała Charity.

Devota odwróciła się do niej gwałtownie.

Val, nie rezygnując z odnalezienia broni, sięgnęła za siebie, modląc się gorączkowo w duchu, by jej palce natknęły się wreszcie na metalową lufę. Jednocześnie nie spuszczała wzroku z wykrzywionej grymasem nienawiści twarzy Devoty i z jej zakrwawionych palców, w których ścisnęła groźny nóż.

- Wiem, że ona nie jest zakonnica - zwróciła się do zwiniętej w kłębek siostry Charity. - Ale jest adoptowanym dzieckiem, prawda? - Twarz Devoty wyrażała skrajną nienawiść. - Ona i ta jej siostra, ta dziwka, zostały przyjęte do rodziny... - W przyćmionym świetle Devota powróciła wzrokiem do Valerie. - I ty też mu się spodobałaś. Widziałam, jak kładł ci rękę na ramieniu, gdy rozmawialiście, tak jak widziałam błysk w jego oczach, kiedy Asteria podarowała mu w ogrodzie różę, albo jak uśmiechał się do siostry Lei... Tak, nawet ja uległam jego urokowi, ale byłam na tyle silna, że nie poddałam się grzesznym myślom. Bóg zaświadczy, że byłam silniejsza od tych słabych, chwiejnych, opętanych żądzą idiotek. Kusił je sam Szatan. Zwodził je, żeby uległy ojcu Frankowi, a one chętnie poświęciły te resztki pobożności, odwagi, oddania, jakie jeszcze miały w sercach. One uległy. Ja nie! -Głos Devoty przez chwilę naprawdę zrobił się drżący. - I on też zgrzeszył. Bóg wystawił go na próbę i Frank... ojciec Frank jej nie przeszedł. - Zakonnica głośno przełknęła ślinę i zamilkła na chwilę, jakby zbierała się w sobie.

W tym momencie Val pojęła, że ojciec Frank odrzucił zaloty Devoty. Nie wybrał jej spośród innych sióstr, pominął, tak jak pomijano ją wcześniej, dlatego też nigdy nie została adoptowana. Może rzeczywiście tak się stało, a może wszystko odbyło się tylko w zwichrowanym umyśle Devoty, lecz rezultat był ten sam:

kolejny raz ta pokieroszowana, przesiąknięta nienawiścią i rozgoryczeniem dusza została zraniona. Jakby czytając w myślach Val, Devota wzdrygnęła się i splunęła.

- Ale ty mu się spodobałaś, nieprawdaż? Frank cię pożądał.

- Nie, to nieprawda. - Sytuacja przybierała obrót, którego Val nie rozumiała.

- Tak jak całej reszty. Pożądał tych świergoczących i chichoczących idiotek, tych wzdychających za nim kretynek, poczynając od... tej! - Z wyrazem obrzydzenia na ustach Devota wskazała nożem na makabryczne zwłoki siostry Lei.

Val pomyślała o rysunku przedstawiającym serce i zamkniętych w nim literach. CALLED. Pomyliła się. Jedno z L nie oznaczało siostry Lucii, lecz siostrę Leę. Camilla, Asteria, Louisa, Lea i Devota...

Och, Camilla miała świętą rację. One wszystkie, włączając Devotę, kochały się w księdzu.

- Widziałaś jej ostatnie chwile? - spytała Devota. Ponieważ Val nie odpowiadała, wyjaśniła: - Mówię o tej suce, którą uważałaś za swoją siostrę. Jedynym dziecku Mike'a i Mary Brownów.

Blackberry. I makabryczne filmiki z umierającymi Asterią i Camillą, duszącymi się, zakrwawionymi, szarpiącymi garotę zaciskającą się na ich gardłach...

Val poczuła, że wzbiera w niej furia.

- Ty chora, popieprzona suko! - krzyknęła, słysząc, że bulgoczący oddech siostry Charity staje się świszczący. - Za kogo ty się uważasz?

- Za służebnicę Pańską.

- Co? - Val nie mogła uwierzyć własnym uszom. - Och, na litość boską... Ty świętoszkowata, zarozumiała dziwko! Zabiłaś te kobiety, bo ktoś je adoptował? Bo lubił je Frank OToole? Jesteś skończoną wariatką!

- Och, ale przecież one były ogromnie szczęśliwe - zauważyła Devota. - Szkoda, że nie widziałaś ich błogich uśmiechów, kiedy wkładały te swoje niedorzeczne suknie.

- Bo odurzyłaś je narkotykami!

- Były odurzone miłością.

- Bzdura! - Val wiedziała, że ofiary były pod wpływem narkotyków. Devota miała możliwość zdobycia wszystkiego, czego potrzebowała w szpitalu, gdzie pracowała, lub od kogoś z podopiecznych, wśród których było wielu narkomanów. Robiło jej się niedobrze na myśl o Camilli i o tym, jak została oszukana, wykorzystana przez tę chorą, żądną zemsty kobietę.

W świetle latarki dostrzegła błysk metalu. Pistolet! Dzielilo go od niej piętnaście kroków.

- O nie, nieee! - ostrzegła Devota, jakby czytała jej w myślach. Uniosła swój groźny nóż z ociekającym krwią ostrzem, gotowa zadać następny cios.

- Idź do diabła!

Val przeturlała się w stronę broni.

- Val! - zadudnił pod sklepieniem głos Slade'a. Zaskoczona Devota odwróciła się w stronę, skąd dobiegał ten dźwięk.

Val czubkami palców dotknęła lufy pistoletu, który znów się jej wysliznął i ze szczękiem potoczył po kamiennej posadzce. Devota odwróciła się i dostrzegła jej błąd.

- Głupia Jezebel! - Z zaskakującą zręcznością skoczyła przed siebie, zaciskając na nożu palce jak szpony. - Zdychaj! - Zamachnęła się, a śmiercionośne ostrze zabłysło stalowym błękitem i opadło w dół. Val szybko przekręciła się w bok.

Ale nie dość szybko.

Jej ramię przeszył piekący ból.

- Umieraj i niech twoja przeklęta dusza trafi do piekła! - syknęła Devota i znów podniosła nóż nad głowę, zamierzając wbić go w serce Val.

- Stój, ty pokrecona suko! - krzyknął Slade gdzieś z mroków, gdzieś zza pleców morderczyni. - I rzuć ten nóż! Kątem oka Val ujrzała, że Slade wkracza w płamę światła i ze ściągniętą twarzą i płonącym wzrokiem zatrzymuje się dziesięć kroków od Devoty. Był wściekły i nie zamierzał dawać oszalałej zakonnicy czasu na myślenie.

Bez wahania rzucił się ku niej.

Devota, przekładając nóż, zwróciła się w jego stronę. Och Boże!

Ze zdradziecką rozkoszą w oczach ta diablica zamierzała rozciąć Slade'a od szyi po krocze, wypatroszyć mu wnętrzności.

- Nie! Nie! Nie! - krzyknęła Val i rzuciła się po pistolet.

W tej samej chwili z zakrwawionych ust siostry Charity wydobył się ochryply jęk.

Konająca kobieta w ostatnim desperackim geście, jakby wspomagana przez Boga, dźwignęła się z ziemi i runęła na Devotę, przewracając ją na stertę postrzępionych sukien ślubnych i przygniatając ją swym ciężarem, tak że Devota ledwie łapała oddech.

Slade z głośnym przekleństwem upadł, uderzając ramieniem w posadzkę.

Devota otrząsnęła się z oszołomienia.

- Jeszcze nie zdechłaś, ty dziwko?! - wrzasnęła, po czym zatopiła nóż głęboko w piersi starej zakonnicy.

Krew płynąca z szyi Charity polala się na nią i na ślubne suknie.

- Złaż ze mnie! - darła się Devota, próbując bez skutku się uwolnić.

Val dosięgła pistoletu akurat w chwili, gdy Charity Varisco, jej biologiczna matka, wydała ostatnie tchnienie, przygniatając własnym ciałem zabójczynię Camilli.

Slade poderwał się na nogi.

- Nie rób tego, Val - ostrzegł, ale się spóźnił.

Ze śmiertelnym spokojem, ignorując ból w ramieniu i nodze, Valerie podczołgała się do leżących na ziemi zakonnicy i przytknęła lufę pistoletu do skroni siostry Devoty.

Pociągnęłyby za spust, gdyby Slade nie otoczył jej dłoni swoją.

- Nie - rzekł, kręcąc głową. - Już po wszystkim.

W krypcie rozległo się dudnienie pospiesznie zbliżających się kroków. Policja. W końcu.

Val, wyczerpana, ze złamaną duszą, oparła się o Slade'a. Ta skulona kobieta przed nią, z bliznami po biczowaniu na plecach,

była jej matką, kobietą, która dała i która uratowała jej życie. Val poczuła, że ma oczy pełne łez. Mrugając szybko, mocniej przywarła do męża. Jak to możliwe, że kiedyś mogła w niego zwątpić? Przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie pozwoli mu odejść.

- Już wszystko dobrze - szeptał jej do ucha, tuląc ją do siebie gorączkowo. - Już wszystko dobrze. Zabłyły latarki, oświetlając miejsce rzezi.

- Nie ruszać się! Jesteśmy z policji! - krzyczał Bentz.

- Rzucić broń! - zawołał ktoś inny.

- O święty Jezusie, co za masakra! - stęknął z mroku Montoya. Slade rozprostował palce Val, pistolet z brzękiem upadł na ziemię.

- Pomóżcie mi! - krzyknęła Devota. - Pomóżcie. Oni chcieli mnie zabić. Błagam...

- Nie wierzcie jej - zwrócił się Slade do Montoi.

- Nie, nie uwierzymy - uspokoił go detektyw. - Głównie dlatego, że już nikomu nie wierzymy.

Slade mocniej objął Val i jeszcze raz powtórzył:

- Już po wszystkim.

Ale ona, z trudem powstrzymując łzy, wiedziała, że to nie jest prawda.

Że ten horror, te okrucieństwa, jakich dopuściła się szalona Devota, będą się za nią ciągnęły jeszcze przez długi czas. Może nawet do końca jej dni.

Rozdział 53

Jesteś pewna? - spytała Val Freyę w poniedziałek, po dwóch dniach spędzonych w szpitalu. Wciąż jeszcze była obolała, ale cieszyła się, że nie musi dłużej pozostawać pod opieką personelu ze Szpitala Naszej Miłościwej Pani. Nie chciała mieć też więcej do czynienia z wenflonami, ciśnieniomierzami ani galaretkami na deser.

Freya stała w kuchni Val i taksowała ją wzrokiem, zatrzymując się spojrzeniem na gipsowym opatrunku założonym z powodu złamanej kości piszczelowej. Złamanej przez Devotę, zakonnice zabójczynię. Brzmiało to strasznie, ale na szczęście ta obłąkana kobieta trafiła za kratki i już więcej nikomu nie będzie zagrażać.

A tajemnica pochodzenia Val została wreszcie ujawniona; Val już wiedziała, kim jest, chociaż ta myśl wcale nie sprawiała jej radości, zwłaszcza biorąc pod uwagę liczbę matek, które musiała dotąd pochować, mimo że nie skończyła jeszcze trzydziestu pięciu lat. Trudno było jej myśleć o siostrze Charity jako o matce - ta surowa i sztywna kobieta na koniec pokazała, że na swój sposób potrafi kochać - a o Arthurze Wembleyu jako o ojcu. Facet musiał mieć po sześćdziesiątce, kiedy wdał się w romans i został ojcem niechcianego dziecka. Teraz również i on umierał. Val nie zamierzała odwiedzać go w szpitalu, a już z pewnością nie miała chęci spotykać się z jego żoną, która wolała płacić Camilli za milczenie niż ujawnić światu prawdę o poczynaniach małżonka.

W gruncie rzeczy Devota, zabijając Camillę, w jakiś sposób pomogła dobrej starej Marión, bo oznaczało to koniec szantażu. Fakt, że Camilla wykorzystwała jej pochodzenie do wyciągania od kogoś pieniędzy, budził w Val nieprzyjemne uczucia. Po co jej były te pieniądze?

Prawdopodobnie potrzebowała ich dla siebie i dziecka.

Gdy jej ciąża zostałaby odkryta, Camilla musiałaby opuścić zakon i sama jakoś utrzymać siebie i dziecko...

Val myślała o siostrze ze ściśniętym gardłem. Jakże za nią tęskniła. Camilla nie była najlepszą z sióstr, ale nie była też najgorszą. Miała w sobie wiele odcieni szarości i była dla wszystkich wieczną zagadką, ale była też zabawna. Na myśl przyszło Val dziecko Camilli. Kim był jego ojciec? Jeśli nie Frank, to kto zapłodnił Camillę? Val doszła do wniosku, że nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie. O ile jej było wiadomo, Camilla nikomu nie zdradziła tożsamości ojca jej dziecka.

Może nie wiedziała. Może sądziła, że to dziecko Franka? Może ojciec nic o nim nie wie...

Val zastanawiała się, czy prawdę może znać siostra Lucia, najlepsza przyjaciółka Camilli. Według relacji policji, Lucia Costa opuściła miasto. Nie sądzono, by spotkało ją coś złego, ale kto to mógł do końca wiedzieć? - Tak - rzekła Freya, kiwając głową, a jej rude loki załśniły we wpadających oknem promieniach słońca. - Jestem pewna. Sara przyrzekła, że przyjedzie na jakiś czas, póki się nie zdecydujesz. - Myślałam, że twoja siostra bliźniaczka w ogóle się do ciebie nie odzywa.

- Cóż, odzywa się, jeśli do niej zadzwonię... Podobno jest teraz między występami, cokolwiek to znaczy. - Na ustach Frei ukazał się szeroki uśmiech.

Na schodach ganku małego domku rozległy się kroki i Val spojrzała w tamtą stronę. W drzwiach ukazał się Slade, a za nim Bo.

- Rozumiem, że już podjęłaś decyzję, tak? - zwrócił się do Val, a jego ciemnobłękitne oczy zabłyśły wesoło. - Damy naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę?

Val nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Chyba tak, ale tylko jeśli będziesz grzeczny.

- Och, przestańcie się tu migdalić! - zawołała Freya, unosząc obie ręce, jakby w obronie przed atakiem - bo robi mi się niedobrze!

- Nigdy się nie migdalimy - obruszyła się Valerie. - Nienawidzę takich rzeczy.

- I niech tak zostanie. - Ale oczy Frei mówiły, że wcale jej nie wierzy. - A pod koniec roku porozmawiamy o sprzedaży waszych udziałów... w zależności, w jakim punkcie będziecie.

- Goli, weseli i w ciąży - rzucił Slade uradowany ze swojego żartu. - Jeśli to w ogóle będzie możliwe.

- A ty byś chciał, żeby to było możliwe - dopowiedziała Val.

- Część z ciążą brzmi zachęcająco.

- Hm... może. Ale najpierw muszę się pozbyć gipsu.

- Po co, jest całkiem seksowny. - Slade wyciągał torbę podróżną Val z jej sypialni. - Zresztą ja zawsze miałem świra na punkcie nóg. W gipsie czy bez gipsu, nieważne.

Freya wyglądała na oszołomioną.

- Skończcie już z tym, dobrze?
- On tylko żartuje - zapewniła ją Val. - A poza tym sama teraz widzisz, jaki jest denerwujący.
- Tak, ale ty to uwielbiasz - mruknął Slade, wychodząc z domu. Val westchnęła głęboko.
- Dziękuję ci za wszystko - zwróciła się do Frei.
- Nie musisz mi za nic dziękować. Wszystko, co tu się ostatnio działo, mimo że był to koszmar, tylko pomogło biznesowi. Zabrakło wolnych miejsc, tylu było chętnych, żeby się u nas zatrzymać. Do końca lata mamy zajęte wszystkie pokoje.
- Będzie mi ciebie brakowało - wyznała Val i tak rzeczywiście czuła.
- Mnie ciebie też i niczego, co tu zostawiasz, nie ruszam, dopóki będzie tu Sara. Ale... - Freya pogroziła Val palcem - jeśli powiadomisz mnie kiedyś, że nie wracasz, spakuję wszystko i sprzedam na aukcji w Internecie, a ten pokój zamienię na apartament dla gości i zarobię na nim fortunę. - Jej oczy zabłyśły na myśl o przyszłych zyskach.
- Wiesz co, zmieniłam zdanie. Wcale nie będzie mi ciebie brakować.
Obie wybuchnęły śmiechem i mocno się uściśniły, po czym Val z pomocą Slade'a, kuśtykając, opuściła mały domek i wsiadła do furgonetki.
Ona i Slade zamierzali zacząć od nowa, chcieli pozbierać części ich rozbitego małżeństwa i stworzyć z tego nową całość. Slade uruchomił silnik i wyjechał na ulicę. Między nimi siedział Bo.
Jechali na ranczo położone w pobliżu miasteczka Bad Luck w Teksasie. Val pragnęła zapomnieć, że kiedykolwiek przestała ufać mężowi, a co do Camilli, to jej wybaczyła już wcześniej.
Przymknąwszy oczy, modliła się, aby to się udało. I wtedy poczuła rękę Slade'a na swojej, jakby mąż czytał jej w myślach.
- Będzie dobrze, żono - zapewnił z tym swoim kowbojskim krzywym uśmiechem. - Sama się przekonasz.
I w tej chwili z oddali doszedł ich odgłos dzwonów, które wybijały kolejne godziny ich wspólnego życia.

- No więc co, sprawa zamknięta, tak? - zapytał Montoya, wchodząc w poniedziałkowe popołudnie do pokoju Bentza i padając na jedno z krzeseł stojących przy biurku.

- Nigdy nie będzie zamknięta - burknął Bentz - przynajmniej dopóki żyje Ojciec John. - Bentza bolał kręgosłup, był zmęczony i wściekły, że fałszywy klecha ponownie wymknął im się z rąk.

- Przecież nie masz pewności, że on żyje - zauważył Montoya, kolejny raz odgrywając rolę adwokata diabła. - Grace Blanc mógł zamordować jego naśladowca.

- Grupa krwi dowodzi, że to ten sam facet.

- Nie dostaliśmy jeszcze wyników DNA. Chodź, postawię ci piwo.

Bentz pokręcił głową. Rzadko pił alkohol.

- Okej, w takim razie dietetyczną colę albo co tam sobie wybierzesz. - Montoya wstał z krzesła.

Bentz sięgnął po kurtkę i razem ze swoim partnerem opuścił biuro.

Na zewnątrz dzień pachniał świeżością, powietrze było czyste, lekki powiew trącał liście palm niedawno zasadzonych przy ulicy.

- Grace Blanc nie będzie ostatnia - oznajmił z irytacją Bentz.

- Ale przynajmniej zakonnice z St. Marguerite's są znowu bezpieczne.

- Za jaką cenę.

Siostra Charity Varisco nie przeżyła. Bentz słyszał, że rzuciła się na wymachującą nożem siostrę Devotę, żeby ratować Valerie Renard, swą biologiczną córkę.

Natomiast Devota przeżyła i stanie przed sądem. Jej rany nie były głębokie, a prokurator szykował taką mowę, że zakonnica trafi za kratki na całe życie.

Co, w opinii Bentza, i tak było za mało. Zbyt wiele dobrych bogobojnych kobiet zginęło z ręki tej skończonej wariatki, jak Montoya nazwał Devotę.

- Hej, zaczekajcie!

Bentz nie chciał się oglądać, wiedząc, że za plecami ujrzy biegnącego w ich stronę spoconego Brinkmana.

Montoya skręcił za róg i marszcząc czoło, otworzył drzwi baru.

Brinkman dopadł ich tam i od razu sięgnął do kieszeni po papierosy. Ku zaskoczeniu Bentza, wytrząsnął kilka z paczki i podsunął, by ich poczęstować.

Bentz pokręcił głową.

- Nie, dzięki.

Montoya się zawahał, lecz na koniec mruknął:

- Nie, skończyłem z tym. Sprawa zamknięta, Abby ciągle się mnie czepia o te fajki.

- Pantoflarz - sarknął Brinkman, zapalając papierosa i wydmuchując dym nosem.

- No tak, fakt, ale przynajmniej jestem żonaty.

Brinkman już miał się zaperzyć, ale po zastanowieniu postanowił nie reagować na ten docinek nawiązujący do jego licznych małżeństw i rozwodów.

- Szczęściarz - mruknął i widząc, że Montoya wchodzi do baru, dodał: - Zaraz do was dołączę, więc zamówcie mi jedno piwo.

- Chyba na głowę upadłeś, Brinkman. Sam sobie zamów, jak masz ochotę.

Bentz zamknął drzwi i przez chwilę stał, chcąc, by mrok panujący w barze ukoił jego zmęczenie.

Nagle zachciało mu się piwa - jasnego lub ciemnego - ale po zastanowieniu zrezygnował i podszedł do kontuaru, przy którym siedział już Montoya.

Barman odwrócił się do nich i postawił przed nimi dwie szklanki. Z zimnym piwem dla Montoi i z dietetyczną colą dla Bentza. Powinni świętować, bo zabójczynie oblubienic Chrystusa nie chodziła już na wolności, ale Bentz nadal się martwił.

Martwił się, że Ojciec John znowu im się wymknął.

Epilog

Niektóre śmierci warte są ryzyka.

I są konieczne, jeśli zemsta ma zostać dopełniona.

Musiałem odczekać pięć miesięcy. Walcząc z własnym silnym popędem, musiałem siedzieć cicho, co noc słuchając radia i tych jej żalonych porad.

Ale wytrzymałem.

Czekając.

I robiłem plany.

Sprawdzałem grafiki, godziny zmiany warty, badałem zwyczaje i sposoby, jakimi można się dostać do więzienia.

Nie było to aż tak trudne, jak sądziłem.

Księża bowiem nadal jeżdżą po różnych parafiach i udzielają wsparcia więźniom. Zatem udając księdza, spokojnie mogłem się dostać do więzienia, w którym osadzono siostrę Devotę, czyli Darlenę Arness.

I tak pod przykrywką fałszywej tożsamości, z pewnym siebie uśmiechem, z lekkim błyskiem w oku przeznaczonym dla wartowniczkę, trzymając w rękach Biblię, z łatwością zostaję dopuszczony do Devoty w jej celi, gdzie pragnie się ona wypowiedzieć.

Oczywiście wszystko jest nagrywane, lecz ja się tym nie przejmuję. Ona otwiera przede mną swoje ramiona i duszę, wyznając wszystko, nawet to, że zamordowała moją piękną i występłą Camillę. Nie obawia się mówić prawdy, bo jestem księdzem. Nie dostrzega furii, ostrzegawczego drgania pod lewym okiem, tego, że knykcie palców, w których ściskam Biblię, robią się białe.

Zamordowała nie tylko moje dziecko, ale też kobietę, którą kochałem. Zeby było jasne: kochałem Camille. Moja miłość do tej wiedźmy była przeogromna.

Ale oczywiście staram się zachować spokój i wysłuchując spowiedzi, odgrywać rolę wyrozumiałego księdza. Jestem tu po to, żeby wymierzyć własną sprawiedliwość, i gdy ona opowiada o Camille i o dziecku, które nosiła w łonie, moim dziecku, czuję, że budzi się we mnie pożądanie.

Pamiętam, że pierwszy raz spostrzegłem Camille, gdy szukałem na terenie St. Elsiore's pewnych przydatnych mi przedmiotów a ona wzięła mnie za podróźującego księdza. Zauważyłem błysk zainteresowania w jej pięknych oczach, cień uśmiechu i poczułem jej pożądanie, które szybko ukryła, ale które z czasem ujawniło się z większą mocą. Nawet gdy już wiedziała, że wcale nie jestem księdzem.

Oczywiście nigdy nie poznała mojej prawdziwej tożsamości Sądziła, że jestem byłym księdzem, który z powodu zbyt wielkiego zainteresowania kobietami musiał odejść z Kościoła.

Zresztą Camilla nie zadawała wielu pytań. Może coś podejrzewała, ale nie chciała poznać prawdy. A mogła. Była sprytna i mieszkała przecież w Nowym Orleanie.

Ale nie szukała prawdy; a przynajmniej nigdy mi o tym nie mówiła.

Może moja plugawa reputacja, jeśli w ogóle miała o niej pojęcie, podgrzewała tylko już i tak płonący w niej ogień, podgrzewała jej seksualne żądze.

Zakon nie był miejscem dla niej.

Ale ja za nią tęsknię, okropnie tęsknię i ledwie się powstrzymuję, żeby nie wrzasnąć na tę kupę zwichrowanej kobiecości która śmiała zabić Camille - i to naśladując moją technikę!

Podstępna dziwka.

Muszę jednak wysłuchiwać jej spowiedzi, pamiętając że po tej nocy znów będę musiał się ukryć, stać się niewidzialny, rezygnując z zaspokojenia pragnień. Ale mimo że ta naśladowczym wykradła mi piorun, ja znów powstanę, tylko nie od

razu. Najpierw musi minąć ta noc, a ja muszę znów stać się legendą.

W oczach wszystkich prócz Ricka Bentza.

Zgrzytam zębami, kiedy o nim myślę, a ból po jego kuli znów pali mi skórę. Tak, znów stanę się duchem, a powrócę we właściwym czasie.

Teraz Devota kończy swoje obmierzłe wyznanie, więc udzielam jej rozgrzeszenia, lecz potem, zanim zdąży na mnie spojrzeć, póki jej głowa jest pochylona, kładę jedną rękę na jej ustach i szybko łamię jej kark.

Usadzam ją potem na krześle i wiedząc, że kamery wszystko nagrywają i że Rick Bentz będzie mógł później obejrzeć sobie to nagranie, wymykam się z celi.

Gdy zaczynają wyc syreny, znajduję się niedaleko, ale jest już za późno.

Rozwiewam się w gęstej, witającej mnie ciepło luizjańskiej nocy.

Podziękowania

Gdy piszę powieść, pomaga mi w tym wiele osób, czy chodzi o redakcję, o wyszukiwanie informacji, czy o moralne lub techniczne wsparcie. I choć zasięgam porad u profesjonalistów, którzy wiedzą o wiele więcej niż ja na pewne tematy, niemniej odpowiedzialność za wszelkie błędy zaistniałe w powieści biorę wyłącznie na siebie.

Pragnę podziękować wszystkim, którzy pomogli mi przy pisaniu Krętych ścieżek. Oczywiście pomocników było o wiele więcej, jednak w tej chwili na myśl przychodzą mi ci, których nazwiska wymieniam poniżej i którym jeszcze raz ogromnie dziękuję za pomoc i wsparcie:

Alex Craft, Ken Bush, Nancy Bush, Matthew Crose, Michael Crose, Niki Crose, Wayne Kreitz, Carol Maloy, Aria Melum, Ken Melum, Trevor Melum, Roz Noonan, Robin Rue, John Scognamiglio, Larry Sparks i Celia Stinson.

Dziękuję i jeśli o kimś zapomniałam, przepraszam!

Od autorki

Jak zawsze, zmieniłam pewne fakty, nieco je naginając z korzyścią dla fabuły.

Pragnę także zauważyć, że gdy pisałam tę powieść, doszło do wielkiej katastrofy ekologicznej w Zatoce Meksykańskiej. Ogromny wyciek ropy zanieczyścił wody w tym obszarze świata. Zagrożone są Luizjańskie mokradła, wyciek prawdopodobnie dotrze również do Nowego Orleanu. Gdy to piszę, ropa (wyciek był spowodowany wybuchami na platformie wiertniczej o sile wybuchu wulkanu) nadal wydostaje się z dna morskiego, a ja umieram ze strachu, bojąc się nie tylko o obszary otaczające Zatokę, ale również o cały świat, jego ekologię, finanse i moralność.

Nowy Orlean i cała Luizjana są mi bardzo drogie. Choć nigdy nie mieszkałam na stałe na Południu, jak bohaterowie mojej powieści, lecz spędziłam wiele szczęśliwych dni w tej niezwykle pięknej części świata.

Nie poruszyłam problemu wycieku ropy w tej powieści, uczynię to jednak w kolejnych powieściach z serii Bentz/Montoya, gdy już będę wiedziała, jak rozegrała się do końca ta straszna historia. Moje serce jest z ludźmi mieszkającymi i pracującymi na tych terenach -silnymi, odważnymi, którzy nie zdążyli jeszcze uporać się ze zniszczeniami spowodowanymi huraganem Katrina, a już musieli zmierzyć się z nową, niewyobrażalną katastrofą, tragedią dla nas wszystkich. Nie opuścili swej ukochanej ziemi. Tylko wyjątkowi i bardzo dzielni ludzie stają do walki z naturą. Chylę przed Wami czoło.

Lisa Jackson